



MAGDALENA ZIMNY-LOUIS

Pola


Replika

MAGDALENA ZIMNY-LOUIS

Pola




Replika
wydawnictwo

Copyright © Magdalena Zimny-Louis

Copyright © Wydawnictwo Replika, 2012

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja Barbara Borszewska

Projekt okładki Iza Szewczyk

Zdjęcie na okładce i rysunki Copyright © Agnieszka Koczot

Skład Mateusz Czekala

Wydanie 1 ISBN 978-83-7674-195-6

Wydawnictwo Replika

ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo

tel/faks 061 868 25 37

replika@replika.eu

www.replika.eu

Druk i oprawa: WZDZ - Drukarnia „LEGA”

*Książkę dedykuję najważniejszym kobietom mojego życia:
mamie, córce, siostrom, siostrzenicy,
przyjaciółkom z I LO w Rzeszowie*

ROZDZIAŁ I

Kiedy skończyłam osiemdziesiąt lat poczułam prawdziwą ulgę. Nie sądziłam, że dożyję tak ponurej rocznicy moich urodzin. Pan Bóg nie chciał mi w swojej niezrozumiałej łaskawości zgasić światła. Pytałam go wielokrotnie: „Czego jeszcze ode mnie chcesz Panie? Mam jakieś zaległe prace do wykonania? Chcesz, abym odpokutowała za winy? Bo jeśli nie masz dla mnie żadnych zadań, zakręcaj czym prędzej kurek, prędko bierz mnie do siebie, tak jak obiecywałeś”. Tymi słowami kończyłam modlitwę wieczorną od dziesięciu lat. Czasami proponowałam Mu moje życie za życie jakiegoś młodzieńca, który w upojeniu alkoholowym wsiada za kierownicę lub skacze do płytkiej rzeki na główkę i już nie wypływa. Mówiłam Stwórcy: „Weź mnie, on niech wraca do domu, do matki, niech skończy szkołę, znajdzie dobrą pracę, poślubi dziewczynę z sąsiedztwa, spłodzi dziecko”. Tymczasem młodzieńcy umierali, w sile wieku, w środku marzeń o przyszłości, a ja żyłam dalej, wbrew sobie i całemu otoczeniu. Im mniej mi się chciało żyć, tym czułam się lepiej, dobrze jadłam, doskonale spałam, a wypróżnianie nie sprawiało mi kłopotu. Nie zażywałam żadnych tabletek oferowanych przez nachalne reklamy telewizyjne, nawet jeśli faktycznie przydarzały mi się wzdęcia czy ból w kolanach. Koncernom farmaceutycznym ogłupiającym biednego emeryta, naciągającego na tabletki-cud, mówiłam pogardliwe NIE. Starsi ludzie wydawali nędzne emerytury w aptekach, mizdrząc się do pani magister przez otwór w szybie, a ja byłam dumna, że ani złotówki od dziesięciu lat nie wydałam na leki. Skończyłam siedemdziesiątkę, a wraz z nią pożegnałam się definitywnie z wizytami w aptekach i przychodniach.

W dniu moich osiemdziesiątych urodzin podjęłam również inne zobowiązanie, przyznając, bardziej drastyczne od niewykupywania recept.

Spakowałam zawartość szafy do kilku czarnych worków i wystawiłam je przed drzwiami. Sąsiadka Florkowa miała te rzeczy zabrać, wywieźć do rodziny na wieś, bo tam panowała prawdziwa bieda. Ugadałam się z nią tydzień wcześniej. Obiecała dyskrecję, nie pytała, dlaczego wyzbywam się rzeczy jeszcze dobrych, rozmiar 40, w przyzwoitych fasonach. Zostałam sobie dresy oraz jedną czarną sukienkę, którą mogłam ewentualnie zakładać na specjalne okazje, a okazją docelową miało być złożenie mnie w tej akuratnie skrojonej sukni, odziedziczonej po ciotce Poli, w trumnie. Suknia były elegancka, z drogiego materiału, ukoronowana, zwracająca uwagę pań znajdujących się na gatunkach tkanin. Miała metkę ze sklepu Marks&Spencer. Moja ciotka Pola fascynowała się tą siecią drogich sklepów, dumą i chwałą narodową Anglików. To od niej dowiedziałam się, że założycielem interesu był Michael Marks, Żyd ze Słoniemia, dziś miasta należącego do nieszczęsnej Białorusi, oraz kasjer z Yorku, nazwiskiem Spencer. Pola wprost uwielbiała ten sklep, głównie tam zaopatrywała się w konfekcję oraz żywność, tylko obuwie kupowała w innym miejscu. Każdy prezent, jakim mnie obdarowała, pochodził z tego sklepu. Czarną suknię sprezentowała mi bardzo dawno, nie miałam okazji założyć jej wcześniej, gdyż się w nią nie mieściłam, dopiero kiedy po siedemdziesiątce zaczęłam chudnąć, rozmiar 38 okazał się moim idealnym. Odłożyłam suknię do pudła, wraz z parą czarnych botków na małym niezgrabnym obcasie, wzorzystymi rajstopami i kompletem bielizny. Na pudle napisałam drukowanymi literami – STRÓJ NA OSTATNIĄ PODRÓŻ.

Nie widziałam sensu w dalszym ubieraniu się, przebieraniu, wciskaniu zmęczonego ciała w jakieś plisowane spódnice czy workowate kamizelki, golfy i spodnie na gumce. We wszystkim wyglądałam jak stara baba, nie pomagały ani zaboty, ani jaskrawe kolory. Najwygodniejszym, a przede wszystkim najpraktyczniejszym odzieniem dla kobiety w moim wieku był dres. Chciałam dobić do osiemdziesiątki, żeby ostatecznie rozstać się z fikuśną garderobą. Miało to oczywiście związek z ważniejszą życiową decyzją, nie chodziło bowiem tylko o strój. Postanowiłam, przemyślawszy sobie ewentualne konsekwencje, że nie będę więcej

wychodzić z domu. Moje ostatnie wyjście miało być już „nogami do przodu”.

Wszystko już w życiu widziałam, wielu rzeczy spróbowałam, spotkałam ciekawych i głupich ludzi, wylałam sporo łez, naśmiałam się aż do bólu w przeponie, zwiedziłam Anglię, Polskę, jej najbliższych sąsiadów, urodziłam dzieci, one postarały się o wnuki dla mnie, pochowałam męża, przyjaciółkę Wandzię, ciotkę Polę, a także wiele innych bliskich mi ludzi. Oceniałam, że bezpowrotnie wypaliło się u mnie pragnienie nowych wrażeń i przeżyć. Miałam dość. A poza tym, cóż może być gorszego niż staruszka oczekująca od pasażerów natychmiastowego ustąpienia miejsca w autobusie, tarasująca wózkami alejki między półkami w supermarkecie, kuśtykająca po korytarzach przychodni, wymuszająca na młodych lekarzach oznak, że są ludźmi, nadstawiająca się do badań, które są im obrzydliwe. Nie chciałam być ani dnia dłużej w gronie starców okupujących okienka na poczcie lub nie daj Boże w banku. Emeryturę przynosił mi przyszczaty listonosz, na którego też postanowiłam już nigdy nie czekać w oknie. Ani na pana z gazowni, ani na kuriera, który dostarczał mi kwiaty na Dzień Matki od moich zapracowanych dzieci. Starzy ludzie powinni siedzieć w domu, jeśli muszą wyjść do sklepu po zakupy, niechby unikali piątków i sobót, kiedy ludzie pracujący chcą się zaopatrzyć w żywność, nie tracąc przy tym cennego czasu. Emeryci, skoro upierają się przy długowieczności, powinni cicho, z godnością czekać na ostatni dzień życia, nie zajmować otoczenia swoim istnieniem, nie wprowadzać zamieszania w życie swoich dzieci, wnuków czy sąsiadów. Mieli czas się wyhulać, nawdychać świeżego powietrza, namieszać w rodzinach, domach przyjaciół, niechby się z godnością wycofali, ustępując miejsca młodym. Ci też się zestarzeją, to wszystko przed nimi. Komu potrzebni są ludzie po osiemdziesiątce? I do czego? Co my mamy do zaferowania światu zewnętrznemu? Nasze doświadczenie i mądrość? Chyba w pakiecie z demencją, zgagą, ciągłą sennością, starczym zmęczeniem, niestrawnością i narzekaniem na wszystko, choć już tak niewiele nas dotyczy. Niska emerytura? A ile jest w stanie skonsumować staruszka? Niechby jej tylko było ciepło, to powinno wystarczyć. Co ułożyłam

sobie w głowie, nie nadawało się jednak do powiedzenia na głos.

Zwlekałam do dnia urodzin. Dzieci zaplanowały uroczystą kolację w ulubionej restauracji, gdzie biesiadowaliśmy niejednokrotnie podczas uroczystości rodzinnych. Artur ją sobie upodobał, gdyż przepadał za węgierską kuchnią. Dzień po moim jubileuszu nic już nie stało na przeszkodzie, aby zakomunikować nowinę moim dzieciom.

Na pierwszy ogień poszła moja córka Zuzanna. Trudno się z nią rozmawiało, zawsze miałam wrażenie, że mówię coś niestosownego, zadaję niewłaściwe pytania, udzielam niesatysfakcjonujących odpowiedzi. Pod jej wzrokiem często przepalały się w moim starym mózgu wszystkie kable, zamiast radosnych iskerek leciał ciemny dym. Zdumiewała ją jedynie moja sprawność fizyczna. Nie mogła się nadziwić, kiedy zgrabnie zapinałam sprzączki przy obuwiu, sprężystym krokiem wchodziłam po schodach. Nie jęczałam, nigdy nie sapałam przy wykonywaniu tych czynności. Zuzanna, walcząca z otyłością, zazdrościła mi energii oraz tej zaskakującej żywotności. Nigdy nie usłyszała ode mnie, że jestem zmęczona, podczas kiedy ona zazwyczaj „padała z nóg”. Od progu komunikowała mi, jaka jest „zajechna”, bo takiego wyrazu zwykła używać, aby opisać swoją niedyspozycję. Męczyła ją praca, ludzie, spadki ciśnienia, córka, politycy, wszyscy sąsiedzi oraz sobotni program telewizyjny.

Wpadała do mnie jak burza, zakręciła się, wyrzucała z siebie tygodniowe frustracje, wykaszła zmęczenie i uciekała. Nie czerpałam przyjemności z jej wizyt, ale czekałam na nie, gdyż tak niewiele działa się w życiu staruszki.

Tym razem bardzo starannie przygotowałam się na jej odwiedzin. Napięłam, nagotowałam, resztką sił przetarłam szyby w oknach. Umyta i uczesana, ubrałam się w szarą bluzę dresową z napisem – Boston University 1980 – oraz granatowe spodnie, pasujące kolorystycznie do bluzy.

Staneła jak wryta, od progu okazując miażdżącą dezaprobatę.

– Mama źle się czuje? Skąd mama ma ten dres? Ze szmateksu? Nie,

przecież mama tam nie kupuje. Wezwać pogotowie? Boston? Jaki Boston? Co to ma oznaczać?

– Pogotowie?! Jeszcze czego! Żeby mi jakiś młokos pavulon wstrzyknął? – oburzyłam się. – Nic mi nie jest, nie hucz tak.

– To co się stało? – Rzuciła siatkę z zakupami na podłogę i podeszła do fotela, na którym siedziałam. Spojrzała mi w twarz, marszcząc czoło. Gdyby miała pod ręką małą latarkę z pewnością zaświeciłaby mi prosto w źrenicę oka. Po wstępnych oględzinach podreptała do okna, zaczęła zamaszystymi ruchami odsłaniać zasłony. Zasapała się przy tej czynności, więc poprosiłam, żeby usiadła i nie dopuszczając jej do głosu, opowiedziałam, co zamierzam. Chciałam mieć to za sobą, rozpocząć jak najszybciej nowe życie według własnego planu. Zuzanna słuchała z otwartymi ustami, jej reakcja nie wytrąciła mnie z równowagi, dociągnęłam opowieść o swoich zamierzeniach do szczęśliwego końca.

– A jeżeli chodzi o praktyczną stronę – zakończyłam – to powiem tyle, że chłopak z góry, Jacek Kubelski, będzie mi robił zakupy, już z nim uzgodniłam szczegóły. Wczoraj zorganizowaliśmy, aby emerytura wpływała prosto na moje konto w banku. Oczywiście jesteś upoważniona, nic się nie martw.

– Ja się nie martwię twoim kontem w banku, ale tobą mamo. Dlaczego nie chcesz wychodzić więcej z mieszkania? – Zuzanna wyrzucała teraz produkty z ekologicznej siatki na stół kuchenny, wiele było złości w tym wypakowywaniu ciastek i serów. Kupowała za dużo żywności, spora część się marnowała.

– A co tam u ciebie w pracy Zuziu? Nic ostatnio nie mówisz o swoich uczniach, a tu matury za pasem. – Usiłowałam zmienić temat.

– Mamo... a może ty chcesz zamieszkać z nami? Może to jest prawdziwy powód tej szopki? Zawsze mi się wydawało, że cenisz sobie niezależność, własne mieszkanie, że tutaj się dobrze czujesz. Tak przynajmniej twierdziłaś przez ostatnie lata! Artur cię nie chce do siebie wziąć?

– Nic się nie zmieniło – zapewniłam ją. – Uwielbiam swoją norkę.

Zuzanna przechadzała się po pokoju z ramionami założonymi na krzyż, zupełnie jakby spacerowała po klasie pomiędzy ławkami. Chciała mnie zrugać, wstawić mi złą ocenę z zachowania, ale nie wiedziała, jak to zrobić, nie mogła posunąć się za daleko, nie byłam jej uczennicą.

– Nic się nie zmieniło – ciągnęłam temat. – Lubię to mieszkanie, dlatego właśnie chcę tu sobie spokojnie doczekać śmierci. Nie u was Zuziu, jak mogłaś tak pomyśleć? U Artura też nie chcę mieszkać, skąd ci to przyszło do głowy?

– Ale dlaczego mama nie chce wychodzić na świeże powietrze? – pisnęła.

– Mam balkon, wystarczy.

– Mamo! To jest jakaś kolejna fanaberia. Mamusia robi się taka sama jak ciotka Pola, zapatrzyła się mama na nią! – Zuzanna wymaszerowała z pokoju.

Wstałam z fotela i poczłapałam za córką do kuchni.

– Ciotka Pola nie ma tu nic do rzeczy, nie mieszaj jej w moje sprawy, Panie świeć nad jej duszą. Ja nie rozumiem, dlaczego tak się oburzasz Zuziu. To chyba lepiej dla was, że nie będziecie musieli wozić mnie na te niedzielne wycieczki i tak dalej, wszystkim nam będzie łatwiej.

– A co ludzie powiedzą? Co oni sobie pomyślą? Że zwariowałaś!

Otworzyłam lodówkę, z szufladki wyciągnęłam pudełko z wędlinami.

– Zrobię nam po kanapce, zaparzę herbatkę, idź do pokoju, włącz telewizję. Zobaczmy, co tam w *Klanie* – powiedziałam do córki, po czym zabrałam się do smarowania chleba masłem. Zuzanna stała obok mnie, patrzyła mi na ręce. Zapanowałam nad ich drzeniem, dodawałam sobie otuchy myślą, że już prawie miałam za sobą tę nieprzyjemną rozmowę.

– A co ludzie powiedzą? – westchnęłam. – Mój Boże, jak się ma tyle lat, co ja i jest się o krok od Sądu Ostatecznego, to osądy ludzkie naprawdę nic nie znaczą.

- Artur wie? – zapytała nieco już spokojniejszym głosem.
- Ja mu nie mówiłam – powiedziałam wymijająco.

Zuzanna nie chciała moich kanapek, ani serialu na Jedynce. Wyszła na balkon, podlała kwiatki, choć zwykłam sama ich doglądać, wypaliła papierosa, nie opanowała jednak zdenerwowania. Zadała mnóstwo pytań, na większość sama odpowiedziała, zmęczona bezowocnym śledztwem pojechała do siebie. Nie żegnałyśmy się wylewnie, burknęła coś na dobranoc, sprawdziła, czy okna są domknięte i wyszła. Usiadłam w fotelu z filiżanką herbatki, już chyba czwartą tego dnia, dolałam sobie kropelkę rumu, chciałam się rozgrzać przed pójściem spać. Miałam wprowadzić elektryczny koc, który Artur przywiózł mi z Anglii, ale bałam się go podłączać, nie chciałam się spalić żywcem jak jedna moja znajoma.

Artur przyjechał do mnie dwa dni później, zaalarmowany przez siostrę. Byłam bardzo ciekawa ich rozmów na mój temat. Czy mnie obgadawali z zachowaniem specjalnej ostrożności, aby głośno nie powiedzieć tego, co naprawdę myślą? Zuzanna musiała mu przez telefon oznajmić, że jestem o krok od szaleństwa, ponieważ nie chcę opuszczać mojego mieszkania. Nikt nie przyjmował do wiadomości, że mam prawo być zmęczona po osiemdziesięciu latach snucia się po ziemi!

Artur podjechał pod blok pięknym nowym autem koloru czarnego. Nie znam się na markach samochodów, ale zawsze wyrażam opinię, czy pojazd mi się podoba, czy też nie. Samochód mojego pięćdziesięciosześcioletniego syna podobał mi się bardzo, miał skórzane, podgrzewane siedzenia, a skóra była pięknego koloru niczym piasek pustyni. Zuzanna dogryzała bratu, że takimi autami to tylko mafia jeździ, nie braliśmy jednak jej komentarzy na serio, doskonale orientując się na mapie jej kompleksów. Patrzyłam z balkonu na syna. Wysiadanie z auta sprawiało mu trudność, podglądałam zza firanki, jak gramoli się z siedzenia, obmacuje kieszenie spodni, marynarki, potem znów się nachyla do środka, sięga po coś, w końcu trzaska drzwiami, uruchamiając alarm. Stał jeszcze przez kilka sekund, patrzył na swój pojazd, coś się kotłowało w jego głowie. Wiedziałam, jaki jest zapracowany, ile wysiłku wkłada w prowadzenie firmy, jak mało czasu może mi poświęcić, tylko czekać, kiedy

taki tryb życia zacznie go uwierać niczym za ciasny but.

Usadawiłam się wygodnie w rozłożystym fotelu, który również był prezentem od mojego syna. Sporo było żartów na ten temat, ponieważ ten fotel sterowany pilotem, rozkładając się do tyłu, wypuszczał podnóżek. Absolutna wygoda, ale też trochę inwalidzki luksus. Przesiadywałam w nim, ile się dało. Więcej nawet, miałam zamiar umrzeć, siedząc z nogami uniesionymi w górę, oparta wygodnie, przygotowana do podróży w nieznane jak kosmonauta w rakiecie. Po śmierci wszyscy wystrzelimy w górę, zanim zakopią nas w dole.

Syn zastał mnie rozpartą we wzorzystym fotelu, popijającą herbatkę z jaśminu. Od progu zaczął robić mi wymówki, wymachiwać rękami, potem rzucił kluczyki na stół, po to tylko, aby je zaraz zgarnąć z blatu nerwowym gestem. Obserwowałam go spode łba, ale nasze spojrzenia się nie krzyżowały. Szybko się uspokoił.

– O co chodzi mamó? Już przywykłem do twoich przedziwnych pomysłów, ale żeby tak w pełni sił fizycznych i psychicznych zamykać się w mieszkaniu na resztę życia, to już przesada...

– Reszta życia? Chyba resztki – parsknęłam ubawiona. – Jak dożyjesz osiemdziesiątki, to zobaczysz, że też nie będzie ci się już aż tyle chciało, co dzisiaj. O tej porze, nie musisz być w pracy? Miałeś jechać do Anglii, jedziesz? Myślałeś o przeniesieniu prochów ciotki Poli do Polski? Może to wcale nie wymaga tyle zachodu, co nam się wydaje...

Zastanawiałam się głośno.

– Niech mama nie zmienia tematu. Zuzka mnie wystraszyła i tu przysłała. Czasami mi się wydaje, że mnożenie problemów sprawia jej jakąś dziką przyjemność. Nic jej tak nie rajcuje jak afery, które nakręca. Ja mam teraz gorący okres, mogła mama poczekać do jesieni ze swoimi pomysłami! Jak się czujesz?

Usiadł naprzeciwko mnie i ściągnął buty, a potem skarpetki.

Oboje patrzyliśmy na jego wypielęgnowane stopy. Elektryczny czajnik pstryknął i wyłączył się. Podniosłam się z fotela, poszłam zaparzyć nam herbatę. Miałam ich w domu chyba z dwadzieścia gatunków, prawdziwych liściastych, nie w torebkach. Wszyscy znali moją miłość do

herbat i przywozili mi jej przeróżne gatunki z całego świata. Pola przysyłała mi przez lata kolorowe paczuszki, naturalnie aromatyczne, opisane w różnych językach. Mieszałam je w najdziwniejszych konfiguracjach, eksperymentowałam, zmieniałam proporcje, aż w końcu smak mikstury herbacianej zaspokajał moje podniebienie. Niektóre gatunki, te prosto z Chin, były tak mocne, że wystarczyło wrzucić dwa listki, aby uzyskać właściwy smak i kolor. Arturowi podałam chińską białą herbatę pomieszaną z małymi suszkami cytryny i mango. Czekaliśmy przez chwilę w milczeniu, aż się zaparzy.

– Mamo. Jak mama przestanie się ruszać, to mama nam umrze – powiedział cicho. Było mi przez chwilę przykro, że taką niewinną decyzją zmartwiłam swoje dobre dzieci. Słowa o śmierci nie robiły na mnie wrażenia. Na śmierć czekałam już od jakiegoś czasu jak na pociąg, który się wprawdzie spóźnia, ale już go zapowiadają przez megafon. Ale oni byli jeszcze młodzi, nawet nie chcieli wprowadzać do swojego słownika takiego wyrażenia jak – śmierć.

– Synu, może byśmy porozmawiali sobie o czymś przyjemnym, a nie o śmierci wskutek zatoru w płucach. Dawno cię nie widziałam, zapracowany jesteś? Oktawia mówiła, że znów do Anglii lecisz? Kiedy? A jak było w Rosji? Postraszyłeś mnie ostatnio, mówiąc, że jak się robi interesy na Wschodzie, to rano trzeba się żegnać z żoną tak jakby na zawsze...

– Żartowałam mamo. Interesy dobrze idą, uruchomiliśmy linię ekologiczną, z naturalnych składników, superdrogą, ale już sprzedają ją w Europie. To był strzał w dziesiątkę. Kobiety się zmieniają, chcą zatrzymać młodość, ale nie chcą ołowiu w swoich kremach tylko wyciągi z kwiatów i roślin.

Objął mi, upił łyk herbaty i zaczął grzebać w swoim telefonie komórkowym. Kręcił głową, uśmiechając się tajemniczo. Czy zdradza swoją żonę? Wyczytałam ostatnio w gazecie, że większość romansów wychodzi na jaw właśnie przez telefony komórkowe.

W dzisiejszych czasach łatwość nawiązywania kontaktów i utrzymywania tych kontaktów niesie za sobą spore ryzyko, że w najmniej

pożądaną chwilę, mleko się rozleje. Żona Artura rzadko tu przychodziła, ale wpadła tydzień temu ze słoikiem miodu spadziowego. Sprawiała mi przyjemność, przyznaję, jednak nigdy jej nie polubię, choćby mi nawet całą pasiekę zainstalowała na balkonie.

– Na długo lecisz do Anglii? – zadałam znacznie bardziej neutralne pytanie.

– Na dwa dni. Nawet nie wiem, czy uda mi się zobaczyć z Agnieszką. Jak wrócę mamę, będę miał trochę więcej czasu, to może zabiorę mamę gdzieś w ładne miejsce, do „Wiedeńskiej”, do Łańcuta na spacer po parku, porozmawiamy sobie. – Artur wstał, cmoknął mnie w rękę i poszedł do przedpokoju.

– Posiedzimy sobie u mnie, a ciasta z „Wiedeńskiej” możesz kupić po drodze. Zjadłabym eklera, a mnie ciasto ostatnio się nie udaje, i krem też jakiś plastikowy w smaku mi wyszedł.

Artur spojrział na mnie i wznosił oczy ku niebu. Nie zatrzymywałam dłużej mojego syna. Myślami już zjechał windą, wsiadł do swojego wygodnego auta, dzwonił do tej Sekutnicy, żeby się jej wypowiadać, dlaczego spóźnia się na kolację. A może dzwonił do kochanki i umawiał się na sekretne spotkanie? Miałam niedorzeczne myśli, na starość coraz gorsze!

Artur nie wyglądał na swoje lata. Farbował włosy na skroniach, obsesyjnie dbał o linię. uprawiał nordic walking, grywał regularnie w tenisa z ważnymi ludźmi, a ostatnio z jeszcze ważniejszymi w golfa. Znał polityków, biznesmenów, dziennikarzy, ludzi z telewizji i sportowców. Jego pieniądze, jak każde duże pieniądze, przyciągały różnych ludzi, bardziej lub mnie znanych, a mój syn ubolewał nad tym, że to nie do niego się garną te znane twarze, ale do jego fortuny. Miał tylko jednego przyjaciela ze szkoły, a resztę stanowiła, jak sam to określał „Nowa Gwardia”. Jego żona brylowała, jej marzenia spełniły się od najmniejszego do tego ostatniego, wielkiego, jednak mój syn nie wydawał się zadowolony i ukontentowany. Jakaś nerwowość mu towarzyszyła, nerwowość poszukiwacza lub uciekiniera, nie miałam pewności. Cały czas był w ruchu, nie siadał za biurkiem, nie zasiadał za stołem przy okazji imprez

rodzinnych, nie wylegiwał się na kanapie przed telewizorem, a mimo to miał problemy z kręgosłupem, łykał potajemnie tabletki przeciwbólowe i przeciwzapalne. Jego wątroba musiała skamleć z przepracowania.

Moja ciotka Pola zwykła mawiać, że Artur mógłby być jej synem. „Jak nie znoszę dzieci, tak jego toleruję”, powtarzała. Nie miała własnych, może z wyboru, a może była bezpłodna?

U hrabiostwa Morawskich od niepamiętnych czasów posługiwali członkowie mojej rodziny. Moja matka Jadwiga, babcia Urszula i prababcia Antonina. Natomiast dziadek Michał, tak samo jak jego ojciec, był stangretem u Morawskich. Mój tatuś, Bogusław Wawel, do służby we dworze nigdy się nie najał, dość niechętnym okiem patrzył na pracę jego żony u panów. Był zbyt dumny na to, aby z podkulonym ogonem i bojaźnią w oczach latać do dworu. Jego światły umysł po cichu tęsknił za równością społeczną, głośno krytykował nędzne ochłapy, jakie kobiety przynosiły z dworu do domu. Rzadko były to pieniądze, raczej podniszczone pościele, garnki, czasami odzież lub buty. Ojciec zwykł mawiać, że dla Morawskich byliśmy bezimienni.

Jedynie Pola, siostra mojej matki, od małości cieszyła się specjalnymi względami na dworze. Jako siedemnastolatka wyjechała do Lwowa studiować malarstwo pod okiem znanego profesora, a rodzona siostra hrabiny zgodziła się troszczyć o jej potrzeby. W tamtych czasach panienki nie wyjeżdżały z własnej inicjatywy, trzeba je było posłać pod wskazany adres niczym paczkę. Pola nawet kreski na płótnie nie zdążyła postawić, a już rozkochała w sobie kapitana Wojska Polskiego, Tadeusza Rostowskiego i zamiast do malarstwa, zaczęła sposobić się do małżeństwa.

Mój świętej pamięci ojciec zwykł mawiać, że posługiwanie we dworze zawsze kończyło się w ciemnej komorze, przy czym dzieciaki hrabia płodził bardzo osobliwe. Matka oburzała się na jego złośliwości, nie zaprzeczała jednak tak gwałtownie, jakby wypadało, bywało, że w przyływie gniewu sama pomrukiwała o rozpuszcie w biały dzień. Nie rozumieliśmy powodów, dla jakich dwór Morawskich upodobał sobie Polę. Nigdy nie dałam wiary plotkom, że była dzieckiem z nieprawego łoża

hrabiego Jerzego Morawskiego i mojej babki Urszuli.

Czasami bywałam w dworku, pomagałam mamie w kuchni, rozwieszałam pranie ze służącą, ale państwa nie widywałam, oni również nie byli mnie ciekawi, gdyż nie zażyczyli sobie przez te wszystkie lata, aby matka mnie przedstawiła. Co innego moja ciotka. Podejrzałam kiedyś, jak wchodzi do pałacyku frontowymi drzwiami, nie jak gość z gminu, ale niczym dziedziczka, ze szpicrutą i chartem przy nodze.

Pola spędzała sporo czasu w posiadłościach Morawskich. Przyprawiano ją do ich domu, odkąd zaczęła mówić, a że Morawscy mieli syna w jej wieku, to też dzieciaki szybko się zaprzyjaźniły, związały w przedziwną parę, gdzie chłopka zdominowała arystokratę. Ciotka musztrowała gapowatego panicza z większą surowością niż mój dziadek ich konie. Wiem od matki, która opowiadała mi, jak żyła w strachu, iż pewnego dnia hrabina przepędzi nas wszystkich z dworu z powodu bezczelności Poli. Hrabia zajęty był męskimi sprawami, częstymi podróżami do Francji, hrabina zwykle odurzona morfiną miała umiłowany święty spokój. Pola sprytnie dbała oto, aby jej wymyślne gry i zabawy nie odbywały się w tych miejscach, do których sięga ich wzrok. Dzieci spędzały ze sobą dużo czasu, nikt się nimi nie interesował, guwernantki młodego hrabiego uczyły również Polę, bo ten taki stawiał warunek. Jego gapowatość to pewnie była dysleksja połączona z chorobliwą nieśmiałością, jednak wtedy takich terminów się nie używało. Dzięki przymusowym lekcjom Pola już jako dziesięcioletka mówiła płynnie po rosyjsku i angielsku. Chętnie pomagała w kuchni, ponieważ jak nikt umiała ozdabiać torty i ciasteczka lukrowymi różyczkami, listkami, zawijasami własnych projektów. Podśpiewywała sobie przy tym, a młody panicz zaglądał jej przez ramię, podziwiał ruchy pewnej ręki, a potem nie chciał słodkości jeść i płakał, że zjada się dzieło jego przyjaciółki Poli. Otumanionej narkotykiem hrabinie zdawało się chwilami, że Pola to moja matka, a moją matkę myliła z jej matką, babką Urszulą, zdarzało jej się też zapominać, jak jej syn ma na imię. Teofil Morawski nie dorastał w zdrowej rodzinie, więc trudno było oczekiwać, że będzie normalny.

Miałam siedem lat, kiedy Pola wyjechała do Lwowa. Nie wiem dlaczego, ale zapamiętałam, że wyjeżdżała w pośpiechu. Dostała od hrabiny elegancki kuferek, komplet bielizny, hrabia podarował jej sztalugi i farby, a wszystko zostało zapakowane na drogę w solidną skrzynię. Bardzo byli dla niej łaskawi, choć z wielkiej szczodrości nie słynęli. Być może odesłali ją ze względu na swojego syna, który uzależnił się od towarzyski zabaw w niezdrowy sposób, nie chciał nawet jeść, gdy ona nie siedziała obok niego, zachowywał się nedorzecznie, szantażując rodziców, że jeśli nie pozwolą mu się z nią ożenić, strzeli sobie w skroń z rewolweru ojca. Mieli po siedemnaście lat, zbliżali się niebezpiecznie do wieku, kiedy młode ciała mogą chcieć zakosztować podniety, najsurowsze pilnowanie obojga mogłoby okazać się niewystarczające, kiedy wtrąciłaby się matka natura. Nikt sobie nie życzył, aby ta dziecinna sympatia przerodziła się w coś więcej, najpewniej stąd wziął się pomysł jak najszybszego odseparowania panicza Teofila od Poli. Biedaczysko okrągły miesiąc za nią tęsknił, nawet do naszej chałupy zaszedł, spragniony wieści o ukochanej. Matka nie chciała mu powiedzieć, dokąd Polę wysłali jego zapobiegliwi rodzice, gdyż zobowiązała się dochować tajemnicy. Teofil zginął w kampanii wrześniewej, kto wie, może zetknął się przed śmiercią z mężem Poli, kapitanem Tadeuszem? Los nie takie figle potrafi płatać.

Żegnaliśmy siedemnastoletnią Polę całą rodziną w upalny sierpniowy dzień 1937 roku. Pamiętam doskonale, trwały żniwa, od świtu do nocy pomagałam w domu, a kiedy wszyscy wychodzili w pole, zostawałam na gospodarstwie i udawałam sama przed sobą, że byłam hrabiną M. Pola często przyjeżdżała z pałacyku na koniu, przywoziła mi słodczyce, kolorowe wstążki podkradzione hrabinie, ale zaraz potem znikala, kiedy koń panicza ukazywał się na górze. Wydaje mi się, że na długo przedtem przestała sypiać w naszej chałupie, tylko zostawała na noc u hrabiostwa. Moja matka chodziła tam już tylko sporadycznie, kiedy państwo mieli gości lub w okolicach świąt. Posyłali po nią z dworu, bo wciąż piekła najwspanialsze ciasta, szykowała dla ich delikatnego podniebienia najsmaczniejsze pasztety z zająca. Miała swoje kucharskie tajemnice, z

którymi się nie podzieliła, może właśnie dlatego, aby do niej zwracali się o pomoc przy większych okazjach. Hrabiostwo przyjmowało gości kilka razy do roku, wtedy matka najwięcej przynosiła z dworu, bo odbywały się generalne porządki, przegląd pościeli i serwisów.

Pewnie wyjazd Poli był planowany dużo wcześniej, ale mnie powiedziano w ostatniej chwili, nie zdążyłam się w ogóle oswoić z tą informacją. Całując mnie na pożegnanie, była smutna, nie umiała powiedzieć, jak długo się nie zobaczymy, do kogo jedzie, pod jaki adres, obiecywała często pisać. W naszej rodzinie wszyscy byli piśmienni, trzeba oddać mojej matce, że tego dopilnowała, sama również czytała i pisała, choć nigdy nie chodziła do żadnej szkoły, przyuczyła się w dworze Morawskich. Kiedy już wycalowałyśmy się na pożegnanie, moja matka pobłogosławiła znakiem krzyża na drogę swoją młodszą siostrę, nie uczyniła żadnego czulszego gestu, nie przytuliła do serca. Teraz mnie to dziwi, ale wtedy wydawało się normalne, ponieważ moja matka nie należała do wylewnych kobiet, więcej nawet, była zimna jak kawał kry, co płynie po rzece na wiosnę. Mnie nigdy nie hołubiła, ale też nie szturchała, pozwalała mi się czasem przytulić do fartucha.

Pożegnanie ciotki Poli rozdarło mi serce. Ja i mój brat Stasiiek biegliśmy długo za powozem, aż padliśmy zasapani na wyboistą drogę w miejscu, gdzie skręcała w stronę miasteczka przy kapliczce. Pola machała do nas, machała, potem usadowiła się prosto w powozie, patrzyła przed siebie, głowy nie odwróciła. Moje łzy zmieszały się z piaskiem, zgniecionymi porzeczkami, które, nie wiem dlaczego, trzymałam w garści. Modliliśmy się tego dnia dłużej niż zwykle, dodatkowe zdrowaśki dołożyliśmy do codziennych modłów w intencji Poli. Było tak, jakbyśmy nigdy więcej mieli jej nie zobaczyć, dlatego tak rozpaczalam. Uznałam, że jeśli wyrusza się gdzieś z wielkim kufrem przytroczonym do powozu, to na zawsze. Kochałam ją, była mi bliższa niż moja matka, choć dopiero teraz, bez ogłupiającego poczucia winy mogę się do tego przyznać. Słowa „kocham” nie wypowiadało się na polskiej wsi, kiedy byłam mała. Było to słowo tajemnicze, zastrzeżone dla poetów, ludzi dobrze urodzonych,

eleganckich pań i panów z miasta. Nie wyobrażałam sobie, że można go było ot tak używać. Na wsi ludzie co najwyżej „byli za sobą”, a potem się zaraz żenili, o miłości nikt nie wspominał.

Pola dotrzywała słowa, po kilku miesiącach napisała do nas długi list o kapitanie Tadeuszu Rostockim, którego zaraz po przyjeździe do Lwowa poznała. Nigdy jednak go nie przywiozła do naszej wsi, żeby się pochwalić jego lampasami, manierami, modnym cieniutkim wąsem. Mogliśmy sobie tylko wyobrażać, jak wygląda i jaki jest dla niej dobry. Wyszła za niego za mąż w marcu 1939 roku. Moja matka dostała piękną, pozowaną fotografię ze ślubu Poli oraz liścik napisany na cieniutkim papierze, który ja uroczyście odczytałam.

Pola pisała: Kochana Moja Siostrzo Jadwigo, Bogusławie oraz Ty, słodka Antosiu, i Stasienuku. Jaka szkoda, że nie mogliście mnie zobaczyć w dniu ślubu z Tadeuszem! Wysyłam Wam fotografię, którą mi przynieśli przed chwilą z zakładu fotograficznego. Uroczystość miała miejsce w kościele Świętej Anny w Warszawie w sobotę. W Warszawie teraz będziemy mieszkać, gdzie sztab Tadeusza. Jego rodzice bardzo dla mnie mili, brat również serdeczny. Na razie zamieszkaliśmy u jego ciotki w samym sercu miasta przy placu Dąbrowskiego. Opiekujemy się trochę staruszką. Jak ją Pan Bóg powoła do siebie, to dla nas będzie to mieszkanie. Bardzo ładne, cztery pokoje, wtedy przyjedziecie do mnie i pokażą Wam miasto. Ty Antosiu tak lubisz ciastka, w Warszawie zaprowadzę Cię do najlepszej cukierni. Martwię się tylko, czy mi Tadeusza nie zabiorą, bo dużo się mówi o wojnie, ale póki co jestem szczęśliwa i czekam na jesień, bo mamy do kurortu nad morze jechać w podróż poślubną, WSZYSTKICH Was całuję i obiecuję napisać. Lwów piękniejszy od Warszawy, ale powoli się przyzwyczajam.

Pola Kapitanowa Rostocka

Do Warszawy z wizytą u Poli nie zdążyliśmy pojechać. Moja matka nie miała nawet takiego zamiaru, ale ja marzyłam o wyjeździe do ciotki i przezornie zachowałam ten list, żeby jej przypomnieć o zaproszeniu,

jeśli by zapomniała. Nie planowałam zostać na naszej wsi, jak moi przodkowie jałową ziemię uprawiać, krowy paść, do powiatu jeździć raz na rok, chciałam czegoś więcej. Sama siebie przekonałam, że czeka mnie lepsze życie gdzieś w mieście, a może w Ameryce? Z naszych okolic dziesiątki ludzi wyjechało do Ameryki za chlebem, prawie nikt nie wrócił, nawet żeby odwiedzić rodzinne strony po latach. Jako mała dziewczynka marzenia miałam coraz śmielsze, a kiedy dostaliśmy od sąsiada konserwy z etykietką z niemieckimi napisami, zaczęłam po starym atlasie szukać miejsca dla siebie. Niemcy były blisko, ale jakoś nie paliłam się do tego kierunku, smaki i widoki miałam na Amerykę, na Chicago.

Po wybuchu wojny nie otrzymywaliśmy żadnych wieści od Poli. Zaraz w październiku 1939 roku aresztowano mojego ojca i po nim też śluch zaginął, a o jego tragicznych losach dowiedzieliśmy się dopiero po wojnie. O Poli myślałam często. Czy żyje? Czy jej mąż kapitan Tadeusz Rostocki walczył z Niemcami? Czy ich dom stoi? Mówiło się, że na Warszawę bomby spadły, całe dziesiątki bomb, że zniszczenia są wielkie. Moja matka też pewnie o Poli myślała, ale już jako o zmarłej, bo przecież gdyby żyła, dałaby znać. Ludzie przesyłali krewnym informacje na wszelkie sposoby, poczta chodziła. Faktem jest, że nikt Poli nie szukał. Uznaliśmy, że nie żyje, oplakałam ją, wycierałam jej ślubną fotografię dziesiątki razy, z wolna zaczęłam zapominać, jaka była, jak brzmiał jej głos. Wojna przeszła i dopiero w 1949 roku dostaliśmy telegram, że Pola Rostocka przyjedzie do nas w najbliższą niedzielę. Poplakałam się ze szczęścia, ściszałam i całowałam na przemian telegram zwiastujący dobrą nowinę, ale mojej matce tylko bruzda na czole wyskoczyła, nie znalazłam cienia radości na jej twarzy. Nie pojmowałam, dlaczego nie okazuje choćby ulgi, wiedząc, że jej siostra żyje, odnalazła się i złoży nam wizytę!

Czekałam na niedzielę jak na pierwszą gwiazdkę. W przeddzień jej przyjazdu nie zmrużyłam oka, zamartwiając się, czy aby co złego się nie stanie i nie dojedzie, jak obiecała w telegramie, znów długie lata miną, zanim ją zobaczę? Stałam w nocy przy oknie, wierciłam wzrokiem w

ciemności, zaklinając moce, złe czy dobre, żeby nic się nie wydarzyło, żeby przyjechała.

Polę przywiozła ze stacji kolejowej taksówka. Wysiadła z tego lśniącego auta, wolnym, tanecznym krokiem szła szeroką miedzą w dół w kierunku naszej chaty. Zaraz obok naszej chałupy, dosłownie kilka metrów, stała drewniana stodoła i stajnia, a przed nią kopiasty gnój. Dziś byłoby absolutnie nie do pomyślenia, aby odchody krów, koni i świń zmieszane ze słomą, wywalać przed stajnię, bezpośrednio na ziemię. Dziesięć kroków dalej znajdowało się wejście do chałupy, za mało, aby zapachy z gnojowiska wywietrzały. Matka regularnie zmieniała posłanie zwierzętom, widłami wybierała sterty odchodów, rozrzucając je przed stajnią. Największym marzeniem Staśka było dorosnąć choćby po to, żeby te widły od matki przejąć i panoszyć się w stajni przed zwierzętami.

Mieszkaliśmy bardzo biednie, w chałupie pobudowanej dawno temu, drewnianej. Wchodziło się do środka oszklonym gankiem, po lewej znajdowało się ciemne pomieszczenie zwane komorą, gdzie rodzice trzymali ziarno, beczki z kapustą, masło i ser. Dalej była kuchnia, jej dużą część wypełniał piec, na którym się gotowało, piekło chleb raz na dwa tygodnie. Pod oknem stał dębowy, masywny stół i cztery krzesła. Z kuchni wchodziło się do dwóch izb mieszkalnych. Gnieździliśmy się tylko w jednej ogrzewanej piecem kaflowym, gdzie jedynym umeblowaniem były nasze łóżka wyścielone siennikami ze słomy. Każde z nas miało swoje łóżko, matka duże podwójne, my ze Staśkiem mniejsze. Te nasze łóżka przypominały mi trumny, obudowane były deskami, wchodziło się do nich jak do pudeł. Druga izba nie była używana, stało tam jeszcze jedno drewniane łóżko, a na nim wypiętrzone kołdry w haftowanych pościelach, dębowa ponura szafa oraz mały stolik z lustrem otwierającym się jak ikona. Ten stolik z lustrem nazywany był psyche. Nad każdym łóżkiem w naszej chałupie wisiał święty obraz. Nad moim Pan Jezus Miłosierny, nad matki Pan Jezus Boleściwy, a nad łóżkiem Staśka Matka Boska Częstochowska. W gościnnej izbie wisiały dwa obrazki świętego Antoniego i świętego Franciszka. Wszystkie za szkłem. Żyliśmy naprawdę skromnie, nic się nie zmieniało od lat, matka pielęgnowała

zastój, nie oczekiwała nowego.

Przyjazd Poli wprowadził zamieszanie, choć matka nie poczyniła symbolicznych nawet przygotowań, aby gościa godnie przyjąć. Niepokój wisiał w powietrzu, głowę sobie można było o niego rozbić.

Dostrzegłam Polę z daleka. Stałam pod czereśnią niezdecydowana, czy biec do niej, czy też jak moja matka stać dostojnie i złowieszczo na ganku. Ubrana w piękną czarną sukienkę w białe grochy, na dłoniach miała białe rękawiczki, na głowie kapelusz z dużym rondem. Żadnego bagażu, tylko elegancka torebeczka w malinowym kolorze dyndała jej na ramieniu. Pamiętam jeszcze jej lakierowane buty na obcasie oraz pomalowane na czerwony kolor paznokcie u nóg. Stanęła na środku podwórka, rozejrzała się po obejściu wzruszona.

– No witajcie! Antosiu! Siostrzyczko! – Podeszła do mnie, pocałowała w policzek, a potem chciała się przywitać z moją matką, ale ta wzdrygnęła się, więc Pola zrezygnowana odstąpiła na parę kroków.

– Chodź do chałupy, jest mleko i ser – powiedziała moja matka.

– Posiedźmy na polu, tak tu urocz... – odparła szybko.

Tego dnia panował straszny upał, kury zagrzebały się w ziemi, krowy nie przeżuwały trawy, gapiły się bezmyślnie przed siebie, nachalne muchy planowały nas zjeść żywcem, jak tylko z krowami skończą pojedynek. Tylko one żyły, nie przeszkadzała im duchota południa, cała reszta stworzenia zastygła w upale jak w piekielnym kotle. Pola zdjęła kapelusz, użyła go jako wachlarza, rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś siedziska. Pokazałam jej zbitą z kilku desek ławkę pod czereśnią obok studni. Matka tymczasem wyniosła dwa krzesła przed dom jedno dla niej, drugie dla siebie, słusznie oceniając, że Pola na koślawej ławce, przykrytej wyliniałym kocem nie zamierza siadać. Ja przycupnęłam na swetrze rozścielonym na trawie, zaraz obok szczupłej nogi krzesła i jeszcze szczuplejszej nóżki Poli. Mogłabym przysiąc, że czułam lawendowy zapach tej nóżki bez pończochy.

– Ale upał! Ledwie można oddech złapać – powiedziała i uśmiechnęła się do mnie. Nie śmiałam zacząć rozmowy, nie wiedziałam, o co

pytać w pierwszej kolejności, natomiast matka nie zwlekała z awanturą.

– Myślałam, żeś umarła! Ani słowa przez tyle lat! Dziesięć lat! Tak się nie godzi! Pogrzebaliśmy cię i oplakaliśmy, a ty nagle przyjeżdżasz jak jaka księżniczka, jak gdyby nigdy nic!

– Wiem, wiem, ale to nie było proste, wojna... – Pola pogłaskała naszego psa, który tak jak ja od razu się w niej zakochał. Jej biała rękawiczka straciła nieco ze swej bieli po tym odruchu czułości. Nasz pies był największym brudasem w okolicy, latał wolno po wsi, nigdy nie przywiązywaliśmy go do budy.

– Wojna się dawno skończyła, wszyscy już zdążyli wrócić z frontu, ze stalagu, tylko ty jedna nie! Tyle lat! Gdzieś ty była Bronka?! – Moja matka nie pozwalała jej dojść do słowa, kipiała pretensją, w ogóle na nią nie patrząc.

Pola skrzywiła się na dźwięk swojego prawdziwego imienia. Tylko moja matka jeszcze pamiętała, że jej siostra na chrzcie dostała na imię Bronisława. Już jako dziecko przestała reagować na to imię, powiedziała wszystkim, że chce mieć na imię Pola, jak Pola Negri. Jak postanowiła, tak zrobiła. Kiedy wołano na nią Bronka, po prostu nie reagowała. Moja matka, przytłoczona śmiercią rodziców, którzy zapadli na tajemniczą chorobę, umierając jak na komendę w tym samym miesiącu, przejęła po nich obowiązki. Nie miała głowy do błahych sporów, po kilku tygodniach złamała się i dziesięcioletniej Bronce pozwoliła być Polą. Teraz Pola miała około trzydziestu lat, imię Bronka pasowało do niej mniej niż kiedykolwiek przedtem. Jej twarz była piękna i szlachetna, nie mogłam od niej wzroku oderwać. Małeńki nosek z wąskimi dziurkami osadzony był idealnie pośrodku gładkiej twarzy, ogromne błękitne oczy, lekko wystające kości policzkowe, wydatne usta, jej największą ozdobę stanowiły naturalne blond loki. Nigdy nie upinała włosów, pozwalała im okalać frywolnie piękną buzią. Nie wiem, ile wtedy ważyła, ale była bardzo, ale to bardzo szczupła, jednak pod groszkami sukienki ukrywała sporych rozmiarów piersi. Kiedy się wachlowała, z trudem wciągając upalne, suche powietrze, jej biust unosił się lekko, a potem opadał równie

ponętnie. Matka zaniepokojona tym urywanym oddechem Poli posłała mnie po wodę do studni. Pola nie chciała pić mleka ani kompotu z rabarbaru, miała życzenie napić się zimnej wody ze studni. Zanim ktoś wymyślił handlowanie wodą w butelkach, chyba francuska kompania Evian, Pola miała wizję, aby źródlaną wodę można było kupić w Warszawie, w zgrabnej szklanej butelce. To był jej pomysł, słyszałam na własne uszy! Przyniosłam garnuszek zimnej wody, którą piła małymi łykami. Zanim przyłożyła usta do brzegu metalowego garnuszka, wytarła go dyskretnie rąbkiem sukienki.

Nie doczekałyśmy się tłumaczenia, co robiła przez te lata, gdzie mieszkała, z kim, ani dlaczego nie miała potrzeby odezwać się do siostry choćby najkrótszym listem czy telegramem. Pola jednym zdaniem zamknęła temat długiej, tajemniczej nieobecności.

– Wszyscyśmy sporo przeszli, ja nie byłam wyjątkiem, ale trzeba zapomnieć, jedyne lekarstwo to zapomnieć – mówiła śpiewnie. – Tułałam się, nie chciałam was martwić, chorowałam...

Matka popatrzyła na nią podejrzliwie, niechętnie odstąpiła od dalszego przepytывania. Lata później, kiedy spędzałyśmy dużo czasu razem, rozmawiałyśmy o wszystkim, ani razu nie powrócił temat jej wojennych losów oraz czasu po wyzwoleniu. Coś mnie zawsze hamowało, żeby o to pytać, czułam, że wiążą się z tym okresem jakieś wielkie przykrości i tragedie. Pola też milczała. Nie przyjechała jednak tego lata do nas z wizytą, aby opowiadać o pochodze wojennej czy swoim wdowieństwie, a wręcz przeciwnie, przywiozła nam nowinę o powtórnym zamążpójściu.

– A co z twoim kapitanem, Tadeuszem? – zapytałam podniecona. Pola już nie głaskała psa, teraz sięgnęła w kierunku mojej głowy.

– Tadeusz nie żyje. Zginął w kampanii wrześniowej – powiedziała.

– O Jezu! – pisnęłam i pognałam do chałupy po tę fotografię ślubną, którą nam przysłała w 1939 roku. Przechowywałam ją wraz z listem w małym pudełeczku, jakie moja matka dostała od Niemca w podziękowaniu za pranie i gotowanie. W czasie wojny stacjonowały u nas remontowo-budowlane oddziały niemieckie, szykujące drogi, mosty dla wojska,

dzięki Niemcom przeżyliśmy wojnę, bo kiedy przyszli Ruscy, to tylko gwałcili, okradali i porzucali. Niemcy byli dobrzy, a pudełko było po prostu piękne. Pola wzięła ode mnie fotografię, przez chwilę na nią patrzyła szklącymi oczami.

– To jedyna fotografia ślubna, jaka się zachowała – powiedziała po chwili. Wpatrywała się w utrwalony moment szczęścia. – Wszystko się spaliło w Warszawie, po prostu wszystko. Antosiu, czy ja mogłabym ją od ciebie dostać?

Kiwnęłam tylko głową. Pola ściągnęła swoje białe rękawiczki i mi je podała.

– To dla ciebie, prosto z Paryża. Weź je ode mnie, noś na szczęście.

Wzięłam od niej te rękawiczki, ale nie śmiałam ich przymierzyć. Gdzie miałabym je nosić? Do jakiej sukienki, kiedy cała moja garderoba była w opłakany stan, pocerowana, dawno niemodna? Miałam jedną praktyczną sukienkę, w zieloną kratę, długą prawie do samej ziemi, ale z pewnością nie pasowałyby do niej te rękawiczki.

Pola włożyła fotografię do torebki, potrząsnęła lekko złocistymi lokami. Na górnej wardze błysnęło kilka kropelek potu.

– Koniec wspomnień, już się za Tadeuszem dość napłakałam. Tydzień temu dostałam list z Czerwonego Krzyża potwierdzający, że nie żyje. Jestem wdową i jako wdowa postanowiłam wyjść za mąż.

Wszystko to Pola powiedziała bardzo szybko, jakby się trochę wstydząc tego anonsu. W jednym zdaniu wyszła za mąż, straciła męża na wojnie, dostała list z Czerwonego Krzyża, poznała nowego mężczyznę i dała na zapowiedzi. Moja matka złożyła ramiona na krzyż, świdrującym wzrokiem wpatrywała się w siostrę.

– Nie za szybko? Co ci tak pilno do ślubu? W ciąży jesteś? – zapytała. Pola nie zaprzeczyła, ale nie wyglądało na to, że spodziewa się dziecka.

– Przystojny? – wtrąciłam się. Przynęłam się bliżej pachnącej Poli.

– Nazywa się Andrzej Kwolek. W każdym razie mamy zamiar się pobrać we wrześniu, czekaliśmy na ten list z Czerwonego Krzyża, teraz w końcu już nic nie stoi na przeszkodzie. Andrzej bardzo mi pomógł w ustaleniu, że mój mąż nie żyje, gdyby nie on, to nadal żyłabym tak jak pani Stawska z *Lalki*, ni to wdowa, ni to mężatka. – Pola zmarszczyła czoło, ale tylko na moment, zaraz potem jej twarz pojaśniała na myśl o powtórnym zamążpójściu.

– To ten twój Andrzej chyba jakiś ważny jest, jak do Czerwonego Krzyża pisywał w twojej sprawie. – Wszystkie nuty w głosie mojej matki brzmiały zjadliwie. Wstyd mi było za nią. Nie dość, że nie miałyśmy czym przyjąć takiego wspaniałego gościa jak Pola, to jeszcze matka nie była przyjazna jej planom na przyszłość.

– Przystojny? – powtórzyłam pytanie, wpatrując się w ciotkę, rozmarzona. Zignorowała uwagi siostry i zwróciła się do mnie:

– Och, Tosiu, bardzo przystojny, choć nie tak jak Tadeusz. Tadeusz w mundurze wyglądał jak aktor filmowy, kobiety za nim bezwstydnie odwracały na ulicy głowę. Andrzej aż takiego uroku nie posiada, ale przystojny jest. – Pola mrugnęła do mnie, korzystając z okazji, że jej siostra podnosi się z krzesła. Zostałyśmy na chwilę same.

– Andrzej jest kimś ważnym w partii, a dopiero zaczął karierę. Wiem, że daleko zajdzie, wszyscy mu wróżą piękną przyszłość. Chodzi mi oto, żeby Jadwiga nie opowiadała nikomu, że ja kiedyś do Lwowa jeździłam za pieniądze hrabiostwa, że panicz za mną ganiał. Dzisiaj to może tylko zaszkodzić. Szczególnie Andrzejowi. Nie muszą wszyscy wiedzieć, że rodzina żony miała stosunki z arystokracją. Zresztą, to była tylko służba, a nie powiązania, ale wiesz, jakie są czasy, ludzie zawistni, mogliby przeinaczyć fakty, zaszkodzić nam.

– Ależ ciociu, kto by tu do nas miał przyjechać i wypytywać? Czy kto w ogóle wie, że my istniejemy? – obruszyłam się. Nie rozumiałam dokładnie, o czym Pola mówi, ale pewna byłam, że umyślnie nikt by jej krzywdy nie zrobił jakimś złym słowem do obcych. Zapewniłam ją o tym.

– Wiem aniołku, wiem, ale ludzie węższą, żeby wywęszyć. Biorą na spytki, udają serdeczność. A co z tobą? Szkołę jaką skończyłaś?

– Tak, w Strzyżowie, w naszym liceum – pochwaliłam się. – Matematykę zdałam.

– Wspaniale! Trzeba się uczyć Tosiu, ja żałuję, że mam tylko dwie klasy gimnazjum. – Pola westchnęła. Nie byliśmy długo same, matka wróciła na rozklekotane krzesło, z narzekaniem na ustach, że w upały to się nawet jeść nie chce. Pola przytaknęła, a zaraz potem powtórzyła swoją prośbę o zachowanie dyskrecji na jej temat. Miałyśmy obie milczeć jak grób, gdyby nas kto odnalazł na tej wsi. Pola chciała być taką samą chłopką, jaką była jej siostra Jadwiga, co w istocie się zgadzało, choć kiedy tak siedziały naprzeciwko siebie pod czereśnią w upalne lato, nikt by się nie domyślił, że to rodzone siostry. Jedna była lilią, a druga wrzosem.

Czarna taksówka stała na górze pod gruszą. Szofer, kimkolwiek był, nie zajechał pod chałupę, pewnie w obawie, że potem nie wyjedzie na utwardzoną drogę. Zerkałam w stronę wypolerowanego auta, denerwowałam się, przynaglało Polę do powrotu, a ja chciałam, żeby została u nas jak najdłużej. Moja matka pozwoliła wygadać się siostrze, ale kiedy już zebrała myśli i siły, uderzyła z całą mocą, aż mnie dreszcz przeszedł.

– Przyjechałaś po błogosławieństwo na ślub z komunistą? No bo kim on może być? Pepeerowiec! W naszej rodzinie komunistów nam nie potrzeba, żebyś mi go tu nie przywoziła! Żydek Aszel dzięki nam wojnę przeżył, teraz z komunistami po wsiach jeździ, do Polaków strzela. Jak ci nie wstyd? Ilu to naszych harcerzy ze Strzyżowa poginęło na froncie, a ilu potem komuniści prześladowali, na Syberię wywieźli, na zmarnowanie! Ty za takiego chcesz iść?! – grzmiała moja matka.

– Andrzej to porządny człowiek. Ideowiec. – Pola założyła kapelusz na głowę i zaczęła zbierać się do powrotu. – Proszę tylko, żebyś nikomu nie opowiadała o mojej przeszłości.

– Wstydzisz się? – Z gardła matki wydobywał się teraz piskliwy głos, jakiego nigdy wcześniej u niej nie słyszałam. – Morawscy wojnę

przeżyli, Niemców przetrzymali, a Ruscy, komuniści, ich oboje bagnetami jak zwierzęta zadźgali. Krew hrabinie z gardła tak tryskała, że całą ścianę zapaskudziła na froncie pałacyku. Tam teraz szkoła jest w ich dworze, ale tej krwi nie zmyli, podobno w kamień wsiąkła głęboko...

– Niech mama da spokój – odezwałam się zaniepokojona wyrazem twarzy Poli. Była blada, nie wiedziałam, czy ma zamiar zemdleć, czy rzucić się z pięściami na swoją siostrę?

– Prawdę mówię! – Matka stawiała się coraz surowsza. – Nie wiem, gdzie się podziewałaś przez te lata, z kim przestawałaś, kto cię utrzymywał przy życiu, ale może niepotrzebnie wojnę przeżyłaś, skoro teraz za komunistę idziesz!

– Jadziu! Ja bardzo proszę, nie mów takich rzeczy. Andrzej nikogo bagnetem nie dźgał, nie znasz go, nie posądzaj go o takie potworności!

– Wszyscy oni tacy sami. – Matka wpadła jej w słowo. – Najlepsi zginęli na wojnie, albo w walce z UPA, jak rodzina mojego męża, a została sama szumowina, która teraz w Warszawie się zagnieździła. Ja tam swoje wiem, nie zachwalaj mi komunisty, tylko dlatego, że będziesz mu za chwilę dzieci rodzić! Jedź już. Dobrze, że twój ojciec tego nie dożył... Tośka, spakuj jej parę jaj i kawał sera. Nie chciała jeść tu, to może w drodze zje.

Pola spojrzała na mnie, rozumiałam w lot, że jajek nie chce, sera tym bardziej. Wyglądziła sukienkę, raz jeszcze pogłaskała psa, żeby zająć czymś ręce.

– W każdym razie... jak się urządzę z Andrzejem, to powinnaś do mnie Antosię przysłać, bo tu na tej wsi to całkiem przepadnie – zwróciła się do siostry. – Dziewczyna ma szkołę, zajmę się nią, niechby skorzystała z szansy...

Podskoczyłam na dźwięk tych słów.

– Przyjadę ciociu, jak tylko mamusia pozwoli, przyjadę! – złożyłam ognistą deklarację. Przemknęła mi przez głowę myśl, że może Pola zabierze mnie do siebie już dzisiaj? Nic mnie tu nie trzymało, matka miała Stasia, śmierć własnego męża dawno przeboleła, nie byłam jej potrzebna. Czarna taksówka błyszczała w słońcu, mogła mnie przecież zabrać do

lepszego świata. Pola jednak miała inne plany.

– W Warszawie jest co robić, budujemy nową Polskę, przydasz się Antosiu, a może i Stasiak dołączy? Szkoda, że go nie spotkałam, szkraba jednego...

Staśka mama posłała do kuzynów mieszkających w Tarnowie, tak ją błagał o pozwolenie, że w końcu uległa, a na drugi dzień przyszedł telegram od Poli. Stasiak nie chciał wracać, miastem się zachłysł, Pola była mu całkowicie obca.

– Jeszcze co? Całą wieś chcesz do Warszawy przenieść? – Matka wzruszyła ramionami. Przeleżałam się, że i mnie uniemożliwi wyjazd. Byłam jednak przygotowana na taką ewentualność, mogłam w każdej chwili uciec się do szantażu. Wiedziałam, że moja matka w wieku czterdziestu pięciu lat szykowałą się do ślubu z wdowcem, naszym sąsiadem Joachimem! Tyle u nas przesiadywał, oczywistym było, iż smoli cholewki, choć nie udało mi się jeszcze ich przyłapać na najmniejszej nawet czułości. Zresztą, czy moja matka zdolna była do jakiegokolwiek czułości? Nader wątpliwe. Joachim miał na wychowaniu czworo dzieci, szukał pomocy, moja matka nadawała się idealnie na macochę. Surowa, pracowita, świeżo owdowiała sąsiadka zza miedzy, czego można było więcej pragnąć? Joachim nie miał jeszcze czterdziestu lat, jednak nie znalazł w swoim roczniku chętnej do matkowania jego dzieciom, a dwoje z nich było upośledzonych. Latały po polach jak dzikusy, po nocach słyszałam, jak wyją, nie uśmiechało mi się z nimi zamieszkać, choć sam dom Joachima, murowany i piętrowy, bardzo mi się podobał. Tego wszystkiego Pola oczywiście nie wiedziała, kiedy ścisła mnie na pożegnanie. Matka podniosła się w końcu z krzesła, po to tylko, żeby na stojąco rzucić w twarz swojej siostrze jeszcze więcej przykrych słów.

– Nie wiem, jaką ty tam Polskę ze swoim komunistą szykujesz, ale u nas bieda jak przed wojną, ale i Polska przedwojenna. Jedź, wychodź za mąż, nic mi do tego. Antosi nie kuś, zostanie na wsi, w tej starej Polsce.

– Jadziu, nie rozstawajmy się w gniewie. – Pola stanęła naprzeciwko

swojej siostry, zgrabnym gestem pochwyciła jej dłoń, ale moja matka wyrwała się.

– Jedź Bronka – powiedziała na pożegnanie.

Zostawiła nas same pod czereśnią. Pola stała niezdecydowana, patrzyła za odchodzącą siostrą, potem spojrzała na mnie. Nie umiałam czytać z grymasu twarzy, mogło mi się zdawać, że zbiera jej się na płacz.

– Nie gniewaj się ciociu na mamę, martwiła się przez te wszystkie lata, teraz sama nie wie, co mówi – powiedziałam szybko.

– Przyślę po ciebie. Obiecuję. – Pola przytuliła mnie do siebie, poczułam jej drobne ciało, wyczułam drzenie gdzieś na wysokości płuc. Komicznie wyglądałam w swojej pocerowanej odświętnej sukience, ale zdobyły mnie białe rękawiczki od Poli, które jednak naciągnęłam na spalone słońcem, podrapane dłonie.

– Przyjadę do cioci. – Pocałowałam ją w policzek, który był tak delikatny jak jedwab.

Pola poszła sprężystym krokiem w górę w kierunku taksówki. Nie odprowadziłam jej, nie byłam gotowa na zbliżenie się do jej nieznanego, ale z pewnością eleganckiego świata, do którego wracała. Ponad rok czekałam na spełnienie obietnicy.

ROZDZIAŁ II

Od roku planowałam w praktycznych szczegółach moje niewychodzenie z domu. Polska, mimo wielkich pretensji, nie była nowoczesnym krajem, bez opuszczania domostwa nie można było funkcjonować. Trudno było przeciętnemu obywatelowi wyobrazić sobie życie bez wizyty w urzędzie, spotkania z niechętną światu panią w okienku. Obok wszelakich urzędów odwiedzało się regularnie osiedlowe sklepy spożywcze, pocztę, przychodnię, aptekę, no i oczywiście kościół. Ja nie byłam wyjątkiem, jak wszystkie „moherowe berety” dreptałam raz do roku na plebanię celem wniesienia opłaty na Zaduszki. Chciałam, żeby imię mojego zmarłego męża wyczytano w trakcie nabożeństwa wraz z innymi pomarłymi mężczyznami. Wdowy ofiarowały znacznie gorętszą miłość małżonkom po śmierci niż za życia, krzątały się przy porządkowaniu grobowców w ponurym tańcu, machały ścierkami, przelewały wodę z plastikowej butelki do doniczki, wymieniały wkłady zniczy, wielki harmider panował przy tych czynnościach. Wybierałam różne pory dnia, żeby się z tymi wdowami nie spotykać oko w oko, ale kiedykolwiek nie poszłam, one już tam były ze swoim wielkim sprzątaniami. Nigdy nie miałam poczucia, że odwiedzam mojego męża Waldemara, czy pielęgnuję jego pamięć, wysiadując na cmentarzu, dlatego byłam rzadkim gościem przy jego rodzinnym nagrobku.

Kościół katolicki wyznaczył naprawdę nazbyt wiele okoliczności, przy których trzeba było uiścić opłatę, bardzo rzadko w wysokości „co łaska”, jednak najdroższe na liście wydatków były pogrzeby oraz pośmiertne rytuały. Na wydatki związane z pochówkiem nikt nie szczędził, liczba wieńców rzucanych na świeży grób niosła komunikat, jak bardzo cierpimy, na szarfach złotymi literami składano wzniosłe deklaracje o dożgonnej pamięci, okazałość nagrobka miała podkreślić szacunek dla

zmarłej osoby. Kamieniarze w Polsce prosperowali wyśmienicie, moda na wymyślne nagrobki trwała w najlepsze, już nie fotografią, ale portretem zmarłego ozdabiano się płyty.

Interesowałam się trochę swoim własnym pogrzebem, aby moje dzieci nie musiały, gdy umrę, robić zrzutki, więc byłam na bieżąco. W parafii, gdzie pochowałam męża, trzeba było księdzu i kościelnemu wręczyć 800 złotych, zanim ruszą tyłek na cmentarz. Potem, jeśli się chciało wysłać duszę nieboszczyka na skróty do nieba, trzeba było opłacić codzienne msze święte, zwane gregoriankami. Przez miesiąc, dzień w dzień, ksiądz miał wyczytywać intencje za spokój duszy zmarłego, a wierni żarliwie się modlić i prosić Boga, aby Ten jak najszybciej podbił przepustkę do Wieczności. Nawet nie chcę myśleć, co dzieje się z duszyczkami zmarłych, których rodzin nie było stać na opłacenie całego miesiąca modlitw. Poniewierały się gdzieś pewnie pomiędzy niebem a ziemią, pomstując, że sobie nie opłaciły za życia gregorianek w parafii. Według taryfikatora mojej parafii, przyspieszony lot w kierunku spokoju wiecznego kosztował 1500 złotych. Nie wniosłam tej opłaty, ale dałam księdzu 1000 złotych akonto własnego pogrzebu, żeby w razie nagłego uderzenia fali inflacji, nie musiał prosić moich dzieci o dołożenie stówki czy dwóch. Trochę się zdziwił, ale pieniądze szybkim ruchem zgarnął, bez przeliczania wrzucił do szuflady. Miał taki sam, zamiatający gest, jak lekarz ordynator, który mojego męża obiecywał wyleczyć z raka. Tak samo zagarniał koperty, lądowały w szufladzie, zanim się człowiek zorientował, że w ogóle jakiś ruch został wykonany. Dobiłam targu z wieloletnim zeszłego lata, zamówiłam sobie *Te Deum* w ostatnią drogę i ubłagałam, żeby baby idące za moją trumną nie śpiewały: *Dobry Jezu, a nasz Panie, daj jej wieczne spoczywanie...* gdyż ta pieśń przygnębiała mnie jeszcze za życia, a co dopiero po śmierci.

Jacek Kubelski nadawał się wprost idealnie na mojego asystenta. Nieznośny był jako dziecko, ale lubiłam go właśnie za tę nieznośność. Kiedy ja się wprowadziłam do bloku, po śmierci Waldemara zmuszona opuścić jego dom rodzinny, rodzina Kubelskich mieszkała tam już od roku. Jacek miał skończone pięć lat, a jego siostra trzy. Często siedzieli

na klatce schodowej, jedli ciastka, lody, czasami nawet wyjadali coś z rondla. Zatrzymywałam się wtedy przy nich, pogawędzić jak równy z równym. Jacek był bardzo rezolutny, z wiekiem jego bystrość umysłu błysnęła dowcipem, ale nie stał się przemądrzały jak inne dzieciaki pyskujące w szkole i przekrzykujące się na podwórku. Lubiłam go, przypominał mi mojego syna Artura, kiedy ten był w jego wieku. Ich matka, Irena Kubelska nie cieszyła się moją sympatią. Była to kobieta chuda i wysoka, przypominała mi jakieś drzewo. Jej zawsze podkrążone piwno oczy osadzone były bardzo głęboko, jednak to cienkie wyregulowane brwi, niczym łuk triumfalny, szpeciły ją najbardziej. Nigdy się nie uśmiechała, czasami przy mówieniu ukazywały się jej porcelanowe zęby, nienaturalnie wielkie, sztucznie lśniące. Fryzurę miała Irena Kubelska od wieków jednakową, precyzyjnie ułożone ondulacją kasztanowe loki, przez które prześwitywała biała skóra głowy. W uszach dyndały złote kolczyki ozdobione rubinami, typowy wyrób radzieckiego jubilera.

Wyglądała na surową matkę i żonę, taką, która nigdy nie sprawia sobie żadnych przyjemności, nawet myślą. Pan Kubelski był jej przeciwnieństwem. Pogwizdywane modne melodie rozbrzmiewały na klatce schodowej, kiedy wracał z pracy w pogotowiu. Zdaje się, że był tam kierowcą. Jego żona pracowała w fabryce leków „Polfa”. Kubelski kłaniał mi się zawsze nisko, rzucił miłe słowo, zapytał nieraz o samopoczucie, ponarzekaliśmy na pogodę, mijając się na schodach. W czasie wymiany zdań pobrzękiwał wielkim pękiem różnych kluczy i kluczyków zawieszonych u szyi czerwonego, kudłatego diabełka. Miałam nieodparte wrażenie, że ten człowiek zawsze się gdzieś spieszy, robił wokół siebie zamieszanie, wprowadzał nerwowość, więc nie zajmowałam go długo pogawędką. Irena Kubelska rozmawiała ze mną niezwykle rzadko. Kiedy spotykałyśmy się przypadkiem, posyłała mi wymuszone moim spojrzeniem suche „dzień dobry”, po czym uciekała do swojego mieszkania. Co niedziela, a także we wszystkie święta, matka prowadziła dzieci do kościoła, trzymając je mocno za rączki. W drodze do świątyni poprawiała im ubranka, grzebała w ich fryzurach, szturchała, przypominając, żeby

prostowali plecy, nie rozglądali się na boki, nie stykali łokciami. Jackowi mówiła: „Nie garb się”, a Agacie: „Nie szuraj butami”. Nie słyszałam, żeby z nimi normalnie rozmawiała, wydawała dyspozycje głosem konduktorki pociągu. Istniało jednak spore ryzyko, że kiedyś się zbuntują, pod czuprynymi czaiła się niezgoda na ten matczyzny reżim, póki byli mali, podporządkowywali się bez szemrania. Nie wiem, na jakiej glebie wyrosła osobowość matki Jacka i Agaty, ale nie był to społeczny czarnoziem. Mieszkali bezpośrednio nade mną, a cienkie ściany nowoczesnego budownictwa PRL-u przepuszczały odgłosy życia codziennego tej typowej polskiej rodziny 2+2. W kalendarzu zaznaczyłam dzień, kiedy ojciec Jacka i Agaty wyszedł z domu „po papierosy”, i nie wrócił. Był to dzień po Pierwszej Komunii Świętej Agaty.

Pogoda tej niedzieli zapisała się w mojej pamięci jako wyjątkowo obrzydliwa. Niebo pękło nad naszą dzielnicą, z chmur zaczęła wylewać się woda, ogromne ilości, cały wodospad lał się wielkim strumieniem. W samo południe deszcz nagle ustał, przejaśniło się, więc zdecydowałam się wyjść na balkon, oskubać stłuczone deszczem liście kwiatów. Wokół bloku, na trasie do kościoła, gdzie dzieciaki miały zadeklarować swoją wierność Kościołowi i przyjąć po raz pierwszy Komunię, utworzyły się brudne kałuże. Czarna maź kleiła się do butów, rozbryzgiwała przy każdym, najdelikatniejszym choćby kroku. Obserwowałam z okna, jak dziewczynki szły, unosząc w górę swoje przepyszne białe kreacje komuniyjne. Stąpały z wielką ostrożnością i namaszczeniem, a nie było to łatwe, ponieważ ich ścieżka usłana była małymi bajorkami niczym polemami. Śledziłam uważnie ten szacowny pochód z balkonu, zastanawiając się, czy dziewczynki i chłopcy bezpiecznie doniosą do kościoła tę nieskazitelną biel? Może by im się to nawet udało, gdyby nie Jacek. Wyjechał zza rogu na swoim czerwonym górskim rowerze i gwałtownie z wielką prędkością przejechał obok dziewczynek, które niczym czaple kroczyły po wąskim chodniku. Brudna woda trysnęła po obu stronach przedniego koła roweru, ochlapując dziewczynki w wianuszkach, białych rękawiczkach, koronkowych balowych sukniach. Najgłośniej krzyczały matki, których kolorowe, elegancko odprasowane garsonki również

zostały pochłapane błotem zmieszany z kamyczkami i skoszoną dzień wcześniej trawą.

Jacek tylko raz obejrzał się przez ramię, najwidoczniej zadowolony ze swojego dzieła zniszczenia, popedałował przed siebie. Nie wiem, jaka spotkała go za to kara, ale znając jego surową matkę, dostał za swoje. Kilka lat później dowiedziałam się, dlaczego tak się brzydko zachował. On już wtedy wiedział, że następnego dnia ojciec porzuci ich na zawsze. Mama z Agatą poszły z rana do cukierni odebrać tort biszkoptowy na przyjęcie, Jacek objeżdżał osiedle na swoim rowerze w poszukiwaniu czegoś ciekawszego niż przygotowania komunijne.

– No i pani Tosiu, nagle zachciało mi się do kibla... – opowiadał mi o zdarzeniu sprzed lat – ...przycisnęło mnie, że już nie było zmiłuj. Wchodzę do mieszkania, jak zawsze cicho, bo mama uczulona była na trzaskanie drzwiami, od progu widzę, że telefon przeciągnięty jest do łazienki, a w łazience światło się pali. Podszedłem pod drzwi, zacząłem nasłuchiwać. Położyłem się na podłodze, bo nasze drzwi do łazienki mają dziurki u spodu, wie pani, żeby się dwutlenkiem węgla nie zaczynać chyba, bo przecież nie po to, żeby podsłuchiwać? Kabel szedł pod drzwiami, tam duża szpara była. No i tato, takim jakimś dziwnie zmienionym głosem, jakby Lindę udawał czy innego aktora, gadał do słuchawki takie rzeczy, że mi się stopy w skarpetce zapociły. Co plótł? Raczej świństwa, tyle na ten temat. Chciałem stamtąd uciec, ale mnie kompletnie sparaliżowało. Leżałem jak skóra z tygrysa przed kominem! Kiedy już skończył świnić, to dopiero nowina gruchnęła! Tato tej słuchawce przysięgał, że jeszcze tylko jeden dzień, jeszcze żeby tę cholerną Komunię odbębnić i będą razem. Na zawsze! Wjechałem w to błoto, z żalu, ze złości, ale najbardziej to z bezsilności.

„Po papieroski wyskoczę Ireńko. Zaraz wracam”, miał powiedzieć kierowca Kubelski do swojej żony laborantki, zanim zniknął z jej życia. Istnieje taki gatunek mężczyzn, którzy nie potrafią obwieścić swojej żonie w kulturalnej rozmowie, że odchodzą do innej kobiety, tylko uciekają jak przestępcy z miejsca zbrodni. Pewnie, że taka szczerza rozmowa

z małżonką to nic przyjemnego, tym bardziej łatwego, szczególnie jeśli ma się zamiar porzucić wraz z żoną małe dzieci. Kubelski stchórzył, zmył się bez słowa wyjaśnienia. Irena zgłosiła jego zaginięcie na policję, porzucone tak nagle dzieci zachowywały się w tej całej niepokojącej sytuacji niezwykle spokojnie i godnie. Z mieszkania nie dochodziły żadne dźwięki, u mojego sufitu wisiała złowroga cisza, którą może wywołać tylko jakaś rodzinna tragedia. Dla osób wtajemniczonych te kilka dni były przesiąknięte atmosferą oczekiwania, aż w końcu dzielnicowy przyszedł do mieszkania Ireny Kubelskiej, miętolać węża, zameldował jej, że pan Kubelski żyje, ma się dobrze, serdecznie ją pozdrawia z Gdańska, gdzie mieszka obecnie ze swoją nową kobietą, trzydziestoletnią Jolantą, matką rocznej córeczki. Dzielnicowy Oberek nie był porządnym człowiekiem, a na dodatek pasjami zwierzał się swojej żonie, zdradzając rozdziały akt objętych tajemnicą służbową. Kobieta, z niezdrowym rumieńcem na okrągłej jak księżyc w pełni twarzy, rozgadała historię rozstania Kubelskich na całe osiedle. Rozwlekła ich najstarsanniej skrywane tajemnice po ławeczkach, windach i sklepach osiedlowych. Ja, która nie uczestniczyłam w plotkarskim życiu naszego bloku, również usłyszałam sporo na ten temat. W tamtych dniach Irena Kubelska wychodziła z klatki zawinięta chustką tak szczelnie, jak kiedyś jej córka chorująca na świnkę. Nie wiem, czy cierpiała, gdyż porzucił ją ukochany mężczyzna, ojciec jej dzieci, żywiciel rodziny, ale na pewno truchlała ze wstydu. Te nasze polskie bloki mają to do siebie, że brzydzą się anonimowością. Między blokami odbijają się jak piłki od ściany plotki, pomówienia, domysły, posądzenia, surowe sądy, nie sposób w samotności przeżyć cokolwiek lub zachować choćby namiastkę godności. Tropiły Irenę Kubelska wścibskie oczy sąsiadów, prowadziły od klatki do przystanku autobusowego, od kiosku do sklepu, od placu zabaw do kościoła i z powrotem. Mogłam jej nie lubić wcześniej, ale po tym co zaszło, to jej tylko współczułam.

Kiedy Jacek był jeszcze całkiem mały, targał dzielnie moje siatki z zakupami po schodach, wyprzedzał mój krok i moje myśli. Zuzanna zażartowała kiedyś, że Jacek zachowuje się w stosunku do mnie jak paż.

Zupełnie nie pojmowała, jakie wspólne tematy do rozmów mogą mieć stara baba i młodzieniec? Swojej matce Jacek również bez ustanku ganiał do sklepu, a była to kobieta wielce zapominalska, wciąż jej czegoś brakowało w trakcie gotowania. Gdy tylko Jacek wyszedł na podwórko, żeby sobie pojeździć na tym swoim górskim rowerze, matka otwierała okno, drąc się wniebogłosy: „Jacek! Do domu! Ale już!” A Jacek nigdy nie odkrzyknął: „Zaraz!” jak miały w zwyczaju inne dzieci, tylko szedł posłusznie na górę, po chwili zbiegał po schodach z siatką oraz małą portmonetką, w której dźwięczały drobne. Czasami pukał do moich drzwi, pytał, zanim otwierałam:

– Sasiadko, trzeba pani czegoś ze sklepu? – Dawałam mu symboliczne zlecenia, zawsze prosiłam, aby zatrzymał sobie złotówkę czy dwie za fatygę, ale grzecznie odmawiał. Nie chciał, abym myślała, że pomaga mi z chęci zysku.

Dwa lata temu, kiedy po raz pierwszy przyszła mi do głowy myśl, aby zaprzestać wychodzenia z domu, spotkałam Jacka przy naszej niedziałającej windzie. Rzadko go w tym okresie widywałam, ale pewnie dlatego, że coraz niechętniej sama wychodziłam z domu. Spojrzałam w górę na schody, potem na Jacka. Bez słowa wziął ode mnie torbę pełną bananów, przejrzałych cytryn z przeceny. Trzy kilogramy w ekologicznej, parcianej torbie nie miało wjechać dziś windą na czwarte piętro, ale wdrapać się na piechotę. Przyjrzałam się uważniej pomagającemu mi młodzieńcowi. Wydoroślał i zmężniał. Z dnia na dzień robił się coraz bardziej podobny do swojego ojca, którego nie widziałam od pamiętnej Pierwszej Komunii Agaty. Jacek Kubelski miał wesole oczy po ojcu, jedną zmarszczkę na czole po wiecznie zatroskanej matce, z charakteru podobny był do mojego Artura.

Kiedy spotkaliśmy się przy nieczynnej windzie, dotarło do mnie, że jest już całkiem dorosły. Być może stanowił o tym gęsty zarost, może słuszny wzrost, w każdym razie przeraziło mnie, jak czas szybko gna, jak się z nami nie cacka. Marudziłam przy zepsutej windzie, przestępowałam z nogi na nogę, próbowałam uruchomić ją swoim gniewem, ale ani drgnęła. Jacek jak zwykle rzucił kilka śmiesznych powiedzonek, złapał

moją siatkę z zakupami i ruszył naprzód krokiem sportowca.

– Szkoda się denerwować pani sąsiadko. To co, spacerkiem na górę? – zapytał tonem, jakby mnie zapraszał na wystawną kolację.

– Ale powolutku Jacek, coś mi dzisiaj w kolanach strzyka – powiedziałam. Odsapnęłam, ruszając wolno niczym czołg.

Winda nie działała średnio trzy miesiące w roku. Wyprodukowana w Niemczech, ale dziadowska była zupełnie po polsku. Narzekałam na tę windę, Jacek mi grzecznie przytakiwał, człapaliśmy wolno pod górę w rytm naszych słów. Na trzecim piętrze zrobiliśmy sobie przystanek. Jacek wyprzedził mnie nieco, usiadł na szczycie schodów, czekając, aż do niego dołączę. W tym czasie sprawdzał swoją komórkę, bo przecież telefony komórkowe ważniejsze były niż woda i powietrze. Podkpiwałam sobie z jego miłości do telefonów, zgadzał się ze mną, że jest to obsesja. Przyjrzałam mu się uważnie, kiedy tak wdrapywaliśmy się na upragnione czwarte piętro, gdzie mieszkałam. Zapowiadał się na przystojnego mężczyznę, takiego, co to nigdy nie będzie miał problemu z kobietami, będzie sobie w nich przebierał jak w ulegąłkach. Agata podobna była do matki, choć panuje przekonanie, że pierwszy syn zawsze do matki jest podobny, a córka do ojca.

Kiedy dołączyłam do niego, zatrzymałam się, żeby choć chwilkę odpocząć.

– Powiem ci Jacek, nie starzej się. Starość to potworna rzecz. – Oparłam się o poręcz. Przez chwilę uspokajałam oddech, latem mężczyłam się znacznie szybciej.

– Ale tam, gdzie pani do starości, pani Tosiu! – ofuknął mnie.

– Nie ma nic interesującego w starości – ciągnęłam dalej. – Kiedyś po schodach skakałam jak sarenka, teraz dźwig by się przydał. Kiedy to się stało? Nawet nie zauważyłam, jak nadsięgnęło to podłe niedołęstwo.

Pogroził mi palcem, nie lubił, jak mówiłam tak o sobie.

– Jak patrzę na panią, to się wcale nie boję dojrzałego wieku. Pani taka rześka i bystra. Schody wykańczają wszystkich, mnie też nogi bolą, niech się pani sąsiadka nie przejmuje. Z drugiej strony, to dlaczego pani mieszka tak wysoko? Na parterze mieszkają Bednarscy, może by się

zamienili na mieszkania? Oni mają tylko dwa pokoje, a pani trzy, to jeszcze by coś dopłacili... Już kiedyś o tym myślałem, przecież te schody to jakiś kurczę, koszmar jest, winda złom, oni młodzi, mogliby śmigać po schodach bez problemu.

Sama się kiedyś nad tym zastanawiałam, ale odkąd powzięłam postanowienie, że wychodzić z domu nie będę, wysokość piętra przestała mieć znaczenie, mogłam nawet na dziesiątym mieszkać. Co najwyżej, jak przyjdzie do wynoszenia zwłok, bo umrzeć też miałam zamiar w mieszkaniu, to się panowie trochę zmęczą po schodach, targając ciało na noszach.

– Jacuś, ty się nie martw o starą babę, jakoś sobie poradzę. W moim wieku to już nawet nie wypada przeprowadzek urządzać, chyba, że na cmentarz... – powiedziałam.

– Jezu, no co pani? Po co takie rzeczy gadać? – denerwował się. Musiałam przestać wywoływać takie ponure tematy. Zapytałam go więc o Agatę, jego siostrę. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ją ostatni raz widziałam. Jako dziecko była bardzo cicha, rzadko uśmiechnięta, chodziła wolnym krokiem ze spuszczoną głową, kiedy usiłowałam z nią rozmawiać, sprawiała wrażenie przestraszonej. Jak podrosła, omijała mnie z daleka, ale nigdy nie odmówiła pomocy, kiedy jej brata nie było pod ręką.

– Nie widuję w ogóle Agatki. Wyjechała gdzieś? – zapytałam.

Szliśmy wolno, schodek po schodku. Jacek przerzucił sobie moją torbę przez ramię. Nie odpowiedział od razu. Poczulałam, że w jego sprawach rodzinnych nie panuje idealny porządek.

– Nie wyjechała – powiedział z takim przenikliwym smutkiem w głosie, że aż się zatrzymałam. On też się zatrzymał, stojąc trzy stopnie wyżej ode mnie, spojrzeliśmy na siebie. Mały Jacek wydał mi się dziwnie zgaszony, jego roześmiane oczy nagle zmieniły kolor na szarozielony. Nie trzeba było psychologa, żeby odgadnąć, że coś go dręczy.

– Choruje? – zapytałam, uważając, żeby jakaś wścibska nuta nie wybrzmiała w moim głosie. Zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

– Obiecałem matce, że nie będę o tym trąbił, ale pani to chyba powiem. Nazywa się to hikikomori – powiedział.

– Nie będę udawać, że rozumiałam takie słowo.

Ruszył nagle z miejsca, ja za nim. Doszliśmy w milczeniu do moich drzwi. Wyrzebałam klucze z kieszeni swetra, wpuściłam nas do mieszkania, umordowana wsparłam się o szafę. Jacek poszedł prosto do kuchni, położył torbę z zakupami na blacie, umył ręce w zlewie pod strumieniem zimnej wody i wypakował produkty. Rozbieranie w przedpokoju zajęło mi dobrą chwilę. Gdyby nie myśl, iż niedługo skończy się to bezsensowne wędrowanie po świecie, sklepach, piętach, zapadłabym na jakąś nowoczesną chorobę, jak na przykład depresja! Odwiesiłam płaszcz na wieszak, wsunęłam pantofle na stopy i poszłam do kuchni.

– Zmęczona jestem jak koń po westernie – powiedziałam do Jacka. Klapnęłam na taboret zupełnie bez sił w nogach.

– Pani to ma te swoje powiedzonka... – Składał moje garnki w zlewie. Wydawało się, że odsunęliśmy się dosyć daleko od tematu ledwie rozpoczętego na schodach. Nie zachodził do mnie ostatnio, nawet mi przyszło do głowy, że mnie unika, nie wiedziałam tylko z jakiego powodu.

– Harakiri? To słyszałam, ale to hikikomori? Nie obito mi się o uszy. Musisz mi opowiedzieć, na co Agatka choruje. Tak coś podejrzewałam, że może... bo nie było cię tu dawno.

– Problem mamy, pani Tosiu, nie chciałem się pani na głowę zwałać z tym wszystkim – odparł.

Stał pośrodku kuchni, patrzył na cytrusy gnijące w ozdobnej misie. Przebrał podgniłe, wrzucił je do śmietnika, robiąc miejsce świeżym, jakie przyniosłam z wyprawy do warzywniaka. Poukładał je starannie w nowoczesnej kompozycji.

– Pamięta pani, żeby pomarańcze i cytryny sparzyć wrzątkiem przed jedzeniem? W telewizji mówili, żeby cytrusów nie trzymać w lodówce, bo soki wysychają.

Wyszedł na chwilę z kuchni, wrócił bez swetra. W mieszkaniu panowało przyjemne dla starszej osoby ciepło, ale dla młodzieńca duszny

ukrop. Nie dało się skrócić kaloryferów, musiały grzać na całą moc. Centralne to centralne. Jacek usiadł przy stole.

– Właśnie mija rok, odkąd Agata zamknęła się w swoim pokoju – zaczął, malując kółka palcem po obrusie. – Nie wychodzi, czasami nawet sika do miednicy. W dzień śpi, a w nocy żyje w sieci. Wie pani, w Internecie. Zamurowało ją, nie ma z nią kontaktu. Przyszła do domu pewnego dnia, najzwyczajniej w świecie zabarykadowała się w pokoju. Mama myślała, że jej przejdzie, że to taka chwilowa depresja, może ją chłopak rzucił albo pokłóciła się z koleżanką, tymczasem dni mijały, a Agata wycofywała się coraz bardziej i zanim żeśmy się zorientowali, już była w swoim świecie internetowym, z tamtymi ludźmi. Dla nas nie żyła.

– Ta choroba, hikikomori? Japońska? – Wstałam z krzesła i podeszłam do zlewu. Nalałam zimnej wody do czajnika.

– Opisano ją w Japonii jako syndrom skrajnego wycofania społecznego. Już wszystko przeczytałem na ten temat, jestem ekspertem. Agata nie odezwała się do nas słowem od roku. Kiedy mama wtargnęła do jej pokoju, żeby posprzątać, to na jej oczach złamała oprawkę plastikową od długopisu i tak się poharatała po nadgarstkach i szyi, że matka mało zawału nie dostała. Bała się już potem wchodzić do jej pokoju, więc tylko pod drzwiami stawiała tackę z jedzeniem. Jak wezwała lekarza, to Agata przestała jeść. Chyba z tydzień tej tacki nie ruszyła, a lekarz jak przyszedł, tak poszedł, nawet jej nie widział. Głupi był, zalecił, żeby jej Internet wyłączył, to mama mi kazała wyłączyć. Wyłączyłem, siostra obcięła sobie włosy, położyła na tacce z jedzeniem, wrzuciła do talerza z pomidorówką. Ma w pokoju nożyczki, jak tylko próbowaliśmy coś zrobić, to się cięła, ale tak porządnie, do krwi. Po dwóch dniach podłączyłem router, chcąc nie chcąc, oddałem jej świat Internetu, bo baliśmy się, że się zabije. Codziennie matka drży, że znajdzie ją martwą w pokoju, nawet nie będziemy wiedzieć kiedy, ona wychodzi do toalety tylko nocą, jak śpimy. Czekałem na nią kiedyś przy łazience, chciałem pogadać, ale jak mnie zobaczyła, przystawiła sobie do gardła nożyczki, narobiłem w gacie i uciekłem. Ona się zabarykadowała w pokoju, wierzy pani, że ja

jej w ogóle nie widuję? Mama nie chce jej oddać do zakładu, boi się, że wtedy już oficjalnie będzie mieć córkę wariatkę. Ja znalazłem lekarza, a nie było łatwo, pogadałem z nim, objaśnił mi problem, a resztę doczytałem w Internecie...

– Jacek... – przerwałam mu – ty twierdzisz, że Agata rok nie wychodzi z pokoju i milczy? Jezu, co to za choroba cywilizacyjna! Internet jej w głowie pomieszał?

– W Internet to ona uciekła przed realiem. Tam w sieci jej wszystko wychodzi, gra w gry, ma przyjaciół, panuje nad wszystkim, czuje się bezpieczna, ale tylko tam, nie między ludźmi.

Jacek objaśniał mi cierpliwie, co stało się z jego siostrą. Słuchałam i truchlałam, ale jakaś podła świnka w mojej głowie zaczęła chrząkać, że to pani Ireny wina, bo tak te dzieciaki musztrowała od małości. Czasami pokrywka musi się unieść, kiedy para zbyt mocno napiera. Jakże w takiej sytuacji mogłam go poprosić o pomoc przy płaceniu rachunków przez Internet? Jak mogłam mu zakomunikować, że sama rezygnuję z wychodzenia z domu, kiedy jego siostrę dopadła taka kliniczna melancholia? Uciekłby ode mnie. Dwie osoby w życiu tego młodzieńca decydujące się na izolację, to o dwie za dużo. Musiałam albo wybrać lepszy moment, albo nie powiedzieć mu całej prawdy. Postanowiłam sobie jednak nie zawracać tym głowy w takiej chwili, kiedy Jacka przytłaczały problemy tak dramatyczne.

– A jak to się leczy? – zapytałam, podając nam herbatę.

– Bardzo trudno. Znalazłem terapeutę, który podszyje się pod jej znajomka w sieci, będzie z nią grał w jej ulubione gry, zdobywał zaufanie, będzie ją chwalił, słodził, aż ją w końcu może przekona, że powinna się leczyć w jakimś specjalistycznym ośrodku. Taki jest plan, koleś wstępnie się zgodził, nawet za darmo, w ramach eksperymentu. Mama nic o tym nie wie, przeciwna jest nowoczesnym metodom terapii. Ona wolałaby, żebym przyprowadził egzorcystę, nawet coś mi napomknęła, bo według niej, Agata jest opętana.

Tak się nagle zrobiło cicho, jakby sam lucyfer stanął pomiędzy nami. Nieprzyjemny dreszcz przeszedł mi po plecach. Jacek niczego nie

zauważył, mieszał herbatę, raz po raz próbując, czy jest wystarczająco słodka.

– Gdybyś potrzebował pieniędzy... – zaczęłam nieśmiało.

– Nie, pani Tosiu, on obiecał leczyć za friko, ale czy to się uda? Ja swojej siostry nie poznaję, to już jest inna osoba. Nie chce przyjmować leków na depresję, nic nie chce, tylko żeby ją zostawić w spokoju przed komputerem. Taki stan może trwać latami. Mama już chyba też sobie zdaje sprawę, że Agata nie wyjdzie z pokoju tak jak gdyby nigdy nic i nie usiądzie z nami nad talerzem rosolu. Ale niech pani nikomu o tym nie mówi...

– Jacku, a komu ja bym miała opowiadać? Zastanawiam się tylko, czy ta diagnoza jest trafna? Może jej coś innego dolega? – powiedziałam spokojnie.

– To nie jest zwykła depresja. Zajął mi kilka miesięcy, żeby to ustalić. Mało jest specjalistów w Polsce od tego, psychoterapeutów uzależnień od mediów cyfrowych. Znalazłem fajnego kolesia w Krakowie, dał mi trochę nadziei, przyjął mnie u siebie w domu, chyba mu się żal mnie zrobiło, jak tak go maltretowałem e-mailami. Ale pani rozumie, taka nowoczesna choroba, to ponad siły mojej mamy, ona już ma dość, jak te tacki stawia pod drzwiami, ciągle nasłuchuje, czy Agata jeszcze żyje.

Jacek wstał nagle od stołu, z filiżanką w dłoni podszedł do okna.

– Mówię pani, nie jest lekko. – Stał plecami do mnie, zapatrzony w niebo.

– Domyślałam się dziecko. Bardzo bym chciała pomóc, ale nie wiem jak? Jestem już taka stara, że ledwie rozumiem znaczenie słowa Internet, a to dzięki tobie, boś mi kiedyś objaśnił, jak działa – powiedziałam, wzdychając. Niby rozumiałam dzisiejszy świat, jego zagrożenia i pułapki, ale kiedy słuchałam relacji Jacka, to jakbym jakiś program oglądała w telewizji. Nierealne problemy zagnieżdżyły się piętro wyżej, realny był Jacek, stojący pośrodku mojej kuchni.

– Mnie się dosłownie niedobrze robi, jak słyszę Internet i sieć. – Mówiąc to, potargał czuprynę lewą ręką i klepnął lekko w policzek,

jakby się chciał przywołać do porządku. Odstawił pustą filiżankę do zlewu, zaczął zabierać się do zmywania. Zaprotestowałam. Nie miałam nic innego do roboty, jak tylko przepłukać te dwie filiżanki leżakujące w zlewie, zrobić sobie grzankę na kolację, zakazałam mu zmywania u mnie garów. Nie posłuchał, szybkimi, zwinnymi ruchami umył naczynia. Kiedy wychodził, zagadnęłam go niewinnie.

– Wpadnij kiedyś do mnie na dłuższą pogawędkę, bo mam prośbę, ale to nic pilnego. A co do twojej siostry, wiem, że z takim bratem to Agata wyzdrowieje, będę cię wspierać. Gdyby coś trzeba było... żebyś mi się nigdy nie wahał przyjść poprosić o cokolwiek.

– Wpadnę w przyszłym tygodniu – obiecał. – Muszę iść, mama czeka na proszek do pieczenia.

Poszedł, nie słyszałam nawet, jak zamyka drzwi. Mnie do końca dnia pozostawały jeszcze dwa zadania: zjeść kolację oraz obejrzeć *Szkło kontaktowe*, pośmiać się z tych pań Teresek, Helen, Danut, które dzwoniły do programu, nie miały nic do powiedzenia, jak tylko skrzeczeć i piszczeć podniecone faktem, że się w ogóle dodzwoniły! Potem jeszcze przez pół minuty kadyły temu Sianeckiemu czy temu drugiemu, powtarzając jedna przez drugą, jacy oni świetni, jak dostojnie siedzą na fotelach, uwodząc kolorem skarpetek. Ich czas mijał, więc kończyły pobyt na antenie albo pochwałą prezesa Kaczyńskiego, albo jego krytyką. Nudzia-ry przebrzydłe. Ludziom się wydaje, że kogoś poza nimi interesują ich opinie czy poglądy, uparcie starają się uraczyć świat swoimi przemyśleniami. Dzwonią do telewizji, do radia, piszą listy, wystają pod kioskami, wysiadują na ławkach osiedlowych, opowiadając, co sądzą, jak im się to czy to nie podoba. Lubię myśleć, że nigdy taka nie byłam, a w moim wieku nie ma szans, że się taką stanę.

Jacek nie przyszedł do mnie następnego tygodnia, jak obiecał, ale dopiero trzy miesiące później, i miał tragiczne wiadomości.

ROZDZIAŁ III

Zuzanna nie przyszła do mnie przez cały tydzień, tak się wściekła. Dobra była ta moja córka, ale mało tolerancyjna. Co nie mieściło się w jej głowie, nie mieściło się nigdzie. Nie przestawałam się dziwić, intensywnie zastanawiać, jakimi to drogami moja córka szła przez życie, że dotarła w takie nieciekawe i sztywne miejsce, gdzie tylko jej racje panują. Przecież my z Waldemarem nie posiadaliśmy ciasnych umysłów, a nawet wręcz przeciwnie, mogliśmy służyć za wzór tolerancji. Jak na tamte czasy oczywiście. Zuzanna chodziła z linijką, w przenośni i dosłownie, wszystko nią odmierzała, co się nie mieściło, odcinała nożyczkami lub wręcz odrąbywała siekierą. Szalenie trudno się z nią rozmawiało, bo od razu napadała na człowieka z głośnym słowem, wyszydzała inne poglądy i co było wręcz nie do zniesienia, wymieniała się ostentacyjnie porozumiewawczymi spojrzeniami ze swoim mężem. Nie byli w tym dyskretni, nawet mało bystry obserwator wychwytywał te spojrzenia ponad głowami towarzystwa, wymianę sygnałów wyrażającą nic innego jak tylko dezaprobatę.

Ja najczęściej ulegałam presji mojej córki, szczególnie ostatnio, gdyż brakowało mi już sił. Raz postawiłam się buńczucznie, dziesięć lat temu uparłam się, aby lecieć na pogrzeb Poli do Anglii. Byłam jej to winna, tym bardziej że nie zapowiadało się, iż zjawią się tłumy by odprowadzić Polę Allen w ostatnią drogę. Dobrze, że pojechałam, przynajmniej na pogrzebie było nas okrągłe dziesięć osób, z tego trzy pracownicy opieki społecznej oraz ksiądz z pomocnikiem. Pozostałe cztery to sąsiadka z niedorozwiniętą umysłowo córką oraz pasierb z synem.

Polecałam na pogrzeb Poli i nie spotkał mnie żaden kataklizm przewidywany przez moją córkę Zuzannę. Nikt mnie nie okradł, nie zgubiłam

się na lotnisku, nie wywróciłam na schodach ruchomych, a nawet nie musiałam dźwigać, bo dobrzy ludzie pomogli. Wtedy też była na mnie zła, przez kilka dni karała milczeniem, ostentacyjną nieobecnością w moich progach. Mógłby kto pomyśleć, że to jakaś próba sił między nami.

Artur po powrocie z Anglii tylko zatelefonował, nie znalazł czasu na wizytę, czego nie miałam mu za złe. Jak zawsze wypytał mnie najpierw o samopoczucie, potem delikatnie nawiązał do drażliwego tematu. Potwierdziłam, że nic się w tym względzie nie zmieniło, a syn sąsiadki z góry, Jacek, uruchomił moje płatności w Internecie, abym mogła zza jego pleców obserwować, jak pieniądze płyną wprost z banku ING do zakładu energetycznego, do spółdzielni, do PZU. Mój Boże, jakie sprytnie są te komputery! Wielka szkoda, że mój mąż Waldemar nie dożył dni, kiedy w kilka sekund następuje komunikacja z całym światem za pomocą małego urządzenia, doceniłby taki wynalazek, przyuczyłby się do jego obsługi, nie to co ja. Nie usiłowałam objąć umysłem zawiloci działania komputera, wystarczała mi świadomość, że coś takiego mam na biurku i mogę w każdej chwili to włączyć, połączyć się z dowolnym miejscem na ziemi. Czułam się ważna, siadając przed ekranem komputera, choć nigdy nie próbowałam sama się z nim zmierzyć, moje stosunki z ekranem odbywały się zawsze w obecności Jacka. Nabierałam pewności siebie, stawałam się coraz śmielsza w życzeniach, co jeszcze ma nam wyświetlić ekran. Cichaczem wyobrażałam sobie, że gdzieś tam w środku siedzi jakiś tajemniczy pan i wysyła te informacje, o jakie proszę, steruje tym, co trafia na mój ekran, oraz że ten mądry pan mnie zna. Był to pewnie absurd, tylko tak mogłam sobie wytłumaczyć działanie Internetu. Świat i jego odkrycia pędziły do przodu, a my, ludzie starej, żelaznej daty zostawaliśmy w naszych powojennych przytulnych mieszkankach, udając, iż rozumiemy, co się wokół nas dzieje.

Artur wprawdzie słyszał o Jacku Kubelskim już wcześniej, ale nie darzył go zaufaniem, więc kiedy mu oznajmiłam, że to właśnie on będzie moim sekretarzem, nie dość, że wtajemniczonym to jeszcze upoważnionym, zdenerwował się nieco. Wypytał, z zachowaniem pozorów

obojętności, czy aby ten młodzieniec wywiąże się solidnie z zadań? Czy mnie nie zawiedzie? Moja córka Zuzanna, kiedy dowiedziała się o roli, jaką Jackowi powierzyłam w moim nowym życiu bez wychodzenia z domu, nakrzyczyła na mnie, gorzej jeszcze niż na uczniów w szkole. Cała się skurczyłam od tych jej podejrzeń.

– Żeby on mamie jakiejś krzywdy nie zrobił – grzmiała w słuchawkę, kiedy w końcu do mnie zadzwoniła po dwóch tygodniach zawieszania stosunków. – Tak go mama beztrąsko do domu wpuszcza? Żeby się potem ta wasza dziwna znajomość nie znalazła w *Uwadze TVN*. Mało to się słyszy historii o takich cwaniaczkach, co naciągają staruszki na pieniądze, wyłudniają, a czasami nawet mordują...

– Zuziu, znam Jacka od dziecka, nie wygaduj bzdur. Z dobrego serca mi chłopak pomaga...

– No nie wiem, nie wiem... trzeba mu się lepiej przyjrzeć...

Nie miałam zamiaru przyglądać się Jackowi, wszystko, co mnie interesowało, już o nim wiedziałam. Zuzannę wywiodłam w pole, opowiadając o swojej bezsenności oraz nasilających się kłopotach ze stawami. Szybko dała spokój dochodzeniu w sprawie Jacka. Rozmowa z Arturem również zakręciła się szybko wokół innego tematu.

– Miałeś czas dowiedzieć się czegoś w sprawie sprowadzenia prochów ciotki Poli do kraju? – przypominałam mu po raz kolejny.

– Mamo, obiecałem, to się tym zajmę, ale nie w tej chwili. Błagam mamę, nie teraz...

– Zawsze tak mówisz, od lat to samo. Chciałabym mimo wszystko dożyć dnia, kiedy Pola wróci do kraju. – Uderzyłam w rzewną nutę. Artur nie dał się sprowokować, zawsze kiedy usiłowałam go postraszyć swoją rychłą śmiercią, zbywał mnie. Co innego Zuzanna, na nią to działało, wystarczyło wspomnieć, że stoję nad grobem. Bała się mojej śmierci bardziej niż ja, a przecież osiemdziesięcioletnia matka ma prawo zbierać się powoli na tamten świat, bez poczucia winy, że osieroci swoje dzieci.

– Obiecałem i słowa dotrzymam, ale teraz to nie jest dobry moment. Mamo, ja właściwie dzwonię w innej sprawie, żeby uprzedzić. Lila do

mamy zadzwoni, nie chcę psuć niespodzianki, ale zakomunikuje datę ślubu. Bardzo jej zależy, żeby jej babcia była obecna. – Artur powiedział nowinę.

– Już zepsułeś niespodziankę! Nawet nie wiedziałam, że Lila ma narzeczonego! Podaruję jej ładny prezent ślubny, obejdzie się bez mojego kuśtykania po kościele. Nie będę im sprawiać kłopotu, musieliby mnie usadzić na końcu stołu, blisko toalety, przy jakiejś innej babci, żebyśmy mogły sobie porozmawiać o chorobach czy wojnie, jak młodzi pójdą tańczyć. Nie, dziękuję!

– Ale mama uparta jest! Zuzannie będzie przykro, Liliannie na pewno również, niech mama się zastanowi, dobrze? – Artur przemycił swoje pretensje w bardzo elegancki sposób. Słyszałam, jak przekłada na biurku papiery i szura szufladami, ostre szpilki sekretarki stukały gdzieś w pobliżu jego telefonu.

– Bez dramatu synu, bez dramatu. Myślę, że się ucieszą, że będą mieli o jeden kłopot mniej. Jak duże będzie to wesele? Za kogo Lila wychodzi? Czy ja go znam?

– No, to już ona sama opowie, ja nie chcę się mieszać ani tym bardziej wypowiadać. Zuzanna mamie nie wspominała?

– Zuzanna ma w zwyczaju filtrować informacje z jej życia, nie wiem, czy jestem niegodna, czy też boi się, że będę miała coś niestosownego do powiedzenia?

– W każdym razie – Artur ziewnął – niech mama to sobie jeszcze przemyśli. Wpadnę w niedzielę, może nawet Oktawia ze mną się wybierze. Jestem taki zmęczony, gnam od kilku tygodni, śpię mało...

Oktawia, Sekutnica z Krakowa, miałyby znaleźć czas w niedzielę na wizytę u teściowej? Wątpliwe. Gdy odłożyłam słuchawkę, zaczęłam się zastanawiać, kiedy ostatni raz byłam na weselu i czym? Za kilka dni miało się odbyć wesele księcia Williama z panną Kate, która ma na imię Catherine, więc używanie inicjałów przez młodą parę będzie chyba ustawowo zakazane, bo jakżeby to brzmiało – we?! Gdzieś pomiędzy robieniem sobie zalewajki a rozmyślaniami o ślubach, tych sławnych i tych rodzinnych, przypomniałam sobie wesele mojej matki.

Po wizycie Poli w 1949 roku wszystko się w naszym życiu zmieniło. Pod koniec żniw, kiedy już zboża zostały zwiezione do stodoły i kłuska wyzbierane ze ścierniska, Joachim Weltz przekonał moją matkę Jadwigę, aby za niego wyszła. Nie mam podstaw twierdzić, że były to romantyczne oświadczenia, w czasie których mężczyzna przyklęka na kolano, a kobieta oblewa się rumieńcem i mówi: „Tak”. Joachim Weltz był rolnikiem jak moja matka, gdyby mogła, sama by się do pługa zaprzęgała. Romantyczność była jej obca. Nie znałam nigdy kobiety bardziej surowej i tak pozbawionej chęci zrobienia sobie czy innym jakiegokolwiek, najmniejszej choćby przyjemności. Moja matka wierzyła tylko w ciężką pracę i miłosierdzie boskie. Chyba powodowała nią chęć pracowania jeszcze ciężiej, aby zaskarbić sobie łask pańskich, kiedy decydowała się na ponownie zamążpójście. Wiedziała już, że jest wdową. Dostaliśmy rok wcześniej oficjalną informację na temat przypuszczalnej daty śmierci ojca i pewnego miejsca, gdzie nastąpiła. Nic nie stało już na przeszkodzie, żeby złożyć raz jeszcze przysięgę przed Bogiem, że się małżonka swego nie opuści ani w chorobie, ani w potrzebie. Moja matka była załopotana całą tą sytuacją. Gdyby nie bała się ludzkich języków, wyszłaby za Joachima po kryjomu, bez swoich oraz jego dzieci obecnych w pierwszych ławkach przed ołtarzem, jednak w tamtych czasach nie urzędowało się cichych i skromnych ślubów.

Synowie Joachima, ci upośledzeni umysłowo, zostali na czas ceremonii zamknięci w stodole. Wstydził się mój ojczym tych chłopaków opóźnionych w rozwoju, a kiedy owdowiał, to już zupełnie stracił dla nich serce. Myślę, że cierpieli na głęboki autyzm, ale o tej genetycznej chorobie nic się wtedy nie wiedziało, nazywano ich debilami, kretynami, półgłówkami. Nie miał Joachim możliwości oddania synów do przytułku czy obarczenia kogoś z rodziny ich wychowaniem, więc sam chłopaków doglądał, prawie tak solidnie i regularnie jak swojej trzody. Nikt z nas nie zareagował, kiedy chłopcy zostali zamknięci z daleka od gości weselnych. Po prawdzie, nikomu nie wydawało się to okrucieństwem. W niejednym domu na wsi upośledzone dzieci tak się traktowało, prawie nigdy nie dożywały dorosłości. Posiadanie upośledzonego potomstwa

kojarzone było z karą boską, nie mam pewności, czy takie myślenie nie przetrwało do dziś. Moja serdeczna przyjaciółka Wandzia zwykła mi opowiadać, jak u niej w dzielnicy matki z upośledzonymi dziećmi w wózkach wychodzą na spacerzy już po zmroku, żeby uniknąć natrętnych spojrzeń, nierzadko bolesnych uwag w stylu: „Patrz, jaki debil, wielki a jeszcze na wózku!”

Przyjęcie weselne odbyło się w ogrodzie u Joachima, równo wykoszonym, pięknie przybranym wstążkami powiewającymi z drzew. Pod nimi stały ławy zamiast stołów, ławeczki do siedzenia oraz parę krzeseł. Błaty ław od spodu obleczone zostały przypiętą pinezkami ceratą, na ławkach, gdzie rozsiedli się goście, położono kilka derek, aby sobie jaka kobieta drzazgi w pupę nie wbiła. Joachim sam na okoliczność wesela te ławki zbijał, świeżo oheblowane deski łatwo mogły jakąś sukienkę zadrzeć albo co gorsza pończochę, a pończochy były naprawdę towarem luksusowym. Panna młoda, bez pończoch, siedziała za stołem sztywna, nieruchoma jakby nieustająco pozowała do fotografii. Wystrojona w żółtą sukienkę, całkiem mi przypominała baranka wielkanocnego z cukru. Na głowie miała taki niby-wianek, niby-kapelusik, w sumie szpecący dodatek do jej pozbawionej zmarszczek twarzy. Kiedy przed pójściem do kościoła robiła ostatnią przymiarkę stroju, zawołała mnie i chyba pierwszy raz zapytała o zdanie. A cóż ja mogłam powiedzieć matce w oczy, kiedy ona była przebrana, a nie ubrana. Ułożyłam posiwiałe z lekka włosy na czole, wygładziłam bufy u rękawów, ochoczo zapewniłam, że ładnie jej w tej sukience, dodałam w ostatniej chwili, że ludziom na pewno się spodoba. Zrobiłam matce przyjemność. Podczas przyjęcia, siedząc na najważniejszym miejscu przy ławie, tonęła w powadze i nadsęci. Nie uśmiechała się, żeby sobie broń Boże kto nie pomyślał, że jest szczęśliwa albo cieszy się na noc poślubną. Nie chciała też na widok wystawiać swoich braków w uzębieniu, a nie wiem, czy w dniu ślubu miała więcej niż dziesięć zębów. Jej mąż był bardzo przystojnym mężczyzną, silny w barach, ogorzały na twarzy, ale przy tym o dość delikatnych rysach. Ruchy miał lekkie jak młodzieniaszek, nawet mnie wydał się przystojny, choć oczywiście całkiem stary. Byłby dla każdej kobiety

dobrym mężem i opiekunem, ale żadna się nie odważyła za niego pójść ze względu na upośledzenie umysłowe jego synów, a także przedwczesną śmierć żony. Tylko moja matka nie bała się głupich plotek i ludzkiego gadania o przekleństwie ciążyącym na rodzinie Weltzów. Kiedy ją Joachim poprosił o rękę, zgodziła się bez wahania. Nie przysłał swatów, sam przyszedł z butelką wódki, złotym łańcuszkiem dla mamy zamiast pierścionka zaręczynowego. Myślę, że nosiła go jego pierwsza żona.

Mojego brata Staśka wieść o planowanym połączeniu naszych domów najpierw zezłościła, potem popadł w rozpacz, zaczął matkę dręczyć, żeby za Weltza nie szła, bo to może nieszczęście ściągnąć na nas wszystkich. My, ludzie normalni i bogobojni nie powinniśmy tak losu kusić, beztrudnie przekłętą do rodziny wpuszczając. Stasiak dużo po wsi latał, nasłuchiwał się bredni, a potem matkę zaklinał, żeby go wysłuchała, wszystkich nas od pomsty niebios uchroniła. Perspektywa połączenia mieszkających po sąsiedzku rodzin wydawała mu się gorsza niż wszystkie plagi egipskie. Błagał matkę do ostatniej chwili, żeby nie szła za Joachima, ale jego zaklęcia odbijały się od ścian naszej chałupy, lądowały w błocie przed stajnią. Matka była zdecydowana na ponowne małżeństwo, choć nie umiała nam wytłumaczyć dlaczego. Myślę, że słowo „zakochałam się” nie przeszłoby jej przez gardło, zresztą, takich słów nie było w słowniku mojej matki. Wytłumaczyć ją można było prosto. Pewnie się bała, że na stare lata nie podoła gospodarce, już teraz przychodziło jej z trudem obrobić trzy hektary, tym bardziej, że pola uprawne rozrzucone były po całej okolicy, a łąki, z których zbieraliśmy siano dla krów, położone były na stromych pagórkach. Wiele wysiłku kosztowało panowanie nad koniem z wozem, kiedy biegł z góry wąską miedzą, a matce sił nie przybywało.

Joachim Weltz miał ładne grunty pod lasem, brała to pod uwagę, decydując się na ślub.

Pod wieczór wesele zaczynało przypominać kocioł. Stasiak, rozklejony zupełnie, rozmamłany przez alkohol, rozpląkał się w pewnym momencie, wycierając nos w moją sukienkę, plótn bzdury, których aż strach

było mi słuchać. Chciałam z nim zatańczyć, nawet nie zareagował na zaproszenie, mazgali się. Mężczyźni bardzo często płaczą po alkoholu, wyciągają na światło dzienne wszelkie żale, wyrrywają drzazgi spod skóry, robiąc przy tym wielki lament. Z odrazą odsunęłam się od brata.

Głaskałam delikatnie białe rękawiczki sprezentowane przez Polę, tęskniłam za nią, liczyłam, że zjawi się na weselu siostry, choć nie została zaproszona. Czułam się wytwornie na samą myśl, że kiedyś te rękawiczki należały do niej, przyjechały z samego Paryża specjalną przesyłką. Paryż był w delikatnym atłasie i niciach, wachałam je wielokrotnie, czułam te światowe zapachy szuflad sklepów pod Łukiem Triumfalnym. Sukienkę dostałam od Joachima Weltza. Prześliczną, w błękitnym kolorze, z białym, haftowanym kołnierzykiem, dużymi mankietami, idealnie skrojoną. Nie była własnością jego zmarłej żony. Nie wyglądała jak spod igły, ale z pewnością nikt jej przede mną nie nosił. Miała złotą metkę sklepu KaDeWe, Berlin. Dla Staśka matka zdobyła białą koszulę z długimi rękawami, w której wyglądał dosyć elegancko, mimo iż była ze dwa numery na niego za duża. Stasiak miał gęstą czuprynę, żółtą niczym dojrzałe zboże, bardzo jasną cerę, zupełnie jak nasz tatuś. Ojca aresztowali zaraz na początku wojny, kiedy miałam niespełna dziesięć lat, widziałam go ostatni raz. Stasiak ojca nie pamiętał, wiele razy mi o tym mówił. Uważał się za sierotę, fakt, że proboszcz namaścił Joachima na naszego ojczyma, nie przyniósł mu ulgi, nie czuł, że zyskał rodzica lub choćby opiekuna.

– Tosia, ja z tymi imbecylami nie chcę mieszkać – bełkotał o swoich przyrodnych braciach zamkniętych w stodole obok. – Zabij mnie Tosia, ale nie mogę! Poderżną nam gardło w spaniu. Słyszysz, jak wyją?

– Nie wyją, zdaje ci się – odparłam.

– Poszłem się wysikać przed chwilą, wychodek był zajęty, to poszłem za stodołę, mówię ci, wyją jak zwierzęta – upierał się, ciągnąc moje ramię do siebie. – Pomiot piekielny... po co to naszej matce złe do chałupy zapraszać?

– Porozmawiam z mamą, może pozwoli, żebyśmy obydwójce wyjechali do Warszawy, do ciotki Poli. Ja w każdym razie jadę, jak tylko ciotka da znać. – Zdradziłam swoje plany, pierwszy raz głośno wypowiadając zamiar wyjazdu.

Stasiek prychnął z pogardą. Odbiło mu się czosnkową kiełbasą pomieszaną z samogonem. Odwróciłam głowę z odrazą.

– Pola i Pola, gdzie ona ma teraz głowę do zaproszeń, jak grzeje koldrę komuniście! – Mój brat wydał mi się wstrętny, kiedy to mówił. – Matka cię nie puści, ona strasznie na komunistów cięta... Tosia, zamieszkajmy razem w naszej chałupie, nową stodołę pobuduję, zobaczysz, konia kupię, machnij ręką na obietnice ciotki, ona już o tobie zapomniała

– Jak możesz?! Wyszła za męża i jak tylko się urządzi, jadę do niej. Obiecała! – odparłam poirytowana, wrywając dłoń, którą mi brat w swojej miażdżył. Od jej wyjazdu minęło trzy miesiące, nie dała jeszcze wprawdzie znaku życia, ale ja byłam cierpliwa. Telegram powiadomił nas, że jest już panią Kwolek, cała reszta miała się ziścić w najbliższym czasie. Stasiek głośno powątpiewał, czy jego siostra istotnie wyrwie się z zapyziałej wsi i wyjedzie do stolicy. Bełkotał bez ustanku, coraz mniej rozumiałam jego słowa, przestałam go słuchać, kiedy wychylił kolejny kieliszek. Zgniał mi ramię swoją ciężką głową, w kółko majacząc, że nas Joachimowe syny wyrzną w pień. Nie było sensu się z nim spierać, bo miał już nie tylko głowę, ale również mowę bardzo ciężką od księżycówki.

Ja też wypiłam duszkiem kieliszek, nawet się nie zakrztusiłam.

– Jak cię Joachim usłyszy, to będzie zły. Przestań już. Popatrz, jakie ma córki ładne i... zwyczajne. – Brodą wskazałam na bliźniaczki, donoszące do stołu. Stasiek nie chciał nawet na nie spojrzeć.

– Czarownicy! – szepnęła mi do ucha. Odepchnęłam go z siłą i wstałam z miejsca. Mnie też zakręciło się w głowie, nie czułam się pijana, może tylko trochę oszołomiona. Stasiek oparł głowę na blacie stołu, po czym momentalnie zasnął. Matka dawała mi znaki, żeby go wyprowadzić gdzieś poza ludzki wzrok, ale udawałam, że nie rozumiem jej języka migowego, nie ruszyłam się od stołu, wydłubując rodzynki z ciasta, jakie

przede mną postawiono. Żał mi było Staśka, nie zaakceptował ponownego małżeństwa naszej matki, szczerze pogardzał Joachimem, choć z biegiem czasu ich stosunki przerodziły się w szorstką przyjaźń. Jego dzieci jednak w ogóle nie tolerował, w najlepszym razie ich istnienia nie zauważał. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek zwrócił się do bliźniaczek po imieniu, synów omijał z daleka, przekonany, że może się od nich zarazić tym pomieszaniem rozumu. Mój brat nie nadawał się na lekarza, nie wiem skąd taka niedorzeczna myśl mogła powstać w marzeniach naszej matki. Zaraz po skończeniu szkoły zaczął pracować w PGR-ze, zajął się mechanizacją rolnictwa. Do śmierci w 1975 roku był rolnikiem i kochał to, co robił.

Ja pamiętałam Joachima Weltza z czasów wojny. Nigdy mu nie powiedziałam, że widziałam wielokrotnie, jak pił bimber z Niemcami w czasie okupacji, zresztą, nie on jeden miał konszachty z najeźdźcą, robiąc z nimi interesy. Matka posyłała mnie do kwatery niemieckiej z bańką mleka, czasami z jajkami. Wędrowałam przez łąkę, mały wierzbowy zagajnik, starając się nie uronić ani kropelki pochodzącej z wymion naszej Krasuli. Niemcy w zamian oferowali czekoladę, cukier, tytoń, pomarańcze, konserwy mięsne, czasami jakieś błyskotki dla kobiet. Ja byłam kurierem, szybko nawiązałam kontakty, wstyd powiedzieć, ale chętnie do Niemców łąziłam. Byli dla mnie dobrzy. Może zostawili w ojczyźnie swoje dzieci, więc teraz widok małej dziewczynki tak ich rozczulał? Może po prostu odpowiadały im ludzkie relacje w czasach tej okrutnej i bezsensownej wojny? To nie byli żołnierze frontowi, oni stanowili coś w rodzaju ekipy budowlanej, choć oczywiście nie pomniejszało to ich statusu wroga. Joachim Weltz zapoczątkował symbiozę z okupantem. Przyszedł do nas i powiedział, że Niemcy chcieliby brać od nas mleko, jajka, chleb, co tam jeszcze mamy do jedzenia, co nie jest zapuszkowane, bo im już żołądki odmawiały posłuszeństwa. Moja matka oburzyła się, jak miała w zwyczaju, ale zaraz potem wyszła przed dom z Joachimem i po krótkiej naradzie zdecydowała, że moimi rękami do tej haniebnej współpracy z Niemcami się przyłączy. Dziś już wiem, co powiedział jej Joachim Weltz, który jako pół-Niemiec szybko wydreptał ścieżkę do

kwatery Szwabów. Obiecał jej, że może który z tych wyższą rangą Niemców z Wehrmachtu, a w dworze Morawskich niejeden major przebywał, ustali coś w sprawie jej męża, a mojego ojca, strzelca podhalańskiego, Bogusława Wawela. Tatuś został aresztowany w 1939 roku i wszelki śluch po nim zaginął. Nikt wtedy nie wiedział, gdzie na mapie znajduje się Ostaszów, Miednoje czy Katyń. Matka żyła nadzieją, że jej ukochany mąż, jak tylko zawierucha wojenna przycichnie, wróci z niewoli lub z robót w Niemczech. Joachim udawał, że ma całkiem zażyłe kontakty z Niemcami, szepnie słówko jakiemu oficerowi w sprawie męża sąsiadki, kiedy nadarzy się sposobność. Matka mu uwierzyła, ja pewnie też bym tak zrobiła. Dwa dni później posłała mnie po raz pierwszy z bańką pełną świeżego mleka. Niemcy głaskali moją zgrabną główkę i pyzają buzię, jeden zrobił mi nawet fotografię, dzięki tej pamiętce wiem, jak wyglądałam, mając jedenaście lat.

Wróciłam do domu po kilku godzinach, dostałam na powitanie solidne lanie od matki, przekonanej, iż mnie Szkopy zabiły. Gdybym dostarczyła mleko i wróciła natychmiast, cała wycieczka nie trwałaby dłużej niż pół godziny, ja zniknęłam na cztery, bawiąc się w wyprawę. Mimo iż nie rozumiałam, co do mnie mówią, kręciłam się wokół Niemców zaciekawiona, zaglądając im do garnków, przymierzając ich hełmy, głaskając konie i zajadając się czekoladą. Kończyli budowę kantyny, którą we wsi nazywano – kasynem. To byli bardzo dobrzy Niemcy, nawet moja matka musiała to przyznać. Wkrótce inni mieszkańcy wsi z nimi handlowali, interes szedł na całego, dziewczyny podkochiwały się w mundurowych, nie zważając na to, że umizgują się do wroga. W Warszawie za takie stosunki z Niemcami paniom golono głowy, w naszej wsi, było to jak najbardziej na miejscu. Siostra mojego ojca zaszła w ciążę ze swoim niemieckim kochaniem. Przybiegła z tym do matki, prosząc o pomoc w usunięciu pamiątki wojennej. Nie wiem, kto tej aborcji dokonał i jak, ale dziecko na świat nie przyszło. Moją specjalnością było podsłuchiwanie i dyskretne podpatrywanie. Znałam wszystkie sekrety, nawet te najbardziej chronione. Usunięcie niemieckiego bękarta nie było grzechem, moja matka nie miała zatem dylematu. Po prawdzie słowo „aborcja”

dopiero od niedawna zaczęło straszyć Polaków. Kiedyś katoliczki domowymi sposobami usuwały niechciane ciążę, ani myślały się z tego księdzu spowiadać. W każdej niemalże wsi była „Babka”, która miała skuteczne sposoby na kurzajki, przewlekły kaszel i spędzenie płodu. Dziś z zakazem aborcji na transparentach niektóre partie idą do wyborów, ale to jest zupełnie nowa moda. Raz jeden Waldemar posłał mnie w latach siedemdziesiątych do sanatorium w Iwoniczu Zdroju, a tam poznałam emerytowaną sekretarkę, która powojennym władzom służyła w Warszawie. Imienia jej nie pamiętam, ale żywe w mojej pamięci wciąż jest przerażenie i szok, jakiego doznałam, kiedy mi opowiedziała o swoich przerywanych ciążach. Niechciane dzieci działaczy socjalistycznych usuwała siedemnaście razy! Jak się sama wyraziła, do jej służbowych obowiązków należało być „na każde zawołanie”, a jak się sekretarze popili, to tak jak stała, musiała im ulegać.

Joachima Weltza przyłapywałam wielokrotnie na upijaniu się z Niemcami. Byłam małym szpiegiem, nie będę się wypierać. Cały wolny czas wypełniałam błakaniem się po okolicy, podsłuchiowaniem rozmów w cudzych zagrodach, odwiedzaniem dworu, zdobywaniem rarytasów, bo tak nazywaliśmy ze Staśkiem produkty wycyganione od Niemców. Żona Joachima chorowała na raka. Gdzie się rak usadowił w jej ciele, nie wiedziałam, ale chorowała kilka długich lat. W 1942 roku jej stan się gwałtownie pogorszył. Joachim chodził do Niemców zebrać o morfinę. Cierpiała bardzo. Pomimo iż ich chałupa była oddalona od naszej kilkanaście metrów, słyszeliśmy jęki chorej, prośby do Boga, żeby ją zabrał do siebie. Pod koniec życia to już jęczeć nie przestawała, a Joachim z bezsilności po całych dniach drzewo rąbał, od świtu jeździł wierzchem na koniu. Moja matka żegnała się, kiedy opuszczał stajnie galopem, potem nakażywała się nam za niego modlić. Nie za nią, a za niego. Obydwoje byli jeszcze młodymi ludźmi, Joachim miał ze trzydzieści pięć lat, jego żona była nieco młodsza. Urodziła mu zdrowe córki bliźniaczki, niedługo potem dwóch upośledzonych synów. Ludzie gadali, że raka dostała ze zgrzyoty, po tym jak chłopaki okazały się felerne. Moja matka zabraniała nam roznoszenia głupich plotek. Muszę jej oddać sprawiedliwość, nie

była plotkarą, zawsze interesowała się tylko swoimi własnymi sprawami. Nas tego samego uczyła. Kiedy po weselu przeniosła się do murowanego domu męża, ja ze Staśkiem zostaliśmy w naszej chałupie. Obydwa domostwa dzieliło może pięćdziesiąt metrów, więc mimo iż spaliśmy w osobnych murach, prowadziliśmy wspólne życie. Stasiak kończył szkołę, prawie go nie widywałam, a kiedy w końcu przyszedł list od Poli, było jasne, że zaprasza tylko mnie do siebie. Musiałam bratu to powiedzieć. Machnął tylko ręką.

– Jedź. Ja sobie żonę wezmę i zostanę na gospodarce. Będę tytoń hodował, już się namyśliłem. Na łąkach pod lasem zasieję liście, a w stodole będzie suszenie. Jak matka mi pożyczyc trochę grosza, to kupię kaczkę, będę wątróbki sprzedawał do Francji, tam podobno to przysmak jest.

Pomysł bardzo mi się spodobał, więc zapewniłam, że jak tylko zaczę pracę w Warszawie na poczcie, tak jak obiecała Pola, to sama dam mu pieniądze na kaczkę. Pomysł z tytoniem mniej mnie zachwycił, ale nie chciałam gasić entuzjazmu brata. Dziesięć lat później Stasiak był najprężniejszym gospodarzem i hodowcą drobiu w okolicy, jak tego dokonał w czasach socjalistycznych, nie wiem. Mąż Poli w tym palce maczał, bo kaczkę Staśka bardzo smakowały sekretarzom w Warszawie. Po śmierci Joachima w 1965 roku przejął jego ziemie, których właścicielką stała się nasza matka. Upośledzeni synowie zmarli rok po ślubie ich ojca, w odstępie kilku dni. Żli ludzie rozsiewali obrzydliwe plotki, że Joachim ich potopił w gliniance na prośbę swojej drugiej żony Jadwigi! Prawda była zgoła inna. Po kąpieli w zimnej rzece, dostali zapalenia płuc, szybko zmarli w szpitalu, nie byli odporni, może nikt nie palił się, aby ich leczyć? Mieszkałam już wtedy w Warszawie, o ich śmierci dowiedziałam się z listu matki miesiąc po zdarzeniu. Pamiętam, że zmówiłam „wieczne odpoczywanie” w intencji nieboraków. Ksiądz z naszej parafii nie chciał z początku pochować ich na cmentarzu, tłumacząc, że nie byli ani u Pierwszej Komunii Świętej, ani też nie przyjęli ostatniego namaszczenia. Joachim zapłacił proboszczowi i ten w końcu się zgodził, aby młodych Weltzów pochować obok ich matki. Mama mi pisała, że

pogrzeb był bardzo skromny, modlitwy krótkie, jednak przyszło sporo sąsiadów, było uroczyście.

Ludzie we wsi nie lubili Joachima nie dlatego, że jego ojciec był Niemcem, ale z powodu jego zamożności. W czasach największej biedy Joachim oraz jego pierwsza żona dostawali paczki z Niemiec, przywoził je umyślny. Ich dzieci, nawet chłopcy, zawsze byli odziani inaczej niż my. Materiały, z jakich zrobione były ich ubrania, bardzo się różniły od tych parcianych, w jakie nas matka ubierała. Mimo iż nie obnosili się ze swoją innością, wzbudzali niechęć, a potem agresję, kiedy zaczęła się wojna. Joachim czuł się Polakiem, urodził się w naszej wsi, jednak ludzie nie chcieli go za takiego uznać, szczególnie kiedy do głosu doszedł Hitler. Po wrześniu 1939 roku Joachim Weltz definitywnie przestał być dla wszystkich Polakiem, moja mama w 1950 roku, też wedle opinii gospodyń i gospodarzy wsi Grotowo, szła za Niemca, niedawnego okupanta. Mieszkaliśmy obok Weltzów całe życie, dla mnie byli po prostu sąsiadami, nigdy nie zastanawiałam się, skąd pochodzą. Myślę, że najbardziej zabolowały Joachima pomówienia i rozsiewane plotki, że zadenuncjował rodzinę Raczyków jako tych, co ukrywają Żydów. Cała rodzina zginęła w potworny sposób, my musieliśmy na to patrzeć, ku przestrodze. Zaraz po wojnie zaczęły się opowieści, jak Joachim doniósł swoim kompanom od bimbru, że stary Raczyk w piwnicy ukrywa rodzinę żydowską, ci zrobili nalot, wywlekli Żydów, potem Raczyków postawili pod ścianą stodoły i zastrzelili. Niemcy zrobili sobie po fackie pamiątkowe zdjęcia, pozując obok zwłok jedenastu osób. Od tamtej pory nie chciałam już chodzić z mlekiem do dworu, a matka nie uprała im więcej ani jednej pary gaci czy koszuli, choć to nie „nasi” Niemcy dokonali mordu, ale ściągnięte posiłki Gestapo. Nigdy nie wierzyłam, że Joachim zadenuncjował Raczyków, jednak większość mieszkańców naszej wsi zachowała taką wersję w swojej pamięci i przekazywała z pokolenia na pokolenie, coraz to coś dodając do historii albo znów ujmując.

Joachim był dobrym mężem dla Jadwigi Wawel. Kiedy przyszedł dzień mojego wyjazdu do Warszawy, żegnał mnie ze łzami w oczach, na daleką drogę w nieznaną wyposażył w komplet pościeli, pierzynę,

elegancki płaszcz z kołnierzem z lisiej kity, parę nowiutkich butów zimowych oraz skórzaną torebkę ze złotą klamrą. Wiedziałam, że to dary z Niemiec, choć zawistni ludzie szeptali matce na ucho, że to rzeczy po ukrywających się Żydach, którzy zginęli wraz z rodziną Raczyków. Trudno było wymyślić większy absurd, jednak mieszkańcom naszej wsi udało się taką historię wyhaftować na honorze naszej rodziny.

ROZDZIAŁ IV

Lila była moją ukochaną wnuczką. Zuzanna po narodzinach córeczki zamieszkała z nami. Potem kiedy wyprowadzałam się już jako wdowa z domu rodziców Waldemara, zabrałam dziewczyny ze sobą do mieszkania. Karol, sprawca przedwczesnego macierzyństwa mojej córki, studiował w Lublinie na KUL-u, tam też mieszkał na stacji. Mimo iż takiego rozwiązania nikt z nami nie uzgadniał, nie miałam pretensji ani do młodych, ani do rodziny Karola, która nie zadeklarowała żadnej pomocy czy wsparcia. Zachowywali się tak, jakby ich syn był bezdzielnym kawalerem studiującym na Wydziale Nauk Społecznych. Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że chcieli zrobić z Karola księdza, lecz kiedy okazało się, że na pierwszym roku studiów zmajstrował dzidziusia, musieli zadowolić się samym tylko studiowaniem syna na katolickiej uczelni. Zuzanna nie była przygotowana do macierzyństwa, gdyż nie można być, kiedy jest się w klasie maturalnej, ma się na głowie szkolne zadania i młodzieżowe problemy. Druga połowa xx wieku przyniosła kobietom wiele swobód. Nie musiały już spieszyć się z zamążpójściem, aby zdążyć przed dwudziestym rokiem życia i uciec z kategorii „starych panien”. W dużych miastach dziewczyny kończyły szkoły średnie, studia, podejmowały pracę, planowały macierzyństwo, zyskiwały kontrolę nad tym, jak potoczy się ich życie. Oczywiście wyjątków było tyle, że ułożyć by można całą armię z tych dziewczyn, które zaszły w ciążę zbyt wcześnie, żeby nie powiedzieć znienacka. Nie brałam jednak pod uwagę tego, że moja córka Zuzanna będzie zaliczać się do tych wyjątków. Dziś myślę, że to po części moja wina. Nie usiadłam z dorastającą córką, nie przeprowadziłam rozmowy o seksie, konsekwencjach, metodach zapobiegania ciąży itd. Szkoła też jej niczego nie nauczyła, zakładając, że uczennica nie powinna współżyć. Do dziś nie wiadomo, kto miałby młodym

ludziom objaśnić, jak oddzielić seks od prokreacji? Kalendarzyk małżeń-
ski powinno się wykluczyć z metod antykoncepcji już dawno, ale Ko-
ściół zdaje się nie zamierza zmadrzeć w tej kwestii. Nadal jest on jedyną
zalecaną przez Kościół metodą. No i oczywiście wstrzemięźliwość, ale z
tym to sami księża mają poważny kłopot!

Kiedy Zuzanna decydowała się na inicjację seksualną, w peweksach
były dostępne już spirale, kosztujące połowę przeciętnej miesięcznej
pensji, o czym poinformowała mnie Wandzia, zawsze żywo interesująca
się sprawami kobiet. W kioskach królowały prezerwatywy marki Eros, a
w aptekach globulki, które, co też wiem od Wandzi, nie rozpuszczały się
na czas! Oferta antykoncepcyjna była słaba i prymitywna, ale takie też
było całe państwo. Mnie ten problem nie dotyczył. Po urodzeniu Artura
przez lata chciałam zająć w ciążę, ani mi w głowie było zapobieganie. Po
urodzeniu Zuzanny również nie stosowałam żadnych środków, licząc, że
może jeszcze jedno dziecko uda nam się z Waldemarem spłodzić. Wan-
dzia zazdrościła mi tego luksusu „nieżycia w strachu”. Jak sama przyzna-
ła, dwadzieścia lat spółkowania, to było dwadzieścia lat strachu i cztery
aborcje.

– Już nawet próbowałam tampony sama robić z waty i octu... – ubo-
lewała Wandzia przy okazji uwikłania się w nowy romans. – Po profe-
minie to takiego zapalenia dostałam, że do pracy dwa tygodnie nie po-
szłam, a sprężyny do błon to chyba w fabryce materacy są produkowane!

Wandzia pochorowała się po pierwszej polskiej tabletki hormonalnej,
potem przestała w ogóle o tym mówić, nie pytałam, jak rozwiązała pro-
blem. Szczęśliwie doczekała czasów, będąc już na emeryturze seksual-
nej, kiedy kobieta może dostać na receptę bezpieczny preparat chroniący
przed ciążą w postaci tabletki, zastrzyku czy eleganckiego plasterka.

Zuzanna zaszła w niechcianą ciążę w 1986 roku, kiedy w dalszym
ciągu antykoncepcja w Polsce była na poziomie Bangladeszu. Nawet
jeśli środki byłyby dostępne, moja córka, działaczka oazy, na pewno by
po nie nie sięgnęła. Grzech nieczystości konfesjonał przebaczał znacznie
łatwiej niż grzech antykoncepcji.

Lila urodziła się w lutym 1987 roku podczas wielkiej śnieżycy, która sparaliżowała miasto. Wieźliśmy Zuzannę do szpitala naszym starym polonezem, który, oceniając właściwie powagę sytuacji, nie nawalił, jak to miał w zwyczaju, tylko telepał się dzielnie wąskim odśnieżonym torem pośrodku ulicy niczym czołg. Zuzanna płakała i krzyczała na przemian, Waldemar za kierownicą wypatrywał drogi, nie odzywając się ani słowem, ja wciśnięta w tylne siedzenie podtrzymywałam córkę, zapewniając ją, że w razie czego staniemy byle gdzie, aby odebrać poród, bo mam w tym doświadczenie. Małe kłamstewko uspokajało, przestawała jęczeć. Dotarliśmy do szpitala na czas, a tam niechętne i ociężałe pielęgniarki przywitały nas pretensjami, niezadowolone niepokojeniem po nocy. Nie przejmowały się bynajmniej bólami i dusznościami Zuzanny, powolutku wypełniały jakieś formularze, parzyły sobie herbatę, podjadając czekoladki hurtowo wręczane im przez wdzięczne pacjentki i ich rodziny. Nie zwracały na nas uwagi, byliśmy niewidzialne, nawet nie patrzyły na nas, kiedy zadawały pytania. Trwało to w nieskończoność, ponieważ popełniłyśmy błąd, przyjeżdżając do tego szpitala miejskiego, podczas gdy Zuzanna miała skierowanie do wojewódzkiego. Miejski znajdował się bliżej naszego domu, w zdenerwowaniu nie sprawdziłam, co widnieje na skierowaniu, chciałam jak najszybciej odstawić córkę pod medyczną opiekę. Dla pielęgniarek nie było to wcale takie oczywiste, a kiedy nadmieniłam, że na ulicach ślizgawica, mróz i zawieja śnieżna, jedna z sióstr odpowiedziała kąśliwie.

– Zima jest, to jak ma być? Gorąco?

Usiłowałam to wszystko wyjaśnić, panie tylko wzdychały, leniwie przerzucały się kartkami papieru, szurając przy tym białymi drewniakami na wąskich stopach. Dziwna to była moda, te białe drewniaki u personelu medycznego, bo ani to obuwie bezpieczne ani wygodne. Kiedy w końcu zakończyły administrację, przyszła matka dostała wprawdzie czystą, ale poszarpaną niemilosiernie koszulę szpitalną zawiązywaną na plecach cienkim sznurkiem, który ranił szyję. Próbowowała zażartować między skurczami, że mogłaby w tym stroju statystować w musicalu *Les Misérables*, ale nie rozbawiła tym żadnej z położnych.

Jakaś przyuczająca się do zawodu uczennica szkoły pielęgniarskiej miała za zadanie ogolić łono Zuzannie w ramach przygotowania do porodu, a że nigdy nie miała maszynki do golenia w ręce, to jej końcowe dzieło okazało się bardzo krwawe. Pocięła delikatną skórę w kilku miejscach, w dobrej wierze załała rany czymś w rodzaju wody utlenionej, co doprowadziło Zuzannę do hysterii. Wszystko to jednak było niczym w porównaniu z następnym etapem, czyli lewatywą, obowiązkową przed porodem! Nie uprzedzałam o tym przykrym zabiegu opróżniania jelit, ponieważ zupełnie o tym zapomniałam, a kiedy było po wszystkim, Zuzanna zarzuciła mnie pretensjami, iż nie zrobiłam nic, aby jej oszczędzić tego doświadczenia. Siedziałam niespokojna obok łazienki, gdzie torturowano Zuzannę, przypominając sobie moje własne dwa porody, miłe pielęgniarki w szpitalu, życzliwe, pomocne, nie mogłam się nadziwić, co stało się z tą profesją? Dlaczego te dziewczyny są takie niechętne przyszłym matkom? Już od progu obrażone na pacjentki, traktowały je po prostu przedmiotowo, albo gorzej, jak jakie śmieci. Miałam ochotę wytargać te babska za włosy, rozgnieść im słodkie czekoladki na czole. Gotowałam się od środka, pomstując na służbę zdrowia, pogodę, siebie samą, że nie zadbałam o to, aby jakiś znajomy lub przekupiony lekarz zajął się godnie moją córką w czasie rodzenia. Nie chodziła prywatnie do ginekologa w czasie ciąży, nie przetarłyśmy szlaków, nie wręczałyśmy kopert, nie miałyśmy alianta na tej wojnie. Mogłyśmy mieć, gdyby na samym początku jej ciąży nie okazało się, że lekarz ginekolog, którego wybrała, aby ją prowadził, molestował seksualnie swoje pacjentki. Był to starszy pan, szanowany, doceniany fachowiec, mistrz cesarskich cięć, które nie pozostawiały wielkich szpecących szram na podbrzuszu, oblegany przez młode dziewczyny szykujące się do macierzyństwa. Został posądzony przez swoją pacjentkę o dotykanie miejsc intymnych w czasie badania. Był to Zły dotyk. Nie wiedziałam, czy wierzyć w te zarzuty, czy nie, ale Zuzanna do niego więcej nie poszła, mimo iż nadal przyjmował pacjentki u siebie w domu, do dnia kiedy po cichu nie odszedł na emeryturę. Ponieważ ciężę znosiła doskonale, nie widziałyśmy potrzeby biegania do prywatnych gabinetów lekarskich, nabijania kasy i tak bogatym już ginekologom.

Kiedy zabrali Zuzannę na porodówkę, pognałam do sklepiku przed szpitalem i zakupiłam „wyprawkę” dla pielęgniarek. Waldemar się boczył, wciąż nie przyjmował do wiadomości, że w nowoczesnym państwie panują takie obyczaje, że nie można urodzić dziecka spokojnie bez wręczenia okupu paniom na oddziale ginekologiczno-położniczym. Jakże on był prawy, a może raczej naiwny? Pamiętam ten sklepik, podenerwowanego Waldemara z reklamówką w dłoni. To wtedy, ni z tego, ni z owego, powiedział mi, że schudł ostatnio dobre parę kilo, nie czuje się najlepiej, jakby go grypa brała. Gdybyśmy wtedy nie zignorowali tych sygnałów ostrzegawczych i tak byłoby dla niego za późno. Rak kończył już swoje dzieło po cichu, myśląc przeciwnika do samego końca. Sześć miesięcy później Waldemar zmarł.

Lila urodziła się kilka godzin później, zdrowa, owłosiona jak małpka, cztery tygodnie przed terminem. Personel po przyjęciu upominku w postaci kawy, herbaty, czekolady oraz galaretek w cukrze, starał się być odrobinę miłszy, niespodziewanie szybko wszystko wróciło do normy, znów Zuzannę traktowano jak intruza i zawracacza głowy. Była niecierpliwa, ciągnął ją szew w kroku, wdała się infekcja, nie mogła chodzić ani siedzieć, potem dostała gorączki, na koniec zapalenia pęcherza, więc zabraliśmy małą Liliannę do domu, mamusia została w szpitalu jeszcze kilka dni. Twierdziła, że znęcano się nad nią psychicznie i obiecywała, że opowie w „Nowinach”, najbardziej poczytnej gazecie Rzeszowa, jaką nieludzką instytucją jest szpital w naszym mieście, jak bezdusznie traktuje się tam kobiety. Musiało minąć wiele, wiele lat, zanim kobiety w naszym kraju zaczęły rodzić godnie, w przyjaznych warunkach. W 1987 roku, kiedy rodziła się Lila, porodówki były koszmarem i postrachem matek. Niektóre pracujące tam pielęgniarki selekcyjonowano według tych samych kryteriów, co do służb więziennych albo poprawczaków dla trudnej młodzieży. Zuzanna przeżyła coś, co dziś nazwano by trauma, wtedy mówiło się, że miała ciężki poród, choć nie sam poród był ciężki, ale przebywanie w szpitalu, gdzie zabrakło ligniny i środków przeciwbólowych. Salowe, niezwykle okrutne kobiety, głośno komentowały, kiedy

rodziła jakaś niezamężna, młoda dziewczyna. Na własne uszy słyszałam jedną z nich, którą nazywano „Kleszcz”, przemawiającą do rodzącej: „Jak się miało siłę nogi rozkraczać, to trza mieć teraz siłę pręć! No Dalej!”. Zuzanna twierdziła, że ta salowa jest postrachem porodówki, asystuje przy narodzinach dzieci, trzyma za nos rodzące, żeby im zablokować wydech przy parciu, podciąga zgięte nogi na klatkę piersiową, z całej siły naciska, żeby dziecko szybciej się urodziło. Chodzi po oddziale z wiadrem i szmatą, nie myje rąk pomiędzy porodem a sprzątaniami, donosi do ordynatora oddziału, jak przyłapie którąś z pacjentek na papierosie w toalecie. Nie miałam powodów, żeby nie wierzyć mojej córce. To wtedy Zuzanna oświadczyła, że nie będzie mieć więcej dzieci, mówiła to wystarczająco głośno, żeby bogini płodności mogła ją usłyszeć.

Długo ubolewałam nad faktem, że nadali mojej wnuczce imię Liliana, na cześć prababci, kobiety wielkiej urody i charyzmy, która uparcie twierdziła, że znała osobiście Karola Wojtyłę, jego rodzinę oraz przyjaciół. Umarła w tym samym dniu, co nasz ukochany Ojciec Święty, jakby na potwierdzenie swoich opowieści, w które tylko cząstka mnie wierzyła. Mąż Zuzanny jeździł dwukrotnie do Rzymu ze swoją matką na prywatne audiencje z papieżem. Widziałam na własne oczy jedną fotografię, na której Karol i jego mama stają obok Ojca Świętego, ale oprócz nich znajdowało się tam jeszcze kilka osób, więc nie wyglądało to na prywatne spotkanie. Jego rodzina miała być zaprzyjaźniona z Wojtyłami, ale zdaje się z kuzynem raczej niż ojcem naszego papieża. Cała ta historia była dość zawikłana, zmieniała się przez lata, a kiedy już prababka Liliana umarła, legenda wykonała ostry skręt i skończyło się na tym, że byli wielkimi przyjaciółmi za życia, łaskawy Pan Bóg powołał ich do siebie w tym samym dniu. Zuzanna święcie w to wierzyła, ja demonstrowałam często swoje wątpliwości głównie dlatego, że byłam zwyczajnie zazdrosna o tę domniemaną znajomość rodziny jej męża z Ojcem Świętym. Kiedy zmarł, poczułam się bardziej osamotniona niż po śmierci mojej matki i mojego męża razem wziętych.



Dzień przed wizytą wnuczki zasiadłam przed telewizorem, żeby obejrzeć sobie relację ze ślubu Williama i Kate. Wcale mi nie przeszkadzało zamieszanie wokół pysznego ślubu stulecia, natomiast irytowały mnie komentarze niektórych polityków i ważniaków, którzy narzekali, że zbyt wielką hucpę urządzili Brytyjczycy, że mają już dość tego tematu i spekulacji na temat sukni panny młodej. Jako odrażające oceniali przedślubne emocje, kapelusze pań przekraczających progi opactwa Westminster wyśmiali jako brzydkie i nietwarzowe. Miałam dla nich tylko jedną uwagę: „Wszystko będzie lepsze od Smoleńska i od waszych konferencji prasowych!”. Ceremonię obejrzałam sobie, popijając herbatkę, kilka łez otarłam, kiedy już karocą wyjechali na ulice Londynu, po raz kolejny ubolewając, że mama Williama, Diana, tego nie dożyła. Jakże my z Polą uwielbiałyśmy zbuntowaną Dianę Spencer! Równie mocno pogardzałyśmy jej niewydarzonym małżonkiem, wracającym z randek z brzydką Camillą ze śladami umorusania trawą na kolanach spodni od pidzamy. Pola gdzieś wyczytała, że Karol wymykał się z pałacu na ogrody pod osłoną nocy i tam, najwidoczniej w pozycji klęczącej, uprawiał seks pozamałżeński. Lila wpadła zaraz po piętnastej. Nie widziałam jej kilka miesięcy, więc witałam ją, jakby wracała z dalekiej podróży. Na dworze było ciepło, miała na sobie lniane spodnie, szerokie dołem, oraz białą bawełnianą bluzeczkę. Zwróciłam uwagę na paznokcie u nóg, pomalowane szalonym „pomarańczem”. Kilkanaście bransolet grzechotało na jej lewym nadgarstku. Włosy miała długie, nie związane w żaden kok tylko puszczone lekko na ramiona. Piękna z niej była dziewczyna, ładniejsza od panny Middleton, mogła śmiało wyjść za jakiegoś księcia, nawet tego z rudą czupryną. Wycalowała mnie z dubeltówki i wyściskała, że aż mi kości zaczęły gruchotać pod cienką jak pergamin skórą.

– Jakaś ty słoneczna Lila! Dziecko drogie, tak się stęskniłam. Myślałam, że przyjedziesz z mamą. Dalej na mnie zła?

Lila energicznym ruchem odsłoniła firanki i otworzyła drzwi balkonowe.

– Babciu, a co się babcia moją mamą przejmuje! Trzeba robić to, na co ma się ochotę. Koniec przymusów! Fajne jest to mieszkanie, zawsze lubiłam tu przychodzić.

Przytaknęłam, ale od razu odgadłam, że Lila ma dla mnie jakąś niela-twą do zaakceptowania niespodziankę. Jej bojowe nastawienie zdradzało, że szykuje się coś grubszego. Układała pled na moim krzeselku, ale ja nie chciałam rozmawiać na zewnątrz, ponieważ miałam wścibską sąsiadkę balkon obok, która bardzo mi psuła wypoczynek na powietrzu przez to swoje wtrącalstwo i nagabywanie. Lila zachichotała.

– Zapomniałam, że masz tu moherowy beret za sąsiadkę. Trudno, pokisimy się w środku. Zróbmy sobie herbatkę, balkon zamkniemy na głucho, żeby nas nie podsłuchiwała. – Lila wycofała się do pokoju, a ja poszłam do kuchni nastawić czajnik. Przygotowanie herbaty oraz nałożenie na talerzyki podgrzanej w mikrofalce szarlotki z lodami waniliowymi zajęło mi dwadzieścia minut. Wszystko robiłam coraz wolniej, ruchy miałam całkiem kwadratowe, czasami mnie to przerażało. Szczyciłam się kiedyś zgrabnymi, małymi dłońmi, teraz palce powykęcane artretyzmem wyglądały jak patyki ułamane od gałęzi drzewa. Coraz częściej upuszczalam różne przedmioty na podłogę, wylatywały mi z rąk, zupełnie jakbym w nich traciła czucie. Dobrze, że mieszkałam samotnie, nie musiałam się przed nikim wstydzić postępującego procesu starzenia. Im byłam starsza, tym bardziej uwielbiałam młodość, a Lila pachniała młodością. Taka z niej świeżość była, skórę miała delikatną, jednolitej barwy, cienkie nadgarstki, błyszczące włosy, piękne zęby, jakich by amerykańska aktorka się nie powstydziała. Ode mnie bił zapach starości. Żebym nie wiem, ile się szorowała, gąbką i pachnidłami, zapach zagnieździł się w porach mojej skóry, okopał się i zabetonował. Kiedyś tak pięknie pachniałam! Uwielbiałam kąpiele w olejkach, smarowanie ciała gęstymi kremami, skrapianie drogimi perfumami, w jakie zaopatrywała mnie Pola, wdychanie tych wszystkich aromatów pomieszanych z letnim naturalnym zapachem skóry.

Kiedy w końcu uszykowałam cały zestaw, Lila przeniosła tacę do pokoju. Skończyła rozmawiać przez telefon.

– Kochana jesteś, że upiekłaś szarlotkę, uwielbiam ją. A jeśli chodzi o mamę, to nie jest na ciebie zła ani obrażona, raczej na mnie. Jezu, jaka pyszna ta szarlotka, ja nie umiem piec, gotować też nie umiem, nie wiem, jak będę żyć? Mama, jak to mama, trochę się poszpuła, ale potem odpuści, no nie? Ja się babci nie dziwię, jak babcia nie ma ochoty wychodzić na dwór, to nie! Ja osiemdziesiątki nie dożyję, ale rozumiem, że można być w tym wieku po prostu zmęczonym.

– No właśnie – podjęłam z ochotą. – Nie jestem angielską królową bądź co bądź i nie mam żadnych obowiązków wobec świata. Nogi mnie bołą, nie chce mi się nigdzie chodzić. Dosyć, nie będziemy o mnie rozmawiać, bo pomieramy z nudów, opowiadaj, co tam u ciebie?

Udawalam, że nie wiem, jaką nowinę ma mi obwieścić. Artur z pewnością się nie mylił, kiedy wspomniał, że szykował się ślub mojej ukochanej wnuczki.

– U mnie same rewelacje – powiedziała, przelykając ostatni kęs porcji.

– Pięknie wyglądasz, kwitniesz, może jesteś zakochana?

Spojrzałyśmy na siebie. Moja wnuczka pogroziła mi palcem.

– Wiesz już?

– Coś tam wiem – przyznałam.

Odstawiła talerzyk, wstała od stołu i podeszła do mnie. Przykucnęła, wzięła moją dłoń w swoją. Poczulałam piękne perfumy.

– Wychodzę za mąż babciu.

– Wspaniale, może jeszcze prawnuka się doczekam! – Poglaskałam ją po głowie. Włosy miała miękkie i aksamitne.

– Babciu... ale moi rodzice tego nie popierają.

Machnęłam ręką.

– A co mają przeciwko twojemu narzeczonemu? Poznali go?

Lila położyła mi głowę na kolanach.

– Nie poznali. Na imię ma Maxwell i jest Nigeryjczykiem – powiedziała szybko. Zatkano mnie dosłownie i w przenośni. Nie sądziłam, że na stare lata moja tolerancja zostanie wystawiona na próbę. Przecież co innego wypowiadać się w towarzystwie na temat równości, zapewniać przy okazji spotkań rodzinnych, że nie ma się absolutnie nic przeciwko

Żydom, Murzynom, muzułmanom, homoseksualistom i ateistom, a co innego pochwalić wybór wnuczki, która chce udowodnić, że istotnie rasistką nie jest.

Lila podniosła głowę, spojrzała mi w oczy, niestety nie znalazła zrozumienia i miłości, tylko osłupienie pomieszane z konsternacją. Mój podbródek wpadł w drgania, musiałam sobie wsadzić kawałeczek szarlotki do ust, żeby to zatuszować. Jakże współczułam Liliannie, jej mama wielbiła normę. Gdyby to od niej zależało, świat oraz jego przyzwyczajenia stanęłyby w miejscu. Polacy powinni żenić się z Polkami, on powinien być brunetem, ona blondynką, mieć dwoje dzieci i dobrą pracę na państwowej posadzie. Mieszkanie w bloku powinni zamienić na domek z ogródkiem, na wczasy wyjeżdżać raz w góry, raz nad morze. Powinni posłać dzieci na studia, nie trzymać zwierząt w domu, samochód rodzinny musi być w praktycznym kolorze, a ubrania dzieciom kupowane na wyrost.

Byłam zła na siebie, że pozwoliłam, aby po tej deklaracji Lilianny wybrzmiała taka głucha cisza. Tak bardzo chciałam szybko zareagować jakąś mądrą i pokrzepiającą myślą, ale jedyne, co mi przychodziło do głowy, to: „Mój Boże, Nigeryjczyk?!”.

– No i co babcia powie? – Lila usiadła teraz naprzeciw mnie.

Bawiła się nerwowo rogiem sukienki.

– Ale ty masz dopiero dwadzieścia pięć lat, może nie trzeba się spieszyć z ożenkiem? Czy ci życie na wolności nie odpowiada? Małżeństwo to jednak kajdany, co by nie powiedzieć... – zaczęłam spokojnie snuć swoją teorię. – Naprawdę nie ma się do czego spieszyć.

– Babciu, gdybym miała nawet czterdzieści lat, to małżeństwo z Nigeryjczykiem stanęłoby wam wszystkim kością w gardle – zaatakowała niespodziewanie. Słodka Lila rzucała w twarz gorzkie słowa. – Jezu! Czuję się okropnie, kiedy muszę tłumaczyć się ze swojej miłości do niego, przekonywać, zapewniać, że nie pobieramy się, aby zalegalizować jego pobyt w Polsce, ale z miłości. Dlaczego tak trudno wszystkim zrozumieć miłość białej kobiety do czarnego mężczyzny? Dlaczego wszyscy od razu mają brudne myśli?

Mogłam tylko westchnąć.

– Kochana, światem rządzą stereotypy i przesady, w Polsce to już wszystko wzbudza niezdrawe zdziwienie. Twojej mamie nie podobał się ślub Williama i Kate, bo małżeństwo nie zostało zawarte w trakcie mszy świętej. Więc co to za ślub? Kiedy była u twojej kuzynki Agnieszki w Anglii na Wielkanoc w zeszłym roku, po powrocie nie posiadała się z oburzenia i zdziwienia, że Anglicy nie latają z koszykiem do święconki, nie jedzą jajek z chrzanem na świąteczne śniadanie. Na weselach w szerokim świecie nie stawia się butelek wódki na stołach i temu też towarzyszy wielkie zdziwienie, bo co to za wesele bez wódki z kokardką na szyjce? Albo moja sąsiadka, Gierkowa, była w Niemczech czy gdzie tam, opowiadała zdęgowana do potęgi entej, że ludzie opóźnionych w rozwoju widuje się w sklepach, parkach, kinach, a nawet restauracjach, a przecież tacy, według niej, powinni być zamknięci w jakimś specjalistycznym ośrodku, bo to aż nieprzyjemnie na nich patrzeć n o r m a l n e m u człowiekowi. Widziała też parę karłów idących ulicą, trzymających się za ręce, stanęła jak wryta, bo według niej, to już gruba przesada, żeby się tacy żenili... – Wykładałam wnuczce zawilości braku tolerancji. Wszyscy huczają, że czarni to tacy ludzie jak my, że geje są zwykłymi obywatelami, że niepełnosprawni są wśród nas, ale nikt nie chce, żeby czarny czy homoseksualista był jego sąsiadem, mało, nawet Ukrainka czy Wietnamczyka sobie nie życzą w swoim mieście, nie mówiąc już o Cyganach czy Żydach. Lila aż za dobrze pamiętała historię sprzed pięciu lat, kiedy mieszkańcy mojego bloku założyli protest przeciwko wybudowaniu rampy podjazdowej dla wózka inwalidzkiego przed naszą klatką. Mieliśmy w bloku dwóch „wózkowiczów”, którzy na własną rękę zebrali środki na wybudowanie podjazdu, cóż z tego, kiedy mieszkańcy się nie zgodzili, w obawie, że dzieciaki będą na podjeździe na wrotkach jeździć. Niepełnosprawni przegrali po raz kolejny. Wyprowadzili się po jakimś czasie, co sąsiadka Gierkowa skomentowała słowami: „No i będziemy mieć nareszcie święty spokój...”.

Nie czułam się najlepiej, iż obgaduję prymitywne myślenie rodaków.

– No to sama babcia widzi! – Moja wnuczka podchwyciła temat. – Mama nie toleruje niczego nie-polskiego, nie-katolickiego, nie jej własnego, teraz zachowuje się, jakby była honorowym prezesem Ku-Klux-Klanu na Polskę! Wiesz, że ona z pogardą wypowiada się nawet o Orkiestrze Świątecznej Pomocy Owsiaaka, bo według niej to jest nachalne zabieganie o popularność. Tylko świece w Caritasie należy kupować, jak się chce pomóc bliźniemu – gorączkowała się coraz bardziej. – Jak jej powiedziałam o Maxwellu, to dostała szału, zaraz nakręciła ojca, zrobili mi taką awanturę, że musiałam spać u koleżanki.

– Może, jak pierwszy szok minie... – mruknęłam. Spojrzałam na czarną torbę podróżną, którą Lila postawiła w przedpokoju przy drzwiach. Czyżby miała zamiar zamieszkać ze mną?

– Szok? – parsknęła.

– Lila, nie czepiaj się słów, musisz choć trochę wczuć się w sytuację twojej mamy, jeśli chcesz, żeby ona wczuła się w twoją. Dla nich to na pewno był szok, przynajmniej, że dla mnie poniekąd też – wyznałam skruszona.

Zaproponowałam kieliszeczek cytrynowki dla rozluźnienia atmosfery. Lila przyniosła lód z lodówki. Bardzo jej się podobały kostki lodu w kształcie serduszek.

– Jak ty go poznałeś? Jeździłeś do Nigerii? – zapytałam. Umoczyłam tylko usta w alkoholu. Lila wypila nalewkę jednym haustem.

– To kolega piłkarza, który gra w polskim klubie już dwa lata. Samuel mnie właśnie z nim poznał, a Samuela znam, bo to chłopak mojej koleżanki z bloku, Dominiki. Wie babcia, że ona teraz modelką jest i po świecie lata.

– Dominika Kocur? – zastanawiałam się głośno – Czy to nie jej mama przed laty wyszła za mąż za studenta z Libanu?

– Ona. Skandal był, wszyscy pamiętają, jak pani Kocurowa, porzuciona przez męża pijaka, zakochała się w Arabie, młodym studencie medycyny i po zejściu w ciążę wyszła za niego za mąż. Nie wiem, ile razy zostali pobici na ulicy, tylko dlatego, że odważyli się iść chodnikiem w objęciach. Polscy patrioci lali ich regularnie. Dominika mi opowiadała. Ona taka piękna właśnie z powodu tej mieszanki genetycznej.

Lila stanęła w drzwiach balkonu i zapaliła papierosa, wydmuchując dym na zewnątrz. Też była piękna, ale po słowiańsku.

– A ty kochana, nie jesteś aby przy nadziei? – zapytałam.

Nie musiała odpowiadać, znaki były na niebie i na ziemi. Upiłam spory łyk cytrynówki, uważając, żeby się nie zakrzusić. Moja wyobraźnia załamała się, kiedy usiłowałam sobie odegrać w myślach scenę narodzin czarnego prawnuka. Jak zachowa się Zuzanna i jej mąż? Czy odważą się go dotknąć? Patrzyłam, jak Lila nerwowo pali papierosa.

– Musisz rzucić palenie kochana, dziecku to bardzo szkodzi. Rzuć to świństwo i chodź, to się naradzimy. W końcu to dobra nowina! – Głos miałam radosny.

Lila zamknęła balkon, szybko schowałam butelkę cytrynówki. Nie popierałam palenia i picia alkoholu przez przysze matki, nie miałam zamiaru robić wyjątku dla wnuczki. Usiadłyśmy przy stole.

– Kiedy ślub?

– Za miesiąc. Nie bierzemy kościelnego, chociaż Maxwell nie jest muzułmaninem, ale zielonoświątkowcem. Gdybyś chociaż ty babciu przyszła na ten ślub w urzędzie... mama i tato nie przyjdą na pewno, już mi to obwieścili. Będą moi znajomi, ale nikt z rodziny, no to może chociaż ty... – Lila nie spuszczała ze mnie wzroku.

– A co ci po staruszce pośród młodzieży?

– Babciu, gdyby żyła Pola, na pewno by przyszła, ona jedna byłaby po mojej stronie. Ty wiesz, jak Maxwell się będzie czuł? Jak jakiś porywacz! Co ja mu powiem? Jutro mieliśmy zaaranżować spotkanie z rodzicami, sama widzisz, że szans na to zero. Może tu bym go przyprowadziła? – Zajrzała mi w oczy.

– Bardzo proszę! A jak twój narzeczony mieszka już chwilę w Polsce, to nie będzie zdziwiony, że rodzice mają coś przeciwko temu ożenкови.

Tym razem moja reakcja była natychmiastowa i szczerza. Ciekawa byłam, kogo pokochała moja wnuczka. Patrząc na nią, czułam, że naprawdę chodzi o poryw uczucia. Pola klaskałaby w dłonie, piała peany na temat miłości, nawet by nie zwróciła uwagi na fakt, że narzeczony nie urodził

się nad Wisłą. Uczyłam się od niej nowoczesności, tolerancji, poszerzenia, choćby siłowego, horyzontów. Wiele mi się udało, ale niczego nie zdołałam przekazać swojej córce! Jej umysł zamknął się na głucho, kiedy wstąpiła do ruchu oazowego. Tam poznała swojego przyszłego męża, a z pielgrzymki do Kalwarii Zebrzydowskiej wróciła w ciąży, mając osiemnaście lat i maturę za pasem. Lila doskonale o tym wiedziała.

– A gdzie będziecie mieszkać? W Polsce?

– A gdzie? – roześmiała się cokolwiek gorzko – Przecież do Afryki się nie przeprowadzę! Maxwell studiuje w Katowicach na AGH, za rok kończy, będzie inżynierem, a potem zrobi magisterium. Studiuje inżynierię naftowo-gazowniczą.

– No to pięknie! – Spadł mi kamień z serca, bo myślałam, że pan Nigeria chce się żenić z moją Lila dla dokumentu lub co gorsza, aby mu potem narkotyki woziła, jak nas w *Ekspresie reporterów* ostrzegali. Czarnoskóry inżynier nie powinien aż tak przeszkadzać mojej córce! Ciekawe, czy widziała film pod tytułem *Zgadnij, kto przyjdzie do nas na obiad?*, z Sidneyem Poitier w roli gościa.

– Babciu! Ja cię błagam, przyjdź na nasz ślub! – Lila nie dała się odwieść od tematu.

– Oj dziecko, stawiasz mnie w trudnej sytuacji, powzięłam już decyzję, że z domu nie wyjdę, jak raz wyjdę, to zaraz będą inne okazje, na przykład wesele Agnieszki, potem chrzciny, rocznice ślubów, komunie i tak bez końca. Nie mogę robić wyjątków. Trzeba nie mieć serca, żeby na staruszkę taką presję wywierać! A gdzie teraz się wybierasz? – tłumaczyłam cierpliwie.

– Wracam do Katowic. Maxwell wprawdzie mieszka w akademiku, ale gdzieś tam się zatrzymam na parę dni, a potem zobaczymy. Mam trochę oszczędności z moich włoskich wypraw, na bank coś wynajmiemy. Tłumaczę dokumenty różnym firmom, trochę zarabiam, szału nie ma, ale głodna nie chodzę.

Znów nasze spojrzenia się spotkały ponad stołem. Musiałam czynić swoją powinność.

– Zostaw mi numer konta oraz swoje dane. Prześlę parę groszy. To z pieniędzy Poli. Masz rację, ona by cię zrozumiała prędzej niż ja. Dysponuję jej środkami, nie jest tego mało, muszę dzielić sprawiedliwie i ostrożnie. Dziesięć tysięcy euro. Może być?

Lila zakryła dłonią usta. Lubiłam takie sceny, oj, jakże lubiłam! Nikt się nawet nie domyślał, ile Pola mi zostawiła w spadku, ponieważ pieniądze zostały zdeponowane w angielskim banku, na moim osobistym koncie, do którego miałam internetowy dostęp. Pewnie, że Jacek Kubelski wiedział o tym koncie, ale zawsze wychodził z pokoju, kiedy wstukiwałam swoim zgrabiętym palcem hasło. Raz na jakiś czas sprawdzałam, ile tam tych funtów leży i serce mi się radowało.

Kiedy już Lila wycalaowała mnie i wyściskała, dziękując za prezent gotówkowy, zaczęła niespodziewanie płakać. Smarkała w papier kuchenny, kręciła głową na boki, jakby czemuś zaprzeczała. Trwało to długą chwilę, nie przeszkadzałam jej, wyznając zasadę, że płacz oczyszcza. Kiedy już się uspokoiła, powiedziała, dlaczego tak się rozczuliła.

– Wyszło na to, że przyszłam tu po pieniądze! Ale tak nie jest babciu! Kocham cię nad życie! Tak mi teraz ciężko i czuję, że tylko ty mnie nie będziesz osądzać, właściwie przyszłam tu po dobre słowo, nie po pieniądze... – szlochała.

– Wiem kochanie, wiem. – Przytuliłam ją mocno do serca. – Nie rób sobie wyrzutów, zawsze chciałam ci coś dać z funduszu ciotki Poli, czekałam na odpowiedni moment. Tylko... nie chwal się nikomu, po prostu gospodaruj rozsądnie pieniędzmi. Jak urodzisz mi prawnuka czy prawnuczkę, znów cię wspomogę. No już, przestań rozpaczać, jedź do ukochanego, powiedz mu, że rodzice potrzebują trochę czasu, żeby ochłonąć. Na pewno zrozumie, a ja tymczasem przeleję ci te pieniądze. No już, już... nie rozpaczaj.

Uspokajałam ją, choć sama byłam trochę podenerwowana całym zajściem. Gdyby Zuzanna przed laty przyszła i obwieściła, że ojcem dziecka jest mężczyzna czarnoskóry, pewnie bym dostała zawału serca, nie mówiąc już, jak zachowałby się Waldemar, który wprawdzie był człowiekiem wysokiej kultury, ale też nigdy nie musiał stawić czoła jakiegś

przekrej nowinie dotyczącej bezpośrednio jego rodziny. Liliannie mówiłam co innego.

– Może, jak już go im przedstawiś, przekonają się, że to nie dzikus jakiś, tylko student, przyszyły inżynier, przystojny na pewno, zmienia zdanie...

– Bardzo przystojny, taki czuły, romantyczny, zupełnie inny od tych chłopaków, z jakimi się wcześniej spotykałam. Kocham w nim wszystko i nie widzę go jako Murzyna, po prostu nie. – Lila gorączkowała się. Zapewniłam ją, że nie musi mnie przekonywać, miłość widać było w jej oczach.

Czułam się niezwykle szlachetnie i wzniosie, kiedy żegnałyśmy się po chwili. Poprawiła sobie makijaż przed lustrem, spryskała się perfumami, jakie zawsze nosiła przy sobie w torebce, jeszcze raz mnie pocałowała na pożegnanie.

– Porozmawiam z twoją mamą – złożyłam obietnicę bez pokrycia. Lila posłała mi spojrzenie, które od razu mnie uwolniło od tej wcześniejszej deklaracji. Nikt nie powinien był się decydować na rozmowę z moją córką, jeśli miał nadzieję coś wskórać. Można ją było podejść, sprytnie pokonać, ale nigdy w spokojnej, racjonalnej rozmowie na argumenty. Obie wiedziałyśmy o tym aż za dobrze.

Istotnie, kiedy Zuzanna wpadła jak burza kwietniowa w moje progi następnego dnia, zachichotałam na myśl, że miałam zamiar z nią rozmawiać na temat akceptacji związku Lilianny z Nigeryjczykiem. Skończyłam oglądać uroczystości beatyfikacyjne z Watykanu, z zamiarem pomodlenia się do Ojca Świętego, poszłam na balkon, żeby spojrzeć sobie w błękit nieba i zaczerpnąć energii od Niego. Zawsze mi się to udawało, cieszyła mnie myśl, że będę mogła się do niego modlić, prosić pokornie o różne łaski. Oczywiście nie miałam zamiaru zawracać mu głowy byle czym, ale sprawa mojej wnuczki wydawała mi się wystarczająco istotna.

Wypatrzyłam moją córkę, jak zajęchała na podwórko. Trzasnęła drzwiami swojego samochodu tak energicznie, że spłoszyła ptaki odpoczywające na pobliskim drzewie. Na szczęście winda znów nie działała, więc biegnąc po schodach, zmęczyła się nieco, miała już mniej złych emocji w sobie, kiedy postępując się zapasowym kluczem, weszła do

mieszkania. Zdążyłam przejść do kuchni i zakręcić piruet koło lodówki. Przywitałyśmy się pobieżnie.

– No powiedz, czy nie pięknie było w Watykanie? Tak się popłakałam ze wzruszenia. A Karol stał gdzieś blisko na placu? Dzwonił? Opo-
wiadał? – zapytałam na początek.

Karol poleciał do Rzymu dzień wcześniej, podobno w asyście daw-
nych przyjaciół papieża. Zazdrościłam mu tej podróży, ja nigdy w Rzy-
mie nie byłam. Zuzanna odburknęła coś tak cicho, że nie zrozumiałam,
ale kiedy tylko usiadłam przy kuchennym stole, wypaliła z grubej rury.

– Lilka była tu wczoraj? Powiedziała ci?

Potwierdziłam skinieniem głowy. Owszem widziałam się z wnuczką,
ale nie chciało mi się mówić nic więcej.

– Ona oszalała. Kompletnie! Przecież nawet nie wiadomo, kim on
jest? Co to za człowiek?! Z jakiej rodziny pochodzi? Musiałam na mapie
sprawdzić, gdzie dokładnie leży Nigeria. Karol poleciał do Rzymu tak
zdenerwowany, ja nie wiem, czy zawału nie dostanie. Ale nasza córka
nie wydaje się tym przejmować, nie liczy się z naszym zdaniem ani na-
szym zdrowiem! Chciała go do nas przyprowadzić, dobrze, że Karol miał
wyjazd zaplanowany. – Wyrzucała z siebie słowa, jakby pestkami sło-
necznika pluła, ja milczałam sobie dostojnie. Nie mogła usiedzieć w
miejscu, otwierała i zamykała szafki kuchenne, zajrzała do lodówki,
wybiegła na balkon, przestawiła krzesła przy jadalnianym stole, poszpe-
rała w torebce, nie przestawała jazgotać.

– Ja nie wiem, czy to brak jest kawalerów w naszym kraju? Chce
iść za mąż, proszę bardzo, ale żeby tak od razu za obcokrajowca? Mama
wie, że on jest świadkiem Jehowy?

– Zielonoświątkowcem – sprostowałam szybko.

– Wszystko jedno. Nie jest katolikiem. Jaki ten ślub będzie? Cere-
monia w urzędzie, ot co! Nie tak to sobie wyobrażałam, na pewno nie
tak. Spotykała się z takimi fajnymi chłopakami, taki Milan na przykład,
syn lekarza. Albo ostatnio, rok temu przyprowadziła na obiad Filipa,
bardzo nam się spodobał, jego matka projektuje wnętrza, ojciec jest
przedsiębiorcą. Taki miły chłopak, przyniósł mi kwiaty. A wiesz, co ona

powiedziała? Że jest chodzącą nudą! Ciekawe, czym ją tak rozbawił obecny narzeczony? W ogóle, w jakim oni języku się porozumiewają? Nie... trzeba jej to wybić z głowy! To jest jakiś makabryczny żart!

Zaczynał mnie irytować potok słów. Wstałam od stołu, zmierzylam wzrokiem moją córkę górującą nade mną wzrostem.

– Daj już spokój dziewczynie – powiedziałam twardo.

– Spokoju nie będzie w takim związku! – Zuzanna ryknęła, uderzając otwartą dłonią w blat stołu. – Ona nie wie, co robi, bo jest młoda i głupia!

– Nie obrażaj Lilianny! – Mój ton nie był już ugodowy. – Nie ma w dzisiejszych czasach gwarancji udanego związku, najlepiej dobrane pary się rozwodzą. Są młodzi i zakochani, niech spróbują życia we dwoje.

– Mam nadzieję, że Lilka nie zajdzie z nim w ciążę, tego sobie już zupełnie nie mogłabym wyobrazić. Biała kobieta nie powinna rodzić czarnych dzieci.

Po tym oświadczeniu mojej córki wycofałam się w siebie. Czarny mężczyzna mógłby zostać zaakceptowany przez moją córkę i jej męża tylko pod warunkiem, że byłby kardynałem, najlepiej zaprzyjaźnionym z Ojcem Świętym, jeśli natomiast był studentem z Nigerii, pozostawał Murzynem. Zastanawiałam się przez chwilę, czy oświecić Zuzannę w kwestii jej rychłego stania się babcią? Najwyraźniej Lila pominęła tę wiadomość, kiedy anonsowała zamążpójście. Nie byłam przez nią upoważniona, ale zdecydowałam, że znacznie bezpieczniej dla mojej wnuczki będzie przygotować jej matkę na tę wiadomość. Podreptałam po cytrynówkę do szafki. Zuzanna stroniła od alkoholu, tylko od wielkiego dzwonu maczała usta w procentach, tak się przy tym krzywiła, że obrzydzała wszystkim dookoła wznoszenie toastów. Nalałam jej małą porcję do kryształowego kieliszka na wysokiej nóżce. Nic nie powiedziała, wahała się, czy wypić, czy odsunąć od siebie ten grzeszny napój.

– Wypij – zachęcałam – uspokoisz się. Wyśmienita ta cytrynówka. Własnej roboty... dobrze się przegryzła.

Patrzyła w szkło jeszcze przez kilka sekund, potem wlała sobie do

gardła całą pięćdziesiątkę, popiła wodą z karafki, pomasowała zdrętwiałą szyję. Nie znalazłam osoby, której by moja nalewka nie przyniosła rozluźnienia. Nie czekając, aż zdenerwowanie Zuzanny wejdzie w najgorszą fazę, powiedziałam obojętnym tonem.

– Lila jest w ciąży.

Zuzanna spojrzała na mnie z lekkim uśmiechem.

– Nie żartuj – parsknęła i zaczęła sobie poprawiać kolczyki w uszach. Dałam jej je w prezencie po śmierci Poli, bo sama nie miałam przebitych uszu. Szmaragdy w białym złocie, bardzo piękne, choć Pola nosiła je rzadko, przypominały jej jakiś przykry incydent.

– Pewnie bała ci się powiedzieć, ale chyba lepiej, jeśli się dowiesz ode mnie, mnie nie żrugasz, za dużo przeszliśmy razem – dodałam.

Zuzanna zamilkła na dobre. Nie wiem, o czym myślała, jak pracował jej umysł, w jakim tempie przetwarzał informację, natomiast ja pograżałam się we wspomnieniach.

Zuzanna po powrocie z pamiętnej pielgrzymki do Kalwarii Zebrzydowskiej unikała mnie przez kilka tygodni. Wiedziała, że zgrzeszyła, a grzech lada dzień miał ukazać się pod sukienką. Mnie nawet przez myśl nie przeszło, że świątobliwa Zuzanna, która do kościoła latała prawie codziennie, brała czynny udział w spotkaniach oazowych, wyśpiewując nowoczesne pieśni religijne, brzdąkając na gitarze w uniesieniu, zechce ze swoim równie świątobliwym kolegą Karolem zakosztować seksu. I to gdzie? Przy Kalwarii Zebrzydowskiej!

Przyszli rodzice, ona lat osiemnaście, on dwadzieścia, nie mieli tęgich min, kiedy do nas przyszli z nowiną. Karolem targało przerażenie, nie chciał usiąść ani stać, wirował po wielkiej kuchni w bezpiecznej odległości od Waldemara. Zuzanna całkiem skruszona, głośno pochlipująca wznosiła na nas zaczerwienione oczy i mokry nos. Od pierwszych słów uderzyli w rzewny ton, przyznając, iż popełnili straszny błąd, ulegając cielesnym pokusom. Nie zostało jasno powiedziane, kto kogo uwiódł, ale miałam wrażenie, że Karol usiłował ciężar winy przerzucić na młodą Zuzannę. Jemu naprawdę nie wypadało grzeszyć, będąc zaprzyjaźnionym z rodziną papieża. Co innego Zuzanna Pogorzelska, trzpiotka,

provokatorka, bez wspaniałych i nobilitacyjnych koligacji, ona mogła ulec szatanowi w chwili słabości.

Mój mąż Waldemar nie zrozumiał z początku, co nam młodzi usiłują zakomunikować. Zuzannę urodziłam w wieku trzydziestu ośmiu lat, niejedna brew uniosła się ze zdziwienia, przecież w tak późnym wieku nie powinno się zachodzić w ciążę, bo od dawna nie powinno się już uprawiać seksu. Artura urodziłam rok po ślubie w 1955, a Zuzannę dopiero w 1968. Chcieliśmy z Waldemarem mieć trójkę dzieci, zaraz po odstawieniu Artura od piersi, staraliśmy się o drugie, ale nie było nam dane, dopiero trzynaście lat później. Kiedy Zuzanna kończyła osiemnastę lat, mnie bliżej było do sześćdziesiątki niż pięćdziesiątki. Wiadomość o jej ciąży zupełnie nas oszołomiła. Skłamałabym, pisząc po latach, że byłam szczęśliwa w tym dniu. Oboje z Waldemarem zaliczyliśmy się do rodzaju ludzi spokojnych i wyważonych, dziś taką wstrzeźliwość w reakcjach nazywa się klasą, tak więc żadna awantura nie wchodziła w grę, jedynie nasze milczenie miało swój ciężar gatunkowy. Zorganizowaliśmy szybki kościelny ślub, całkiem okazałe przyjęcie na sto osób. Długo spłacaliśmy kredyt zaciągnięty na koszty weselne, cienko przędąc przed pewien czas.

Zuzanna musiała o tym samym myśleć, co ja, bo nagle wstała od stołu, zaczęła się kręcić niespokojnie, raz po raz zerkając na mnie.

– Przyznaję, że ja was zaskoczyłam ciążą i tak dalej, ale my z Karolem byliśmy przyjaciółmi, byliśmy parą, znaliśmy się, a ten?

– Zuza, przede mną nie musisz udawać – zaczęłam. – Nie chodzi oto, że go nie znamy, ani że nie wiemy, gdzie się wychował. Chodzi oto, że jest czarnoskóry. Twój wnuk będzie czarnoskóry, już go Lila pod sercem nosi, stało się, dzieciątko w drodze, bo chyba nie namawiałabyś córki... – powiedziałam do jej pleców.

– Oczywiście, że nie – odparła bez przekonania.

Mimo wszystko było mi jej żal! Te jej koleżanki nauczycielki, niby oglądzone, bardzo kulturalne, będą zaglądać do wózka, dziwować się. Żadna niczego wprost nie skomentuje, dopiero po powrocie do domu,

kiedy zamkną za sobą drzwi, zaczną się naśmiewać i drwić, aż popuchną z oburzenia, niezrozumiałej satysfakcji, że ich córkom to się nie przydarzyło. Rozłożą na czynniki pierwsze sytuację Zuzanny, a swoim mężom od progu obwieszczają: „No nie zgadniesz, jaką mam rewelację!”.

Moja córka tego się bała przede wszystkim. Ludzie krzywdzili się słowami, odkąd słowo powstało, i była to broń gorsza niż bomba atomowa.

– Pewna jest mama, że Lilka... – Zuzanna podjęła temat z nadzieją w głosie.

– Musisz ją zapytać, mnie potwierdziła, że jest.

– Jadę do domu, głowa mi zaraz eksploduje – powiedziała i zniknęła w łazience. Długo jej nie było. Chciałam już się położyć spać, tak mnie te ostatnie dni zmęczyły, choć przecież nie wychodziłam z domu. Poszłam do swojego pokoiku, zapaliłam lampkę przy łóżku, położyłam różaniec na stoliku i kolorową gazetkę plotkarską. Lubiłam się dowiedzieć, co porabiają moi serialowi bohaterowie po godzinach. Dziś miałam na sobie swój najlepszy dres, błękitnego koloru, z małym tylko napisem na prawej piersi „London Art”. Kupiłam go osobiście na rynku warzywnym za niecałe sto złotych, a sprzedawca dołożył mi jeszcze podkoszulek, który po pierwszym praniu stracił kolor i fason.

Zuzanna zapukała cicho do drzwi.

– Dobrze się mama czuje?

– Dobrze Zuziu, mną się nie przejmuj. Położę się dziś wcześniej, dzień był długi i pełen emocji. Pomodłę się do naszego Ojca Świętego, on już beatyfikowany. Może i ty się pomodl...

– Obawiam się, że Ojciec Święty by nie wysłuchał mojej prośby – odparła gorzko i wyszła.

Zaczęłam się powoli rozbierać z mojego sportowego dresu. Zasypiałam od wspomnień z przeszłości, a w ramiona Morfeusza odprowadzała mnie Pola w szyfonowej kremowej sukience. Tak pięknie była ubrana, kiedy ją po długiej przerwie zobaczyłam w Warszawie.

ROZDZIAŁ V

Po wizycie mojej wnuczki, a potem córki z rewelacjami matrymonialno-prokreacyjnymi zafundowałam sobie kilka dni absolutnego spokoju i wyciszenia. Nie spałam dobrze przez kilka nocy, wstawałam w ciemnościach, parzyłam melisę, czasem brałam melatoninę, odurzona szłam do łóżka kottować się w pościeli. Tak zniecka zastawał mnie świt. Około siódmej rano cały pion naszego bloku ruszał na spotkanie dnia. Codziennie zmuszona byłam nasłuchiwać tych odgłosów szykowania, począwszy od porannej toalety, na odpalaniu samochodów skończywszy. Ludzie uwijali się najpierw w swoich czterech ścianach, wykonując dużo ruchów, które z kolei uruchamiały sekwencję dźwięków i odgłosów. Potem przyspieszali, gnając w milczeniu do miejsc pracy, gdzie otoczeni hałasem, niczym roboty wykonywali ruchy, przemieszczając się na wyznaczonym obszarze. Stanowczo zbyt mało było ciszy w dzisiejszych czasach. Moja młodość była cicha, może dzięki temu na tak długo zachowałam przytomność umysłu?

Mijały dni, a moje wewnętrzne roztrzęsienie trwało. Chyba po raz pierwszy poczułam, że mam skończone osiemdziesiąt lat. Każdy przeżyty rok zawisł u mojego ramienia, wplątał się we włosy, uczeplił kolan, podstępnie ciągnął mnie w dół. Jednego dnia wcale z łóżka nie wstałam, aby sprawdzić, czy mogłabym się ewentualnie posunąć dalej i oprócz niewychodzenia z domu, nie wychodzić z łóżka? Jednak następnego poranka zwlekłam się z pościeli, dopełniłam toalety, czekając na Jacka. Nie widziałam go parę dni, uprzedził, że ma sprawy poza miastem i jak zwykle zapytał, czy może mnie zaniedbać na trochę. Dałam mu przepustkę, niechętnie odliczając czas do jego powrotu. Stał w drzwiach, natychmiast poczułam się lepiej, jeśli nie fizycznie, to na pewno psychicznie.

– „Tele Tydzień”, „Wprost”, „Angora” i „Na żywo”. Jak pani przeczyta, to ja sobie zamawiam „Wprost”, tam jest jeden artykuł warty uwagi. – Wypakowywał zawartość lnianej, ekologicznej torby na stół kuchenny. Gazetki przyjemnie pachniały farbą drukarską. Nie odważyły się jakiegś mojej gazetki otworzyć przede mną, dobrze wiedział, że nie znosiłam „naruszonej” prasy.

– Dobrze, teraz siadaj i powiedz, czego się napijesz, bo widzę, że zmachany jesteś.

– Może i jestem, ale pani też nie halo wygląda. Coś ze zdrowiem? Jakaś mi pani sąsiadka błada jest, co jest? Znowu ciśnienie spadło? Kiedy pani była ostatnio u lekarza? Przecież można by wizytę domową zamówić. – Przyglądał mi się uważnie. Jak na takiej pomiętej i pomarszczonej twarzy można wypatrzeć zmęczenie, naprawdę nie wiedziałam. Huknęłam, żeby mi głowy nie zawracał doktorami, a potem go przeprosiłam, bo przecież z czystej troski taką propozycję rzucił. Machnął tylko ręką, nie miał natury obraźliwej.

– W każdym razie, jakby co, to niech mi pani...

– Ty też błądny jesteś – przerwałam mu.

Nie mogłam się zdecydować, czy mówić mu, czy nie mówić o mojej wnuczce i Nigeryjczyku. Jacek był bardzo młody, może chociaż on miałby inne spojrzenie na tę sprawę, bo ja już nie dawałam sobie rady z głupimi rozterkami. Spać nie mogłam, uwierały mnie myśli fruujące wokół tematu koloru skóry wybranka mojej wnuczki, kąsały mnie boleśnie w tyłek. Dlaczego nie zakochała się w białym mężczyźnie? Jackowi powiedziałam prosto z mostu, jak bardzo mnie wkurza moja własna małość. On, wychowany w mieście średniej wielkości na południu Polski przez despotyczną matkę, nie wyjeżdżał za granicę, nie miał styczności z innymi kulturami czy osobami innej rasy, a zareagował nowocześnie.

– Teraz są inne czasy pani Tosiu! – mówił jasno i rzeczowo. – Ja osobiście nie mam żadnych uprzedzeń rasowych, wprost w głowie mi się nie mieści, jak ilość pigmentu w skórze może świadczyć na niekorzyść człowieka? Rzeszów jest nowoczesny, tutaj są uczelnie, studenci zawsze napędzają intelektualny rozwój miasta, nie ma się czego bać. Chyba pani

zauważyła, że w naszej telewizji występują kolorowe dziewczyny, tylko dlatego, że są kolorowe, teraz jest moda na ciemną skórę. Już niedługo moda przejdzie w normalkę, w sam raz jak pani kolorowy prawnuczek będzie szkoły kończył. Jego już nie będą wytykać palcami. – Jacek przegrzał kruche ciasteczka. – Dobrze! Sama pani piekła?

– Upiekłam w nocy, bo spać nie mogę. Chodzi oto, że ja też bym wolała, jak moja córka, żeby Lilianny mąż biały był... nawet sama nie wiem dlaczego? Jakoś tak, kiedy przyjdzie co do czego, kiedy w grę wchodzi nasi najbliżsi, wolelibyśmy jednak, żeby było tak, jak obyczaj nakazuje. Bo ja bym przyklasnęła wszystkim mieszanym małżeństwom, szczerze, bez mrugnięcia okiem, ale nie temu mojej wnuczki...

Jacek roześmiał się.

– Pewnie, co innego uroczy czarny Barack Obama, a co innego zięć czarny, ale jak mówię, nie będzie tak źle, wszyscy się w końcu przyzwyczają. Pamięta pani, jak tu, w bloku obok, Wietnamczyk mieszkanie wynajmował, co się na początku działo? Co mu pisali na drzwiach i co wrzucali do skrzynki na listy? Krzyczeli za nim „żółtek”, przebijali mu opony w samochodzie, robili mu głupie kawały, zamawiali prostytutki na jego adres, pamięta pani? A potem im się znudziło, dali spokój. Teraz jedzą w jego barze „Szanghaj” kluski z kurczakiem, czy co on tam serwuje, podobno za kumpla go mają. A ten Nigeryjczyk, narzeczony Lilki, nie piłkarz przypadkiem?

Pokręciłam głową.

– Szkoda. Ale z drugiej strony, to nie ma chyba gorszego materiału na męża jak piłkarz. Ci to naprawdę nie szanują kobiet. Jest taki angielski piłkarz, nazywa się Rooney, kiedy został zdemaskowany jako zdrajca ciężarnej żony, to zamiast ogon pod siebie skulić, na kolanach o przebaczenie błagać, pyskował w prasie, że jego żona oraz jej rodzice żyją w luksusach za jego pieniądze, więc powinni się zamknąć i pozwalać mu na wybryki, bo bez niego są zerem! Czytałam o tym w Internecie. Co za cham! Gdyby miała Lila takiego piłkarza trafić, to lepiej za kelnera iść. – Jacek wstał od stołu i poszedł do przedpokoju. Wrócił z odkurzaczem.

– Przelecę salonik, bo nakruszyłem – powiedział. Zanim zdążyłam zareagować, już głaskał dywanik wełniany z włosom, równymi ruchami, potem jeszcze firanki uniósł i pod ścianami odkurzył. Wszystko trwało pięć minut, mnie zajęłoby to całe przedpołudnie. Umył ręce, wytarł ręcznikiem, usiadł na mojej kanapie przy oknie.

– Niech się pani nie zamartwia! Są gorsze rzeczy niż małżeństwo z Nigeryjczykiem!

– Ale to nie o innych ludzi chodzi, tylko o nas! Ja spać nie mogę, taka jestem zła na siebie, kiedy pomyślę, jak będą jej do wózka zaglądać, komentować, że dziecko ma czarne – powiedziałam płaczącym głosem.

– A może nie będą? – Jacek wyjął papierosy z kieszeni, poczęstowałałam się, dymek pasował do naszej rozmowy. Przeszliśmy na balkon.

– Niewykluczone, że za jej plecami będą gadać, że się z Murzynem puściła, czy temu podobne niewybredne komentarze, ale w oczy jej chyba nikt niczego nie wyrąbie. Jednak w rodzinie, u przyjaciół znajdzie pełne zrozumienie, co?

Zaciągnęłam się z rozkoszą, wolniutko wypuściłam sobie kłębek dymu. Była to dla mnie wciąż przyjemność.

– W rodzinie? Mój syn, zazwyczaj taki akuratywny i nowoczesny, wiesz jak to skomentował? „No to się Lila doigrała?”. A rodzice, no cóż, jakby tu powiedzieć i nie skłamać, nie chcą jej znać! – Wyjawiłam sytuację na jednym oddechu. Jacek siłą brwi przywołał do porządku, ja zdążyłam odnotować jego zdziwienie.

– Co ich nie zabije, to ich wzmocni, jak się kochają, to przetrwają – powiedział szybko. – W ostateczności wyjadą za granicę, na przykład do Anglii, gdzie ludzie się mniej dziwią mieszanym małżeństwom. Ludzkich języków nie poskromisz, tak było z moją siostrą i mamą, pamięta pani, co się wygadywało na nasz temat? Pewnie do dziś ludzie gadają, tylko za moimi plecami...

Jacek wrzucił niedopałek do słoiczka z wodą, jaki trzymałam dla niego na balkonie zamiast popielniczki. Ja jeszcze rozkoszowałam się niko-
tyną, która już mi nie była wstanie zaszkodzić. Nigdy się nie uzależniłam od papierosów, choć palenie sprawiało mi wielką przyjemność, większą

jeszcze niż kieliszek wina do obiadu. Z biegiem czasu mój smak się stępił, nic już naprawdę nie smakowało wybornie. Ani jedzenie, ani picie.

Jacek wychylał się przez balkon.

– A jak sobie sam radzisz? – zapytałam. Od dawna zbierało się na tę rozmowę, właściwy moment długo nie chciał przyjść. Ja w buciorach nie miałam zamiaru wkraczać w najdelikatniejsze obszary, ale gotowa byłam, kiedy tylko on wysłałby sygnał, podjąć bolesny temat.

– Radzę, pani Tosiu, radzę. Wiosna przysła, lubię, jak jest ciepło, pewnie w piłkę zacznę grać z chłopakami na podwórku.

– Pochwalam. Wysilek fizyczny jest cudownym lekarstwem. Ja już się nie ruszam rzecz jasna, ale chętnie ci z balkonu pokibicuję. Tęsknisz? – Obydwoje spojrzeliśmy w dół na kopiających piłkę chłopców. Nie mieli boiska, wydeptywali trawnik do gołej ziemi, dwa młode drzewka służyły im jako bramka. Jacek dostawał SMS-y co kilka minut, nie odpisywał, tylko sprawdzał wiadomość, mrużył oczy, potem wracał do rozmowy ze mną.

– Nie. Tęsknić nie tęsknię, ale chciałbym być albo dużo młodszy, albo dużo straszny w tej chwili. Do domu dziecka jestem za stary, na dorosłe życie niegotowy.

Powiedział, patrząc mi w oczy.

Minęło zaledwie kilka miesięcy od śmierci jego matki. Siedziałam tego dnia przed telewizorem i oglądałam poranny program. Jolanta Pieńkowska tak mnie zirytowała swoją manierą niedopuszczania gości do głosu, że zmuszona byłam *Dzień Dobry TVN* przełączyć na TVN 24 i posłuchać Kuźniara, który również mnie denerwował, kiedy tak z tych pogodynek drwił, przerywał im, bezczelnie odbierając czas antenowy. Przecież one miały tylko kilka sekund, żeby coś dowcipnego i ciekawego powiedzieć, on siedział godzinami na wizji, a mimo to drogocenne sekundy im wrywał. Jacy oni byli zachłanni na te występy! To musieli być bardzo próżni ludzie.

Pamiętam, że zagotowałam sobie wodę na jajko, zrobiłam biały serek ze szczypiorkiem na drugie śniadanie. Miałam zamiar zabrać się do

parzenia herbaty, kiedy ktoś zapukał do moich drzwi. Pukanie było cichutkie, nasłuchiwałam przez kilka sekund, może mi się przesłyszało? Słuch miałam wprawdzie doskonały, jednak oczy mi się popsuły, czytanie męczyło. Rozsypałam parę wiórków herbaty cytrynowo-imbrowej na blat, nie sprzątnęłam po sobie, tylko ruszyłam do przedpokoju sprawdzić, kto mnie z rana odwiedził. Dziwne, że pamięta się takie nieistotne szczegóły. Podeszłam do drzwi, wspięłam się na palce, spojrzałam przez „judasza”. Po drugiej stronie stał Jacek. Miał taki wyraz twarzy, jakby się starał zapanować nad głupim uśmiechem. Przeszło mi wtedy przez myśl, że chce pożyczyć ode mnie pieniądze, bo zmajstrował dziecko swojej dziewczynie! Była to niedorzeczna myśl, ja sama nie wiem, skąd takie dziwne pomysły pchają się do mojej głowy. Jacek nawet nie miał dziewczyny. Wpuściłam go do mieszkania. Mruknął ledwie dzień dobry, usiadł na moim angielskim fotelu, czego nigdy wcześniej nie robił, i powiedział, patrząc na mnie wesołymi oczami:

– Pani Tosiu... nieszczęście. Stało się nieszczęście.

Przewierciłam go wzrokiem. Jakiś potargany mi się wydał.

– Co się stało? Coś z Agatą?

Jacek Kubelski był ładnym chłopcem. Miał ciemne włosy, zielone oczy, oliwkową cerę i mały, kształtny nos. Słusznego wzrostu, proporcjonalnie zbudowany, trzymał się zawsze prosto jak sportowiec. Nie miałby problemu z uwiedzeniem każdej panny w okolicy, gdyby tylko chciał, ale nie palił się do romansów, twierdząc, że dziewczyny go jednak trochę nudzą. Teraz siedział wciśnięty w mój rozkładany fotel, rozglądał się po pokoju jak przy pierwszej wizycie, gdy był jeszcze dzieckiem. Nie poganiałam go. Wyłączyłam telewizor, gdzie rozdęty polityk znowu urządził sobie konferencję prasową, plótł głupstwa z nadętą miną, śliniąc mikrofon. Co to za ludzie do tej polityki się dostali? Skąd oni się biorą?

Jacek spojrzał na mnie przenikliwie. Odłożyłam pilota, usiadłam na krześle przy stole, wygładziłam haftowaną w róże serwetę i czekałam. Odezwał się po dłuższej chwili.

– Trzeba by na pogotowie zadzwonić, albo na policję, albo i tu i tu, sam nie wiem.

– Zadzwonimy, gdzie trzeba, tylko opowiedz spokojnie, co się stało.

Poszłam po książkę telefoniczną, choć wszystkie numery ratunkowe przecież każdy zna na pamięć. Wzięłam słuchawkę z bazy, podałam Jackowi. Moje ruchy były zgrabne, wręcz szybkie, adrenalina mnie rozruszała na dobre, chciałam, aby zobaczył, że jestem w doskonałej formie i na pewno mu pomogę w jego problemie. Nie skupiłam się, aby spekulować, co strasznego mogło się wydarzyć, skoro mamy dzwonić na policję. Odczekałam jeszcze dwie minuty, zanim zapytałam:

– Gdzie dzwoniemy?

Miałam stanowczy ton, jaki powinna mieć osoba, która bierze sprawy w swoje ręce. Obróciłam w zdenerwowaniu obrączkę na palcu, trochę mi się ręka trzęsła.

– Trzeba dać znać wszystkim – odparł, ale już się nie uśmiechał. Pomierzył włosy na czubku głowy, przyłożył sobie zgięte palce do oczodołów, przez chwilę je lekko uciskając. Przyjrzałam mu się jeszcze dokładniej. Nie łudziłam się już, że chodzi o jakiś drobiazg. Mięśnie twarzy mu drgały w nieskładny sposób, powodując, taki śmiejący grymas, który znów się pojawił wokół ust. Jacek Kubelski był w szoku.

– Chyba zadzwonię na policję... – powiedział, ale nie zaczął wybierać numeru. Słuchawka leżała na oparciu fotela, obydwójce na nią patrzyliśmy.

– To może ja zadzwonię – zaproponowałam – poproszę, żeby przyjechali, co? Duszno tu, uchylę okno.

Jacek skinął głową. Wzięłam słuchawkę, usiadłam przy stole niezłym pierwszy sekretarz gotowy do narady. Zrobiłam sobie trochę miejsca na blacie, uprzątnęłam gazety, porcelanowy talerzyk po porannej kanapce z miodem, ułożyłam prosto notes oraz dwa zaostrzone ołówki, organizując coś w rodzaju biura,

– Dzwonić? – zapytałam, kiedy minęła kolejna martwa minuta. Jacek spojrział na mnie bardzo przytomnie. W jego oczach odnalazłam szybkie dzieciństwo, dorastanie, pierwsze fascynacje i ostatnie porażki, jakich zdążył doznać. Przez twarz przetoczyły się przeżyte lata, jakby

ktoś cofnął film w przyspieszonym tempie.

– Mama powiesiła się w piwnicy – powiedział. – Obudziłem się rano, znalazłem jej list w kuchni, prosiła, żebym się opiekował Agatą, ale ja nie będę jej pani sąsiadko stawiał tacek z jedzeniem pod drzwiami. Jak chce jeść, to będzie musiała wyjść z pokoju.

Wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem, z nadzieją, że się prześlyszałam, nawet westchnienie grozy uwięzło mi w gardle.

– Tak. Mama tam kłęczy ze sznurkiem na szyi przywiązany do rury, a ja miałbym Agacie naleśniki smażyć? – kontynuował. – Zamknąłem drzwi piwnicy, żeby jakieś dzieciaki tam nie weszły. Zawsze lubiłem bawić się w piwnicy, jak byłem gówniarzem. Mój rower tam jest. Stoi przy mamie, jakby jej pilnował.

– Jacku, czy mama na pewno...

– Na pewno. Jest zimna jak sople lodu. Zapaliła sobie znicz, wierzy pani? Dalej się pali, nie gasiłem, ale może trzeba było, żeby jakiegoś pożaru z tego nie było?

Mówił roztropnie, oddzielając słowa małymi pauzami.

– A Agata wie? – zapytałam. Jacek zaprzeczył.

– Nawet nie wiem, czy by ją to obeszło, czy by dotarło? Pani Tosiu, mógłbym się położyć u pani na chwilę?

– Idź, połóż się w gościnnym, ja podzwonię gdzie trzeba – powiedziałam i zaczęłam wertować książkę telefoniczną. Jacek wstał z fotela, poszedł do małego pokoju, gdzie trzymałam laptop i gdzie stało wygodne łóżko z Ikea przeznaczone dla gości, którzy zostawali u mnie na noc.

Zawahałam się przez chwilę, próbując rozstrzygnąć, czy nie powinnam zejść do piwnicy, sprawdzić, co tam naprawdę się stało? Jacek był przy zdrowych zmysłach, tu wątpliwości nie było, jednak obawiałam się wszcząć alarm bez absolutnej pewności co do wydarzeń. Założyłam sweter na ramiona, ale kiedy już wsunęłam klapki na stopy, ogarnął mnie strach. Niejednego trupa widziałam w swoim osiemdziesięcioletnim życiu, widok zwłok nie przerażał mnie, ale tym razem poczułam przezywające, dziwne dreszcze.

Może dlatego, że chodziło o piwnicę? Od dziecka nie lubiłam miejsc

znajdujących się pod ziemią. Nie pozwalałam dzieciom bawić się w bunkrach z powodu swojej własnej fobii. Wielokrotnie śniło mi się, że winda, którą jadę, mija parter, nie zatrzymuje się, jedzie dalej pod ziemię, niżej i niżej, na wewnętrznych drzwiach już nie przelatują numerki, wskazując numer piętra, same drzwi stają się najpierw coraz ciemniejsze, winda zaczyna niebezpiecznie zgrzytać. Ten sen mi się przypominał, kiedy miałam zejść do piwnicy i sprawdzić, czy pani Kubelska faktycznie nie żyje. Cofnęłam się rozklekotana strachem.

Z pokoju, gdzie leżał Jacek, nie dochodziły żadne dźwięki, słyszałam tylko swój własny puls w skroniach, niski, oraz chrapiący głos opowiadający słuchawce o samobójstwie sąsiadki Ireny Kubelskiej. Byłam wzorowo opanowana, odpowiedziałam na wszystkie pytania, zerkając co chwila na drzwi, za którymi zniknął syn samobójczyni. Nie chciałam go zostawiać zbyt długo samego.

Kiedy skończyłam rozmowę, zajrzałam ostrożnie do pokoju. Jacek leżał na wznak, trzymał telefon komórkowy w dłoni i patrzył w sufit. Nie ruszył się, jak weszłam, zamknął tylko oczy. Usiadłam na krawędzi łóżka. Tak mi go było żal, że z trudem powstrzymywałam napierającą na powiekę łzę.

– Tyle ci spadło na barki, biedaku – powiedziałam.

Lekki uśmieszek, tym razem naturalny, rozjaśnił okolice jego ust.

– Zadzwoiłam, gdzie trzeba. Powinni za jakieś małe pół godziny przyjechać. Odpocznij sobie, posiedzę tu, popilnuję twojego odpoczynku. Taki brzydki dzień za oknem... ile już ta zima trwa? Od pierwszego listopada? Wydaje mi się, że kiedyś zimy były ostrzejsze, ale krótsze. W 1953 roku odmroziłam palce u nóg! Wierzysz? Okupację przetrwałam bez uszczerbku na zdrowiu, a w wolnej Warszawie nogi odmroziłam...

Jacek zwrócił głowę w moją stronę i popatrzył na mnie.

– Pani już niejedno w życiu widziała, czy nie?

– Widziałam Jacku, owszem, więc powiem ci, że z każdej tragedii można wyjść, prędzej czy później, ale można – mówiłam z przekonaniem – choć w tej godzinie wydawać się może, że wyjścia nie ma... Wrócą ci siły, zobaczysz...

Jacek ścisnął telefon komórkowy w dłoni. Przychodziły SMS-y, coś tam pisało co chwila.

– Wczoraj mama jakaś dziwna była – zaczął. – Myślałem nawet, że sobie wypija, bo tak mamrotała niewyraźnie, ona nigdy nie tykała alkoholu. Dziwna była już od jakiegoś czasu, wie pani, taka zmęczona, zamysłona, a Agatka dawała popalić! Znowu się pochlastała, nie chciała jeść. Ten terapeuta, co z nią zaczął w sieci rozmawiać, powiedział mi, że to bardzo trudny przypadek i po miesiącu się poddał. Przechodziła samą siebie, jak przegięła, to się uspokajała i tak w kółko. Kompletny świr ta moja siora. Co ja z nią teraz zrobię?

– Nie zostawimy jej bez pomocy, teraz musimy załatwić sprawę z pogrzebem. Mama ma jakąś rodzinę? – Pozwalał mi się głaskać po zaciśniętej pięści, w której trzymał telefon.

– Z ojcem kontaktu nie mamy, ale mogę go odnaleźć, tylko po co? Dwa lata temu do niego zadzwoniłem, żeby mu powiedzieć o chorobie Agaty, ale zbytnio się nie przejął. Przysłał trzysta złotych. Mama ma siostrę w Kielcach, są oficjalnie pokłócone, jakieś tam sprawy spadkowe, w każdym razie nie rozmawiają ze sobą. Ma jedną koleżankę, ja jej nie lubię, podła menda. Niby głową biła w nagrobek papieża w Rzymie w czasie beatyfikacji, a po powrocie z pielgrzymki ścieki spuściła sąsiadom do ogrodu i psem poszczuła ich dziecko. Nie chce użyczyć drogi ludziom, co działkę obok niej kupili, sądem straszy. Cudzego nie chcę, ale swojego też nie dam, taka to filozofia. Tak sobie myślę, że papież by jej sobie nie życzył w Rzymie na beatyfikacji... Nie będę do niej dzwonić.

Jacek jeszcze przez chwilę głośno zastanawiał się, kogo może poinformować o śmierci matki, kto powinien iść za trumną? Trzeba było wybrać jakiś przyzwoity cenowo dom pogrzebowy, uzgodnić z księdzem pochówek, wybrać fason trumny, kwiaty, rozwiesić klepsydry, odprasować czarną sukienkę... czekało nas sporo roboty. Szybko wyczerpaliśmy temat organizacji pogrzebu. Znow nadciągnęło złowrogie milczenie.

– Jak to jest pani sąsiadko – Jacek odezwał się nagle całkiem przytomnie – że jedni sobie żyją w luksusie, nie chorują, szampan złopiają,

ładne dzieci płodzą, a inni mają przesrane od urodzin do śmierci? Bez dnia wytchnienia. Kto tym rządzi?

Oddychał głęboko, jakby ćwiczenia robił.

– Ano tak to już jest na tym świecie. Niezbyt sprawiedliwie – odparłam.

– A jak po śmierci też nie będzie sprawiedliwości? Co wtedy? – Zaglądnął mi w oczy. – Muzułmanie liczą na towarzystwo pięknych hurys po męczeńskiej śmierci, a my na co liczymy? Że będzie pięknie, że ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało? Wiadomo, że żadnych pięknych dziewic nie ma na tamym świecie, głupi muzułmanin wybiera głupią śmierć i będzie głupio rozczarowany na koniec. A my, mądrzy chrześcijanie? Też może wierzymy w jakieś niebo, którego nie ma. Może z naszych oczekiwań i wiary muzułmanie się śmieją tak jak my z ich? Najmądrzejszy, co w nic nie wierzy, nie da się oszukać. – Jacek wbił we mnie wzrok. Miałam gotową odpowiedź.

– Bez tej, jak twierdzisz, głupiej wiary, życie byłoby całkiem nie do zniesienia – powiedziałam. – Lepiej się tej wiary trzymać, bo w końcu jakby się miało okazać po śmierci, że tam nic nie ma, to wiesz... nie będziemy rozczarowani, bo nas też nie będzie.

– To pani też ma wątpliwości? – Uniósł się na łokciu. – To się wszystko kupy nie trzyma, takie wielkie sprawy Pan Bóg zaplanował, a takimi małymi umysłami nas obdarował.

– Jacek. Nie bluźnij, ja ciebie bardzo proszę. Obiecuję, że sobie kiedyś, ze spokojem porozmawiamy na trudne tematy, ale może teraz, kiedy jesteś taki... podenerwowany, lepiej nie.

– Dobrze. Przepraszam – odparł szybko.

– Odpoczywaj...

Dwa razy mruknął do siebie słowa „wielka ściema”, nie wnikałam, co miał na myśli.

Złą chwilę między nami przerwało energiczne pukanie do drzwi. Poszłam otworzyć, Jacek odwrócił się na łóżku plecami do drzwi, ale kiedy wszedł policjant, wstał z posłania i posłusznie pomaszerował na dół, posyłając mi spojrzenie zbitego psa. Mili policjanci przepytawali bardzo

pobieżnie o okoliczności wydarzeń, podczas kiedy lekarka w piwnicy oficjalnie stwierdzała śmierć Ireny Kubelskiej. Nie proponowałam im poczęstunku, chciałam, aby jak najszybciej się wynieśli. Duszności zaczęły mi dokuczać, szumiało w głowie, w miarę jak serce przyspieszało, myśli zwalniały, wyczerpałam się do granic możliwości.

Nie wyszłam na balkon, żeby patrzeć, jak wynoszą zwłoki, nie czułam takiej potrzeby. Kilka minut wcześniej, kiedy wyrztałam przez okno, zobaczyłam, że utworzyła się spora grupa gapiów wokół wejścia do bloku. Zwabieni widokiem karetki, karawanu i lśniącego auta policyjnego ludziska zajmowali najlepsze pozycje do obserwacji. Wycofałam się do mieszkania, dopiero kiedy rozjechały się już wszystkie auta, otworzyłam drzwi balkonowe, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Uspokajałam oddech, zażyłam tabletki, odpuścił ucisk w okolicy skroni. Sąsiadka z balkonu obok zaczęła nawoływać.

– Pani Pogorzelska! Pani Antonino! Niech no tu pani do mnie przyjdzie!

Nie miałam zamiaru wychodzić na zewnątrz, ale kiedy pohukiwania wścibskiego babska stały się bardzo natarczywe, złamałam postanowienie, poczłapałam na balkonową konferencję.

Moja sąsiadka nazywała się Ludwika Gierek, ale wszyscy nazywali ją Lucyną. Nie należała do przyjemnych osób. Nie była w ogóle skoligacowana z pierwszym sekretarzem Edwardem Gierkiem, ale wiele osób myślało, że jest. Unikała rozmowy na ten temat, gdyż bardzo jej imponowało to domniemane ze względu na zbieżność nazwisk pokrewieństwo. Gierek Polakom dobrze się kojarzył, nie był siepaczem i prostakiem jak jego poprzednicy, chciał nas otworzyć na świat, zdawało się, że jednym ruchem pootwierał okna w naszym dusznym kraju. Przeciwiństwo Gomułki i Bieruta, energiczny, na swój sposób przystojny, Edward Gierek był niczym Kennedy, tylko jego tłusta żabka Stasia nie bardzo przypominała Jacqueline. Moja sąsiadka musiała być do sekretarzowej kiedyś podobna, ale tony kartofli, słodkich placzków, jakie spożyła przez lata, zrobiły swoje, więc Lucyna Gierkowa była teraz, w wieku sześćdziesięciu lat, dwa razy większa niż Stanisława Gierek. Kiedy żył jej mąż, a był

to całkiem przyzwoity człowiek, choć czy przyzwoity człowiek ożeniłby się z taką koszmarną babą, sam mi powiedział, że on „nie jest z tych Gierków”. Po jego nagłej śmierci, jakieś pięć lat temu, Lucyna mogła już bezkarnie uzurpować sobie prawo do korzystania z legendy sławnego nazwiska PRL-u. Jej syn był lekarzem, więc całe mieszkanie Gierkowej tonęło w kwiatkach, bombonierkach, bułgarskich koniakach, ponieważ doktor nie chciał trzymać prezentów we własnym domu, aby go kiedyś panowie walczący z korupcją nie wyweleki rano z domu w skarpetkach. Lucyna Gierek nigdy nie poczęstowała mnie najmniejszą nawet czekoladką z tych wymyślnych zestawów Wedla, Wawela, Lindta, Solidarności, Jutrzenki itd. Kwiatki nosiła do kościoła, koniaki wręczała księżom, lekarzom specjalistom, a czekoladki, rzecz jasna, sama zjadała. Jednak to nie jej tusza i pazerność była najprzykrzejsza, ale wścibstwo!

– Pani Pogorzelska... Słyszała pani? Kubelską zabili... – powiedziała podnieconym głosem.

Owinięta pledem usiadłam na fotelu wiklinowym. Nie padało, ale wiał nieprzyjemny, przenikliwy wiatr. Nikt bardziej nie tęsknił za słońcem niż ja. Tak mi się marzyło, żeby w ciepły dzień zjeść na balkonie śniadanie, wystawić zmarszczki do słońca. Lato zawsze mijało bardzo szybko, a zima i jesień ciągnęły się w nieskończoność.

– Pani Kubelską nie żyje, tyle wiem – odparłam.

– Przed chwilą ją wynieśli, widziała pani? Pani powiem, że to było do przewidzenia, musiało się tak skończyć. Ona już nawet sąsiadom „dzień dobry” nie mówiła! Kto ja zabił, wie pani? No chyba nie Jacek? Do kościoła ostatnio nie chodziła, od Boga się odwróciła, to i stało się nieszczęście. Ona dziwna była, zawsze powtarzałam mężowi, że dojdzie do jakiejś tragedii, ale mąż jej bronił, mawiał, że samotnej kobiecie ciężko, a ja proszę, też samotna, radzę sobie, choć lekko nie jest.

Powinłam była zamknąć z trzaskiem drzwi, nie mogłam jednak znieść myśli, że Gierkowa cały dzień będzie ludziom sugerować, że Jacek zabił matkę. Już ją widziałam wystrojoną, lejącą do sklepu na dole z plotami wokół ust niczym ślina wściekłego psa. Spędzała tam sporo

czasu, oparta o ladę, opowiadając niestworzone rzeczy na sąsiadów, grzebiąc z lubością w ich prawdziwych i zmyślonych sprawach. Zawsze znalazła wiernych słuchaczy, inne plotkary gotowe dodać swoje trzy grosze, porównać zasłyszane wersje, pastwić się nad bliźnimi, uwielbiały ją. Przestałam w tym kłębowisku żmij robić zakupy już dawno temu. Miałam również absolutną pewność, że kiedy wychodziłam, zaczynały mnie obgadywać. Poza tym właścicielka naszego osiedlowego sklepu wciskała klientom przeterminowane towary, zachwalając artykuły jako rarytasy.

Zwróciłam się do sąsiadki oficjalnym tonem:

– Pani Lucyno, ja bardzo proszę, niech pani nie opowiada, że ktoś Irenę Kubelską zabił. Popelniła samobójstwo – powiedziałam spokojnie. Gierkowa złapała się za szyję i wydała z siebie krótki okrzyk zgrozy.

– O Jezu słodki! To jeszcze gorzej! Skąd pani wie? Teraz taki świat zepsuty. Ja to przepowiedziałam. Jak Kubelski uciekł z tą lafiryndą, powiedziałam mojemu mężowi, że Irena tego nie wytrzyma! Samobójstwo... w jaki sposób? Otruła się? Wczoraj gazem śmierdziało na klatce...

– Nie otruła się – powiedziałam szybko.

Gierkowa trajkotała dalej, nie zważając na moją demonstrację niechęci.

– Nie dziwię się temu Kubelskiemu, pamięta pani, jaki to przystojny mężczyzna był? Irenka takie chuchro, oczy zapadnięte, klatka zapadnięta, nogami powłóczyła, jakby ważyły kilka ton... Mogła sobie ułożyć życie po jego odejściu, a mało to kobiet wychodzi drugi raz za mąż? Ale zdaje się wołała zostać męczennicą. W kościele siadała z tyłu, już jej dawno nie widziałam na mszy. Podobno księdza z kolędą nie wpuściła przez ostatnie dwa lata, no to jak to się mogło skończyć? Niech pani sama powie?

– Zimno, pójdę sobie herbaty zaparzyć. Do widzenia. – Zaczęłam zamykać drzwi od balkonu. Żegnały mnie słowa sąsiadki.

– Pewnie jej ksiądz nie pochowa na cmentarzu... w końcu to ciężki grzech odebrać sobie życie. Ja bym w każdym razie nie życzyła sobie leżeć obok samobójczyni...

Uciekłam do mieszkania, nie sposób było dłużej jej słuchać.

Tydzień później pochowaliśmy Irenę Kubelska, a wbrew przewidywaniom Gierkowej pochówek nie miał miejsca za płotem cmentarza, tylko na jego terenie. Jacek biegał, wszystko załatwiał, ustalał, ale zachodził do mnie co wieczór, żeby zdać relację, gdzie mu dobrze poszło, a gdzie kiepsko. Najbardziej narzekał na panie w Urzędzie Stanu Cywilnego, które wypisywały akt zgonu. Nieprzyjemne, poirytowane, zadające pytania, na które Jacek nie znał odpowiedzi, więc się z nimi pokłócił. Wychwalał natomiast zakład pogrzebowy oraz kobiety tam pracujące. Udzieliły mu porad, wszelkiej pomocy przy wybieraniu kwatery na cmentarzu, koloru trumny, doboru kwiatów, a także treści oraz oprawy graficznej klepsydry. Okazały współczucie, były niezwykle delikatne w rozmowie, przesiedział u nich krytyczne dwie godziny. Na koniec poczęstowały go kawą i delicjami.

Na pogrzeb przyszło kilkanaście osób, nie znałam nikogo poza Jackiem, dwoma sąsiadkami z dołu i Gierkową, która gdyby mogła, robiłaby zdjęcia żałobnikom, tak była zainteresowana wszystkimi dookoła. Agaty oczywiście nie było, nawet Jacka nie pytałam, czy ją karmi czy nie. Za dużo przy tym temacie było jego bólu, złości, bezsilności i buntu, czekałam, aż rana choć trochę przyschnie.

Tydzień po pogrzebie poszłam do ich mieszkania, żeby zaoferować pomoc albo przynajmniej upewnić się, czy nie dzieje się u nich coś złego. Myśli miałam potworne, koszmary mi się śniły, windy jeżdżące w dół w opuszczonej kopalni, to znów Irena Kubelska prosząca, żeby jej dziurę w trumnie zrobić, bo oddychać nie może, Pola czuwająca przy umierającym mężu i mój brat Stasiak pijący wino z wysokiego kielicha. Zaczęłam się żarliwie modlić o spokój duszy pani Ireny, po cichu dodając prośbę do Bożi o mój własny spokój, bo wieczorami zamieniałam się w galaretę. Poszły w ruch zioła i różaniec, na zmianę. Nie wiem, czy ktoś jeszcze modlił się za nią, podejrzewałam, że Jacek raczej nie. Uścisnął księdzu rękę po nabożeństwie, ale tak jakoś niechętnie, odszedł szybkim krokiem, nawet na mnie nie zaczekał. Wróciłam taksówką, ignorując względy ekonomiczne i kłapanie Gierkowej, aby na autobus razem

zaczekać. Mogłam ją do taksówki zaprosić, nie uczyniłam jednak dobrze uczynku przy tej okazji.

Zapukałam energicznie w drzwi mieszkania rodziny Kubelskich. Jacek wpuścił mnie, zapraszając szerokim gestem.

– Choć raz to ja mogę panią ugościć! – powiedział zamiast powitania.

Zrobiłam mu miłą niespodziankę, wyściskał mnie w progu.

– Proszę do środka, nie będzie obciachu, bo wczoraj posprzątałam.

Mieszkanie było duszne i zagracone. Na ścianach przedpokoju wisiały reprodukcje wszystkich znanych mistrzów malarstwa, na podłogach zalegały kolorowe dywany w prążki, fikuśne kwadraty, ściany pomalowano na kolor dojrzałej pomarańczy. Rozkład mieszkania był identyczny z moim, więc pewnym krokiem pomaszerowałam do gościnnego. Największy pokój mieszkania pomalowany był na słonecznikową żółć. Na całej ścianie królował mebel składający się z segmentów – szafa, półki na książki, półki za szkłem, małe szafeczki, barek. Meblościanka wykończona na wysoki połysk ozdobiona została w wielu miejscach gałęziami sztucznych kwiatów zwisających z góry. Nie było w mojej opinii nic gorszego niż sztuczny kwiat! Usiedliśmy na sfatygowanych, niemilosierdzie wysiedzianych kanapach. Obawiałam się, że jak usiądę w nich głęboko, to już nie wstanę. Na niskiej ławie przykrytej haftowanym obrusem Jacek postawił dwie szklanki wciśnięte w pleciony koszyczek z uszkiem. Dawno nie widziałam takich uchwytów. Po chwili przyniósł herbatę w małym dzbanku z duraleksu piwnego koloru. Cukier wjechał w cukiernicy z niebieskiego rżniętego kryształu w kształcie łódki. Estetyczne pomieszczenie z poplątaniem.

– Nie mam nic do herbaty pani Tosiu, ale może skoczę na dół do sklepu?

– Daj spokój, siadaj – powstrzymałam go. Rozglądałam się po pokoju niezbyt dyskretnie. Jacek zaczął się tłumaczyć.

– No, nie mieszkamy gustownie, ale mama tak bała się zmian, że nie dało się niczego przeforsować, nawet tych „Van Goghów” i „Da

Vincich” nie można było ruszyć przez ostatnie dziesięć lat. Meble rodzice dostali na prezent ślubny i od razu stały się dziedzictwem narodowym. Jak byliśmy mali, nie wolno było tej meblościanki w ogóle dotknąć, nie mówiąc już o wysuwaniu szuflad! Nasze dziecinne paluchy bardzo chciały się odcisnąć na połysku, baliśmy się okropnie tych mebli, bo mamę gniewały wszelkie próby majstrowania przy okleinie. A z kolei na tych siedzących to mama zawsze koce rozkładała, żeby się nie pobrudziły. Koce były, pani Tosiu, takie w guzłki, strasznie gryzły w tyłek. Całe dzieciństwo śwędziała mnie pupa! Mieliśmy też rozłożoną folię na dywanikach w przedpokoju, żeby ich nie załazić butami, w łazience zawsze stały dwie mydelniczki. Jedno z mydełkiem Fa na ozdobę, a drugie z mydłem szarym, dla nas domowników. Wie pani, jak szare mydło śmierdzi, ale mama tylko w nie wierzyła. Faktem jest, jak spadłem z huśtawki i rozorałem sobie kolano, moczenie w szarym mydle ranę wygoiło w tydzień. Nie wie pani, z czego szare mydło robią? Nieważne. Jedynie na kuchennych taboretach mogliśmy urzędować, tam można było siedzieć, co wieczór lekcje odrabiać, a kapusta tak śmierdziała w całym domu, że mnie mdli na samo wspomnienie. Miała nasza mama takie swoje halo, nie powiem...

– Jak każdy z nas, jak każdy. – Stałam w obronie dziwactw pani Ireny.

Jacek opowiadał dalej, chyba pierwszy raz mówiąc otwarcie o swojej rodzinie. Poznawałam jego zmarłą mamę poprzez wspomnienia. Nie wydawał się, opowiadając, zły, nie przewijała się też nuta pretensji, relacje zdawał jak dziennikarz *Wiadomości*, z kamienną twarzą.

– U nas w domu, przez te wszystkie lata jadłospis był taki sam w rytmie tygodnia – kontynuował, słodząc nam herbatę – w niedzielę rosół i kotlety, wiadomo, w poniedziałek naleśniki z serem, we wtorek jajka faszerowane plus szpinak, w środę sznycle i marchewka z groszkiem, w czwartek, w sobotę bigos, a w piątek po katolicku ryba mintaj i surówka z kiszonej kapusty. Niezmiennie, odkąd pamiętam, można było kartę dań wydrukować na cały rok. Aha, jeśli chodzi o słodkie... placek murzynek na zmianę z biszkoptem. Na święta sernik z rodzynkami. Mama bała się zmian, kompot u nas również występował w jednym smaku – truskawkowym. Tylko w Wigilię

oraz Wielkanoc było coś innego, indyk czy kurczak, ale w pozostałe dni, jadłospis był ten sam. Zawsze na balkonie stał gar bigosu, taka przekąska... awaryjna.

– Nie zdziwiło wam się? – wtrąciłam, nieelegancko siorbiąc herbatę z łyżeczki.

– Dziwne, ale nie – odparł bez zastanowienia. – Przywykliśmy, a potem trochę się podjadało na mieście, frytki, zapiekanki, ja chodziłem na zupę do baru mlecznego, bo mama nam zup nie serwowała, a ja zupy lubię, Agata zresztą też. Tylko rosół, którego nie cierpię. Musieliśmy jeść rozgotowane jarzyny z rosółu, bo zdrowe, taka paciara kapuściano-marchewkowa...

Jacek wzdrygnął się z niesmakiem.

– To czemu nie mówiłeś? – podjęłam ochoczo temat zup, żeby go odciągnąć od tych dziwnych wspomnień, których nie umiałam rozczytać. Nie mogłam się zorientować, czy on się wyżała, czy po prostu z rozrzewnieniem snuje wspomnienia, bo tęskni za mamą i jej przyzwyczajeniami? Żaden ze mnie psycholog!

– Lubię zupy, najbardziej ogórkową i kartoflaną na boczku.

– Ugotuję ci z przyjemnością parę zup, trochę się na tym znam. Musisz wpadać częściej na obiady.

Gawędziliśmy jeszcze przez chwilę o kulinariach, wymieniając, co kto lubi, a czego nie, przy czym moja lista była znacznie dłuższa. Potem znów rozgadaliśmy się o obrazach pani Ireny. Była to naprawdę wielka kolekcja kiczu, ale na swój sposób interesująca. Przyłapałam się na tym, że chętnie sobie przypomniałam, jak pięknie malował Monet, Rubens czy Matejko, bo pani Irena nie ograniczała się w doborze artystów. Zestawienia były przedziwne, *Szał* Podkowińskiego wisiał obok *Ostatniej wieczerzy* da Vinci.

– Będiesz teraz wszystko zmieniał? – zapytałam ostrożnie.

Jacek klepnął się po kolanach.

– Muszę, bo inaczej nie ruszę z miejsca. Nie, żeby nie szanował pamięci mamy, ale po prostu muszę zacząć od nowa.

– A co zrobisz z tymi obrazami? – Wskazałam głową galerię.

– Ze dwa zostawię, resztę sprzedam na Allegro.

Piłam herbatę i nasłuchiwałam, czy z pokoju obok nie dochodzą jakieś dźwięki. Jacek przylapał mnie na strzyżeniu uszami. Siedziałam już u niego godzinę, nie wspomniał słowem o siostrze. Nie chciałam się pchać z natrętnymi pytaniami, choć byłam zaniepokojona. Namyslał się przez chwilę, a potem powiedział:

– Nie widzieliśmy się kilka dni, to pani nie mówiłam. Pogotowie zabrało Agatę. Wycieńczoną i odwodnioną. Będziemy ją leczyć, lekarz mnie zapewnił, że ze szpitala trafi do psychiatryka, a tam jej pomogą. Robiłem jej jedzenie, stawiałem tacki po drzwiach, nie jadła. Sama poprosiła mnie o wezwanie lekarza. Mówię pani, jak wyszła z pokoju, to jakbym ducha zobaczył! Powiedziałem jej o mamie, zaraz jak tylko zabrali ciało z piwnicy. Wtedy nie doczekałem się reakcji, myślałem nawet, że jej to nie ruszyło, ale kiedy wyszła z pokoju, taka blada, wycieńczona i potargana, wszystko jej przebaczyłem. Ona jest naprawdę chora.

– Na pewno – przytaknęłam i odetchnęłam z ulgą. – Dobrze się stało, że ją zabrali, nie dałbyś rady sam się nią opiekować, a może i siebie...

Ugryzłam się w język. Chciałam powiedzieć, że może i jego Agata by wykończyła jak ich matkę! Co za potworny komentarz do wydarzenia, zupełnie w stylu mojej sąsiadki Gierkowej. Pogardałam sobą w tej chwili.

– Przepraszam – powiedziałam szybko. Jacek był niezwykle inteligentnym i bystrym młodym człowiekiem, dobrze wiedział, co miałam na myśli.

– Pani Tosiu kochana... niech się pani nie wstydzi swoich odczuć. Mnie nie wolno tak myśleć, bo bym zwariował, ale pani to co innego. Agata nie jest pani siostrą, nie musi pani nigdy więcej na nią patrzeć. Ale też myślę, że kto wie, czy to wszystko akurat jej wina? Gdyby ojciec nas nie zostawił, gdyby mama miała lepsze dzieciństwo, gdyby jej ojciec nie znęcał się nad jej matką, gdyby jej siostra okazała trochę serca, w końcu gdybym ja był grzeczniejszy w dzieciństwie albo wcześniej zauważył, że mama cierpi na depresję... wie pani, gdyby, gdyby, gdyby nie wynaleziono Internetu, może Agata nie zachorowałaby? Tak sobie gdybam przy

porządkowaniu rzeczy mamy, ale czuję, że idę w niewłaściwym kierunku.

– Depresja to choroba, której nie widać. Jak wczesnego raka – powiedziałam. – Tłumacz ją zmianami w mózgu, które może uruchomić jakieś traumatyczne wydarzenie w życiu. Czytałam o tym, zalecają wysiłek fizyczny, żeby jak najwięcej adrenaliny organizm wytworzył, w Ameryce dają tabletki, tony tabletek, połowa Amerykanów łyka tabletki na depresję!

– Tak, słyszałem, ale u nas to wie pani, prędzej się powie „wariatka” niż „cierpiąca na depresję”. Słyszałem, co Gierkowa mówiła sąsiadce spod czwórki. „Boga w sercu nie mają, to i diabeł się zagnieździł”. Na moje nieszczęście skądś się dowiedziała o Agacie, no i samobójstwo mamy... Jak mnie ta czarownica widzi na klatce, to się żegna!

– Nie! Może ci się wydawało? – Nie byłam oburzona, w moim wieku już się nie wypada oburzać, ale nie chciałam, żeby sobie Jacek coś wmawiał, co może go zasmucić, bo chyba aż tak głupia Gierkowa nie była?

– Gdyby nie pani, to bym się stąd wyprowadził, ale nie zostawię pani, proszę się nie martwić.

Tak mnie zamurowało, że nic nie powiedziałam. Jacek patrzył na *Słoneczniki*, a ja na *Krzyk*, te reprodukcje wisiały nad stołem.

ROZDZIAŁ VI

Do zniszczonej działaniami wojennymi i powstańczymi Warszawyjechałam jak do bajecznego świata. Pożegnałam matkę, Staśka, Joachima, naszą cichą wieś kilkoma słowami zapewnień, że kiedyś tu wrócę, ale Boga zaraz poprosiłam o łaskę, aby moim życiem tak pokierował, abym faktycznie nie musiała wracać. Nie byłam żadną miarą stworzona do życia na wsi, moje młodzieńcze marzenia wiły się po ulicach i skwerach dużego miasta, między samochodami, bryłami budynków, wokół witryn sklepowych, szykownych restauracji, z dala od pól i wiejskich chałup. Rozgościłam się w mieszkaniu Poli, powiesiłam w szafie dwie sukienki, pierzynę rzuciłam na wąskie łóżko, postawiłam na stoliku stary futerał na okulary, w którym przechowywałam różaniec, przywieziony specjalnie dla mnie z Częstochowy, zaznaczyłam drobiazgami swoje terytorium. O matce myślałam często, choć nie nazwałabym tego tęsknotą. Było to raczej poczucie winy, że opuściłam dom, zanim dostałam przyzwolenie. Pisałam do niej listy, raz czy dwa mi odpisała, przestrzegając przed popełnieniem niegodziwości, grzechu, błędu, oszustwa czy kłamstwa. Wszystkie wypowiedziane słowa stopniowane były od szarych do najczarniejszych, nie pojawiała się w listach żadna dobra lub serdeczna myśl, mimo to cieszyłam się, że odpisała. Brat Stasiiek nie pisał, odwiedził mnie po kilku miesiącach mojego rezydowania w stolicy. Zapowiedział się telegramem złożonym z trzech słów, jako że nie praktykowało się w naszej rodzinie niespodzianek. Mimo iż starałam się podwójnie, aby jego wizyta przebiegła gładko, nie wywiózł z Warszawy dobrych wspomnień. Niechętna obcym służąca Adela nagotowała i napięła na jego przyjazd niczym na Wielkanoc, niewdzięczny Stasiiek wybrzydzał nawet na to. Nie spodobało mu się podnoszące się z gruzów miasto,

kręcił nosem na wszystko, na moje wysiłki też. Spać nie mógł w nocy, bo mu duszno w piersiach było, jak otwierał okna przeszkadzały hałasy, narzekał na ciasnotę w mieszkaniu, twierdząc, że sobie siniaków nabił, walcząc między meblami. „Jak wy możecie tu żyć?”, pytał, trzępiąc łbem jak koń. Wstyd mi było za niego. Pola zupełnie niepoirytowana tłumaczyła mu spokojnie, że nie ma nic złego w jego miłości do wsi, ale kraj do przodu popychają miasta, a wieś ma jedno tylko zadanie, miasto wykarmić.

– Pewnie! Chłop to tylko do roboty się nadaje, żeby wam, miastowym niczego nie zabrakło... – filozofował przy kieliszku wiśniówki, jakim go poczęstowała. – Taki to porządek świata ustanowiony. Wystarczy na was spojrzeć, żeby wiedzieć, żeście żadnej prawdziwej roboty na oczy nie widzieli... miasto z gruzów też wam chłopaki ze wsi dźwigają, a wydelikaczone miastowe na urzędach tyłki grzeją.

Nie wiem, dlaczego tak się gorzko do Poli i jej męża Andrzeja odnosił. Denerwowali go z takich samych niewytłumaczalnych powodów jak zwykli ludzie, których mijał obojętnie na ulicy. Nieustannie bał się, że pod nogami wybuchnie mu mina, koń go stratuje, że go napadną, niechybnie okradną, choć nie miał żadnych kosztownych rzeczy przy sobie, no bo cóż mógł mieć? Scyzoryk, kawałek sznurka, tytoń i grzebień. Pola żartowała sobie z niego, mówiąc, że podenerwowana dojeniem krowa mu może większą krzywdę zrobić niż niewypał w centrum miasta. Myliła się, ludzie ginęli od niewypałów, przygniatały ich rozwalające się budynki, padały strzały. Mówiono, że to były egzekucje albo rozrachunki z przeszłości, w każdym razie tak całkiem bezpiecznie nie było. Nie wychodziłam wieczorami z domu, nie dlatego że się bałam rzezimieszków, ale nie miałam dokąd chodzić po nocach, przynajmniej na początku. Stasiék wytrzymał u nas cztery dni, umęczony własną niechęcią wrócił na wieś. Nie udała się ta przymiarka do życia w mieście, ale dobrze się stało, że sprawdził empirycznie, iż miasto niczym anakonda może go tylko w mocnym uścisku udusić, połknąć, a potem wolno trafić. Na do widzenia powiedział:

– Ty tu pasujesz Tosiu, zawsze byłaś miejska, ale... ja się nie przyzwyczaję.

Pocałowałam go w oba policzki, wcisnęłam w garść dziesięć amerykańskich dolarów na prezent i przeżegnałam na drogę. Dolary dostałam od ciotki zaraz po przyjeździe do Warszawy. Trzymałam je w pończosze właśnie dla brata, jemu mogły się bardziej przydać. Stasiak zmieszał się, przyjmując pieniądze, dmuchnął w banknot, wsadził go do wewnętrznej kieszeni marynarki. Kiedy wyjechał, zrobiło mi się bardzo smutno, bo zdałam sobie sprawę, że oto zaczął się proces oddalania, nasze drogi już nigdy się nie zejdą. Zaczynaliśmy swoje dorosłe życie, podążając w dwóch różnych kierunkach, innym krokiem mieliśmy iść przez świat, inne mieć tęsknoty i potrzeby. Z czasem miało nas łączyć coraz mniej, nie z powodu zatargu czy nieporozumienia, po prostu tak się losy rodzeństwa ułożyły.

Nie udało mi się odwiedzić Warszawy przed wojną, więc przyjechałam tu jak do nowego miejsca. Dziwiłam się wszystkiemu, szczególnie dobremu humorom ludzi. Po naszych wiejskich, zatroskanych twarzach, te warszawskie, uśmiechnięte, z radością oczekujące na następny dzień, były miłą odmianą. Tylko zieleni było mi brak, zapachów świeżo skoszonych łąki, smaku dojrzałej porzeczeki prosto z krzaka, maślanek, pieczonych na blasze placków i gołąbków, a przede wszystkim przestrzeni.

Kiedy wracałam do domu po odprowadzeniu Staśka na kolej, niefortunnie postawiłam stopę na chodniku i potknęłam się, upadając do przodu. Zdarłam sobie skórę z kolana, zraniłam dłoń, próbując się wybronić przed kłapinięciem na bruk. Poobijana i głęboko nieszczęśliwa dowlokłam się do domu, a tam padłam na łóżko, zalewając się łzami. Płakałam trochę z tęsknoty oraz żalu za moim poprzednim życiem, przede wszystkim jednak z powodu beznadziejnej miłości do męża Poli, Andrzeja. Czy ona wiedziała o moim kwilącym niczym niemowlę w powijakach uczuciu do jej męża komunisty? Wątpliwe, pilnowałam swoich myśli grzesznych, aby żaden gest czy słowo nigdy nie wydostało się na zewnątrz, a do środka mojej duszy i serca nawet Pola dostępu nie miała.

Mieszkanie ciotki i jej drugiego męża było obszerne, nawet jak na powojenne warszawskie standardy. Zajmowali na drugim piętrze trzy pokoje z kuchnią oraz łazienką wyposażoną w kran i umywalkę. Do kurka podłączony był czarny wąż, używaliśmy go jako prototypu prysznic. Pola z Andrzejem zajmowali jeden pokój przystosowany do spania i wypoczywania, w drugim spałam ja oraz gosposia Adela, trzeci pełnił funkcję salonu i jadalni. Mieszkanie było w pełni wyposażone w piękne sprzęty, stylowe, dębowe meble, książki, lustra w zdobionych ramach, perskie dywany i fikuśne bibeloty, które ktoś systematycznie skupował po świecie. Kimkolwiek był ten podróżnik zwożący cudeńka do Warszawy, nie wydawał się typowym turystą. Pokazną kolekcję stanowiły pamiątki z czarnego łądu, pióropusze, fajki, figurki z kości słoniowej oraz sporo książek o tematyce podróżniczej. Na pewno nie przywiozła tego do Polski moja ciotka ani jej mąż komunista Andrzej, żadne z nich nie podróżowało przed wojną poza granicę kraju. Nie pytałam, kto zajmował to mieszkanie przed nimi, jakim cudem zostali właśnie tu zakwaterowani, w ogóle o nic nie pytałam, przepełniona bezgraniczną wdzięcznością, że mnie do siebie zaprosili. Miałam swoje podejrzenia co do poprzednich lokatorów, ale skłamałabym, gdybym dziś, po latach powiedziała, że spędzało mi to sen z powiek. Poczułam się u nich w domu niczym hrabianka. Adela dolewała mi mleka do kawy i pytała, czy „Panienka sobie czego jeszcze życzy?!”, a ja udawałam, że nie słyszałam pytania, bo nie wiedziałam, jak na nie odpowiedzieć. Pola mnie pouczyła, aby zachowywać się swobodnie, na pytania odpowiadać, prosić, wymagać, nie krępować się.

– Tosieńko, jak masz na co ochotę, to mów Adeli, to anioł, wszystko przyrządzi! Nie bój się jej, nie bój się swoich pragnień! – Tak mówiła Pola, a ja gniotłam rąbek sukienki palcami spoczonej dłoni i zastanawiałam się, czy będę mieć kiedyś odwagę poprosić Adelę o przygotowanie mi na śniadanie jajka po wiedeńsku?

Pola jadła jak wróbelek, natomiast Andrzej miał wilczy apetyt. Przychodził z pracy późno, zmęczony, zaabsorbowany swoimi sprawami, zawsze głodny i spragniony. Pola czekała na niego z obiadokolacją, wypchniona, odprasowana, zwiewna, całkowicie niezemska. Jak trudno

było w powojennej Warszawie być elegancką, pachnącą i szykowną damą, wiedzą tylko te kobiety, które wówczas w stolicy mieszkały. Ona była czarodziejką, w tajemniczych okolicznościach pojawiały się w domu luksusowe zagraniczne rzeczy, a nawet perfumy Diora. Kiedy się skończyły, poprosiłam Polę o pusty flakonik, który jeszcze długo wahałam. Krył w sobie wszystko, o czym marzyłam. Wiele lat później dorobiłam się własnego flakonika francuskich perfum, już po pierwszym prysnięciu stwierdziłam z przykrością, że nie mają wcale tak magicznego zapachu, jak pamiętałam z młodości.

Nie zasiadałam z Polą i jej mężem do tych późnych posiłków, kiedy popijali winko, przegryzając wymyślnymi potrawami. Adela nie była zwykłą kucharką ze wsi, mimo iż mówiła z siermiężnym śląskim akcentem, miała wielkie doświadczenie kulinarne przywiezione z Francji. Niechętnie opowiadała o jej latach posługiwania w restauracji „La Grillade” na południu Francji, ale chętnie mówiła o jedzeniu, przyprawach czy dobrym winie. Jej córka wyszła przed wojną za męża za Francuza restauratora i tam przy młodych nabrała kulinarnego doświadczenia. We Francji zastała ją wojna, jednak zaraz po wyzwoleniu przyjechała do ojczyzny, aby szukać swojego męża. Męża nie znalazła, wyjechać z Polski już jednak nie zdołała, ukarana przez władze za wcześniejsze podróże. Do domu państwa Kwolek przywożono zagraniczne rarytasy, Adela nam je przyrządzała na te swoje wymyślne, francuskie sposoby. Na początku nic mi nie smakowało, jednak szybko „wyrobiłam sobie podniebienie”, wytrawne wino nie wydawało mi się kwaśne, a małżami wprost się zajadałam. Klasa rządząca, nie wiem, dlaczego uparcie nazywana „robotniczą”, wydeptywała sobie ścieżki w uprzywilejowane rejonny od razu po zakończeniu wojny. Andrzej był tak mocno postawiony w hierarchii władzy, że mógł czerpać bez żenady ze studni obfitości zastrzeżonej dla partyjniaków. Działo się to na długo przed tym, jak Stasia Gierkowa latała do Paryża fryzury robić! Kiedy wychodziłam z mieszkania Poli i Andrzeja, miałam wrażenie, że wkraczam w jakiś nierealny, brzydki sen o odbudowie Warszawy! Miasto szybko podnosiło się z kolan, robota szła wielką parą w całym centrum miasta, miło było

obserwować te zmiany. W naszej dzielnicy działa się najwięcej, choć sama kamienica, w której mieszkaliśmy, przetrwała bombardowanie miasta, nie było potrzeby jej gruntownie remontować. Biegałam w ciągu dnia po ulicach, przyglądając się wszystkiemu ciekawie, a potem pisałam o tym mamie w listach, choć nie miałam pewności, czy ją to w ogóle interesuje. Mnie zajmowało dosłownie wszystko, nie mogłam się nadziwić entuzjasmowi budowniczych miasta, sprytowi ulicznych cwaniaków oraz rodzącym się jak grzyby po deszczu kawiarenkach, punktach ze sprzedażą ciastek, kiosków z gazetami. Odwiedzałam również bazar, choć nie miałam pieniędzy, żeby cokolwiek tam kupić. Wszystko, co dostawałam od Poli, chomikowałam w rękawiczce, którą mi kiedyś sprezentowała. Dominowało myślenie mojej mamy, że „czarna godzina” może przyjść w każdej chwili, a przezorny człowiek musi być na nią gotowy. Składałam więc pieniądze, nie myśląc o tym, na co je kiedyś przeznaczę? Pola mimo iż zapewniała, że znajdzie mi w Warszawie pracę, nie spieszyła się z dotrzymaniem obietnicy, zbywała mnie, zalecając odpoczynek, miałam się zaznajomić z miastem w wolnych chwilach, dotrzymywać jej i Andrzejowi towarzystwa.

Pola pracowała, jednak nie było to typowe zatrudnienie. Ze względu na doskonałą znajomość języka rosyjskiego i angielskiego mogłam tylko podejrzewać, że udzielała się w sprawach państwowej wagi. Podróżowała za granicę, zarówno do Moskwy, jak i Paryża, lecz nigdy, przenigdy, nie powiedziała mi, czym się zajmuje. Zapytałam tylko raz, pogłaskała mnie po twarzy, wyjaśniła uprzejmie:

- Pracuję w biurach.
- Oczywiście, ale czym się ciocia konkretnie zajmuje?
- Handlem zagranicznym Tosieńko, wymianą handlową między Polską Ludową a innymi krajami, układaniem stosunków... nie bój się, nic mi nie grozi.

Zmartwiła mnie tym jednym zdaniem o zagrożeniu. Wcześniej nawet o tym nie pomyślałam. Andrzej był wysoko postawiony w UB, o czym dowiedziałam się pewnego razu z napisu na ścianie naszej kamienicy. Ktoś koślawą kreską wyrysował szubienicę, nazwisko Andrzeja na niej

dyndało oraz skrót UB. Napis szybko zniknął rzecz jasna, jednak wiele osób zdążyło go zobaczyć.

Adela osobiście zamalowała szubienicę czarną farbą. Moja naiwność blokowała trzeźwe myślenie, uznałam, że to podli „wrogowie” chcą wspaniałego męża mojej ciotki przed czynieniem dobra powstrzymać. Całe zło wyrządzone przez UB czy SB nie kojarzyło mi się nigdy z Andrzejem, ideowcem, działaczem, rewolucjonistą. Do pewnego momentu widziałam w nim wyłącznie krzewiciela zdrowej myśli, orędownika równości społecznej, który nieszczęsny kraj z zacofania wyprowadzi. Nikt mi tej mydlanej bańki nie stworzył, sama ją sobie wydmuchałam i w niej bezpiecznie żyłam. O takich ludziach jak ja książek nie pisano, filmów nie robiono, nie byliśmy bohaterami czasów. Późniejsze pokolenia dowiedziały się z przekazów, że w Polsce trwała wojna jeszcze przez długie lata, ale tylko o opozycjonistach się opowiadało, tymczasem szara masa stanowiąca większość społeczeństwa została zupełnie zignorowana. Można było odnieść wrażenie, że większość Polaków zaangażowana była w walkę z socjalizmem, tą powojenną i późniejszą, jednak prawda tamtych lat była całkiem prozaiczna. Walczyły małe grupy, nie zawsze najbardziej światłe umysły, choć nazywane inteligencją, jednak zdecydowana większość pozostawała bierna, mozolnie ciułając grosz do grosza, a jedyną walką, jaką toczyli, była ta o polepszenie bytu.

Pola chciała mnie dobrze wydać za mąż, zakładając, że dopiero przy majątnym lub choćby mającym dobrą posadę mężczyźnie poczuję się sobą, a co za tym idzie, uzyskam swobodę. Myślę, że bardziej zależało jej na tym niż na znalezieniu mi pracy.

– Jako mężatka zyskasz wolność, jakkolwiek by to fałszywie brzmiało – objaśniała mi zalety stanu małżeńskiego. – Panienki są we wszystkim ograniczone, ledwie same po ulicach mogą chodzić, a kiedy z panami flirtują, to zaraz ladacznice! Jako mężatka, będziesz mogła robić wszystko, pojechać wszędzie, podjąć pracę...

– A teraz nie mogę?

– Możesz, ale... – wydmuchała papierosowy dym – ...prawdziwą swobodę uzyskasz dopiero po założeniu obrączki na palec. A co najważniejsze,

nikt nie będzie cię podejrzewał, że czyhasz na cudzego męża, że jesteś wyzwolona, że zbyt odważnie się nosisz... Panny podlegają nieustającej ocenie w towarzystwie, są zagrożeniem... Mężatki natomiast mogą się z wszelkich osądów śmiać.

Nie paliłam się do pomysłu zamążpójścia, nie czułam gotowości ani w ciele, ani w umyśle. Przerazała mnie wizja stosunków cielesnych, bywało, że myślałam o tym w szczegółach, drętwiąc z przerażenia. Nawet perspektywa pocałowania mężczyzny w usta wydawała mi się obrzydliwa. Kiedy powiedziałam o tym ciotce, nie wyśmiała mnie, tylko zapewniła, że jeśli spotkam właściwego mężczyznę na swej drodze, wszystko się zmieni. Sama będę się do niego garnać, niecierpliwie czekać na dotyk. Uwierzyłam jej, w damsko-męskich sprawach mylić się nie mogła.

Miałam dwie dyżurne sukienki, które wkładałam na aranżowane przez Polę wizyty kawalerów, skromną popielatą ozdobioną białym kołnierzykiem oraz niebieską z frywolnym dekoltem. Pola starała się trafić w gust panów. Różni byli kandydaci do mojej ręki, od młodych aktywistów do nauczycieli „w sile wieku”, czyli po czterdziestce. Nie spodobał mi się żaden, Pola w swojej wyrozumiałości i dobroci nie naciskała, sama nie będąc zadowoloną z wyborów.

– Jesteś na tyle ładna, że możesz przebierać Tosieńko. Dobrze wyjść za mąż to podstawa udanego życia. A dobrze to znaczy za kogoś, przy kim będziesz mogła robić, co zechcesz, i będą na to fundusze. Rozumiesz? – mówiła, marszczyła śmiesznie czoło, zastanawiając się, kogo jeszcze zaprosić na niedzielny obiad.

– Chciałabym wyjść za mąż z miłości – zadeklarowałam ośmielona wizjami Poli. – Z wielkiej miłości! Tak jak ty.

– Ja... – Pola westchnęła. – Ja nie mam pewności, czy wiem, co to jest wielka miłość. Wystarczy, że Andrzej wie. Znajdziemy ci męża, Bóg da, gotowego na miłość. Nie ma się co spieszyć.

Przytaknęłam zawstydzona. W ciągu pierwszych sześciu miesięcy przetoczyło się przez nasz salon chyba z dziesięciu mężczyzn, skłonnych zakosztować małżeństwa ze mną, wiejską dziewczyną. Po miesiącach swatów, nie tylko byłam zniechęcona, ale wręcz wrogo nastawiona do

wszelkich prób wepchnięcia mnie w męskie ramiona. Nadal beznadziejnie zakochana byłam w mężu Poli, mojej dobrodziejki. Podsycalam w sobie to młodzieńcze uczucie jak moja matka płomień pod blachą pieca. Każdego wstępującego w progi mieszkania porównywałam do Andrzeja, żaden z nich tego porównania nie wytrzymał. Nie byli ani tak przystojni jak on, ani tak charyzmatyczni, przede wszystkim nie nosili w sobie tajemnicy, a to w mężu mojej ciotki pociągało mnie najbardziej. Wszyscy oni byli przewidywalni, z góry wiadomo było, na którym krześle usiądą, co zjedzą, co powiedzą, kiedy im się beknie po obiedzie. Nie pamiętam nawet ich imion, choć jeden, młody kierowca pracujący dla Andrzeja, nawet mi się spodobał przy pierwszym spotkaniu, ale tylko dlatego, że Andrzej go lubił i hołubił. Podczas wizyt protegowanych Poli nie zadawał sobie wiele trudu, jeżeli w ogóle uczestniczył w tych niedzielnych poczęstunkach. Ale kiedy zaproszono Janka, zasiadł z nami do stołu, a potem przy gramofonie urządziliśmy sobie małą potańcówkę, dzięki której mogłam przez cztery minuty delektować się bliskością ciała mojej miłości. Andrzej zatańczył ze mną do piosenki Fogga, pod koszulą przeżyły się jego ramiona, obmacałam je szczegółowo, ślizgając dłonie po jego korpuse, umizgując się niczym bezwstydną kokota. Wszyscy byli lekko podchmieleni, nie obawiałam się zdemaskowania. Pola wypita najwięcej, nalegała, żebyśmy tańczyli do białego rana. Biedny Janek, deptał mi po palcach, przeproszał, znowu deptał, czerwienił się, pocił, a ja powtarzałam: „Nic nie szkodzi”, i przemyśliwałam, jak znów znaleźć się w parze z Andrzejem. Niestety, zatańczyliśmy tylko raz, resztę melodii przetańczył ze swoją żoną, patrząc jej czule w oczy, wachając zapach jej włosów, pogrążając mnie w rozpacz. Janek opowiadał o rodzinnych stronach, pochodził gdzieś z Mazur, nudził o tęsknocie za jeziorami, kaczkami, polami, nie słuchając uważnie, zachęcałam go, żeby przychodził jak najczęściej. Bardzo poważnie potraktował moją paplaninę, przez trzy niedziele z rzędu zasiadał z nami do stołu, cielecym wzrokiem turlając się po mojej twarzy, bywało, że całkiem niżej. Zaczęłam się denerwować wystawiona na te niemiłe mi umizgi. Musiałam w końcu poprosić Polę o ratunek, błagając, aby natychmiast położyła kres tym jego wizytom.

Cały urok Janka opierał się na fakcie, że pracował w pobliżu Andrzeja, jednak po kolejnej wizycie moje zainteresowanie nim zupełnie zgasło. Nie wiem, z jakich powodów raili mi tego młodzieńca, groszem nie śmierdział, dopiero zaczynał pracę w UB. Wyszło na to, że złamałam Jankowi serce delikatną rączką Poli. Zaraz na drugi dzień po przykřej rozmowie poprosiłam, aby na jakiś czas zawiesiła swaty, pozwoliła mi z samą sobą dojść do ładu na temat moich oczekiwań i potrzeb. Nie chciałam poznać żadnego kawalera, ponieważ pragnęłam po cichutku podkochać się w Andrzeju, marzyć do poduszki o dniu, kiedy znów ze mną zatańczy, wyobrażać sobie, że Pola go porzuca dla innego, a ja roztaaczam nad nim swój parasol współczucia, obejmuję pocieszycielskim ramieniem, prowokuję pierwszy pocałunek, potem żyjemy długo i szczęśliwie. Nie życzyłam sobie, aby mi ktoś przeszkadzał w tych mrzonkach, potrząsał mną, wymuszając zainteresowanie. Ja czułam się zajęta. Kochałam męża mojej ciotki, w beznadziejności tego uczucia tkwiła jego siła, bo przecież tylko niespełnione miłości mogą należycie nakarmić duszę człowieka, a czym owoc surowiej zakazany, tym ślina mocniej cieknie.

Andrzej nie zwracał na mnie uwagi, nie zatrzymywał nawet wzroku na moim dekolcie, nie mówiąc już o całej eksponowanej coraz śmielej reszcie. Wystawiałam kolana przy każdej sposobności, czasami gołe, częściej w pończosze, nogami wykonując przedziwne ruchy, jakbym do cyrku chciała się nająć. Ramionami ocierałam się „przypadkowo” o plecy Andrzeja, palce ochoczo wiązały mu krawat, zapinały guziki, wszystko zaaranżowane jako czuła troska, okazywana wyłącznie pod nieobecność Poli. Nie traciłam nadziei, doskonaliłam swoje techniki uwodzenia, a kiedy Pola wyjechała na cały, długi miesiąc, zapaliłam wielkie zielone światło nad głową.

Avanti!, jak mówią Włosi.

Spędzaliśmy sporo czasu ze sobą. Był to jedyny moment, kiedy jeżeli miałoby się coś stać, to by się stało. Korzystając z przedłużającej się nieobecności Poli oraz niezdolności Adeli do pilnowania swojego pana, organizowałam nam mały, amatorski teatr, w którym odgrywałam rolę

pani domu i żony. Nie przebierałam się w sukienki ciotki, były co najmniej dwa numery za małe, nie mogłam też w jej pantofelek wbić swojej szerokiej stopy, ale używałam jej perfum, nosiłam korale pożyczone bez zgody, używałam chusteczek z jej szuflady. Najwięcej trudności sprawiało mi zastąpienie jej przy stole. Adela przez pierwsze dwa tygodnie siedziała na taborecie w kuchni i pilnowała nas. Przysypiała, oparłszy głowę o blat stołu. Musiałam cicho znosić brudne talerze po kolacji, na paluszkach porządkując ślady ucztowania. Szłam spać, ona chrapała w kuchni jeszcze przez godzinę lub dwie, pilnując już tylko naszego snu. Tak jak się spodziewałam, Adeli szybko znudziła się misja przyzwoitki, którą na pewno sama sobie wyznaczyła, gdyż Poli taki ordynarny pomysł nie wpadłby do głowy. Po dwóch tygodniach zostawiała nas przy stole w salonie, jak tylko podała kolację. Nie wiem, czy była to kwestia zaufania do nas, czy raczej poddanie się zmęczeniu, w każdym razie mogłam zacząć działać. Moje „działanie” obracało się wokół pocałunku, jaki sobie uplanowałam. Wiele, wiele lat później, wymyślono takie określenie: „budowanie napięcia seksualnego”. Bardzo trafne, wtedy jednak co najwyżej mogłam powiedzieć, że robiło mi się gorąco, kiedy Andrzej był blisko i zostawaliśmy sam na sam. Wytłumaczyłam sobie, że jeżeli zechce mnie pocałować, nie będę się wzbraniać, a honor uratuję z samego rana. Spakuję kraciatą walizkę, pokornie wrócę na wieś, bo przecież nie mogłabym Poli spojrzeć w oczy, gdyby taki pocałunek nas połączył.

W majowy piątek, było to niedaleko rocznicy wyzwolenia, czekałam na Andrzeja do północy, denerwując się, że tak długo nie wraca. Kiedy już miałam wyjść z domu, aby szukać go po mieście, wrócił. Nie był całkowicie trzeźwy, ale też nie pijany, raczej cudownie podchmielony. Oceniałam swoje szanse jako dobre, odbierając od niego prochowiec. Spodobało mu się, że na niego czekałam z kolacją, wirowałam wokół mojego pana niczym satelita, podałam sznycelki z chlebem oraz kiszone ogórki, które uwielbiał. Andrzej otworzył butelkę wódki, nalał nam do kieliszków, zapalił amerykańskiego papierosa Lucky Strike.

– Jaka to okazja? – zapytałam.

– A może ty wolisz wino? Chyba coś tam jeszcze zostało... poczekaj zaraz przyniosę. – Wstał i poszedł do kuchni, ja siedziałam wyprostowana jak sztacheta w płocie, nie mogłam złapać oddechu. Gorączkowo przygotowałam w głowie plan na następne minuty, przede wszystkim pocałunek, na który czekałam od tygodni. Zanim Andrzej wrócił z winem, już byłam myślami na polnej drodze prowadzącej do domu Joachima i mojej matki, targałam walizkę, ocierałam ukradkiem łzy, szykowałam pokrętne tłumaczenie. Moja matka miała powiedzieć: „Wiedziałam, że to się tak skończy!”.

– Lubię wino, ale dziś mam się ochotę napić wódki. – Andrzej postawił na stole butelkę włoskiego wina. – Powiem ci Tosiu, czasami mam wielkie wątpliwości co do świata nas otaczającego, naprawdę wielkie. Inne miałem wyobrażenia, jak skończyła się wojna. Może za krótko trwała?

Wypiłam łyk. Rozmowa nie szła w kierunku naszych amorów.

Andrzej, w dzisiejszym slangu młodzieży, „miał doła”, potrzebował się wygadać, a ja choć słuchaczem byłam dobrym, nie mogłam mu zaoferować mądrych słów pocieszenia lub choćby zrozumienia natury jego rozterek. Nie wiedziałam nic o jego pracy, metodach, jakie bezpieka stosowała, tym bardziej o rozmiarze niegodziwości, jakiej Andrzej musiał się dopuszczać, żeby otrzymać stopień kapitana w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego. Wtedy patrzyłam na niego jako na urzędnika państwowego, nie oprawcę z pistoletem przy pasie. Czy zabijał wrogów Ludowej Ojczyzny? Dopiero po jego wyjeździe z Polski zadałam sobie to pytanie, nie wcześniej, nie wtedy, kiedy siedzieliśmy w majowy wieczór przy zamkniętych oknach, otoczeni zapachem bzu, który nie wiadomo którędy przedostał się do mieszkania. Miałam dwadzieścia jeden lat, nic mnie nie obchodziła Polska Ludowa, jej zaciekli wrogowie, wierni strażnicy. Zajęta byłam Andrzejem, jego interesującą twarzą, delikatnymi dłońmi, kształtnymi ustami. Wystarczyło słabe majowe słońce, a już był pięknie opalony niczym amant z Południa. Moja cera wyróżniała się bledością, tak ja Poli, zimą była prawie przezroczysta.

– Najważniejsze, żeśmy wojnę przeżyli – powiedziałam roztropnie, pociągając spory łyk z kieliszka. Wpatrywałam się w moją pierwszą miłość.

– Czy ja wiem? – Andrzej zamyślił się. – Może warto było zginąć od kuli? Bohaterska śmierć jest piękna, przechodzi do historii, a teraz jak mogę zginąć? Jakiś opryszek strzeli mi w plecy, kiedy będę do domu wracał, jak będę miał mniej szczęścia, to mnie nożem dźgnie i wykrwawię się na ulicy.

– Andrzej, nie wolno tak mówić! – Zamarłam cała na myśl, że taki los mógłby go spotkać. – Kto miałby cię nożem pchnąć?! Tylko przy Poli takich rzeczy nie opowiadaj, bo ją przestraszysz.

– Pola... moja piękna Pola... Nie przeżyłbym dnia bez niej. Mogę nie jeść, nie pić, spać na betonie, ale bez Poli nie mógłbym. Rozumiesz Tosiu, jaka to jest miłość? Dlatego nie chcę głupio umrzeć na bruku, chcę dla Poli godnie zejść z tego świata. Zrozum mnie, chociaż ty mnie zrozum... – Patrzył mi w oczy, ale nie tak jak chciałam. Jego nastrój pogarszał się z każdym wypitym kieliszkiem. Iskierki w oczach zamieniły się w czerwone płomyki, jakiś strach mu stanął za plecami, jakby ktoś w drugim pokoju marsza pogrzebowego zaczął grać. Musiało się coś wydarzyć, ale wiedziałam, że nie będzie mi się zwierzał, on nigdy nie mówił o pracy.

– Ktoś nastaje na twoje życie? – zapytałam.

– Ta z kosą zwoluje koleżanki, będą na mnie polować, kilka ich będzie, zobaczysz – odparł, tarmosząc włosy. – Dzisiaj podeszła do mnie na ulicy kobieta, starsza pani, nieznanym. Szedłem do domu, rozmyślałem o Poli, bo ciągle się o nią martwię, jak wyjeżdża na dłużej, wtedy ta kobietą zastąpiła mi drogę i wysyczała: „Jak pies służysz i jak psa cię ubijają”. Ty pytasz, czy ktoś nastaje na moje życie? Oto odpowiedź!

– Pomyliła cię z kimś... – pocieszałam go. – Mało to nieszczęśliwych i szalonych kobiet po mieście chodzi, szukając zmarłych czy zaginionych?

– Tosiu, gdybyś wiedziała... – zaczął i urwał w połowie zdania.

Poczułam się źle, nieodpowiednio ubrana, nie w nastroju do tego

rodzaju zwierzeń. Pola, gdyby tu siedziała zamiast mnie, na pewno powiedziała coś mądrego i stosownego. Ja miałam pustkę w głowie, krzesło trzęsło się pode mną, myśli uciekały schodami w dół. Andrzej dolewał wódki, nie mówił już więcej, tylko tak sobie siedzieliśmy zapatrzeni w stół, w ścianę, mroczne okno.

– Ja też się śmierci boję, chyba bym człowiekiem nie była, gdybym się nie bała – odezwałam się po chwili.

Andrzej wstał, obszedł stół dookoła i stanął nade mną. Jedną ręką wsparł się na oparciu krzesła, drugą dotknął mojego podbródka.

– Ale o jaką śmierć tu walczymy? Nie chcę, Tosiu, nie chcę, umrzeć byle jak. Tego się boję, że to w wyniku nieporozumienia będzie, bo teraz takie są czasy, że nikt nikogo nie rozumie.

– Nie mówmy już o tym – poprosiłam. Spojrzeliśmy na siebie głęboko.

– Podczas wojny wszyscy graliśmy na jednym instrumencie – ciągnął dalej – a nawet jeśli nie, to i tak płynęła szlachetna melodia, a teraz? Jakiś jazgot i fałsz się wydobywa z naszych serc. Tropimy ludzi, oni się chowają, po co? Niech się poddadzą, zakończmy już to polowanie! Jaki ja jestem zmęczony... Mam dopiero trzydzieści lat, a jestem już śmiertelnie zmęczony. Napijmy się jeszcze. Ty nic nie pijesz? Napijmy się dzisiaj. Dobrze, że przyjechałaś, Pola tak cię lubi, ja też cię polubiłem... – Zabrał swoją dłoń, odszedł w kąt salonu, ja wstałam sprzątnąć talerze. Uczepiłam się jednego zdania, że mnie polubił, odsunęłam inne rozważania daleko od siebie. Szumiało mi w głowie, jakby wodospad pod czaszką się przelewał, ledwie panowałam nad drżeniem rąk przy zmywaniu po kolacji. Andrzej pozostawiony sam sobie pił, palił i pogrążał się w smutku, nie zwracając na mnie uwagi. Wróciłam do stołu, usiadłam bliżej niego, zawięłam swetrem dygocące ciało. Było już dobrze po północy.

– Na dnie kieliszka jest ludzka dusza.

Powiedział najsmutniejszym głosem, jaki kiedykolwiek wydobył się z jego krtani. Pocierał palcami czoło i skronie, masował sobie szyję, zaważał się, polał wódki do pełna. Przyniosłam z kredensu kieliszek,

postawiłam przed sobą, a Andrzej uśmiechnął się przelotnie i nalał mi. Zapaliłam papierosa, smakował wybornie.

– Twoje zdrowie Tosiu! – Wypił setkę wódki na raz, do tego samego mnie wzorkiem zachęcił. Przechyliłam kieliszek, zaciągnęłam się dymem, w głowie latały mi samoloty.

– Wódka mi szkodzi, ale dzisiaj się napiję. Jestem szczęśliwa, nigdy się nie spodziewałam, że przeniosę się do Warszawy... – powiedziałam rozmarzonym głosem.

Andrzej skinął głową, trzymałam kieliszek w zaciśniętej dłoni, gotowa na kolejny łyk.

– Nie ma powrotu do tego, co było! Nawet ty nie musisz już pasać krow, możesz się uczyć, pracować, dobrze wyjść za mąż, wszystko możesz, a przed wojną byłoby to niemożliwe! Czy ludzie tego nie rozumieją? Czego oni chcą? Sanacji? – Podniósł głos.

Wzruszyłam ramionami. Czułam się nieco obrażona za to pasanie krow, choć po prawdzie krowy nie tylko pasalam, ale dołtam i oporządzałam. Mieszkając w Warszawie zaledwie kilka miesięcy, zapomniałam o tym, jednak z pewnością nie czułam żadnej wdzięczności dla Ludowej Ojczyzny za polepszenie bytu.

Andrzej mówił tak, jakby wszystko zawdzięczał powojennym przemianom, a prawda była być może bardziej prozaiczna. Nowi ludzie objęli stery władzy w państwie, on był jednym z nich, jak większość, nieprzygotowany do takiej roli, przesiąknięty frazesami, dziwował się, że nie wszyscy aprobują nowy porządek, a co śmielsi otwarcie z nim walczą. To co przed wojną było złe, wojna była zła, ale teraz miał zapanować jeden szczęśliwy koniec na ich warunkach. Ich, bo takich Andrzejów szkolonych w Moskwie było bardzo wielu. Moskwa nie pomogła mu, kiedy ujawniono, że jest Żydem, wrogiem rewolucji, parchem i śmieciem. Wyjechał z Polski w 1968 roku jako zdrajca, jak trędowaty. Nie był Andrzejem Kwolkiem, ale Andrzejem Kigielem, synem żydowskich sklepikarzy z Lublina. Rodziców zamordowali Niemcy, nie zwracając sobie głowy wywózką do obozu koncentracyjnego. Zastrzelili ich na podwórku gospodarza, który ich ukrywał. Andrzej uciekł do lasu, wylamując deski w tylnej ścianie stodoły. Gnał przed siebie przerażony,

słyszał strzały, nie odwrócił się, nie widział egzekucji rodziców. Partyzantka przyjęła go z otwartymi rękami, już jako Andrzeja Kwolka, bo to nazwisko sobie zapożyczył od ludzi, u których kiedyś spędzał wakacje letnie. Wszystkiego tego dowiedziałam się już po jego wyjeździe z Polski, w czasach gdy nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. W tę majową, magiczną noc 1952 roku nie istniał w moim sumieniu skomplikowany układ katów i ofiar, twórców rewolucji i ich wrogów, biednych i bogatych. Przepelniony zapachem pokój, stół przykryty serwetą, Andrzej w białej koszuli, chrapiąca za ścianą Adela, oraz moje młodzieńcze uczucie stanowiły centrum wszechświata. Wdychałam atmosferę nocy jak narkotyki, ulegając wyobraźni, dzieliłam myśli na odważne i pokorne.

– Dobrze ci u nas? – Andrzej zapytał po długiej przerwie.

Zaczęłam się wiercić na krześle, już chciałam być bliżej niego. Wstał od stołu, przeszedł się po salonie, podszedł do okna, zza firanki wyjrzał na zewnątrz.

– Tacy jesteście dla mnie dobrzy... Tylko do pracy mi pilno, nie chcę być darmożjadem – odparłam.

– To już z Polą musisz załatwić Tosiu, ona jest twoją opiekunką i na pewno coś wymyśli, tylko jej powiedz. – Odwrócił się do mnie. – Zaraz jak przyjedzie, jej powiedz. Tak mi się czas bez niej dłuży, zdaje mi się, że wyjechała rok temu.

– Powiem – przytaknęłam, a on spojrzał na mnie tak jakoś inaczej niż dotychczas. Pod ciasną sukienką zatrzęsło się moje serce, może jeszcze nie wszystko stracone? Nie wiedziałam, jak trzeba się zachować, będąc sam na sam z ukochanym mężczyzną. Nie miałam w tej materii żadnego, najmniejszego choćby doświadczenia. Nikt mnie jeszcze nie dotykał ani nie całował, obce mi były intymne smaki. Wytrzymałam spojrzenie Andrzeja.

– Podobna jesteś do Poli, dopiero teraz to dostrzegłem. Zanudzam cię? Przepraszam, pewnie chcesz się już położyć?

– Nie skądże! – zaprotestowałam energicznie. – Wcale senna nie jestem.

– Poszlibyśmy na spacer, tylko że wieczorami niebezpiecznie...

Spacer? Tak mnie ten pomysł podekscytował, że gotowa byłam narażić siebie oraz jego, wyjść nocą na miasto, powalęsać się bez celu. Zaczęłam go w końcu prosić, żebyśmy poszli, ale zamiast spaceru, zaferował mi jeszcze jeden kieliszek wódki.

Nie wiem, jakby się ta noc zakończyła, gdyby nie Adela. Czasami lubię myśleć, że Andrzej odważyłby się na pocałunek, zachowałibyśmy to w tajemnicy, nie musiałabym wracać na wieś z podkulonym ogonem. Adela wtargnęła do salonu jak huragan, co nad Atlantykiem zbiera siły, gotowy uderzyć ze straszną mocą. Przestraszyłam się jej gniewu. Porwała obie butelki ze stołu, rzuciła gromem i wymaszerowała do kuchni. Andrzej zaczął się śmiać.

– Domowe gestapo...

– Cicho, bo nas usłyszy! – Położyłam palec na usta. Adeli głos z kuchni przebił się przez nasz chichot.

– Spać idźcie. Co to za obyczaje tak po nocach wódkę pić? I to jak pani nie ma w domu!

Andrzej wstał od stołu, posłusznie podreptał do kuchni. Poszłam za nim. Adela smarowała chleb masłem.

– Po kromce zjeść i do spania – rozkazała. Posypaliśmy sobie chleb cukrem.

– Tak jest! A może by nam Adela pozwoliła jeszcze po kieliszku na dobranoc?

Andrzej droczył się z nią, choć był bez szans. Ta kobieta pilnowała porządku nie tylko w kuchni, ale również w łóżku pana. Zmieszał się mój strach z wściekłością, że zepsuła nam ten romantyczny wieczór, na dodatek czułam, że wie o moim zauroczeniu Andrzejem, sprytna baba, której nic nie umknie. Kiedy już kładłyśmy się spać, dzieliłam z nią pokój, walnęła prosto z mostu, jak tylko ona potrafiła.

– Nie gryź ręki, co cię karmi. To nigdy nie wychodzi nikomu na dobre.

– Co też Adela mówi? – oburzyłam się.

– Wiem, co mówię, a ty smarkata jesteś, ale też wiesz. Tym razem pani nie powiem, ale jakby cię co podkuśliło jeszcze raz, to już będziesz

miała z nią sprawę. Śpij, jutro mamy pranie.

Nie mogłam zasnąć, słyszałam, jak Andrzej chodzi po mieszkaniu, zahacza o meble, szura butami, otwiera okna. Pomyślałam, że odczekam, aż Adela zaśnie, pójdę na palcach go poszukać i jeszcze sobie porozmawiamy. Niestety oddech Adeli nie stawał się równiejszy ani głębszy, w dalszym ciągu czuwała, tymczasem na mnie sen przyszedł, nie zdążyłam zrealizować chytrego planu. Pan Bóg miał mnie w swojej opiece.

ROZDZIAŁ VII

Otworzyłam lodówkę i zaczęłam się zastanawiać, czym podjąć mojego syna, Oktawię i moją wnuczkę Agnieszkę, kiedy odwiedzą mnie w niedzielę. Artur zażądał kategorycznie, abym nie gotowała obiadu, ale nie wyobrażałam sobie, jak można usiąść przy pustym stole? Agnieszka przyleciała z Londynu na ślub Lilianny z Maxwelllem, żeby dać wyraz swojej solidarności z kuzynką w chwili, kiedy jej rodzice opowiedzieli się po przeciwnej stronie. Jaka głupia była ta moja córka Zuzanna! Artur i Sekutnica z Krakowa również zamierzali podreptać na te polskonigerieskie zaślubiny do USC, ale ja nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że robią to tylko dlatego, żeby zrobić na złość Zuzannie i jej mężowi. Oktawia z Zuzanną szczerze się nie cierpiały, nie udało im się jednak wciągnąć w ten podsycany konflikt swoich dzieci, mimo podjęcia wielu prób w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Różniły się od siebie tak zdecydowanie, że bardziej już nie można było. Zuzanna pogardzała „zgrywuską”, „próżną i nadętą” Oktawią, ta z kolei uważała Zuzannę za „nieciekawą dewotkę”, w której towarzystwie można tylko „umrzeć z nudów”. Oktawia żyła wystawnie, Zuzanna skromnie, jedna lubiła przepych, druga prostotę i umiar, jedna Riwierę Francuską oraz wino Chablis, druga polskie morze i zapach smażonych ryb. Łączyło ich jedno: brak świadomości, że ludzie mają różne upodobania i gusta. Oktawia adorowała swój styl życia, wprost nie pojmowała, jak można być szczęśliwym, nie robiąc tego, co ona.

– Co to za ciemnogród u Zuzanny – mawiała, polerując paznokcie – niech mama sama oceni. Choinkę trzymają do Gromnicznej, igły po całym domu, słońce świeci, oni dalej lampki pałą! Albo kwestia mody... przecież nie klepią aż takiej biedy, żeby sobie przyzwoitego płaszczka na zimę nie kupić czy buta na obcasie. Człapie Zuza na tych rozklepanych,

płaskich zdrowotnych butach jak kaczką dziwaczka. O odrostach już nie mówię, jakby dumna była z siwizny. A Karol? Zawsze trochę zapocony, niechby się prysnął jakimiś perfumami. Co rok dajemy mu na gwiazdkę Paco Rabanne, ale jeszcze nie poczułam od niego przyjemnego zapachu, no i te jego sandały...

Nie były to stosowne komentarze, biorąc pod uwagę, że mówiła bądź co bądź o mojej rodzonej córce. Artur zawsze ją hamował, jemu też nie odpowiadało takie obgadywanie siostry, ale uciszana żona jakimś cudem stawała się głośniejsza. Niestety Zuzanna uważała podobnie, ale w odwrotnym kierunku, smagając Oktawię z całą surowością przy każdej sposobności.

– Wiesz, co świadczy o klasie człowieka mamó? – Zuzanna mówiła z zacięciem. – Ano to, że potrafi ukryć, jak nisko ceni innych, a jak wysoko siebie. Oktawia wręcz przeciwnie, z rozkoszą poniża ludzi, którzy nie reprezentują tych samych wartości, co ona! Spójrzmy prawdzie w oczy, gdyby nie przedsiębiorczość Artura, cienko by przędła na krakowskim bruku. Wszystko, co ma, jemu zawdzięcza, przy czym zachowuje się tak, jakby była dziedziczką fortuny Czartoryskich. Kto to widział w dzisiejszych czasach pięćdziesiąt tysięcy na kolczyki wydać! Ile dzieci można by dokarmić za tę sumę? Albo te jej zagraniczne wojaże po ekskluzywnych miejscach, te wyprawy muszą kosztować absolutną fortunę, dziwię się, że Artur bez szemrania za to wszystko płaci.

Tak się kobiety od lat gorączkowały na swój temat, czym Artur zażośniejszy się stawał, tym wzmagała się niechęć Zuzanny.

Kiedy go zapytałam, czy aby na pewno nie da się przekonać Zuzanny co do jej uczestnictwa w ślubie, ofuknął mnie.

– Mamó, jakby to wyglądało? Czy Zuza nie ma rozumu? – mówił podenerwowanym głosem. – Jak chce ostentacyjnie bojkotować ślub jedynego dziecka, proszę bardzo. My z Oktawią i Agnieszką na ślub się wybieramy, zaraz po ceremonii wpadniemy do ciebie, Lilianna z góry zastrzegła, że nie będzie żadnego świętowania poza Urzędem Stanu Cywilnego. Oni zdaje się wyjeżdżają z samego rana w poniedziałek na

Majorkę, pan młody ma tam kolegę, niech jadą, niech się zabawią, póki brzuch mały.

– Ja Zuzannie nie przetłumaczę, ale ty, jako jej starszy brat... – prosiłam grzecznie o interwencję, tylko on mógł to załatwić, ja się córki bałam.

Był piątek, więc do ślubu zostało dwa dni, moja Zuzanna mchem porosła w swoim idiotycznym postanowieniu, że na ślubie się nie pojawi. Karol spod pantofla głowy nie wychylił.

– Mamo, ja mam tyle swoich problemów, nie mam siły wikłać się w cudze. Owszem, może to nie jest szczyt marzeń małżeństwo z Nigeryjczykiem, ale słowo stało się ciałem, trzeba z tym żyć. Lilka zawsze była trochę postrzelona...

– Nie mów tak, nie wiesz jeszcze za kogo Agnieszka wyjdzie za mąż?

Artur sapnął w słuchawkę.

– Agnieszka dopiero zaczyna nową pracę jako kurator sądowy, nie sądzę, żeby się miała czas uganiać za facetami. – Powiedział to takim tonem, jaki mnie zawsze mroził. Jeszcze nie słyszałam, aby młoda dziewczyna, nie wiem jak zapracowana, nie miała czasu na randkowanie? Artur wolałby, żeby była jak najdłużej wolna i nikt się temu w rodzinie nie dziwił, mając w pamięci, co stało się z jego zakochanym synem Emilem.

– O której będziecie w niedzielę? – zapytałam, żeby wybrnąć z poprzedniego tematu.

– O piętnastej. Ale proszę mamo, żadnych obiadów, żadnych sałatek z majonezem, żadnych ciast. My wszyscy jesteśmy na diecie, Oktavia nie je w ogóle węglowodanów, ja bardzo uważam na tłuszcze, cholesterol mi znowu skoczył, Agnieszka chce schudnąć do wakacji, będą nurkować z matką na Galapagos.

– To co podać? Wodę i marchewkę? – zapytałam poirytowana.

– Mamo, ja proszę... wpadniemy na chwilę, pogadamy, Agnieszka w poniedziałek wraca do Anglii, naprawdę nie rób sobie kłopotu.

– Tylko przyjdźcie, chciałabym choć przelotem wnieść zobaczyć.

Zapewnił mnie, że przyjdą. Nie miałam prawa narzekać, odwiedzali mnie wszyscy dość często, chyba z ochotą, gdyż nie zanudzałam ich opowiadaniem o swoich dolegliwościach, zawsze coś dobrego podałam do jedzenia, nie brakowało popitku na moim stole. Niby wszyscy byli na diecie, ale jak coś smacznego się pojawiło na obrusie, dźwigali na talerze kawałeczki szarlotki, kroiety z kapustką, jajka faszerowane, nie zważając na kalorie. Nie miałam zamiaru w niedzielę przyjmować gości tylko herbatą.

Upiekłam lekki placek z wiśniami, prawie bez cukru, uszykowałam jako przekąskę maleńkie kanapeczki na krakersach, z wędzonym łososiem, kozim serem i ogórkiem. Pomyślałam, że nawet jeśli mój syn czy jego żona pogardzą, to Agnieszka na pewno się skusi. Ostatnią butelkę cytrynowki wystawiłam na stół na srebrnej tacy, w środku czterech kieliszków niczym królową pośród paziów. Wszyscy uwielbiali moje nalewki, planowałam jesienią przygotować większy zapas, gdyż ostatnio zabrakło moich domowych trunków przed Wielkanocą. Kiedy do mnie goście przychodzili, to zaraz stawiałam nalewkę na stół, żeby im osłodzić wizytę u starej kobiety.

Czekając na weselników, nalałam sobie do kieliszka odrobinę cytrynowki, zamoczyłam usta. Może miała trochę za dużo mocy? Wybiła godzina piętnasta, potem szesnasta, a goście nie nadeszli. Nie miałam w zwyczaju wydzwaniać, nękać Artura pytaniami i ponagleniami, uznałam, że może poszli na jakiś poczęstunek, trochę się spóźnią do mnie. Kiedy minęła następna godzina, zaczęłam się denerwować, niespokojna czuwałam przy telefonie, nawet do łazienki nie szłam, ale dopiero o dwudziestej zadzwonił mój syn.

– No co się stało, na litość boską?! Wypadek był, czy co? Jak tak można matce nie powiedzieć, co się dzieje?! – Czyniłam mu wyrzuty, nie dopuszczając do słowa. – Ja tu siedzę jak na szpilkach, od zmysłów odchodzę. Rozumiem spóźnić się godzinę czy dwie, ale tyle czasu?

– Mamo, zaraz będziemy, trochę komplikacji wystąpiło. – Artur głos miał spokojny

– Jakich komplikacji? Co złego?

Odechrząknął i mruknął niewyraźnie słowa pożegnania, zanim zdążyłam zadać kolejne pytanie, rozłączył się.

Kiedy w końcu przyszli, byłam już tak zmęczona, że trochę nieprzytomnie słuchałam gorączkowej relacji ze ślubu. Kanapeczki całkiem się rozciapały, za gorąco było w mieszkaniu.

Moja synowa Oktawia, która bezpodstawnie jak aktorka Grażyna Szapołowska uważana była w rodzinie za piękną i zmysłową, miała szerokie, chłopskie ramiona, płaską twarz, długie, ale niezgrabne nogi, również od aktorki przejęła manierę wysławiania się wolnego, dyszącego, udając zmysłowość. Przekonana była, że mężczyźni ślinią się na jej widok, więc zachowywała się tak, jakby tym męskim chuciom szła naprzeciw. Kiedy ją Artur pierwszy raz anonsował, uprzedził mnie i swojego ojca, że spotkał kobietę niezwykle piękną, mądrą, pochodzącą z rodziny z wspaniałymi tradycjami, zarówno po kądzieli, jak i po mieczu, noszącą nazwisko – Krasnawska. Waldemar zacierał ręce, marząc, że przy szlacheckim rodzie swatów to może na polowanie się wybierze, do dzika pozwolą mu strzelić, na zająca zapolować. Obsmiałam jego fantazje. Taka z nich była szlachta jak z nas, a może nam było bliżej do błękitnej krwi z powodu podejrzenia, że Pola była córką hrabiego Morawskiego.

Oktawia Krasnawska zrobiła na mnie fatalne wrażenie przy pierwszym poznaniu. Nie spotkałam ani nigdy wcześniej, ani nigdy potem większej „zgrywuski” w tej kwestii ze swoją córką Zuzanną zgadzam się w całej rozciągłości. Mieszkaliśmy wtedy pod miastem, w domu rodzinnym Waldemara, wyposażonym w cenne meble, choć nigdy pod kątem wartości nieoszacowane, bibeloty pochodzące z warszawskiego mieszkania Poli i Andrzeja. Kiedy obydwójce opuszczali Warszawę, Andrzej uciekając do Ameryki, Pola do Anglii, ja dostałam „na przechowanie” wszelkie sprzęty, książki, dywan perski, pamiątki z wycieczek na czarny ład, porcelanowy, zdekompletowany serwis obiadowy. Było tego całkiem sporo, ciężarówka wiozła cały ten kram na południe Polski, Waldemar siedział w szoferce pilnował transportu, bo mieliśmy słuszne

przecucie, że wieziemy rzeczy dość cenne. Dziś wszystko spoczywało pod opieką Artura, trzeba im oddać sprawiedliwość, że bardzo dbali o sprzęty oraz pamiątki. Pewnie ich wnuki uznają je za swoje pamiątki rodzinne, nikt nie zechce pamiętać, iż porzucił je ktoś, uciekając przed pozogą wojenną. Oktawia włączyła meble Poli do swojego rodzinnego mitu, wszakże sztukę zmyślenia własnej historii opanowała do perfekcji. Już tylko ja okazjnie wspominałam, że przedmioty nigdy nie należały do żadnego członka z naszej rodziny. Nie przeszkadzało mi to, bo kiedy wyprowadzałam się do mojego obecnego mieszkania, nie chciałam ciągnąć ze sobą tych ciężkich dębowych mebli, kilogramów książek, fajek, masek. Bezpieczniejsze były w ich przestrzennym dworku, miały tam odpowiednie tło i klimat. Kiedy Artur przyprowadził Oktawię do nas, zachwyciła się tymi meblami, kolekcją książek, od razu poczuła, że wżeni się w jakąś znakomitą rodzinę. Artur ubłagał nas, żebyśmy nie podawali zbyt wielu szczegółów co do pochodzenia tych antyków. Mieliśmy ogłędnie oświadczyć, że należały do rodziny matki, czyli do jej siostry Poli. Oktawia nie drażyła tematu, słusznie podejrzewając, że może trafić na jakieś prozaiczne wytłumaczenie. Sama będąc autorką mnóstwa naciąganych i nieprawdziwych historii dotyczących pochodzenia własnej rodziny, czuła, że lepiej wiedzieć mniej. Rozgadała się przy pierwszym spotkaniu o znakomościach w jej familii, pradziadkach powstańcach, dziadkach pilotach, babkach poetkach, ciotkach nauczycielkach, wujkach konspiratorach, sąsiadach artystach, przyjaciołach rodziny rozsianych po całym świecie i sobie samej, spadkobierczyni talentów wszystkich wyżej wymienionych. Słuchaliśmy uprzejmie, jednakże z lękiem, gdyż zanosilo się na to, że nasz syn oświadczy się w chwili zauroczenia tej „zgrywusce” i trzeba będzie się z nią użerać przez dekady. Nie myliliśmy się. Po trzech miesiącach znajomości Artur uroczyście, z wypiekami na twarzy, obwieścił, że został przyjęty.

– Co on w niej widzi? – zapytałam swojego męża, kiedy już zostaliśmy sami.

– Niebrzydka, elegancka, powabna, co się dziwisz Tusi? –

Waldemar nazywał mnie Tusią przez całe życie, ja nigdy mu nie powiedziałam, jak bardzo lubię w jego ustach tę Tusię.

– Naprawdę uważasz, że jest piękna? – zapytałam podejrzliwie.

– Taka rasowa, powiedziałabym.

– Rasowa? Wręcz przeciwnie. A co najgorsze udaje, cały czas udaje! Myślisz, że Artur tego nie widzi? – Dąsałam się jak większość matek na przyszłe synowe. Chciałam zapobiec temu małżeństwu powodowana intuicją, jednak nie poczyniłam żadnych wysiłków, aby tak się stało. Utyskiwałam po cichu, na stronie, a w dniu, kiedy klamka zapadła, zamilkłam jak grób, godząc się z przegraną.

Waldemar lubił większość napotkanych na swojej drodze ludzi, wszystkim się cieszył, wszystko mu się podobało, jednak nie był w tej swojej otwartości i radości infantylny. Stanowił moje przeciwieństwo, co zapewne czyniło z naszego związku wielki sukces. Już przy ustalaniu listy gości weselnych przegraliśmy z Krasnawskimi w stosunku trzy do jednego. Oni mieli większą rodzinę, więcej towarzyskich zobowiązań, szersze kręgi, a nade wszystko głębokie portfele, musieliśmy się grzecznie dostosować.

Ślub odbył się w 1983 roku. Niechętnie przyznaję, że była to ze smakiem i pompą urządzona uroczystość. Rodzice Oktawii mieli jeszcze dwie starsze córki na wydaniu, ale nie pokusili się o żadne oszczędności przy organizacji przyjęcia weselnego swojej najmłodszej. Dwudziesto- pięcioletnia Oktawia, jak większość panien młodych, wyglądała w białej sukni prześlicznie. Sprytnie skrojona, zakrywała te jej kwadratowe kształty górnej części ciała, jakimś krawieckim cudem dorobiła talię, której *de facto* panna młoda nie miała. Oktawia wystąpiła na niskich obcasach, aby nie górować nad Arturem, który miał zaledwie 180 centymetrów wzrostu i był drobnej budowy. Wypożyczyliśmy mu w Anglii smoking. Pola jak zawsze przy takich okazjach spisała się na medal, dołączyła do przesyłki buteleczkę cudownej wody po goleniu dla Artura, aby pod ołtarzem roztaczał zapach szczęścia i piżma. Marzeniem wszystkich rodziców jest urządzenie pięknego wesela swojemu dziecku. W tym marzeniu zjednoczyliśmy się z Krasnawskimi, aby zaraz po

ceremoniach i balu skoczyć sobie do gardła. Wszystko zaczęło się od nieszczęsnych ślubnych prezentów! W trzech kopertach podarowanych przez gości młodzi znaleźli ścinki gazet zamiast banknotów. Pal sześć bezczelność, ale kto się odważył? Oto było pytanie!

Matka Oktawii wydała wyrok, zanim jeszcze młodzi wytrzeźwieli po poprawinach.

– To ponad wszelką wątpliwość nikt z naszej rodziny – powiedziała Krasnawska, wymachując ścinkami przed nosem Waldemara. – To jest po prostu skandal, żeby tak się zachować, przecież niby wszystkich zaproszonych gości dobrze znamy! No, my swoich znamy, zapewniam was, nikt by się nie odważył czegoś takiego zrobić.

Waldemar patrzył na mnie, błagał wzrokiem, żebym go oszczędziła i stanowczo wystąpiła w obronie honoru gości ze strony pana młodego. Siedzieliśmy na tarasie ich dworku, było to zatem nie nasze terytorium, walka nie mogła być wyrównana.

– Może to któreś z ich młodych znajomych?... Studenci, nie mają pieniędzy, może im było wstyd? – zaczęłam ugodowym tonem. Krasnawska gotowała się na naszych oczach, pokrywka unosiła się, para bulgotała coraz głośniej. Krasnawski podumał niczym uczony, nagle twarz mu rozbliły genialnym pomysłem.

– Odciski palców! Mam znajomego w policji, mógłby zbadać te koperty, nie dotykaj ich Nutko, bo ślady zatrzesz – powiedział do żony.

Krasnawska, zwana przez męża Nutką, zaczęła rozważać praktyczne strony tego niedorzecznego pomysłu. Waldemar słuchał zawstydzony, ja nawet słuchać nie mogłam, wyszłam niezauważona do toalety. Kiedy wróciłam, Krasnawscy nie mieli jeszcze gotowego planu, bo nie wiedzieli, jak dyplomatycznie poprosić wszystkich gości weselnych o oddanie do analizy odcisków palców.

– Nie, ja tego tak nie zostawię! Budź Oktawię i Artura, może oni mają swoje podejrzenia! Trzeba po nich jechać do hotelu! – wydawała rozkaz za rozkazem, ale jej mąż nie ruszył się z wiklinowego fotela. Był piękny lipcowy poranek, ptaszki śpiewały, Waldemar nieobecny myślami, delektował się smakiem kolumbijskiej kawy. Nie mogłam na niego liczyć, takie sytuacje przerastały go, zupełnie nie wiedział, jak się zachować,

pogwizdywał sobie jakąś znaną melodię, obserwował chmurki na niebie, na twarzy zabłąkał mu się beztroski uśmiech zadowolenia. Nie, jego nie dotyczyło chandryczenie się o puste koperty. Krasnawską udało mu się jednak wyprowadzić z równowagi.

– Waldemar! Na miłość boską! – huknęła w jego kierunku aż kilka rozproszonych kropeł śliny rozprysło się w powietrzu obok mnie. Waldemar natychmiast spoważniał, ale nadal milczał.

– Nutko, nie unos się, zaraz przeprowadzimy śledztwo, obiecuję ci kochanie, znajdziemy winnych – uspokajał ją mąż.

– Dzwon do hotelu, niech oni tu zaraz przyjeżdżają! – Krasnawska wymaszerowała z tarasu defiladowym krokiem.

Nie zważając na podniosłą atmosferę, sięgnęłam po wypieczone rogaliki z czekoladą. Nie jadłam takich pyszności nigdy dotąd, Krasnawscy mieli swoją ulubioną cukiernię, krawca, fryzjera, tresera psów, gosposię, wszystko mieli, trzy puste koperty również. Zastanawiałam się, kto mógł naciąć tych gazet i wręczyć je pod kościołem parze młodej. Część gości składała życzenia na schodach kościoła, wręczano pannie młodej kwiaty, a panu młodemu koperty. Artur podawał je siostrze Oktawii, ta wrzucała je do białej torebki przewieszanej przez ramię. Druga siostra odbierała wiązanki kwiatów od Oktawii, zgrabnie podawała je dalej dwóm małym dziewczynkom. Zaproszono stu siedemdziesięciu gości, więc zarówno kwiatów, jak i kopert było sporo, w dobie kryzysu mało kto przynosił prezenty na ślub.

– Takie wystawne wesele, wszyscy jedli, pili dwa dni, jakiś cham do koperty gazety naciął! Macie konkretne podejrzenia? – Krasnawska wróciła do nas po kilku minutach. Jeszcze ją złość trzymała w swoich szponach, zawieszenie broni pojawiało się na horyzoncie. Usiadła obok męża, wachlowała się gazetą, raz po raz ciskając gromy w naszym kierunku.

– Kiedyś będziemy się z tego śmiać – powiedziałam, oblizując palec z czekolady.

– Faktycznie! Bo jest z czego? – burknęła.

– Nie jest to koniec świata, pewnie się nigdy nie dowiemy, przecież młodzi dostali tyle pieniędzy, chyba będą zadowoleni? – uspokajałam,

zerkając na Waldemara. Wprawdzie już nie gwizdał, ale nadal jego twarz zdobił beztronski uśmiech. Próżno by szukać u niego oznak oburzenia zaistniałą sytuacją, wydarzenia działały się obok, mój mąż rozmarzał się na inne tematy.

– Trawnik niczym na angielskim polu golfowym – powiedział nagle. – Jak wam się to udaje? U nas plaga koniczyny, same mleczce, chwasty...

Krasnawska spojrzała na niego jak na pacjenta szpitala psychiatrycznego, nikt nie podjął tematu trawy.

– Przeanalizujemy – obracała w dłoniach ścinki – to są różne gazety, inaczej cięte, popatrzcie... koperty też różne, nie pochodzą od tej samej osoby.

– Moja ciotka Pola jest poza podejrzeniem, przysłała prezent pocztą! – wykrzyknęłam uradowana, że choć jedną osobę uda mi się wybronić. Waldemar skarcił mnie wzrokiem.

– Pani Poli to my nie podejrzewamy, rzecz oczywista, taka światowa dama nie zachowałaby się w ten sposób. No nic, zadzwonię do hotelu, skoro młodzi są już po śniadaniu, to trzeba im powiedzieć, niech sami ocenią skalę tego dowcipu!

Krasnawski podniósł się z krzesła, Waldemar również się poderwał. Jakże przystojnym mężczyzną był mój mąż. Wysoki, barczysty, szpakowaty, nos miał piękny, usta wykrojone jak z kolorowego papieru, zawsze w lekkim malinowym kolorze. Krasnawski był konusem, zgarbiony jakiś, wyschnięty, nerwowy w ruchach, taki szczurek – okularnik, jakby go ktoś ze ścinków materiału uszył.

– Mam propozycję – powiedział Waldemar Pogorzelski, wyglądając kłapy marynarki. – W ogóle nie mówmy młodym o tych nieszczęsnych kopertach. Mieli takie piękne wesele, po co im psuć przyjemność? W jakim celu? Sami nie zauważą.

– Na pewno nie zauważą – podchwyciłam, zachwycona mądrością męża. – Tylko my we czwórkę o tym wiemy, niech to zostanie naszą tajemnicą.

Krasnawska prychnęła, ale nie odzywała się przez kilka sekund. Taka szlachetna myśl mogła powstać tylko w głowie mojego Waldemara, jedyne naprawdę dobrze urodzonego w tym towarzystwie. Patrzyliśmy przez chwilę ponad swoimi głowami, kontemplując proste i zarazem najlepsze rozwiązanie problemu.

– I mamy ot tak przejść na tym do porządku dziennego? Nie wiem, nie wiem... – wypaliła nagle matka Oktawii. Waldemar obdarzył ją tym swoim męskim, mądrym spojrzeniem, które zadziało, gdyż jej buzia zamknęła się nagle niczym drzwi garażowe.

– Warto przemilczeć ten niefortunny incydent, w przeciwnym razie młodzi będą sobie łamać głowy, zastanawiać się, rzucać podejrzenia, może jeszcze pokłóć się o to, a tego byśmy chyba nie chcieli dla naszych dzieci, co?

Waldemar po wygłoszeniu tej kwestii, wolnym krokiem poszedł w głąb ogrodu, zostawiając mnie samą z rodzicami Oktawii. Przeprosił i oddalił się.

– Jestem tego samego zdania – powiedziała, sięgając po kolejnego rogalika. – Niech to pozostanie naszą tajemnicą, bo nie ma co drążyć tematu, prawdy nie poznamy. Wyśmienite te rogaliki, naprawdę. Uwielbiam francuskie ciasto!

– O której macie pociąg? – Krasnawski zapalił papierosa, nie zważając, że jeszcze nie skończyłam śniadania. Nutka nadąsana poczerwieniała, wyłączyła się ostentacyjnie z rozmowy, posiedziała jeszcze chwilę na tarasie, a po chwili zniknęła w głębi domu, nie tłumacząc się ani słowem.

– Moja żona jest bardzo podenerwowana, ale kto by nie był? A tak na spokojnie, to masz Antosiu jakieś podejrzenia? – Utkwił we mnie swój świdrujący wzrok, odbierając mi apetyt. Odłożyłam rogalika na talerzyk i upiłam łyk kawy.

– Nie mam żadnych podejrzeń, nawet mi się o tym nie chce myśleć – odparłam znużona. – Dajmy już spokój tym kopertom. Pociąg mamy po południu, może trzeba zadzwonić na informację, wyjechałyśmy wcześniej? Jesteście zmęczeni, tyle gości przetoczyło się przez wasz dom, jak tylko Waldemar wróci, zaczniemy się zbierać.

– Poczekaście na dzieci, już po jedenastej, powinni zaraz być. Trzeba by omówić kwestię ich mieszkania...

Krasnawski chciał przemycić podjęcie drażliwego tematu pod nieobecność nowożeńców. Jeszcze przed ślubem podniósł kwestię mieszkania młodych, zaznaczając, że nie powinni mieszkać u nich, gdyż jest dość ciasno jak na dwie rodziny. Oczywiście przez pierwsze dni po ślubie młodzi mogą zatrzymać się w dworku, ale na dłuższą metę trzeba będzie ten problem mieszkaniowy rozwiązać. Ich dworek miał ze dwieście metrów kwadratowych, ale jak ciasno, to ciasno, co zrobić?

– Niech sami decydują – ucięłam krótko. Irytował mnie brzydki człowiek o podejrzliwym umyśle.

– Tak, tak, nierozwiązana pozostaje kwestia finansów.

Słowo „finanse” zostało wypowiedziane z niezwykłą powagą.

– Wynajęcie mieszkania w Krakowie sporo kosztuje, oni dopiero startują w życie. Artur zdaje się ma zamiar porzucić pracę w zakładach chemicznych i planuje jakieś prywatne przedsięwzięcie, wspominał nam o tym.

Krasnawski znów zapalił papierosa. Zabiło go to palenie, dziesięć lat po ślubie córki zmarł na raka płuc, a umierał w strasznych męczarniach według relacji Artura. Mnie palenie zawsze denerwowało, mimo iż sama podpalałam sobie w tajemnicy przed rodziną. On palił jak komin, choć nigdy tytoniem nie śmierdział, bo zawsze tuszował duszące zapachy wodą Old Spice.

– Mój syn ma wielkie plany, chce produkować kosmetyki, choć wszystko jest na razie w sferze marzeń! Na początek mogą zamieszkać u nas, już im proponowałam – mówiłam, wypatrując powrotu Waldemara.
– Mam przekonanie, że mój syn zadba...

– Nie wiem, czy z punktu widzenia Oktawii wyprowadzka z Krakowa to jest realny plan? – przerwał mi Krasnawski. – Skończyła studia, chciała pozostać na Uniwersytecie... nie można oczekiwać, że wszystko rzuci i wyjedzie na prowincję.

Nie zareagowałam na „prowincję”, myślałam uciekając na pociąg do Rzeszowa. Oktawia, owszem, skończyła polonistykę, ale nie wiązało się to z natychmiastowymi atrakcyjnymi ofertami pracy, natomiast nasz syn,

inżynier chemii, miał konkretny plan, wspólnika, trochę pieniędzy na rozpoczęcie produkcji kosmetyków dla kobiet. Podupadająca fabryka kosmetyków – „Hellena” – czekała na inwestorów, energicznych przedsiębiorców, do takich zaliczał się Artur i jego kolega Hieronim. Wiedzieli, że jeszcze nie jest to w Polsce Ludowej możliwe, ale wizjoner Hieronim przewidział, iż wkrótce zapanuje wolny rynek, będzie brakowało wszystkiego, wtedy oni wkroczą, przejmą te zrujnowane fabryki, ludzi w nich pracujących, maszyny, technologie. Po dziesięciu latach to im się udało. Byli chyba pierwszymi przedsiębiorcami w regionie. Pieniądze, które Hieronim przywiózł z Ameryki, stanowiły ich kapitał. Jednak w 1983 roku, kiedy Artur żenił się z Oktawią, opowieści o własnej fabryce kosmetyków brzmiały trochę niepoważnie i fantastycznie.

– Kraków to duże miasto, miasto wspaniałe. Ja nie przypuszczam, żeby można było prowadzić własną inicjatywę aż na taką skalę, jak Artur planuje. Lepiej się trzymać czegoś pewniejszego, państwowej posady – powiedział, wydymając usta.

Nie chciałam wdawać się w dyskusję, marzyły mi się bardziej prozaiczne rzeczy, jak na przykład zjedzenie jeszcze jednego rogalia, wypicie kolejnej mocnej kawy ze śmietanką, szczęśliwy powrót do domu.

– Tak, tak, porozmawiacie sobie, niech się wypowiedzą, to dorośli ludzie, nie ma im co na siłę życia układać – przerwałam mu i zatkałam sobie usta kęsem rogalika. Krasnawski chrząknął niezadowolony.

– Zatem nie porozumiemy się w tej sprawie. Miałem nadzieję, że mogę na ciebie liczyć w kwestii przekonania Artura, aby zamieszkał w Krakowie – powiedział z nutą rozczarowania w głosie. – No cóż, szkoda, będę musiał sam z nim porozmawiać. W końcu kosmetyki można produkować gdziekolwiek, dlaczego nie tu?

– O idzie Waldemar! – krzyknęłam, wypatrzywszy go w alejce.

Waldemar niespiesznie dołączył do nas.

– Piękny macie ogród, trzeba przyznać, mądrze rozplanowany, wspaniałe rododendrony, azalie, palmy...

Mój mąż, wypoczęty i rozluźniony, usiadł obok mnie, pocałował mnie szarmancko w dłoń. Podziękowałam mu wzrokiem, że nie zostawił mnie na długo w towarzystwie „szlachcica” Krasnawskiego.

– Musimy sobie odświeżyć drzewostan na naszych arealach. A kiedy do nas przyjedziecie mili państwo? – zwrócił się do swacha.

– Na pewno nie w tym roku! – Krasnawski odpowiedział zbyt szybko i zbyt dobitnie. Waldemar spojrzał na mnie zdezorientowany. Szybko domyślił się, że pod jego nieobecność toczyła się jakaś dyskusja.

– W każdym razie zapraszamy – powtórzył niezrażony.

– Kończę projekt. Pomagam profesorowi Zinowi – oznajmił architekt Krasnawski. – Nutka bardzo zajęta swoimi sprawami, na razie wy-cieczki są wykluczone. Urlop mamy już zaplanowany we Włoszech. Nie wiem, czy opowiadałem, ale mam tam kuzyna, prowadzi biuro nieruchomości w Wenecji...

– Z Wenecją konkurować nie będziemy – Waldemar rozpiął marynarkę, rozparł się wygodnie w fotelu – ale gdybyście mieli ochotę, to bez zbędnych ceregieli, zapraszamy. Chrzcziny podejmujemy się urządzić u nas!

Krasnawski zareagował natychmiast, spuszcżając torpedę.

– W naszej rodzinie dzieci chrzczimy w kościele Mariackim – oświadczył.

– Zrobicie wyjątek – powiedziałam szybko, zaciskając dłoń na poręczy fotela. Nie wiem, w jakim kierunku poszłaby ta coraz mniej przyjemna wymiana zdań, gdyby nie pojawienie się młodej pary.

Nasz syn Artur promieniał, jedno spojrzenie wystarczyło, aby przekonać się, jakim bezgranicznym szczęściem obdarzyła go wybranka. Dobre słowo, wybranka! Trzymał Oktawię za rękę, adorował każdym posyłanym spojrzeniem, wykonanym gestem, kleił się do niej, ona z kocią łaskawością przyzwalała na te dowody miłości, cielecego oczarowania. Był naprawdę w niej zakochany. Nie miałam zamiaru w tę jego szczęśliwość wchodzić z żadną, najmniejszą nawet uwagą czy komentarzem. Nam matkom, z wielkim trudem przychodzi oddanie synów obcej

kobiecie! Zuzanna wykrzyczała mi kiedyś podczas awantury, że Artur mógłby kupę zrobić na środku dywanu, a ja uznałabym, że to się kompot śliwkowy wylał. Może miała rację? Jesteśmy zazdrosne o nowe kobiety w ich życiu, to raz, ale przede wszystkim rządzi nami święte przekonanie, że nikt tak nie zadba o naszych chłopców jak my, nikt ich nie będzie hołubił z należytą miłością, nie będzie wychwalał za najdrobniejsze nawet osiągnięcie, nie ugotuje gęstej pomidorówki, jaką lubią. Dowcipy o teściowych w każdym języku, każdej kulturze brzmią śmiesznie, o teściach jakoś cicho sza! Dziś doskonale o tym wiem, ale wtedy, w poniedziałek lipcowy, zastanawiałam się tylko, czy ona go przypadkiem nie skrzywdzi jako ta mniej zaangażowana w związek? Nie odważyłam się Waldemarowi zawracać głowy irracjonalnymi rozterkami, on traktował Artura normalnie, nie uważał go chyba za szczególnie wyjątkowego, choć był z niego dumny. Szkoda, że nie doczekał wielkiego sukcesu syna.

Młodzi odwieźli nas na stację kolejową, szczebiocząc o weselu, bogatych prezentach, łaskawej pogodzie, podchmielonym kaznodziei, który ich pobłogosławił. Oktawia mówiła znacznie więcej niż jej mąż, można by wręcz rzec, że nie dopuszczała go do słowa. Wycalowaliśmy się, wyściskaliśmy, jakbyśmy się żegnali na dłuższy czas, i wycierając samotną łezkę z oka, wsiadłam do śmierzącego pociągu relacji Zielona Góra-Przemyśl.

Wyjeżdżając, miałam poczucie spełnienia, bo wszystko, czego życzyłam sobie dla syna, wydawało się wychodzić mu naprzeciw. Nie zmusiłam się nigdy, aby nazwać Oktawię córką, ona zwracała się do mnie per mamó tylko od wielkiego dzwonu, ale doceniłam fakt, że taka kobieta mojemu synowi odpowiada.

Od tamtej pory minęło prawie trzydzieści lat. Wytrwali w związku.

Kiedy przyszli do mnie po ślubie Lilianny, wystarczyło jedno spojrzenie, aby nabrać podejrzeń, że wydarzyło się coś niedobrego. Nie było z nimi Agnieszki.

– Agnieszka została z Lilą... podtrzymuje ją na duchu. – Artur wyjaśnił krótko i poczęstował się moją nalewką. Oktawia sadowiąc się przy

stole, zadała retoryczne pytanie: „A kto poprowadzi?”, ale jej mąż tylko wzruszył ramionami. Nalewka stała na stole, Artur sam się obsłużył, nie czekając na nas. Wychylił kieliszek, po czym zaraz go uzupełnił. Oktawia zamoczyła usta, pomlaskała, widocznie jej też posmakowało, bo po krótkim namyśle wypła do dna.

– Chadzamy z Oktawią do kina, przeważnie na polskie filmy – zaczął mój syn. – Zawsze się zastanawiamy, jakim cudem takie głupie i naiwne historie trafiają na ekran? A czy życie nie pisze lepszych scenariuszy? Takie badziewie jest w tych polskich komediach romantycznych, że sam się nóż w kieszeni otwiera!

Śluchałam i nie przerywałam. Artur kręcił głową, nie patrzył na mnie, wydawał mi się zawstydzony. Oktawia poprawiała makijaż, przeglądając się w srebrnej tacy, na której stały kieliszki. Trzymała się sekutnica jedna! Mało zmarszczek wokół oczu, ładne, swoje zęby, długie rzęsy, modna fryzura, czy z botoksem czy bez, to mnie już nie zajmowało. Czoło miała prawie nieruchome, kości policzkowe nienaturalnie wydatne.

– Tak mam, życie przerosło wyobraźnię scenarzystów. – Artur zaśmiał się krótko.

– Artur, mów, bo jak nie, to ja powiem. – Oktawia odłożyła tacę, sięgnęła po karafkę z cytrynowką. – Weźmiemy taksówkę, ja też się napiję!

– Proszę, częstujcie się. Jeszcze mam kanapeczki, przyniosę. – Poszłam do kuchni, nie protestowali, kiedy postawiłam przed nimi talerze. Byli oczywiście głodni i zapominając na chwilę o tym diabelskim słowie „węglowodany”, rzucili się do jedzenia. Chrupali, delektowali się. Umiałam zrobić smaczne kanapki na krakersach, fikuśne, o przeróżnych smakach. Artur wytarł usta w serwetkę, wypił jeszcze jeden kieliszek, zanim przemówił.

– No to krótko mam, ślub się nie odbył! – wypalił.

Nie dziwiło mnie to.

– Ale mało brakowało. Jak w piosence Rodowiczki: *Już zapisani byliśmy w urzędzie, białe koszule na sznurze schły...* – zanucił fragment przeboju sprzed lat, zabrzmiało dość fałszywie, Oktawia roześmiała się.

– Ja bym poprosiła jeszcze jedną kanapeczkę. Przepyszne, cukier mi spadł, trochę mnie osłabiło. – Oblizywała wargi ze smakiem. – Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że jestem taka głodna.

– Proszę, częstujcie się. Placek też mam. Może weźmiecie kawałek dla Agniesi? Dla niej piekłam. Przyjdzie do mnie przed wyjazdem? Znowu pewnie wpadła jak po ogień?

Nie umieli odpowiedzieć na to pytanie. Nieumyślnie trzymali mnie w napięciu, musieli najpierw coś zjeść, żeby nabrać sił do opowiadania. Oktawia przełknęła ostatni kęs, udało jej się wyprzedzić męża z opowieścią.

– Tak dosłownie, za pięć dwunasta, wpadł do USC kolega Maxwella... – zaczęła. – Jak on się nazywa?

– Samuel jakiś tam. Piłkarz. – Artur jej podpowiedział.

– No właśnie, Samuel, ładne imię. Kolega, a nawet przyjaciel Maxwella. Oczy miał jak w gorączce, wiesz, jakie oni mają czarne oczy w tych białych gałkach ocznych na tle czarnej skóry, efekt piorunujący! Od razu wiedziałam, że będzie jakaś awantura, bo to nie było takie spokojne wejście, tylko wtargnięcie! Samuel nie był pijany, ale też nie całkiem trzeźwy...

– Był pijany! – wtrącił Artur. – Przeszedł koło mnie, buchnęło od niego gorzelnią! Ale nie jest to kluczowe dla sprawy, mów dalej.

– Myśmy stali przed wejściem, czekaliśmy na zewnątrz na naszą kolej, pogoda ładna, nie chcieliśmy się kisić w środku, poza tym ja wypatrywałam Zuzanny, pewna byłam, że przyjadą w ostatniej chwili na ślub córki, że się złamią ostatecznie, tacy niby święci, na klęczkach całe życie, tymczasem dla córki ani za grosz miłosierdzia.

– Przestań już. – Artur upomniał żonę, wyhamował zawczasu ciąg cierpkich uwag. Korzystała z okazji, aby wtrącić swoje trzy grosze deza-probaty.

– W każdym razie – podjęła temat niezrażona – nagle pojawił się ten Samuel, czarny jak smoła, chłop jak dąb, po wyjściu z taksówki sunął niczym walec prosto na nas. Pomyślałam sobie, że to brat pana młodego. Minął nas bez spojrzenia.

– Ja od razu się zorientowałem, że coś nie gra. – Artur dorzucał swoje uwagi pomiędzy kęsami.

– Mówię do Artura, chodźmy za nim, coś jest na rzeczy – ciągnęła Oktawia. – Młodzi już byli w środku. Biegiem po schodach, krzyki słychać od parteru, dotarliśmy zziązani na pierwsze piętro.

Lila stała pomiędzy tymi czarnymi młodzieńcami, mówiła coś po angielsku do Samuela, bo on po polsku bardzo słabo, w przeciwieństwie do Maxwella, który naprawdę mówi świetnie po polsku, jak na cudzoziemca rzecz jasna. Podeszliśmy bliżej, żeby posłuchać, co się stało. Wszystko trwało kilka sekund. Maxwell wziął zamach i uderzył Samuela pięścią prosto w twarz. Jeden cios, a tamten leży! Upadł prosto pod moje nogi!

Wydąłem z siebie krótki jęk, sama sięgnęłam po kieliszek.

– Dosyć to komicznie wyglądało, Samuel wielki chłop jest, w obro- nie gra, a Maxwell niższy od niego, może nawet szczuplejszy? Mówię ci mamu, po prostu go kropnął z pięści! – Artur kontynuował opowieść. Wydawał się rozbawiony, kiedy to mówił. – Niczym Kliczko, powalił rywala potężnym ciosem. Lila w krzyk, w płacz, w jednej chwili odwróciła się na pięcie i uciekła. Ja z Oktawią staliśmy jak dwa słupy soli, nie wiadomo było w pierwszej chwili, jak zareagować? Podnosić Samuela, dołożyć mu? Czy biec za Lilą, bo ona przecież w stanie błogosławionym.

– Ciężę już trochę widać, ale ładnie wyglądała, tak dziewczęco – przerwała mu Oktawia. – Miała na sobie sukieneczkę w kolorze écru, turkusowe dodatki, w sumie interesująco. Na szczęście nie odziedziczyła prząsnego gustu po matce...

– A Agnieszka? Gdzie była Agnieszka? – zapytałam.

– No właśnie na nią czekaliśmy przed wejściem – wyjaśniła Oktawia. – Pobiegła kwiaty odebrać z kwiaciarni w rynku. Ominął ją cały spektakl. Ale kiedy wyszłam w poszukiwaniu niedoszłej panny młodej, znalazłam je obie, wsiadały do taksówki, odjechały z piskiem opon.

– Wtedy ja wyszedłem przed budynek i powiedziałem Oktawii, w czym rzecz – podjął Artur. W głowie mi się zaczęło kręcić od tej ich urywanej relacji.

– To może ja się w końcu dowiem?! – Palnęłam otwartą dłońią w stół, już nie byłam w stanie się opanować.

– Chodzi o to mamó, że Maxwell ma żonę w Nigerii. Nie jest wolnym człowiekiem, to właśnie powiedział Lilce Samuel, zanim dostał w nos. Może go sumienie dręczyło, może miał jakieś inne powody, w każdym razie zapobiegł ożenkowi. Mamó, nie ma mama jakiejś zupy z obiadu?

Miałam zupełnie ugotowaną rano, trzymałam ją dla Jacka na dzień jutrzejszy, bo w poniedziałki zawsze przychodził z zakupami i przeważnie zostawał na obiad, obiecałam zaraz odgrzać.

Gdyby nie ta ciąża, można by było szybko wstyd zaleczyć, odkochać się, zapomnieć, poszukać innego kawalera, ale dzieciątko było w drodze, na zawsze miało już Lili przypominać, jak ją ukochany oszukał.

– No i co teraz będzie? – zapytałam, rozkładając talerze. – Co będzie z Lilą?

Oktawia skrzywiła się.

– No chyba jej miłość przejdzie, jak ręką odjął. Co za gagatek?! A zresztą, mało to się takich historii tym głupiutkim dziewczynom przydarza? Co chwila grzmia w telewizji, żeby uważać na oszustów, Nigeryjczycy są chyba w modzie, bo coraz głośniej o nich. Agnieszka jej przetłumaczy. Pojechały do hotelu, tam młodzi mieli spędzić noc poślubną. Agnieszka napisała SMS-a: *Maxwella walizki na korytarzu hotelowym, Lila śpi, szampana piję sama*. Ja bym może też poczęstowała się zupą, jeśli jest na tyle?

Podaliśmy im krupnik z chlebem. Jedli, aż im się uszy trzęsły, cudownie nikt nie przeliczał kalorii!

– A Zuzanna? Wie? – zapytałam.

Oktawia wytarła usta serwetką, skinęła głową na potwierdzenie. Dlatego do mnie się spóźnili, bo do niej pojechali w pierwszej kolejności.

– Jak zareagowała? Wściekła się?

– Po niej niewiele widać – odparła moja synowa, wzruszając ramionami z niechęcią.

Przyszło mi od razu do głowy, już nie po raz pierwszy, że Zuzanna

bardzo do mojej matki Jadwigi podobna. Po mojej matce też rzadko było widać, co naprawdę czuje i myśli, mówiła tylko surowe lub cierpkie rzeczy. Mnie, dziękować Najwyższemu, ominęło takie usposobienie, ale moja córka Zuzanna nie miała już tyle szczęścia, odnalazły ją sprytny geny. Artur opowiedział mi o wizycie u siostry.

Nie miałam siły zadawać więcej pytań, tak się zdenerwowałam, że poczułam potrzebę natychmiastowego pozostania w samotności, musiałam spokojnie obmyślić kryzysowy plan dla Lilianny. Oktawia wyszła do łazienki upudrować nos, ja zaczęłam kroić ciasto. Im prędzej zjedzą, tym prędzej wyjdą. Artur rozweselony cytrynowką opowiedział jeszcze raz przebieg starcia pomiędzy kolegami z Nigerii, dorzucając parę szczegółów. Zawinęłam w folię kawał placka, który Oktawia bez protestów upchnęła do swojej przepastnej torby znanego projektanta, o czym nie omieszkała mnie poinformować przy wyjściu. Był to prezent od Artura, za 3000 euro! Oktawia zawsze podawała ceny produktów, jeżeli dostawała prezent, nawet tak banalny jak butelka wina, sprawdzała w Internecie, ile kosztował. Żałowałam, że nie udało mi się zobaczyć Agnieszki przez ten dramat w Urzędzie Stanu Cywilnego. Uwielbiałam jej towarzystwo, ciekawe opowieści, ma piękny umysł i czyste serce, tylko żaden mężczyzna tego jak dotychczas nie docenił. Przy każdej wizycie wycze kiwałam anonsu, lata mijały, Agnieszka tkwiła w panieństwie.

Zamknęłam drzwi za moimi gośćmi, położyłam się spać i zasnęłam w kilka sekund. Kiedy obudziłam się nad ranem, nie miałam pewności, czy wizyta z poprzedniego wieczoru naprawdę miała miejsce, czy wszystko mi się przyśniło?

ROZDZIAŁ VIII

Jacek Kubelski obok mojej codziennej gazetki położył na stole kolorowe pismo, słusznie zwane „brukowcem”. Patrzyłam przez chwilę na fotografię z pierwszej strony. Bardzo powoli docierało do mnie, że to Lila z czasów szkolnych uśmiecha się do mnie! Usiadłam, przybliżyłam zdjęcie do oczu, wpatrywałam się w jej pogodną buzię licealistki, przymrużone oczy patrzące w słońce. Jacek pogwizdywał, krzątał się po kuchni, wymieniając worek w moim kubie na śmieci, zamiatając okruszki w szafce pod zlewem, niezrażony ciszą zabrał się do zmywania naczyń. Wpadął teraz niemal codziennie, uzgodniliśmy, że będę mu gotować obiady. Nie chciało mi się tylko dla jednej osoby garami szurać, więc zaproponowałam domową stołówkę. Jacek po krótkich protestach przystał na propozycję, pod warunkiem, że pozwolę mu się dołożyć do mojego budżetu. Zawsze wychwalał moją kuchnię, miło było patrzeć, jak pałaszuje sznycle, kotleciki, łazanki z kapustą mojego autorstwa, dogadzałam mu, czym mogłam, nawet przyrządziłam raz pączki na parze polane koktajlem śmietanowo-truskawkowym. Moje dzieci i wnuki wybrały ten przysmak jako numer jeden ich dzieciństwa. Jackowi gwiazdy w oczach stanęły z rozkoszy, kiedy mu je pierwszy raz podałam. Robił zakupy, raz w tygodniu większe, co drugi dzień drobne, mleko, gazetki, biały serek. Nie zostawał u mnie długo, zjadał, zmywał po sobie, leciał dalej, jego mała firma zajmująca się naprawą komputerów wchodziła w okres rozkwitu. Pracował w domu, ale zatrudniał dwóch studentów informatyki do pomocy, ludziska przynosili coraz więcej komputerów do naprawy, także firmy zamawiały jego usługi. Jeździł po całym regionie, służąc swoją wiedzą i złotą rączką. Cieszyłam się z jego sukcesów, modliłam za powodzenie przedsięwzięcia, bo przecież nie miał chłopak lekkiego życia. Agata ze szpitala pojechała do ośrodka nad morzem, postanowiono tam

kontynuować terapię wśród takich jak ona, dotkniętych dziwną chorobą cywilizacyjną. Jacek zamierzał ją odwiedzić, wciąż jednak odkładał podróż w obawie, że jeszcze oboje nie są gotowi na spotkanie. Obolały był mój Jacek z powodu siostry, starałam się nie dręczyć go pytaniami, nie podsuwałam pomysłów, wychodząc z założenia, że nie ma się co pchać z interwencją, kiedy jest szansa, że rzeczy się same ułożą. Bronił się przed obwinianiem bliźnich, a jaka to rzadka cecha, to wie każdy, kto ma do czynienia z ludźmi. Mógł mój Jacek na ojca pomstować, że ich porzucił, z pamięci wymazał, z serca przegnał, mógł siostrę winić, że się dała w komputer wciągnąć, co ich matkę do samobójstwa pchnęło, ale nie, trwał na stanowisku, że życie potargało go nie mocniej niż innych.

– Co mi to da – powiedział mi kiedyś – że się pogrążę w dochodzeniu, kto zawinił i jak go ukarać. Nie chcę reszty życia spędzić na rozliczeniach z ojcem, pretensjach do Agaty oraz żalu do mamy, że mnie tak zostawiła samego z tym wszystkim. Nie będę roboty Panu Bogu odbierał, niech ich sądzi, ja bym satysfakcji nie znalazł tak czy tak.

Taki mądry i szlachetny był Jacek.

Kiedy już uprzątną kuchnię, usiadł naprzeciwko mnie. Przeczytałam dwukrotnie relację „brukowca” z niedoszłego ślubu mojej wnuczki. Bardzo różniła się od tego, co opowiedzieli naoczni świadkowie. Jacek potwierdził, że ten Samuel Boobe jest bardzo znanym piłkarzem w śląskim klubie, media musiały podchwycić taką historię, był to dla nich smaczny kąsek. Ktoś telefonem komórkowym zrobił zdjęcie leżącemu Samuelowi, a choć jakość zdjęcia nie była dobra, jego zakrwawiony nos znalazł się w powiększeniu zaraz obok zdjęcia Lilianny. Gazeta donosiła, że piłkarz Samuel zakochany w narzeczonej przyjaciela, Liliannie P., postanowił nie dopuścić do ślubu, wyjawiając pannie młodej sekret przyjaciela, mianowicie fakt, iż ma on już dwie żony w Nigerii! Piłkarz odmówił komentarza, gazeta dowiedziała się, że zamierza sam poślubić Liliannę P. i to jeszcze w tym miesiącu. Lilianna P. spodziewa się bowiem jego dziecka! Klub piłkarski wydał krótkie oświadczenie, że nie ma zamiaru zajmować stanowiska w tej sprawie, gdyż życie prywatne Samuela, jeśli tylko nie przeszkadza mu w profesjonalnym wywiązywaniu się z kontraktu, zupełnie ich nie obchodzi.

Obchodziło natomiast mnie.

– Ale się porobiło... – Jacek postawił filiżankę na rozkwaszonym nosie Samuela. – Zastanawiałem się, czy pani tę gazetę przynieść, czy nie, ale pewnie kto inny i tak by to zrobił. Gierkowa siedzi na ławce przed klatką, czyta na głos swoim plotkarom. Właśnie ją minąłem, idąc do pani.

– Spodziewam się! Będą miały używanie! – Wyciągnęłam gazetę spod filiżanki i schowałam do szuflady.

– Szybko się dowiedziały hieny jedne gazetowe, przecież ślub był wczoraj! To znaczy, miał być. Już w Internecie pojawiły się niewybredne komentarze, że Murzyni są tak do siebie podobni, panna młoda nawet się nie zorientuje, że pan młody się zmienił!

– A niech gadają! – powiedziałam Jackowi zagniewanym głosem. – Zaraz będę dzwonić do córki, może się czegoś dowiem. Lila ma wyłączoną komórkę, nie ma z nią kontaktu, nawet nie wiadomo, gdzie teraz jest, u rodziców, czy nadal w hotelu? Pewnie, że nie wiem wszystkiego, ale nie sądzę, żeby historia jej miłości i Samuela była prawdziwa, już na pewno nie on jest ojcem jej dziecka!

Ledwie ostatnie zdanie zgasło w moich ustach, pojawiła się wątpliwość, czy aby na pewno znam prawdę?!

– W każdym razie, szczęściara z Lili, bo ma dwóch starających się o jej względy. Dziewczyny mnie zaskakują czasami... zmienne, migiem zmieniają obiekt zainteresowania. Nie uwierzy pani, co mi się przytrafiło w sobotę!

– Mianowicie?

Gotowa byłam na wysłuchanie każdej historii, aby tylko na chwilę oderwać się od „Afery nigeryjskiej”. Jacek już miał zacząć opowiadać, kiedy rozległ się z balkonu obok głos Gierkowej.

– Pani Pogorzelska! Jest pani w domu? Halo, pani Pogorzelska!

Gestem dał mi znać, że się zajmie wścibską babą z mieszkania obok. Wyszedł na balkon. Wdzięczna mu byłam, bo nie ręczyłam za siebie w tej chwili. – Pani Tosia śpi, czym mogę służyć? – Słyszałam wyraźnie każde słowo.

– A nic, nic Jacusiu, tak chciałam... czytałeś w „Przebojach Dnia” o wnuczce Pogorzelskiej? Co z tym czarnym piłkarzem dziecko ma?

W pierwszym odruchu chciałam wyjść na balkon i walnąć Gierkową trzepaczką do dywanów, ale ufałam, że Jacek załatwi to lepiej ode mnie. Ta kobieta przekraczała wszystkie dopuszczalne granice, pchała się na oślep w żywoty bliźnich, nic ją nie obchodziło, jakie przykrości, nierząd-ko cierpienia zadaje ludziom. Jacek imponował opanowaniem.

– Nie czytałem pani Gierkowa, bo nie kupuję tego szmatławca, z pewnością kupię, jak napiszą wreszcie o pani synu doktoru, szczególnie o tym, jakich łapówek żąda za przyjęcie na oddział w szpitalu. Całe mia-
sto o tym huczy, nie słyszała pani?

Powiedział i nie czekając na ripostę, wszedł do mieszkania, zatrza-
skując drzwi balkonowe. Wrócił do kuchni jak gdyby nigdy nic i podjął
przerwany wątek, ani mu powieka nie drgnęła. Wyłączyłam telewizor,
żeby się nie rozpraszać.

– Wyobraża pani sobie, kolega mój, dobry kolega, wyjeżdżał do
Niemiec, zarobić trochę grosza, płytki kładzie jak artysta, kolejki do
niego są. Madzię, ukochaną dziewczynę zmuszony był zostawić w Pol-
sce. Poprosił mnie, żebym dzień po jego wyjeździe do niej zaszedł, wrę-
czył kwiatki w jego imieniu, zapewnił ją o jego miłości. Taki się chciał
romantyczny zrobić moimi rękami. Madzia z nim nie mogła jechać, bo
maturę ma, więc jej było strasznie smutno, rozpaczała z powodu tego
rozstania. Robi, ten mój kolega, mnie, kumpla z podstawówki z kwiat-
kami posłał na osłodę. Kurczę, normalnie gońcem z Interflory mnie zro-
bił. Robi to fajny chłopak jest, nie mogłem mu odmówić. Madzia też
miła i przyjemna laska, więc pomyślałem sobie, podjadę do niej, załatwię
sprawę, jeszcze zdążę do kina na siódmą, bo się umówiłem z dziewczy-
ną.

– No proszę! Masz dziewczynę? – Klasnęłam w dłonie. A jednak
nie jest gejem! Straszne mnie myśli nachodziły ostatnio, że Jacek nie
przepada za płcią przeciwną, swoje skłonności niebawem publicznie

wyjawi, a przecież drugiego testu w tym roku na wyrozumiałość i homofobię sobie nie wieszowałam. Rozwiął moje obawy. Dlaczego używam słowa obawa? Ano dlatego, że nie wierzę, aby która matka czy ojciec życzył sobie mieć dziecko o skłonnościach homoseksualnych. Co innego zaakceptować, jak już się takie okaże, rodzicielska powinność, ale każdy wolałby jednak spłodzić heteroseksualnego potomka. Jacek opowiadał, wybierając czekoladki z pudełka. Zostawiłam mu te w czerwonych złotych, takie z wiśniowym nadzieniem najbardziej lubił.

– Poznałem ją dopiero co, raz byliśmy w teatrze, teraz miało być kino, sprawa, że tak powiem w toku. Nic poważnego, tyle tylko, że gawęda z nią na przyzwoitym poziomie. W każdym razie, żeby się nie rozdrabniać, pojechałem do Madzi, zapukałem do drzwi, wielki bukiet za pięć dych torował mi drogę. Robi zostawił kasę, ale i tak musiałem dychę dołożyć, żeby miał ładne przybranie ten bukiet. Madzia mnie zaprosiła do środka, nad kwiatami morze łez wylała, o miłości do Robiego opowiadała przez godzinę, zupełnie nie wiedziałem, jak się wyrwać, czas leciał, moja randka stygła pod kinem. – Mrugnął do mnie porozumiewawczo. – Nie chciałem jej zostawiać we łzach, naprawdę przeżywała to rozstanie, serce jej pękało w szwach na moich oczach. Puściłem tekst do mojej randki, że sorki, ale sytuacja rodzinna, niestety nie zdążę na wieczorny seans. Zły byłem na siebie, siedziałem na wersalce u Madzi, słuchałem o Robim, znam go dłużej niż ona, więc nic nowego się nie dowiedziałem. Tak gdzieś koło dziesiątej wieczór, kiedy zacząłem się zbierać do odlotu, Madzia ni z tego, ni z owego zaczęła się do mnie tulić. Przysięgam pani sąsiadko, zbaraniałem. Wysztywniło mnie na maksa, a kiedy chciałem jej ręce z mojej szyi ściągnąć, zaczęła mnie całować! Nie tak, cmok, cmok, tylko, wie pani, na całego...

– Ale historia. Uciekłeś? – zapytałam ubawiona.

– Pewnie – odparł tak szybko jak na prawdomównego człowieka przystało. – Ja się trzymam od takiego asortymentu z daleka. Robi dzwonił i pytał, czy byłem z tymi kwiatkami u Madzi, czy się ucieszyła, czy była zaskoczona? Głupio mi, jakaś beznadzieja się z tego zrobiła! Czuję,

że mi Madzia jeszcze jakąś jazdę zrobi. Nie chcę dobrego kumpla przez łaskę stracić!

– Może trzeba będzie Robiego oświecić? – zasugerowałam. – Nie lepiej zagrać w otwarte karty?

– Ja tego nie zrobię! – oświadczył z przerażeniem na twarzy. – Ja się nie nadaję po prostu do męskich rozmów. A Robi też święty nie jest. Odkąd skończył szesnaście lat, uganiał się za mężatkami, rogi im mężom przyprowadzał taśmowo. Kiedyś, uśmieje się pani, pojechał z jakąś kobitką do lasu... wie pani, mężatka, mąż wojskowy, ona potrzebująca, Robi tylko takie wybierał. Zima była tęga, ale tam wielki żar z nich buchał, postanowili jednak do tego lasu wjechać i trochę pofiglować. Około północy dzwoni do mnie Robi, błaga, żebym go ratował. Ich samochód zakopał się w zaspie na leśnej drodze, śnieg sypał, ani w tył, ani w przód, ugrzęźli na amen. Ona musiała do domu szybko wracać, niby od koleżanki, ich konspiracja rwała się jak stara szmata. Dzwoni do mnie i mówi: „Jedź Jacek na stację benzynową, tam mój brat pracuje na nocnej zmianie, weź od niego łopatę, samochód, przyjedź tu, odkop nas, bo pozamierzamy”. Co było robić? Nie zostawia się kumpla w takich tarapatkach. Ubrałem się, poszedłem na Sheila po nocy. Po drodze coś mnie naszło, postanowiłem sobie trochę zażartować, ja tak czasami mam, podkusi mnie. Sama panie wie, jak choćby z tym rowerem na Komunii Agaty. Przygotowałem się z grubsza, wpadam na stację, udaję roztrzęsienie i mówię do brata Robiego:

– „Zabiłem człowieka, przyszedłem łopatę pożyczyć, muszę go zakopać!”. Mówię pani, uwierz! Kluczyki mi dał do swojego forda, łopatę wrzucił do bagażnika, jeszcze mi rękawiczki wcisnął. Tak mu się ręce trzęsły, że nie mógł drzwi od auta otworzyć, ale o nic nie pytał. Tłumaczył się, dlaczego nie pojedzie ze mną, sam jest na zmianie, nie może wyjść, stacji bez nadzoru zostawić. Kiedy zapytał, co zrobię ze zwłokami, powiedziałem mu, że tu na Sheila przywożę i do kubła na tyłach wrzucę.

– Ale z ciebie kawalarz! – wybuchnęłam śmiechem.

– A lubię czasami jakiś numer odwalić, żeby wesoło było.

– Odkopałeś kochanków?

– Nie mogłem ich znaleźć, ze dwie godziny jeździłem, sam się zakopałem w zaspie, w końcu znalazłam zbereźników, tylko mieliśmy zamiast jednego, dwa samochody w lesie unieruchomione w śniegu. Ta jego kobitka całkiem fason straciła, seksapil jej zamarzył pod kożuchem, zaczęła Robiego od nieudaczników wyzywać. Zadzwoniliśmy po taksówkę, ale o piątej rano żaden taksówkarz nie chciał do lasu przyjechać, wcale im się nie dziwię. W końcu poszedłem do wsi, znalazłem chłopca z traktorem, za dwie faszki gorzały nas wyciągnął – zakończył, błyskając pięknymi, równymi zębami.

– Niezła przygoda, z drugiej strony, jakie te baby bezmyślne są, bo młodego chłopaka to nawet nie winię – powiedziałam coś, co spodobało się Jackowi.

– A ona młoda nie była, fakt, choć przyjemnie zakonserwowana.

– Mąż wojskowy, mogło się to znacznie gorzej dla was skończyć, zdradzeni mężczyźni nie mają poczucia humoru i za broń chwytają – powiedziałam.

– A jak mówi stare polskie przysłowie: „Kto mieczem wojuje, od pochwy ginie” – dodał Jacek. – Wracając do Madzi, to myślę, że szybko jej przejdzie, a na odległość miłości się nie uprawia. Na odległość, to wie pani, tylko Kaszpirowski może leczyć, nic więcej. – Wstawił talerze do zlewu i zalał ciepłą wodą.

– A skąd ty wiesz o Kaszpirowskim? Na świecie cię nie było, jak występował w telewizji!

– Czytałem o nim, zafascynowała mnie jego osoba! Przecież ludzie podobno siedzieli przed telewizorami, poddając się hipnozie. Pani chyba nie siedziała i nie liczyła z Kaszpirowskim?

Zaprzeczyłam. Ileż to człowiek drobnych kłamstw wypowiada dziennie?

– To co myślisz? – Odstąpiłam zrecznie od tematu Kaszpirowskiego. – Jak się ta sprawa z Madzią zakończy?

Jacek rzucił okiem na wiadomość, jaką dostał, ale zaraz odłożył telefon.

– O wilku mowa – mruknął niezadowolony.

Jadł pierogi okraszone ciepłym masłem, aż mu się uszy trzęsły. Ja skubnęłam dwa prosto z rondla, apetyt mi minął, zasepiłam się. Dopóki Jacek u mnie w mieszkaniu przy stole siedział, czułam się bezpiecznie, młodo, tryskałam pogodą ducha. Kiedy zbierał się do wyjścia, nachodził mnie smętny nastrój. Spędzał ze mną sporo czasu, opiekował się moimi sprawami, zaglądał prawie codziennie, a mnie starej, ciągle było mało!

– Będę leciał pani Tosiu. Obiad jak zwykle pięć gwiazdek, niechby Gesslerowa do pani na kurs przyszła, zamiast w telewizorze bredzić. Jutro jadę do Krakowa, pojutrze wpadnę, zrobię zakupy, popłacę rachunki przez Internet, może czas zabrać się do reparacji kafelków nad zlewem... szkoda, że Robi wyjechał, za friko by się podjął...

Wypchnęłam go z kuchni.

– Daj spokój, zadzwoni się po jakiegoś fachowca, już Arturowi wspominałam.

– A co będziemy panu Arturowi głowę zawracać – oburzył się. – Sam podkleję, gdzie odpada.

Pozegnaliśmy się, ale Jacek nagle wrócił od drzwi, poderwał moją dłoń i przycisnął do ust.

– Mówiłem już pani, że jest pani aniołem? – Zajrzał w moje zmęczone życiem oczy. Ścisnęło mnie w gardle, niegotowa na czułość zachwiałam się na nogach, zawstydyłam nie wiedzieć dlaczego.

– Leć, anioł cię będzie prowadził – powiedziałam na do widzenia.

Kiedy zostałam sama, zaczęłam się zastanawiać, jakby Jacek zareagował na wiadomość, że pięćdziesiąt pięć lat temu pocziwa Antonia W., bo jeszcze wtedy nie R. zachowała się zupełnie tak jak Madzia! Przeskoczyła z kwiatka na kwiatek, nawet wyrzutów sumienia nie doświadczyła.

Miłość do męża Poli, Andrzeja, przeszła mi dosłownie w jednej chwili, niejedna kobieta zrozumie, co mam na myśli. Kiedy wymawiam lub piszę słowo m i ł o ś ć, czuję się niezręcznie. To taki nowoczesny termin,

w mojej młodości nie nadużywany, jeśli już, to tylko na ekranie wymawiano z nadęciem, celebrazją, dramatem w oczach: „kocham cię!”

Wmawiałam sobie do poduszki płomienne uczucie do Andrzeja Kwolka, omijając to słowo w obawie, że znaczy zbyt wiele. Według moich przekonań, osoba wypowiadająca słowo *miłość* podejmowała poważne zobowiązanie, składała deklarację, z której wycofać się niełatwo. Dziś wszystkie media zachęcają nas do używania słowa *miłość*. Matki mają zapewnić dzieci przed pójściem do szkoły, że je kochają, mężowie przed wyjściem do pracy powinni szepnąć żonom, że darzą je uczuciem, należy odmieniać słowo *miłość* bez krepacji. Z tego szastania słowem nie wynikało jednak nic dobrego. Straciło całą magię i moc, nie znaczyło wiele, czasami w ogóle oznaczało tylko jakieś nieokreślone bliżej, chwilowe, przywiązanie jednej osoby do drugiej.

Wybrałam się w okresie świąt Bożego Narodzenia na wieś, by odwiedzić matkę. Nie tęskniłam za nią, pogoniło mnie poczucie obowiązku oraz strach przed jej reakcją, gdybym tak wybrała inne miejsce na spędzenie Wigilii. Pola również uważała, że powinnam jechać do domu, co ostatecznie przesądziło sprawę. W Warszawie grzałam się, spokojnie dojrzywałam w cieniu zauroczenia Andrzejem, chłonełam powietrze, którym oddychała Pola, desperacko usiłując ją naśladować, choćby w sposobie traktowania ludzi i siebie. Było mi u nich dobrze, czułam się wolna i cudownie niezależna. Odkąd podjęłam pracę biurową w fabryce samochodów FSO, zdawało mi się, że oto mogę sięgać tak wysoko, jak tylko zechcę. Ludzie nie domyślali się nawet, że pochodzę ze wsi. Pola mną kierowała, czego nie chciała lub nie mogła powiedzieć, żeby mnie nie urazić, po prostu pokazywała, a ja była pilnym obserwatorem, konsekwentnie eliminowałam u siebie wiejskie nawyki. Wysławiałam się coraz ładniej, przestrzegałam higieny, w moich rękach nóż i widelec zaczęły zgrabnie śmigać, małe kaski wkładane do ust zastąpiły wielkie kawały, jakie zazwyczaj wpychałam do buzi. Jedna praktyczna lekcja „z poruszania się” wystarczyła, aby mi uświadomić, że do tej pory ja po prostu człapałam, a nie chodziłam. Pola – nauczycielka stylu – kładła mi ciężką

książkę na głowie, kazała spacerować po pokoju. Po dwóch godzinach ćwiczeń pojawił się załazek gracji, po kilku sesjach spacerowałam pięknym, lekkim krokiem, prosta i pewna siebie. Może dlatego Pola nie chciała, abym podjęła pracę wcześniej, aby mnie nie narazić na przykre komentarze warszawiaków i warszawianek, którzy wyśmiewali ćwoków ze wsi z bezwzględnością dzisiejszej młodzieży. Postanowiła mnie przygotować, zeszlifować ostre kanty: „Wycisnąć z Tosi łabędzia, który na razie słodko drzemie”. Byłam zachwycona zmianami, jakie we mnie zachodziły, swoje nowe wcielenie polubiłam, obnosiłam z dumą. Tym bardziej przykrą perspektywą było spędzenie świąt z matką i Joachimem, gdzie czekano tamtej Tosi Wawel, sprzed przemiany. Rok już mijał, odkąd poszłam w świat, trzeba mi było odwiedzić stare, zapyziałe kąty, połamać się opłatkiem z matką, Joachimem, bratem Staśkiem. Pola spakowała wielką torbę prezentów dla wszystkich, wyprawiła mnie ciężarówką ze znajomym Andrzejem, który woził na południe Polski towary do sklepów. Jechaliśmy prawie cały dzień, zatrzymując się co chwila, żeby wyładować paczki w różnych miejscach. Nie rozmawialiśmy wiele po drodze, kierowca mruczał coś pod nosem, nie był chyba zadowolony ze swojego pojazdu ani z faktu, że będzie musiał zboczyć z trasy jakieś pięćdziesiąt kilometrów, żeby mnie odtransportować na miejsce. Ubrałam się odświętnie na podróż, chciałam zrobić dobre wrażenie na wszystkich, ucieszyć matkę. Przygotowywałam się na tę wizytę podniecona, oczekiwałam, że zostanę pochwalona, stanę pośrodku izby, zakręcę piruet, Stasiak gwizdnie z podziwu, mama kiwnie głową z uznaniem, wyściskamy się i spędzimy wieczór na opowiadaniu. Kiedy zajechałam pod dom, nikt nie wyszedł mnie witać, musiałam kołatać do drzwi, a choć zapowiedziana, czułam, że sprawiłam kłopot wieczornym przyjazdem. Moja matka nie zauważyła nowej fryzury, ani modnych botków, tylko kaszmirowy płaszcz, odziedziczony po ciotce, przykuł jej uwagę. Długi, prawie do ziemi w kolorze kremowym. Musiała go Pola z zagranicy przywieźć, bo piękny był i bardzo szykowny. Nie mogłam z przodu dopiąć guzików, zupełnie mi to nie przeszkadzało, i tak czułam się jak aktorka filmowa.

– No, skąd to taki płaszcz masz? – zapytała na wstępie, ale w jednym momencie odechciało mi się świętowania w domu. Joachim pojawił się na krótko, przygarnął mnie do piersi, poklepał po plecach, po czym zniknął na gorze. Stasiak miał przyjechać dopiero w Wigilię, zajęty u swojego gospodarza świnobiciem. Nic nie układało się po mojej myśli, nawet ziemniaki z maślanką, moje ulubione, smakowały jak papka z trocinami. Ponieważ nie miałam płaszcza na sobie podczas jazdy, w obawie, że się pobrudzi, wymarzłam na kość w podróży. Zaraz na drugi dzień po przyjeździe musiałam się położyć do łóżka trawiona gorączką. Gorszy od gorączki był suchy, męczący kaszel, rozrywający mi płuca. Nie chciałam się z początku przyznać, jak źle się poczułam, choć Joachim proponował, że postawi mi „bańki”, które każde świństwo z chorego wyciągną. U nas w domu „bańkami” leczono prawie wszystkie dolegliwości. Próżnię wytwarzało się umaczanymi w denaturacie podpalanymi pochodniami z waty, potem jednym ruchem przyssawało się szkło do skóry na plecach. Może gdybym się zgodziła na Joachimową terapię, nie zaglądnęłabym śmierci w oczy, ale też nie poznała przyszłego męża.

Dziwnie się czułam w domu Joachima, trochę obco, trochę straszno, wypatrując śladów zmarłej pierwszej żony i synów. Ich nieobecność straszyla mnie za dnia, ze zdwojoną mocą w nocy. Wiedziałam, że Joachim ich nie potopił, jak mówiła wieś, ale mimo wszystko coś mnie w głowie uwierało, kiedy o tym myślałam. W nocy nie mogłam spać, wydawało mi się, że słyszę ich wycie dochodzące z zabudowań gospodarczych. Otwierałam okno, patrzyłam w ciemność, lodowate powietrze wędrowało prosto do płuc, powodując, że rano czułam się znacznie gorzej. Matka nie rozczułała się zbytnio nad moją chorobą, pochłonięta przygotowaniami do świąt donosiła mi rosół, gorącą herbatę z malinami, zniknęła, żeby znów za kilka godzin do mnie przyjść i bez troski w głosie zapytać, czy mi nie lepiej. Oczekiwała, że wstanę lada chwila z łóżka, pomogę jej przy pieczeniu i gotowaniu, a mnie szkodziły nawet zapachy jedzenia dochodzące z dołu. Nie powazyłam się, żeby cokolwiek powiedzieć, ciągle bałam się matki. Leżałam spokojnie w wykrochmalonej na sztywno pościeli, spałam w ciągu dnia, to znów bezmyślnie patrzyłam przez

okno. Próbowałam czytać, przywiozłam sobie *Cudzoziemkę* Kuncewiczowej, którą tak zachwycała się Pola. Otwierałam książkę, ale w głowie mąciło mi się zbyt mocno, litery nie chciały stać w rzędzie, czerwone placki wyskakiwały na poźółkłe strony, nie rozumiałam tego, co czytam. Miałam nadzieję, że odwiedzi mnie w chorobie mój brat Stasiek, uganianjący się bez powodzenia za panną Cecylią. Najął się do pracy w gospodarstwie jej ojca, oddalonym ze trzydzieści kilometrów od domu Joachima, nie znalazł czasu łobuz, aby przyjść się przywitać. Choroba toczyła mnie z narastającą zaciekłością, nie byłam pewna, czy dożyję Wigilii. Trzeciego dnia pobytu nad ranem zaczęłam robić rachunek sumienia, prosić pana Boga o łaskę szybkiej i bezbolesnej śmierci. W pieśni religijnej, ulubionej mojej matki, wznosi się prośbę do Boga słowami: *Od nagłej i niespodziewanej śmierci, zachowaj nas Panie*. Ja tej pieśni nigdy nie śpiewałam, odkąd zrozumiałam, o co proszę Pana. Chciałam umrzeć nagle, najlepiej niespodziewanie.

Po wiek wieków będę wdzięczna Joachimowi, że w końcu postawił się swojej żonie i nie zważając na jej głędzenie, „że od kaszlu jeszcze nikt nie umarł”, pojechał po lekarza do miasteczka. W mroźną noc zaprzął konia do wozu, pokonał siedem kilometrów, żeby mi doktora sprowadzić. Doktor, wyciągnięty z łózka, zgodził się łaskawie do chorej pojechać, ale nie wozem, tylko autem, a Joachim auta nie miał. Biegał więc po miasteczku, od domu do domu, pukał, stukał, pytał, czy kto za dobrą opłatą nie pojeździe autem z doktorem do naszej wsi, bo młoda dziewczyna choruje i jest z nią całkiem źle. Miał szczęście, w jednym z domów do świąt szykowali się rodzice Waldemara, odwiedzający krewnych.

Waldemar wziął sprawy w swoje ręce, samochód od stryja pożyczył, doktora usadowił obok siebie, dobrze poinstruowany przez Joachima wyruszył w drogę. Joachim musiał wracać wozem, nie mógł zostawić konia na pastwę losu. Na szczęście śnieg przestał padać i dało się jechać. Tak jak pamiętam do dziś w szczegółach wieczór z Andrzejem, kiedy to od butelczyny odegnała nas Adela, tak pamiętam noc, gdy Waldemar przywiozł mi lekarza. Była już czwarta nad ranem, gdy obydwaj mężczyźni obudzili matkę głośnym kołataniem do drzwi. Ja nie spałam, kaszel mnie

duśli, przez gorączkę traciłam raz po raz przytomność. Kiedy weszli do pokoju, miałam pełną świadomość, co się wokół mnie dzieje.

Lekarz nie był młody, bardzo spokojnie zdjął palto, czapkę, rękawice, usiadł przy mnie, poprosił o gorącą herbatę, delikatnie mnie pogłaskał po twarzy. Dotyk jego chłodnej dłoni przyniósł mi wielką ulgę.

– A co to rybeńko, chorujemy? Tak przed świętami? Eee, nieładnie.

Nic nie odpowiedziałam, zamrugałam tylko powiekami, starając się uśmiechnąć przepraszająco. Z tego uśmiechu wywiązał się atak kaszlu, pamiętam, że nie miałam siły koszuli nocnej podnieść, kiedy mnie doktor, chciał osłuchać. Ostatnim obrazem, jaki zapamiętałam, była zmar-twiona twarz przystojnego mężczyzny pochylającego się nade mną. To był Waldemar.

W szpitalu, gdzie walczone o moje życie, ostatecznie spędziłam trzy tygodnie. Na moje szczęście rok wcześniej w Polsce w laboratoriach na warszawskim Tarchominie zaczęła się produkcja penicyliny, z której dobrodziejstw skorzystałam. Poddawano mnie również jakimś prymi-tywnym zabiegom, ułatwiającym oddychanie i zmniejszającym gorącz-kę. Leżałam słaba, całkowicie zwiotczała, niezdolna do uniesienia łyżki z zupą. Pielęgniarki stawiały na stoliku przy łóżku zupę czy kleik ryżowy, potem nietknięty posiłek zabierały z kąśliwym komentarzem, że wielka pani wybrzydza! A ja po prostu nie miałam siły, żeby zjeść. Głodu nie odczuwałam, tylko pić mi się chciało. Czego choroba nie dokonała, pie-łęgniarkom prawie się udało, głodząc mnie przez pierwsze dni. Był to okres świąteczny, trzeba im było wybaczyć zaniedbania, mnie po praw-dzie zaczynało być już wszystko jedno. Czułam się lepiej, tylko nikłam w oczach.

Waldemar pojawił się w szpitalu w samą porę. Jak tylko się zorien-tował, że słabnę z głodu i odwodnienia, podniósł raban, do pokoju pielę-gniarek pognął, do porządku je przywołał. Siostra przyniosła ryż z jabł-kami i cynamonem, choć jabłek na talerzu było, co kot napłakał, zapach-niało pięknie. Waldemar zakasał rękawy swetra, posadził mnie, oparł wygodnie o poduszkę, nakarmił jak dziecko. Kilka łyżeczek na początek,

żeby mój żołądek nie zwariował, odmierzał porcje i podstawiał mi jej pod brodę.

– Jak to dobrze, że pan przyjechał, chciałam podziękować, że pan doktora do mnie przywiózł – mówiłam pomiędzy kęsami. – Jakaż ja wdzięczna jestem...

Waldemar delikatnie wytarł mi usta swoją chusteczką, odgarnął włosy z czoła, uśmiechając się słodko. Na sali było bardzo gorąco, ubrany był w sweter z owczej wełny, ręcznie robiony, po piersiach i rękawach wędrowały gwiazdki, tłuste renifery. Zapatrzyłam się w te wzory, jemu jakoś nie miałam odwagi patrzeć w oczy. Był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam. Podobny do przedwojennego aktora Aleksandra Żabczyńskiego. Wszystkie filmy z nim widziałam, *Trzy Serca* podobały mi się najbardziej. Siedział przy moim łóżku amant pierwszej wody, łyżeczką mnie karmił, przemawiał do mnie czule jak do dziecka, a ja w niemocy zupełnej nawet się odezwać składnie nie umiałam.

– Wyjdzie pani z tego, już pierwszy rumieniec na twarzy widzę. – Pochylił się nade mną i spojrzał mi prosto w oczy. – Już ja się na tym znam, chociaż lekarzem nie jestem. Nazywam się Waldemar Pogorzelski, studiuję w Krakowie, mam widoki zostać inżynierem. A pani? Antonina, tyle tylko o pani wiem, co mi pani ojczym powiedział. Napędziła nam pani strachu w tamtą noc, gnaliśmy do szpitala, pani spała w kocach na tylnym siedzeniu...

– Nie pamiętam, nic nie pamiętam – przyznałam zgodnie z prawdą. Waldemar podawał mi łyżeczką gorącą herbatę, w każdą porcję najpierw dmuchał, a potem wlewał mi ją do ust.

– A szkoda, bo ja panienkę na rękach nosłem.

– Naprawdę? – Nie wiedziałam o tym jego szarmanckim zachowaniu, ponieważ nikt mnie nie odwiedził w szpitalu w Wigilię ani w Boże Narodzenie, nikt nie przyszedł także w Szczepana. Dopiero 29 grudnia spodziewałam się gości, Waldemar był pierwszy.

– Naprawdę. Leciutka pani jest jak piórko, nie zmęczyłem się. Nie za gorąca ta herbata?

Pokręciłam głową. Nie była ani za gorąca, ani za zimna, taka byłam zauroczona. Andrzej pojawił się w mojej myśli na ułamek sekundy, ale zaraz zniknął jak jakiś duch. Co mnie tam Andrzej, kiedy tu, obok mnie, na wyciągnięcie ręki siedział mężczyzna z żurnala, a przy tym taki miły, grzeczny, usłużny, gotowy poświęcić poranek na odwiedziny u niezna-nej, kaszlącej panny, która nie potrafiła ani rozmowy podtrzymać, ani awansów przyjąć.

– Miał pan ładne święta? Rodzinne? – zapytałam, naciągając koldrę na nos. Nie chciałam na jego widok wystawiać ani centymetra mojego chorego ciała. Czulałam się brzydko od stóp do głów.

– Przyjechałbym do pani wcześniej o zdrowie się dopytać, ale musiałem narzeczoną do Nowego Sącza zawieźć. Będzie tam w szkole uczyć od 2 stycznia.

Mój potężny atak kaszlu przeszkodził Waldemarowi w opowiedzeniu mi szczegółów. Zaczęłam się znów dusić, podenerwowana jego beztro-skim oświadczeniem o narzeczonej, ale Waldemar ze stoickim spokojem zapanował nad sytuacją, nawet po pielęgniarkę nie pobiegł. Dосkoczył do mnie, za ramiona wziął, posadził w pionowej pozycji, potem lekko poklepywał po plecach, podtrzymując na swoich piersiach. Oparłam głowę o jego ramię, wełna ze swetra kłuła mnie w czoło.

– Mówili, że trzeba klepać plecy, żeby się flegma oderwała – po-wiedział na usprawiedliwienie swojego zachowania. – Już, już, zaraz przejdzie. Tylko spokojnie. Te pani płuca melodie grają, czy to Beethov-en? Czy Mozart?

Kiedy się uspokoiło, położył mnie delikatnie na poduszce, przez chwilę bezwstydnie patrzyliśmy na siebie. Co ja widziałam w Andrzeju? Jak on w ogóle mógł mi się podobać? Moje mokre włosy oblepiły szyję i czoło, byłam nieświeża, mój wybawca mógł poczuć ode mnie kwaśny zapach potu, skoro ja go czulałam. Siostry wprowadziły obmyły mnie nawil-żoną szmatką, która nie pachniała zbyt dobrze. U Joachima w domu była wielka balia, marzyłam o kąpieli w niej, pachnącym mydle, jakie wio-żłam matce na prezent od Poli, a jakiego jej nie wręczyłam przez

zapomnienie. Miała to być pierwsza czynność po powrocie ze szpitala. Postanowiłam też, pocąc się coraz intensywniej, że kiedyś odnajdę tego mężczyznę, który mnie teraz kołdrą nakrywał, wypachnię się, ubiorę szykownie i zaproszę na niedzielny obiad. Już ciotka Pola pomoże mi w zorganizowaniu czegoś olśniewającego, wtedy mu podziękuję za tą jego dobroć, wspaniałą szlachetność, nie w tej chwili, kiedy taka jestem rozmamłana i byle jaka.

– Mieszkam w Warszawie, tutaj spędzam święta, ale zaraz wracam, mam dobrą pracę w fabryce samochodów. – Usiłowałam go sobą zainteresować, bo zdawało mi się, że już się zbiera do wyjścia. Jako prawdziwy mężczyzna powinien pasjonować się autami.

Dobrze trafiłam.

– Naprawdę? Ależ to musi być ciekawe miejsce! – wykrzyknął. – Ja będę inżynierem mechanikiem, jak wszystko dobrze pójdzie, dyplom w kieszeni jeszcze w tym roku. Kto wie, może się spotkamy w fabryce! Chciałbym tam pracować, rodzice nalegają, żeby zostać w Nowym Sączu, a przynajmniej w regionie, nie uciekać im do Warszawy.

– Warszawa ładnieje z każdym dniem – odparłam.

Miałam pewność, że jeśli zechce, to mnie odnajdzie, wystarczająco dużo informacji mu podałam. Kiedy wychodził, obiecał, że jeszcze mnie odwiedzi w szpitalu, ale nie dotrzymał słowa. Czekałam na niego codziennie, jak tylko omocniałam, chodziłam po korytarzu, przyklejałam nos do szyby, wypatrywałam go w grupkach odwiedzających, ale nie przyszedł, nie dał też znaku życia. Pogrążyłam się w oczekiwaniu na tego przystojnego bohatera, mój mózg nie wysyłał żadnych sygnałów, aby przyspieszyć wyzdrowienie, toteż trzymali mnie na oddziale niemiłosiernie długi czas. W końcu wypisano mnie ze szpitala w połowie stycznia. Nie czułam się na tyle zdrowa, żeby wracać do Warszawy, postanowiono ponad moją głowę, że jeszcze zostanę na wsi, pogrzeję się przy piecu, podjem dobrych, tłustych rzeczy, odpocznę, potem się zobaczy. Nie protestowałam, licząc, że mnie Waldemar najprędzej w domu matki odnajdzie, jeżeli w ogóle zacznie mnie szukać.

W lutym przyjechała po mnie Pola. Tak się ucieszyłam na jej widok, że przy powitaniu byłabym jej kości pogruchotała. Nie zapowiedziała się telegramem czy listem, po prostu przyjechała pociągiem do Wiśniowej, a stamtąd przywiózł ją czarny samochód, który jak tylko wysiadła, zniknął za górką. Pola nie widziała się z siostrą szmat czasu, kiedy stanęła w drzwiach ani jednej, ani drugiej nie było pilno do powitalnych uścisków.

– A co to? Stało się co? – Matka nie ukrywała, że jest niemile zaskoczona. – Jak cię zobaczyłam, to sobie pomyślałam, że znowu z jakimś nieszczęściem tu przyjeżdżasz...

Pola ze spokojem zdjęła futerko, powiesiła go na wieszaku przy drzwiach, po czym przeszła się po kuchni, wyglądając przez okno. Miała na sobie rozkloszowaną suknię z bufiastymi rękawami, na to zarzucony ażurowy kardigan, wszystko w czerwono-rdzawych kolorach. Na stopach buty na wysokim obcasie, w których musiała pokonać drogę od auta do naszej chałupy. Matka ubrana w zielony sweter i granatową wełnianą spódnicę, w chustce na głowie, szaliku, przypominała stracha na wróble.

– Jadziu, czy ja kiedy zwiastunem nieszczęścia byłam? – Pola uśmiechnęła się do siostry, potem usiadła obok mnie i wypytywała o pobyt w szpitalu, samopoczucie, apetyt, tłumaczyła, dlaczego nie przyjechała mnie odwiedzić wcześniej. Jej siostra głośno parsknęła w tym momencie. Ja nijakiego żalu nie miałam do Poli, w końcu nie chorowałam śmiertelnie, zaledwie zapalenie płuc się przyplątało, nie było nad czym ubolewać. Zjadłyśmy po talerzu rosółu, Pola zachwalała smak domowego chleba, umiejętności kucharskie mojej matki, zaradność Joachima, który przez chwilę z nami siedział, pijąc piąty już chyba garnuszek kawy zbożowej. Rozmowa wprawdzie nie toczyła się zbyt gładko, ale też nie zalegała krępująca cisza. Trwało to może dwie godziny, kiedy Joachim zostawił kobiety same, wymawiając się obowiązkami przy zwierzętach, które nie wiedzieć czemu nazywał „gadami”, wtedy moja matka nie wytrzymała, doprowadziła do siarczystej awantury. Jak tylko zaczęła podnosić głos, uciekałam do izby obok. Nie mogłam się wiele odezwać, bałam się przeciwstawić matce, ale też nie mogłam znieść jej

bezpodstawnych ataków na Polę. Darzyłam matkę zimnym szacunkiem, ani mi przez głowę nie przeszło, wypowiedzieć w jej obecności swoje zdanie czy rzucić jakieś przykre słowo lub niestosownie się zachować. Jeżeli chciałam wyrazić swoje przywiązanie czy wdzięczność, całowałam ją w rękę, kiedy miałam złe odczucia, po prostu uciekałam. Tym razem nie było inaczej. Nie mogłam jednak oprzeć się pokusie podsłuchania rozmowy, zostawiając za sobą niedomknięte drzwi. Obawiałam się, że matka będzie chciała zatrzymać mnie na wsi, nahuczy na Polę, jak to miała w zwyczaju, wymusi na niej deklarację, aby mnie zostawiła w spokoju. Zarzucała Poli, dobierając najbardziej gorzkie i niesprawiedliwe słowa, że mnie rozpuszcza, od Boga odciąga, w podejrzone towarzystwo pcha, kupuje drogie prezenty, jeden Pan Wszechmogący wie, skąd ona na to wszystko ma? Bo przecież nie z uczciwej pracy? Na potwierdzenie swojej teorii przyniosła z sieni mój piękny płaszcz, rozwiesiła go na krześle, a krzesło ustawiła pośrodku kuchni.

Pola stała oparta o piec kaflowy i paliła papierosa.

– Taki płaszcz musiał kosztować majątek! Gołym okiem widać! Skąd macie pieniądze? – Matka wsparła się pod boki, oczekując wyjaśnień.

– Daj spokój, to stary płaszcz, przedwojenny, ale szanowałam go, więc wygląda jak nowy. – Poli odpowiedź ledwie dosłyszałam.

– A kto tobie taki drogi płaszcz podarował? Ludzie różne rzeczy mówią o twoim mężu. O tobie też.

– Ciekawe, co mówi wieś o moim mężu? – Pola nieoczekiwanie roześmiała się. Jednak to, co nastąpiło potem, żadną miarą już zabawnym nazwać nie można było.

– On ma podobno krew na rękach – oskarżała matka – ludzi porządnych, co dla ojczyzny walczyli, w lochach trzyma. Akowców dręczy i prześladowuje, wyroki podpisuje. A ty? Patrzenie no ludziska wsiowe, jak pani Bronka damę udaje! Futro przywiezła na wieś! Słyszałam, że w dostatku żyjesz, w oczy ludzi kłujesz złotem, kapelusami, kołnierzami i podobno masz jakieś figurki z kości słoniowej i drogich kamieni, po jakiś Żydach odziedziczyłaś wraz z mieszkaniem...

– Na miły Bóg, Jadziu, co ty wygadujesz... – Pola próbowała jej przerwać.

– Ja wygaduję, co ludzie mówią! – Matka na poparcie swoich słów podeszła do krzesła, na którym wisiał mój piękny płaszcz i dźgnęła go z odrazą wskazującym palcem, jakby ten kaszmir parszywy był. Pola uniosła oczy ku niebu. Uchyliłam drzwi trochę szerzej, żeby całej scenie dobrze się przypatrzeć. Już wtedy przeczuwałam, że nie skończy się dobrze ta Poli wizyta, może gorzej nawet niż pierwsza po wojnie. Matka usiadła za stołem, Pola tkwiła przy piecu.

– Myślisz, że my tu na wsi nic nie wiemy? – Znów się odezwała cierpkim głosem. – Miałś porządnego pierwszego męża, ale wojna ci go zabrała, nawet nie wiesz, gdzie jest pochowany! Nic cię to nie interesuje, jego rodzina cię wyklęła podobno, a to szanowani ludzie. Nie mogą znieść, żeś się zwąchała z komunistą!

Chciałam się zapaść pod drewnianą podłogę ze wstydu! Nie pojmowałam, skąd tyle złości i goryczy w mojej matce, czym jej tak Pola zawiniła? Przy każdym spotkaniu te dwie dorosłe kobiety stawały się wrogami. Czy matką powodowała zazdrość, czy inne jakieś niskie uczucie, którego powinna się wyprzeć? Obserwowałam Polę i truchlałam, paraliżował mnie strach, że ciotka obrazi się śmiertelnie, wyjdzie, nie zabierze mnie ze sobą do Warszawy. Byłam zdana na jej łaskę, od niej zależała cała moja przyszłość, moja matka traktowała ją gorzej niż psa. Modliłam się do Najświętszej Panienki, żeby był już koniec tych oskarżeń, jednak po krótkiej chwili znów w kuchni królował głos starszej siostry.

– Ludzie mówią, że do was, w tej Warszawie, najwięksi siepacze z Bezpieki na wódkę przychodzą. A co do twojego męża, to może i są dobrzy Żydzi na świecie, ale twój się do takich nie zalicza!

Gniew we mnie wzbierał, bo sama najlepiej wiedziałam, że do Poli i Andrzeja nikt „z pracy” nie przychodził, tylko przyzwoici ludzie, skąd matce takie podejrzenia na myśl przyszły, nie wiedziałam. Uwagę o żydowskim pochodzeniu Andrzeja zignorowałam, nie zarejestrował jej mój mózg. Czekałam na reakcję Poli. Widziałam, jak poczerwieniała na twarzy, odeszła na parę kroków, zakręciła piruet przy drzwiach, ale

zamiast wyjść, wróciła pod sam nos swojej siostry i przemówiła do niej, ciepłym, lazurowym głosem.

– A o tobie mówią siostrzo moja, że jeszcze twój mąż nie ostygł, ani pamięć po nim, jak już Joachimowi Weltzowi, Niemcowi z pochodzenia, koszulki nocnej uchyliłaś na długo przed ślubem w kościele. Mówią też, że obydwójce z Joachimem w czasie wojny wysługiwalicie się Niemcom z większym poświęceniem niż ja Morawskim, oraz żeście upośledzonych synów Joachima w gliniance potopili, natomiast jego dwie córki pozeniłaś na siłę po sąsiedzku, żeby tylko się ich z domu pozbyć. Nie wiem, czy miały w dniu ślubu szesnaście lat, czy może mniej? Tak to ludzie bajdurzą, człowiek już sam nie wie, w co wierzyć, a w co nie?

Serce waliło mi jak dzwon Zygmunta. Skurczyłam się ze strachu. Do mojej matki, kobiety surowej i dumnej, nikt nie odważyłby się tak powiedzieć, ale widać Polę rozeźliła na tyle, że miarka się przebrała. Stały naprzeciw siebie, dwa silne drzewa. Pola w gniewie, jakiego na jej twarzy wcześniej nie widziałam, wydała mi się naraz większa i mocniejsza, harda nie do poznania.

– Niewdzięczna dziewucho! – krzyknęła matka. – Diabeł w tobie siedzi!

Pola zapanowała nad sobą bardzo szybko. Odstąpiła od siostry i poszła pod okno.

– A za co ja miałabym ci być wdzięczna?! – Znów się roześmiała, ale niezbyt radośnie. – Wychował mnie dwór Morawskich, nie ty, choć bardzo byś chciała wierzyć, że to ty się dla mnie poświęciłaś. Oni mnie uczyli, karmili, ubierali, nawet w chałupie rzadko nocowałam, więcej we dworze, naprawdę nie pamiętasz? Kiedy dowiedziałam się o ich śmierci, płakałam całą noc. Byli mi bliscy, byli jak rodzice, a ty byłaś, jesteś i będziesz mi obca.

Słyszałam głos Poli, spokojny i opanowany. Widziałam, jak wolnym krokiem wróciła pod piec, stojąc tyłem do matki, oparła o niego otwarte dłonie. Grzała się tam przez krótką chwilę, moja matka chciała mieć ostatnie słowo w tej przykrej rozmowie, przypuściła ostatni atak.

– Morawscy, tak stary, jak i młody, to cię tylko obmacywali, a nie

wychowali – wysyczała to zdanie niczym wąż, zanim zdążyła jeszcze coś dodać.

Pola odwróciła się nagle, zgarnęła mój płaszcz z krzesła, zaczęła rozglądać się po izbie w poszukiwaniu torebki.

– A co ty tam wiesz? Co ty wiesz? Tosiu! Tosiu! Jedziemy! – krzyknęła na mnie. Niezdecydowana, co robić, oparłam się o drzwi. Czulałam, że jeszcze mają sobie coś do powiedzenia, więc nie reagowałam. Matka na powrót usiadła przy stole i zapatrzyła się w okno. Z podwórza było słychać, jak Joachim napomina konie, żeby stały spokojnie, przemawiał do nich ciepło jak do kochanej osoby. Zaprzęgał je do bryczki, miał odwiedzić siostrę żony na kolej przed zmierzchem. Przez chwilę nic się nie działo, w końcu Pola, podchodząc bardzo blisko krzesła, na którym siedziała moja matka, patrząc jej prosto w oczy, powiedziała spokojnym, modulowanym głosem:

– Bóg mi świadkiem, że nie chciałam tu przyjeżdżać, ale bałam się, że Tosi nie wypuścisz z tej wsi, że ją tu będziesz sztorcować, przerabiac na to twoje ohydne, wiejskie kopyto i stanie się taka jak ty! Ja też bym się taka stała, gdyby mnie Morawscy nie przygarnęli. – Ostatnie słowa utkwiły jej w gardle, musiała sobie zrobić krótką pauzę, zanim dokończyła zdanie: – Ta myśl mnie po prostu przeraża, że mogłabym stać się do ciebie podobna! Nigdy nam nie było po drodze, ale dziś ostatecznie rozchodzimy się w przeciwne strony i jeżeli jeszcze kiedy się w życiu pomodłę, to oto, żebym cię już nie musiała nigdy więcej oglądać.

– Nie jestem ciekawa spotkań – burknęła w odpowiedzi matka.

Pola zarzuciła futro, naciągnęła rękawiczki i nie patrząc już w kierunku siostry, rozkazała surowo:

– Powiedz Tosi, że czekam na polu, nie mogę tu zostać ani chwili dłużej.

Słyszałam, jak trzasnęły drzwi. Wychyliłam głowę, ale cofnęłam się, bo przyłapałam matkę na takiej zawistnej minie, aż mnie dziwne zimno przeszło. Spakowałam swoje rzeczy migiem, w pięć minut byłam gotowa do drogi. Kiedy chwilę później zęgnęłam się z nią, obie udawałyśmy, że nie słyszałam rozmowy, której dźwięki długo dudniły mi w uszach.

Matka nie wydawała się zbyt poruszona, kiedy pakowała mi do koszyka jajka, wiejski chleb, ser, słoik z maślanką, jedzenie, jakim wyrażała swoje uczucia dla mnie. Ruchy miała opanowane, wszystko zawijała starannie w kawałki białych szmatek, układała ciasno, napominając mnie na odjeźdnym, żebyśmy o Panu Bogu w tej Warszawie nie zapominała.

- No i pisz, pisz do matki, chcę wiedzieć, co tam robisz.
- Będę mamó. Obiecuję. Bądź zdrowa – pożegnałam ją.

Pocałowałam szybko jej czerwony policzek, szorstką dłoń, drożdżowy zapach jej chustki i skóry wyprowadził mnie z domu. Pola czekała w bryczce. Joachim nie miał w zwyczaju dochodzić, co i jak, nie pytał, nie patrzył w okno, nie robił uwag. Przykrył nam kolana kożuchem, uśmiechnął się do własnych myśli i odjechaliśmy w kierunku wsi. Dopiero kiedy wsiadłyśmy do pociągu, zajęłyśmy miejsca w pustym przedziale pociągu jadącego do Rzeszowa, Pola rozplakała się. Za głupia byłam, żeby próbować ją pocieszyć, siedziałam blisko, ścisnęłam jej drobną dłoń w rękawiczce. Gdzieś tak po dziesięć minutach jazdy Pola złożyła samej sobie obietnicę, wypowiedzianą głośno i wyraźnie, że nigdy już tu nie przyjedzie. Jak zawsze, dotrzymała słowa.

ROZDZIAŁ IX

Zmiany zachodzące w przyrodzie obserwowałam z balkonu, w najmniejszym stopniu nie tęskniłam za wychodzeniem z domu. Kiedy Artur zapytał mnie, czy nie brakuje mi wiosennych zapachów, musiałam się ostatecznie przyznać, że mój wąż jest już całkiem stępiony, ledwie lawendę w mydle czuję. Zdziwił się, nie wiedział, że na stare lata wszystkie zmysły szwankują, a powinien być na te ewentualności przygotowany, jego to też czekało.

Poranną herbatę, zielone wiórki zmieszane z odrobinkami suszonych płatków róży, wypijałam przy moim maleńkim stoliku na balkonie, delektując się odgłosami dochodzącymi z podwórka, jednym uchem słuchając wiadomości na TVN 24. Nie podobało mi się, że stacja nadaje tyle beznadziejnych konferencji prowadzonych przez nudnych, zaciętrzewionych polityków, produkujących przed kamerami sieczkę słowną, z której nic nie wynikało. Nie umiałam jednak zrezygnować z wiadomości na rzecz innych porannych programów telewizyjnych, które toczyły się wokół spraw jeszcze mniej mnie dotyczących niż polityka. Bo cóż może być interesującego dla osiemdziesięciolatki w poradach, jak odzwyczajając malucha od smoczka, jak zgubić kilogramy po niedawnym porodzie, jak zestawiać kolory w łazience, czy w opowieściach o najbliższych życiowych planach Katarzyny Skrzyneckiej lub, co gorsza, innej Katarzyny Cichopek. Kogo to obchodzi? Wielokrotnie zastanawiałam się nad tym, czy ludzie przygotowujący te programy wiedzą cokolwiek o telewizji? Wołałam słuchać młodych, przyjemnych ludzi w TVN 24, którzy z humorem komentowali wydarzenia dnia, ograniczając się tylko do naszego, polskiego podwórka, bo na tym znali się najlepiej. Kilka lat wcześniej lubiłam sobie przełączyć na angielskojęzyczny kanał BBC World, żeby

sprawdzić, czy jeszcze rozumiem w tym języku, jednak zaniechałam tego z lenistwa. Inna rzecz, że światowe wydarzenia stały mi się ostatnimi czasy całkiem obojętne. Nawet już nad ofiarami bezsensownych wojen przestałam ubolewać, choć wciąż jeszcze się za nie modliłam. Kiedy żył Waldemar, żywo interesowaliśmy się otaczającym nas światem, miałam wtedy nawet jakieś poglądy, wyrażałam głośno opinię na wszelkie tematy, obecnie moje myśli toczyły się już tylko po torach wspomnień. Martwiłam się o los dzieci i wnuków, nie poruszała mnie natomiast społeczna niesprawiedliwość, przemoc, wojny, upadek moralności, aborcja, pedofilia, bieda... Miałam świadomość istnienia wszystkich okropności. Już telewizja i prasa dbały o to, abym się o nich dowiedziała, ale nie byłam zdolna do odczuwania i przeżywania jak kiedyś. Stałam obok wartkiego strumienia, nie zanurzając w nim stopy.

Ponieważ od pewnego czasu nie uczestniczyłam w życiu naszego bloku, nie docierały do mnie plotki i komentarze dotyczące mieszkańców. Ulubionym letnim zajęciem większości kobiet od lat było wysiadanie na ławce przed blokiem, lub na skwerku, i błogie oddawanie się przyjemności plotkowania. Przed podjęciem decyzji o „areszcie domowym” przysiadalam się niejednokrotnie do rozgdakanych sąsiadek, aby odpocząć przed wejściem na moje czwarte piętro w dniach, kiedy winda była popsuta. Chcąc nie chcąc, wysłuchiwałam oblepionych jadłem opowieści, obawiając się zawsze, że jak tylko ruszę tyłek z ławki, z ochotą wezmą się do obgadywania mnie. Wszystkie obgadywały wszystkich, bez wyjątku, niechby człowiek był najlepszy i świecił przykładem, to i tak zawsze znalazło się coś, co można było sponiewierać czy obśmiać. Najwięcej komentarzy prowokowały osoby, które w jakiś sposób wyróżniały się w masie osiedlowej. Nie mam tu na myśli wyróżniania się ekstremalnego, jak w przypadku jednego „cudaka”, który nie zważając na otoczenie, będąc młodym mężczyzną słusznego wzrostu, przebierał się za kobietę. Zakładał perukę, malował usta, zawieszał kolczyki, paradował dumnie pomiędzy blokami, robił zakupy, siadywał na ławce pod wierzbą płaczącą i nic sobie nie robił z wyśmiewającej go społeczności osiedlowej. Wzbudzał sporą sensację. Na początku, wszyscy odwracaliśmy

głowy, żeby się napatrzeć na tego odmieńca. Przyznam, że u mnie też zwyciężyła ciekawość, gapiałam się wraz z innymi. Nie rozmawiał z lokatorami, nie reagował na docinki, głośno wypowiedane niewybredne komentarze, ale nikt mu nie robił krzywdy. Dopiero jak zaczął wyjeżdżać poza nasze osiedle, chcąc stawić czoło reszcie mieszkańców miasta, został kilkakrotnie pobity za swoją inność. Nie wiem, co się stało z tym mężczyzną-przebierańcem, tak jak się pojawił nagle, tak zniknął.

Bardziej jeszcze od obgadywania bliźnich, denerwowało mnie u sąsiadek notoryczne przechwalanie się własnymi dziećmi. Większość kobiet miała w zwyczaju wnosić na pole fotografie swoich dzieci, na których uwiecznione były podniosłe okazje, komunie, chrzty, wakacje, wesela, zakupione pojazdy, nawet zdjęcia zmarłych mężów odpoczywających w trumnie. Gierkowa taką fotografię nam przyniosła tydzień po pogrzebie małżonka. Leżał sobie woskowy nieboszczyk w pięknej trumnie wśród koronek, z różańcem oplecionym wokół palców dłoni, ubrany w czarny garnitur i brązowe buty. Fotografia wędrowała z rąk do rąk. Wszystkie wpatrywałyśmy się w pana Gierka, niech mu ziemia lekka będzie, wzdychając, że jeszcze mógł trochę pożyć. Wielka szkoda, bo taki dobry z niego był człowiek, nikomu nie wadził. Chwaliliśmy jedna przez drugą, jak wyjątkowo ładnie wyglądał w dniu pogrzebu, nawet takie zdrowe rumieńce miał! Wdowa po Gierku, Lucyna, promieniała z dumy, jednak wydała mi się pod koniec dyskusji trochę zazdrosna, słuchając naszych komplementów, choć on, biedaczysko, całkiem był już obojętny na pokusy świata doczesnego, leżąc spokojnie i dostojnie w trumnie.

Jeszcze gorsze od przechwalania były licytacje, czyje dzieci najlepiej się urządziły i które najbardziej dbają o rodziców. Opowieści o dzieciach szybko przekształciły się w targowisko, kto miał niedobre dzieci, na ławce nawet nie siadał. Pod koniec lata nadchodził najgorętszy okres, bo wszyscy już byli po urlopach, wywołane w zakładzie fotograficznym zdjęcia zostały matkom dostarczone osobiście lub listownie, te wносиły je na skwerek, aby z dumą pokazać koleżankom. Jak dzieci sąsiadek odpoczywały nad polskim morzem, fotografii było dwie czy trzy, ale gdy

wyjeżdżały do Egiptu, Tunezji czy Chorwacji, oglądanie kilkudziesięciu zdjęć trwało godzinę. Fotografie z komunii i wesel znajdowały się na drugim miejscu, nie stanowiły dla nikogo wielkiej atrakcji, panie młode jak i dzieci przystępujące do Pierwszej Komunii wyglądały bardzo podobnie i trudno było córkę jednej odróżnić od córki innej sąsiadki. Podobnie upięte włosy, welony, kwiatuszki, to samo spojrzenie, podobne pozy, nic oryginalnego nie miały do zaproponowania.

Kobiety z mojego bloku o swoich córkach mówiły dobrze, ale trochę kwaśno, natomiast o synach łąły się same miodowe opowieści. Córki były niby nie najgorsze, przeważnie dość pracowite, dbały o dom i dzieci, niestety nie spełniały oczekiwań matek. Czegoś im zawsze brakowało, aby zasłużyć na pochwałę. Żeby nie wiem jak ładne miały fryzury, matki mówiły, że w poprzednim uczesaniu było im znacznie lepiej. Kiedy wychodziły na spotkanie z koleżankami, to słyszały, że się włóczą po mieście, kiedy nie wychodziły nigdzie, matki nękały je, że siedzą w domu blade i zaniedbane. Koleżanki, jakie wybierały córki, były w opinii matek nieodpowiednie lub wręcz przeciwnie, dużo lepiej ustawione i mądrzejsze od nich. Ubrania, jakie kupowały, wcale się matkom nie podobały, prezenty, jakie córki przynosiły, przeważnie łądowały na dnie szuflady z komentarzem: „A po co mi taka sukienka? Gdzie w niej pójdę? Jeszcze jedna para rękawiczek, a co to ja na Sybir się wybieram? Taka czapka, to dla starej baby chyba, na pewno nie dla mnie”. Kiedy dostawały perfumy, krytykowały, że zapachy za bardzo kwieciste, nieprzyjemnie duszące, kiedy torebki, to zazwyczaj były zbyt sporych rozmiarów lub za ciężkie, a kiedy komplet mydełek Dove z płynem do kąpieli, okazywało się, że to jakaś ukryta aluzja, żeby matkę do higieny zachęcić. Biedne dziewczyny, może czasami niefortunnie trafiały z upominkami, ale intencje miały dobre! Stawałam w ich obronie, moja Zuzanna też niejednokrotnie przyniosła mi niepraktyczny lub po prostu niegustowny prezent. Nigdy bym jednak o tym nie opowiedziała sąsiadkom na ławce.

Co innego ich synowie, o nich mówiło się wyłącznie dobrze. A jacy

oni w tych matczynych opowieściach byli przystojni i zaradni! A jak kochali te matki, mimo iż nie mieli dla nich wiele czasu. Zdobyli świetnie płatne prace, harowali jak woły dla rodziny, może to czysty przypadek, wszyscy mieli niespecjalne żony! Synowe moich sąsiadek były okropne, nie zasługiwały na tak wspaniałych chłopaków. Tak uważały panie wysiadujące dziury w ławach na moim osiedlu. Ja żadnych fotografii sąsiadkom przed blok nie wносиłam. Pewnego razu Gierkowa wycięła z gazety i przyniosła nam na ławkę zdjęcie Artura, kiedy lokalna prasa rozpisła się o sukcesie jego firmy, a także fundacji, którą założył. Nosiała ona nazwę „Secret Santa”. Kupowała prezenty na Gwiazdkę dzieciom z najuboższych rodzin. Prezenty nie były jakie. Artur uważał, że woli dziesiątkę dzieciaków kupić coś wartościowego, niż stu rozdać po paczce kredek i cukierków. Wybranym dzieciom, przeważnie z wiejskich szkół, fundacja kupowała laptopy, rowery czy telefony komórkowe. Sama przeznaczałam co roku 500 złotych na ten cel, nie zważając na protesty mojego syna. Nie chciał dotacji emerytki, preferował, aby jego zamożni znajomi oraz partnerzy w interesach sięgali do swoich grubych portfeli, wykazali się szczodrym gestem. Niestety, mój syn szybko się przekonał, że jak mówiła moja matka: „U bogatego się nie najesz”. Nie pojmował skąpstwa bogatych ludzi, szczególnie tych, którzy sami z biedy wyszli. Tym najtrudniej było wyłożyć gotówkę na stół. Przy okazji tego artykułu o fundacji, która anonimowo obdarowywała dzieciaki, miała miejsce ta dyskusja o moim synu. Zła byłam na Gierkową o to zdjęcie, nie zaprotestowałam jednak, kiedy je przyniosła, żeby nie krygować się na fałszywą skromność.

– Przystojny ten pan syn, pani Pogorzelska – mówiły baby, podając sobie wycinek z gazety – ale do pani nie zachodzi zbyt często, kiedy był ostatni raz? Chyba ze dwa tygodnie temu. A jego żony to się tu w ogóle nie widuje, nie lubicie się?

– Kiedy może, to zachodzi – odparłam zgodnie z prawdą.

– Nasi synowie pracują na cały zegar! – Gierkowa ochoczo stanęła w mojej obronie, tym gorliwiej, gdyż jej syn lekarz odwiedzał ją niezwykle

rzadko. – Oni nie mają pracy odtąd dotąd, tylko kiedy trzeba, to trzeba, świątek, piątek czy niedziela.

Pokiwały głowami. Nie, nie brakowało mi tych rozmów z nimi, to nie były dobre znajomości, nie miałam szczęścia pod tym względem.

Ponieważ od kilku miesięcy mnie nie widziały, zrodziły się spekulacje, czy aby nie podupałam na zdrowiu. Jedna tylko pani Florek zapukała do moich drzwi zapytać, czy mi czego nie potrzeba w chorobie. Wszystkie zgodnie uznały, że skoro mnie nie widują, to z pewnością jestem umierająca i już niedługo Pan Bóg mnie powoła w szeregi swojej armii. Uspokoiliam Florkową, podziękowałam za zainteresowanie, nie udzieliłam żadnych wyjaśnień odnośnie do nieobecności w świecie zewnętrznym. Była to dobra kobieta, umiarkowanie wścibska, emerytowana księgowa. Nawet jej nie mogłam wyjawić, dlaczego się nie pojawiam na podwórku w obawie, że może też uznałaby mnie za szaloną? Skoro własne dzieci miały kłopot ze zrozumieniem mojej decyzji oraz powodów za nią stojących, to jakże mogłam oczekiwać od obcych ludzi, że zrozumieją, nie będą oczu wytrzeszczać ze zdziwienia i stroić głupich min za moimi plecami. Florkowa zostawiła mi numer telefonu, deklarując, że w każdej chwili jest chętna do pomocy, ma dużo wolnego czasu, może załatwić sprawunki lub przyjść ze mną posiedzieć i porozmawiać. Nie miałam ochoty na jej towarzystwo, ale zachowałam numer, na chwilę, kiedy mnie samotność ogarnie, bo przecież mógł przyjść taki moment. Powiedziałam jej również, że Jacek Kubelski robi dla mnie zakupy, nie posiadam w tym względzie dodatkowych potrzeb. Musiała powtórzyć paniom z bloku tę informację, bo już na drugi dzień Gierkowa przyłapała mnie odpoczywającą na balkonie.

– Na tego Jacka to niech pani uważa, pani Pogorzelska. Ja pani dobrze radzę. On tylko czyha na pani majątek – powiedziała, przechylając się przez barierkę. Ubrana w kolorowy fartuch narzucony na sukienkę, wyczesana do góry, prezentowała się groźnie niczym pracownica delikatesów w latach siedemdziesiątych.

– Jaki tam majątek? – obruszyłam się. – Ja nie mam żadnego majątku!

Trochę zdenerwowała mnie myśl, że Gierkowa mogła jakimś cudem dowiedzieć się o spadku po Poli zdeponowanym w angielskim banku. Było to raczej niemożliwe, ale jak zwykł mawiać mój mąż Waldemar: „Niemożliwe jest tylko wzięcie kuli ziemskiej na taczki...”

– Emeryturę przecież pani ma dobrą, 1500 złotych, nie byle co – odparła.

Skąd ona wiedziała, jakiej wysokości emeryturę pobieram, jeden Pan Bóg wie, choć zaraz mi przysłała do głowy myśl, że pewnie listonosz się wygadał, bo Gierkową widywałam nieraz, jak sobie z nim pogawędki uciniała. Listonosza leczył jej syn na swoim oddziale w szpitalu, więc miał dług wdzięczności. Pewnie zamiast koniaku przyniósł w zębach informację o wysokości mojej emerytury, może i emerytury wszystkich mieszkańców bloku? Taka informacja dla Gierkowej była bezcenna. Nie miałam siły tego tematu wałkować. Grubiaństwo moje sąsiadki dawno przestało bulwersować czy drażnić. Nie odzywałam się.

– A mało to się słyszy o takich młodzieniaszkach – ciągnęła nierażona – chuliganach osiedlowych, co babcię napadli i zabili za parę groszy. Cały czas o tym mówią w telewizji, w gazetach piszą. Nie dalej jak tydzień temu, listonosz mi opowiadał, jak dwie ulice stąd jego żonie torebkę jakiś smarkacz wyrwał! Wywrócił kobiecinę, całe kolana ma zdarte, przestraszyła się biedaczka, że do teraz dojść do siebie nie może. W portmonetce miała dwadzieścia złotych zaledwie. No niech pani powie, czy nie będzie końca świata?

– Listonoszowej współczuję, o mnie niech się panie nie martwią, mnie nic ze strony Jacka nie grozi. Prędzej umrę na wylew, jak się zdenerwuję, słuchając pani, pani Gierkowa – odparłam spokojnie i piłam herbatę, nie patrząc na nią.

– No wie pani... przecież ja z troski – oburzyła się, ale nie ruszyła z miejsca.

– Nie wątpię pani Lucyno – burknęłam sarkastycznie. – Nie wątpię.

Ta kobieta wyzwałała we mnie najgorsze zachowania, choćby z tego powodu jej nie lubiłam.

– Ten Jacek to bezczelny jest, zawsze był nieznoszny, już jako dziecko. Po śmierci matki siostrę do zakładu dla obłąkanych oddał. Wiedziała pani o tym? Ta Agatka to taka ładna i dobra dziewczyna była, może trochę cicha, ale na pewno nie wariatka. Sama widziałam, jak ją pogotowie brało, Jacek stał i się przyglądał. To było w nocy, nie mogłam spać, to na klatkę wyszłam, bo jakieś głosy słyszałam. A pani mu pozwała w mieszkaniu przesiadywać. On się czuje u pani jak u siebie. Ja pani radzę, niech mu pani nie ufa, to nicpoń jest.

Kontemplowałam przez chwilę, czy jednak nie oblać jej wrzątkiem, ale w ostatniej chwili sama siebie uratowała, bo zadzwonił jej telefon domowy.

– To pewnie mój syn dzwoni. Dzisiaj miał się dowiedzieć, czy go ordynatorem oddziału zrobią!

Pognała do środka, pofrunął jej kolorowy fartuch wraz z nią, zostawiła mnie nareszcie w spokoju. Kiedyś ten jej synalek lekarz przepisał mojemu synowi pewien lek przeciwbólowy, zachwalając, że to rewelacja, najskuteczniejszy na rynku, a potem Agnieszka sprawdziła w Internecie ten środek i okazało się, że już go w Ameryce wycofali ze względu na skutki uboczne oraz niepożądane działania niszczące wątrobę i nerki. Gierek jeździł, sponsorowany przez koncerty farmaceutyczne, na wszystkie możliwe zjazdy, wiem o nich z licznych fotografii dumnie prezentowanych przez jego matkę, potem wciskał ludziom dane leki, nawet takie, od których nowoczesny świat już dawno plecami się odwrócił. Artur się wściekł, chciał mu nawet złożyć wizytę w szpitalu, przeprowadzić konfrontację na temat tego niebezpiecznego leku, ale go uprosiłam, żeby tego nie robił, nie chcąc pogarszać moich stosunków z sąsiadką. Od tamtej pory ani nie chciałabym sama spotkać się z doktorem Gierkiem, ani bym go nikomu nie poleciła. Jeśli obsadzą go na stanowisku ordynatora oddziału ortopedii, to zaistnieje spore ryzyko, że jego matka po prostu pęknie ze szczęścia jak balon. Zanim jednak to nastąpi, zamęczą nas wszystkich wynoszeniem syna na ołtarze.

A mój syn nie był podobny do swojego ojca, ani z charakteru, ani z urody.

Celebrowałam status narzeczonej, upajając się przygotowaniami do rychłego ślubu z Kajetanem Grudką. Zdecydowałam się przyjąć jego propozycję małżeńską z dwóch powodów. Podobał się Poli i Andrzejowi, a nade wszystko był we mnie prawdziwie zakochany. Każdej kobiecie zaimponuje, kiedy mężczyzna składa najśłodszy dowód miłości, zapewniając, że jest się najpiękniejszą i najwspanialszą kobietą, jaką kiedykolwiek w życiu spotkał. W rekordowo krótkim czasie przekonał mnie, że ja też powinnam go kochać, skoro on już zakochany jest po uszy, więc niejako połowa planu wykonana! W tamtych czasach ludzie pobierali się po krótkim narzeczeństwie, nie traciło się czasu na przeciągające się amory, wydziwianie, przebieranie. Doświadczenia wojenne przynaglały ludzi do podejmowania decyzji, zażycia trochę szczęścia, zanim dopadnie ich zło. Ludzie szybko łączyli się w pary, nie istniało pojęcie singla czy wolnego związku. Komu się ożenek nie udał przed dwudziestym piątym rokiem życia, szedł na dno worka ze starymi pannami i starymi kawalerami. Przymus był, aby się żenić, młodzi ludzie, ich rodziny sami siebie ponaglali do zawarcia związku, a ja nie byłam wyjątkiem. Miałam dwadzieścia trzy lata, zaczynałam przekwitać.

Kajetan uważał się za poetę i pisarza, choć nie miał jeszcze na swoim koncie żadnych tomików wierszy ani innych literackich publikacji. Siedział po całych dniach w redakcji gazety „Życie Warszawy”, palił mnóstwo papierosów, czekał pokornie na swoją kolej, bo bardzo chciał pisać. Redaktorem naczelnym gazety był wtedy Henryk Korotyński, który zastąpił działacza komunistycznego Wiktora Borowskiego, czyli Arona Bermana, na tym stanowisku. Kajetan był Korotyńskim szczerze zachwycony i często mi o nim opowiadał. Muszę przyznać, że praca w redakcji gazety mojego narzeczonego bardzo mi imponowała, ja prosta chłopka miałam niebawem iść za redaktora, gdyż Kajetan sugerował rychłe nadejście jego ery. Niestety tak się nie stało. Poznałam go w mojej fabryce, kiedy przygotowywano obchody pierwszomajowe, zawsze hucznie świętowane w Polsce Ludowej. Redagował treść gazetki ściennej, planował akademię wychwalającą zdobycze rewolucji, podpowiadał

propagandzistom, jak uświetnić ten wielki dzień. Jego zaangażowanie w sprawę Polski Ludowej nie wydawało mi się dziwne, ponieważ nie stykałam się z ludźmi myślącymi inaczej. Pola, Andrzej, cały ich krąg znajomych to byli ludzie systemu, serdecznie oddani sprawie, dobrze prosperujący w rzeczywistości socjalistycznej. Nie miałam wtedy świadomości, że nasz kraj mógłby wyglądać zupełnie inaczej, gdyby nie zawarłyte ponad naszą głową pakt. Moja matka wiedziała więcej na ten temat, choć nigdy mi nie opowiedziała o męczeńskiej śmierci mojego ojca w Twerze, strzałem w tył głowy w 1940 roku. Pochowany został w Miednoje, co dopiero mój syn ustalił wiele lat po śmierci swojego dziadka. Ojciec trafił do niewoli sowieckiej w 1939 roku, po tym jak został ewakuowany wraz z innymi policjantami z posterunku w Kotlicach w okolicy Zamościa. Więcej zła w czasie wojny doznaliśmy od Rosjan niż od Niemców. Siostra mojego ojca została brutalnie zgwałcona przez wyzwolicieli radzieckich, mnie matka ukryła w leśnym szałasie, kiedy Ruskie buhaje szli przez naszą wieś, niosąc „wolność”. Po ich przejściu nie została w zagrodzie ani jedna żywa kura, ani jedna dobra para butów w chałupie, brali wszystko, co mogli unieść, a z kobietami obchodzili się niezwykle brutalnie. Mimo to, z niewytłumaczalnych przyczyn, nie byłam wrogo nastawiona do Rosji Radzieckiej, byli mi serdecznie obojętni tak jak ideologia naszego państwa polskiego. Nie miałam w sobie iskry działacza na rzecz wolności ni prawicowego patrioty, powodowała mną chęć życia, kochania, zabawy, sprawiania sobie i innym przyjemności. Nie byłam zajęta rozpamiętywaniem pożogi wojennej, dylematem, który ustrój byłby lepszy, ten, co minął, czy ten, co nastał? Gdybym nie spotkała na swej drodze Waldemara, a wyszła za Kajetana Grudkę, kto wie, czy nie wstąpiłabym do partii i nie poddała się zbiorowemu myśleniu, że socjalizm to najlepsza rzecz, jaka mogła się Polsce przydarzyć. Andrzej tak twierdził, natomiast Pola, choć się nie wypowiadała, świetnie żyła pod tą kołderką uszytą z potworności serwowanych przez miłościwie nam panujący ustrój. Mnie nikt nie uświadamiał, nie wtajemniczał w zawiloci towarzyszące prawdzie historycznej, iż wojnę wygrali Rosjanie. Cieszył mnie każdy dzień powszedni w wolnym kraju oraz fakt, że

mieszkam w Warszawie i jestem zaręczona. Poglądów ojca nie znałam, jego śmierć przyjąłm jako rzecz oczywistą, na wojnie ludzie ginęli, w naszej wsi wiele było wdów i sierot, mało kto dociekał, w jakich okolicznościach odeszli z tego świata ich najbliżsi. Moja matka dopiero w latach pięćdziesiątych dowiedziała się paru szczegółów o okolicznościach śmierci męża, a do tej pory mówiła jak wszystkie kobiety – zginął na wojnie.

Kajetan nie walczył z Niemcami, był za młody, ale uwielbiał tematykę wojenną. Spisywał namiętnie opowieści wojennych bohaterów, oczywiście tych żołnierzy, którzy po właściwej stronie ustawili się do boju. Nie zauważał dokonań żołnierzy AK, z jednym tylko wyjątkiem – umiłował poezję Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Cały czas mi o nim opowiadał, dotarł do osób, które go znały, zdobył pamiątki po zabitym w Powstaniu Warszawskim poecie i uprosił mnie, abymy naszemu pierwszemu synowi dali na imię Kamil.

– Jakże ja bym chciał tak pisać jak on... – gorączkował się. – Taka delikatność w słowach, a zarazem taka siła! Posłuchaj tego kochana. Cytował mi wiersze z pamięci:

*I takim ci ja hardy,
jak ręce co rycerzom
przypinają kokardy,
w których siłę nie wierzą*

*I takim ci ja mocz,ar,
że kiedy słów nie trzeba,
nie umiem stworzyć nieba
miłością w oczach*.*

* Krzysztof Kamil Baczyński, *Wiersz do Basi*.

– Albo posłuchaj tego, kochana:

*I wyszedłeś, jasny synku, z czarną bronią w noc,
I poczułeś, jak się jeży w dźwięku minut zło.
Zanim padłeś, jeszcze ziemię przeżegnałeś ręką,
czy to była kula synku? Czy to serce pękło?**

* Krzysztof Kamil Baczyński, *Elegia o... [chłopcu polskim]*.

Uczył się jego wierszy na pamięć, pięknych wierszy. Potem mi je recytował, rozczulając dramatyczną interpretacją, nierzadko do łez. Swoich własnych utworów nie recytował, jedynie mi je podsuwał spisane na kartce. Do oceny. Nie były piękne, natomiast bardzo przypominały wiersze Baczyńskiego. Kajetan nachalnie czerpał z warsztatu swojego mistrza, zmieniał szyki, wtrącał coś swojego, topornego, pytając bez przerwy o moją opinię. Po latach wspomniałam Waldemarowi o fascynacji Kajetana Grudki Baczyńskim, chciałam i jego zdanie znać na ten temat, ale mój mąż zasępił się tylko.

– Dobrze, że powstania nie przeżył – powiedział. – Takiego wrażliwego, prawego młodzieńca, patriotę, zabiłaby nowa Polska i jej porządek. Nie znalazłby sobie miejsca w powojennej Warszawie, musiałby do Paryża wyjechać albo do Londynu, tutaj by nie zdierżył, to nie jest kraj dla wrażliwych ludzi.

Doskonale rozumiałam, co miał na myśli, ale to było gdzieś pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy rozmawialiśmy o tym. Wtedy już byłam inna, Waldemar mnie odmienił.

Tymczasem Kajetan wszystkie wiersze o miłości dedykował mnie, a Pola była tym zachwycona. Nie знаła się na poezji, choć, jak sama twierdziła, na poezji, na sztuce w ogóle nie trzeba się znać, wystarczy ją czuć. Rozwijała się, niczym roślina na wiosnę, ta miłość poety do wiejskiej dziewczyny, pracownicy FSO, i kto wie, czy kwiat, czy chwast, czy cierni by z tego wyrósł, gdyby nie pojawienie się Waldemara.

Ludzie od dawna już spierają się, co rządzi naszym życiem, los czy przypadek? Na co naprawdę mamy wpływ, jak daleko sięga nasza naiwność, że sami sobie szykujemy swoją przyszłość. A może przypadek tylko pogania los, kopiąc go delikatnie w tyłek? Jedni mówią, wszystko

zapisane jest w gwiazdach, inni, że wszystko jest bezwładnym przypadkiem, jeszcze inni powtarzają z uporem, że jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz. Ja, mając lat osiemdziesiąt, nie dowiedziałam się od życia, co ostatecznie decyduje o naszych losach. Gdybym jednak, postawiona pod ścianą, musiała określić, co ma największy wpływ na nasze życie, odpowiedziałabym – przypadek.

Mimo iż nie zapominałam o tym cudownym mężczyźnie, który mnie na rękach nieprzytomną wnosił do szpitala, nie wzdychałam do niego, zaprzestałam definitywnie wałkowania wspomnień naszego spotkania. Jeszcze wiosną moja pamięć była świeża, piękną twarz Waldemara po zamknięciu powiek łatwo sobie wyświetlałam, ale już u schyłku lata, po tym kiedy Kajetan mnie pierwszy raz pocałował, zaczęły blednąć emocje przy sięganiu pamięcią do wydarzeń ze świąt. Miałam przy sobie zgrabnego mężczyznę, deklarującego miłość do mnie, rozmarzonego, pisującego wiersze, działającego w redakcji gazety. Niestosownym byłoby tęsknić za cudzym narzeczonym, którego raz, przelotnie widziałam. Pewna byłam, że ożenił się z nowosądecką nauczycielką, rozpoczął dorosłe, odpowiedzialne życie na prowincji. Najpewniejsza byłam tego, że nigdy go już nie zobaczę.

W 1953 roku Waldemar Pogorzelski przebywał w Warszawie, w fabryce FSO. W tym samym dniu ja miałam wolne, po tym jak do Bielska-Białej jeździłam nocą z rysunkami od konstruktorów. Realizowano plan budowy samochodu Syrenka. W WSM w Bielsku-Białej pracowali inżynierowie nad konstrukcją silnika, natomiast Warszawa nad resztą. Wszyscy pracowali w gorączce, żeby na grudzień 1953 roku przedstawić prototyp. Byłam kurierem, choć nie należało to do moich obowiązków, jednak jak trzeba było przewieźć to, co było pilne, jechałam z kierowcą. Mieli do mnie zaufanie, przyszłam do fabryki z osobistego polecenia towarzysza Andrzeja, o czym wprawdzie nie wszyscy wiedzieli, a ci, co wiedzieli, umieli wykorzystać. Waldemar kończył właśnie studia inżynierskie, wizytował wraz z innymi świeżo upieczonymi inżynierami, nasze zakłady na Żeraniu. Marzeniem tych młodych ludzi było dostanie pracy w FSO. Waldemar, kiedy już zakończył oficjalną część wizyty w

fabryce, zaczął nieśmiało wypytywać o mnie. Ktoś mu powiedział, jakiś majster na hali, że jedyna dziewczyna o imieniu Antonina, bo nazwiska mojego Waldemar zapomniał, która pracuje w fabryce, urodziła dziecko dzień wcześniej i jeszcze leży w szpitalu. Faktycznie, znałam Antoninę Jakąś tam, pracowała w zakładzie, urodziła dziecko jesienią 1953 roku, po porodzie do fabryki już nie wróciła. Nie wiem, kogo Waldemar o mnie pytał, wątpliwości nie mam, że mnie szukał, najpewniej ktoś nie skojarzył, o kogo mu chodzi, tu wszyscy wołali na mnie Tola. Tak mnie przedstawiła w pierwszy dzień kierowniczka wydziału kadr, myśląc imię Antonia z Anatolia. Mnie się ta Tola bardzo spodobała, przecież Toli bliżej do Poli niż Antoninie, więc nie prostowałam. Waldemar przyjął do wiadomości fakt, że dziewczyna, którą w śnieżycę wioził do szpitala, wyszła za męża, urodziła zdrowe dziecko, ułożyła sobie rodzinne sprawy. Nie zasmucił się, poszedł swoją drogą. Nie miał zimą 1953 roku narzeczonej nauczycielki w Nowym Sączu. Już nie.

Boże Narodzenie spędzałam z Polą i Andrzejem w Warszawie. Opuściła mnie ochota, żeby jechać na wieś, żywe jeszcze były wspomnienia z minionego roku, mojej choroby, szpitala, kłótni siostr. Stasiak odwiedził mnie dzień przed Wigilią, przywiózł drób, kielbasy, masła, jajek, blachę placka z makiem matczynej roboty i flaszkę księżycówki. Przyjechał, żeby mi opowiedzieć o swojej nieszczęśliwej miłości, czuł, że ja go zrozumieć najlepiej, może i coś doradzę? Kochał się mój brat w tej pannie Cecylii, oj kochał, a ona go nie chciała. Harował u jej ojca na gospodarstwie niezłym parobek, przymilał się staremu, udawał syna, jadł byle co, prawie nie spał, tylko pracował na dużym areale i robił maślane oczy do dziewczyny. Ze dwa lata tak cholewki smolił, nic mu nie było straszne, nawet fakt, że do bogatej panny kilku innych kawalerów swaty słało.

– Ja ich wszystkich przetrzymam Tośka, przychodzą, odchodzą, ja tam jestem na miejscu, dzień i noc. Już mnie stary hołubi jak syna, chociaż jeszcze nie powiedział, że gospodarkę mi przekaże, jedynaczkę też. On już dobrze wie, Tośka, że lepszego ode mnie nie znajdzie – mówił, pałaszując chleb z kielbasą. Wracał na wieś jeszcze tego samego dnia, nie nacieszyłam się nim zbytnio.

– Jak ma być twoja, to będzie – powiedział mu Andrzej.

Siedzieliśmy w kuchni wokół słoika ze smalcem. Nakroiłam chleba, w małym kieliszku podałam sól zmieszana z pieprzem, ogórki i kawał pasztetu z zająca. Pola podgryzała tylko ogórki kiszone i niczego nie chciała jeść. Mówiła, że po nocach się nie je, bo jak człowiek się do łóżka kładzie, to nic nie powinno w żołądku zalegać.

– A czemu ty Stachu, u mamy i Joachima gospodarować nie chcesz? – zapytał Andrzej. On naszych rodzinnych stosunków nie znał, mało się orientował, Pola nigdy mu nie opowiadała o konflikcie z siostrą, wyznając zasadę, że brudy pierze się we własnych czterech ścianach. Stasiak wychylił kieliszek i uśmiechnął się krzywo.

– Nic tam po mnie – odparł.

– Pola mówiła, że to całkiem spore gospodarstwo, czy nie? – Andrzej z czułością pogłaskał dłoń żony. Już mnie to nie bolało, miłość do Andrzeja przeszła mi bezpowrotnie po spotkaniu Waldemara, a odkąd w moje życie wkroczył Kajetan, całkiem mi z głowy wywietrzył ten dziecienny afekt. Zauroczenie, choć gwałtowne, wypaliło się, ledwie zapach po nim został.

– Gospodarstwo ładne, czemu nie, ale gospodarze nie tego. Ty Tośka wiesz, że ja tam się nie pcham ani oni mnie nie zapraszają. Tam mężowie córek się sposobią, mają prawo, to ich ojciec jest w końcu, ja tylko syn macochy. Inna rzecz, że te zięcie to nieudaczniki, obydwaj pijusy okropne, Joachim się zżyma. Matka mówiła, że oni nic nie dostaną, bo przepiją.

– Gdybyś chciał – powiedziałam – to byś u matki mógł mieszkać i pracować. Od początku od nich uciekałeś, nigdy nie jest za późno, drzwi by ci przed nosem nie zamknęli.

Pola odwracała głowę w stronę okna, kiedy mówiliśmy o jej siostrze. Jej rana jeszcze się nie zblizniła po tej kłótni sprzed roku. Nie odezwała się ani słowem, kiedy Andrzej dalej wypytywał o Joachima i matkę, patrzyła przed siebie, twarz jej nie wyrażała żadnych emocji. Wtrąciła się w rozmowę dopiero wtedy, kiedy Stasiak znów zaczął opowiadać o Cecylii.

– Jaka ona jest, ta twoja panna? Piękna?

– Czy piękna? – Uśmiech rozjaśnił twarz mojego brata. – Mówię cioci, anio! Nie jakaś wiejska dziewczucha, tylko pani, jakby hrabianka, na kozim mleku chowana. Taka jest piękna, że aż oczy bolą na nią patrzeć. Wszystko u niej jakby jaki artysta wyrobił delikatną ręką. Ojciec jej chłop postawny, matka wątła, moja Cecylia po niej urodę wzięła.

Spojrzałyśmy z Polą na siebie, łapiąc w lot nasze niewypowiedziane spostrzeżenie, że Stasiek do urodziwych młodzieńców nie należał. Kiedy się uśmiechał, a robił to nader często, pokazywał rząd króciutkich zębów, jakby gruboziarnistym pilnikiem nierówno spiłowanych, osadzonych na wielkich, różowych dziąsłach. Kiedy się nie uśmiechał, uwagę przykuwał jego mięsisty nos oraz prawie bezrzęse oczy. Musiał się zatem starać zdobyć pannę Cecylię sposobem, bo urody nie miał za grosz.

– A ona wie, że tak w niej gustujesz? – zapytała Pola.

– Nie mówiłem jej, nie chcę jej przestraszyć, może w przyszłym roku się odważę – odparł. Był już mocno rozgrzany wódką, frywolnymi myślami, pewnie pierwszy raz tak odważnie wypowiedzanymi na głos.

– Pośpiesz się Stasiek, żeby ci jej kto sprzed nosa nie sprzątnął. – Poklepałam go po policzku. Mnie też kieliszeczek wódki dobrze zrobił, poweselałam, nieśmiało dołączyłam do radości brata swoje pobożne życzenie, żeby już następne święta Bożego Narodzenia z Kajetanem spędzić, jak mąż i żona.

– Jak ma być twoja, to będzie – powtórzył Andrzej. – Tak ja mi Pola była pisana... ale, przyjacielu, musisz się o nią bardziej starać, nie samo z siebie nie przychodzi na tym świecie.

Stasiek przytaknął, przepijając do Andrzeja. Odradziliśmy mu podróż po nocy, pościeliłam legowisko na kanapie w salonie, uzgodniliśmy, że u nas zanocuje. Ułożyłam go do snu jak małego chłopca, pocałowałam w czoło. Kiedy opadły mu ze zmęczenia powieki, siedziałam przy nim kilka minut, czekając, aż Adela pogasi światła. Mamrotał niewyraźnie, szukając mojej dłoni na kocu.

– Tosia, ja ją tak kocham, Cecylię kocham, jak jej nie dostanę, to świat podpalę...

– Nie bredź Stasiu, śpij – skarciłam go po siostrzanemu. – Jak nie Cecylia, to inna panna ci się dostanie, zobaczysz...

Nie odpowiedział, zasnął w minutę.

Widocznie nie było im pisane, bo równo rok po naszej rozmowie w kuchni panna Cecylia wyszła za mąż za syna sekretarza partii, młodzieńca ambitnego ze wspaniałymi widokami, które roztaczał uprzywilejowany ojciec. Przy nim, mój pracowity, ale niezbyt bystry brat Stasiak nie miał szans, choć pogodzić się z przegraną nie chciał. Strasznie to przeżył, nie zdążył nawet powiedzieć pannie o swojej miłości, konkurent zagnieździł się jak gnida, według słów mojego brata. Został na gospodarstwie starego jeszcze rok, patrzył na welon panny młodej, miał go ochotę butem przydeptać, tak był wściekły, jednak dopiero kiedy pod suknią pojawił się mały brzuszek, nie wytrzymał i uciekł do matki. Nigdy mój brat się nie ożenił, choć nie sądzę, że zawiedziona miłość była tego przyczyną, po prostu nie miał szczęścia. Co poznał jakąś sympatyczną pannę, zaraz budziła się w nim chęć zemsty za zawiedzioną miłość, ostentacyjnie karał panny niewiernością i złym traktowaniem. Miał powodzenie, mimo iż z amantem filmowym pomylić go nie można było, wytwarzał jakiś magnetyzm, kobiety łączyły do niego, zakochiwały się, do żeniaczki parły, on się zręcznie wywijał niczym węgorz. Panna Cecylia stanęła wrogim obozem w jego głowie i sercu, nie dopuściła żadnej innej kobiety. Nigdy jej nie poznałam osobiście, nie przekonałam się, czy faktycznie była taka niezwykła, czy tylko tak sobie mój brat uroił i w tym wyobrażeniu zaciął się na amen. Byłby dobrym mężem. Długo marzyłam, że przegna marzenie o Cecylii, zaprosi do wspólnego życia miłą dziewczynę, zazna tego rodzaju szczęścia, do jakiego mnie tak było śpieszno.

Po świątach rozmówiłam się z Kajetanem co do daty naszego ślubu. Chciałam, aby wesele odbyło się w czerwcu, kiedy jest najpiękniej na świecie. On nalegał, aby do czerwca nie czekać, już na Wielkanoc iść do ołtarza, kontynuując tradycję jego dziadków i rodziców. Ja się uparłam na czerwiec, z perspektywy czasu myślę, że wzbraniałam się podświadomie przed tym krokiem, usiłowałam odwlec moment, bo nie miałam pewności, czy tego naprawdę chcę, łudząc się, że może mnie jeszcze co

lepszego w życiu spotka? Porwała mnie, trochę podstępnie, fala miłości Kajetana, oszołomiły jego wiersze, praca w „Życiu Warszawy”, snucie opowieści o naszym wspólnym życiu oraz chęć zakosztowania miłości fizycznej, jaka bez zawarcia małżeństwa, według moich moralnych standardów, nie była możliwa. Seks przedmałżeński uważałam za wielki grzech, kto wie czy nie śmiertelny. Posprzeczaaliśmy się trochę z Kajetaniem, nawet wizytę u jego rodziców musieliśmy odwołać, nie chciałam ustąpić. Jako narzeczonej przestało mi się nagle spieszyć do ołtarza, ale na czerwiec przystałam, nawet matce w liście podałam datę, zapraszając ją i Joachima na skromne przyjęcie weselne, jakie podjęła się zorganizować Pola. Ufałam, że zaaranżuje ten dzień tak, abym czuła się wyjątkowo, niczym się nie zamartwiała, potem przez lata z rozrzewnieniem wspominała każdą chwilę. Wszystko zmierzało małymi kroczkami w dobrym kierunku, ani chmurka nie pojawiła się na błękitnie nieba szykującej się do ślubu narzeczonej. Przez myśl mi nie przeszło, że coś się przeszkodą może położyć i pokrzyżować plany. Przypadek to jednak wielki silny stwór, jak mu potrzeba, to znów lekki jak motylek, kiedy mu się o delikatność rozchodzi. Przebiera się, przemieszcza, wszystkimi rządzi, wodzi nas za nosy, od prawa do lewa. Mógł zadecydować inaczej, po tym jak do Bielska-Białej pojechałam z kierowcą Marianem 8 marca.

Mieliśmy jakieś papiery zawieźć do zakładów i przywieźć inżyniera Kopytkę do Warszawy. Nie byłam zadowolona, że w Dzień Kobiet muszę jechać taki kawał drogi, ale nawet by mi do głowy nie przyszło odmówić, kiedy zostało wydane polecenie. Marianek lubił ze mną jeździć, nie susiałam co chwila, nie musiał tracić cennego czasu na przystanki jak z innymi pasażerami.

– Ja to lubię Dzień Kobiet, panie takie ładne w tym dniu, radosne... a panna Tola niczym aktorka, w tym płaszczyku taka powabna – przywitał mnie z rana serią komplementów. Coś tam mu grzecznie odpowiedziałam, apaszkę zacisnęłam mocniej na szyi, aby się przed wiatrem zabezpieczyć, i pozwoliłam pomóc sobie przy wsiadaniu do szoferki. Szarmancko nadstawił ramię, pod ciemnym swetrem lekko zadrgał

napięty muskuł, kiedy się na nim wsparłam. Ruszyliśmy w trasę.

– W jeden dzień nie obrócimy? – zapytałam, choć dobrze wiedziałam, że nie. Marian pokręcił przecząco głową.

– Za wszystkie skarby króla Salomona nie obrócimy. Kierownik załatwił nocleg w hotelu robotniczym „Iskra” w Bielsku-Białej, pogościmy się.

Uśmiechnęłam się tylko. Marianek zaliczał się do grona moich cichych wielbicieli, którzy nie mieli najmniejszych nawet szans. Był niski, okropnie śmierdział tytoniem, przy każdym uśmiechu prezentował spore ubytki w uzębieniu, choć nie miał jeszcze trzydziestu lat. Patrzyłam na niego z przykrością, ale lubiłam go, nie męczył mnie natrętnym zachowaniem, nie musiałam go nigdy napominać jak innych, znacznie bardziej nachalnych młodzieńców. Potrafił mnie rozbawić, nasze podróże szybko mijały. Kiedy jeździliśmy razem, zawsze brałam dla niego kanapki na drogę. Po godzinnej jeździe poczęstowałam go chlebem z serem. Adela dołożyła do nich jeszcze plasterki kiszonych ogórków. W termosie wiozłam prawdziwą kawę z mlekiem.

– Ale mnie panna Tola rozpieszcza! Żebym się tylko nie przyzwyczaił. – Gryzł chleb, jedną ręką trzymając kierownicę. – Pyszności! Jaki ze mnie szczęściarz!

– Dzień Kobiet w końcu, nieprawdaż? – Piłam ostrożnie, żeby ust sobie nie poparzyć.

– Prawdaż. Na dwudziesty ósmy rok mi idzie, czas by się ożenić. Co panna Tola uważa, zechce mnie jaka?

Marian miał całkiem przyjemny profil, jednak kiedy obracał głowę w moim kierunku, przypominałam sobie, że przystojny nie był.

– Panie Marianie, toż do pana kolejka stoi – skłamałam – niech no pan tylko dobrze przyuważy, dziewczyny strasznie za panem są...

Taką mu sprawiłam przyjemność tym oświadczeniem, że do samego Bielska mi dziękował, dopytując się, czy aby na pewno te tabuny wolnych kobiet na niego czyhają. Zapewniłam go, że ja w takich sprawach

rzadko się myślę i po prawdzie sama zaczynałam wierzyć we własne słowa. Dojechaliśmy na miejsce zmęczeni długą rozmową, z wyschniętymi gardłami, ponieważ w szoferce było dosyć głośno i musieliśmy do siebie krzyczeć.

W zakładach spędziliśmy kilka godzin, wszyscy świętowali Dzień Kobiet, częstowali się ciastami, wręczano goździki, drobne upominki, kobiety obdarowane rajstopami i zestawami ścierek nie garnęły się w tym dniu do pracy. Dopiero wczesnym wieczorem pojechaliśmy pod wskazany adres hotelu robotniczego „Iskra”. Mieszkali w nim głównie pracownicy zakładu, z żonami, dziećmi, czasami nawet z psami czy kotami. Nie były to mieszkania, zaledwie jeden duży pokój bez łazienki przysługiwał całej rodzinie. Kiedy wchodziło się do takiego pokoju, po prawej ręce znajdował się zlew, a po lewej szafa. Od reszty pokoju ten przedśrodek oddzielony był szmacianą kotarą. Kuchnię i łazienki mieszkańcy hotelu mieli wspólne. Na trzech piętrach w korytarzach bawiły się usmarkane dzieciaki, hałasując, obdzierając lamperię ze ścian, kotłując się po podłodze. Umęczone kobiety gotowały we wspólnej kuchni, wymieszane zapachy różnych potraw przenikały wszystkie zakamarki, wędrowały po piętrach, pobudzały soki żołądkowe zgłodniałych mężczyzn. Nie kłóciły się między sobą, jednoczyła ich bieda oraz oczekiwanie na własny kąt. Kiedy one uwijały się przy przygotowaniu posiłków, spod pryszniców wychodzili ich mężowie. Mieli przewieszzone kolorowe ręczniki przez ramię, w dłoniach mydelniczki. Te ręczniki nigdy nie wysychały, wydzierały naprawdę przykry zapach wilgoci, nikomu to jednak nie przeszkadzało.

Pokoje gościnne, w których nas zakwaterowano, znajdowały się na ostatnim piętrze, tam mniej już było smrodu i nieestetycznych widoków. W pokoju znajdowały się dwa łóżka zaścielone kraciastym kocem, szafa z lustrem wmontowanym w drzwi, mały stolik pod oknem i dwa krzesła. Marian spał w pokoju obok, urządzonym identycznie jak mój. Miał lokatora, księgowego z Łodzi, którego właśnie przyjęto do pracy w zakładach, a do mnie uśmiechnęło się szczęście, nie musiałam z nikim dzielić małej, obskurnej przestrzeni. Marianek wręczając klucz do pokoju,

rozochocony zaprosił mnie na kieliszek czegoś mocniejszego. Ponury księgowy miał nam towarzyszyć, co ostatecznie mnie zniechęciło, więc najgrzeczniej, jak umiałam, odmówiłam. Namawiał jeszcze przez chwilę, kuśli perspektywą dobrej zabawy, w końcu zrezygnował. Przyjął, choć niechętnie, do wiadomości, że jestem zaręczona.

Położyłam się pod kocem, prosto na wznak jak nieboszczyk w trumnie, usiłując zasnąć. Obserwowałam cienie tańczące z bladą poświatą. Dzieci już nie piszczały na korytarzu, zaczęło się robić coraz ciszej, ale sen nie przychodził. Po godzinie odezwało się burczenie w brzuchu. Wstałam, przetrząsnęłam kieszenie płaszcza w poszukiwaniu resztek z porannej kanapki, jednak oprócz kilku okruszków nie znalazłam nic. Było już całkiem późno, kiedy głód ostatecznie wypędził mnie z pokoju. Ostatni posiłek jadłam gdzieś w południe, jeszcze zanim dojechalismy do miasta, zatrzymalismy się na ciepłą zupę w karczmie. Kiedy dotarlimy na miejsce, nikt nas nie pytał, czy jesteśmy głodni, nie proponował poczęstunku, wypiliśmy tylko herbatę u szatniarza i pojechalismy do „Iskry”. Kiszki mi marsza grały, w gardle zaschło, w jednym momencie zrobiło mi się słabo, roztrzęsłam się. Postanowiłam ruszyć na poszukiwanie czegoś do zjedzenia. Wyszłam z pokoju, nawet go na klucz nie zamknęłam, tak mi było śpieszno. Człapiąc schodami w dół, zastanawiałam się, czy to w ogóle wypada o tej porze samotnej kobiecie schodzić do baru? Czy nie lepiej z godnością umrzeć z głodu pod kraciastym kocem? Coś mnie jednak wyгнаło z pokoju, nie tylko głód. Coś jeszcze. Owinęłam się szczelnie płaszczem, pokonując schodek po schodku małymi kroczkami. Na korytarzu nie było już nikogo, dyndające u sufitu słabe żarówki oświetlały mi drogę. Zwolniłam jeszcze bardziej, kiedy dostrzegłam, że z dołu, wielkimi susami siedł w górę wysoki mężczyzna. Patrzył pod nogi pochłonięty myślami, dłoń skakała mu po poręczu, szeleścił płaszczem, podczas kiedy ja szłam, nie wywołując żadnego szmeru, jak myszka. Kiedy mnie mijał, podniósł głowę, obrzucił moją postać przelotnym spojrzeniem i potem pognął dalej. Jeszcze przesłam dwa czy trzy schodki w dół, zanim się zatrzymałam. Jego kroki też uci-chły. Odwróciliśmy się na komendę. On, stojąc na szczycie schodów,

patrzył na mnie jak na zjawę. Ja, na samym dole, oparta o poręcz, zadzierałam głowę w jego kierunku równie zaskoczona odkryciem.

– Niech mnie kule biją! Panna Antonina! – krzyknął i zaczął powoli schodzić do mnie. – Co pani tu robi?

Czekałam, aż się zbliży. Pamiętając nauki Poli, swobodnie podałam mu dłoń do pocałowania, którą w locie chwycił i przycisnął do ust. Mojej matce dłoń trzeba było wrywać spod fartucha, jak się ją chciało kulturalnie przywitać, nawet wtedy, zawsze dłoń od ust mężczyznom wrywała, jakby się ich brzydziła.

– A co pan tu robi? – odbiłam pytanie.

Waldemar stał przede mną niczym postać ze snu. W marynarce pod płaszczem, rozpiętej białej koszuli, wygolony i wymuskany, jakby wyszedł prosto z kąpeli. Brylantyna na włosach połyskiwała w półmroku. Zmienił się przez ten rok, jaki upłynął od naszego ostatniego spotkania. Trochę schudł, wydał mi się dużo wyższy od mężczyzny, który siedział przy moim łóżku szpitalnym, starszy, co tu kryć, jeszcze przystojniejszy, niż go zapamiętałam.

– Pięknie pani wygląda. Bardzo zdrowo! Śliczna młoda mama. A jak tam dzidzius? Dziewczynka czy chłopiec? – zapytał, wpatrując się we mnie. Nie mogłam wtedy wiedzieć, że na jesieni, podczas wizyty w FSO poinformowano go, że Antonina Jakaś tam urodziła dziecko, a on pomyślał, że to ja. Wybałuszyłam więc oczy jak żaba w kompletnym osłupieniu.

– Dzidzius? Czy dzidzius?

– No jak to czyj? Pani – roześmiał się.

– Ale ja nie ma żadnego dzidziusia! O Boże, kto to panu powiedział? – krzyknęłam z niedowierzaniem.

Waldemar zmieszał się nieco. Opowiadał mi po fackie, że pierwsza myśl była taka, iż mi dziecko przy porodzie umarło. O pomyłce nawet nie pomyślał. Kilka minut trwało, zanim wreszcie porozumieliśmy się w tej sprawie, ja opowiadając, że nie jestem Antoniną Jakaś tam ze stołówki zakładowej, on o tym, jak wypytywał o mnie, kiedy był w Warszawie. Uśmialiśmy się, stojąc na tych wyslizganych kapciami schodach hotelu robotniczego, trzymając się poręczy.

– Ja bardzo przepraszam, że pani więcej nie odwiedziłem wtedy w szpitalu, ale musiałem pilnie jechać do Nowego Sącza. Nie miałem nawet, jak dać znać. Kiedy wróciłem, pani w szpitalu już nie było – tłumaczył się żarliwie.

– Tak, wiem, do narzeczonej pan jechał. Nauczycielki.

Waldemar nic nie powiedział, tylko wzrokiem uciekł, energicznie wziął mnie pod ramię i poprowadził na dół. Powiedziałam mu, co tu robię, dlaczego po nocach po hotelu robotniczym samotnie grasuję. Zaproponował swoją opiekę na wieczór, powiedział to tak zgrabnie, że aż mi się gorąco zrobiło i głód mi przeszedł. Poszliśmy do baru za róg, do restauracji „Jutrzenka”. Zajęliśmy ostatni wolny stolik tuż przy drzwiach, skąd przez opary tytoniowego dymu trudno dostrzec było bufet. W ostatniej chwili zauważyłam cycatą kelnerkę, sunącą do nas z białą serwetą przewieszoną przez ramię.

– Co wam gołąbeczki podać? – zapytała, odsłaniając w uśmiechu zaostrzone niczym wampir zęby. – Wódeczka? Coś na przekąskę?

Waldemar nie zamówił alkoholu, choć wszyscy wokół nas mieli pełne kieliszki. Poprosiłam o kotlet schabowy z ziemniakami, martwiąc się na zapas, czy aby nie nadwyreżę jego budżetu, jednak głód zwyciężył z poczuciem winy. W kilka minut ciepły posiłek wjechał na nasz stolik. Rzuciłam się na niego z widelcem jak jakiś dzikus, całkiem zapominając o manierach. Waldemar, patrząc jak jem, opowiadał, o swoich planach związanych z Wytwórnią Sprzętu Mechanicznego, tu w Bielsku-Białej. Trochę mnie to zdziwiło, przecież miał zostać w Nowym Sączu, albo przynajmniej w regionie, a tu nagle zamierował przenieść się na Śląsk? Nie zapytałam go jednak, pozwoliłam, żeby się wygadał, poza tym tak mi smakował wypieczony kotlet, że nie chciałam sobie przerywać uczt. Dopiero kiedy skończyłam, Waldemar zamówił po kieliszku wiśniówki.

– Za spotkanie panno Antonino – wzniósł toast.

– Mówmy sobie po imieniu – zaproponowałam, upijając spory łyk słodkiego alkoholu. – Tosia Wawel.

Stuknęliśmy się delikatnie kieliszkami.

– Waldemar Pogorzelski. No właśnie. Wawel! Gdybym zapamiętał to nazwisko, to bym już dawno panią odszukał. Ciebie, znaczy się, a tak, to dopiero los musiał zainterweniować. Tak czy owak, bardzo się cieszę, że się znaleźliśmy! Mały ten wielki świat, sama powiedz...

Uśmiechnęłam się tylko. Waldemar odwrócił głowę, kiedy kierownik sali zapowiedział kolejny utwór orkiestry dedykowany, jak wszystkie poprzednie, naszym pięknym paniom w dniu ich święta. Podszedł do nas przyszczytany młody człowiek, wręczył mi czerwonego goździka, kłaniając się nisko. Waldemar znów zaczął się usprawiedliwiać, że o tej porze, w tym miejscu, nie mógł zorganizować ładniejszego kwiatka dla mnie.

– Naprawdę, nie trzeba było się fatygować. Ja nie przywiązuję wagi do takich świąt – skłamałam. Było mi bardzo miło, nawet jeśli tylko wąty goździk uświetnił tę chwilę. Orkiestra grała smętną melodię, nikt nie poderwał się do tańca, goście zajęci byli sobą. Ja też wolałam rozmawiać z Waldemarem.

– Wierzysz w przypadek? – zapytał. – Gdybyś zgłodniała minutę wcześniej albo minutę później, to byśmy się na tych schodach nie spotkali. Szedłem do pokoju po rzeczy, miałem jechać w nocy.

– Pojedziesz? – Mój wylękniony głos rozbawił go.

– Skądże! Nie mógłbym cię zostawić tutaj samej. Pojadę rano.

– Dziękuję. Dziwnie bym się tu sama czuła, z tobą jakoś mi różniej – powiedziałam i uśmiechnęłam się ponownie, najładniej jak potrafiłam. Pola zawsze mnie napominała, abym się częściej uśmiechała, nie znosiła ponuractwa na twarzach ludzi. Polacy, naród z natury ponury i zasmucony nie wiedzieć czym, do uśmiechów się nie palił. Ćwiczyłam uśmiechy od dawna pod okiem Poli, przydała się ta nauka jak znalazł!

– I mnie z tobą różniej. – Waldemar przesunął dłoń bliżej mojej, ale jej nie dotknął. – A może masz ochotę zatańczyć?

Grzecznie odmówiłam. Nie byłam najgorszą tancerką, Pola zadbała, żebym mogła swobodnie ruszać w tany, ale bliskość Waldemara odbierała mi pewność siebie. Byłam przekonana, że on tańczy świetnie, a ja się przy nim skompromituję.

– A jak rodzice? – zapytałam.

Naprawdę chciałam dowiedzieć się czegoś o jego narzeczonej, nie śmiałam wprost go nagabywać, więc, zachodząc od zaplecza, zaczęłam dowiadywać się o zdrowie rodziców. Kiedy skończył, postanowiłam zdać mu ubarwione sprawozdanie z moich zaręczyn, poinformować mimochodem o czerwcowych planach matrymonialnych. Już otwierałam usta, żeby o moim Kajetanie poecie szczegółowo opowiedzieć, kiedy Waldemar powiedział nagle.

– A co się dotyczy mojej narzeczonej... do Nowego Sącza już od dawna nie jeżdżę.

Patrzyłam na niego uważnie, szukając drgań mięśni na twarzy, szybkiego zmarszczenia czoła, zaszepienia, niczego takiego nie znalazłam. Waldemar trzymał się mocno, uderzał rytmicznie w blat stołu opuszkami palców, akompaniując muzykantom. Bałam się, że mi wyjawí, iż jego narzeczoną umarła, wtedy byśmy pewnikiem resztę wieczoru siedzieli w smutku, wspominając i płacząc nad straconym, młodym życiem. Jakże mogłam w takiej sytuacji przywołać historię Kajetana? Przemilczałam opowieść o zaręczynach, wydała mi się nieważna. Gawędziliśmy o różnych sprawach, więcej mówiłam ja niż on, rozśmieszałam anegdotami z pracy, opisem ludzi, z którymi się stykałam, nie dopuszczając go do głosu. Usiłowałam odwlec moment, kiedy mi opowie, w jakich okolicznościach stracił narzeczoną. Waldemar nie powrócił do tematu, w końcu zapytałam wprost, dlaczego do Nowego Sącza już nie jeździ.

– Obym się już nigdy w życiu tak nie pomylił... – powiedział.

– Więc nie umarła? – zapytałam.

Waldemara zdziwiło moje pytanie.

– Są gorsze rzeczy niż śmierć – odparł.

Przeżyliśmy ze sobą tyle lat, a on nigdy mi nie zdradził, z jakiej przyczyny rozpadło się ich narzeczeństwo. Ciekawość mnie zjadała żywcem, jednak powstrzymałam się przed natrętnymi pytaniami, licząc, że sam mi pewnego dnia opowie, jednak Waldemar zachował tę historię dla siebie, nie uchylił rąbka tajemnicy. Kiedy weszłam w jego rodzinę, ani jedno słowo nie padło na temat nauczycielki z Nowego Sącza, jak gdyby nigdy nie istniała.

Gdzieś po północy niespodziewanie pojawił się Marian z wiadomością, że nie udało mu się uruchomić samochodu, sugerując, abym z rana wsiadła w pociąg, ponieważ w starym gaziku, jaki nas przywiózł do Bielska-Białej, cała skrzynia biegów jest kaput. Na Waldemara spojrzałam podejrzliwie, ledwie mu rękę uścisnęłam, głuchy na moje tłumaczenie, że to mój wybawca, który mi życie przed rokiem uratował. Kiedy sobie w końcu poszedł, Waldemar zaczął zastanawiać się, czy jest rozsądnym, żebym sama jechała pociągiem do Warszawy, czy to bezpiecznie, czy wypada?

– Odwiozłbym cię z przyjemnością, ale muszę, po prostu muszę jutro w południe być w Rzeszowie – powiedział. – Czekają tam na mnie, o pracę w WSK się staram. Tutaj też przyjechałem w sprawie pracy, ale powiem ci szczerze, bardziej mnie pociąga przemysł lotniczy niż samochodowy. Kusi mnie jedna fabryka i druga, obiecują mieszkanie, dobrą pensję, coś mi mówi, że w Rzeszowie mi będzie lepiej, do rodziny blisko. Ja się nie czuję dobrze na Śląsku, sam nie wiem dlaczego?

– Do FSO nie przyjdiesz pracować? Już postanowione?

Smutno mi się nagle zrobiło, jeszcze przed małą chwilką miałam nadzieję, że będziemy spotykać się w Warszawie, pokażę mu miasto, zaproszę na niedzielny obiad, zabiorę do Łazienek, z przewodnika po mieście zmienię się w przyjaciółkę, może nawet co więcej?

– Warszawa to nie moje miasto. Kraków, owszem, co innego, w Krakowie pracy dla mnie nie ma, z rzeszowską fabryką chętnie bym się związała. A tobie w Warszawie dobrze? – Zajrzał mi w oczy.

– Z małej wsi jestem – wypaliłam szczerze – wielkie miasto mnie zauroczyło, pracę swoją lubię, dom ciotki gościnnie, nie ma na co narzekać. Nie myślę na wieś wracać, nie nadaję się na żonę rolnika ani na nauczycielkę do szkoły.

Waldemar roześmiał się.

– To nas łączy! Nie wiemy może do końca, co chcemy robić, ale wiemy, czego nie chcemy. Podoba mi się twoja otwartość, w dzisiejszych czasach tak trudno się ludziom przyznać do czegośkolwiek osobistego.

Wzruszyłam ramionami. Perspektywa powrotu na wieś po prostu mnie mierziła. Opowiadając o tym, nie czułam się bohaterką, uprzedzałam głośno kolejne pytania.

– Nic mnie na wsi nie czeka...

– Tak, tak, miasto to jest przyszłość, szkoda tylko, że w takich okolicznościach buduje się Polska.

Nie zrozumiałam, co miał na myśli. Ja byłam zachwycona nową Polską, możliwościami, wizją przyszłości w dobrobycie. Ani mi w „głowie było podejmować z nim jakieś trudne tematy. Orkiestra akurat zaczęła grać szlagier *To ostatnia niedziela*, który do niedawna uważałam za autorski utwór Mieczysława Fogga. Nie raz pana Mieczysława widziałam w Warszawie, uwielbiałam jego piosenki, był prawdziwym dżentelmem starej daty. Waldemar ponownie poprosił mnie do tańca, tym razem nie odmówiłam. Kiedy tańczyliśmy w bliskim uścisku, kątem oka dostrzegłam Mariana wychylającego kieliszek za kieliszkiem. Manifestował swoją zazdrość w najprostszy sposób, po męsku, upijając się. Nie przejmowałam się tym zachowaniem, płaśałam lekko na małym parkiecie, tuląc się, być może zbyt śmiało, do Waldemara. Jego bliskość była przyjemna i podniecająca, już sobie nie życzyłam niczego innego, żeby tylko melodia nie ucichła, abyśmy nigdy nie musieli wracać do stolika z poplamionym obrusem. W tym tańcu, który nie trwał dłużej niż pięć minut, podjęłam druzgocące dla Kajetana Grudki postanowienie, że za niego nie wyjdę! Waldemar nie zdawał sobie sprawy z tego, że pierwsze spotkanie z nim położyło kres mojej beznadziejnej, platonicznej miłości do Andrzeja, natomiast drugie spotkanie definitywnie odwiodło mnie od zamiaru poślubienia Kajetana. Nie zaliczałam się do stabilnych uczuciowo panien, skoro tak lekko zamieniałam jedno uczucie w drugie, ale wolałam myśleć o sobie, że byłam niezwykle odważna. Odwaga mną powodowała, nie lekkomyślność czy niestałość! Gdybym wyszła za Kajetana, pewnie wytrwałabym w tym związku do późnej starości, bo po wojnie ludzie się po prostu nie rozwodzili z byle powodu, ale czy byłabym szczęśliwa?

Przy pożegnaniu Waldemar poprosił o mój warszawski adres, na

wypadek gdyby znalazł się w stolicy i szukał miłego towarzystwa. Poczulałam się troszkę zawiedziona, miałam nadzieję, szczególnie po tym upojnym wieczorze oraz tańcu, że umówimy się konkretnie, na dzień, godzinę, miejsce, będę miała na co czekać i o czym marzyć. Waldemar ostudził pożar w mojej głowie, pocałował mnie szarmancko w rękę, odprowadził do pokoju, podziękował za wieczór, tak jak się na tych schodach trzy godziny wcześniej pojawił, tak na nich zniknął, nawet się nie odwróciwszy. Położyłam się w ubraniu na kraciatym kocu. Brzydziłam się pościeli, w jaką obleczona była cienka kołdra i jasiek, nie mogłam przytulić do niej twarzy. Zasnęłam szybko, śnił mi się Baczyński poeta, jak mnie do tańca prosił, tańczyliśmy na gruzach hotelu „Iskra”, raniąc bosc stopy. Nie wiedziałam, jak wygląda Krzysztof Kamil Baczyński, ale w moim śnie pojawił się właśnie on, wątpliwości nie było. Przepląkałam większą część drogi do Warszawy, ściśnięta w zatłoczonym pociągu, znów głodna, niewyspana, ogromnie zmęczona wrażeniami z ostatniej nocy. Kiedy dotarłam do mieszkania Poli i Andrzeja, miałam złamane serce, nie na dwie części, ale potłuczone w drobny mak.

Kajetan Grudka nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Trzy dni wcześniej zegnał przed domem w Warszawie Antoninę Wawel, swoją narzeczoną, którą miał w wielkanocny poniedziałek przedstawić rodzicom. Teraz witał w drzwiach Antoninę Wawel, która przyszła rozedrzeć mu serce wiadomością, że nie zostanie jego żoną. W kółko powtarzał: „Ale co się stało? Co się stało, na rany Chrystusa?”. Nie mógł pojąć, nikt by nie mógł w jego sytuacji, że można tak z dnia na dzień przestać kochać, odwołać ślub, poprosić o wybaczenie, najszybsze z możliwych wymazanie z pamięci.

– Dlaczego? Tosiu, dlaczego? Moja wina? Czy ja coś zrobiłem złego? Powiedz, ukochana moja! – Tak mnie zaklinał, a ja zapadałam się pod ziemię ze wstydu, litości, żalu, najbardziej z tęsknoty za Waldemarem, którego miałam nie zobaczyć przez następne kilka miesięcy.

ROZDZIAŁ X

W połowie lipca przyjechała do Polski Agnieszka. Miały z matką na wakacje jechać, w miejsce, którego nawet początkowo na mapie nie mogłam odszukać, na Galapagos, należące do Ekwadoru wyspy Oceanu Spokojnego. Agnieszka uwielbiała nurkować, schodziła już na duże głębokości, robiła piękne podwodne filmy, potem podkładała do nich muzykę, rozsyłała swoim znajomym i rodzinie. Miałam trzy takie filmy, każdy trwał godzinę, wiele razy je sobie włączałam na odtwarzaczu DVD. Jacek był zachwycony, kiedy zaprosiłam go zeszłego roku na projekcję, dwukrotnie obejrzelśmy film mojej wnuczki z podróży na Papuę Nową Gwineę, pokazujący precudowne kolory i kształty ryb, cuda wszelakiej roślinności. Pan Bóg był wielkim artystą, pod wodą było to najlepiej widać. Agnieszka miała dobrą rękę do filmowania oraz absolutną rzadkość wśród młodych – pasję. Kochała podwodny świat, egzotykę niedostępnych miejsc, dziewiczość otchłani oceanów, niezmaconą niszczycielską ręką człowieka i cywilizacji. Na tych jej filmach działy się prawdziwe sceny z życia, kłótnie, ucieczki, gody, morderstwa, nawet narodziny i cicha śmierć. Muzykę komponował jej kolega, bardzo uzdolniony muzyk, od lat próbujący przebić się do show-biznesu. Nie pamiętam, kiedy moja wnuczka zaczęła nurkować, ale bardzo dawno, jeszcze jako nastolatka. Artur ją zachęcił do nurkowania w Egipcie, podczas rodzinnych wczasów. Ją oraz jej brata Emila, ale Emil nie podążył za pasją siostry i ojca, skończył przygodę z nurkowaniem po tym jednym razie. Biedny Emil.

Artur sam trochę nurkował, jednak szybko musiał zrezygnować ze względu na problemy z kręgosłupem. Powoli zrezygnował z nart, tenisa, golfa, a kiedy chciał uprawiać jakiś sport towarzysko, bo pomagało mu to w interesach, podwajał dawkę leków przeciwbólowych. Jego pieniądze

pachniały przeróżnym doktorkom, którzy prześcigali się wręcz w propozycjach uzdrowienia. Ile on pieniędzy wydał na maści-cud, na rehabilitantów, masażystów, materace z gąbki projektowane przez NASA, borowinę z Węgier, zastrzyki z ozonu, tylko on sam lub jego skrupulatna żona umieliby podliczyć. Wszystko na nic, ból dyktował rytm jego dnia, wyznaczał, co może podnieść z ziemi, na którym krzesło usiąść, jak stać i jak chodzić. Pięć lat temu przestał nurkować. Od tamtej pory wyjazdy w najdziwniejsze rejony zawsze organizowała Oktawia, chętnie szastając pieniędzmi męża, gustująca w ekskluzywnych miejscach na ziemi, drogich wyprawach, takich, którymi mogła się od lata do Bożego Narodzenia chwalić. Sama do wody nie wchodziła, nie umiała pływać, towarzyszyła Agniesi w wyprawach, z nadzieją, że uda jej się ciekawie spisać wspomnienia z odwiedzanych miejsc, może wydać je potem w postaci książki. Liczyła, że napisze coś tak ciekawego, jak ten przykładowy katolik Cejrowski. Oktawia wiele na ten temat mówiła, jednak nikt nie doczekał się jej książki w Empiku. Talent pisarki Oktawii obrastał legendą, podczas kiedy zaledwie jedno kobiece pismo zaryzykowało, publikując serię jej artykułów na temat malarstwa, na którym, jak utrzymywała, znała się lepiej jeszcze niż na literaturze. Jako absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego pretensje do pisarskiego geniuszu miała wielkie, ale jeszcze więcej autokreacji. Artur bez szemrania opłacał eskapady córki oraz żony, ekscytował się ich planami, wręczał, obok czeków podróżnych, złotą kartę kredytową, zawsze osobiście odwoził je na lotnisko.

Agnieszka przyleciała do Polski trzy dni przed wyprawą, przysłała do mnie z butelką koniaku i bukietem kwiatów. Zasypałam ją od wejścia pytaniami o Lilę, nie rzuciła jednak jaśniejszego światła na aferę z Maxwellem i Samuelem, może faktycznie niewiele wiedziała lub swoim zwyczajem nie chciała mnie martwić. Lila wyjechała do Katowic, poza jedną kartką, jaką od niej dostałam, nie dawała znaku życia. Pytałam Zuzannę, naburmuszona zbyła mnie byłe słowem.

– A niech sobie łby pourywają w tym trójkącie. Ja już nie mam do

niej siły. Wiem tylko, że czuje się dobrze. – Tyle była mi łaskawa powiedzieć moja córka.

Agnieszka uspokoiła mnie, zapewniając, iż żaden trójkąt nie występuje, bzdurne plotki, nie ma potrzeby się martwić, gdyż Lila czerpie siłę z myśli o przyszłym macierzyństwie. Zbierałam się do napisania listu do mojej wnuczki, ale jakoś tak mi zeszło, nie wiedzieć przy czym, że nie posłałam jej jeszcze słów otuchy. Lila miewała takie okresy w życiu, że się od nas odsuwała w poszukiwaniu przestrzeni, wewnętrznego spokoju, równowagi. Pojawiała się, nagle znikwała, zdążyliśmy się przyzwyczaić. Martwiłam się o nią, jej nienarodzone dzieciątko, nawet o tego Maxwella i ukrywaną w Nigerii żonę. Zamartwianie się było jednym z najbardziej czasochłonnych oraz wycieńczających zajęć emeryta.

Agnieszka przyszła do mnie pięć minut przed pojawieniem się Jacka Kubelskiego. Nie zdążyliśmy się nawet należycie przywitać. Pokroiłam ciasto, zaparzyłam herbatę, poszła do przedpokoju otworzyć gościowi drzwi, podśpiewując sobie. Łyżeczka mi z ręki wypadła na widok poharatanej twarzy Jacka. Oko miał podbite, wokół całe fioletowe, siniaka na policzku, wargę przeciętą w dwóch miejscach, głowę lekko opuchniętą. Agnieszkę rozbawił ten żalorny widok, mnie przestraszył.

– A co to, z pociągiem się czołowo zderzyłeś? – zapytała go, kiedy już usiadł przed nią.

Zawstydzony, przywitał się niemrawo, poprosił o szklanke wody. Nie spodziewał się jej u mnie zastać, walczył teraz ze skrępowaniem, latając wzrokiem po dywanie.

– Mała awaria w stosunkach przyjacielskich – powiedział wreszcie.

– No, na przyjaciół zawsze można liczyć. – Agnieszka uśmiechała się, usiłując złowić jego spojrzenie. – Ale to wielka przyjaźń musi być, bo i obrażenia ciała spore... pokaż...

Nachyliła się nad nim, ujęła delikatnie głowę, przekreśliła w stronę lepszego światła. Jacek zamrugał oczami, posłusznie tkwił w dłoniach mojej wnuczki bez ruchu. Oględziny trwały kilka sekund.

– Przeżyjesz. – Agnieszka poklepała go po policzku.

– Dobrze by było...

Jacek sięgnął do torby, zrezygnowanym gestem położył na stole świeże gazetki, po czym z kieszeni wyjął mój pamiątkowy zegarek, który wcześniej zaniósł do zegarmistrza, żeby zmienić baterię. Niby z czasem się nie liczyłam, ale chciałam mieć zegarek tykający ładnie i miarowo jak w dniu, kiedy go dostałam od męża.

– Nie będę pań zanudzał, przyjdę później – mówił z trudem.

Chciał podnieść się z krzesła, ale Agnieszka zatrzymała go szybkim ruchem. Trzymała mu dłoń na ramieniu.

– Co to, to nie! My z babcią lubimy historie mrozące krew w żyłach.

Kiedy byli mali, bawili się często razem, ganiłi po piwnicach, przewijali się na trzepakach, zdaje się, że Jacek nauczył ją jeździć na rowerze, ona jego grać w klasy. Czas dojrzewania odsunął ich od siebie. Pojawił się wstyd, zażenowanie niewiadomego pochodzenia, nie umieli już się ze sobą bawić ani rozmawiać. Kiedy Agnieszka musiała w wieku dwunastu lat założyć pierwszy biustonosz, nie wyobrażała już sobie przystanąć i pogawędzić z Jackiem na schodach klatki. W następnych latach widzieli się raz czy dwa, przelotnie, nie obdarzając się głębszym spojrzeniem czy słowem. Można powiedzieć, wyrosli z siebie, jak się wyrasta z butów.

Agnieszka wiedziała od rodziców, że Jacek pomaga mi w załatwianiu sprawunków, skomplikowanych operacjach komputerowych, nie spodziewała się jednak, jak jesteśmy blisko. Patrzył na mnie błagalnie, wyraźnie nie chciał przy niej opowiadać o pochodzeniu tych siniaków na twarzy, rozłożyłam bezradnie ręce, nie miał wyjścia..

– Robi wrócił w Niemiec – zaczął ponaglany. – Pierwsze kroki skierował do mnie, ale zanim mu wyjaśniłem, że Madzi nawet zdrożną myślą nie dotknąłem, to mnie sprzał. Przecież pani wie, jaki miałem z nią kłopot, ubzdurała sobie coś, zameldowała Robiemu, że z nim zrywa, bo we mnie się zakochała...

Agnieszka parsknęła śmiechem. Jacek opowiedział jej pokrótce, kto to jest Robi, kto Madzia, jakie zdarzenia doprowadziły do awantury. Nie

wydawał się rozbawiony całą sytuacją, moja wnuczka wręcz przeciwnie.

– Będzie miał nauczkę, żeby przystojnego kumpla z kwiatami do dziewczyny nie wysyłać! Byłeś u lekarza? – zapytała.

Jacek potrząsnął głową.

– Nic mi nie jest, tylko wyglądam okropnie, kurczę, miałem jechać do klienta. Po tych burzach w regionie komputery ludziom popadały jak muchy, jest co robić. Złałbym po tyłku tę Madzię, tyle siary nam narobiła! Pani wie, jak mnie bombardowała SMS-ami, nie odpisywałem, ale przytrzymała gaz, nie umiałem jej wyhamować – bronił się.

– Pewnie, pamiętam – potwierdziłam. – Emocje opadną, koledze wszystko wyjaśnisz, przecież chyba ci uwierzy?

– Na razie, to mi się nie chce z nim gadać. Szczęka mnie boli – odparł.

Agnieszka zaproponowała, że zrobi mu okład z lodu, ale lodu nie miałam, więc przyłożyłyśmy woreczek z mrożonym groszkiem. Położył się na kanapie w pozycji cierpiącego Wertera. Nie odzywał się przez chwilę, słuchając naszej rozmowy na temat wyprawy w dalekie kraje. Agnieszka wyjaśniła skrupulatnie, jaki jest plan podróży, skąd lecą, gdzie lądują, jakie miejsca odwiedzą. Wycieczka była bardzo ekskluzywna, leciały cztery osoby z Ameryki, dwie z Niemiec, Agnieszka i jej mama. Firma, wyspecjalizowana w takich wyprawach, bardzo starannie dobierała kandydatów, miejsca mieli ograniczone, trzeba było czekać rok na pozytywną akceptację. Ile to kosztowało, bałam się pytać.

– Tato mi zapłacił połowę. Kochany. Skończyłam już szkołę, zaczęłam niedługo zarabiać, od września zaczynam pracować jako kurator, będę w Anglii młodych ludzi nawracać na dobrą drogę. Ucieszył ich fakt, że jestem Polką, bo nasi rodacy stanowią mocną grupę korzystającą z nadzoru kuratorskiego.

– Dzielną z siebie dziewczyną – pochwaliłam ją. – Wszyscy jesteśmy z ciebie dumni. Na pewno będzie to ciekawa praca i... – szukałam słowa – ... pożyteczna.

– W praniu się okaże, czy dzielność mnie nie zawiedzie. Powiem ci babciu, mam pewne obiekcje, nie wiem, czy podołam...

– Dziecko! – wykrzyknęłam z gorliwością w głosie. – Nikt się do tego lepiej nie nadaje niż ty. Ty nie oskarżasz, ty rozumiesz, nie napominasz, tylko wyjaśniasz, ty... Agnieszko, wierzę w ciebie, duma mnie roz-piera.

Przytuliliśmy się, jak to zawsze bywa po tak emocjonalnej wymianie zdań. Agnieszka podeszła do leżącego Jacka, zerknął na nią jednym okiem, zmieniła mu opatrunek, przewracając woreczek z mrożonym groszkiem na drugą stronę. Miałam jeszcze mrożoną fasolkę w odwo-dzie, więc zaproponowałam, że ją poświęcę, jak się groszek roztopi. Jacek z wdzięcznością odprowadził ją wzrokiem na krzesło.

Lila była przeciwieństwem swojej kuzynki. Nie garnęła się do nauki, nie brała czynnego udziału w życiu społeczności lokalnej, nie chodziła na wiece, nie nurkowała, nie czytała książek, nie przeprowadzała staru-szek przez pasy. Agnieszka owszem. Lila zajęta była amatorami, modą, przyjemnościami życia, stroniła od przyziemności dnia powszedniego. Znajomość z Maxwellem była najlepszym tego dowodem. Nie przypusz-czam, żeby Agnieszka pozwoliła sobie na takie szaleństwo, nieplanowane macierzyństwo, pochopne złożenie serca na dłoni.

Mimo wszystko Lila była mi bliższa, może dlatego, że przypominała mnie z czasów młodości? Ja nigdy nie odczuwałam głodu wiedzy, obce mi było pragnienie zrobienia kariery, zobaczenia świata. Czasy były inne, jednak głębia duszy zawsze ta sama. Albo się było niepoprawnym romantykiem i wolnym ptakiem, nie dbającym o jutro, albo wyliczonym i zaplanowanym mechanizmem w wehikule codzienności. Bardzo kocha-łam obie moje wnuczki, miałam z nimi doskonały kontakt, uwielbiałam ich towarzystwo, nigdy nie faworyzując żadnej. Nie da się ani dzieci, ani wnuków kochać tak samo. Nie mówię, że jedno dziecko kocha się mniej, ale z pewnością inaczej wbrew temu, co twierdzą wszystkie matki świa-ta. To samo dotyczyło wnucząt.

Agnieszkę, jako tę zdolną i pilną, wysłano do Anglii do szkoły. Artur

proponował siostrze, żeby to samo zrobiła z Lilią, ale Zuzanna w swoim kwaśnym stylu wyszydziła jego sugestię.

– W Polsce są świetne szkoły, lepsze niż w Anglii, a poza tym, czy nas, normalnych ludzi, stać na kształcenie dzieci za granicą? Nie każdy ma fabrykę kremów – powiedziała. – Chcę, żeby skończyła I LO tak jak my.

Lila miała wtedy czternaście lat. Natychmiast pospieszyłam z propozycją sfinansowania z funduszu Poli edukacji Lilianny w Anglii, jedynie zdenerwowałam córkę tą ofertą.

– Niech mama już raz da spokój z tymi pieniędzmi Poli! Mówi mama o tych pieniądzach tak tajemniczo, jakby to jakaś bursztynowa komnata co najmniej była! Nie godzę się na wysłanie Lilianny do Anglii, skończmy ten temat. A nawet się mamie dziwię, że mama tak tą Anglią zauroczona? – gniewała się Zuzanna. – W tych prywatnych angielskich szkołach to się wyszydzane dziewczynki wieszają, są pod presją, wiele nie wytrzymuje, ja takiego losu mojej córce nie zgotuję!

Zuzanna nie godziła się na pomysł wysłania córki za granicę przede wszystkim dlatego, że córka jej brata poszła tą drogą. Była przeczulona na tym punkcie, nie podobało jej się nic, co robił Artur, nie zgadzała się z żadną jego decyzją, torpedowała jego pomysły i odcinała się od jego planów. Dobrze jej radził dziesięć lat temu, po bratersku, aby wszystkie wolne środki lokowała w ziemię, żeby skupowała działki pod miastem od chłopów i w ten sposób inwestowała. Oferował nawet, że jej kilkadziesiąt tysięcy pożyczycy na początek, ale jeszcze się obraziła, że z taką propozycją wystąpił. Powiedziała, że nie będzie spekulować ziemią, woli godnie żyć, a pieniądze trzymać w banku jak każdy porządny obywatel. Nakupili z Karolem jakichś obligacji, potem zdaje się utopili oszczędności na warszawskiej giełdzie, a na koniec wzięli kredyt we frankach szwajcarskich, co ich już ostatecznie dobiło, przestali budować dom marzeń, sprzedali go w stanie surowym zamkniętym, jak to mówią. Artur skupował ziemię jak szalony, jeździł po okolicy, wypatrywał terenów nadających się pod budowę domu, swoimi sposobami przekonywał właścicieli do sprzedaży po bardzo atrakcyjnych, niskich cenach. Zuzanna

twierdziła, że wiele interesów załatwiał wódką, rozpijając jeszcze bardziej małorolnych chłopów Podkarpacia. Już ona umiała dobrać słowa, kiedy przyszło skrytykować brata. Artur niezrażony komentarzami siostry robił swoje, bardzo konsekwentnie nabywał kolejne połacie ziemi, na nikogo się nie oglądał. Powtarzał, że może kobiety kiedyś przestaną używać jego kosmetyków, sięgną po droższe, a ziemia to jest ziemia, nigdy nie straci na wartości. Miał rację, wszystkie, co do jednej, jego inwestycje w grunt były trafione. Nie sprzedawał jeszcze ani ara ziemi, jaką nabył przed laty, ale wartość działek była już dziesięciokrotnie wyższa od ceny ich zakupu. Deweloperzy ustawiali się w kolejce do niego, żeby wyblagać choć pół hektara pod budowę osiedla. Obiecywał, że jak przyjdzie czas, wszystko im sprzeda, ale nie uściślał, kiedy ten czas miałyby nadejść. Zuzanna nie dorobiła się niczego, klepała taką samą biedę jak przed laty.

– Trumna nie ma kieszeni – komentowała kolejne transakcje brata.
– Po co jednemu człowiekowi tyle pieniędzy? Ciągłe mu mało i mało, podobno SPA ma otwierać w Cisnej. Słyszała mama?

Słyszałam, ale nie zdradziłam się. To był pomysł Oktawii.

– A może by się Karol za jakie interesy zabrał? Porozmawiaj z Arturem, może weźmie go do spółki lub coś poradzi? – Delikatnie podsunęłam propozycję.

Karol, działacz parafialny, pracownik na państwowej posiadzie, zajęty był sprawami kościelnymi, noszeniem figurki Matki Boskiej, pielgrzymkami do Watykanu, a ostatnio ukrywaniem przed światem ciąży jego niezamężnej córki jedynaczki, nie miał głowy do robienia pieniędzy. Zuzanna stanęła w obronie męża.

– Mamo, nie każdy mężczyzna na tym świecie musi być taki przedsiębiorczy jak Artur. Ludzie chcą żyć spokojnie, nie gonić za mamoną, nie ścigać się z kolegami ze studiów. Nie stawiaj nam Artura za wzór, on nam nie jest w stanie zaimponować swoim majątkiem.

I tyle było rozmowy. Dałam sobie spokój, nie ma nic gorszego od sytuacji, kiedy dobre intencje odczytane są jako wtrącanie się lub, co gorsza, podjudzanie. Nie miałam nic złego na myśli, chciałam tylko, żeby moim obojgu dzieciom lepiej się żyło.

Ostatecznie Lila skończyła I LO w naszym mieście, zrobiła w Krakowie kurs pilota wycieczek, choć nie miała zamiaru z turystami po zabytkach latać. Znała płynnie język angielski oraz włoski. Po sąsiedzku w bloku mieszkała rodowita Włoszka, ożeniona z polskim nauczycielem, tęskniąca za krajem, wyobcowana, wypatrywała okazji, aby się udzielić na osiedlu, zabić czas czymkolwiek. Jej mąż, piękny słowiański blondyn, naobiecował kokosów, kiedy ją uwodził w urokliwym miasteczku Lucca w Toskanii, a ona mu uwierzyła. Przywiózł Cristianę do Rzeszowa, na drugie piętro, trzy pokoje, łazienka osobno, toaleta osobno, dwa przedpokoje i balkon, gasząc od progu uśmiech na śniadej, lekko już pomarszczonej twarzy trzydziestopięcioletki. Ponieważ nie mówiła po polsku, traktowano ją nieufnie, nikt nie spieszył się z ofertą przyjaźni, choć z czasem wszystkich do siebie przekonała, przechrzczo ją na Krystynę, nauczono lepić pierogi i pić wódkę kieliszkiem. Kiedy już pozyskała zaufanie otoczenia, wymyśliła darmowe lekcje języka włoskiego dla dzieci i młodzieży. Jedyna Lila na tym skorzystała, inne dzieci zniechęciły się po kilku sesjach. Ona wytrwała, pewnie ze względu na uroczą nauczycielkę, która nie dość, że nosiła piękne stroje, to jeszcze pachniała jak ekskluzywna rzymska perfumeria. Nauka obcego języka przyszła jej tak łatwo jak Poli, ale nie mogłam tego głośno mówić, żeby nie denerwować mojej córki. Bardzo ją drażniły wszelkie porównywania Lilianny, lub kogokolwiek, do Poli. Pola nie stanowiła dla niej wzorca, wołała w ogóle nie przypominać sobie, że taka postać w naszej rodzinie była. Gardziła też jej pieniędzmi. Niestusznie.

Wypytałam szczegółowo Agniesię o ten wyjazd na drugi kraniec świata, w tym czasie groszek mrożony całkiem się już roztopił i Jacek wstał z sofy. Nie rozmawiał z nami więcej, łyknął tylko panadol i poszedł do siebie. Agnieszka ożywiła się po jego wyjściu.

– Fajny ten Jacek – powiedziała, zamknawszy za nim drzwi. – Nie zapowiadał się, chudy był, zapadnięta klata, teraz proszę! Niczym Olivier Janiak, tylko nos ma ładniejszy. Bawiliśmy się w chowanego po piwnicach, jak byłam mała, na rowerze mnie nauczył jeździć, w kapsle grać... ciekawe, czy on to jeszcze pamięta? Na plantach bawiliśmy się na

zjeżdżalni, zawsze mnie wciągał na górę, chudy był, ale silny smarkacz. Tak, w piwnicy raz chciał mnie pocałować.

Słowo piwnica wywołało we mnie przykre wspomnienia. Wahałam się chwilę czy opowiedzieć Agniesi o pani Irenie Kubelskiej, czy wywlekać tę tragiczną historię, skoro już sama powoli o tym zapomniałam. Kiedy jednak zagadnęła o Agatę, siostrę Jacka, musiałam jej opowiedzieć wszystko. Zdanie po zdaniu układała się smutna opowieść, której Agnieszka słuchała z otwartymi ustami.

– Jezu – powiedziała, kiedy zatrzymałam się w końcu – człowiekowi się wydaje, że dużo przeszedł, bo mu ząb na żywca wyrywali w podstawówce, ukochanego chomika w wersalce brat przytrzasnął, a tu taka tragedia! Trzyma się Jacek, nic po nim nie widać.

– Ano właśnie! Chłopak złoto, nie wiem, co bym bez niego zrobiła! Jakby się, nie daj Boże wyprowadził, to ciężko by mi było. – Wychwalałam Jacka, zerkając, czy wystarczające wrażenie robię. Nie słyszałam, żeby Agnieszka była kimś zajęta, wołałam się upewnić, zapytałam wprost, czy spotyka się z kimś?

– Babciu... nie ma fajnych chłopaków, wyginęli jak dinozaury. Umawiam się czasami, nawet się zapisałam do randkowania przez Internet, co samo w sobie jest trochę żalodne. Gamoń na gamoniu. Ani prezencji, ani poczucia humoru, o inteligencji to nawet nie wspomnę. Bardzo chętni do łóżka, to tak, do niczego innego już nie bardzo. Nie dalej jak tydzień temu umówiłam się, ściślej, koleżanka mnie umówiła, na randkę w ciemno, wie babcia, co to jest?

Przytaknęłam, znałam ten rodzaj randki z telewizyjnego programu.

– No właśnie. – Agnieszka opowiadała, dłubiąc widelczykiem w placku – Koleżanka zarekomendowała chłopaka, chwaliła, że z bogatej rodziny, ułożony, przystojny, po studiach, gotowy na poważny związek. Nie chciałam iść, ale myślę sobie, w końcu nie mam nic do stracenia. Poszłam. Miałam nadzieję na jakąś miłą kolację, ciekawą rozmowę, skończyło się na tym, że przesiedzieliśmy w kawiarni „Costa” ze dwie godziny przy czterech kawach, a rachunek kazał mi płacić na pół! Dzieśięć funtów na pół, wyobrażasz sobie? On mi był powinien zapłacić za

mój stracony czas, bo dwie bite godziny wysłuchiwałam, jaki jest zapracowany w tej swojej firmie, jak się pnie po szczeblach kariery, jak już prawie zebrał na depozyt, żeby dom kupić i jak bardzo nie lubi psów, bo go jeden uzał w dzieciństwie. Miałam ochotę go użreć pod koniec tej randki. Przy pożegnaniu beczelnie zapytał, czy się jeszcze zobaczymy?

Przeniosłyśmy się na balkon ze szklaneczkami soku rozmaconego wodą mineralną. Upał był niemiłosierny, w bloku gorzej jeszcze się oddychało niż na pustyni Gobi. Agnieszka nie spieszyła się nigdzie, obiecała, że zostanie u mnie na kolacji, pod warunkiem że sama nam coś pysznego upichci.

– Albo mój kolega z kursu, Bill – ciągnęła. – Babcia wie, że ja za chłopakami nie latam, ale chciałabym kogoś poznać, żeby mieć z kimś do kina wyjść, na kolację, coś w tym stylu. Dałam mu numer telefonu komórkowego, prosił, żebym mu pomogła przed egzaminami. Jeszcze do domu nie dojechałam, a już pik, pik, SMS.

Bill pisze tak: *Cześć Słodka Moja Laleczko, masz ochotę na....* no wie babcia, zaproponował mi miłość francuską, nazywając swoje przyrodzenie „Guliwerem”. Czy nie cham?

Byłam zbulwersowana, przyznaję, ale też musiałam się trochę pośmiać.

– Za moich czasów było nie do pomyślenia, żeby z taką propozycją wystąpić do dziewczyny. Nie oznacza to jednak, że miłości francuskiej się nie praktykowało – powiedziałam. – Teraz widzę, karty na stół się wyklada, ledwie się je potasowało.

Agnieszka nie była zawstydzona, zamyśliła się na moment. Miałam nadzieję, że nie pozwoliła sobie na wizję swojej babki uprawiającej miłość w jakiegokolwiek formie. Ja już nie umiałabym sobie przypomnieć, jak to było, kiedy się nago pod kołdrę wskakiwało. Waldemar miał wiele wspaniałych cech, pod niemalże każdym względem był mężczyzną idealnym, zazdrościły mi go wszystkie koleżanki, obce kobiety mijane na ulicy, ale tylko ja wiedziałam, że nie garnął się specjalnie do seksu. Nie wiedziałam, będąc młodą, niedoświadczoną dziewczyną, z jaką

częstotliwością małżonkowie powinni sobie składać dowód miłości w łóżku. Raz w tygodniu, raz w miesiącu, czy może raz w roku? Nie śmiałam długo nikogo zapytać, wstydziłam się. Obawiałam się, że mój mąż mnie nie kocha, skoro nie okazuje wielkiego zainteresowania w sypialni. Marna była wiedza przeciętnej kobiety na ten temat, nie było programów w telewizji, artykułów w kolorowym czasopiśmie, nie było Michała Wiśniewskiego i Dody, w książkach, nawet takich jak *Kochanek Lady Chatterley*, opisywane sceny miłosne wydawały się zupełnie nieprawdopodobne do powtórzenia albo przeżycia. Pozostawało poszeptać z bliską przyjaciółką, z wypiekami na twarzy powymieniać doświadczenia, omijając słowa takie jak – piersi, członek, stosunek, język i tym podobne „obrzydlstwa”. Jedyne z Wandzią, która, jak to mówią Angolicy – „nazywała łopatę, łopatą” – mogłam sobie pozwolić na rozmowy, powiedzmy, nieco intymne, jednak to było znacznie później, kiedy okrzeplam w małżeństwie, trochę wiedzy praktycznej nabrałam, obudziłam demony.

Z Polą nie umiałam otwarcie pomówić o moich wątpliwościach. Opuściłam Warszawę po ślubie z Waldemarem, choć odwiedzałam ją często, aż do jej wyjazdu z Polski w 1968 roku, nie umiałam zapytać, jak to naprawdę jest z tym pożyciem małżeńskim. Czułam niedosyt, nie tyle fizyczny, co emocjonalny. Czym bardziej się martwiłam, tym rzadsze były nasze chwile uniesień.

Dzisiejsze dziewczyny, oświecone, świadome, domagające się jasno przyjemności wpisanej w akt seksualny, bez znieczulenia odrzucały tych mężczyzn, jacy im pod tym względem nie odpowiadali, którzy nie spełniali ich oczekiwań. Za moich czasów nie było nawet określenia, że ktoś jest kiepski w łóżku. Pola wyraziła się raz w przyпіływie szczerości, bardzo tajemniczo o swoim pierwszym mężu kapitanie, mówiąc że: „Nie wszystko dobrze funkcjonowało w tym departamencie”. Ostatecznie nie pobięłam zwierzać się Poli z wątpliwości małżeńskich, nie chciałam odbrażawiać mojego Waldemara, do którego tyle kobiet wzdychało. Polę też urzekł, nawet tego nie ukrywała, rachunki zatem zostały wyrównane, przecież ja bezczelnie podkochiwałam się w jej mężu na samym początku mojej warszawskiej przygody. Nie obawiałam się, że Pola wywlecze

na światło dziennie moje sekrety, była nadzwyczaj dyskretną osobą, jednak powodował mną strach przed dowiedzeniem się czegoś, co mnie zmartwi, rzuci cień na mojego kochanego Waldemara. Na jego szczęście i moje, nie miałam wielkich potrzeb „w tym departamencie”, szybko uznałam, że tyle ile jest tego seksu, tyle musi wystarczyć.

Szykowałyśmy z Agnieszką kolację, kiedy znów rozległo się pukanie do drzwi. Wrócił Jacek. Zaczął przeproszać za najście, nie sądził, że jeszcze zastanie mojego gościa, chciał tylko oddać mi resztę z zakupów, bo z tego wszystkiego zapomniał wcześniej. Agnieszka zaprosiła go do stołu, razem zjedliśmy kolację. Kiedy sięgnęła po telefon z zamiarem zamówienia taksówki, Jacek poderwał się energicznie, szybko zaoferował, że ją odwiezie do domu rodziców. Błyszczały im oczy, miło było popatrzeć. Słyszałam wdzięczne śmiechy przy windzie, z balkonu obserwowałam, jak idą przez skwer, blisko siebie, sprężystym, młodzieńczym krokiem. Może Jacek po odwiezieniu Agnieszki dalej gdzieś pojechał w swoich sprawach, ale o północy jeszcze nie było jego samochodu na parkingu. Wstałam do toalety, wiedziona ciekawością wyszłam na balkon, sprawdzić, czy wrócił. Usiadłam chwilę w fotelu, powietrze było rześkie, odświeżało zmęczone upałem płuca, nikt mnie nie podglądał, cieszyłam się wspaniałością nocy. Miasto wciąż jeszcze nie spało, nasze osiedle, nieco już uspokojone, oddychało wolniej, robiło się coraz ciemniej, gasły światła, kończyły się ludzkie codzienne sprawy. Zamyśliłam się o sile przypadku, bo gdyby Jacek dziś nie przyszedł, nie spotkałby się z Agnieszką, ona tak rzadko tu bywała. Ile potrzeba, czy ktoś to wie, żeby linie życia dwóch osób przecięły się pod odpowiednim kątem? I kto tym steruje?



Od 8 marca, spotkania w hotelu robotniczym „Iskra” w Bielsku-Białej, nieprzerwanie czekałam na list od Waldemara. Listonosz naszej warszawskiej dzielnicy, przeciwieństwo wszystkich innych listonoszy, nie

lubił rozmawiać ani się zwierzać, nie komentował również rzeczywistości. Doręczał listy z obojętną miną, defiladowym krokiem przemierzał ulicę, w moje okna nie spojrzawszy ni razu. Zapytałam go nawet, czy aby nie zdarzyło mu się kiedy listu zgubić? Czy mu nigdy z torby nic nie wypadło? Wylczyłam sobie, że powinnam list dostać dwa tygodnie po naszym rozstaniu, czekać zaczęłam odpowiednio wcześniej. Dni mijały, listu nie było, czekanie zmieniło się w histeryczne czatowanie na listonosza. Udawałam chorą, żeby zostać w domu, kiedy miał według moich obliczeń przyjść upragniony list.

Przeszkadzał mi w oczekiwaniu na wiadomość od Waldemara Kajetan Grudka. Rozmówiłam się z nim uczciwie zaraz po powrocie z Bielska-Białej, nie zostawiłam uchylonej furtki, krzty nadziei, widocznie on sprawy nie mógł tak szybko zamknąć, jak się spodziewałam. Przychodził pod moje okna, stał oparty o słup, palił papierosy i patrzył w drzwi wejściowe budynku. Godzinami. Wychodziłam do pracy, pozdrawiałam go skinieniem głowy, kiedy wracałam, udawałam, że go nie widzę. Zastanawiałam się, jaki on może mieć plan, co tym upartym i upiornym stanem pod słupem ma zamiar osiągnąć? Wymusić na mnie odmianę stanu umysłu i serca? Wzbudzić litość? Poczucie winy? Wszystko to już przeżywałam tak czy tak, mógł mnie już przestać dręczyć, ale nie przestawał.

Nie poszłam tego dnia do pracy, tym razem naprawdę niedomagając. Moja bolesna miesiączka zatrzymała mnie w domu z termoforem na brzuchu. Zdarzało mi się to nader często, co Adela łaskawa była skwitować: „Jak na wiejską dziewczuchę, to strasznie delikatna jesteś Tośka”. Nic sobie nie robiłam z jej złośliwości, bóle miałam tak silne, że ze dwa razy straciłam przytomność. Tego dnia snułam się po mieszkaniu, polegiwałam na kanapie, podjadałam czekoladę, czytałam książkę Stendhala, raz po raz podchodziłam do okna, sprawdzić, czy Kajetan trzyma pod słupem wartę honorową. Stał jak zwykle oparty, rozglądał się, wypatrując mojej sylwetki na horyzoncie, bowiem zbliżała się godzina mojego powrotu z pracy.

Przyszedł moment, kiedy się lepiej poczułam, postanowiłam wbrew rozsądkowi zawołać go na górę, poczęstować herbatą, jeszcze raz spokojnie

z nim porozmawiać, gdyż jego niemy protest trwał już nieco za długo.

Odsłoniłam firankę i otworzyłam okno. Zanim zdążyłam się wychylić, aby na niego skinąć, na moich oczach podeszło do Kajetana dwóch panów w długich płaszczach, wzięli go pod ramiona, po czym gwałtownie wepchnęli do samochodu zaparkowanego tuż obok. Obserwowałam tę dziwną scenę z okna, nie dowierzając, że dzieje się to naprawdę. W mieszkaniu była tylko Adela, wtajemniczona w moje sprawy, znająca Kajetana i to do niej pobiegłam z krzykiem, kiedy go zabrali. W biały dzień piątkowego popołudnia, w centrum miasta uprowadzono młodzieńca spod mojego okna! Adela mokrą ścierką przetrzała parapet, wyrzła na ulicę, wycofała się szybko z lekkim sapnięciem. Jej wzruszenie ramionami ugodziło mnie najbardziej.

– Zabrali go! Przysięgam, jeszcze przed chwilą stał przy słupie, po drugiej stronie ulicy – krzyczałam zrozpaczona. – Jezu słodki, Kajetana zabrali, Adela, trzeba coś zrobić!

– Gapił się na dom pana Andrzeja, to i zabrali – powiedziała ze spokojem w głosie, nie przerywając wycierania pozostałych parapetów. Tej kobiety nie sposób było zadziwić, zaskoczyć, zaszokować, to była figura odkuta w marmurze.

– Ale jak to? Co on im zrobił? – piszczalam, szarpiąc firankę. Nie chciałam odejść od okna w nadziei, że zaraz czarny samochód odtransportuje go na miejsce. Adela wzięła mnie mocno za łokieć, odciągnęła od okna, zamknęła je z hukiem. Wygładziła firankę.

– Właśnie, żeby głupot nie robił, zabrali go, wytłumaczą mu – mówiła, jakby się znała na rzeczy i metody безпеki rozumiała w swoim geniuszu.

– Ale to przeze mnie! Przeze mnie! – Pierwsze łzy bezsilności pojawiły się na mojej twarzy. – Trzeba coś zrobić! Adela, leć po Andrzeja! Nie, ja polecę...

Adela pochłonięta sprzątaniami, ledwie uraczyła moją rozpacz uwagą.

– Niech się nie gorączkuje, nic mu nie zrobią. Postraszą tylko. Więcej tu nie przyjdzie. Panu głowę zawracać? Też mi pomysł – powiedziała i zamknęła się w kuchni.

Chciałam, żeby Kajetan dał mi spokój, ale nie życzyłam sobie, aby nasze sprawy osobiste załatwiali jacyś podejrzani panowie w prochowcach. W końcu nie przeszkadzał nikomu, prawa nie łamał, stał sobie tylko spokojnie, obserwował wejście, za to tylko go aresztowali? Biegałam po mieszkaniu, zahaczałam o meble, wściekałam się, jednak do wieczora nic nowego się nie wydarzyło. Kiedy Andrzej z Polą wrócili do domu, rzuciłam się do przedpokoju, przypięłam Andrzejowi do klap marynarki swoje ręce, zaczęłam nim tarmosić, zaklinać go na wszystkie świętości, żeby mi zaraz Kajetana odszukał, podzwonił gdzie trzeba, spowodował jego uwolnienie. Już, natychmiast, jeszcze tej nocy! Kajetan to redaktor, nie może siedzieć w celi z pospolitymi opryszkami, panienkami lekkich obyczajów, kieszonkowcami i pijakami! Pola uspokajała mnie przez kilka minut, nawet nie zauważyłam, kiedy Andrzej zniknął w swoim pokoju. Nie wiem, dlaczego tak mną wstrząsnęło to aresztowanie Kajetana, być może przeraził mnie fakt, że jest to takie łatwe, że możesz iść ulicą, a ktoś znienaacka wciągnie cię do auta i wywiezie nie wiadomo dokąd? Nie wiedziałam, że takie rzeczy się działy w Warszawie w latach pięćdziesiątych, dopiero przypadek Kajetana uświadomił mi, że nie żyjemy w państwie prawa czy swobód obywatelskich.

Czekałyśmy na wiadomości, które gdzieś po godzinie przekazał nam Andrzej. Pola trzymała moją rękę, a on mówił znużonym, matowym głosem. Oczywiście było, że los Kajetana nie obchodzi go w najmniejszym nawet stopniu.

– Rewizja była u niego w mieszkaniu – zaczął, patrząc na mnie dziwnie, jak na współwinną. – Znaleźli kompromitujące materiały, pisma z Anglii, ulotki. On działa w organizacji Polski Orzeł, wrogiej antyrządzieckiej organizacji. Może nawet jest jej współzałożycielem. Nie będzie dziś zwolniony z aresztu. Nic nie mogę w tej sprawie zrobić.

Podskoczyłam na krześle.

– Jaki Polski Orzeł?! To nieprawda! Przecież Kajetan wiersze pisał, do gazety artykuły, on się do polityki nie mieszał. On ma lewicowe poglądy, tak jak ty, to wasz człowiek, nie mógłby jakiejś wrogiej

organizacji zakładać – zapewniałam gorączkowo.

– Tosiu, wyjaśni się... – Pola pocieszała mnie zmartwiona.

Wszechmogący Andrzej musiał ująć się za tym nieszczęsnym, zakonchany młodzieńcem, tego od niego oczekiwałam, niechby się raz to jego wysokie stanowisko do czegoś przydało!

– Andrzej, ja błagam...

– Głoszą antyradzieckie hasła, nawołują do bojkotu naszego państwa, nie uznają postanowień z Jałty. To są niebezpieczni ludzie i mają wsparcie Zachodu. Czy ty to rozumiesz? Widzę, że nie. – Andrzej ciągnął teraz już podenerwowanym tonem, patrząc mi prosto w oczy. Przeszywał mnie ten jego wzrok na wylot, jego oczy nie były już migdałowe, ale czarne, diabelskie.

– Wszystko się wyjaśni. – Pola podniosła się z miejsca – Chodźmy spać, za dnia sprawy zawsze wyglądają lepiej.

– Dobry pomysł. – Andrzej pocałował żonę w czoło.

Adela, obecna przy rozmowie, jak na komendę również zerwała się z krzesła. Rozmowa była skończona. Kiedy w końcu położyłam się do łóżka w naszym wspólnym pokoju, niby do siebie, niby do mnie powiedziała:

– Za darmo ludzi nie biorą, już on tam ma swoje za uszami...

Nie przepadałam za nią, ale teraz poczułam w sobie wielką niechęć do tej prostej kobiety, byłabym jej może co naprawdę przykrego powiedziała, jednak bałam się. Szczerze oddana swoim pracodawcom, lojalna aż do przesady, całkiem nieludzka w tej swojej postawie wzorowej służącej, stanowiła zagrożenie. Służyła Andrzejowi i Poli, a także wszystkiemu temu, co oni wyznawali. Wystarczyło jej, skoro pan Andrzej powiedział, iż istnieje podejrzenie, że Kajetan jest zdrajcą Ludowej Ojczyzny, a ona już go za zdrajcę uznała. Bez procesu i bez dowodów.

Kilka dni później wróciłam do tematu, korzystając z okazji, że byliśmy w mieszkaniu sami. Andrzej nie chciał ze mną rozmawiać, zamknął się w łazience, przemknął do sypialni, korzystając z mojej nieuwagi. Stałam pod drzwiami, pukałam, napierałam, znów się rozplakałam. W

końcu stracił cierpliwość, wyszedł do mnie, podniesionym głosem zażądał, żebym przestała interesować się tą sprawą.

– Skończ już z tą histerią! Nie możemy robić wyjątków dla byłych narzeczonych kuzynek naszych żon! Jak by wyglądał ten kraj? Każdy kogoś zna, za kogoś chce nagle poręczyć, gdybyśmy się ugięli, nie udaloby się nikogo ukarać – grzmiał, powodując wielki napływ łez do moich niewyspanych oczu. – Ja mam nadzieję, że ty to w końcu zrozumiesz! Toczy się sprawa, okazało się, że jest w tym wszystkim drugie dno.

– Ale on jest niewinny! Ja to wiem, nie był w żadnej organizacji, to jest pomyłka. – Smarkałam głośno w chusteczkę.

Stałam przed nim niczym oskarżona. Była to nasza kolejna rozmowa na ten temat, nie mogłam przestać zadręczać siebie i pozostałych domowników, wykorzystywałam każdą sposobność, żeby Andrzejowi przypomnieć, że niewinny człowiek w więzieniu czeka, nie wiadomo nawet na co. Matka Kajetana przyjechała do Warszawy, odnalazła mnie, zaczała się, a kiedy wyszłam z bramy, podeszła i splunęła mi pod nogi. Wcześniej czekała na mnie przy słupie, tym samym, co jej syn. Powiedziała o tym Andrzejowi, ostatni raz błagając go, żeby uwolnił mojego byłego narzeczonego.

– Przecież ja go nie trzymam! Co to za bzdury! Ty nie masz z tym nic wspólnego, powiedz to jego matce.

– Próbowałam, ale nie chcę mnie znać. Ona teraz mieszka w Warszawie, u kuzynki, ma widzenia z synem raz w tygodniu, tyle się dowiedziałam – zaskomlałam.

– Ma widzenia, pomogłem w tym – powiedział. – Nic więcej nie mogę dla niego zrobić, już zaczęły się nieprzyjemne komentarze. Nie mogę narażać ani siebie, ani ciebie, w końcu byłaś jego narzeczoną.

– To niech mnie aresztują! – krzyknęłam i ze szlochem pobiegłam do kuchni. Trzęsły mi się nogi, ręce, głowa na cienkiej szyi pod wpływem wielkiego rozczarowania Andrzejem. Przy okazji aresztowania Kajetana doszłam do wniosku, że nadużyłam jego gościnności i powinam się jak najprędzej wyprowadzić, byle gdzie, ale wynieść się z dala

od niego. Nie od nich, ale od niego. Tak się składało, że Poli nigdy nie było przy naszych ostatnich rozmowach o Kajetanie. Nie zajęła stanowiska, choć czułam, że jest po mojej stronie, jednak nie leżało w jej naturze występowanie przeciwko mężowi. Zrobiła jednak jedną bardzo ważną rzecz. W tajemnicy przed Andrzejem spotkała się z matką Kajetana, rozmówiła na temat aresztowania syna. Jej nie zatrzasnęli drzwi przed nosem, wpuścili do środka, ugościli herbatą, spokojnie wysłuchali. Pola wiedziała doskonale, iż jedyną moją winą w całym tym zajściu było to, że zerwałam zaręczyny, tylko przypadek zdecydował, że został on aresztowany pod moim oknem. Ja bym im to samo powiedziała, gdyby mi dali szansę, niestety ze mną nie chcieli rozmawiać. Wdzięczna byłam ciotce za podjęcie się tak niewdzięcznej misji. Rodzina Kajetana z jego matką na czele przyjęła do wiadomości tłumaczenie Poli, nie udzielając mi tym samym rozgrzeszenia. Dla nich pozostałam złą dziewczyną, która nie dość, że złamała serce ich synowi, to jeszcze przyłożyła się do jego aresztowania. Osobiście bardzo wątpiłam w jakkolwiek winę Kajetana, choć w tamtych czasach tak trudno było przejrzeć ludzi oraz ich tajemnice. Mało było wzajemnego zaufania, ludzie nieustannie podejrzewali się, donosili, wyznawali innych bogów w tajemnicy i nienawiści.

Kajetana zwolniono po kilku miesiącach, dowiadywałam się o niego, jeździłam do mieszkania jego ciotki, znosiłam z pokorą zatraskiwane przed nosem drzwi, aż w końcu starsza pani zlitowała się nade mną i poinformowała cierpko o wywiezieniu Kajetana na drugi koniec Polski. Jego matka zastrzegła, żeby nigdy nie wyjawić mi ich nowego adresu. Taka była moja kara, nie mogłam spojrzeć mu w twarz, opowiedzieć, iż nie odegrałam w jego aresztowaniu żadnej roli, musiałam żyć z tym przeświadczeniem, że jestem znieprawioną postacią, której nikt z rodziny Grudków dobrze nie życzy.

Tak mnie te wydarzenia kwietniowe przybiły, że nie widziałam innej możliwości, jak tylko wyprowadzić się od Andrzeja i Poli. Nie mogłam już zasiadać z nim do stołu, prasować mu koszul, pić francuskiego wina,

słuchać dowcipów czy spacerować w niedzielne popołudnia. Znalazłam pokój w domku blisko fabryki, na Żeraniu, brzydki, zawilgocony, ale z osobnym wejściem.

Wtedy niespodziewanie w Warszawie zjawił się Waldemar Pogorzelski i poprosił mnie o rękę, więc zupełnie nie była mi w głowie przeprowadzka.

ROZDZIAŁ XI

Agnieszka z matką wyleciały na wakacje w poniedziałek, we wtorek Artur pojechał do Norymbergi spotkać się z producentami kredek do oczu. Jego firma poszerzała ofertę, teraz oprócz kremów i balsamów, postanowili sprzedawać kredki do oczu, szminki, cienie, lakiery do paznokci i inne cudeńka, na które kobiety pod każdą szerokością geograficzną wydawały fortunę. Mieliliśmy po jego powrocie spędzić ze sobą cały dzień. Zdziwiła mnie ta nieoczekiwana obietnica, Artur uprzedził, że zostanie u mnie na noc, a wtedy to już całkiem się przeraziłam. Nigdy nie zostawał na noc, jechał dwadzieścia kilometrów na swoją sielską i anielską wieś, obojętnie, o której porze ode mnie wychodził. Raz tylko zostawił pod blokiem samochód, wezwał taksówkę, było to wtedy, kiedy wydarzenia związane z jego synem Emilem zagnały go na skraj rodzicielskiej rozpaczy.

Poprosiłam Jacka o zrobienie większych zakupów, chciałam synowi przyrządzić kaczkę na słodko, upiec ciasto, spoić orzechówką, żeby zobaczył, jak wielką przyjemność mi sprawił odwiedzinami. Jacek, mimo iż miał milion swoich własnych spraw na głowie, pojechał na rynek, kupił kaczkę, czerwoną kapustę, młode ziemniaczki, proszek do pieczenia oraz niegustowne kwieciste papierowe serwetki. Przytargał wszystko na moje czwarte piętro za jednym zamachem. Nie zatrzymał się długo, gonił do własnych obowiązków, przed wyjściem jeszcze sobie przycupnął na taborecie w kuchni dla złapania oddechu.

– Zanim się ulotnię – powiedział – chciałem z panią uzgodnić mój wyjazd na wakacje. Miałem nadzieję zabrać Agatę ze sobą, ale lekarz stwierdził, że to za wcześnie. Mam zamiar wykupić wycieczkę do Socji. Uwierz pani, że ja nigdy za granicą nie byłem? Jakby pani pozwoliła, tobym we wrześnieu, tak w połowie, poleciał.

Tak mnie ten Jacek umiał rozczulić! On przyszedł uzgadniać ze mną termin wakacji! Niesłychane. Czuję się za niego odpowiedzialny, ot co. Kazałam mu jechać, pochwaliłam wybór, Pola była w Soczi, przywiozła piękne wspomnienia.

– No, ale jak pani beze mnie da radę? – Wlepił we mnie te swoje brązowe oczyska, przygryzając wargę w zdenerwowaniu.

– Jacek, na litość boską... przecież ja mam córkę i syna. Raz w tygodniu do mnie zajrzą. Jedź, odpoczywaj, nie przejmuj się moimi zakupami – zapewniłam go, uspokojonego wypchnęłam za drzwi, żeby już dłużej nie marudził. Jednak po jego wyjściu zrobiło mi się trochę smutno. Wiedziałam, że będę za nim tęsknić. Kiedy jego życie toczyło się w pobliżu mojej roślinności, czułam się pewniej. Promyczki radości pobłyskiwały w kuchni, na balkonie, szły ze mną spać, ponieważ Jacek był blisko. Wizja jego krótkiej nieobecności napawała mnie lękiem, tak byłam od niego uzależniona, że kwalifikowałam się na jakąś nowoczesną terapię odwykową.

Przeznaczyłam cały dzień na przygotowanie biesiady dla mojego syna. Powolutku, jak na staruszkę przystało, kręciłam się po kuchni, modliłam do piekarnika, dosalałam, dosładzałam, przecierałam zastawę, przysłuchując się ciekawym rozmowom w telewizji na temat globalnego kryzysu, bankructwa Grecji i suszy w Afryce. Nie do pojęcia był ten nasz świat. Każdego dnia umierały z głodu, a teraz z odwodnienia, setki ludzi, matki porzucały małe dzieci przy drodze, uciekając do Kenii, aby ratować pozostałe. Świat patrzył, kłopotał się. Bogaci Europejczycy, którzy zarabiali odrobinę mniej w ostatnich latach, burzyli się, nie spieszyli z pomocą Afrykańczykom, wychodząc z założenia, że już dość z ich podatków poszło na ratowanie ludzi żyjących w nędzy. Teraz chcieli myśleć wyłącznie o sobie, spletać wielkich kredytów hipotecznych, jakie nabrali na wyrost, nie biorąc pod uwagę, że pewnego brzydkiego dnia mogą stracić pracę, zatonać w długach. Co innego jednak zrezygnować z wakacji czy wina do obiadu, a co innego paść na suchej drodze z głodu i wycieńczenia. W tym samym czasie młodzi mężczyźni różnych narodowości

dostawali po 100 tysięcy funtów, euro czy dolarów tygodniowo, za kopanie piłki! Nie słyszało się, żeby dzielili się z ubogimi swoim majątkiem. Prezenterzy telewizyjni, nawet w naszym biednym kraju, dostawali miliony za pajacowanie przed kamerami i też wszystko konsumowali sami, na oczach narodu wożąc tyłki po Warszawie luksusowymi samochodami. Aż mi się gorzej gotowało, słuchając gadających głów z telewizora. Ja nigdy nie odmówiłam biednym pomocy, choć może za mało rozdawałam z majątku Poli w obawie, że zbyt szybko go roztrwonię? Za to mój syn, nauczony od dziecka hojności, nie szczędził grosza na zbożne cele, wyciągając z biedy i beznadziei całe rodziny ze wsi, z której pochodziłam. Czerpałam z tego pocieszenie, a także rozgrzeszenie.

Przyjechał późnym popołudniem. Zadarł głowę, dostrzegł mnie na balkonie, pomachał, przewiesił torbę przez ramię, sprężystym krokiem wszedł do klatki. Otworzyłam drzwi do mieszkania i czekałam na niego. Nigdy nie wjeżdżał windą, wspinał się po schodach skocznymi susami, czasami coś pomrukiwał czy podśpiewywał. Słyszałam z dołu nuconą melodię: *Może w maju, może w grudniu, zresztą, kto to wie? Może jutro po południu, dzisiaj raczej nie.* Wywnioskowałam, że jest w świetnym nastroju. Mieliśmy do pogadania, zapowiadał się przyjemny czas dla nas dwojga.

– No cześć mamó! Jestem! – Objął mnie i pocałował w czoło. Nie brzydził się starej matki, czułam to.

– Chodź, kaczusia już gotowa.

– Kaczkę upiekłaś? Chciało ci się? Fantastycznie!

Zanim zasiedliśmy do stołu, poszedł się wykapać, pomarudził chwilę w gościnnej sypialni, do kogoś podzwonił, dopiero po półgodzinie wyszedł do mnie, świeży, pachnący, ubrany... w dres! Widywałam swojego syna wyłącznie w marynarkach, eleganckich spodniach, garniturach od znanych światowych projektantów, nawet w smokingu, ale nigdy w dresie. Kompletnie zaskoczona jego młodzieńczym, sportowym wyglądem, usiadłam z wrażenia. Miał pięćdziesiąt sześć lat, a wyglądał o dziesięć młodszej. Farbował włosy bardzo umiejętnie, wyglądały na naturalne.

Bogusław Kaczyński mógłby chodzić do tego samego salonu fryzjerskiego, co mój syn, wyglądałby znacznie lepiej.

– Jak ty w dresie, to ja też! – powiedział, stawiając na stole dwie butelki wina z winnic Nowej Zelandii. Miałam na sobie dres niebiesciutki jak majowe niebo w Toskanii, mały, zgrabny surfer przemykał na lewym ramieniu; Dres Artura był szary, bez napisów czy szlaczków, bez ozdób i wyglądał na drogi.

– Wino rewelacja, Olo mi przysłał. Musi mama lyknać.

– Bardzo chętnie, polewaj. – Przyniosłam kieliszki, postawiłam dwa puchary obok głębokich talerzy. Nie były to byle jakie kieliszki, a kryształowe, nie ze rżniętego kryształu, tylko proste, wydmuchane specjalnie dla mojego syna w hucie szkła. Sprezentował mi je z egoistycznych pobudek, jak sam przyznał, aby podczas wizyt u mnie mógł delektować się dobrym winem z eleganckiego kieliszka. Ja również wolałam jeść z porcelany i pić z kryształów, Pola mnie do tego przekonała. Miała rację, wszystko lepiej smakowało ładnie podane, wino wymagało specjalnych względów. Najwspanialsze Sancerre smakowałyby całkiem byle jak, gdyby je podać w musztardówce lub szklance do herbaty! Miłości do wytrawnego białego, francuskiego wina Sancerre również nauczyła mnie Pola. Kiedy pojechałam do niej do Anglii, spijałyśmy butelkę za butelką, potem jeszcze kilka razy podała przez jakiś znajomych parę buteleczek trunku, ze szczepów winogron hodowanych nad Loarą. Pielęgnowałam wiele jej zasad, przekazałam je moim dzieciom, a one podały dalej. Artur rozkochał się w winie na własną rękę, nie musiałam go zachęcać.

Jedliśmy spokojnie, bez pośpiechu, między kęsami i lykami Merlota wypytywałam o pracę, dom, o podróż jego kobiet na Galapagos.

– Doleciały szczęśliwie, ruszyły z grupą, zachwalają towarzystwo, Agnieszka zachwycona, Oktawia mniej, narzeka na zakwaterowanie – opowiadał. – Dobrze jej tak, mówiłem, że to nie dla niej, uparła się tę książkę pisać, jakby nie dość było podróźniczych wypocin naszych celebrytów. Dzisiaj wszyscy książki piszą, dobrze powiedziała Dorotka Wellman, pieprzą o niczym!

- Ja Dorotkę bardzo szanuję... – wyraziłam swoją opinię.
- Bardzo przyjemna osoba, poznałem ją rok temu. – Artur delectował się obiadem.

Czerpałam sporo przyjemności, obserwując zakamuflowane znaki, po których mogłam ocenić, czy smakuje mu bardzo, czy tylko konsumuje, bo jest głodny. Po kilku kęsach wywnioskowałam, że daje mojej kaczkę pięć gwiazdek.

– W każdym razie, prawie miesiąc ich nie będzie. – Wytarł usta serwetką.

– Agnieszka na pewno nakręci cudowny film! – westchnęłam. – Może jeszcze zdążę go obejrzeć...

– No co mama... Sprzęt wzięła, to pewnie nakręci.

Wypiłam spory kieliszek wina, w głowie mi natychmiast zaszumiało, poszłam więc zrobić trunek zastępczy, czyli herbatę. Artur otworzył drugą butelkę, nie chciał na razie kosztować deseru, mojego placka z wiśniami, który tak uwielbiał, jak był dzieckiem.

– Może za chwileczkę mam, teraz mam ochotę na wino. Dawno nie piłem tak dobrego. Mój kolega Olo, wiesz który, ma winnicę w Nowej Zelandii, podsyła mi czasami parę butelek swojego wyrobu. Chyba do niego polecę w przyszłym roku. Od dziesięciu lat nie byłem na prawdziwym urlopie, tylko te interesy, biznesy, mamona, jak mnie to męczy... A Olo sobie żyje jak król. Coraz lepsze wina robi, coraz młodsze dziewczyny kocha, samochody z Włoch sprowadza, oddycha pełną piersią, a ja? Nawet w dresie dziwnie wyglądam. Nie uważasz?

Kiedy to powiedział, zamknął na chwilę oczy i znów na jego twarz wróciło pięćdziesiąt sześć przeżytych lat. Jakie to dziwne, że wyraz twarzy, śmiejące się oczy, drgające mięśnie mogą ujść lat. Kiedy twarz zastyga w jakimś zamyśleniu lub zatrwożeniu, lat natychmiast przybywa. Artur był zmęczony, po obfitym obiedzie, butelce wina, którą skonsurował w przeciągu czterdziestu minut, powietrze z niego uszło, zasępił się, zmarniał, posmutniał. Było chłodno, padał deszcz, nie mogliśmy wyjść na balkon, zresztą takiej przyjemności bym Gierkowej nie zrobiła, żeby zaprezentować jej mojego syna w dresie.

– A z Zuzią widziałeś się ostatnio? Pojechali na Mazury, czy nie? – zagadnęłam.

– Nawet nie wiem, ona mi o sobie nie opowiada. Po tej aferze z Liłianą odsunęła się od nas. Lila do mnie dzwoniła, podziękować.

– Za co podziękować? Że byliście na ślubie? – dopytywałam.

– Nie. Nie o ślub chodziło. Tak się składa, że w tym miesiącu nabyłem trzy nieruchomości. Kupiłem dom pod Londynem dla Agnieszki, a także mieszkanie w Katowicach, gdzie zamieszka Lila. Dla siebie apartament w mieście, z widokiem na rzekę.

Przetrawiałam kaczkę i informacje o zakupach. Obie czynności szły mi bardzo wolno, choć nie miało to związku z moim zaawansowanym wiekiem. Artur powiedział o tym takim tonem, jakby kupił nową parę butów, może jeszcze płaszcz na zimę, nic poza tym. Spojrzałam na niego tym swoim świdrującym matczynym wzrokiem, przed którym nie było ucieczki.

– Bank obrabowałeś?

Nie zaprzeczył, było to nedorzeczne pytanie. Niby miałam czas przyzwyczaić się do jego zamożności, ale kiedy wydawał pieniądze na wielką skalę, zaczynałam się bać, że mu ich nie starczy i na stare lata będzie biedny.

– Agnieszka nic o tym domu nie wie, ona jest pod tym względem przewrażliwiona, grosza nie chce ode mnie, zawsze sceny są, jak jej coś usiłuję sprezentować. Skończyła szkołę, zaczyna pracę, nie chcę, żeby mieszkała w tym wynajętym studio, gdzie dotychczas, to jest melina!

– A jaki ten dom kupiłeś?

– Trzy sypialnie, salon z jadalnią, dwie łazienki, garaż, mały, ale dobrze zagospodarowany ogródek, nowe budownictwo, nic się nie będzie zaraz psuło. Taką niespodziankę jej zrobiłem, tylko muszę to sprytnie jej sprezentować, choć nie bardzo wiem, jak to przeprowadzić, żeby jej nie urazić.

– Fakt, Agnieszka bardzo honorowa jest, może się pogniewać na ojca – odparłam.

Zastanowiło mnie jednak co innego. W każdym zdaniu Artur używał liczby pojedynczej. Kupiłem, zrobiłem, ja, ode mnie. Zaczęłam kalkulować, choć z natury nie jestem podejrzliwa, czy to tylko taka maniera, czy zawsze tak mówił, a ja po prostu nie zwróciłam na to uwagi wcześniej, czy może jest jakaś inna przyczyna? Ciągnęłam rozmowę, obserwując go uważnie.

– Dobrze masz dziecko, jak cię stać, to kupuj! Może będzie protestować, ale przecież nie odmówi?

– Mam nadzieję. Szkoda jednak, że zrezygnowała z prawa i chce być kuratorem. Wiesz, kurator w Anglii to nie jest szanowany zawód, niespecjalnie w każdym razie. Miałem nadzieję, że będzie prawnikiem – powiedział, dolewając nam do kieliszków. Mnie kropelkę, sobie sporą miarkę. – Taką miałem wizję, że przyjmą ją do palestry, będzie świecić triumfy na salach sądów koronnych Londynu! Nie jakiś tam *solicitor* ale *barrister*! Albo lepiej *Queen's Counsel*!

Nie miałam rozeznania w hierarchii prawniczej Anglii, pokiwałam głową z uznaniem.

– My też z twoim ojcem chcieliśmy, żebyś po studiach karierę naukową robił, tymczasem tobie się zamarzyło kosmetyki produkować, i proszę! Taki sukces! – przypomniałam mu. – Nigdy nie wiadomo, co jest u kresu drogi, którą się obiera? Na rozstaju dróg, końca ścieżki nie widać, trzeba przez nią przejść, żeby się przekonać albo przynajmniej ująć połowę.

– Wiem, niby to wszystko wiem – Artur rozparł się na krześle – jednak wolałbym, żeby była adwokatką, choć nie jestem snobem, jak wiesz... Wydaje się podekscytowana perspektywą pracy z trudnymi ludźmi, opowiada o tym z wypiekami na twarzy, może faktycznie będzie robić to, co lubi? Każdy by tak chciał.

– A mieszkanie w Katowicach? – zapytałam, powodowana ciekawością.

– Niech tylko mama przed Zuzanną się nie wygada, bo będzie afera. Kupiłem mieszkanie na siebie, jednak zamieszka w nim Lila, z czasem jej te cztery kąty sprezentuję, jak już sobie ułoży trochę życie, z którymś z tych młodzieńców z Nigerii. Kiedy do mnie zadzwoniła, po ludzku

porozmawiać, podjąłem szybką decyzję, załatwiłem temat w tydzień. Ona na swoich rodziców nie może liczyć, nawet nie dlatego, że nie mają pieniędzy, ale dlatego, że są tacy nieprzystępni, niedzisiejsi, czy ja wiem, zamrożeni. Zuza ma swój kodeks moralno-etyczny, kto się do niego nie stosuje, skazany zostaje na potępienie. Według mnie, potraktowali ją skandalicznie. Karol wiadomo, nie ma nic do powiedzenia, tylko pielgrzymki i pielgrzymki, ale Zuzę uważałem za rozsądniejszą. Powiem ci mamo, żal mi Lilianny, to jest bardzo dobra dziewczyna, tylko się zagubiła, może popełniła błąd, ale kto nie popełnia? A zresztą, o czym ja mówię? Jaki błąd? Zakochała się, chciała wyjść za mąż, zaszła w ciążę, to przecież nie przestępstwo. Oni tak się zachowują, jakby przeszła na islam – zakończył dramatycznie, sięgając po butelkę. Nie chciałem, żeby pił takim tempem, a nie umiałam go skarcić.

Zasmuciły mnie te słowa, prawda w nich zawarta mnie zasmuciła. Ja się setki razy zastanawiałam, jak można być gorliwym, praktykującym katolikiem, a tym samym takim nieczułym człowiekiem? Jeszcze w styczniu Zuzanna sprawiła mi tyle przykrości, kiedy nakrzyzczała na mnie, że na Orkiestrę pana Owsiaaka posyłam pieniądze. Nakazała mi surowo, żebym na Caritas dawała, nie na tego, jak się wyraziła, goniącego za popularnością oszusta medialnego. Tak żeśmy się wtedy pokłócili, jeszcze bardziej niż po katastrofie samolotu prezydenckiego pod Smoleńskiem. Wtedy Karol do mnie przybiegł i obwieścił cały w hysterii, że Ruskie zabili nam prezydenta, a Zuzanna po nim poprawiła. Nawet Arturowi o tej awanturze nie wspominałam, bo chyba by się po mojemu z Zuzanną rozliczył. Jedno było pewne, dopóki życia, na Orkiestrę będę posyłać pieniądze, nawet największy atak złości mojej córki mi w tym nie przeszkodzi. Tak jej wtedy obwieściłam.

Nie o Zuzannie jednak mieliśmy rozmawiać, Artur na pewno nie przyszedł na kolację połączoną ze śniadaniem, aby pożalić się na swoją siostrę. Nie miałam jednak zamiaru napierać, pytać wprost, z czym przychodzi? Przy winie zawsze stawał się bardzo rozmowny, wręcz wylewny, wstępował w inną skórę, przekraczał niewidzialny brzeg, za każdym razem mnie to dziwiło. Jacek przypomniał mi, że alkohol już dawno, nie

bez przyczyny, nazwano „wodą rozmowną”, pewnie miał rację. Artur przez chwilę jeszcze trzymał się innego tematu

– Maxwell okazał się bigamistą. Ale zgadzam się, na pewno jej nie przyszło do głowy, żeby sprawdzać, czy jest już żonaty, takich rzeczy się po prostu nie praktykuje.

– A pewnie. Nie ma tu żadnej winy Lilianny! – przytaknęłam gorliwie.

– W każdym razie Lila bardzo się ucieszyła z tego mieszkania. Uspokoiłem ją, niedługo będzie rodzić, musi mieć jakiś solidny dach nad głową. Tylko mi, mamó, jest szalenie niezręcznie, jakbym coś knuł za plecami siostry, a przecież tak nie jest! W tej chwili w Zuzanną nie da się normalnie rozmawiać, może jak się przewali to zgorszenie, jakie ich zatyka, może wtedy...

– Nic Zuzi nie będę mówić o tym mieszkaniu, znasz mnie – zapewniłam go. – Ale ty mi lepiej powiedz, dlaczego sobie apartament w mieście kupiłeś? Dom sprzedajecie, czy co? Ile ten wasz dom i ogrody są warte? Założę się, że fortunę?

Gładko przeszłam do rzeczy, bo mnie jednak zastanowił ten zakup mieszkania. Artur odsunął talerz na skraj stołu, sięgnął po wykałaczkę.

– Trzy miliony – powiedział bez satysfakcji w głosie.

Kiedy przed laty zaczęli budować dom, ich działka miała zaledwie dwadzieścia arów, z czasem Artur dokupował tereny z sąsiedztwa, teraz mieli posiadłość w środku jednohektarowego gospodarstwa, otoczoną od frontu białym murem, obiekt zazdrości całej okolicy. Zazdrość ludziom wychodziła najlepiej, ani się jej nie musieli uczyć, ani mieć specjalnego talentu, żeby ją przyswoić. Nie byli lubiani tylko dlatego, że dobrze im się powodziło.

– Trzy miliony, to wielkie pieniądze – westchnęłam.

– Wielkie? To zależy – uśmiechnął się. – Dla ciebie emerytki wielkie, dla innych średnie, dla bogaczy to drobne w kieszeni.

Artur zawsze miał bardzo luźny stosunek do pieniędzy. Zarabiał, wydawał, inwestował, rozdawał, ale w dyskretnej ciszy, wyznając dewizę,

że dobry interes wymaga spokoju. Drażnili go ludzie bez przerwy gadający o pieniądzach, wielkich biznesach, a tego typu nowobogackich biznesmenów był prawdziwy wysyp po otwarciu się Polski na wolny rynek. Wszyscy brali się do interesów, oczywiście z wyjątkiem Zuzy i Karola, bardziej lub mniej legalne rosły fortuny, pomnażały się majątki, mój syn nie pozostawał w tyle. Cieszyłam się, że coś produkował raczej, niż tylko handlował lub spekulował jak inni. Rekord pobił jego kolega ze studiów, który pożyczył milion dolarów, choć trudno sobie wyobrazić, od kogo można pożyczyć taką sumę, zamienił ją na złotówki, przetrzymał w banku na wysoki procent, po roku znów nakupił dolarów, przy czym pieniędzy z lokaty wystarczyło prawie na dwa miliony dolarów. Takie to były wariackie czasy.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o firmie, ostatnich podróżach, ale miałam wrażenie, że jest jakiś niespokojny, zawieszony pomiędzy tym, o czym mówimy, a tym, co kotłowało się w jego głowie. Nie odpowiedział na pytanie, po co mu mieszkanie z widokiem na rzekę?

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę w milczeniu.

– Mamo... ja nie wiem, jak ci to powiedzieć. – Wstał z fotela i podszedł do okna. – No nie wiem... nie chcę cię martwić, ale...

Zamarłam. Bałam się o niego, odkąd zdiagnozowano u Waldemara raka płuc, zaczęłam się zamartwiać o zdrowie syna, wypytywać lekarzy na temat wadliwych genów, które niosą zapis przedwczesnej śmierci, czy istniało duże prawdopodobieństwo, że przekazał je dzieciom? Waldemar nie miał nawet sześćdziesiątki, kiedy zmarł, nigdy nie palił papierosów, szanował zdrowie. Obawiałam się, że przyczajona choroba, jeśli naprawdę była, mogła uaktywnić się w każdej chwili. Artur miał możliwość zrobienia badań genetycznych, mógł przekonać się, czy nosi ten wadliwy gen w sobie, czy nie. W Niemczech umówił testy, wpłacił zaliczkę, ostatecznie nie pojechał, ja go nie ponaglałam, oboje baliśmy się wyników. Teraz przychodził do mnie, w środku lata, z jakąś tragiczną wiadomością. Lewa dłoń zaczęła mi cierpnąć ze strachu. Ociągał się nadal, więc go napomniałam.

– Mów synu, wal prosto z mostu, bo mi zaraz jakaś żyła pęknie w głowie albo w sercu. Przede wszystkim, chodź tu, usiądź przy mnie – nakazałam stanowczym tonem. – Co się stało?

Wrócił do stołu, usiadł naprzeciwko mnie, zaciągnął się dusznym powietrzem mojego mieszkania.

– Rozstaję się z Oktawią – powiedział, ponownie wstając z siedzenia.

Odetchnęłam z ulgą. Spodziewałam się zapowiedzi śmiertelnej choroby, a tu tylko rozwód! Nie musiałam pytać, wiedziałam instynktownie, że Artur jest stroną porzucającą.

– Agnieszka wie? – zapytałam.

– Nie, jeszcze nie. Nie mogłem im zepsuć wakacji. Kiedy wrócą, mnie już nie będzie. Zostawię wszystko Oktawii, chcę tylko zatrzymać firmę. Ale i firmę pewnie sprzedam. Mam kupca. – Nie mógł usiedzieć w miejscu. Spacerował po pokoju.

– Artur, synu, nie za wiele tych zmian w twoim życiu? – zapytałam z troską w głosie. Nie dowierzałam własnym uszom, zbyt szybko przekazał mi nowości ze swojego życia. Stał przy oknie mężczyzna w dresie, szczupły, wysoki, włosy jeszcze nieprzerzedzone, z rękami w kieszeniach, niepodobny do mojego syna sprzed tygodnia, zupełnie niepodobny.

– Z firmą jeszcze nie postanowione, ale z rozwodem tak – odparł.

Poszedł do kuchni po kieliszki do orzechówki. Dwie puste butelki po nowozelandzkim winie stały na parapecie okna, zasłonięte firanką. Zabrałam je stamtąd, wrzuciłam do kubła na śmieci. Artur nalał orzechówki, nie wychylił kieliszka, tylko patrzył przez chwilę na piękny kolor nalewki. Stała już trzy lata, dobrze się przegryzła. Mama nauczyła mnie sztuki przyrządzania nalewek. Zarówno ona, jak i moja babcia dla hrabstwa Morawskich preparowały wspaniałe trunki, słynęły na całą okolicę, hrabina obdarowywała swoich gości tymi nalewkami, ale tylko tych, których szczególnie lubiła.

Zamoczyłam usta w orzechówce, rozprowadziłam w ustach mocny smak i zapytałam bez ogródek.

– A co to za kobieta? Nie zostawia się żony ot, tak, żeby powrócić do kawalerskiego życia.

– Całą historię mam ci opowiedzieć, czy tylko koniec? – Podniósł głowę znad pełnego kieliszka. Uśmiechnął się do mnie.

– Opowiadaj tak, żeby w starej głowie mogło się to zmieścić.

Artur obracał kieliszek w dłoni, oglądał go przez chwilę pod światło, zbierał siły do opowiedzenia historii.

– Jakies dwa lata temu, pamiętasz, jak Olo przyjechał na chwilę z Nowej Zelandii?

Skinęłam głową. Przyjaźnili się w liceum, na studiach, a potem Olo ten milion dolarów cudownie rozmnożył. Wcześniej jednak podążył za Arturem na Uniwersytet Jagielloński studiować chemię, choć wcale go to nie interesowało, wybrał ten kierunek „dla towarzystwa”. Pamiętam, jak jego ojciec bardzo ubolewał, gdyż chciał z niego lekarza zrobić. Dziś ta chemiczna wiedza być może mu się przydaje w produkcji wina, w końcu do win dodaje się sporo chemii. Artur opowiadał dalej:

– Popiliśmy sobie, zalogowaliśmy się na Naszej Klasie. To taka strona internetowa, gdzie ludzie odnawiają kontakty po latach. Odnależliśmy kilka osób z naszego liceum, popisaliśmy trochę głupot, najwięcej z Haliną, bo siedziała przy komputerze z nami do samego rana, gdzieś tam w tej swojej Dębicy. Haliny pewnie nie pamiętasz?

Nie pamiętałam Haliny, ale od razu wydało mi się dziwne, że nie wymienił żony na młodszy model, tylko na starszy, bo Oktawia miała pięćdziesiąt jeden lat, a Halina tyle, co Artur. Słuchałam cierpliwie.

– Naobiecowałyśmy jej, że się spotkamy w Rzeszowie, zaprosimy ją na obiad takie tam pijackie deklaracje. Potem Olo wrócił do Oakland, obydwaj nie mieliśmy już na drugi dzień ochoty spotykać się z Haliną. Dałem jej mój numer komórki, pisała SMS-y, że chętnie się spotka, zdaje się czekała na telefon, zbyłem ją raz, drugi, potem to już nic nie odpisałem.

– Nieładnie – wtrąciłam. – Tak się nie robi.

– Wiem, że nieładnie. – Artur przytaknął i ciągnął dalej. – Gdzieś z pięć miesięcy po tym niefortunnym odnowieniu znajomości wracałem z

Pragi samochodem bez kierowcy. Nie spieszyło mi się wyjątkowo do domu, zadzwoniłem do Haliny z granicy, zapytałem, czy jeszcze chce ze mną zjeść obiad? Nie wiem, skąd wpadłem na ten pomysł, jakoś tak wyszło. Ucieszyła się, umówiliśmy się w Dębicy. Miałem wyrzuty sumienia, że tak ją zignorowałem, sam nie znoszę takiego zachowania, więc pomyślałem, że jej wynagrodzę, przy okazji sobie poprawię samopoczucie.

– Poznałeś ją? Po tylu latach? – Nie dowierzałam.

– Zmieniła się, pewnie, że się zmieniła, miała pięćdziesiąt pięć lat, tak jak ja, nie była już szczupłą dziewczyną o długich, prostych blond włosach do pasa. Nie przypominała Maryli Rodowicz z czasów opolskich festiwali. Ja też nie jestem chudzielcem z kozią bródką i bujną grzywą przyszlaniającą widzenie. Czułem się trochę dziwnie na początku, nie wiedziałem, o czym rozmawiać, o co pytać? Nie użalała się na męża, ani na niską płacę, tak sobie gawędziliśmy, głównie wspominając czasy szkolne, naszych nauczycieli, kolegów, kradzież dziennika, zatykanie toalet, palenie papierosów wetkniętych w plaster jabłka, żeby palce nie cuchnęły. Uśmiealiśmy się. W każdym razie, jak przyszło do pożegnania, zeszło na prywatne tematy. Jej córka szukała pracy, byłaby wdzięczna za pomoc. Joanna jest po studiach, zna angielski, umie rozmawiać z ludźmi, prezencja też nie najgorsza, ale nie miała szczęścia do miejsc pracy. W jednym szef czynił jej awanse, kiedy go odrzuciła, zwolnił ją, w drugim dotarła do stanowiska, gdzie nie miała już pola do popisu, więc przerażona, że będzie robić to samo do końca życia, zrezygnowała i wróciła do Dębicy, odpocząć u matki. Halina chciała mnie z nią poznać, chwyciła za telefon, już miała ją ściągać. Wykręciłem się, obiecałem wpaść jeszcze do Dębicy w następny weekend. Nie miałem takiego zamiaru, rzuciłem obietnicę bez pokrycia, w tamtym okresie zdarzało mi się to nader często. Znowu minęło kilka tygodni, Halina napisała SMS-a, coś zabawnego... nic o pracy dla Joanny. Pomyślałem sobie, właściwie, dlaczego nie pomóc córce koleżanki? Tylu obcym ludziom daję pracę, szansę, Halinę zawsze lubiłem, mogłem to załatwić. Nie musiałem nawet specjalnie się wysilać, szef produkcji potrzebował asystentki, nie zwykłej sekretarki do robienia kawy i pilnowania

terminarza, ale kogoś, kto będzie z nim ramię w ramię pracował, pomoże przy zagranicznych kontrahentach, kogoś kumatego, szybkiego w myśleniu. Nie znałem Joanny, nie wiedziałem, czy się nada, wezwałem ją do siebie za pośrednictwem jej matki i powiedziałem: „Spróbuj!” Dałem jej naprawdę wysoką pensję na początek, a w ramach żartu powiedziałem, że nie będę do niej startował, nie wykorzystam sytuacji. Zapewniła mnie, że ja też nie jestem w jej typie, a kiedy spytałem: „Jaki jest jej typ?” Odpowiedziała: „Każdy, tylko nie żonaty”.

– No proszę, niepotrzebnie takie deklaracje składała, rozwodzisz się dla niej, nieprawdaż? – Musiałam wtrącić kąśliwą uwagę.

Tak mi się w tej chwili zrobiło żal Sekutnicy z Krakowa, prawie się rozplakałam. Nie lubiłam Oktawii, denerwowała mnie, wyszydzałam jej pretensjonalne zachowania, ale była matką moich wnuków, żoną mojego syna, naszą historią, nagle miała zostać odstawiona na bocznicę, niczym stara lokomotywa? Nie spodziewałam się u siebie takiej reakcji. Jak mało wiemy o sobie. Wydaje nam się, że wiedzielibyśmy instynktownie, jak zareagujemy, gdy nastąpią pewne okoliczności, tymczasem kiedy dana sytuacja nadchodzi, robimy coś zupełnie innego. Kto by pomyślał, że będę lać krokodyle łzy za synową, która miała zniknąć z mojego życia na zawsze. Wraz z rozwodem, zakończą się nasze stosunki, ustaną wizyty, telefony, nie spędzimy razem kolejnych świąt, nie złożymy sobie imiennowych życzeń. Osoby, które poślubiamy, nie stają się naszą rodziną, dzieci ze związku rodzinę stanowią, ale małżonkowie w każdej chwili mogą odejść w zapomnienie i legalny niebyt, a sąd to przypieczętuje. Straszna była ta perspektywa, po tylu latach...

– No to już znasz genezę. – Artur wyczekiwał mojej reakcji.

Miałam niedowierzenie rozmazane na twarzy.

– Wyduś wreszcie, dla córki Haliny się rozwodzisz?

– Mamo, powiem tak: – Usiadł na fotelu z dala ode mnie. – Nawet gdybym miał nie związać się z Joanną albo gdybym z góry wiedział, że nasz związek się szybko rozpadnie, to i tak muszę rozstać się z Oktawią. Nie będę wyrażał się górnolotnie, opowiadał ci, jak miłość wygasta, przywiązanie zamieniło się w obojętność i tak dalej. Po prostu muszę

wiele zmienić w moim życiu, w zasadzie wszystko...

– Nie wiedziałam, że jesteś aż tak nieszczęśliwy – powiedziałam z żalem. – Dlaczego wcześniej tego nie sygnalizowałeś?

– To nie są proste sprawy, przy moim tempie życia nawet nie miałem czasu się zastanowić, co się ze mną dzieje. Nie budziłem się rano, nie pytałem się twarzy w lustrze, czy jest szczęśliwa, czy wszystko gra, po prostu szedłem do pracy, do obowiązków, do ludzi. Kiedy w nocy nie mogłem zasnąć, brałem coś na sen i tak w kółko. To się zaczęło na długo przed spotkaniem Joanny, jej pojawienie spowodowało właśnie tę jedną, zasadniczą zmianę. Zapytałem twarzy w lustrze, czy jest szczęśliwa? Zatrzymałem się, zupełnie niespodziewanie mój silnik zgasł, gdyby nie ona, już bym chyba następnego dnia z łóżka nie wstał. Uważasz mnie za stukniętego?

Zapewniłam go, że tak nie myślę.

– To nie była pochopna decyzja, o nie. – Artur wymawiał każde zdanie z goryczą. – Joanna odeszła z firmy, kiedy poczuła, że coś się z nami dzieje. Miała nadzieję, co z oczu, to z serca. Po prostu usunęła się. Nie mieliśmy romansu, żadnego randkowania, nie sypialismy ze sobą, żadnych hoteli, wyskoków po pracy, ale zawodowo spędzaliśmy sporo czasu razem. Towarzyszyła mi w podróży służbowej do Niemiec, Chin, w końcu do Anglii, nigdy nie posunęliśmy się za daleko, nawet nie próbowałem, bo wiedziałem, że to nie jest tego typu kobieta. „Nie będzie sypiać z żonatym szefem”.

Artur tłumaczył mi żarliwie wszystkie cnoty główne Joanny. Może są na świecie takie kobiety, prawe, zasadnicze, powściągliwe, nie wskakujące do łóżka starszym biznesmenom, miło by było taką kiedyś spotkać, może nawet do rodziny przyjąć?

– W takim razie, na jakim etapie jest obecnie wasza znajomość? – zapytałam. Przeszło mi przez myśl, że może mój syn nie garnął się do seksu, tak jak jego ojciec? Czyż to miałyby być genetycznie przekazana przypadłość, a nie rak płuc? Czekałam zniecierpliwiona na odpowiedź.

– Sam nie wiem. Jest we mnie nadzieja, że jak stanę się wolnym człowiekiem, będę miał u niej szansę – odparł zawstydzony niczym mały chłopiec.

– No, bardzo sprytnie. Niby nie rozbija rodziny, ale kusi, pod warunkiem, że się rozwiedziesz – wyrwało mi się, czego natychmiast pożalowałam.

– Nie mam, nie! Proszę cię! – Zdenerwowałam go tym, co powiedziałam. – Nie musisz mnie błogosławić, ale zrozumiem, na twoją wyrozumiałość liczę, na tym wszystko opieram... Joanna nie wie, że odchodzę od żony, nie chciałem, aby mnie powstrzymała.

– Nie gorączkuj się tak... – Poglaskałam go po dłoni. – Jestem trochę zaskoczona, muszę pomyśleć, nie wyciskaj ze mnie wszystkich soków, synu...

– No to powiedz mi coś na wzmocnienie, mam – poprosił.

A co ja niby miałam mu powiedzieć? Miłość jest najważniejsza synu, słuchaj głosu swojego serca! A co w takim razie z biedną Oktawią i jej sercem? Co z wrażliwą Agnieszką, uwielbiającą swoich rodziców, jej przywiązaniem do stabilnego życia w cieniu rodzicielskiej miłości?

– Artur, jestem zaskoczona, przyznaję... Oktawia będzie cierpieć, podejrzewam, że ona w ogóle się nie spodziewa, jaką rewelację jej przygotowałeś. Ona jest ukontentowana w tym małżeństwie. Zranisz ją, dotkliwie zranisz. – Kręciłam głową.

– Wiem. Boję się tej rozmowy, jej reakcji, łez, gniewu, szantażu. Oktawia zawsze powtarzała, że wszystko, co daje nam los, trzeba przyjąć z klasą. Zobaczymy, czy starczy jej klasy...

– Nie będzie łatwo pięćdziesięcioletniej kobiecie znaleźć sobie mężczyznę – rzuciłam kolejną złotą myśl.

Oktawia nie zostanie puszczonej w skarpetkach, sam dom to w gotówce będzie trzy miliony, a jeszcze samochody, inne cenne przedmioty, jak na przykład ich motorówka, którą trzymają na Mazurach, czy obrazy, w tym jeden Fałat, jeden Kossak. Może stanowić całkiem dobrą partię, ale też nigdy nie zyska pewności, czy ktoś chce być z nią, czy z jej pięknymi.

Artur myślał o tym samym.

– Mam nadzieję, że nie weźmie sobie jakiegoś zigołaka na pokaz, który ją uwolni od majątku. Nie będzie się pocieszać byle kim...

– Ale to już chyba nie twoja sprawa z kim, co i gdzie... – ofuknęłam go. – Jak się porzucą żonę, to się porzucą wszelkie prawa do niej.

– Ja nie w tym sensie, mamo. Martwię się tylko, żeby nie popadła w depresję, nie zrobiła jakiegoś głupstwa – perorował, z góry zakładając, że Oktawia pobiegnie z kamieniem u szyi do najbliższej rzeki na wieść o ich rozwodzie. Znając ją, pierwsze kroki skieruje do psychoanalityka, a ten już będzie wiedział, jak odchudzić jej portfel.

– Mimo wszystko, wiele nas łączy. Będę chciał to załatwić bezboleśnie i elegancko. Rozmawiałem wstępnie z adwokatem.

– Szybko działasz – powiedziałam, nie była to pochwała, raczej drwina. Z pewnością Artur swoje kroki planował, a potem działał przez wiele miesięcy, ale ponieważ mnie w godzinę to wszystko opowiedział, miałam wrażenie, że działa w pośpiechu. Rzeczy dzieją się zbyt szybko i jest w nich jakaś gwałtowność, wynikająca z braku przemyślenia szczegółów.

– Po prostu chcę jak najprędzej wszcząć procedury rozwodowe, mam nadzieję nie ciągnąć tego latami. Podjęcie decyzji było najtrudniejszym etapem, rozmowa z Oktawią będzie najboleśniejszym, rozwód najdroższym. Nie zależy mi na pieniądzech.

– A dom? Przecież kochasz ten wasz dom! Nie będzie ci żal? – próbowałam uderzyć w sentymentalną melodię.

Pamiętałam dzień, kiedy wprowadzali się przed piętnastu laty do swojej wiejskiej posiadłości w stylu polskiego dworku. Artur mnie przywiózł samochodem, wprowadził przez próg niczym pannę młodą. Do każdego kąta zajrzałam, kafelki z prawdziwego kamienia głaskałam, pachniało nowością, drewnem, farbą. Oktawia pękała z dumy i szczęścia, to był w końcu dom ich marzeń. Wielkie drzewa przywieziono ciężarówkami, dźwigami ustawiane, wsadzane w miękkie grunto, aż strach było patrzeć na te operacje, ale oni chcieli mieć dojrzały drzewostan, nie chcieli czekać, aż się malutkie drzewka ukorzenia i rozrosną. Plastyk połączył kolory, nie według mojego gustu, ale podobno bardzo modnie,

jego żona dobrała detale, po niektóre jeździła za granicę. W Polsce ponoć nie można było kupić odpowiednich cudeniaków, wszystko w pierwszym gatunku, oczywisty błysk luksusu. Ja nie czułabym się tam dobrze, zbyt wiele było wolnych przestrzeni, od mebla do mebla długie dystanse, podłogi trochę za śliskie, ale trzeba przyznać, że był to bardzo piękny dworek, żywcem przeniesiony z minionej epoki. Nie tak piękny jak ten hrabiostwa Morawskich, ale ładna jego imitacja.

Artur nie musiał się długo zastanawiać nad odpowiedzią na pytanie o dom.

– Właśnie o to chodzi, że nie. Nie kocham tego domu. Dziś rano zabrałem stamtąd swoje osobiste rzeczy, kilka pudeł ubrań, książek, buty, paski, dokumenty, kosmetyki i wiesz co? Wyszedłem, zamknąłem drzwi na klucz, nie poczułem nic, prócz ulgi. Niesamowite... kim ja w ogóle jestem?

Nie odpowiedziałam. Miałam jasny obraz w pamięci. Podekscytowanego Artura, otwierającego wszystkie okna w swoim nowym domu, proszącego, abym oddychała całą piersią jego szczęściem domowym, nawet od Oktawii biło wtedy ciepło. Zapamiętałam dzień mojej pierwszej wizyty w ich dworku jako jeden z najszczęśliwszych w moim życiu. Artur nosił się dumnie, ale przede wszystkim szczęśliwie w swojej posiadłości. Teraz przekręcił klucz w zamku, mówił, że mu nie szkoda.

– Jak to się wszystko w życiu zmienia – zaszepczałam. – Dopiero był wasz ślub, rodziły się dzieci, budował się dworek, teraz kaprys jednej kobiety przekreślił dotychczasowy układ. Ja cię nie będę pytać, czy dobrze się zastanowiłeś nad tym, co robisz, decyzja podjęta, ale nie dziw się starej matce. Miałam nadzieję, że wasze małżeństwo przetrwa. Mimo tej łatwości, z jaką dziś można się rozwieść, wy twardo zawalczycie o swój związek, a tu proszę... pierwsza przygoda i szast, prast, rozwód! – Łzy nabiegły mi pod powieki, bałam się mrugnąć.

Artur zerwał się z miejsca, wyszedł do kuchni. Przyniósł stamtąd swój telefon komórkowy, obawiałam się, że przy mnie będzie dzwonił

do tej Joanny, wręczy mi słuchawkę i każe z nią rozmawiać. Ale nie, pogrzebał tylko w telefonie, coś tam poczytał, potem rzucił go na fotel. Pocerwieniła na twarzy.

– Niech mama wie, że nie byłem święty! – zakomunikował podniesionym głosem. – Może nie powinienem tego mówić, ale trudno, zostałem sprowokowany. Tyle było dziewczyn i kobiet w moim życiu, które chciały rozbić moje małżeństwo, że nawet nie zliczę. To się w głowie nie mieści, jakie bezczelne, nachalne, zdeterminowane są kobiety, kiedy na horyzoncie pojawi się facet z kasą. Ile ja razy mogłem zostawić Oktawię dla jakiejś pięknej, młodej, mądrej kobiety, tylko ja sam wiem. Nie zrobiłem tego, nawet nie rozważałem. Nie zdradziłem żony... Proszę cię mammo, nie nazywaj tego kaprysem!

Wygłosiwszy swoje *dictum*, poirytowany wyszedł do łazienki. Ach, te dzieci! Niby przychodzą po opinię, pytają o zdanie, powiesz im coś, czego sobie nie życzą słuchać, zaraz wpadają w złość. Kiedy jest się tak starym jak ja, to nic już człowieka, ani nie może szczególnie ucieszyć, ani bardzo zmartwić, taka letnia woda przelewa się przez serce oraz rozum. Czekałam spokojnie, aż Artur ochłonie, nie zamierzałam sprawiać mu więcej przykrości, ale jeszcze miałam coś do powiedzenia. Kiedy wrócił, przeprosił mnie za swoje gwałtowne zachowanie.

– Reaguję tak nerwowo dlatego, że ja sobie doskonale zdaję sprawę, z jaką reakcją spotka się moja decyzja o rozwodzie. Oktawii i Agnieszki, mojej siostry, naszych znajomych, sąsiadów, moich pracowników. Nikt mnie nie pochwali, to pewne.

Mówił z goryczą w głosie. Ja byłam jego jedynym aliantem, nagle zdałam sobie z tego sprawę z odpowiedzialności, jaka na mnie ciąży.

– Mammo, nie jestem draniem, dobrze mnie wychowałeś, tylko ja... chcę być jeszcze raz szczęśliwy. – Patrzył mi w oczy intensywnie. – Czuję, że mogę przy Joannie. Ja nawet chciałbym, żeby urodziła nam dziecko, nie jestem zmęczony, nie martwi mnie niemowlak w kołysce, zaczynanie wszystkiego od nowa. Wręcz przeciwnie. Jest tak dlatego, że Joanna jest absolutnie wyjątkową kobietą. Poznasz ją, przyprowadzę ją

do ciebie, jak tylko rozmówię się z Oktawią, sama ocenisz. Obiecuję, że nie nazwiesz tego drugi raz kaprysem...

– Nie nazwę. – Pośpiesznie zapewniłam mojego zrozpaczonego syna. – Uspokój się, wierzę ci, bo cię znam.

– Pozwolisz sobie przedstawić Joannę? – Rozpaliły się jego źrenice. Lubił wymawiać jej imię, cieszyło go, że może z kimś jawnie porozmawiać o miłości do tej kobiety. Gdyby nie to, że jego rozmówca zaczął ziewać, opowiadałby o niej do rana. Skinęłam tylko głową na potwierdzenie.

Zrobiło się bardzo późno, nie panowałam już nad opadającymi powiekami, podpierałam głowę, kręciłam się na krześle. Nie siedziałam w swoim fotelu, tam zasnąłabym już godzinę wcześniej, przezornie usadowiłam się na twardym krześle. Artur dostrzegł moje zmęczenie, zarządził ciszą nocną.

– Pomóc ci przebrać się w koszulę nocną? – zapytał nieśmiało, kiedy usadowiłam się ociężale na łóżku. Wieczorami czułam swoje osiemdziesiąt lat bardziej, niż o innej porze dnia.

– Nie oferuj, nie oferuj takiej pomocy, bo jak się przyzwyczaję, to zacznę do ciebie wydzwaniać po nocach, żebyś przyjechał mnie przebrać, umyć, żebyś mi zaśpiewał kołysankę do snu. Rano zrobisz mi śniadanie, nie wychodź z domu na czczo – odparłam, siłując się na lekki ton.

Pogłaskał mnie czule, pocałował w czoło, zapalił małą lampkę przy łóżku, niezdecydowany, jak się ewakuować z jaskini. Zaczęłam powoli rozpinać zamek dresu.

– Mamo, jestem podobny do ojca? – zapytał, stojąc przy drzwiach z ręką na klamce. Było to cokolwiek dziwne pytanie.

– Czy jesteś podobny? – Spojrzałam na niego. – Tak naprawdę chcesz wiedzieć, czy Waldemar poważałby się na porzucenie mnie?

– Powiedzmy, że o to chciałem zapytać.

– Nie wiem, synu. Naprawdę nie wiem. Twój ojciec nie zdążył się mną znużyć, umarł dość młodo, a poza tym... – zawiesiłam głos na kilka

sekund – nasze pokolenie było inne, ludzie tkwili w związkach małżeńskich, bo przysięgali przed Bogiem...

– Albo dlatego, że się bali z nich wyjść i nie mieli za co rozpocząć nowego życia – podchwycił.

– Może. Dobranoc synu, dokończymy rozmowę jutro. – Posłałam mu pocałunek.

Artur wycofał się do przedpokoju. Zdążyłam przed zaśnięciem odmówić krótką modlitwę, przeżegnać się raz za siebie, raz za Waldemara, westchnąć do Boga z prośbą o najmniej bolesne z możliwych zakończenie małżeństwa Artura i Oktawii, gdyż wątpliwości nie miałam żadnej, to był ich koniec.

ROZDZIAŁ XII

Wychodząc za mąż za Waldemara w grudniu 1954 roku, nie wiedziałam, jakie były przyczyny jego rozstania z narzeczoną, nauczycielką z Nowego Sącza. Przyjęłam do wiadomości, że zniknęła z życia Waldemara, a czy on sam ją skreślił, czy ona się ulotniła, pozostało to niewypowiedziane. Nie mówiliśmy sobie w czasie narzeczeństwa i małżeństwa wszystkiego, unikając skrupulatnie nurzania się we wzajemnych sprawach z przeszłości. Myślę, że to ja narzuciłam taki model związku. Bynajmniej nie równało się to z mówieniem nieprawdy czy oszukiwaniem wzajemnym, po prostu pewne tematy nie były poruszane, zupełnie jak u ciotki Poli, która zwykła mówić: „A po cóż to tak się obrzucać niepotrzebnymi zwierzeniami? Tajemnica zawsze jest ciekawsza!”.

Zadowoliliam moją matkę informacją o małżeństwie z inżynierem Waldemarem Pogorzelskim, gdyż oznaczało to rychłe wyprowadzenie się od Poli i Andrzeja, więcej jeszcze, wyprowadzenie się z Warszawy. Waldemar dostał pracę w WSK w Rzeszowie, jak sobie wymarzył, wraz z obietnicą mieszkania dwupokojowego poza kolejnością. Ja bez trudu mogłam znaleźć zatrudnienie w którymś z rzeszowskich przedsiębiorstw. Te pozytywne informacje znalazły się w liście do mojej mamy oraz zawołowane przeprosiny, że do ślubu córki nie musi ręki przykładać, ponieważ wszystko już zostało ustalone. Miał się odbyć w Szczepana, dzień po Bożym Narodzeniu, natomiast przyjęcie weselne we wsi rodzinnej rodziców Waldemara, w Wiśniowej. Wedle zwyczaju, ślub powinni urządzać rodzice panny młodej w jej stronach, ale ja tego nie chciałam. Nie tylko wstydziłam się wsi, z jakiej wyszłam, pozostawała jeszcze kwestia pieniędzy. Waldemar powtarzał, że będzie, jak postanowię, do niczego mnie nie przymusza, jego rodzice z wielką przyjemnością ugospczą weselników.

Byłam zachwycona tym pomysłem, jednak po rozmowie z Polą mój entuzjazm nieco przygasł. W tych dniach rzadko opuszczała dom, nie chodziła do pracy, czytała książki, wypalała kilkanaście papierosów dziennie, zapijając je winem. Dużo wtedy rozmawialiśmy. Kiedy jej przedstawiłam plany matrymonialne, zaproponowała całkiem inne rozwiązanie.

– A mnie się wydaje kochana, że nie ma co tak na początek długu wdzięczności zaciągać. Różnie w życiu bywa, jeszcze kto może kiedy wypomni, że ci wesele wyprawiał i koszta ponosił. Nie myślę, żeby Waldemar, ale co to można wiedzieć? Tak mało się znacie. Najlepiej będzie, skoro już u matki na wsi nie chcesz wesela, żeby ślub odbył się tu, w Warszawie, a przyjęcie urządzimy w naszym mieszkaniu. Ja się wszystkim zajmę, nic się nie martw – powiedziała.

Pola kończyła trzydzieści cztery lata, jej uroda rozkwitła, zachwycała dojrzałością niczym brzoskwinia późnym latem. Z wypiekami na policzkach słuchałam, jak zamierza zorganizować przyjęcie, kogo zaprosić, co podać na stół, w jakiej kolejności, snuła plany każdej godziny uroczystego dnia. Mieliśmy wtedy wstęp do tak zwanych zamkniętych sklepów, zasłoniętych przed światem żółtymi firankami, gdzie elita partyjna, a do takiej Andrzej i Pola bez wątpienia się zaliczali, robiła zakupy. Były tam towary luksusowe, pomarańcze, szynka, czekolady, ładna bielizna, kosmetyki. Dopiero po odwilży gomułkowskiej, w 1956 roku, zostały zlikwidowane, kiedy ja wychodziłam za mąż, jeszcze prosperowały. Późniejsze sklepy zakładowe, konsumy, mylnie nazywano sklepami za żółtymi firankami. Wydawało się czymś oczywistym, że my korzystamy z tych przywilejów władzy, nie kwestionowałam tego nawet potajemną myślą.

Pola zadeklarowała również, że przywiezie dla mnie z Paryża suknię ślubną, pożyczyci swoje białe futrzane boferko, a buty kupimy w Warszawie. Marzyłam wraz z nią o magicznym ślubie, jakiego jeszcze nie widziały nasze rodziny, w stylu wyprzedzającym epokę! Pola chciała nas o północy wysłać w podróż poślubną do Sopotu, gdzie opłaciłaby nam pokój w hotelu na trzy noce, abym oddała swój „kwiat” mężowi w akompaniamencie morskich fal. To miał być jej prezent ślubny. Nie

posiadałam się ze szczęścia, wprost brakowało mi słów, aby wyrazić wdzięczność.

Zaraz napisałam Waldemarowi o propozycji ciotki Poli. Wciąż jeszcze mieszkalam w Warszawie, a Waldemar już podjął pracę w Rzeszowie, pomieszkiwał tymczasowo w hotelu robotniczym, czekając na przydział mieszkania. Pisałam do niego przez ten ostatni miesiąc, jaki pozostał do daty ślubu, niemalże codziennie, od niego dostawałam raz w tygodniu telegram ze słowami miłości. Po moim ostatnim liście, w którym zdradzałam weselne plany, przyjechał niespodziewanie do Warszawy, rozmówić się ze mną. Wysłałam po narzeczonego na dworzec, dostrzegłam jego zatroskaną twarz, zanim on mnie spostrzegł, i w lot zrozumiałam, że nie przyjechał ze zwyczajną wizytą, powodowany tęsknotą. Ledwie musnął wargami policzek na powitanie. Poszliśmy prosto z pociągu do kawiarni, nie mówiąc po drodze o matrymonialnych planach, tylko o pracy oraz mieszkaniu, jakie mieliśmy dostać w niedalekiej przyszłości. Cieszyłam się niczym mała dziewczynka, obrzydło mi już mieszkanie kątem u obcych, chciałam wieszac firanki, ustawiać meble, trzepać dywany na swoim. Temat ślubu wisiał jednak nad naszym szczeniakiem ciężką chmurą, ostatecznie Waldemar sprowadził rozmowę na właściwy tor.

– Tusiś moja miła, wiem, co deklarowałam, że ty będziesz decydować i zrobimy po twojemu, ale... ale... – Zacukał się, nie patrząc mi w oczy. Takiego zaambarasowanego Waldemara nigdy wcześniej nie widziałam. Pola miała rację, znaleźliśmy się naprawdę słabo, z jednej, może dwóch stron, na pewno nie na wskroś.

– Ale co? O co chodzi? – zachęciłam go łagodnie.

– Chodzi oto, że... my nie możemy mieć ślubu w mieszkaniu twojej ciotki, pod nosem jej męża. Moi rodzice by nie przyszli na to przyjęcie – powiedział cicho.

Pobladałam, cała krew mi odpłynęła z twarzy.

– Ale dlaczego?! – zapytałam, marszcząc czoło. – Pola już obmyśliła wszystkie dania obiadowe, desery, wina... Czy twoi rodzice znają Polę i Andrzeja, że nie chcą korzystać z ich gościny?

Zawsze byłam gotowa bronić mojej ciotki, uważałam ją za najbliższą mi duszę, osobę bez skazy, wspaniałego charakteru. Waldemar kluczył przez kilka minut, instynktownie przeczuwał, że może mnie urazić tym, co zamierza powiedzieć, nie zgadzało się to z jego delikatną naturą.

– Trzeba by może zaprosić twoich rodziców, niechby poznali Polę i Andrzeja, zaaranżuję spotkanie w następną niedzielę... sami się przekonają, jaka to wspaniała osoba – gorączkowałam się. – Myśmy już wszystko obmyśliły, potrawy, buciki, Sopot...

– Tusi, poczekaj... – Waldemar przykrył moją dłoń swoją. – Sława męża twojej ciotki dotarła na Podkarpacie, ludzie dobrze wiedzą, jakie były jego wojenne oraz powojenne losy. Andrzeja Kwolka Rosjanie w Kujbyszewie przeszkolili! Już oni go dobrze przygotowali do funkcji oficera Bezpieki. Wiedz też, że jest Żydem i to ukrywa. Wiedziałaś?

Nie wiedziałam, ale postanowiłam się z tym nie ujawnić. Przypomniałam sobie kilka urywanych rozmów sprzed roku, kiedy po ucieczce za granicę Józefa Światły, czyli Izaaka Fleischfarba, Andrzej wpadł w panikę. Kilka nocy u nas obradowali jacyś ludzie, naradzając się, co dalej zrobić. Straszne były nerwy w tamtych dniach. Spore ilości spijanego alkoholu towarzyszyły tym spotkaniom, dym papierosowy przenikał nawet przez ściany. Mnie Pola poprosiła o niewychodzenie z pokoju wieczorami, tak, że nic nie słyszałam i niewiele widziałam. Kiedy braliśmy ślub w grudniu 1954 roku, Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego było już rozwiązane, na jego miejsce powstało Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, do którego Andrzej przeszedł. Wszystko się uspokoiło.

– Andrzej nie jest jakimś siepaczem... – bąknęłam cicho.

– Ludzie mówią, że przyjaźni się z Różańskim, ten to jest więcej niż siepacz – powiedział Waldemar i cofnął swoją ciepłą dłoń. – Tusi, mąż Poli jest pułkownikiem Bezpieki. Czy ty wiesz, co to oznacza?

Nie słyszałam takiego nazwiska, inna rzecz, że ja w ogóle mało się interesowałam, nawet nie umiałam powiedzieć, w którym departamencie ministerstwa pracuje Andrzej, a w którym Pola. Andrzej nie mógł przyjaźnić się z Różańskim, ani z żadnym innym dyrektorem czy oficerem,

bo Andrzej nikomu nie ufał i nie miał przyjaciół. Ostatecznie z niektórymi pił wódkę poza domem, ale żeby przyjaźń, to na pewno nie. Wspomniałam o tym Waldemarowi. Wierzył mi, ale niczego to nie zmieniło.

Raz mi było wstyd, to znów nachodziła mnie złość, kiedy rozmawialiśmy blisko dwie godziny o całej tej sytuacji. Po sprawie z Kajetanem straciłam serce dla Andrzeja, nie byłam mu już ani przychylna, ani życzliwa, zaledwie go tolerowałam, lecz gdy Waldemar mówił o nim jak o jakimś mordercy i kanalii, miałam zamiar go bronić.

– Ludzie mielią jęzorami bez przerwy, nie we wszystko trzeba zaraz wierzyć – powiedziałam na koniec rozmowy. – Nie spodziewałam się, że...

– Ojca nie przekonam żadnym sposobem. – Waldemar wpadł mi w słowo. – Czy ty wiesz, że on nie chce nawet sobie dowodu osobistego wyrobić, bo uważa Polskę Ludową za nielegalne państwo, ustanowione w Jalcie przez naszych śmiertelnych wrogów. Przewiduje, że ZSRR nas kiedyś wcieli jako kolejną republikę. Ze strażnikiem interesów tego nielegalnego państwa na pewno nie usiądzie do stołu. Ojca mojego, a musisz to wiedzieć, prześladują bez przerwy, grożą mu, wyzywają, zadusili nam kury, podpalili stodoły, dwa razy go aresztowali. Mama od zmysłów odchodzi. Nie wiem, jakim cudem jeszcze nie kazali mi się go wyrzec, bo przecież w fabryce wiedzą, że to mój ojciec!

Słuchałam z niedowierzaniem pierwszej szczerzej opowieści o moim przyszłym teściu. Raz tylko go widziałam, kiedy mnie Waldemar do domu rodziców zabrał jako narzeczoną. Zjedliśmy wtedy wystawny obiad, wypiliśmy po kieliszku likieru miętowego i Waldemar odwiózł mnie do mojej matki na noc, gdyż obie wsie oddalone były od siebie o niespełna trzydzieści kilometrów. Niczego nie wynioskowałam z przebiegu wizyty u jego rodziców, rozmawialiśmy na tematy obojętne, najczęściej o pracy Waldemara, prawiąc sobie uprzejmości, unikając natręstwa w pytaniach. Pewnie chcieli się czegoś więcej o mnie dowiedzieć, rodzinne dochodzenie utkwilo w martwym punkcie, kiedy wymigałam się od odpowiedzi na temat zajęcia ciotki Poli. Jak mogłam im powiedzieć, skoro

sama nie wiedziałam? Polę łączyło coś z Przedsiębiorstwem Handlu Zagranicznego, nazywanego chyba „Baltoną”, zaopatrującą w żywność statki pływające po Bałtyku i placówki dyplomatyczne, ale czy to była tylko przykrywa dla jakiejś innej działalności czy faktycznie w tej „Baltonie” pracowała, nie mogłam stwierdzić. Mieliśmy w mieszkaniu warszawskim towary luksusowe, sporą sumę dolarów w sejfie, ładne wyroby rzemieślnicze, szklane, nawet się dziwiłam, że wyprodukowane w Polsce, bo w sklepach nie było wiele ładnych rzeczy do kupienia.

– Poli będzie przykro – powiedziałam, żegnając Waldemara na dworcu. – Nie wiem, jak jej to zakomunikować, jakie powody podać? Przecież nie mogę prosto z mostu oświadczyć, że twój ojciec nimi pogardza tak dalece, że przy stole nie chce siedzieć. Będzie jeszcze jeden kłopot, bez względu na to, gdzie się wesele odbędzie, Polę i Andrzeja przecież musimy zaprosić.

Waldemar przytaknął skwapliwie, ale ja już przeczuwałam, że Andrzej wcale na moim ślubie nie będzie. Cała radość zgasła.

Waldemar wrócił do Rzeszowa, nie ustalwszy ze mną, gdzie ostatecznie miałyby się odbyć przyjęcie weselne. To był początek października, czas najwyższy, żeby jakiś konkret na stole leżał. Chodziłam kompletnie struta przez kilka dni, nie widziałam wyjścia z sytuacji, tak bardzo mi zależało, żeby mieć piękny ślub i wystawne wesele. Nic wielkiego ani podniosłego nie wydarzyło się jeszcze w moim życiu, mój ślub z Waldemarem miał być spełnieniem marzeń, zanim do niego doszło, droga w górę okazywała się coraz bardziej stroma. Ratunek przyszedł z najmniej oczekiwanej strony.

Joachim, mój ojczym, przyjechał wraz ze Staśkiem do Warszawy. Zapowiedzieli się telegramem dzień wcześniej. Matka oczywiście im nie towarzyszyła, bowiem wiązałoby się to ze spotkaniem z Polą. Obarczeni poważną misją, miny mieli tak uroczyste, jakby przyszło im brać udział w konklawe. Usiedli przy stole w salonie, zamieszało głośno srebrnymi łyżeczkami cukier w szklankach, nie wyciągając łyżeczek, siorbali wrzątek. Poli to nie oburzyło, spod jej długich rzęs błyskały iskierki rozbawienia,

podczas kiedy mnie wstyd palił żywym ogniem. My obie byłyśmy bardzo miejskie, Joachim i Stasiak nadal mościli słomą gumowce. Joachim wyłożył mi prostymi słowami, co postanowili z matką. Mój brat siedział przy stole niezym pieczęć na tych postanowieniach, nie drgnął podczas przemowy Joachima. Nie lubił go, nie szanował, jednak wybrał się z nim do Warszawy, bo mnie bardzo kochał i życzył mi szczęścia. Zakomunikowano mi, iż obraziłabym Boga oraz ludzi, gdybym chciała wyjść za mąż gdzieś indziej niż w swojej rodzinnej wsi Gradkowice, w kościele, gdzie byłam chrzczona i gdzie przyjąłem Pierwszą Komunię Świętą, gdzie moi rodzice brali ślub, zenił się Joachim ze swoją pierwszą żoną, moja matka z nim, a wreszcie gdzie Stasiak ma zamiar przed ołtarzem przysięgać, jak tylko mu się odpowiednia kandydatka trafi. Ksiądz proboszcz nas pobłogosławi, ten sam, który w wojenny czas ukrywał bohatersko partyzantów i Żydów, czym sobie zasłużył na niebo bez spędzania smutnych eonów w czyścicu. Wesele odbędzie się w Domu Parafialnym, pięknie wyremontowanym za amerykańskie dolary mieszkańców wsi, którzy wyjechali za wielką wodę. W kościołach całej okolicy można było na kolorowych witrażach okien wyczytać napisy „Fundowała Aniela z Ameryki” lub „Fundowała Halina z Ameryki” i tym podobne. Panie z Koła Gospodyń Wiejskich miały podać nam obiad, trzysobowa orkiestra z Frysztaka zagrać do tańca. Proboszcz zaoferował miejsca noclegowe w pokojach gościnnych na plebanii dla przyjezdnych gości. Dwie siostry zakonne zadbałyby o wygodę i podały śniadanie. Słuchałam pokornie tych ustaleń, zmieniałam powolutku zdanie, opuszczała mnie niechęć, a nawet zaczął mi się ten pomysł podobać. Przede wszystkim było mi bardzo przyjemnie na sercu, że ktoś się o mnie zatroszczył. Tak długo czułam się sierotą nikomu niepotrzebną, jakby nikogo nie obchodził mój los, więc ich propozycja rozczerła mnie. Moja matka w ważnej chwili zdobyła się na szczodry gest i bez względu na to, czy robiła to, aby się przypodobać ludziom, czy aby mi okazać miłość, byłam szczęśliwa. Joachim powiedział na koniec, że za wszystko zapłacą, wódkę niech pan młody przywiezie, o resztę mam się nie kłopotać. Dwie córki Joachim za mąż już wydał, to i mnie wyda z honorami, jak się należy.

Wychodzili z domu wieczorem, wycalowali mnie na pożegnanie, kiedy już byli na schodach, Joachim klepnął się nagle w czoło, zatrzymał gwałtownie w pół kroku. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnął portfel. Stasiek odwrócił głowę, ja, nie bardzo wiedząc, co się szykuje, stałam wpatrzona w Joachima.

– Byłbym zapomniał – powiedział. – Masz tu ode mnie, od matki również ma się rozumieć, pięćdziesiąt dolarów. Na swoje potrzeby, jakby ci nowy but był potrzebny czy co tam do sukni ślubnej. Bierz dziewczyno, bierz...

Wepchnął mi w garść pięć banknotów, zapiął płaszczy, jeszcze raz mnie uściśnął niczym ojciec. Dziękowałam, dziękowałam, a łzy płynęły mi po rozpalonych policzkach. Czulałam się tego dnia kochana i ważna, przytulona do serca przez najbliższych.

Z Polą omówiłyśmy wydarzenia dopiero następnego dnia, byłam zbyt przejęta w nocy, aby trzeźwo analizować. Usiadłyśmy przy herbatce i ciastkach od Bliklego. Adela ostentacyjnie zamknęła się w kuchni wraz z nieprzyjemnymi zapachami towarzyszącymi gotowaniu flaczków, ulubionej potrawy Andrzeja. Prawie już ze mną nie rozmawiała, odkąd „histerycznie” napastowała jej pana w sprawie uwięzionego Kajetana. Dla niej Andrzej był nie tylko najłaskawszym panem, ale również najszlachetniejszym mężczyzną jak Polska długa i szeroka. Patrzyła na niego jak na złoto-cielca, z uмиłowaniem, bojaźnią w oczach, ja tymczasem ledwie go tolerowałam. Mimo że Kajetan był już na wolności, moje gnuśne serce nie chciało mu wręczyć podarunku przebaczenia. Nie mogłam się przemóc. Wierna, beznadziejnie lojalna Adela, obserwując nasze napięte stosunki, od razu stanęła murem przy swoim panu, mnie odtrącała, na każdym kroku manifestując niechęć. Jeden raz nawet Pola musiała interweniować, tak się nasza gosposia zagalopowała. Bardzo ją ucieszyła wiadomość o moim rychłym ślubie oraz wyprowadzce, wiedziałam, że nie będzie za mną płakać czy tęsknić. Opowiedziałam Poli podnieconym głosem o wizycie Joachima oraz propozycji wydania mnie za mąż we wsi rodzinnej, jakby sama nie była świadkiem tej rozmowy. Miałam przemożną potrzebę odtworzenia sobie tej rozmowy, słowo po słowie.

– Szkoda, że tego nie zobaczę – powiedziała ciotka, kiedy ochłonęłam.

Wytrzeszczyłam oczy z niedowierzaniem.

– Jak to? Na mój ślub nie przyjedziesz?

Pola odwróciła wzrok. Zakotłowały mi się w głowie rozpaczliwe myśli, konkretne podejrzenia, że ona faktycznie już nie ma zamiaru spotykać się z moją matką ani w ogóle jej oglądać. Od tej nieszczęsnej kłótni sióstr minęło już sporo czasu, być może dla obu za krótko na zagojenie ran, jakie sobie wzajemnie zadały. Miałam jednak nadzieję, że przy uroczystości tak podniosłej, jak mój ślub z Waldemarem, pójdą w niepamięć dawne zatargi, będzie okazja do pogodzenia się, odbudowania choćby poprawnych stosunków. Pola zmartwiła mnie, jednym zdaniem pogrzebała nadzieje.

– Tosiu, nie umiem kłamać – mówiła, nie bacząc na moje rozpaczliwe i błagalne wpatrywanie się w jej twarz. – Nie chcę, żeby znowu doszło do jakiejś burdy. Takie iskry ostatnio poleciały, jakeśmy się z Jazdą posprzeczały, prawie pożar buchnął, a przecież to tylko będzie gorzej. Nie pojedę do Gradkowic, nigdy już nie pojedę do Gradkowic.

– Tego nie wiesz! – zaprotestowałam, wycierając łzę wnętrzem dłoni. – Może akurat będziecie się pogodzili? Jak ja mam do ślubu iść, bez ciebie siedzącej w pierwszej ławie kościoła?! Musisz być przy mnie w takim dniu!

Znałam swoją ciotkę na tyle dobrze, by wiedzieć, że skoro decyzję raz podjęła, na nic by się zdało błaganie i zaklinanie. Smutna była jak sam smutek, uciekała wzrokiem, nawet nie wiedziałam, czy mnie słucha. A ja gadałam, gadałam, broniłam mojej matki, robiąc z niej niepoczytalną, ale niezwykle dobrą kobietę, przywoływałam pamięć ich rodziców, straszylam kolejną wojną, swoją rozpaczą, której nic nie ukoi, ale nie pomogło. Pola już się nawet nie odzywała. Kilka dni wcześniej bardzo kłócili się z Andrzejem. Przechodziłam z kuchni do łazienki, zatrzymałam się pod drzwiami ich pokoju, zaniepokojona odgłosami awantury przy zgaszonym świetle. Nie rozszyfrowałam z zasłyszanych słów, co

było przyczyną ich starcia, ale to Andrzej wyraźnie dominował w rozmowie, przeważały wysokie nuty, jeszcze musiał czymś rzucać, bo dziwne, głuche odgłosy przeplatały się ze słowami. Oni się nigdy nie sprzeczali, była to nowość. Powodowana troską oraz ciekawością przyłożyłam ucho do drzwi, kradnąc strzępy ich prywatnego życia. Nie czułam się jednak winna, gotowa byłam pomóc Poli, gdyby taka konieczność zaistniała. Stałabym pod tymi drzwiami do końca, jednak właścicielka szóstego zmysłu, Adela, szturchnęła mnie nagle w plecy, rozkazała iść do swoich spraw. Zawstydziłam się, przyłapaną na podsłuchiwanie, posłusznie podreptałam najpierw do kuchni po szklanekę kompotu, potem do łóżka. Naciągnęłam kołdrę na głowę, zaczęłam się zastanawiać, czy to aby nie koniec wielkiej miłości tych dwojga? Młoda byłam i głupia, myślałam, że jak się ludzie żarliwie kłócą, to na pewno ktoś zaraz trzaśnie drzwiami, nastąpi żelazna cisza, a po niej teatralne rozstanie, kiedy to ostatnie gorzkie słowa padną już na schodach. Martwiłam się całą noc losami małżeństwa Poli i Andrzeja. Nad ranem, znów popijając kompot, złożyłam niebu obietnicę, nigdy się z mężem nie kłócić, zawsze ustąpić.



– Andrzeja mi nie szkoda, ale Pola! Pola jest mi taka bliska, jak może jej zabraknąć? – gorączkowałam się w taksówce. – To moja najbliższa rodzina!

Jechaliśmy z Waldemarem po ostatnie zakupy przedślubne.

– To jest twoja ciotka, w kościele będzie twoja mama, brat, ojczym, siostry przyrodnie... – tłumaczył mi spokojnie. – Prawdziwa rodzina.

– Sióstr przyrodnich wcale nie znam! – wykrzyknęłam, pierwszy raz łamiąc zasadę pokory małżeńskiej. – Mnie na obecności Poli zależy! Zrób coś! Ja cię proszę, Waldemarze, zrób coś w tej sprawie!

Pogładził mnie po dłoni w miejscu, gdzie rękawiczka się kończy, a mankiet płaszcza zaczyna. Dotykał z miłością kawałeczka odsłoniętej skóry, aż mnie dreszcz przeszedł.

– Nie denerwuj się Tusi, nie martw na zapas. Jak chcesz, to sam z nią porozmawiam. Tylko nie marszcz czoła, nie zadręczaj się.

Waldemar pocieszał mnie jeszcze w dniu ślubu, zapewniając, że Pola przyjedzie w ostatniej chwili. Już szliśmy środkową nawą przed ołtarz, ja się rozglądałam, szeptałam do Waldemara, że Poli nie widzę. Pojęłam niestosowność swojego zachowania, kiedy spojrzałam w oczy przyszłego małżonka. Jak mogłam zatruwać te wspaniałe chwile fanaberią? Zawstydziałam się. To tylko ciotka, siostra mojej matki, z całym powodzeniem ślub mógł się bez niej odbyć. I odbył się.

Przez rok mieszkaliśmy w hotelu robotniczym, około listopada 1955 roku dostaliśmy dwupokojowe mieszkanie w bloku, blisko fabryki WSK, gdzie oboje pracowaliśmy. Równe dziesięć miesięcy po ślubie urodziłam Artura.



Pierwszy tydzień sierpnia poświęciłam rozmyśleniom o przemijaniu. Nie życia, ale związków. Na kanale Kino Polska obejrzałam wywiad Magdy Umer z pewnym polskim aktorem, filmowany jakieś dziesięć lat temu. Lubię bardzo ten kanał, stare polskie filmy, programy, seriale, siedzę, patrzę i wzruszam się. Polski aktor mówił Magdzie Umer, jak bardzo kocha swoją żonę, z wyższością zapewniał, że stanowią radosny oraz dopasowany związek, w którym nie je się cierpkich wiśni, nie puszcza dłoni partnera nawet we śnie. Wszystko brzmiało autentycznie, w telewizji mogła zabułgotać zazdrość, a także żal, że sam nie ma tak szczęśliwego małżeństwa, ani domu z klimatem, ni psów najczystszej rasy, nawet smacznych konfitur w spiżarni. W 2011 roku, kiedy leciała powtórka programu, ten opowiadający z fotela aktor już dawno był z żoną rozwiedziony, a i jego późniejszy głośny związek z młodszą aktorką najświetniejszy okres miał za sobą, jak donosiły kolorowe gazety.

Z prasy plotkarskiej wynikało, że ludzie rozwodzą się masowo. Aktorka rzuca operatora dla tancerza, piłkarz opuszcza piosenkarkę, prezynter telewizyjny szarą myszkę, to znów aktor hrabiankę wystawia na mróz, na koniec mój syn pierworodny porzuca żonę dla młodszej panny.

Za moich czasów, jak bardzo nie znoszę tego określenia, ludzie się nie rozstawali! Rozdzielić mogła wojna lub śmierć, inne przypadki były niezwykle rzadkie.

Jacek przed wyjazdem do Soczi nakupił mi różności na zapas, zamrażarkę wypchaliśmy cielęcina, kielbasą, rybami, szpinakiem, worków soli i cukru starczyłoby na pół roku, dwie zgrzewki wody mineralnej powinny zaspokoić moje potrzeby na jakiś rok, wody piłam szklanek dziennie, wyłącznie, aby popić tabletki. Naniósł mi bananów, mleka w proszku, soków, ciastek, nic się już nie mieściło w mojej lodówce i szafkach obok.

– To na ile ty jedziesz do tego Soczi? Na rok? – zapytałam, upychając produkty w wiklinowy koszyk. Zazwyczaj stał pusty, czasami coś tam magazynowałam, kiedy szykowałam obiady na większą liczbę osób.

– Na dziesięć dni, ale ja się, pani Tosiu, boję panią tak samą zostawić! O tu jeszcze mam zapałki i świece, bo z tym prądem też nigdy nie wiadomo.

– Jacek, są jeszcze sąsiedzi, gdyby co... – wtrąciłam.

– Wiem, wiem, oni mają swoje sprawy, łaski nie potrzebujemy. Pana Artura spotkałem wczoraj na schodach, leciał jak huragan, powiedział mi tylko, że wyjeżdża na weekend, pani Zuzanna, zdaje się, nad morzem. Gierkowej natomiast, to bym nawet nie powierzył świnki morskiej pod opiekę. No, chyba o niczym nie zapominałem? – Jacek nie przestawał się krzątać po kuchni. Zabrał worek ze śmieciami, butelki z wodą ustawił równiutko pod zlewem, ziemniaki i umyte marchewki do koszyczka włożył, do kubka z wodą wsadził koperek i nać pietruszki, na oknie ustawił niczym kwiat. Ja siedziałam przy stole kuchennym, zupełnie oddana w jego ręce.

– Artur to się wybiera na weekend, owszem, ale ze swoją flama, nie z żoną – powiedziałam. Sekundę wcześniej nie miałam zamiaru tego mówić, słowa wyskoczyły z moich ust jak żaba z ukropu. Jacek zrobił taką minę, jakbym mu obwieściła koniec świata co najmniej.

– Pan Artur? Niemożliwe!

– Niestety, to prawda.

Raczyliśmy się herbatą i kremówkami, które przyniósł z cukierni. Była to nasza pożegnalna biesiada przed jego urlopem. Cieszyłam się, że jedzie, zasłużył na odpoczynek w ładnym miejscu, ale z drugiej strony denerwowałam się, że nie będzie go pod ręką, na każde zawołanie jak dotychczas. Egoistka była ze mnie potworna, ledwie panowałam nad swoimi szpetnymi cechami charakteru.

– Nie, żebym był ekspertem od małżeństw – Jacek zbierał okruszki francuskiego ciasta z talerzyka – jednak zawsze mi się zdawało, że pan Artur z żoną są dobraną parą. Ja ich tylko widywałem z daleka, czasami zamieniliśmy parę słów na schodach czy przy windzie, ale jak byłem mały, to chciałem, żeby on był moim ojcem. Naprawdę! On nigdy nie zwracał na mnie uwagi, przecież ma swoje dzieci. Dziecko, chciałem powiedzieć.

– Ma. Córkę, żonę, firmę, niemałe pieniądze, a jednak, za jednym zamachem wszystko postanowił zmienić. – Wzruszyłam ramionami. – Nie podoba mi się to, oj nie podoba, ale co mam poradzić? Przecież nie będę go pouczać, ma już wystarczająco dużo lat. A zresztą, czy ktoś by starej baby słuchał?

Jacek pozbierał puste talerzyki, zabrał się automatycznie do zmywania. Stał tyłem do mnie, kiedy mówił.

– Szkoda ich. Agnieszka ojca bardzo kocha! To będzie dla niej szok. Pamięta pani, jak mój ojciec z domu wyszedł po papierosy i nigdy nie wrócił? Jezu, jak ja sobie przypomnę cośmy przeszli w pierwsze dni... ciary mnie jeszcze przechodzą. Gdyby po ludzku przyszedł do mamy, powiedział, że idzie do innej du... pani, to by było znacznie lepiej. Pewnie, mama by rozpacziała, ale przynajmniej miałaby czas, żeby się przygotować, jakoś tak pożegnać, no nie wiem... My z Agatą czuliśmy się winni, beznadziejne dwa bachory, które z ulgą się porzuca. Mama nie wytłumaczyła słowem, przez kogo ten rozwód, pozwoliła nam się katować myślą, że to może przez nas? Wiele lat tak uważałem.

– Mężczyźni są z reguły tchórzliwi – powiedziałam z przekonaniem. – Jak nie muszą, to nie mówią. Ojciec odszedł od żony, nie od dzieci...

Jacek odwrócił się do mnie przodem.

– Odszedł od żony, ale nas to już całkiem porzucił... Zbieram się w sobie, postanowiłem, że pojedę do niego do Gdańska.

Po skończonym zmywaniu Jacek wytarł ręce w ręczniczek z napisem „tea time”, odwiesił go na haczyk z boku szarki kuchennej i rozejrzał się, czy jest coś jeszcze do zrobienia.

– O czym chcesz z ojcem pogadać? – Ciekawa byłam.

– No bo niech pani sama powie. – Układał rondle w piekarniku, robiąc hałaśliwy podkład do swoich słów. – Jesteśmy jego dziećmi, ja i Agata, a on od piętnastu lat udaje, że nie istniejemy. A my jesteśmy, on nas spłodził, nie wpraszałiśmy się na ten świat. Nie będę mu robić wyrzutów, ale chciałbym go namówić na odwiedziny u Agaty. Jej by się bardzo wizyta ojca przydała. W jej pamięci pozostał ukochanym tatusem, takim, co ją na barana nosił, oranżadę w proszku kupował, na dobranoc przytulił. Ona za nim tęskni teraz najbardziej, trochę się cofa w krainę dzieciństwa. Taki mam interes do niego.

– A ty Jacku? Nie czujesz się po śmierci mamy samotny? Co tobie by się teraz najbardziej przydało?

Przystanął przy oknie, wahał się.

– Nie mogę znieść sam siebie, tej swojej samotności. Czuję się czasami jak bezdomny pies, co płacze się od podwórka do podwórka z nadzieją w ślepiach, że go ktoś do domu weźmie na noc. A co by mi się przydało... ?

– Jacek, synku... – Zerwałam się z krzesła i podeszłam do niego. – Przecież masz siostrę, mnie, kolegów, ciotkę, dziewczyny za tobą szaleją, daleko ci do bezdomnego psa, nawet tak nie myśl.

Jacek przytulił mnie do swojego chudego ciała.

– Pani jest moją rodziną – powiedział, a zaraz potem poluznił uścisk i poszedł na balkon zapalić. Poczłapałam za nim, nie odgadłam, czy chciał być przez chwilę sam, czy czekał na mnie z gotową zapalką w dłoni? Przeraził mnie tym, co powiedział, ani się spodziewałam takiej szczerości, ani byłam przygotowana. Jacka uważałam, pewnie zbyt pochopnie, za twardziela, którym wcale nie był.

Pomilczeliśmy sobie tak na pół papieroska, pogodne niebo nad naszymi głowami obiecywało piękny wieczór.

– Kiedy odwoziłem wtedy Agnieszkę, wie pani, taka mi się wydawała szczęśliwa! – Jacek niespodziewanie wrócił do tematu rozwodu mojego syna. – Cios będzie. Dostałem od niej e-maila wczoraj z Galapagos z hotelu. Fajnie, że do mnie napisała. Nie wiedziałem, że z niej taki nurek! Ona schodzi na czterdzieści metrów! Wyobraża to pani sobie? Pisała, że wybierają się łodzią, dwudziestu nurków i dwadzieścia osób z obsługi, będą nurkować w najpiękniejszych miejscach podwodnych. Fantastyczna idea! A ja? Co ja robię? Komputery ludziom naprawiam chałupniczo i do Soczi lecę jutro. Ale wyczyn!

Spojrzałam na Jacka uważnie. Przejaśniło się nie tylko na niebie, ale i w mojej głowie. On i Agnieszka? Dlatego z góry założył, że nie jest dla niej wystarczająco dobry, bo nie nurkuje i jest sierotą. Nie miałam żadnego przecucia, co do sympatii Agnieszki, ale chętnie oddałabym Jackowi każdą swoją wnuczkę oraz wszystkie inne obce panny na wydaniu. Nie chciałam mu jednak tego mówić, żeby go nie zawstydząć. Jacek nie widział w lustrze tego samego, co wszyscy wokół niego. Jakaś miła dziewczyna mogłaby mu uświadomić, jak bardzo jest przystojny, inteligentny, otwarty, podarować wiele szczęścia, pozostawało się tylko modlić, żeby na taką trafił. Agnieszka ze swojej wyprawy napisała właśnie do niego, ten fakt dobrze wróżył.

– Skoro do ciebie napisała, to znaczy, że myśli o tobie, tam hen, hen daleko na Galapagos – powiedziałam.

– No nie wiem... ona jest taka... niecodzienna. Zawracałaby sobie głowę kimś takim jak ja? – Zaczął obgryzać paznokcie, musiałam go trzepnąć po łapach.

– Tak sobie też myślałam, kiedy spotkałam mojego przyszłego męża, Waldemara. Tymczasem okazało się, że on umierał z niepewności, czy to ja go zechcę! Spotkajcie się po jej powrocie, choćby tu, u mnie, tak niby przypadkiem, może sama coś wywnioskuję z obserwacji? Trzeba trochę pomóc losowi. Jak ja bym chciała, żeby ona wróciła z tej Anglii do Polski i tutaj mieszkała! Okropnie nie lubię, jak się najbliżsi po

świecie rozjeżdżają.

Jacek zaalarmował mnie, unosząc brodę, Gierkowa wyszła na balkon. Siedziałam tyłem, więc nie mogłam widzieć, ona otwierała drzwi tak cicho, że nigdy nie słyszałam, czy oficjalnie wyszła na przeszpiegi balkonowe, czy konspiracyjnie podsłuchuje zza firanki. Tym razem pod pretekstem pilnego wytrzepania obrusu, ustawiła się bardzo blisko naszych foteli wiklinowych. Piękne były te dwa foteliki, wyścielone kolorowymi poduchami, wygodne i szykowne. Agnieszka mi je przysłała z Anglii dwa lata wcześniej, stwierdziwszy, że potrzebuję więcej komfortu na balkonie. Gierkowa zobaczywszy te fotele po raz pierwszy, posiniała z zazdrości. Sama wysiadywała na zwykłym taborecie bez oparcia i bolała ją potem kręgosłup, w szczególności kość ogonowa. Pognała do sklepu następnego dnia rano, po południu tragarze wnieśli na czwarte piętro stolik i dwa krzesła ogrodowe, wyścielone gąbką. Niestety, jej balkon był połowę mniejszy od mojego, narożnego, więc ten zakup po prostu się zmieścił. Pozostawiła sobie jedno krzesło, a stary taboret, przykryty ściereczką, udawał stolik.

Jacek uklonił się grzecznie.

– Ale dzisiaj pogoda! Jedź się Jacek lepiej gdzieś poopalać, zamiast siedzieć i papierochy ćmić u emerytki. – Usłyszałam jej głos zza pleców. Jacek zmrużył oczy. Ostentacyjnie wydmuchał dym ponad moją głowę.

– Niech pani tak nie trzepie tego obrusa, bo pani w nim dziury porobi – powiedział do niej i szybko dał mi znać, że czas na ewakuację z balkonu, zanim Gierkowa się rozkręci. Niechętnie wstałam z fotela. Moje życie na tym czwartym piętrze byłoby idyllą, gdyby nie sąsiadka z prawej. Nie mogłam gorzej trafić.

– Ty się tak nie mądrzyj, za smarkaty jesteś – krzyknęła do naszych pleców. Jacek energicznie zamknął drzwi balkonowe.

– Co za potwór! Aż trudno uwierzyć, że babsztyle tego pokroju po świecie jeszcze chodzą. Współczuję pani takiego sąsiedztwa, z całego serca. Za mało dałem jej popalić jako dziecko, teraz żałuję. Darła się na nas dniami i nocami, policją straszyla, z klatki przeganiała, za uszy ciągnęła, wszyscy się jej bali, nikt się nie postawił. Jej synowi spuszczałyśmy

powietrze z kół, raz wrzuciliśmy jej do siatki z zakupami zdechłą mysz, raz namalowaliśmy swastykę na drzwiach czarnym sprejem. Piękne to były czasy... teraz jestem już za stary, żeby jej jakiś numer wyciąć, mogę tylko pyskować. I będę pyskować, strasznie mi ten babsztyl ciśnienie podnosi. Ale pani, pani Tosiu, niech się nie denerwuje, najlepiej z nią nie rozmawiać.

– To też i nie rozmawiam – uspokoiłam go. – Nie martw się o mnie, ja sobie z nią radę dam przez tyle lat, nie przegrywam. Leć do Soczi, opal się, popij ruskiej wódeczki, poflirtuj z dziewczynami, a tam ładne są, świeży wracaj do bloku.

Ucałowałam go w czoło, kiedy się nachylił, żeby mnie cmoknąć w dłoń. Od pewnego czasu nasze powitania oraz pożegnania obfitowały w pocałunki i uściski, rzeka serdeczności płynęła pomiędzy nami, trafiło mi się na stare lata!

– Tylko mi jeszcze powiedz, dlaczego akurat do Soczi? – Stałam na drzwiach, czekając wraz z Jackiem na windę.

– Mój ojciec był w Soczi, mówił, że jest tam wyjątkowo pięknie. No to postanowiłem sprawdzić. Był tam na wycieczce z pogotowia, przynajmniej tak mi się zdaje, jak wrócił przywiózł nam superprezenty. Mama dostała złoty pierścionek, Agata złote kolczyki na Komunię, a ja zabawkę-kolejkę. Taką wypasioną z szynami, semaforem, wie pani. Szkoda, że ją porąbałem młotkiem, kiedy ojciec uciekł od nas. Teraz kalkuluję, że on te prezenty nam na otarcie łez przywiózł, wiedział, że nas zostawi tydzień później. Ludzki pan.

Winda nadjechała.

– Jacek, jeszcze ten ostatni szkielet z szafy trzeba będzie wyrzucić – powiedziałam mu na do widzenia.

– Też tak sądzę.

Pomachałam mu i weszłam do mieszkania.

Wszyscy się rozjechali w sierpniu, zostałam całkiem sama w wielkim mieście. Podobała mi się perspektywa samotnych kilku dni i nocy, akurat tyle mi było potrzeba, żeby sobie porządek w głowie zrobić, sił nabrać,

przemyśleć wydarzenia z ostatnich miesięcy. Zadzwoiłam do Lilianny, nasza rozmowa była bardzo krótka i niekonkretna. Tak, czuła się dobrze. Nie, z Maxwellem się nie widuje. Tak, ma żonę w Nigerii. Nie, Samuel nie jest ojcem dziecka. Tak, odwiedza ją w nowym mieszkaniu, za które jest bardzo wdzięczna wujkowi Arturowi. Nie, z matką i ojcem nie rozmawiała ostatnio. Nie, nigdzie nie wyjeżdża na lato, wakacje spędzi w Katowicach, urządza się, w wolnych chwilach tłumaczy zbiór opowiadań z włoskiego na polski, ma nadzieję skasować ładną sumę. Tak, odwiedzi mnie we wrześniu, w październiku najpóźniej. Nie, pieniędzy nie potrzebuje. Ja ze swej strony zapewniłam, że moja forma wręcz wyśmienita. Skłamałam, nie przyznałam się, że mnie chroniczne zmęczenie prześladowuje, jak szybko pochylałam się ku ziemi. Wyciekało ze mnie życie jak krew z ранnego zwierzaka.

ROZDZIAŁ XIII

Obiad niedzielny był niczym stypa. Agnieszka nie odzywała się wiele, Zuzanna plotła bzdury, od słuchania jej mądrości, uszy mnie rozbolały. Artur popijał samotnie. Tak jak nie nadużywał alkoholu całe życie, tak ostatnimi czasy folgował sobie dość oficjalnie. Kiedy proponował kieliszek wina siostrze, ta z dumą oświadczała: „My z Karolem alkoholu nie pijemy”. Za jej plecami Artur robił obleśne miny, wyszydając siostrę. Karol przyniósł zdjęcia z majowych uroczystości beatyfikacyjnych Jana Pawła u, w których brał udział. Nie pytając, czy życzymy sobie być zanudzeni, podłączył coś do telewizora, na dużym ekranie zaczęliśmy podziwiać jego pielgrzymowanie do Rzymu. Wszystko na tych fotografiach było dobrze udokumentowane, każda chwila, kroczek w przód, dużo zadumy, wzniosłe gesty, szczere łzy, egzaltacja tłumu, gwarne lotnisko Okęcie. Mimo to, nijak nie mogłam się wzruszyć. Objasniał nam te fotografie niczym Pismo Święte, tłumaczył z namaszczeniem każdy szczegół, kolor, ludzkie twarze, trwało to wieki, fotografii było chyba z trzy-sta. Agnieszka, świeżo po doświadczeniach na Galapagos, z pewnością miała piękne zdjęcia do pokazania, wiele do opowiedzenia, ale Karol przejął inicjatywę, swoimi przeżyciami z Rzymu wypełnił nie tylko ekran telewizora, ale i cały pokój.

Artur rzucił okiem, ziewnął ostentacyjnie, po czym szybko powrócił do dłubania w komórce, wychylając kieliszek za kieliszkiem. Miał już pofarbowane, sine usta od czerwonego wina. Siedział obok Agnieszki, próbował ją zagadywać. Odpowiadała mu półgębkiem, odwrócona bokiem, nie zaszczyliła ojca miłszym spojrzeniem.

Dwa dni wcześniej wrócili z Oktawią z Galapagos prosto do pustego domu, bo choć Artur wziął tylko rzeczy osobiste i ubrania, już po otwarciu drzwi buchnęła pustka. Tyle powiedziała mi Agnieszka przez telefon.

Potwierdziła, że przyjadą z ojcem na uroczysty obiad rocznicowy. Nie chciałam omawiać separacji jej rodziców telefonicznie, dość mi było usłyszeć smutek w jej głosie, jak tylko zapytała: „Czy babcia już wie, że tato odszedł od mamy?”.

Dziś była rocznica śmierci Waldemara, którą zawsze obchodziliśmy w szerokim gronie. Bardzo źle czuliśmy się dnia 1 listopada, lecz by tradycji stało się zadość, podążaliśmy na cmentarz, targając donice chryzantem, reklamówki pełne zniczy, niezliczoną liczbę pudełek z zapalnikami. Chyba dziesięć lat temu Artur zaproponował, żebyśmy poświęcili jeden dzień w roku na wspominanie jego ojca, jednak pod żadnym pozorem nie może to być Święto Zmarłych. Mnie się pomysł spodobał od razu, Zuzanna łaskawie przystała na propozycję brata, choć zazwyczaj kręciła nosem na każdą jego inicjatywę. Poinformowaliśmy wnuki o naszych ustaleniach, 30 sierpnia każdego roku, w rocznicę śmierci, spotykaliśmy się na obiedzie nazywanym „Dla Waldemara”. Nie było przymusu stawienia się, ale kto mógł, to przyjeżdżał. Poza jednym rokiem, kiedy Agnieszkę złapała choroba wirusowa w Indiach, zawsze wszyscy byli obecni. W tym roku nie przyszła Oktawia i Lilianna. Dwie kobiety oszukane przez mężczyzn. Lila nie chciała spotkać się z rodzicami, natomiast Oktawia po prostu nie przyszła, co w zaistniałej sytuacji nikogo nie zdziwiło.

Zuzanna przyszła przed czasem, jeszcze miałam fryzurę nie uczesaną, dres nie zapięty, bardzo mnie ucieszył jej widok. Pocałowała mnie w pergaminowy policzek, pochwaliła za zdrowy wygląd, całkiem miło ze mną gawędząc.

Przyniosła tort orzechowy, ulubiony deser jej ojca, butelkę włoskiego wina musującego, miniaturowe różyczki w doniczce, prezent dla mnie. Karol miał dołączyć później. Dawno nie widziałam swojej córki, stęskniłam się za nią. Obeszła mieszkanie, poruszała firankami, poprzesztawiała bibeloty, nakryła do stołu, potem usiadła w kuchni przy oknie. Moja kuchnia zdawała się pełnić funkcję sztabu dowodzenia, tam przeprowadzało się większość istotnych rozmów, a także podejmowało ważne decyzje.

– No i co ty o tym wszystkim sądzisz? – zapytała, odczekawszy, aż odcedzę ziemniaki. Podgotowałam je lekko, w drugim etapie miałam zamiar rzucić na gorący olej, wstawić do piekarnika, opiec na złoty kolor. Pola mnie nauczyła, jak takie ziemniaki po angielsku przyrządzać.

– Nagle się okazało, że Oktawię lubię – odparłam, zgadując o co pyta. – To było dobre małżeństwo. Potrzyмай mi tę brytfannę. Weź przez ścierkę.

– Mamo, może ja powinnam z nim porozmawiać? – Wzięła ścierkę z nadrukiem kurortu w Brighton, odsuwając się na bezpieczną odległość.

– Będzie o szóstej, spróbuj – odparłam. Sypnęłam poćwiartowane ziemniaki na gorący olej.

– On chyba zwariował, na stare lata z żoną się rozstawać?

– Nie jest jeszcze taki stary, dobrze wygląda, dziesięć lat młodziej – powiedziałam zgodnie z prawdą.

– Pewnie, włosy farbuje, wieczne diety, drogie kremy własnej produkcji na kolagenie z najwyższej półki, nie wiem, czy sobie czegoś w czoło nie wstrzyknął, bo bardzo gładki jest. Drugi Ibisz – prychnęła pogardliwie. Zamknęła z hukiem drzwiczki piekarnika.

– Dbaj o siebie Zuziu, ty też powinnaś, nie ma w tym nic złego.

Popatrz, nawet ja dzisiaj powiekę trochę podmałowałam. – Nadstawiłam swoją pomarszczoną twarz do inspekcji, ale córka ledwie rzuciła okiem.

– Jednak z dresu mama nie zrezygnowała, choć mamy święto rodzinne. Co to jest za napis? „Pineapple”? Co za wściekły róż! Wszystko jedno, przyszedłam wcześniej, żeby porozmawiać właśnie o Arturze, chyba trzeba mu przemówić do rozsądku! Dom, firma, żona, Agnieszka, Boże, tak z dnia na dzień, do widzenia? To się w głowie nie mieści! Muszę z nim porozmawiać, choć nie palę się do tego. – Zuzanna zmieniła front. – Niekoniecznie dzisiaj. Nie chcę psuć wieczoru.

– Porozmawiać możesz, ale kiedy wszyscy ciebie przekonywali, żebyś nie bojkotowała ślubu córki, uparłaś się jak osioł! – przypomniałam jej szybciotko. Zuzanna poczerwieniała, zbierając siły do riposty.

– Nie było żadnego ślubu i nie będzie! Miałam rację, to raczej oni wyszli na głupków z tymi wiązankami kwiatów pod USC. Lilka zrobiła głupstwo, ona, nie ja. A tutaj Artur chce palnąć jeszcze większe – mówiła szybko i nerwowo.

Wysłuchałam przemówienia o swojej skłonności do idealizowania syna i niesprawiedliwości w traktowaniu dzieci. Był to ulubiony temat zaczepny mojej córki. Naprawdę zgrana płyta, po którą sięgała nader często. Napomniałam ją, żeby przetała kieliszki do wina, a nie wywoływała spieć przy okazji rodzinnego obiadu. Poprychała jeszcze jak kotka, jednak przestała robić mi wyrzuty. W dwóch słowach opowiedziała o urlopie nad morzem. Woda była brudna, podpaski pływały w morzu, drożyzna, tłumy, wrzeszczące dzieci, nie odpoczęła!

Kiedy Artur przyszedł z Agnieszką u boku, zamaszysty, wrogo nastawiony do świata, stało się jasne od progu, że żadnej spokojnej rozmowy między rodzeństwem nie będzie. Cały jego wygląd był surowym ostrzeżeniem – NIE MIESZAJCIE SIĘ! – Trzeba nam wszystkim było to uszanować, niestety sprawy miały fatalny przebieg.

Agnieszka pocałowała mnie w policzek, usta miała w środku lata zimne jak kostka lodu. Poglaskałam ją po głowie, co jeszcze mogłam zrobić? Przybycie Karola rozładowało trochę atmosferę, a kiedy już puścił te swoje zdjęcia, zrobiło się całkiem neutralnie, choć śmiertelnie nudno. Agnieszka wyszła z pokoju, zaczęła hałaśliwie zmywać talerze po obiedzie. Zuzanna donosiła do stołu kawałki tortu ze srebrnym widelczykiem, spoczywającym na porcelanowym talerzyku, ja siedziałam w swoim fotelu, zasępiając się bezmyślnie. Ze względu na Agnieszkę, nikt nie miał zamiaru przepytawać Artura, gdzie mieszka ani jaki zespół adwokacki przeprowadzi rozwód, czy Oktawia zniosła godnie nowinę? Gapił się w telewizor. Zdjęcia przewijały się niezwykle powoli.

– A mama była w Rzymie? Bo nawet nie wiem? – zapytał mój zięć.

– Nie byłam, nie złożyło się. Waldemar nie lubił podróżować – odparłam.

– Piękne miasto, ja się tam czuję jak u siebie. Lila nauczyła mnie

włoskiego na tyle, że sobie daję radę. Mógłbym tam mieszkać, niestety po śmierci Ojca Świętego, to już nie to samo miasto. Pamiętasz Zuziu moją ostatnią audiencję? Jakies dwa lata przed śmiercią, na wiosnę to było... Zawiozłem mu, na prezent z Polski, miód, wiem, że jadł ten miód na śniadanie, podobno bardzo mu smakował... – Karol rozkliwiał się, wzruszony własną szlachetnością. Zuzia potwierdziła, że pamięta tę podróż.

– Jak to, jemu zawiozłeś? Papieżowi? – Artur zapytał z szyderyczym uśmiechem, choć wydawało się, że w ogóle nie słucha, o czym się mówi przy stole.

– Oczywiście, przecież mówię. Byłem na audiencji rok wcześniej, jeden ksiądz posługujący w Watykanie podpowiedział mi, żebym spadziowy miód podarował Ojcu Świętemu. Miód kupiłem w pasiece u kuzyna na Podhalu – objaśnił.

– Pewnie sekretarze papieża zżarli mu ten miód, nawet go nie skosztował! – Artur skrzywił się z niesmakiem. – Tam sztab przydupasów był, na czele z kapciowym Dziwiszem. Była to grupa trzymająca władzę... He, he, a szukali tej grupy w Polsce.

Mój syn wykorzystywał każdą okazję, aby zademonstrować swój antyklerykalizm. Jego dobry kolega zrzucił sutannę kilka lat wcześniej, oficjalnie wystąpił z Kościoła katolickiego, głosząc swoją własną religię, która doskonale obywatela się bez kościelnej hierarchii i przepychu, jakim otaczają się księża. Artur od razu zaakceptował nową religię promowaną przez kolegę, byłego księdza. Nie była to w zasadzie nowa religia, tylko ta, którą wszyscy wyznajemy, ale mocno uproszczona i odchudzona, taka religia z ludzką twarzą, a raczej Jezusową twarzą. Dla Karola były to czyste herezje.

– Co ty możesz Artur wiedzieć, co jedli sekretarze Ojca Świętego? Byłeś ty kiedy w Watykanie?

– Nie, ale mój znajomy był, uczył się tam, jak być jeszcze lepszym klechą, aż w końcu uciekł, gdyż nie zdzierzył.

Artur szukał zaczepki, powinien go była zawczasu przywołać do porządku, tryskał agresją, pretensją, ugiął się pod naporem wydarzeń

ostatnich dni, chciał na bliźnich wyładować swój żal.

– Wiem, słyszałem, chwaliłeś się nawiedzonym kolegą – powiedział Karol i spojrzał czule na żonę. – Sama piekłaś ten tort?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Artur znów się odezwał.

– Nie dość Karol, że na świętego za życia się szykujesz, to jeszcze masz zamiar głosować na PiS. A miodu Kaczyńskiemu byś nie sprezentował? Co? Zawieź mu słoiczek! Prosto z Podhala! Zdradzonemu o świecie...

Agnieszka uśmiechnęła się lekko, ale zaraz oceniła powagę sytuacji, twarz jej spoważniała. Karol wstał od stołu, wyłączył telewizor, odpiął to małe urządzenie, z którego płynęły zdjęcia, ostentacyjnie, zamasztyrzymi ruchami pakował drobiazgi do reklamówki.

Artur mocno już rozweselony alkoholem, raz poczuwszy zapach krwi, nie mógł się powstrzymać.

– Daj Jarkowi miód na osłodę, bo kto mu życie osłodzi? Macierewicz?

– Uważasz, że jesteś dowcipny? – wtrąciła się Zuzanna. Stanęła na przeciwko brata, mierząc go wzrokiem.

– Uważam, że niedługo wszyscy będziemy jechać do Rzymu na beatyfikację twojego Karola! Będzie to beatyfikacja za życia, pierwsza w historii.

– Artur! – krzyknęłam.

– Tato, przestań!

Moje napomnienie nałożyło się na słowa Agnieszki. Artur spojrzał na nas zdziwiony.

– Ale w czym rzecz? Co ja takiego powiedziałem? Chyba wszystkie widziałyście zdjęcia z pielgrzymki numer dwieście trzydzieści jeden, tę wielką aureolę nad głową naszego pielgrzyma Karola. *Santo Subito!*

Przesadził. Powiedziałam mu to w dwóch słowach, jednak nie bardzo się przejął. Zuzanna wyrażała oburzenie coraz głośniejsze, Artur nie reagował, jakby sobie za cel wziął doprowadzenie ich do białej gorączki.

Agnieszka, przeczuwając zbliżającą się awanturę stulecia, założyła

sweter i wyszła z mieszkania w ciągu kilku sekund. W powietrzu ledwo zapach jej perfum.

Przez chwilę po jej wyjściu był spokój, wystarczyło jednak, aby w wiadomościach ukazały się relacje z uroczystości na Jasnej Górze, Artur zaczął od nowa. Jakże on nie znosił Kościoła i księży! Nazywał ich „kamtaniarzami” z lubością powtarzał wszystkie dowcipy o księżach, ministrantach, które sprowadzały śmiech na temat pedofilii w Kościele katolickim. Nie zdążyłam przełączyć na inny kanał.

– A może się zapiszesz do PiS-u Karol? Będziesz tam pasował z tą swoją szczerą twarzą... i z sandałami... – Artur rechotał, wpatrując się w obuwie szwagra.

Fakt, te Karolowe sandały nie były szczytem elegancji, co gorsza, odarłyby największego przystojniaka z męskości. Mój Waldemar nawet w letnie upały zakładał całe buty, nie pokazałby światu swoich palców u stóp za żadną cenę. Karolowi schodził paznokieć z największego palucha, na tym nieestetycznym widoku zaczęliśmy wzrok. Zuzanna zbierała się do ataku, obserwowałam jej tężącą krtań, wystąpiła w obronie męża.

– Zamiast politykować, wyśmiewać się z Karola, porozmawiajmy lepiej o tym, jak porzuciłeś żonę dla jakiejś młodej dupy! Chyba nie masz zamiaru cały wieczór udawać, że nic się nie stało?

Jeśli Gierkowa czyhała za ścianą na podsłuchu, to z pewnością słowa Zuzanny poderwały ją z krzesła.

– Zuza... nie tym słownictwem – Karol jęknął.

– Jaka sytuacja, takie słownictwo – kontynuowała podniesionym głosem. – Ja mam już dość tego dogadywania, że córka mi się z Murzy-nem puściła, nie stać nas na dom, Karol jeździ starym autem, teraz doszły te absurdy o miodzie i sandałach. Zaraz zwymiotuję!

– Dzieci, uspokójcie się – próbowałam się wtrącić, ale oni klócili się ponad moją głowę. Zuzanny dekolt pokrył się czerwonymi plackami, Artur miał coraz większe kłopoty z wyartykułowaniem słów, Karol stał pośrodku w roli rozjemcy, gotowy na interwencję.

– Ja was proszę, nie kłóćcie się w rocznicę śmierci waszego ojca. Nie wypada – jęknął. Jego żona nie miała zamiaru wyhamować teraz, kiedy już zaczęła.

– Jak ci nie wstyd, stary ośle! – zwróciła się do brata. – „Włos siwieje, dupa szaleje”, tak się mówi o takich jak ty. Jak zużyty kapeć wywaliłeś żonę, wstydź się!

– Wstyd? Wręcz przeciwnie. Dumny jestem, że odważyłem się iść za głosem serca w moim wieku. – Artur nalał sobie wina do kieliszka i szybko umoczył w nim usta.

– Za głosem serca? Chyba rozporka! – rzuciła Zuzanna.

Karol pokręcił głową, zniesmaczony ostatecznie taką wymianą zdań. W jego rodzinie panowało od pokoleń grobowe milczenie, największe konflikty kwitowano ciszą, najcięższe próby, choroby, upadki, nigdy nie doczekały się przeanalizowania na łonie rodziny. Teściowa Zuzanny piekła placek, a teść przejmował władzę nad pilotem, pozostali zatapiali się w milczeniu. Zuzanna wielokrotnie o tym wspominała, ponieważ z początku nie umiała się dostosować. Mówiła mężowi, kiedy pojawił się problem: „Jedź do rodziców porozmawiaj, idź do brata porozmawiaj”, jednak Karol od zasadniczych rozmów stronił, taką naukę wyniósł z domu: „Milczenie jest złotem i najlepszym lekarstwem”.

Nasze patroszenie na forum musiało go wręcz przerażać.

– Najlepiej będzie, jak się pożegnamy. – Mój zięć zaczął nerwowo szukać kluczyków do samochodu, wywracając kieszenie na lewą stronę. – Zuziu, będę czekał przy samochodzie... do zobaczenia, mamó.

Nikt się nie poruszył.

– Na tych oazach nie nauczyli cię ani miłości, ani antykoncepcji, tylko pieśni religijnych o dobrym Jezusie i bezmyślnej wierności instytucji Kościoła. – Artur rozparł się na kanapie, kręcąc kielichem wina. – Szkoda, może gdyby było mniej Kościoła w twoim życiu, tobys umiała swoją córkę kochać lub przynajmniej zrozumieć.

– Artur! Jesteś pijany, daj spokój. – Karol zabrał mu butelkę sprzed nosa. – Połóż się w małym pokoju i prześpij. My wychodzimy.

Artur szybkim ruchem odebrał szwagrowi butelkę. Robiło się naprawdę nieprzyjemnie. Zuzanna nie wytrzymała, wyszła na balkon zapalić.

– Może i jestem pijany, bo na trzeźwo się nie da – zabelkotał mój syn. Wstałam z fotela.

– Przestańcie – powiedziałam podenerwowana, mierząc wzrokiem Artura. – Niepotrzebna jest ta kłótnia, do niczego nie prowadzi, wasz ojciec się w grobie przewraca. A w ogóle, dlaczego ty jesteś taki nieprzyjemny dla Karola?

Karol pośpieszył z odpowiedzią.

– Nie przepadamy za sobą, ale dzisiaj przeholował pan biznesmen. Pogardza takimi ludźmi jak my, nie grającymi na giełdzie. Zuza, kończ z tym paleniem, jedziemy do domu – zwrócił się w stronę żony.

– No, ty i giełda! Karol, nie przesadzaj. – Artur śmiał się. – Nie, nie pogardzam tobą szwagier, ty mnie po prostu wkurwiasz.

– Na miłość boską! – krzyknęłam, zakrywając twarz dłońmi.

Mój syn mnie naprawdę przerażał. Nigdy nie słyszałam, aby używał wulgaryzmów w rozmowie, aż do dnia dzisiejszego. Jeżeli jego nowa miłość niosła ze sobą taką odmianę charakteru i zeszmacenia kultury, to lepiej by mu było przed tym uczuciem schować się pod ziemię! Bronił swojej decyzji, atakując członków rodziny, jakby po męsku nie umiał postawić kropki nad i, zmilczeć uwagi siostry. Przeprosił mnie, mnie te jego przeprosiny nie były potrzebne.

Zuzanna wniosła do pokoju zapach tytoniu. Zamknęła za sobą drzwi balkonowe, pewnie dojrzała sąsiadkę Gierkową trzepiącą serwetę lub podlewającą pelargonie, usiłującą uronić choć słówko z rodzinnego dramatu. Ruszyła na brata:

– Taki stary, a taki głupi! Jak tak można? Po tylu latach. Gdyby ojciec żył, przemówiłby ci do rozsądku. Człowieku, gdzie twój honor?!

– A gdzie Bóg? A gdzie ojczyzna? – Artur przybrał ten najbardziej kpiarski ton, czym irytował siostrę jeszcze mocniej.

– Nie pajacuj, nie pajacuj. Karol cię wkurwia? Czym? Że nie jest do ciebie podobny, że nie jest taki zaradny i ustawiony jak ty? A ja go za to

właśnie kocham, że nie jest taki jak ty! – Zuzanny głos szybował wysoko, nienaturalne tony wybrzmiewały w każdym słowie, nerwy prowadziły tę rozmowę w złym kierunku. Artur spojrzał jej w oczy.

– Nie. Wkurza mnie, że nas tu raczy relacją z pielgrzymki, kłuje w oczy świętością, taki, kurczę, wzór cnót wszelkich z transparentem na placu Świętego Piotra, że my normalni ludzie czujemy już swąd ognia piekielnego za swoje marne życie, a jednocześnie jedyną córkę potraktowaliście jak zadzumioną, odtrąciliście ją i waszego nienarodzonego wnuka. Ona tam sama w tych Katowicach rozpacza, macie pojęcie, jak przeżyła to wszystko? Jaka jest zdruzgotana? – Artur mówił, nie pozwalając im się wtrącić. – Zakochała się, zaszła w ciążę, chciała wyjść za mąż, a jej wybranek okazał się oszustem, ale to nie jej wina! Ale nie, wy demonstrujecie ten wasz obleczony hipokryzją katolicyzm, gdzie tylko w osiedlowym kościele i na pielgrzymce jesteście święci, ale już nie w stosunku do własnej córki! A gdzie miłość bliźniego? Przeszkadza wam, że jest czarna i że nie jest katolikiem?

Karol wzdychał i spoglądał na żonę, oczekując, że odeprze umiejętnie zarzuty brata. Zuzanna przez moment zbierała siły. Ona cierpiała, ponieważ Lilianna odsunęła się od nich, mieszkała gdzieś tam w Katowicach, w zaawansowanej ciąży, niezamężna, oszukana i samotna. Artur, zżerany przez wyrzuty sumienia, pogardzał sam sobą, jednocześnie pragnął tej nowej kobiety, szczęścia, jakie pojawiło się na horyzoncie, choć wiedział, jak rani, porzucając żonę. Moje dzieci nie zjednoczyły się w poczuciu krzywdy wyrządzanej i doświadczanej, zamiast tego, rzuciły się na siebie niczym wściekłe psy. Karol był tylko przypadkową ofiarą, niestety srodze oberwał, nawet jak na rozjemcę.

– Nie udawaj, że tak cię obchodzi los Lilki. Wielki ojciec chrzestny! – Zuzanna wysyczała ze złością. – Zresztą, w nosie mam twoje pieniądze i sukcesy! Nic od ciebie nie chcę i nigdy nic od ciebie nie dostałam.

Karol włożył obie dłonie w kieszenie marynarki, demonstrując, że nie ma zamiaru ani pić ze swoim szwagrem, ani więcej z nim rozmawiać. Usiłował pochwycić spojrzenie żony, zmobilizować ją do wyjścia,

Zuzanna miała jednak inne zamiary. Ja w ogóle przestałam się odzywać, bo i tak nikt sobie nic nie robił z moich interwencji. Nie pamiętam, kiedy ostatnio moje dzieci tak otwarcie się kłóciły? Artur, mistrz prowokacji, sprowadził ich rozmowę na błotniste, obrzydliwe tereny. Zuzannie najwyraźniej było to na rękę, ponieważ była w takim samym bojowym nastroju. Gdyby spotkali się gdzieś na mieście, pewnie by nie mieli odwagi tak się ze sobą obejść, ale w mieszkaniu starej matki, przy świadkach, nabrali animuszu, parli do przodu niczym dwa czołgi pancerne. O co tak naprawdę chodziło Arturowi? Oczywiście, alkohol spożyty przez mojego syna odegrał znaczącą rolę, Zuzanna była naturalnie trzeźwa, ale zachowywała się równie agresywnie. O co jej chodziło? Po krótkiej chwili ciszy, kiedy zbierałam się, aby coś pojednawczego powiedzieć, Zuzanna zdecydowała się opuścić przyjęcie.

– I jeszcze jedno. – Sięgnęła po torebkę przewieszoną przez oparcie krzesła. – Nie pouczaj mnie, jak dbać o własne dziecko. Nie chcę powiedzieć za dużo, ale może by należało wspomnieć twojego syna.

Opadłam na fotel bez sił. Niepotrzebnie wspomniała Emila, to mogło pociągnąć za sobą cały tabor żalów i wspomnień. Rany otwierały się zaskakująco szybko, kiedy padało jego imię. Zuzanna dobrze o tym wiedziała, strzeliła bez ostrzeżenia w najwrażliwsze miejsce. Na szczęście Artur nie uczeplił się tego napomknięcia o swoim synu, jakby nie usłyszał tej uwagi.

– Nie jestem aż taki skąpy, jak ci się wydaje, nie mam zamiaru wychwalać się swoimi zasługami ojca chrzestnego – powiedział.

Przyniosłam z kuchni butelkę nalewki wiśniowej, maleńką, półlitrową, postawiłam na stole.

– Dajcie już spokój – powiedziałam. – Wasz ojciec umarłby ze zgrzyoty, gdyby was słyszał. Robicie sobie przykrości w chwili, kiedy siebie najbardziej potrzebujecie. Ani tobie nie jest łatwo z tą decyzją o odejściu od Oktawii, ani tobie w tej sytuacji z Lilą i jej niedoszłym ożenkiem. Ja stoję nad grobem, nie życzę sobie opuszczać tego świata z ostatnią przytomną myślą, że moje dzieci są skłócone!

Zuzanna skrzywiła się po moich słowach.

– No chyba mama zauważyła, że to Artur zaczął ten koszmar? Czy może mama tego nie widzi, jaki podły może być jej ukochany synalek? Co teraz mamy robić? Podać sobie rękę na zgodę? Wycalaować się? Wymienić koszulkami?

– Dziecko, nie mów tak... – jęknęłam.

Miałam już pod koniec dnia tylko jedno marzenie. Żeby wszyscy poszli, koniecznie zabrali ze sobą żale i pretensje. Może nasza rodzina nie należała do idealnych, zdarzały się przez lata nieporozumienia, drobne kłótnie, szczególnie kiedy Artur zaczął się bogacić, ale nikt nie prowadził wojny! Nie sam fakt posiadania pieniędzy go zmienił, był tym samym człowiekiem, to ludzie wokół zaczęli go postrzegać inaczej. Daleko szukać! Jego koledzy zlecieli się na wieść o sukcesie jak natrętne muchy, jeden przez drugiego chcąc coś u mojego syna załatwić. Wszyscy nalegali, aby im lub ich dzieciom dał pracę, żeby sponsorował jakieś koncerty, wycieczki górskie, bezdomne psy, aby pomagał w uzyskaniu kontraktów, udzielał bezwrotnych pożyczek, odsprzedawał im swoje samochody i laptopy. Napierali na niego ze wszystkich stron, z północy, z południa, z prawa, z lewa, a kiedy nie wszystkim był w stanie pomóc, albo ze wszystkimi się spotkać, rozpuszczali brzydkie plotki po mieście, że mu się w głowie przewróciło, w skureczybyka się zmienił, o starych kumpłach zapomniał, pogardza otoczeniem. Zuzanna i Karol z rozkoszą przyłączyli się do grupy szkalujących. Miałam jej to za złe, Artur byłby im pomógł finansowo, nie przez dawanie pieniędzy, lecz poprzez rozkręcenie jakiegoś biznesu. Cóż z tego, kiedy Zuzanna konsekwentnie odrzucała wszelkie sugestie, życzliwe porady, powtarzając, że nie każdy człowiek w tym mieście musi robić biznesy i pomnażać fortunę, pozostaje jeszcze wiele innych rzeczy do zrobienia, jak na przykład nauczanie w szkole, czemu ona postanowiła oddać się bez reszty. Było to znacznie szlachetniejsze i pożyteczniejsze niż produkcja kremów dla podstarzałych pań. Artur tłumaczył jej, że jedno drugiemu nie przeszkadza, może inwestować lub ustawić męża we własnym interesie, ale Karol z kolei wołał służyć w komitetach parafialnych, przewodzenie grupom modlitewnym,

pisanie do katolickich pism, perspektywa pracy we własnej firmie mierzyła go. Artur miał dla nich kilka świetnych pomysłów, jak na przykład otworzenie myjni samochodowej, usług pośrednictwa pracy za granicą, handlu nieruchomościami czy prowadzenie restauracji oraz sklepu z winami. Artur od zawsze tryskał koncepcjami, miał niespożytą energię, zawsze, jak tylko zważał jakiś dobry interes, przychodził najpierw do siostry i szwagra z propozycją. Oczywiście, w miarę ich możliwości, bo do większych spraw, jak choćby sprowadzanie wina z Nowej Zelandii i Australii czy produkowanie opakowań na swoje kremy, dobierał sobie bardziej przedsiębiorczych partnerów. Interesy szły mu dobrze, jego siostra żyła na bardzo przeciętnym poziomie, manifestując wręcz swoją ubogość. Czerpała jakąś przedziwną satysfakcję z faktu, że jej się nie wiedzie, a jej brat wszystko, czego dotknie, zamienia w złoto. Obnosiła tę swoją niezaradność finansową niczym trofeum, napominając otoczenie, że nie trzeba wielkich pieniędzy, żeby być szczęśliwym. Historia z synem Artura, Emilem, była jej koronnym argumentem, choć rozmyślnie nigdy po niego nie sięgała. Ale co niewypowiedziane, jakimś sposobem nabierało jeszcze większej mocy, aby na koniec podsunąć wszystkim zainteresowanym myśl, że może to, co stało się z Emilem, ma jakiś związek z posiadanym majątkiem? Może to kara? Może przywołanie do porządku? Ostrzeżenie? Zarówno Zuzanna, jak i Karol, lubili wszystko tłumaczyć wyrokami boskimi. Nie wiadomo jednak, jak przetłumaczyli sobie fakt, że ich córka, jak sama Zuzanna ujęła, „puściła się z Murzynem”. Nie wyglądało to na akt łaski, a jeśli kara, to za co? Przecież żyli tak przykładowie!

Awantura między moimi dziećmi przygasła. Artur wytrzeźwiał i natychmiast się uspokoił, Zuzanna odłożyła torebkę, zabrała się do porządkowania po obiedzie. Karol wyszedł na balkon, rozsiadł się na moim wiklinowym tronie, przeglądając wiadomości w swoim telefonie komórkowym. Taki krajobraz bo bitwie zastała Agnieszka, powracając ze spaceru. Jacek niósł wielką wiązankę dekoracyjnych słoneczników, musieli się spotkać po drodze.

– Całkiem niedaleko są tu pola, fajne zagajniki, pozwoliliśmy sobie

skubnąć parę roślin. Piękne? – Agnieszka nalewała wody do wazonu, Jacek stał niezdecydowany pośrodku pokoju. – Nie mogliśmy się oprzeć. Jak to śpiewał Bajor? *Słonecznikowa kresko krzywa, złota Van Gogha perspektywo, ogrzej mnie!* A wy co? Zawieszenie broni? Tato, co tak siedzisz?

– A nic, nic. – Artur uśmiechnął się sztucznie. – Zadzwoń po tak-sówkę. Czas do domu.

– Do domu? – Agnieszka złapała go za słowo. – Dom, tatuś miał życzenie porzucić.

Zuzanna z satysfakcją kiwnęła głową, ale się nie odezwała. Jacek zaproponował, że odwiezie go pod wskazany adres, natomiast Agnieszkę do ich domu rodzinnego, na co obydwójce przystali. Uratował niezręczną sytuację.

Nie miałam okazji porozmawiać z nim o wrażeniach z wakacji w Soczi, wleciał do mnie na minutkę się przywitać, zaraz pojechał dalej, odwiedzić Agatę. Ciekawa byłam jego relacji z podróży, wizyty u siostry, musieliśmy to odłożyć ze względu na niedzielny obiad rocznicowy.

Gdyby Waldemar żył, spokojem i opanowaniem opamiętałby swoje dzieci, rozbroiłby bombę, która w jednym i drugim głośno tykała, ja byłam na to za głupia. Teraz wszyscy naraz wychodzili z mojego mieszkania. Zuzanna trzymała się ramienia Karola, Jacek z Agnieszką zamykali pochód. Całowaliśmy się w przedpokoju, wszyscy ze wstydem w oczach muskali mnie na odchodnym. I dobrze, powinni się byli wstydzić takiego zachowania w rocznicę śmierci ich ojca. Mieliśmy go wspominać, tęsknić za nim, oglądać fotografie, skończyło się na słownym policzkowaniu pomiędzy rodzeństwem. Było jeszcze jasno, kiedy wyszli. Z przyjemnością usadowiłam się na balkonie, oddychając ciepłym, letnim powietrzem. Na podwórku bawiły się dorastające szybko dzieci, wnuki sąsiadów przez nikogo nie nadzorowane, surowo nie napominane. U Gierkowej również było cicho i głucho, mogłam sobie spokojnie posiedzieć, porozmyślać, z wysokości czwartego piętra pooglądać mały świat osiedlowy. Pies pani Florek, puszczonego samopas, załatwiał się pod drzewem. Nikt jego kupy nie miał zamiaru sprzątnąć, ale z pewnością któreś

z dzieci w to gówienko prędeż czy później wdepnie. Dwie sąsiadki z klatki obok usadowiły się na ławeczce, zaplotły ramiona na wielkich piersiach, stykając się głowami, obgadywały inne sąsiadki. Z mowy ciała wynikało, że są bardzo zde gustowane, stanowczo nie podoba im się to czy tamto, w każdym razie, one by sobie nigdy nie pozwoliły, tak nie można, co za skandal, patrz pani, jakie to draństwo... Poczulałam ogromne zmęczenie, chyba pierwszy raz postanowiłam przysnąć sobie na balkonie. Nie miałam ani uncji siły, aby wstać, dokonać wieczornej toalety, przebrać się w koszulę nocną, pogasić światła i położyć się do łóżka. Zasypiałam. Słyszałam krzykliwy dziewczęcy głos, dochodzący z dołu:

– Spierdaj do Basi, co w burdelu światło gasi!

A potem chłopięcą odpowiedź, równie donośną.

– Wal się na cycki, wieśniaro!

Jaka wulgarna ta dzisiejsza młodzież, co z nich wyrośnie?

ROZDZIAŁ XIV

Nie mieszkałam już w Warszawie, kiedy ostatecznie rozsypało się małżeństwo Poli i Andrzeja. Gdzieś tak na początku lat sześćdziesiątych, przestali być formalnie mężem i żoną, ale nie pamiętam dokładnej daty. Było to na pewno przed 1968 rokiem, bo wtedy urodziła się Zuzanna. Pola wyjechała do Anglii, Andrzej wyemigrował do Francji, potem przemknął się do Ameryki pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Opuszczał ojczyznę zaszczuty i wyszydzony. Wiele tysięcy Polaków opuściło kraj, korzystając z możliwości legalnego wyjazdu z Polski, choć tak naprawdę była to czystka.

Andrzej stracił stanowisko, przywileje, władzę, szacunek nie tylko zwierzchników, ale i podwładnych, pod koniec lat pięćdziesiątych. Prawie z dnia na dzień stał się „Parchem”, wyrzucono go z partii. Pola opisała mi te przykre zajścia w liście, choć w czasie tych dramatycznych wydarzeń nie byli już małżeństwem ani nie mieszkali razem, pozostawali w przyjaznych stosunkach. Nie uroniłam łezki nad jego losem, w mojej głowie powoli nastawał okres „oświecenia”.

Pola, zanim wyjechała z Polski na stałe, na pewien okres zamieszkała sama w mieszkaniu na Mokotowie, o które wystarała się, jeszcze będąc żoną oficera Bezpieki. Nie zachęcała mnie nigdy do odwiedzin, nie miałam zatem pojęcia, jak wygląda jej nowe lokum, podejrzewałam, że nie był to wysoki standard. Jeśli zaczęło jej się gorzej powodzić, taki stan rzeczy musiał być przejściowy. Pola wychodziła z niejedynej opresji, byłam spokojna o jej losy. Nasze kontakty były sporadyczne w tamtym okresie, nie odwiedzałyśmy się, ani razu nie przyjechała do Rzeszowa, choć zapowiadała się kilka razy, aby w ostatniej chwili odwołać przyjazd. Pisywała do mnie listy, dzwoniła często, korzystając z luksusu posiadania przez nas telefonu. To ze względu na pracę Waldemara

przydzielono nam telefon, musiał być na każde wezwanie z fabryki. Nasze stosunki znacznie się ożywiły, kiedy w życiu Poli pojawił się nowy mężczyzna. Na początku 1968 roku poznała Anglika, pilota, który szkolił pilotów naszych linii lotniczych LOT, przynajmniej tak wynikało z jej relacji. Mógł być, ten jej Anglik, równie dobrze mechanikiem, personelem naziemnym, ale Pola mówiła o nim „Pilot”, więc ja podchwyciłam tę wersję bez zastrzeżeń. W opowieściach ciągnących się godzinami, niezwykle i wyjątkowy był ten jej amant. Zakochany na zabój, gotowy na ożenek po dwumiesięcznym okresie zaręczynowym. Fiu, fiu, tylko pozazdrościć.

Zaszłam w ciążę, nie odważyłabym się wtedy na żadną podróż, bo bałam się, że poronie, więc ominęła mnie przyjemność poznania nowego wybranka ciotki. Długo staraliśmy się o drugie dziecko, kiedy w końcu okazało się, że jestem przy nadziei, gotowa byłam położyć się do łóżka na całe dziewięć miesięcy. Lekarz ginekolog wcale mnie nie zachęcał do takiego poświęcenia, jednak z własnej inicjatywy postanowiłam się oszczędzać. Na najmniejsze nawet kichnięcie czy ukłucie w dole brzucha brałam zwolnienie lekarskie i kładłam się do łóżka. Waldemar mówił, że są to zwykle facecje, ale pozwalał mi na wszystko, troszczył się o mnie i o nasze drugie dzieciątko, które nosiłam pod sercem. W tamtym okresie namiętnie czytałam książki, wszystko, co tylko wpadło mi w ręce, do poduszki, gotując obiady, jadąc autobusem, jedząc kolacje. Jak na ironię, Zuzanna nigdy do książek się nie garnęła, czytała tyle tylko, ile musiała. Po skończeniu szkoły to już chyba żadnej książki nie wzięła do ręki, poza tymi, jakie kupował Karol, wszystkie o tematyce religijnej. Ja, będąc w ciąży, czytałam jak szalona, do dziś czytam, choć już tylko gazetki plotkarskie.

Państwo młodzi wyjechali do Anglii w połowie listopada. Pola w dniu wylotu wrzuciła pocztówkę na Okęciu zapisaną drobnym maczkiem, a na końcu umieściła ciepłe zdanie: *Życz mi szczęścia kochana moja, będę twoich dobrych życzeń wypatrywać w Londynie! Całuję Cię i obiecuję pisać.*

Było to pożegnanie na dłuższy czas, bo jak sama uprzedzała, nie

spodziewała się szybko wracać do Polski. Waldemar kpił sobie pod nosem, zastanawiając się głośno, czy aby nie odziedziczyłam po ciotce niestałości w uczuciach i nie planuję jeszcze trzech mężów mieć po nim? Dopisało mi szczęście, trafiłam od razu na właściwego człowieka, biedna Pola musiała szukać i szukać, tak ją tłumaczyłam przed Waldemarem. Nie darzył jej wielką sympatią, choć wprost tego nigdy nie manifestował, nowoczesne analizy psychologiczne doszłyby pewnie do wniosku, że czuł się zagrożony, zazdrosny o moją miłość do niej, lub jedno i drugie.

Z Anglikiem Pilotem Pola rozwiodła się w 1970 roku i mając lat pięćdziesiąt, wyszła za mąż za niezwykle bogatego założyciela obwoźnego handlu lodami, którego biznes przeistoczył się w wielką wytwórnię lodów, niejakiego Petera Allena. Był to czwarty, zarazem ostatni mąż mojej ciotki Poli. W dniu ślubu pan młody miał skończone siedemdziesiąt lat.

Nie zaskoczyła mnie tak bardzo, jak powinna, wizyta jego wnuka, Adriana Allena. Mówię nie zaskoczyła, ale tak naprawdę nie były to spodziewane odwiedziny, bo jakże można spodziewać się kogoś, o którym istnieniu nie miało się pojęcia? Pani Florek przybiegła do mnie z wieścią, że na dole, pod klatką stoi jakiś mężczyzna, nie mówi po polsku, nie wiadomo, o co mu chodzi, ale ma na kartce napisany mój adres, moje imię, nazwisko i wyraz POLA. Przejęta misją gońca, Florkowa zapytała, co ma robić? Przyprowadzić go na górę czy dzwonić po policję? Poprosiłam, żeby go eskortowała windą na moje czwarte piętro, a ja już sobie dalej sama poradzę.

Adrian Allen wydawał się być bardzo skrupowany, kiedy przekraczał moje skromne progi. Głowa obracała mu się na cienkiej szyi niczym radar, a wyraz zdziwienia nie schodził mu z twarzy. Trudno określić, co go tak dziwiło. Staruszka w seledynowym dresie czy piękne obrazy na ścianach małego mieszkania? Rozsiadł się, zachęcony szerokim gestem, poprosił o szklankę wody, potem zapytał, czy do tych wielkich metalowych konstrukcji, a miał na myśli trzepaki przed blokiem, przywiązujemy konie. Objąśniłam mu, trochę na migi, że te trzepaki służą nam do przewieszania dywanów, które trzepaczkami trzepiemy, raz w roku, przeważnie przed Bożym Narodzeniem, w ramach generalnych porządków.

Wskazałam stopą na mój wełniany, wzorzysty dywan, aby ostatecznie rozwiązać jego wątpliwości. Zapewniłam go, że na takim osiedlu nikt nie trzymałby konia. Trzepaki to również świetna rozrywka dla dzieci, snułam opowieść, bawią się na nim, przewijają, rozwieszają koce, budując szalasy, tam też dochodzi zazwyczaj do pierwszych pocałunków. Bogaty Anglik nie bardzo pojmował atrakcję, uprzejmie kiwał głową, czekał na swoją kolej. Tak się rozgadałam, trochę po angielsku, trochę po rosyjsku, po polsku oraz uniwersalnym językiem migowym, że zapomniałam, iż prosił mnie o wodę. Kiedy nieśmiało przerwał moją opowieść i gestem wyraził chęć napicia się czegoś, podreptałam do kuchni, przyniosłam małą buteleczkę z wodą gazowaną Kropla Beskidu. Wypił ją jednym duszkiem, poluzował krawat pod szyją, ukontentowany, grzecznie podziękował. Uprzedził, że nie może długo zostać, gdyż ma samolot o godzinie 20.00 do Londynu. W kilku prostych słowach objaśnił cel tej niecodziennej wizyty. Chciał mi osobiście przekazać grubą kopertę, adresowaną ręką Poli, żony jego zmarłego przed laty dziadka, Petera. Na kopercie widniał napis – MOJE SPRAWY I LISTY. Jakim cudem znalazło się to w rękach wnuczka czwartego męża Poli, nie próbowałam się nawet domyślić. Adrian Allen zaspokoił moją ciekawość, pokrótce opowiedział, jakim sposobem wszedł w posiadanie listów mojej ciotki Poli, robiąc długie przerwy i pytając raz po raz: „*Do you understand what I am saying?*” Z grubsza rozumiałam, co do mnie mówił, ale nie chciałam, aby się domyślił, że trochę się gubię.

Ojciec Adriana, syn męża Poli, Petera, zmarł miesiąc temu. Pola, umierając w 2000 roku, prosiła go, będąc na łożu śmierci, aby poszedł do jej domu, odnalazł grubą kopertę i spalił ją. Umierała w szpitalu. Kiedy tydzień wcześniej karetka wiozła ją do szpitala, nie spodziewała się, że to ostatnia podróż jej życia. Nie uporządkowała swoich spraw, nie uaktualniła testamentu, wylew przyszedł nagle. Ojciec Adriana poszedł po kopertę, szybko ją znalazł, otworzył, a stwierdziwszy, że są tam tylko listy pisane w nieznanym mu języku, dokumenty, kilka pozółkłych fotografii, stracił całe zainteresowanie dla sprawy. Być może spodziewał się znaleźć tam coś cennego, akcje kopalni diamentów w RPA czy coś równie

wartościowego. Koperty jednak nie wyrzucił, postanowił oddać te listy do tłumaczenia i dowiedzieć się czegoś ciekawego o życiu swojej macochy Polki. Brzydko postąpił, nie uszanował woli umierającej, a potem najzwyczajniej w świecie o tej żółtej kopercie zapomniał. Dopiero kiedy sam szykował się do opuszczenia tego świata, przypomniał sobie, robiąc rozrachunek z przeszłością, że ma w sejfie w garażu, pomiędzy różnymi innymi dokumentami, grubą kopertę, którą miał spalić przed laty. Umierał na raka trzustki w wielkich męczarniach, tracąc co chwila przytomność. Poprosił Adriana, żeby zaraz po jego śmierci, gdy będzie palił różne inne dokumenty, do ognia wrzucił też listy pisane w obcym języku, raz na zawsze posłał je do nieba ciemnym dymem. Adrian, według tradycji rodzinnej, również nie dostosował się do woli ojca. Owszem spalił, co miał zalecone, ale koperta Poli nie chciała powędrować do ognia. Według jego relacji, kiedy niszczył tajemnice ojca, stało się coś dziwnego, wręcz niewytłumaczalnego.

– *This envelope was literally glued to my hand, as it was begging: „Don't throw me into the fire, please!”* – mówił podniecony, patrząc mi przejmująco prosto w oczy.

Adrian wierzył w znaki, wierzył w moce, nie wahał się długo, spełnił prośbę koperty, uchronił ją od ognia. Palił papiery ojca i dziadka pół nocy, wprowadzając się w stan duchowej ekstazy, dorzucał do ognia, rozpalając demony we własnej głowie. Ile tajemnic rodzinnych puścił z dymem jeden Pan Bóg wie, lecz jedną kopertę ocalił, położył ją przede mną na stole. Musiałam się dowiedzieć, w jaki sposób odnalazł mnie na rzeszowskim osiedlu? Dlaczego zadał sobie tyle trudu? Pośród listów znajdowała się fotografia, wyjaśnił, na jej odwrocie jest mój nieaktualny adres w Polsce, adres domu, gdzie mieszkali rodzice Waldemara, a potem my. W pierwszej kolejności tam się udał, nie zastawszy mnie w spodziewanym miejscu, wyruszył w dalszą podróż, zaopatrzonego w mój aktualny adres. Ktoś z rodziny Walerii musiał zziąjanego Anglika skierować do mojego mieszkania, nie umiał powiedzieć kto.

Po co się fatygował? Drażylał temat zdziwiona. Adrian nie był zwyczajnym młodzieńcem, Adrian Allen był stuknięty. Twierdził, że koperta zaczęła do niego przemawiać i prosić go, żeby ją zawiózł do Polski. Nie mógł ani spać, ani jeść, dręczyła go niczym natrętna kochanka, upominająca się o podróż do rodzinnych stron. A kiedy coraz dziwniejsze rzeczy zaczęły się dziać w jego posiadłości, postanowił wyruszyć. Śmiać mi się chciało, słuchając jego relacji, banialuki straszne plótł, mimo to słuchałam grzecznie z zatroskanym wyrazem twarzy, kiwałam głową i wtrącałam co rusz:

– *Really?*

Kiedy tylko powziął postanowienie w sprawie koperty, jak ręką odjął ustały huk w ścianach jego domu, zniknęły plamy na suficie, pies, który łąził za nim krok w krok ze zjeżoną sierścią, nagle uspokoił się i zajął swoimi pieskimi sprawami.

– *Here it is!* – Stuknął długim, wypielegnowanym palcem w kopertę.

Adrian był synem Charlesa Allena, którego miałam okazję poznać, kiedy Peter dokonał żywota. Byłam przy jego śmierci, dzielnie wspierając Polę, przyszlą wdowę. Zastanawiałam się przez chwilę, czy mu o tym opowiedzieć, gdybym się jednak poważyla na szczerą relację, musiałabym wiele przykrych rzeczy wyjawić, wybrałam zatem wstrzeźliwe milczenie. Nawet się nie spodziewał ten szalony Anglik, że ma przed sobą osobę, przy której ostatnie tchnienie wydał jego dziadek, twórca fortuny lodowej! Rozbawiła mnie ta myśl, jednak oparłam się przemożnej pokusie, nie widziałam powodów, żeby spadkobiercy majątku Allenów mącić w głowie. Żył nieborak mitem wspaniałych, silnych i szlachetnych mężczyzn, po których dziedziczył, nie miałam serca wyprowadzać go z ciemności błędnych wyobrażeń. Jego wuj zrobił na mnie najgorsze z możliwych wrażenie, natomiast ojca Adriana, Charlesa, wspominałam znacznie milej.

Stare dzieje na parę chwil zawładnęły moją pamięcią, przeniosłam się w tamte czasy, popatrzyłam z góry na to, co mnie kiedyś z takim rozmachem porwało, ledwie wierząc w prawdziwość wspomnień.

Nie miałam odwagi w obecności Adriana otwierać koperty, ręce mi się trzęsły, oddech miałam krótki, tymczasem on niczego innego nie oczekiwał jak natychmiastowego wyjawienia, co w tych listach jest. Zaproponowałam herbatę, grzecznie odmówił, ledwie na balkonie spalił papierosa, ugrzeczniony, lecz podenerwowany wrócił do pokoju i zapytał mnie wprost:

- *Are you going to open this envelope and read it or not?*
- *No* – odpowiedziałam.

Wywnioskował z wyrazu mojej twarzy, że szybko zdania nie zmienię. Podniósł się z fotela. Miał dobre angielskie manieri, nie poniżyłyby się do przeprowadzenia wścibskiego dochodzenia w sprawie zawartości koperty wbrew mojej woli. Do końca liczył, że sama mu wyjawię tajemnicę. Kiedy okazało się, że nie mam takiego zamiaru, żadnego tłumaczenia nie przedstawię, po prostu skłonił się nisko i wyszedł.

Po jego wyjściu naszły mnie wspomnienia, zaraz wyciągnęłam album z fotografiami i zaczęłam je po raz setny oglądać.

Kiedy Pola wyjechała do Anglii ze swoim trzecim mężem – pilotem, pomyślałam: oto nasze stosunki umierać będą śmiercią naturalną, gdyż nie wierzyłam w jej obietnice. Kiedy mnie informowała miesiąc przed wylotem, o swojej podróży do Anglii, nie mogła ukryć radości w głosie.

– Czuję, że znajdę swoje miejsce na ziemi, taka jestem rozgorączkowana perspektywą mieszkania w Londynie! Tosiu, to takie fantastycznie miasto, osnute wspaniałą historią, sama pomyśl, monarchia, kościoły, mosty na Tamizie. Nie mogę się doczekać! A mój mąż – cudowny! Taki mądry, spokojny, wyważony, prawdziwy Brytyjczyk! Zawsze chciałam się zestarzeć przy boku takiego dżentelmena!

Cieszyłam się razem z nią, choć powątpiewałam, czy Anglia i Pilot spełnią oczekiwania mojej ciotki. Coś było niepokojącego w tym pośpiechu, z jakim działała, zdawało mi się, że ten cały ożenek to raczej ucieczka od czegoś, niż podróż do czegoś. Nic jednak nie powiedziałam, nie chciałam burzyć jej radości swoimi wątpliwościami, wolałam trzymać kciuki i wierzyć, że się mylę.

Kiedy dostałam pierwszy list od Poli, adresowany z miasta Norwich, więc bynajmniej nie z Londynu, ciotka pisała w nim, dobierając najdelikatniejsze słowa, o swoim rozczarowaniu. Ukryłam przed Waldemarem wiadomości zawarte w liście, nie tyle ze wstydu, co z szacunku dla Poli. Miała prawo się pomylić, jadąc w ciemno do nieznanego kraju z ledwie znanym mężczyzną, niekoniecznie popełniła głupstwo. Nie chciałam, żeby Waldemar ją oceniał, nosił cień satysfakcji na twarzy, bo cóż nam przyjdzie, oprócz chwilowej satysfakcji, z powiedzenia na głos, tego najbrzydszego zdania: „A nie mówiłem?”.

List był długi, pełen zabawnych komentarzy, przeważała w nim jednak nuta goryczy. Pola w powojennej Warszawie mieszkała wystawnie, w ładnym mieszkaniu, do którego słońce wpadało przez wielkie okna. Wychowawszy się na dworze Morawskich, już od najmłodszych lat zasmakowała w luksusach i wygodach. Miała pomoc domową, nie prasowała, nie prała swojej bielizny, nie obierała ziemniaków na obiad i nie plewiła chwastów w ogródku. Tak się szczęśliwie układały jej losy, dopóki nie pojechała do Anglii.

Pilot prosto z lotniska Heathrow zabrał ją na angielską prowincję hrabstwa Norfolk, gdzie można było przemierzać bezkresne pola, nie natrafiając na żywą duszę. Kiedy w Warszawie obiecywał jej mieszkanie w Londynie, nie kłamał świadomie, tylko zakładał naiwnie, że miasto położone 140 mil od Londynu to dla Polki wciąż jeszcze Londyn i że nie powinno jej sprawić większej różnicy, gdzie dokładnie będą mieszkać. Czyżby nie wiedział, że jego żona od Moskwy po Paryż jeździła przez kilka lat, doskonale orientując się w geografii Europy? Dla niej z całą pewnością miasto Norwich nie było dzielnicą Londynu.

Pociąg wiózł ich na północ, Pola zęgnęła miasto swoich marzeń już przeczuwając podstęp, powoli zaczęły znikać zabudowania, pojawiały się płaskie, zielone przestrzenie. Chciała w pierwszym odruchu zaprotestować, zapytać męża, czy aby w dobrym kierunku jadą. Rozmyśliła się jednak, Pilot ścisnął jej dłoń, szeptał miłe słówka w pachnące wanilią włosy. Kiedy dotarli do Norwich, kuzyn Pilota zabrał ich samochodem ze stacji, jeszcze kilka mil wiózł polami, bezkresnymi łąkami, z rzadka

otwierając usta. Pola czuła się coraz gorzej, wyobrażenia o wygodnym życiu na londyńskim przedmieściu uciekały niczym para przez nie-szczelną pokrywkę garnka. Zamiast pięknych budynków stolicy Anglii, jak katedra Świętego Pawła czy opactwa Westminster, ukazywały się jej oczom brzydkie domki otoczone drewnianym płotem, wszystkie jednako- we, ustawione wzdłuż drogi równo jak pod linijkę. Na polach swo- bodnie pasowały się świny i barany, nie pilnowane przez nikogo. Nie po- cieszyła oka widokiem pałacu Buckingham, wspaniałymi budynkami Parlamentu, Big Benem górującym nad miastem, auto mijало stodoły, zabłocone zagrody, opuszczone kościoły, żadnego żywego człowieka. Zapytała pleców swojego młodego małżonka, gdzie są ludzie? Czy mór jaki ich wybił? Nie doczekała się jasnej odpowiedzi.

Okazało się na koniec, że ani Londyn, ani nawet Norwich, tylko wio- seczka o nazwie Bramford jest docelowym miejscem podróży małżon- ków. Dotarli tam o zmroku. W wiosce był jeden sklep spożywczy z okienkiem pocztowym, pub pod nazwą „King's Head” oraz kamienny kościół zbudowany w XVI wieku. Kuzyn-kierowca pokazał te trzy atrak- cje Bramford, zanim podjechali pod stary, nieotynkowany piętrowy dom, w którym mieli zamieszkać. Pilot podczas jazdy wiejskimi drogami nie przestawał trajkotać na temat swojej nowej pracy, zupełnie uszło jego uwadze czyste przerażenie, zakradające się na twarz żony. Kuzyn jej męża nie odezwał się przez całą podróż jednym słowem, obawiała się, że wjadą do jakiegoś rowu, bo mocno naciągnięta na oczy czapka uniemoż- liwiała baczne obserwowanie drogi. Podczas manewru parkowania przed domem ich szofer mruknął coś o przyjemności ze spotkania, gwałtownie nacisnął hamulec, ponaglając pasażerów do wysiadki. Pola owinęła się szczerlnie swoim eleganckim płaszczem w kolorze kawowym, rozejrzała niechętnie po obejściu, a widoki, jakie zastała, przygnębiły ją ostatecz- nie. Może dom nie był ruiną, jednak wielce zaniedbany i bardzo smutny – „jak jakiś sierociniec” – przemknęło jej przez myśl.

Kiedy przestąpiła próg, niosąc tylko swoją wytworną torebkę, buch-nęło zapachem stęchlizny i staroci. Gdy czytałam opis tego domu, samą

mnie w nosie kręciło z obrzydzenia. Obie z Polą byłyśmy od dziecka bardzo wyczułone na przykre zapachy. Nie przerażał nas widok krwi czy trupa, ale zapach wilgoci, smażonej wątróbki czy spoczonej pachy, przyprowadził o mdłości. Kiedy więc od wejścia witał ją zaduch pomieszany ze stęchlizną, Pola wiedziała, że nie może pod tym dachem spędzić więcej niż jedną noc.

Jej teściowa, ze świeżą ondulacją na siwych włosach, robiła wrażenie osoby dawno zmarłej, lecz dzisiaj zmartwychwstałej. W opinii Poli miała sto lat, obnosiła dumnie twarz pokrytą pajęczyną. Gdyby miała wnuki, straszylaby je przed snem samym tylko wyglądem. Staruszka przy powitaniu obejrzała sobie synową niezwykle szczegółowo, zadzierając głowę wysoko, aby zajrzeć Poli w oczy, a że była maleńka niczym karlica, musiała się wielce nagimnastykować.

– *Well, well, well* – powiedziała, prowadząc do gościnnego. – *You look much younger than I expected, but on the other hand, you are much older than I hoped my son's wife is going to be...*

Pola nie wierzyła własnym uszom, żywiła nadzieję, że źle zrozumiała lub niedosłyszała tego, co miała do powiedzenia jej teściowa. Cóż to była za impertynencja! Zanim zdążyła się jawnie oburzyć, kobieta sama sobie dopowiedziała kilka zdań o zaawansowanym wieku Poli, niezadowolona z faktu, że nie doczeka się od niej potomka rodu. Pilot wtrącił nieśmiało o możliwości adopcji maleńkiej sierotki z Irlandii, jednak matka skwitowała niedorzeczną propozycję deklaracją, że dla żadnej przybłądy w domu Collinsów miejsca nie planuje.

Wszystko to zostało powiedziane, zanim jeszcze usiedli do stołu. Pilot, chcąc załagodzić druzgocące pierwsze wrażenie, nadszokiwał Poli przy kolacji, między kęsami obiecywał wyjazd do Hiszpanii na wiosnę, świąteczne zakupy w Norwich oraz sporo innych atrakcji. Pola nie mogła przełknąć łykowej wołowiny, z obrzydzeniem dłubiąc w rozgotowanych jarzynach zanurzonych w brązowej mazi. Niedopieczonych ziemniaków w ogóle nie skosztowała, a puddingi Yorkshire nie przechodziły jej przez gardło, tak były spalone. Pilot wychwalał przyrządzony przez matkę posiłek, Polę najbardziej zaszokował fakt, że jej mężowi ten obiad

naprawdę smakował. Dokładał sobie miękkiej marchwi, białej gotowanej kapusty, jakby to były rarytasy, mlaskał przy każdym kawalku, napominając matkę, żeby puddingów, jeśli jakie zostaną z obiadu, nie wyrzucała, bo je sobie na wieczór z dżemem zje. Popijali posiłek ciepłym piwem. Jak tylko Pilot otwierał usta, wydostawały się z jego gardła dziwnie piskliwe tony, szczególnie kiedy adresował słowa do matki, jakby przed nią udawał małego chłopca, któremu jeszcze głosu nie zmieniła mutacja. Pola w osłupieniu przypatrywała się tej komicznej scenie, niczym widz w teatrze, bez słowa.

Teściowa wychyliwszy szklanicę piwa, zaczęła wspominać wojnę. Według jej relacji był to okres niezwykle ciężki, w sklepach zabrakło pomarańczy, zapanował wielki strach po bombardowaniu Londynu i Coventry, a ludzie czerpali siłę z bohaterskiej postawy królowej matki, która nie wyjechała z Londynu w czasie nalotów, nie opuściła pałacu Buckingham, jedynie dzieci odesłała do pałacu Windsor dla bezpieczeństwa. Wojna okazała się całkiem do zniesienia, a dla niektórych panien była wręcz życiową przygodą, gdy amerykańscy żołnierze rozłożyli bazy w Anglii. Hojnie obdarowywali angielskie ślicznotki pończochami z nylonu, urządzali potańcówki przy głośniej muzyce, częstowali papierosami, ciągnęli za baraki te chętniejsze, aby przypieczętować przyjaźń między aliantami. Wszystko to ominęło matkę Pilota, gdyż w tym okresie była już zaawansowana w latach, jednak miłość do Amerykanów wojnę przetrwała tak samo jak tfu, tfu niechęć do mister Hitlera.

Pola zwiijała się ze złości. No bo cóż ta kobieta z angielskiej prowincji mogła wiedzieć o wojnie? Ani jeden niemiecki żołnierz nie postawił stopy na ich wolnej ziemi, nie truł gazem spod prysznicza wylapanych na ulicach, wywleczonych z domów niewinnych ludzi, nie palił w piecu ich martwych ciał. Nie okupował angielskich miast i wsi, nie wypędzał z domów, nie strzelał w tył głowy, nie gwałcił żon i córek ani nie poświęcał młodzieńczych istnień w skazanych na porażkę powstaniach. Kobieta nawracała w opowieści do dnia D, zwanym D-Day, kiedy to mężczyźni chłopcy lądowali na plażach Normandii, a Niemcy wystrzelali ich jak

kaczki, gdyż wiedzieli, gdzie i kiedy wylądują, czekali tam na nich z odbezpieczonymi karabinami oraz naładowanymi działami. Bardzo się zdziwiła, kiedy sprowokowana Pola powiedziała jej, że w u wojnie światowej zginęło sześć milionów Polaków, a także kilkanaście milionów Rosjan. Anglików niespełna pół miliona. Statystyki mówiły za siebie, nie czuła potrzeby opowiadać o własnych przeżyciach wojennych, nie wspomniała nawet o młodym wdowieństwie. Szybko zdała sobie sprawę, że II wojna światowa widziana oczami Anglików to zgoła nie ta sama wojna, która się rozgrywała naprawdę. Mało tego, później jeszcze wiele razy musiała wysłuchać, będąc już w innej angielskiej rodzinie, o tym jak to Anglicy z Amerykanami wojnę wygrali!

Teściowa odurzona papierosami i litrem piwa, jaki w siebie wlała, wyciągnęła zwietrzałą sherry, ponaglając syna, aby panie poczęstował. Wypili po kieliszku, rozmowa stawała się nudniejsza, Pola zaczęła ziewać ukradkiem, teściowa bredziła od rzeczy, rozradowany Pilot podjadał zimne resztki z talerzy. Krótco przed północą zmęczona panna młoda udała się do sypialni małżeńskiej, gdzie czekała ją jeszcze smutniejsza niespodzianka. Nie było centralnego ogrzewania, nawet piecyka elektrycznego nie ustawiono. Rozgrzawszy się przyjemnie na dole przy kominku, musiała rozbierać się w lodowatym pomieszczeniu, szcękając zębami z zimna i odrazy. Pościel, mimo że prawdopodobnie wyprana niedawno, mogła z powodzeniem opowiedzieć historię obydwu wojen. Na szafce przy łóżku stała miednica i dzban, pod ścianą toaletka z zamazanym, zaśniedziałym lustrem. Łóżko, choć wielkie, wyścielone było materacem kompletnie zapadniętym pośrodku, układanie się w innym miejscu jak tylko w tym dołku, powodowało bolesne wżynanie się sprężyn w ciało. Wielka, dębowa szafa, od wieków schronisko moli, straszyla Polę samym tylko wyglądem, żadna siła nie zmusiłaby jej do otworzenia drzwi. Krzesło, z przerzuconym wyliniałym kudłatym kocem, zachwiało się niebezpiecznie, jak tylko Pola na nim usiadła, aby zdjąć skórzane botki. Nie miała ochoty kłaść się spać, czekała na męża, aby mu kulturalnie zakomunikować, iż cały ten żart z przyjazdem do jego matki wcale jej nie ubawił.

Pilot, kiedy w końcu zjawił się w sypialni, podchmielony i rozochocony, zaciągnął ją do łóżka bez rozmowy, pocałunkami przekonał, żeby odłożyli planowanie przyszłości do dnia następnego.

Nowy dzień wraz z nadejściem ostrego światła poranka ukazał całą brzydotę sypialni. Pola leżała nieruchomo u boku chrapiącego męża, prześlizgując się wzrokiem po meblach, zasłonach, tapecie poźółklej od wilgoci, układając w głowie list do mnie: *...byłam zdruzgotana oraz przestraszona własną naiwnością. Jak mogłam wybrać się w nieznaną z mężczyzną, którego ledwie znalazłam?*, napisała wiele miesięcy później. Nie zamierzała rozpakowywać walizki, ani nawet zmienić podróznego stroju, chciała napić się kawy i wyjechać.

Męża przestała kochać w ciągu jednego dnia, a byli dopiero miesiąc po ślubie. Tymczasem nie posiadała środków ani pomysłu, jak wybrnąć z tej niefortunnej sytuacji. Odgłosy krzątającej się na dole teściowej zmusiły ją do intensywnego myślenia. Nie czekała, aż obudzi się Pilot, wstała z łóżka, narzuciła na koszulę nocną sweter i wyszła z sypialni w poszukiwaniu łazienki. Kiedy zobaczyła swoje potargane oblicze w lustrze, przestraszyła się. Światło świec sprzyjało kobietom, bezlitosna jasność poranka ujawniała prawdziwe lata, wyciągała z szuflad metryki urodzenia, zasmucała miliony pań na świecie podczas porannej toalety.

Teraz, nie żywiąc nawet przyjaznych uczuć w stosunku do męża i nowego otoczenia, popadła w panikę, zebrało jej się na płacz, a Pola nie płakała często. Odkręciła kurek z ciepłą wodą, odczekawszy moment, włożyła w strumień dłoni. Wrzątek sparzył jej delikatną skórę, nie dało się temperatury uregulować, z osobnego kurka leciała zimna woda. Wanna maleńkich rozmiarów zasłonięta była wzorzystą kotarą, śliską od wilgoci i zagrzybioną. Dwa ręczniki zawieszzone na drzwiach również nie były suche, kiedy przybliżyła doń nos, zrobiło jej się niedobrze. Zimną wodą przemyła twarz i wyszła z łazienki. Na korytarzu spotkała teściową. Wetknęła jej w dłoni zapakowane w papier mydło lawendowe, popędziła do zejścia na śniadanie, boczek kończył się wysmażać, tosty stygły. Pola przycisnęła mydło do piersi, szybkim krokiem poszła do sypialni.

Pilot siedział na łóżku rozespany i rozczochrany. Nie zobaczyła w nim już piękniśia, angielskiego dżentelmena, jedynie nieświeżego mamin-synka i kłamcę.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że nie mieszkasz w Londynie, tylko na prowincji? – zapytała, zamykając drzwi.

– A co to za różnica? – Poskrobał się po czubku głowy. – Najważniejsze, że jesteśmy razem. Moja mama nie zrobi ci krzywdy, po jej śmierci, ty będziesz tutaj panią. Ona ma osiemdziesiąt lat!

– Nie będę czekać na jej śmierć. Musimy stąd wyjechać – powiedziała krótko i wyrzała przez okno. – Najlepiej jeszcze dziś, zapowiada się ładna pogoda. Jak na listopad.

Pola otworzyła drzwi szafy, których nagle przestała się bać, schowawszy się za nimi, zaczęła zakładać garsonkę, którą miała na sobie poprzedniego dnia. Z ukrycia dochodził jej słodki, stanowczy głosik.

– Listopad to najbrzydszy miesiąc w roku, mogłoby go wcale nie być. Po kolorowym październiku powinien nadejść świąteczny grudzień, a listopad powinno się wyrzucić z kalendarza. Nic się w listopadzie nie dzieje, Zaduszki tylko, ale to taka przygnębiająca uroczystość, może gdzieś w Hiszpanii, czy ja wiem, ale tu...

Ubrana, stanęła na środku sypialni. Z twarzy nie schodził jej czarujący uśmiech.

– Jestem gotowa. Zjedźmy śniadanie i w drogę.

W drogę jednak się nie wybrali tego dnia. Pilot, przerażony perspektywą rychłego zakończenia związku z Polką, gotowy był obiecać jej wszystko, pod jednym tylko warunkiem, że da mu trochę czasu! Pola w wieku czterdziestu ośmiu lat czas zaliczała do najcenniejszych towarów, miała pełną świadomość jego przemijania. Liczyła zmarszczki wokół oczu, wkładała sobie ołówek pod pierś, aby sprawdzić, czy się zatrzyma przygnieciony obwisłą piersią, czy wypadnie na posadzkę, jak oczekiwała. Włosy farbowała co cztery tygodnie, ponieważ osiwiła już nie tylko na skroniach, również na czubku głowy. Mimo tych oczywistych oznak starzenia, pozostawała kobietą niezwykle atrakcyjną, zachowała szczupłą

sylwetkę, miała drobne kości oraz małą głowę. Wciąż wyglądała bardzo dziewczęco.

Nie widziałyśmy się dziesięć lat, bo dopiero kiedy rozchorował się jej czwarty mąż, Peter Allen i nie było już dla niego żadnej nadziei, Pola zavezwała mnie do Londynu, wykupiła bilet na samolot, wystarała się, abym otrzymała turystyczną wizę. W 1978 roku poleciałam do Anglii.

Teraz leżała przede mną na kuchennym stole gruba koperta, podróżująca z rąk do rąk przez ostatnie dziesięć lat, może najcenniejsza pamiątka po mojej ciotce Poli.

ROZDZIAŁ XV

Fakt, że Jacek postanowił odwiedzić swojego ojca w Gdańsku, nie zdziwił mnie wcale, lecz kiedy chęć towarzyszenia mu zadeklarowała Agnieszka, zastanowiłam się nad charakterem ich zażyłości. Przyszli do mnie oboje, późnym popołudniem, objuczeni siatkami z zakupami. Z długiej listy, jaką przygotowałam Jackowi dzień wcześniej, udało mu się kupić wszystko poza winogronami bez pestek. Agnieszka zaproponowała odkurzenie mieszkania. Zanim wyraziłam zgodę, wyjechała na środek dywanu z odkurzaczem, czubkiem pantofelka włączyła moc, jej zgrabne i energiczne ruchy obserwowałam, siedząc na kanapie. Jacek tymczasem rozpakował sprawunki, zebrał pranie dosychające na balkonie, rozstawił w przedpokoju deskę do prasowania, podłączył żelazko, zabrał się do roboty, pogwizdując. Protestowałam, jednak oni uwijali się po mieszkaniu niczym dwa roboty. Agnieszka, cały czas opowiadając mi o wyjeździe na Galapagos, ścierała kurze z mebli, przywołała do porządku książki na półkach, na koniec, podwiesiwszy spinaczem firanki, zmyła płynem Pronto parkiet na całej powierzchni nieprzykrytej dywanem. Jacek umył podłogę na balkonie, opróżnił popielniczkę, czyli stoik po majonezie, przetrzepał poduchy z moich wiklinowych foteli, przeleciał szmatką parapety, przywracając im lekki blask. Zapachniało świeżością, wycofałam się do kuchni przygotować kolację. Podśluchiwałam, o czym rozmawiali.

– Był z nami taki trochę nawiedzony Amerykanin, który słucha drzew.

– W jakim sensie, słucha drzew? – zapytał.

– A dosłownie. Podobno najwdzięczniejsze do słuchania są drzewa eukaliptusowe. Ten koleś, żaden nadęty naukowiec ani działacz Greenpeace, taką sobie znalazł pasję. Słucha, jak drzewa piją wodę z gruntu i

nagrywa ten dźwięk. Wiesz, takie drzewo to wysysa z gruntu 200 litrów wody na dobę, hałas przy tym robi dziwny taki, jakby dudniący, mówię ci, fascynujące. Sporo ludzi w ulewę przykłada ucho do eukaliptusa, żeby posłuchać. Wiedziałeś o tym?

– Aga, ja jestem chłopak z osiedla, ledwie brzozę od wierzby od różnię – powiedział Jacek.

– Ja też nie wiedziałam, nawet się nie zastanawiałam nad gospodarką wodną drzew. – Agnieszka westchnęła. – Tylu jeszcze rzeczy człowiek nie wie, kurczę, a tak mało czasu...

– A ja słyszałem, że Kolumb był Polakiem z pochodzenia. Jakiś włoski historyk to ustalił, nawet udowodnił! – Jacek zajrzał do kuchni, żeby się upewnić, czy słyszałam o odkrywcy Ameryki i jego najnowszym rodowodzie. – Co pani na to?

Kroiłam rzodkiewkę na cieniutkie plasterki.

– Kiedyś w Polsce rodzili się nieprzeciętni ludzie, niestety od lat już same głąby nosi nasza ziemia, wystarczy telewizor włączyć, żeby się o tym przekonać – odparłam.

– Babciu, nas też do głąbów zaliczasz? – Agnieszka szturchnęła mnie delikatnie. – Mnie i Jacka?

– Nie, wy w telewizji nie występujecie. Na szczęście.

– Narzeka babcia, a telewizor cały czas w mieszkaniu hula, dzień i noc. – Agnieszka pogładziła mnie po plecach.

– Gdybym nie oglądała telewizora – wyjaśniłam, nie przerywając przecierania szklanek – nie miałabym się czym denerwować, szybko bym umarła, a tak to pomstuję, ciśnienie mi troszkę podskoczy, krew do mózgu dopłynie i żyję dalej!

– Wszyscy w rodzinie znamy babci gusta...

Agnieszka objęła mnie w pasie i przytuliła się. Jej piękne zapachy owiły mnie swoim welonem. Jacek patrzył na nią w ten szczególny sposób, który starej kobiecie, bystrej obserwatorce, mówił dosłownie wszystko. Czyżby? Przyłapany na chwili słabości, wziął ode mnie nóż i zaczął go ostrzyć.

– Ja telewizji nie oglądam w ogóle – starał się przypodobać wybrance. – Na wszystkich kanałach ludzie śpiewają... jedna wielka jęczarnia! A jak nie śpiewają, to tańczą, a jak całkiem nie nadają się do show-biznesu, to wyciągają chusteczki higieniczne z pudełka na czas przy wyjącej z uciechy publiczności. Ludziom to się podoba, nie wiem, jakim ludziom, ale podobno milionom...

– Mnie w tych milionach nie ma – powiedziała Agnieszka.

Wszyscy mieli ochotę na parówki cielęce, sałatkę z rzodkiewki, ogóreczków, pomidorków, cebulki, lekko skropionej cytryną. Wrzątkiem zlałam pomidory, nacięłam w krzyżyk, ściągnęłam skórkę, żeby nikomu nie zaległa w żołądku. Pocięłam drobno cebulkę, posoliłam, popieprzyłam i skropiłam oliwą z oliwek. Parówki wrzuciłam na gorącą wodę, jednocześnie zaparzyłam herbatę earl grey. Młodzi zostawili mnie na chwilę samą, aby zrobić inspekcję mieszkania. Ostatecznie zgodziłam się na zmianę pościeli w łóżkach. Agnieszka migiem oblekła kołdry w kwiecistą poszewkę, Jacek włączył pralkę. Kiedy zakończyli porządki, przyszli do mojej kuchni. Usiedli naprzeciwko siebie przy stole jak grzeczne dzieci w świetlicy szkolnej.

– Co wam się tak zebrało na ten czyn społeczny? Nie macie własnych zajęć? – Podawałam filizanki i łyżeczki.

– Babcu, ja powinnam przy każdej wizycie tak robić, zamiast rozsiadać się niczym gość honorowy. Dopiero Jacek musiał mnie zawstydzić swoją postawą, przecież opiekuje się tobą lepiej niż my wszyscy razem wzięci. – Agnieszka mówiła samą prawdę, nie zaprzeczyłam.

– Jacek jest moim rycerzem, to fakt – powiedziałam, posyłając mu ciepły uśmiech. Odwzajemnił moją czułość.

– Dziewczyny, czuję, że mi się soda od wody oddziela, ostrożnie z tymi pochwałami...

– Ale pozwolisz, że ci go na dwa dni zabiorę? – Agnieszka zapytała. – Chciał odwiedzić ojca na Wybrzeżu, ja lecę do Anglii dopiero 15 września, chętnie skonsumuję smażoną rybkę prosto z morza i zjem loda na plaży. Pojedziemy samochodem mojego taty. Tato, jak wiesz, że swoją nową wybranką serca na Malediwy poleciał i zostawił mercedesa pod

moją opieką. Chybaby nie miał nic przeciwko takiej wycieczce, nawet jeśliby miał, to trudno. Sam wyznaczył nowe standardy w naszej rodzinie, mówiące o tym, że siebie i swoje szczęście należy postawić na pierwszym miejscu. – Agnieszka uderzyła w sarkastyczną nutę. Nie było jej do twarzy z tymi złośliwościami, ale przecież miała święte prawo odreagować po tym, co jej zafundował tato.

– Niechętnie, ale wypożyczam ci mojego Jacka – zażartowałam.

– Właściwie... – mówiła z pełnymi ustami – to mogłabym u babci przemocować, torbę mam w bagażniku, auto na parkingu... Moglibyśmy raniutko wyjechać. Co myślisz? Gdybyś chciał być przez chwilę również moim rycerzem, to proszę, przynieś moje rzeczy z samochodu, mapę, przydałoby się zatankować...

Jackowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wytarł usta w serwetkę i pognął spełnić życzenie Agnieszki. Zastrzegł, że może chwilę go nie być, bo musi odwieźć dwa komputery klientom po naprawie.

– Jedź ojca mercedesem, przy okazji zobaczysz, czy damy radę jutro, bo to automat jest – krzyknęła za nim. Zatrzymał się na moment, zasalutował, słyszałyśmy, jak uskrzydłony zbiegał schodami w dół.

Kiedy zostałyśmy same, ruszyło moje prywatne śledztwo. Umierałam z ciekawości, czy ich zażyłość jest przyjaźnią, czy też już czymś znacznie poważniejszym? Nie życzyłam sobie niczego innego przed śmiercią, jak ich narzeczeństwa. Agnieszka zapytana wprost, posmutniała.

– Babciu... to wszystko jest takie skomplikowane.

– W waszym wieku komplikacje? Wybacz starej, ale nie pojmuję.

Pozwoliłam sobie na zapalenie papierosa w kuchni. Nie wiem, co mnie naszło, przecież nie paliłam już kilka dni, a teraz zupełnie nagle odezwał się basem brzydki nałóg. Agnieszka roześmiała się.

– Wyglądasz komicznie z tym papierosem... podobna jesteś to Wisławy Szymborskiej.

– Doskonale, lubię jej wiersze. Nie myśl, że ja palę, choć w moim wieku to już nic nie może zaszkodzić, ale tak mnie naszło, że sobie pozwolę na jednego. Za zimno na balkonie o tej porze, a zresztą Gierkowa podsłuchuje – tłumaczyłam, zaciągając się z rozkoszą.

– Jesteś niesamowita!

– O słodka matko wszystkich przyjemności... – jęknęłam, wdychając dym – wszystko, co przyjemne, zakazane... No, teraz mów mi szczerze, jakie tam macie stosunki z Jackiem?

Agnieszka wzniosła oczy ku niebu, doskonale wiedziała, że nie posiadam umiejętności swatania, nie udało mi się jeszcze nikogo w parę połączyć, więc najlepiej by było, gdybym trzymała się z daleka od takich działań. Cóż z tego, jeśli nie mogłam się oprzeć!

Brata mojego, Staśka, swatałam dwukrotnie. Bez powodzenia. Pola uparcie twierdziła, że on się starym kawalerem urodził, bez drygu do amatorów, ale z wielkimi potrzebami, które ksiądz przy okazji spowiedzi raczy nazywać cielesnymi. Byłam odmiennego zdania. Problem nie tkwił w potrzebach, ale w wygórowanych wymaganiach, jakie względem panien miał mój brat. Po tej nieszczęsnej przygodzie z zawiedzioną miłością do anielskiej Cecylii, i ostatecznym ciosie, jakim był jej ślub, Stasiek zhardział, zatracił się, żadnego szacunku już dziewczynom nie okazywał. Nie przypuszczam, aby żył w celibacie, jednak poza igraszki na sianie jego zaangażowanie nie wychodziło.

Pierwszy raz porwałam się swatać Staśka z moją koleżanką, Ziutką Młynek. Podczas wizyty Staśka w Rzeszowie, kiedy przyjechał obejrzyć nasze nowe mieszkanie, zorganizowałam im randkę. Zależało mi, aby wypadła tradycyjnie, amant miał iść z kwiatem na spotkanie, ona miała nie pozwolić na pierwszy pocałunek. Wtedy to były jeszcze takie staromodne czasy, że taka randka mogła odbyć się naprawdę. Pobłogosławiłabym. Ziutki atutem była niebanalna uroda, rozsądne marzenia o założeniu rodziny, na jej korzyść przemawiał także fakt, że dziewczyna pochodziła ze wsi i chciała koniecznie na wieś wrócić. Był to ewenement, gdyż panny po wojnie rozpoczęły masowy *exodus* z małych miejscowości do wielkich miast. Jak już się raz wyrwały, to raczej nie wracały, chyba że pohańbione. Ziutka Młynek w mojej opinii była idealną kandydatką na żonę mojego brata i choć przewyższała Staśka urodą oraz inteligencją, takie nierówności małżeństwom nie szkodzą. Kiedy zamykałam za nimi drzwi, byłam pewna – z tej mąki będzie chleb! Stasiek całkiem

późnym wieczorem z randki wrócił, od progu mi zaczął wybrzydzać, że Ziotka ma za duże dłonie, nie umie chodzić na obcasie, „bimbały” u niej maluteńkie, przy całowaniu za bardzo się ślini. Dodał jeszcze, że płaszcz miała „ściorany”, jakby w nim całe życie krowy pasła. Nie wierzyłam własnym uszom! Czułam się urażona za siebie i za Ziotkę, podczas kiedy mój brat, rozparty na krześle, opowiadał Waldemarowi, jak się ledwie wywinął od „Pazery”. Rzecz jasna, na jednej randce się skończyło. Ja, nieudolna swatka, na pytania Ziotki musiałam kilka tygodni odpowiadać, tłumacząc brata tajemniczą chorobą, zajęciami w gospodarstwie, kłamałam, że traktor kupuje, potem ma sianokosy, żniwa, młóckę, ale jak się upora, to do niej zajedzie. Jakoś nie umiałam jej tak wprost powiedzieć, żeby się nawet nie łudziła, czym prędzej w inną stronę zwróciła spojrzenie. Aby uciszyć wyrzuty sumienia, swój płaszcz jej podarowałam, na wszelki wypadek, gdyby przez taką głupotę miała jeszcze raz jakiegoś wymagającego kawalera stracić. Ziotka nie chciała jednak przyjąć do wiadomości tej oczywistej porażki, pod tym względem nic się na świecie od wojny nie zmieniło. Pojechała za Staśkiem na wieś, głucha na moje prośby. Tak jak wyjechała, tak wróciła. Po wypiciu oranżady pod gruszą, zmuszona była pekaesem zabrać do miasta zarówno odrzucenie, jak i wstyd. Stasiak powiedział jej, aby sobie nim głowy nie zawracała, bo lata lecą, jemu żeniaczka nie w głowie, a ona już młodsza nie będzie! Zrugaliśmy go w liście za takie potraktowanie koleżanki, tym samym poprzysięgłam sobie, że mu więcej dziewczyn szukać nie będę. Byliśmy z tego powodu pokłóceni przez kilka miesięcy. Po kilku latach sumienie mnie ruszyło, Stasiak nadal był sam, zaczynał powoli dziwadzić. Mimo że po przygodzie z Ziotką przysięgłam, że się nie będę angażować w żadne *Brautwerbungi*, jak mawiał Joachim, kiedy Stasiak skończył trzydzieści pięć lat, postanowiłam zrewidować swoje postanowienie. Przy pomocy Waldemara zaplanowałam popchnąć go w ramiona kuzynki Pogorzelskich, Pięknej Heleny, która również zwlekała z zamążpójściem i osiągnęła pełną dojrzałość, czyli lat trzydzieści, tkwiąc w panieństwie.

Zaklinałam brata, żeby tym razem nie przyniósł mi wstydu, bo gorzko pożałuje.

– Jak ja mam być szarmancki, jak ja nawet nie wiem, co to znaczy? Jestem chłop ze wsi... – bronił się i zapierał przed tym spotkaniem, ale ja parlałam do przodu, chcąc mu zorganizować szczęście małżeńskie!

Urządzaliśmy z Waldemarem chrzciny Zuzanny w ogrodzie domu jego rodziców w lipcu 1968 roku. Zaprosiliśmy Staśka na ojca chrzestnego, a Piękną Helenę na matkę chrzestną. Nie chcieliśmy przyjęcia w mieszkaniu urządzać, tłoczyć gości na małym metrażu, choć mieliśmy w Rzeszowie ładne, trzypokojowe mieszkanie w niskim bloku. Teściowie zaproponowali swój dom, nie było chwili wahania. Okazywałam im wdzięczność na każdym kroku, bo sobie na nią zasłużyli. Tak mało spotyka się w życiu ludzi prawych, a przy tym interesujących, że jak już się takie szczęście pojawi, to trzeba umieć to docenić. Byłam ich ulubienicą, kochali mnie nie mniej niż swoje córki. Cokolwiek zrobiłam czy w cokolwiek się ubrałam, teściowa chwaliła moje wybory. Wprawdzie nie kłóciliśmy się nigdy z Waldemarem, ale przy okoliczności najbliższej sprzeczki, zawsze brali moją stronę, strofując syna, żeby mnie lepiej słuchał, w niczym się nie sprzeciwiał. Czasami mnie to nawet krępowało, tak mnie faworyzowali. Nie dziw, że siostry Waldemara, Wanda i Waleria, nie miały powodów, żeby mnie uwielbiać, skoro ich rodzice nieustająco stawiali mnie za przykład. Kobiety były zamężne, miały dzieci, ładne domy, jednak to my z Waldemarem stanowiliśmy wzór do naśladowania. Byli dla nas dobrzy, zastępowali mi matkę i ojca, do końca nazywali córcuchną, a kiedy umierali, w odstępie zaledwie kilku miesięcy, rozpaczałam jak za najdroższymi osobami. Nawet Waldemar tak boleśnie nie przeżył ich odejścia jak ja. Teść umarł nagle, upadł w ogrodzie, blisko grządek z kapustą, w upalny dzień lata. Teściowa rozchorowała się po jego śmierci, pożółkła i osłabła, a potem zgasła jak płomyczek. Czuwałam przy niej w ostatnią noc, wraz z pielęgniarką, przyjaciółką rodziny, trzymałam ją za rękę, obiecywałam rychłe nadejście aniołów, które ją zabiorą do nieba. Nie mogła mówić, ale mrugała, że rozumie, a kiedy zapytałam, czy się nie boi, uśmiechnęła się tylko z

wielkim wysiłkiem. Zasnęła o czwartej nad ranem. Zanim wydała ostatnie tchnienie, obie z pielęgniarką usłyszałyśmy głośnie tąpnięcie, jakby ktoś w domu czymś wielkim uderzył. Chciałam biec na pole sprawdzić, czy się coś nie dzieje, czy się dom nie wali, ale pielęgniarka powstrzymała mnie energicznie.

– Przyszli po nią inni zmarli – powiedziała, naciągając koc na nieruchomą pierś teściowej. – Często tak bywa, a ja śmierć widzę nie pierwszy raz. Może mąż po nią przyszedł, może jej rodzice?

Nie wiedziałam, co o tym sądzić, ale ten huk, jaki poprzedził zgon teściowej, był czymś przedziwnym, ale bardzo realnym, donośnym, bynajmniej nie był to podszept zaalarmowanej wyobraźni. Naprawdę grzmot w ściany. Jeden.

– No, patrz Tosia, a teraz ta mucha... – Pielęgniarka brodą wskazała wielką muchę, która nie wiadomo którędy wleciała do pokoju na piętrze, gdzie wszystkie okna i drzwi były od kilku dni pozamykane, bo umierająca narzekała na przeciągi. – Dusza musi gdzieś sięść i lecieć do nieba. Czasami to mucha, czasami jakiś ptaszek przyleci, nagle zabierze duszyczkę do Pana. Widzisz ją? Siadła na sekundę i odleciała. O czwartej rano muchy nie latają po zamkniętym domu, chyba że mają coś do zrobienia... – powiedziała na koniec i poszła szukać gromnicy.

Zostałam sama ze zwłokami teściowej. Mucha faktycznie odleciała. Nie bałam się, ale te dziwne opowieści pielęgniarki zaniepokoiły mnie, poczułam chłód na plecach, zaraz potem coś jakby mi dmuchnęło zimnem w twarz. Pomodliłam się, w kilku zdaniach prosząc Pana o dodanie otuchy, wysłuchał.

Kiedy odchodzą rodzice, teściowie, pokolenie wyżej, nasz własny proces starzenia nagle przyspiesza. Zaczyna brakować tej poduszki bezpieczeństwa, warstwy ochronnej, z wolna rodzi się świadomość zbliżającej się własnej śmierci, tego, że wszystko, dobre czy złe, może człowieka w życiu minąć, tylko nie śmierć.

Teściowie zmarli w 1975 roku, jednak siedem lat wcześniej, tryskając energią, organizowali nam wystawne chrzciny Zuzanny. To byli ludzie starej daty, mówiący o sobie „przedwojenni”, których obskurny system

socjalistyczny nie zhańbił. Udało im się przetrwać, może dlatego, że mieszkali z dala od wielkich miast, prowadzili życie na starych zasadach, pielęgnując tradycje, wspominając przodków, zachęcając dzieci i wnuków to tego samego. Inna rzecz, że mieli bardzo dużo szczęścia, wojna ich oszczędziła, nikt nie zginął, przepadły tylko rzeczy materialne, które z czasem sobie odkupili. Pieniądz do Pogorzelskich szedł szerokim strumieniem z Ameryki, dokąd wyjechała większość członków rodziny. Teść niechętnie jednak o tym mówił, wstydząc się niejako, że darowiznę przyjmował przez taki szmat czasu. Mnie to zupełnie nie przeszkadzało, kiedy dostaliśmy prezent od ojca chrzestnego Waldemara w postaci kilkuset dolarów, nie miałam skrupułów, przyjmując je. Moja mama, przecież nie ciemna kobieta, nie miała jednak wspólnego języka z Pogorzelskimi. Oni byli wykształceni, wysławiali się piękną polszczyzną, wyjeżdżali przed wojną za granicę, i choć nie nosili się dumnie czy wysoko, moja matka nie mogła pokonać przepaści, jaka ich dzieliła. Widzieli się zaledwie trzy razy. Na chrzest Zuzi mama nie dotarła, dzień wcześniej koń jej stanął na stopę, pogruchotał dwa palce, musiała się zgodzić na szpital, a o podróży do domu Pogorzelskich nie mogło być mowy.

Przyjęcie było przepyszne, pomimo przaśnych czasów i ograniczonego dostępu do luksusu, udało nam się zorganizować wspaniały wieczór. Od rodziców Waldemara dostaliśmy dla Zuzi piękny wózek, który przyjechał prosto z Niemiec. Miał wspaniałe wielkie koła, pleciony kosz w białym kolorze, niebieski daszek oraz osłonę na deszcz w tym samym odcieniu z delikatnym wzorkiem. Wózek ten po roku sprzedałam jako nowy, tak żeśmy go szanowali. Stasiak, ojciec chrzestny, przywiózł Zuzi złoty medalik na pięknym łańcuszku, prezent niezwykle kosztowny. Pochwalił mi się brat, że z Włoch go przywieziono. Rodziców Waldemara obdarował kaczkami, pasztetami, butelkami księżycówki, a także skrzynką pomarańczy. Miał już wtedy swój samochód, zajechał na podwórze „po pańsku”, rozładował wiktuały i zapytał, gdzie się może odświeżyć przed pójściem do kościoła. Waldemar nadstawił ucha zaskoczony niemniej niż ja, Staśka w wersji kulturalnej nie mieliśmy jak do tej pory okazji poznać.

– Tylko nie przesadz – radziłam mu szeptem, kiedy samochód Pięknej Heleny ukazał się na drodze. – Nie używaj słów, których znaczenia nawet się nie domyślasz. Piękna Helena jest po maturze.

– To czy mnie wiejskiego kawalera zechce? – Spojrzał figlarnie w moje oczy.

Jego blond włosy lśniły w słońcu, niestety brwi i rzęsy również, jeszcze bardziej wypłowiał mi na słońcu kochany młodszy brat, jak zwykle u schyłku lata był bardziej blond. Prezentował się atrakcyjnie, fizyczna praca od dziecka wyrobiła mu potężne bary, napięła mięśnie ud, wyprostowała sylwetkę. Kobietom się podobał.

Wiele go nie instruowałam, szturchnęłam tylko na odwagę i poszłam witać nadjeżdżających gości. Waldemar na werandzie kołysał Zuzannę. Pilnował, żeby trzynastoletni wówczas Artur nie nasypał jej cukru do buzi jak ostatnio, aby ukoić niemowlęcy płacz. Urwis z niego był na potęgę. Nie musiał się zajmować siostrą, co najwyżej czasem stawiałam go przy wózku przed sklepem, kiedy ja robiłam zakupy. Nie zostawiałam go samego z Zuzanną w domu, obawiałam się, że mi ten mój skarb zmaruje, nie dopilnuje, przeziębi albo jeszcze co gorszego. Tak długo staraliśmy się o drugie dziecko, że po urodzeniu Zuzanny popadłam w paranoję, troskałam się jak niespełna rozumu o naszą córeczkę, w obawie, że zły los mi ją zechce zabrać. Może była to jakaś odmiana depresji poporodowej? W tamtych czasach takie pojęcie nie funkcjonowało, do dziś są z tym kłopoty, co chwilę się słyszy, jak się młode matki meczą się same ze sobą, a pomocy znikąd.

W dniu chrztu, już po powrocie z kościoła, zaplanowaliśmy uroczysty obiad na świeżym powietrzu. Najęliśmy dziewczynę z sąsiedztwa, której zadaniem było donoszenie do stołu, nadszkakiwanie gościom oraz zmywanie naczyń, podczas kiedy jej mama kucharzyła dla gości.

Teściowa pełniła honory pani domu, zachęcała do zajęcia miejsc przy stole w ogrodzie, podczas gdy ja karmiłam piersią z dala od ludzkich spojrzeń. Ani razu Waldemar nie widział mnie, jak karmię piersią, czy

Artura, czy Zuzannę, nie spieszyło mu się do takich widoków. Teraz mężowie asystują przy porodzie, niezgrabnie odcinają pępowinę! Straszna moda nastąpiła, bo przecież to naturalne nie jest. Po czasie kobiety dziwią się, że mężczyźni od nich uciekają. Nigdy bym na siłę mężczyzny nie uczyniła świadkiem porodu, za bardzo ucierpiałoby moje poczucia godności. Wydawanie dziecka na świat jest piękną rzeczą w książkach czy rozmowach, w rzeczywistości to wielka męka, ból, pot, łzy zmęczenia, złość na matkę naturę, że nie podsunęła innego rozwiązania. Waldemar śmiał się głośno, kiedy pytałam, dlaczego kobieta, jak kura, nie mogłaby wysiadywać jaja, zamiast nosić dziecko w brzuchu? Męską rzeczą było czekać za drzwiami na pierwszy krzyk malucha, potem żonie dać różę, z kolegami iść na wódkę, zamiast mazgać się w fartuchu szpitalnym, do parcia kobietę zachęcać! Kto to wymyślił?

Stół, przy którym zasiedliśmy biesiadować, to było istne чудо! Miał kilka metrów długości, szeroki chyba na dwa, dębowy, masywny, oczywiście ręcznie wykonany przez miejscowego stolarza tuż po wojnie. Mieli Pogorzelscy już taki stół, ale spłonął wraz z innymi meblami ukrywanymi w stodole przed wyzwajającą nas Armią Radziecką. Gdybym sama nie przeżyła wizyty Rosjan w naszej wsi, nie wierzyłabym, że stoły trzeba było przed nimi chować. Przy stole tym tylko huczne rodzinne imprezy mogły się odbywać wyłącznie latem, ze względu na rozmiary, zimą trzymany był w suchej stodole, latem zaś stał pod dachem na werandzie, długiej na całą szerokość domu. Swobodnie posiłek przy nim mogło zjeść dwadzieścia osób. Tyle też nas zasiadło do obiadu po mszy w kościele. Ksiądz nie przybył, choć był zaproszony, miał zdaje się jakiś zatarg z moim teściem na tematy polityczne. Staśka usadowiliśmy obok Pięknej Heleny, zalecając, żeby jej usługiwał przy posiłku. Dzień wcześniej spadła ze schodów i stłukła sobie ramię.

– U lekarza pani była z tą rączką? – Ugrzeczniony Stasiak podsunął szklaneczkę z kompotem pod dłoń swojej podopiecznej.

– Niestety nie. Dziś niedziela, trzeba by na pogotowie jechać, a tam straszne kolejki. Chrzcziny są ważniejsze, jesteśmy przecież rodzicami chrzestnymi – odparła łaskawie niczym księżna.

– A jak to się stało? Jeżeli można spytać? Wypiło się o jeden głębszy i ryło ze schodów? – Stasiak zaglądnął pannie w oczy. Wybrzmiało jego pytanie, a po nim zapadła grobowa cisza. Nie siedziałam wystarczająco blisko, żeby go w kostkę kopnąć. Na stoły wniesiono talerze z zupą cebulową okraszoną pływającymi grzankami i startym serem. Goście zamruczeli z podziwu, mile zaskoczeni. Tylko Stasiak minę miał nietęgą, powąchał talerz i skrzywił się.

– A co to za mimry z mamrami? Rosółku nie będzie? Żebym od tego jakiś parchów na języku nie dostał. – Błysnął w stronę panny swoim złotym zębem, najnowszym krzykiem mody wiejskiej. – Brązowe niczym...

– Stachu... podaj Helenie łyżkę – rozkazałam twardo.

Na szczęście większość gości zajęta była rozmową, nie dosłyszała dowcipkowania mojego brata, który przecież trzeźwy był. Obdarzony donośnym, niezwykle dźwięcznym głosem dominował nad towarzystwem, jego słowa docierały do najbardziej przygłuchego słuchacza. Wiosłował łyżką w talerzu i opowiadał. Piękna Helena, niezdecydowana, czy jeść, czy słuchać, zastygła z lekko rozchyłonymi ustami.

– Na weselu u Boryków – mówił – na wejście podali zamiast wódki puncz czy pancz, kolorowe to było w wielkiej misie, chochelką kelner nalewał. Smaczne było, słodkie, ale tak się pochorowałem po tym napitku, że cały weselny obiad obejrzałem sobie od tyłu, klatka po klatce jak na filmie... Mój żołądek nie zwyczajny inności, trzeba się trzymać tego, co się zna. Może nam nie zaszkodzi ta brązowa zupka, co pani na to? – zwrócił się do Pięknej Heleny.

Ona błada i zapadnięta w sobie, złamana bólem ramienia, skinęła tylko głową, ale łyżki do ręki nie wzięła.

– Może panią pokarmić? – zaproponował ochoczo. Siostra Waldemara, Waleria, wybuchnęła perlistym śmiechem.

– Ale pan szarmancki, panie Staśku, dzisiaj takich mężczyzn ze świecą szukać...

– Nie dziękuję. Nie mam apetytu – powiedziała Piękna Helena.

– Powinnaś jeść Helenko, bladziutka jesteś na twarzy, anemię masz pewnie, a pan Stasiiek, samo zdrowie! – Waleria rozpoczęła z moim bratem coś jakby niewinny flirt. Wypytywała Staśka o jego gospodarkę, sprytna kobieta znająca mężczyzn, wiedziała dobrze, że każdy jak mu dać możliwość do opowiadania o sobie i swoich sprawach, do tego słuchać z zainteresowaniem, to już całkiem maślany się zrobi. Tym razem nie było inaczej. W Walerię zaczął oczy wlepiać, zachęcany opowiadał o najbliższych planach, szklarniach, hodowli lisów, raz dwa zmaszał złe wrażenie, jakie z początku zrobił. Niestety nie trwało to długo, znów go podkuśiło, zaczął pleść bzdury o sąsiedzie, w którego wóz piorun strzelił na polu buraczanym. Staralam się nie słuchać, zabawiałam gości rozmową, zagłuszałam opowieść brata, mimo to dochodziły do mnie strzępy zdań.

– Konia to kopytami do wirzchu wydarło – ciągnął z zapamiętaniem. – A potem się zajął wóz, stary Tuleja, kochana pani, płonął jak pochodnia, lecieliśmy gasić, ale nie było co zbierać... koń też się zwęglił na cacy.

W końcu wtrącił się Waldemar, prosząc mojego brata, aby paniom przy obiedzie jakieś weselsze historie opowiadał, jeśli nie chce wszystkim deseru zepsuć. Na tę okazję przygotowany został tort orzechowy, czterowarstwowy.

Wdzięczna mu byłam za tę interwencję, tym bardziej że Stasiiek dopiero się szykował do opowiedzenia swojej ulubionej historii o motocykliście, któremu głowę ucięło pod kołami pociągu. Głowę nieszczęśnika na torach znalazła jego dziewczyna, jeszcze tego samego dnia rzuciła się do wody, z głową ukochanego pod pachą. Utopiła się. Słyszałam już o tym kilka razy, nie była to przyjemna do słuchania anegdota, choć prawdziwa. Stasiiek nieco zgaszony, pokręcił się chwilę na krześle, odpoczął po obiedzie, niespodziewanie zaproponował Pięknej Helenie spacer nad rzekę. Strumyk ślizgał się delikatnie po kamyczkach, zaledwie pół kilometra od domu państwa Pogorzelskich, nieraz tam zachodziliśmy moczyć zmęczone stopy. Może z grzeczności, może ze strachu, ale panna przyjęła zaproszenie, zabrawszy ze sobą biały kaszmirowy sweter, poszła.

Ja w tym czasie pokazałam gościom mój skarb, Zuzannę, dziecko, na które tak długo czekaliśmy. Pochylali się nad nią, cmokali, prześcigali w domysłach do kogo podobna, czyj ma nosek, czyje brwi? Waldemar pękał z dumy, nosił małą po ogrodzie, opowiadał, jakim jest cudownym dzieciątkiem. Miała zaledwie trzy miesiące, nie interesowało ją nic ze świata zewnętrznego poza moją piersią pełną mleka. Może za wcześniej rodziłam Artura, nie miałam jeszcze instynktów w pełni wyrobionych, przy nim nie szalałam z troski i radości jak przy Zuzannie. Może to o pleć dziecka chodziło? Dziewczynka wydawała mi się bardziej krucha, potrzebująca intensywniejszej matczynej opieki. Inaczej się zachowywałam po urodzeniu drugiego dziecka, jakaś zaborczość we mnie wstąpiła, niemilo mi było się z Zuzią rozstawać ani na chwilę. Nie lubiłam też patrzeć, jak obcy ludzie ją na ręce brali. Szykowałam się do ostatniego karmienia przed snem, kiedy wypatrzyłam na drodze wracających chrzestnych i aż usiadłam ze zdziwienia. Mowa ciała zdradzała więcej niż wypowiedziane słowa. Piękna Helena zdrowym ramieniem opierała się na barczystym ramieniu Staśka, jej fruująca od głowy do ud ręka zahaczała raz po raz o gestykującą dłoń mojego brata. Szli powoli, stawiając małe kroczyki, zwracając się do siebie przy każdej okazji. Dwie jasne czupryny łaskotał lekki wietrzyk, im bliżej byli domu, tym mocniej biło mi serce. Trąciłam delikatnie Waldemara i zapytałam szeptem:

– Będzie coś z tego? Jak myślisz?

Waldemar wzruszył ramionami, niespieszno mu było do wydawania opinii, ja się rozgorączkowałam, szukałam okazji, żeby dyskretnie Staśka odciągnąć na stronę i wypytać. Dopiero pod wieczór udało mi się go zwabić do pokoiku, gdzie usypiałam po kąpeli maleńką Zuzannę. Waldemar wysłał do mnie brata, pod pretekstem zamknięcia ciężkich okiennic na noc. Kiedy przyszedł do pokoju nie traciłam czasu na dyplomację.

– Jest nadzieja na miłość? – zapytałam szeptem.

Stasiak przez chwilę kołysał swoją chrześnicę w niemieckim wózku, robił przy tym dziwne miny. Niby się kpiarsko uśmiechał, niby coś rozważał.

– Ma na mnie chęć. Tyle ci powiem – wypalił z wrodzoną skromnością.

Nie należałam do osób, które się oburzały z byle powodu, jednak coś w tym stwierdzeniu mnie zniesmaczyło.

– Nie wyrażaj się tak, trochę szacunku dla kobiety. Co to znaczny ma chęć?

– Zwyczajnie. – Stasiak wzruszył ramionami – Ma chęć, nie wiesz, co to znaczy? Mnie to się siostra Waldusia podoba. Walerka. Lubię takie zdrowe, rasowe kobiety, z rumieńcem na policzkach. A Helenka błąda, lebioda, ledwie, ledwie. Klei się do mnie jak glonojad do ściany akwarium.

– Stasiak, nie wybrzydzasz ty za bardzo?

– Prześliczna ta wasza córeczka. Do mnie podobna – powiedział, zaglądając do wózka.

– Stasiak, Waleria jest mężatką! Żeby cię żadna pokusa nie naszła!

Syknęłam mu prosto do ucha. Roześmiał się tylko, nie traktował poważnie mojego ostrzeżenia. Jeszcze kilka lat temu kochał się beznadziejnie w Cecylii, córce swojego gospodarza, nie miał śmiałości oczu na nią podnieść, najniższym słowem romantycznym uraczyć, serce zranione po polach leczył, teraz proszę! Do mężatek mu pilno. Czyżby tamta, zawiedziona miłość tak go odmieniła? Z wrażliwego młodzieńca zrobiła hardego kobieciarza? Inna rzecz, że miałam tak rzadkie kontakty z bratem, iż prawie go nie znałam. Odkąd nasze drogi się rozeszły w 1951 roku, zastraszająco mało czasu spędzaliśmy razem, miesiące całe biegły bez odwiedzin, jednak pamiętaliśmy o sobie, zawsze mieliśmy dla siebie dużo czułości przy spotkaniach.

– Ja cię proszę, brat, nie zrób czego głupiego – powiedziałam łagodnie.

Machnął ręką, jakby chciał powstrzymać kazanie.

– Tośka, na sermater z tym gadaniem. Co ty, matka jesteś? Od niej już się nasłuchałem, uszy mi spuchły. Wystarczy – odparł poirytowany. Nie spodobało mi się porównanie do naszej mamy. Spotykałam wiele kobiet w życiu, wszystkie bardzo się martwiły, żeby do swoich matek

nie być podobną. Ja również starałam się pilnować, aby matczynych cech do głosu nie dopuścić. Odczekałam parę chwil, zapytałam Staśka z troską, nie pretensją:

– Czy ty aby się za tamtą nie mścisz?

Nastroszył się mój brat, byłby mi pewnie coś przykrego odszczeknął, ale w tym momencie do pokoju głowę włożył Waldemar, zapraszając nas na tort i kieliszek koniaku. Obiecałam, że przyjdziemy, jak tylko Zuzia zapadnie w głębszy sen. Kiedy wyszedł, mieliśmy z bratem ochotę kontynuować rozmowę, ale to nie ja się pierwsza odezwałam.

Stasiek podniósł się z kanapy.

– O kim mowa? O Cecylii? – Na jego twarzy ukazał się grymas.

Nie odezwałam się, wolałam, aby sam sobie odpowiedział na to pytanie. Poderwaliśmy się z miejsc niemalże jednocześnie. Sięgnęłam do jego czupryny, zmierzwiłam ją serdecznym gestem. Smutny był błękit jego źrenic, zabolalo mnie to odkrycie.

– Ty ją kochasz jeszcze? Czy to możliwe?

Stasiek odszedł na parę kroków, myślałam, że chce wyjść z pokoju. Zawrócił szybko, jakby zmienił zdanie, znów stanął przede mną.

– Widuję Cecylię, nawet często – odpowiedział szybko. – Ten jej bęcwał jest sekretarzem partii w miasteczku, jak jego ojciec, co kopnął w kalendarz na wiosnę. Kupują u mnie ogórki spod folii i jaja. Cecylia sama przychodzi.

Nie mogłam wywnioskować z jego tonu, czy to dobrze, czy źle.

– Ile to lat minęło? Dziesięć?

– Trzyście. Powiem ci Tosiu, powinna była za mnie pójść, ona to wie. Ja to wiem. Męczy się teraz z tym swoim, kokosów nie mają, starą syrenką jeżdżą, dziecko jedno, ciągle chore. Zła krew u niego, zdrowego dzieciaka nie umiał zmajstrować... – Zasepił się.

– Nie mów tak! „Zmajstrować?”. Cóż to za brzydkie określenie! – Nie chciałam dopuścić, żeby się zbytnio rozczulał nad czasem przeszłym, ale z drugiej strony, komu miał o tej zawiedzionej miłości opowiedzieć, jak nie mnie?

– Masz trzydzieści pięć lat, czas najwyższy zapomnieć o Cecylii, zrobić miejsce dla nowej kobiety. Nie żyj wspomnieniem, nawet nie wiesz, czy byłbyś szczęśliwy, gdyby odwzajemniła twoje uczucie – tłumaczyłam. – Może szybko okazałoby się, że nie macie ze sobą wiele wspólnego, a tylko ta twoja zawiedziona miłość wszystko napędza? Możeś ty ją kochał tylko dlatego, że ona cię nie chciała? Tak często bywa. – Mówiłam z przekonaniem i żarliwością, na jaką starsza siostra może sobie pozwolić. Stasiek słuchał. – Patrzysz na nią, dalej ci się marzy, ale pewnie tylko dlatego, że nie możesz jej mieć. Waleria ci się spodobała? – Kręciłam głową – Waleria to owoc zakazany, dlatego tak cię do niej ciągnie, podczas kiedy wolna i chętna Helena cię nie interesuje. No powiedz, nie mam racji? Zastanawiałeś się nad tym?

Stasiek zmarszczył czoło, bardzo powoli przetwarzał to, co mu powiedziałam.

– Cecylia była mi pisana. Tyle wiem – upierał się.

– Nie składaj mi tu ślubów, ona jest żoną innego. Koniec kropka. Żebyś się nie ważył małżeństwa rozbijać, żeby ci nie wiem co gadała, jaka jest nieszczęśliwa. Rozumiesz? – Podenerwowana szarpnęłam go za rękaw koszuli.

– Tośka, gdybyś zaglądnęła do mojego serca, zobaczyła, co tam się dzieje... – zaczął.

Nie wiem, co jeszcze zostałyby powiedziane, gdyby nie Waleria. Wpadła do pokoju, nakrzyczała na nas, że wszyscy czekają, a my tu sobie gruchamy jak gołąbki. Stasiek jakby nie pamiętał, o czym rozmawialiśmy, rozweselony zwrócił się do mojej szwagierki:

– Pani Waleria jak się denerwuje, to jeszcze piękniejsza. Cudna złośnica, nic tylko poskramiać!

Waleria nie należała do nieśmiałych, zaraz mu się zrewanżowała.

– A pan Stanisław to powinien nad poskramianiem popracować. Ale własnych zapędów! W głowie kuzynce Helenie zawrócił, zostawił samą przy stole, skołował...

– Naprawimy błąd raz dwa. – Stasiek wychodząc, otarł się lekko umięśnionym ramieniem o Walerię, co ostatecznie ją trochę zawstydziło.

Mąż jej był małej postury, wyłysiały przedwcześnie, powyginany przez różnymi dolegliwościami stawów i kończyn. Łatwo sobie mogłam wyobrazić, że taki był połamany i schorowany od dzieciaka. Przy nim Waleria na pewno wiele nie użyła, tyle co szczur w żelaznym sklepie, jak mawiała moja matka.

Wysłałam, popychając brata przed sobą.

Goście zaczęli manifestować zmęczenie, objedzeni ziewali, jednak nie zbierali się do wyjścia. Waldemar częstował cygarami prosto z Hawany, jego ojciec nalewał do pękatych kieliszków koniak. Stasiak przysiadł się do niego, jak tylko złoty płyn błysnął mu przed oczami, podstaawił swój kieliszek, potrząsając nim lekko.

– No, doczekałem się procentów! Myślałem, że tak o suchym pysku będziemy siedzieć. – Trącił rubasznie teścia w bok. – Ja wiem, nie podaje się wódeczki w czas chrzcina i komunii, ale koniaczek, to chyba wolno?

Teść kiwnął głową. Miał wiele wyrozumiałości dla manier mojego brata, najmniejszym słowem nigdy go nie skrytykował.

– Wolno, o tej porze już wszystko wolno. Staszku, dobrze, że przyjechałeś, bo mam sprawę do ciebie. Trzeba ludzi organizować, wiesz, co się w kraju dzieje? – Zza okularów przyglądał się mojemu bratu, badając, czy dobrze trafił.

– A co? Szykuje się coś? – Staszek wychylił porcję koniaku, nie przerywając zdania. – O rozruchach marcowych słyszałem. U Wojnara syn na Uniwersytecie jest, przyjechał na wakacje, opowiadał, że studenci protesty urządzili. On tak do protestów nie jest, bo się boi, zawsze tchórzem był, jak stary Wojnar, ale opowiadać, opowiadał w szczegółach.

– No właśnie. – Teść aż podskoczył na krześle. – Mam sprawdzone informacje, że Jaruzelski na Czechosłowację ruszy lada dzień. Krew się poleje.

Teściowa przyłożyła palec do ust, uciszając męża. Oprócz Pięknej Heleny, mojego brata i Waldemara pozostawały obecne jeszcze cztery osoby z rodziny. Nie przysłuchiwali się naszej rozmowie, choć siedzieli wystarczająco blisko, żeby w każdej chwili złapać wątek.

Zdziwiło mnie, że teść tak jawnie porusza takie tematy, zazwyczaj

omawiane wyłącznie w zaufanym gronie konspiracyjnym szeptem. Wymieniliśmy z Waldemarem ostrzegawcze spojrzenie. Mój mąż może i nie miłował systemu, ale też nie zaliczał się do opozycjonistów. Nie mógł sobie na to pozwolić, w fabryce objął stanowisko kierownicze, miał widoki zostać dyrektorem technicznym, zaraz po odejściu obecnego na emeryturę. Szykował się na to stanowisko, podjęcie najmniejszego ryzyka byłoby w tamtym okresie szaleństwem, nie pozwoliłabym na to. W latach osiemdziesiątych, kiedy „Solidarność” ruszyła do boju, też stałam z boku, biernie wspierając ruch, przekonana, że otwarcie powinni protestować ci, co nie mieli nic do stracenia. Waldemar nie latał z podkulonym ogonem jak ja, jednak nie szedł z falą protestujących, a na przełomie sierpnia i września 1980 roku w jego fabryce było naprawdę gorąco. Rok później „Solidarność” WSK liczyła ponad trzysta tysięcy członków, mój mąż do nich nie przystał. Troskał się o ludzi w fabryce, bał się anarchii, gorączki tłumu, samosądów, nieprzemyślanych decyzji, które zagroziłyby produkcji, zadreślał się wizją niekompetentnych działaczy, którzy mogliby zająć stanowiska w fabryce, nie mając do tego ani predyspozycji, ani doświadczenia. Nie rozumiał tego, co się działo, dobro fabryki było dla niego najwyższą wartością. Najbardziej obawiał się, że dojdzie na terenie zakładu do aktów przemocy, zginą niewinni ludzie, a on nie będzie w stanie uchronić podwładnych od bezsensownej śmierci. Czuł się za nich odpowiedzialny, choć oni takiej opieki od niego wcale nie oczekiwali. W tajemnicy przed mężem poszłam z Wandzią na stadion Stali Rzeszów, gdzie 20 września 1981 roku podczas mszy świętej nastąpiło poświęcenie sztandaru NSZZ „Solidarność” WSK Rzeszów. Sam biskup Tokarczuk święcił. Spłakałyśmy się z Wandzią, piękna to była uroczystość, poruszająca, i to chyba wtedy wolnościowy ptak po raz pierwszy przeleciał nad moją głową, budząc mnie ze snu. Nie poruszałam tego tematu z Waldemarem, zbyt był przejęty misją uchronienia fabryki przed chaosem, zdarzyło mu się psioczyć na działaczy „Solidarności”, w skrytości duszy może nawet nimi pogardzał? Dopiero kiedy Jaruzelski ogłosił stan wojenny, uspokoił się. Mój mąż do końca swych dni myślał, że generałowi zawdzięczamy uratowanie Polski od najazdu

Rosjan. Dziś tyle już historycznych faktów podano do wiadomości, a spora część Polaków nadal tak sądzi. Sam generał, jak jeszcze miał siłę, chętnie występował w telewizji, siedł w zaparte z tą swoją teorią zbawiciela narodu.

Przystałam do „Solidarności” w swoim zakładzie pracy, choć nie zdążyłam niczym się wsławić ani zasłużyć. Jedyнным wkładem w walkę o wolność było zabranie do domu, wypranie i wyprasowanie białoczerwonych opasek, które protestujący nosili na przedramieniu. Waldemar nie miał mi tego za złe.

– Zapisłaś się? – zapytał.

– Tak – odparłam bez podawania pokrętnych tłumaczeń.

– Mój ojciec byłby z ciebie bardziej dumny niż ze mnie – powiedział i tyle było naszego sporu.

Nikt w Polsce nie był tak antylewicowy, antysocjalistyczny, antyrządowy, antyludowy jak mój teść, Ludwik Pogorzelski. Nie wymagał jednak od swoich najbliższych, aby podążali jego śladem, nie wywierał żadnej presji na swoich synów czy zięciów, którzy dla Polski Ludowej gorliwie pracowali oraz udzielali się społecznie. Waldemar nigdy nie zdradził ojcu, że zapisał się do partii. Był to warunek jego awansu, zostało mu to jasno powiedziane, przynajmniej pod tym względem komuniści grali w otwarte karty. Mój mąż radził się mnie w tej sprawie, a ja, wychowana na moście pomiędzy surową antykomunistyczną matką a ciotką Polą i jej drugim mężem pułkownikiem Bezpieki, wyraziłam opinię, że nic mu przecież nie zaszkodzi zapisać się do partii, a jednocześnie pozostać wiernym swoim poglądom! W końcu to tylko czerwona legitymacja, kilka narad w godzinach pracy, nic wielkiego. Waldemar nie traktował tego tak lekko, zmagął się ze swoim sumieniem, odwoływał do kodeksu moralnego, jaki ustanowił jego ojciec, jednocześnie patrzył na syna i żonę, którzy oczekiwali od niego zapewnienia im lepszej przyszłości. Andrzej, mąż Poli, powiedział mi kiedyś, że na protest i bojkot obecnego systemu mogą pozwolić sobie albo bardzo bogaci Polacy, albo bardzo biedni, natomiast cała reszta, wielka szara masa ciężko pracujących ludzi, chcących żyć lepiej, musi z systemem nawiązać przyjaźń, nawet jeśli

to uczucie nigdy nie miałyby się przerodzić w coś większego. Mój teść nie był ani biedny, ani bogaty, ale stanowił wyjątek od tej reguły. Na wysokich partyjnych stołkach w fabryce Waldemara uważało się, że jego ojciec jest niespełna rozumu, co ostatecznie nie zaszkodziło sprawie jego awansu. O Ludwiku Pogorzelskim mówiło się, że ma „żółte papiery”, nie zamieszczaliśmy w gazecie sprostowania, bezpieczniej było mieć ojca wariata niż opozycjonistę.

Nie orientowałam się jednak zupełnie w poglądach mojego brata. Kiedy Ludwik Pogorzelski zaczął z nim tę na wpół konspiracyjną rozmowę, przysiadłam się z krzesłem blisko ich siedzeń, żeby posłuchać. Teść opowiadał o zajściach marcowych na uniwersytetach w Warszawie, we Wrocławiu i w Łodzi. Dumny był z tych młodych ludzi, którzy podnieśli głowę, sprzeciwili się obyczajom komunistów. Przestraszyli Gomułkę, tego dziwnego, a raczej beznadziejnego człowieczka, który rządził krajem wraz ze swoją świtą. Teść nie mógł zdzierżyć sekretarza Wiesława Gomułki, a rodzaj demagogii, jaki ten uprawiał, połączonej z denerwującą manierą przemawiania „jakby zając po łące skakał”, doprowadzał go do białej gorączki. Słyszałam, jak nazwał go imbecylem! Najgorzej jednak znosił fakt, że Gomułka urodził się w Krośnie, czyli tam, gdzie on sam. Ludwik Pogorzelski ubolewał, że na jego terenie taki wrzód dojrzewał. Wszyscy członkowie rodziny Pogorzelskich drżeli ze strachu o Ludwika, wróżyli, iż z więzienia żywego go nie wypuszczą, pozorując nagłą śmierć, wypadek lub samobójstwo. Komuniści wsadzali go do aresztu, przetrzymywali, na początku nawet kilka miesięcy jednym ciągiem, ale potem jakby stracili zainteresowanie i entuzjazm w prześladowaniu go. Był już coraz starszy, nie stanowił zagrożenia, w końcu doszli do konkluzji, że pomieszał mu się rozum i zostawili go w spokoju. Myślę, że nie było mu to w smak. Chciał, aby wokół tego, w co wierzył, był ciągły ruch, cel mógł być osiągnięty tylko wtedy, kiedy władza się nim interesowała, prześladując go.

Napierała na Staśka bardzo twardo, zaczynałam się denerwować. Zawsze, kiedy zaczynały się tematy polityczne, wynikała z tego jakaś awantura.

– W takim zniewoleniu umysłowym dobrze ci się żyje? – Teść nachylił się do przodu, oczekując odpowiedzi od mojego brata.

– Ja się zniewolony nie czuję. – Stasiak oparł łokcie na stole, koniakówkę w dłoni zaczął obracać i odpowiedział: – Mam pole, ogórki pod folią, lisy, rano wstaję i oddycham powietrzem mojej wsi. Przysięgam, nie czuję się zniewolony. Bynajmniej. Może w miastach jest inaczej, inteligencja ma inne potrzeby niż my proste ludzie. Mnie paszport niepotrzebny, chyba, żebym się do Ameryki miał wybierać, ale na razie nie planuję...

– Masz rację Stachu, masz rację. – Ludwik Pogorzelski klepał go po ramieniu. – Ale z drugiej strony, na polskiego chłopca zawsze można było liczyć, podczas powstań i rewolucji, na przełomie dziejów, teraz też nie powinniście odwracać się plecami do ważnych spraw.

– Na mnie można liczyć! – Stasiak krzyknął Ludwikowi prosto do ucha. – Jakby co się szykowało, panie starszy, to widły pójdą w ruch! Tosia zaświadczy, że ze mną nie ma żartów.

Teść nie wydawał się rozbawiony buńczuczną deklaracją, nie chodziło mu o tego rodzaju zaangażowanie w sprawy polskie, jakie proponował podchmielony Stasiak. Zignorował jego wypowiedź.

– My Polacy, panie Staszku kochany, my smak niewoli znamy, ile istnień trzeba było poświęcić, żebyśmy wolność odzyskali... ile powstań... każdy chyba Polak ma w rodzinie kogoś, kto walczył o wolność, czy na tej, czy na tamtej wojnie. Nasza najnowsza historia jest jeszcze bardziej ponura, znów jesteśmy pod zaborami.

Waldemar szykował się, aby nieco uspokoić ojca, kiedy niespodziewanie do rozmowy włączyła się Waleria. Siedziała z nami, owinięta szalem, po przeciwnej stronie stołu.

– Wolność! – powiedziała kpiarsko. – Wolność, tato, to nam dali inni, ze strachu przed nierównowagą sił w Europie, nic żeśmy sami sobie nie wywalczyli. A przez te wszystkie bezsensowne powstania całe połacie ziemi krwią spłynęły. Powstanie Warszawskie, tyle młodych na darmo zginęło! Najlepsi, elita kraju, poszli do piachu, a została szumowina, która teraz dorwała się do władzy. Francuzi rewolucję zrobili i wygrali, Rosjanie rewolucję zrobili i obalili stary porządek, tylko nam się nigdy nic nie udawało, setki lat rozlewu krwi i krzyże, groby, tablice pamiątkowe!

– Walerka! Co ty za teorie głosisz? – Waldemar zareagował żywo.
– Kto ci do głowy takie bzdury nakładł?

– Nikt mi nie musiał kłaść, sama do tego doszłam. Ja was bardzo przepraszam, ale my z mężem nie uprawiamy takiego patriotyzmu na kolanach jak wy.

Mąż Walerii nie był obecny przy tej rozmowie, poszedł się położyć do stodoły na siano godzinę wcześniej, nie mógł żony wesprzeć w wygłaszaniu śmiałych teorii. Stasiak gwizdnął.

– O Powstaniu Warszawskim mało się słyszy, ale nie, że było daremne – powiedział, ukradkiem wypatrując reakcji Ludwika Pogorzelskiego. – Ludzi kupa zginęło, młodziaków, a pani Waleria mówi, że niepotrzebnie?

Waleria nie odpowiedziała, wszyscy zamilkliśmy pod naporem jej wcześniejszych słów. Ani przedtem, ani potem nie widziałam tak bolesnej twarzy teścia jak tej nocy. Złękłam się, że Ludwik Pogorzelski zawału serca dostanie na miejscu albo córkę przeklnie i przegna z domu. Nie znałam Walerii od tej strony. Nie uważałam jej nigdy za trzpiotkę, ale też nie było okazji, żeby podejmować z nią poważne tematy. Ja byłam naiwna, w swoich rozważaniach tak przyziemna, że kwestie zaborów czy odzyskanej na chwilę wolności omijałam z daleka. Aby wybrnąć z zakłopotania, zerwałam się od stołu, uprzętać brudne talerze. Wychoząc, słyszałam, jak Waleria jednym słowem przeprosiła ojca. Nic jej nie powiedział, ani się z nią w żadną dyskusję nie wdał, zraniony do żywego wypowiedzią córki. Waldemar też się chyba nie spodziewał, że jego siostra nagle wystąpi z takim komentarzem, zmieszał się, wodził za mną wzrokiem od stołu do drzwi.

Waleria nie dożyła czasów, kiedy podobne poglądy zaczęto powtarzać w telewizji, pisać o tym felietony w gazetach, opisywać Powstanie Warszawskie jako niepotrzebną rzeź niewinnych. Ja długo rozmyślałam o tym, co od niej usłyszałam, zaczęłam sama mieć wątpliwości, czy my aby na pewno byliśmy takimi bohaterami, jak zawsze myślałam? Na szczęście, wiele lat później los nagrodził nas Lechem Wałęsą i Karolem Wojtyłą.

Kiedy wróciłam z kuchni po kilku minutach, sytuacja była uspokojona. Walera nie było już przy stole, mój brat dyskurs ciągnął z Waldemarem na obojętne tematy. Ludwik Pogorzelski przepijał do mojego Staśka, stracił zupełnie ochotę na dalszą rozmowę, pochłonięty własnymi myślami nie odezwał się więcej.

Kiedy goście ostatecznie się rozeszli, teściowa zaczęła organizować nas do spania. Stasiak zostawał na noc, pościeliła mu za moją zgodą na naszej kanapie, mały Artur uparł się spać z innymi na sianie, a Zuzia spała w wózku obok naszego łóża. Przenocować miała również Piękna Helena, umieszczono ją na poddaszu w maleńkim pokoiku, gdzie jako podlotki mieszkały siostry Waldemara, wywalczywszy sobie trochę prywatności. Położyliśmy się do łóżka bardzo późno. Nie mogłam zasnąć, mój mąż oddychał ciężko, posapywał, pogwizdywał przez sen. Leżałam nieruchomo u jego boku, żeby nie obudzić Staśka kotłowaniną w pościeli. Po godzinie, kiedy już cały dom ucichł i pociemniał, Stasiak wstał z kanapy, oczy miał przyzwyczajone do mroku, więc pewnym krokiem przeszedł do drzwi i uchylił je. W pierwszym odruchu chciałam mu powiedzieć, gdzie jest łazienka, jednak nie odezwałam się. Postać przez chwilę przy uchylonych drzwiach, a potem wyszedł z pokoju, bezszelestnie zamknął je za sobą. Nasłuchiwałam. Schody na poddasze zaczęły skrzypieć. Pokoik, w którym zakwaterowano Helenę, znajdował się bezpośrednio nad naszym, mogłam do woli, chcąc nie chcąc, przysłuchiwać się odgłosom. Nie rozumiałam pojedynczych słów, jednak miałam pewność, że rozmawiali przez chwilę, mój brat coś tam pannie opowiadał, prowokując chichot. Trwało to piętnaście minut, może trochę dłużej, kiedy już sen nadciągał na moje powieki, nagle rozległy się odgłosy, których nie sposób było z niczym pomylić! Łóżko zaskrzypiało kilkanaście razy, cieniutkie popiskiwanie Heleny trwały dosłownie parę sekund, Staśka w ogóle nie było słychać. Zerwałam się z pościeli, podeszłam do okna zaciekawiona. Noc sprzyjała dźwiękom, wszystko brzmiało wyraźnie i donośnie, zdawało mi się, że baraszkująca para postawi cały dom na nogi. Waldemara te odgłosy miłości nie obudziły,

położył się nie najtrzeźwiejszy, teraz spał snem sprawiedliwego, obojętny na odgłosy z góry.

Obudziłam się, żeby karmić Zuzię około siódmej rano, mój brat z odkrytym torsem spał w najlepsze na kanapie. Lewa ręka zakrywała pół twarzy, prawa zwisała luźno, dotykając podłogi. Dziwnie się poczułam, obserwując go w dziennym świetle, mając w pamięci, na czym go przyłapałam kilka godzin wcześniej. Nie słyszałam, żeby ktoś z mojego najbliższego otoczenia zdradzał małżonka czy uprawiał seks przed ślubem, ale to nie oznaczało, że tak się nie działo. Żyliśmy w strasznym zakłamaniu! Ja nie byłam lepsza, ale tego już pamiętać nie chciałam, przynajmniej nie w dniu Chrztu Świętego naszej córki.

Przy pożegnaniu udało mi się jeszcze raz zapytać Staśka, czy ma jakieś zamiary w stosunku do Piękną Heleny, szczególnie w świetle wydarzeń minionej nocy. Tak, zdradziłam się, że wiem o jego wyprawie na poddasze, ale nie zawstydziłam go, wzruszył tylko ramionami.

– Tosiu, jak ja mogę za żonę brać pannę, co przy pierwszym spotkaniu pod koldrę mnie wpuszcza? Sama powiedz.

– To po coś tam laź? – huknęłam podenerwowana.

– Właśnie po to, żeby sprawdzić, czy to porządna kobieta. A poza tym, Hela jest za ładna, z tego same tylko problemy mogą być – odparł.

– Mądra, ładna, bardzo za tobą... – ostatnie chwile wykorzystywałam, aby Helenę w ramiona brata na stałe wepchnąć – ...na wsi z tobą zostanie, dzieci śliczne urodzi, zobaczysz...

Stasiek pocałował mnie w czoło, delikatnie od siebie odsunął i poszedł w kierunku domu żegnać się z teściami. Piękna Helena do ostatniej chwili wypatrywała jakiegoś znaku, zachęty czy obietnicy, czegoś, co przywróciłoby jej dobre samopoczucie, rozgrzeszyło chwilę słabości. Nie widziałam nic złego w tym, że uległa Staśkowi, nie byli już młodzi, czas pracował na niekorzyść obojga, zażycie odrobiny nocnego szczęścia uznałam za uzasadnione. Stasiek szarmancko, ale wielce obojętnie pocałował Helenę w dłoń, zapowiedział, rozwiewając wszelkie wątpliwości panny, że następne ich spotkanie nastąpi na Pierwszej Komunii Świętej Zuzanny, no chyba żeby lisi ogon był jej potrzebny na kołnierz do

płaszcz, to zaprasza na swoją wieś. Żał mi jej było, lzy cisnęły jej się do oczu, jaskrawe słońce oślepiło ją, wiatr targał sukienkę, którą musiała przytrzymywać w czasie pożegnania. Nie wyglądała dystyngowanie, zagubiona i odrzucona, straciła w jednej chwili urodę, z której w rodzinie słynęła. Stasiek wszedł do swojego fiata koloru żółtego, silnik zamruczał, pomachawszy nam, odjechał. Podeszłam do Heleny, próbowałam ją objąć, odepchnęła mnie w złości, wbiegła do domu, potykając się na progu. Winiła mnie za zachowanie mojego brata, okazała to przy wszystkich, aż się spociałam ze wstydu i zażenowania. Nie dzieliłam się z Waldemarem swoją wiedzą na temat sekretnego spotkania pomiędzy Heleną a Staśkiem, nie chciałam, aby się wstydził za swoją kuzynkę bardziej niż ja za brata.

Kiedy zapytał, czy moje swaty znajdują swój finał przed ołtarzem, powiedziałam krótko:

– Przypał mnie żywym ogniem, jeśli jeszcze raz będę się brała za swaty.

Opowiedziałam tę historię mojej wnuczce Agnieszce, kiedy czekałyśmy na powrót Jacka. Nie wiedziała, że brat jej babci był takim kogutem! Stasiek miał na sumieniu drobne grzeszki, wszystkie łamiące szóste przykazanie – nie cudzołóż!

Agnieszka chciała się dowiedzieć, jak umarł mój brat. Nie miał pięknej czy lekkiej śmierci. Zazdrościłam członkom rodziny Waldemara, którzy umierali nagle, nie cierpiąc. Dla naszej rodziny Pan Bóg nie był aż tak łaskawy. Ojca mojego zastrzelono, matka umierała długo w okropnych mękach na raka, Joachim, tak jak jego żona, też zmarł na raka trzy lata przed nią, a Stasiek, po wypadku na traktorze, dostał infekcji okaleczonej nogi, wdała się gangrena, nogę amputowano, ale za późno, już cały organizm chorował i zmarł biedaczysko, mając zaledwie czterdzieści dziewięć lat.

Agnieszka zasmuciła się.

– Takie te nasze losy dramatyczne. A ja babciu, skoro już pytasz o Jacka, to powiem ci, że nie mogę się powstrzymać przed porównywaniem

go do mojego brata. Widzę w nim Emila, choć może tylko dlatego, że Emila szukam w każdym poznanym mężczyźnie... Tak bardzo mi go brakuje. Tęsknię za nim, nic nie jest lepiej.

Musiałam się upewnić, czy dobrze zrozumiałam.

– To ty Jacka jak brata traktujesz? To, co między wami jest, to braterskie uczucie?

– Nie wiem. Może przez ten wyjazd coś się wyjaśni – powiedziała.

Była ze mną szczerą, o szczerą ją prosiłam w stosunkach z Jackiem. Nie można było dopuścić, pod żadnym pozorem, za żadną cenę, aby Jacka spotkała krzywda z naszej strony! Agnieszka musiała leczyć swoją duszę wszelkimi możliwymi sposobami, ale nie poprzez zranienie mojego Jacka, bo kto jak kto, ale on to już wystarczająco dużo w swoim krótkim życiu przeszedł. Zapewniła mnie, że jak tylko sama się przekona, z jakimi uczuciami ma do czynienia, wyśle mu jasny sygnał.

– On jest fizycznie podobny do Emila, nie zauważyła babcia?

Nie zauważyłam. Jacka znałam od małego, widywałam go często, rósł na moich oczach, ani razu nie uderzyło mnie, że jest podobny do mojego wnuka. Obydwaj mieli oliwkowe cery, piwne oczy, czarne włosy, ale czy byli do siebie podobni? Nie, chyba nie. Zaczęłam się zastanawiać. Emil nie żył od dwóch lat. Siódmego września przypadała smutna rocznica jego śmierci.

ROZDZIAŁ XVI

Zuzanna miała dziesięć lat, kiedy zdecydowałam się na odwiedzin u Poli. Waldemar zżymał się nieco, zaskoczony perspektywą pozostania w pojedynkę na gospodarstwie, ostatecznie nie doczekał się zmiany moich planów. Raz postanowione, musiało się spełnić. Mieszkaliśmy od roku pod miastem, w domu jego rodziców, co w praktyce oznaczało codzienne dojeżdżanie do fabryki, choć trochę męczące, nie utrudniało nam specjalnie życia. Na czas mojej nieobecności opiekę nad Zuzią zaoferowała jego siostra Waleria, mieszkająca po sąsiedzku. Nie udało mi się ze szwagierką zaprzyjaźnić, ale lubiłam ją. Ich dom tętnił życiem, organizowali liczne przyjęcia, drzwi się nie zamykały, goście przyjeżdżali, odjeżdżali, całymi tabunami. Waldemar martwił się, że jego siostra spory pieniądź przepuszcza na te towarzyskie uciechy. Artur po ojcu był taki oszczędny i solidny w finansach, choć nie skąpy, tego bym mu nigdy nie zarzuciła. Mężczyźni zawsze myślą praktyczniej niż kobiety, kiedy przychodzi do gospodarki finansowej. Waleria zmarła na udar mózgu kilka lat po Waldemarze, nie doczekawszy siedemdziesiątych urodzin. Jej mąż, choć niemiłosiernie schorowany, zanim umarł, zdążył się ponownie ożenić z pensjonariuszką domu starców.

Chciałam jechać do Poli i mogłam to zrobić. Nie byłam aż tak potrzebna na miejscu, jak to próbował przedstawić Waldemar. Nie sprzeczaaliśmy się na ten temat, okazywał niezadowolenie, swoim zwyczajem zamilkł na parę dni. Przekonałam go w końcu, że taki wyjazd obojgu nam dobrze robi, mnie robi najlepiej, bo ostatnimi czasy cierpiałam na stany melancholijne, wstawałam z łóżka zmęczona, w południe brakowało mi energii, żeby zabrać psa na spacer po lesie. Zmiana otoczenia mogła mieć na mnie korzystny wpływ. W tamtym okresie życia tęskniłam

za Polą jak za zapachem lata, szukałam śladów jej usposobienia w spotykanych kobietach, ale żadna z pań nie miała takiej magii jak ona. Wandzia, moja wierna przyjaciółka, na którą zawsze mogłam liczyć, nie roztaczała wokół siebie aury, nie mogłam z niej czerpać ani się na niej wznować, choć przyjaźń stanowiła najmiłszą odskocznę od codzienności.

Artur mobilizował mnie przed podróżą, sam niemalże tak podekscytowany jak ja. Wymusił niemalże zobowiązanie, abym porozmawiała z ciotką na temat jego wyjazdu do Anglii. Zaraz po skończeniu studiów na wydziale chemii miał zamiar jechać na rok do Londynu, nauczyć się języka, zarobić, zakosztować świata innego. Przrzekłam, że omówię z Polą sprawę. Znając moją ciotkę, przewidywałam, że zapali się do pomysłu bardziej jeszcze niż on sam, na pewno przyśle mu zaproszenie.

Nie wiedziałam, co mnie tam czeka w tej Anglii? Pola od jakiegoś czasu nie przysyłała żadnych fotografii, nie miałam jasności, czy wstydzi się swojego wyglądu, czy jest jakiś inny powód? Mając pięćdziesiąt osiem lat, nie tryskała już pewnie urodą i świeżością, może też nie chciała mnie przestraszyć swoim mężem, staruszką, umierającym na „starość”? Pisała regularnie, dzwoniła raz w miesiącu, czasami nawet częściej, zawsze pogodna, rozszczebiotana, nie wychwalała się zbytnio swoją sytuacją. Zaczynałam nabierać podejrzeń, że ten jej mąż może źle ją traktuje? Nie pytałam wiele, ona nie zdradzała szczegółów, więcej ja opowiadałam o przeciętnym życiu przeciętnej polskiej rodziny. Dwa razy w ciągu ostatnich pięciu lat przysłała mi spore sumy pieniędzy, za które kupiliśmy samochód marki Dacia 1300, resztę ulokowaliśmy w obrazach i złocie. W domu rodzinnym Waldemara przechowywaliśmy wszystkie przedmioty pochodzące z warszawskiego mieszkania Poli i Andrzeja. Przekazali nam je do chwilowego depozytu, ale już nigdy nie mieli ich odebrać. Kiedy wyprowadzałam się do bloku, Artur zabrał je pod swój dach, tam spoczywają do dziś, niczym prochy zmarłego. Po jego odejściu od Oktawii, wyprowadzce z domu, los tych pamiątek pozostawał nierozstrzygnięty. Nie chciałam, aby zostały przy jego byłej żonie, z drugiej

jednak strony, nie bardzo miałam pomysł, gdzie powinny się znaleźć? Zuzanna, z właściwą sobie złośliwością, zasugerowała:

– Zakopać te skarby po ciotce Poli w ogrodzie i będzie spokój.

Nie wiedziała, że nie były to tak do końca przedmioty należące do Poli, a tylko do lokatorów mieszkania, które zajęli po wojnie. Artur wiedział, może dlatego pozostawił wszystko Oktawii, nie czując smutku ani wyrzutów sumienia, rozstając się z cudzą własnością, którą drudzy właściciele objęli w posiadanie dość pokrętnymi sposobami.

Z lotniska odebrał mnie kierowca. Ponury i brzydki jajogłowy mężczyzna z pożółkniętymi zębami, czekał na mnie przed wyjściem, trzymając kartkę z napisem TOSIA. Wrzucił moją walizkę do bagażnika, coś tam pobelkotał, że nawet go nie zrozumiałam, i ruszył z kopyta w trasę. Nie rozmawialiśmy po drodze, ja oglądając świat przez okno, on słuchając radia. Byłam bardzo ciekawa, gdzie osiedliła się moja ciotka, jak wygląda to jej nowe królestwo? Już raz tak do niej jechałam, do Warszawy, podekscytowana, onieśmielona, tym razem miałam więcej spokoju w sobie, mniej cieszyła mnie przygoda, bo już nie byłam młoda.

Udało jej się uciec od męża Pilota i jego matki kilka tygodni po przeprowadzce do Anglii, więc nie następnego dnia, jak planowała.

Wyjechała z Norfolk pod osłoną nocy, wspomagana przez tego samego milczącego kuzyna męża, który wiozł ją ze stacji w Norwich pierwszy raz. Wybrała dzień Bożego Narodzenia, tłumacząc mi szeroko, że absolutnie nie była w stanie zasiąść do stołu w święta z tą rodziną. Dzień wcześniej nie odbyła się Wigilia, obyczaj oraz tradycja angielska nakazywała świętowanie zacząć dopiero w dniu Bożego Narodzenia. Zamiast lepić pierogi, tłuc karpia, doprawiać kapustę, udali się niczym zgodna rodzinka do pubu „Kings Head”, wypić kilka drinków przedświątecznych. Tam właśnie, na widok kuzyna, Pola powzięła szybkie postanowienie, przyznając mu rolę wybawcy. Oparty o bar, w towarzystwie kompanów równie podchmielonych jak on sam, kuzyn Pilota zaśmiewał się rubasznie wraz z innymi, ale sam głosu nie zabierał. Pola, Pilot oraz jego powłócząca nogami matka rozsiedli się przy stoliku pod oknem nad szklaneczkami ze szkocką whisky. W głowie mojej ciotki rodził się

chytry plan ucieczki. Czekwała na taką sposobność od tygodni, chcąc uniknąć sytuacji, kiedy w dramatycznych okolicznościach miałaby porzucić Pilota na oczach jego matki (a może i całej wsi Bramford), targać walizkę, wsiadać do autobusu. Nie byłoby to w jej stylu. Zamierzała po prostu zniknąć, wylizać rany, prędko zapomnieć o tym jakże niefortunnym ożenku. Jej cierpliwość została nagrodzona. Mieszkanie przez kilka tygodni z Pilotem, uciśniętym pantoflem swojej matki, zaliczała do najbardziej przykrych etapów swojego życia.

Nawiązała kontakt wzrokowy z podpitym kuzynem, wyczekawszy na odpowiedni moment, wybrała się do toalety, wracając, przystanąła przelotnie przy kuzynie, przywitała się, szepnęła mu parę zdań w rozgrzane do czerwoności ucho, obdarowała kompanów pięknym uśmiechem, po czym spacerkiem wróciła do stolika pod oknem. Gdyby ich kto obserwował z boku, pomyślałby, iż wdali się w flirt. On tak za nią patrzył, kiedy odchodziła tanecznym krokiem, że byłby się wywrócił, gdyby się nie wsparł o blat baru.

Pięć godzin później, nadal jeszcze pijany kuzyn, wiozł ją rozklekotanym fordem do miasta Norwich. Nie wziął nawet zapłaty za ten świąteczny kurs, żegnał Polę na dworcu niczym najdroższą osobę na świecie, składając maślany pocałunek na jej policzku, tuż obok ust. Jakiś czas potem Peter Allen, czwarty mąż Poli, nie spotkawszy przecież nigdy Pilota, jego matki ani kuzyna, zawyrokował, że z pewnością oni wszyscy byli „blisko sparzeni”, gdyż ten region Anglii słynie z kazirodztwa oraz zażyłych stosunków pomiędzy rolnikami a ich trzodą chlewną. Pilotowi zostawiła krótki list pożegnalny, właściwie suchą informację zamkniętą w jednym zdaniu, że wyjeżdża na zawsze, jeśli zaś idzie o rozwód, niech czeka spokojnie na list od adwokata.

Pola trafiła do Allenów jako nauczycielka rosyjskiego. Synowa Petera Allena, Katerina, uparła się, aby uczyć dzieci języka jej przodków, więc w magazynie „The Lady”, najstarszym angielskim czasopiśmie dla kobiet, ukazującym się od 1885 roku, dała ogłoszenie, że poszukuje nauczycielki języka rosyjskiego. Gwarantowała mieszkanie, posiłki z

rodziną oraz dobrą pensję. Pola mieszkała wtedy na przedmieściach Londynu. Będąc w separacji ze swoim mężem, próbowała jak najszybciej otrząsnąć się ze wspomnień. Ubolewała nad fatalną pomyłką, inaczej małżeństwa z Pilotem nie umiała nazwać, jednak parla już ku nowemu. *Pomyłkę można popełnić, ale nie można w niej tkwić*, pouczała mnie w liście. *Powtórzony dwukrotnie ten sam błąd, to z definicji głupota.*

W Londynie zamieszkała u polskich przyjaciół, których знаła jeszcze z Warszawy. Starsze żydowskie małżeństwo, bardzo jej życzliwe, udzieliło uciekinierce schronienia w swoim małym domku przy ruchliwej ulicy. Potrzebowała trochę czasu, aby podjąć decyzję, czy zostać w Anglii, czy wracać do kraju. Nie miała wprawdzie do kogo i do czego wracać, aż za dobrze zdawała sobie z tego sprawę, nie chciała jednak śpieszyć się z decyzją. Kiedy wpadło jej w ręce ogłoszenie o pracy w posiadłości w Surrey, pomyślała, że nie byłoby to najgorsze rozwiązanie tymczasowe. Dzieci wprawdzie nie lubiła, ale świetnie władała rosyjskim oraz angielskim, miała nienaganne maniery, doskonałą prezencję i potrzebę pomieszkania w ładnym, bogatym miejscu, aby zatrzeć nieprzyjemne wspomnienia z domu Pilota.

Pojechała na spotkanie z Kateriną Allen spakowana w małą walizkę, nie biorąc w ogóle pod uwagę tego, że mogłaby tej pracy nie dostać. Podziękowała uprzejmie za gościnę, pożegnała na zawsze, pewna, że nigdy już nie przyjdzie jej poniewierać się po obcych kwaterach.

Szybko okazało się, że dzieci Kateriny i Johna Allenów były nie tylko niezdolne, ale przede wszystkim odporne na wszelką naukę, pogardzające słowem pisanim. Szykowały się do życia w dostatku, nie widziały sensu w poszerzaniu horyzontów umysłowych, pieniądze miały pomnażać się same.

Pola szybko odkryła, że nie ma powołania do pracy z dziećmi, postanowiła jednak przeczekać zimę u Allenów. Dostała wygodny, służący kiedyś za gościnną sypialnię, pokój z kominkiem, w którym mogła palić drewnem grzać się do woli. Miała tam święty spokój, nie docierały do niej natrętne hałasy z innych pomieszczeń. Do pokoju przylegała osobna

łazienka, wprawdzie nieogrzewana, za to luksusowo wyposażona w wannę, toaletę i wielkie lustro. Wyobrażała sobie, że mieszka w hotelu, odbywając podróż dookoła świata, lada dzień wyruszy dalej, poznawać cuda natury. Dzieci Allenów sprowadzały ją z chmur, odnosząc się do nauki, a także do niej samej, bardzo niegrzecznie. Miesiąc Pola wytrzymała na posadzie guwernantki. Nastął marzec, na niebie sporadycznie, potem coraz częściej, pojawiał się błękit, wiosenne zapachy zaczynały przebijać się przez wilgoć i chłód, budzić nadzieję. Zaraz po Wielkanocy postanowiła przeprowadzić pożegnalną rozmowę z pracodawcami. Przygotowała zgrabną, wiarygodną mowę, upiększając decyzję zmyśloną historią o tęsknocie za krajem. Kiedy podążała do salonu, zakłócić spokój państwa po kolacji, w holu wpadła na czerstwego mężczyznę rozdzielającego się z płaszczem. Mężczyzna był słusznego wzrostu, miał elegancko przycięte siwe włosy, okulary w złotych oprawkach, a co ją ujęło, w pierwszej kolejności przywitał się z nią jak z damą.

Peter Allen tydzień wcześniej wrócił z podróży po Australii. Od lat unikał spędzania zimy w Anglii, wyjeżdżał tam, gdzie ciepło i sucho, aby oszukać nieco bóle spowodowane postępującym artretyzmem. Przeważnie przeczekiwał sezon zimowy w domu na południu Włoch, gdzie oddana Klara szykowała mu posiłki, podlewała cianti, zadowolając się stałą pensją oraz życzliwością lodziarza. Płacił jej hojnie za całoroczne zawiadowanie domem, choć czasami nie pojawiał się tam dwa lata z rzędu. To we Włoszech, gdzie wojenne losy rzuciły Petera, wpadł na pomysł rozpoczęcia produkcji lodów, smaczniejszych niż te, do jakich przywykli Anglicy. W ciągu pięciu lat stał się prawdziwym potentatem, dzieci Wschodniego Wybrzeża prosiły rodziców podczas spaceru nad morzem o lody od Allena. ALLEN'S ICE CREAM to była zapowiedź uczyty dla wyschniętego podniebienia w ciepły dzień. Spożycie lodów miało wzrosnąć. Peter w latach pięćdziesiątych przewidział taki obrót sprawy, zlecając opracowanie receptury, sprowadzając maszyny z Włoch za pożyczone od ojca pieniądze. Oczywiście nigdy w Anglii nie jadło się tyle lodów,

co we Włoszech, jednak można było na ich produkcji i sprzedaży zbić prawdziwą fortunę.

Peter Allen odprowadził Polę wzrokiem, przestało mu się spieszyć do syna i jego małżonki, ale oczarowany, oparty o poręcz schodów, kręcił głową i wdychał jak sztubak.

– No niech mnie kule biją, Marilyn Monroe, tylko szczuplejsza... – miał powiedzieć za odchodzącą guwernantką swoich wnuków.

Dwa dni zajęło Peterowi podjęcie decyzji. Kiedy dowiedział się, że Pola chce porzucić posadę nauczycielki, zaproponował, aby została jego osobistą asystentką, nie zwracała sobie głowy nauką niesfornych wnuków, pojechała z nim do obszernego domu, oddalonego o kilka mil od posiadłości syna.

– A czy to wypada? Mister Allen? – zapytała.

– Z moimi pieniędzmi wszystko wypada, mój kwiatuszku... – odpowiedział.

– Uprzedzam lojalnie, że mam męża... – Zagrała w otwarte karty. – I choć niczego bardziej nie pragnę jak rozwodu, to jednak formalnie jestem mężatką.

– Myślisz, że wyzwie mnie na pojedynek? – roześmiał się. – Zabiję gada, jak się tylko pojawi, żeby cię zabrać.

– Nie sądzę, aby mnie szukał, nie wie, gdzie przebywam.

– My go odnajdziemy raz dwa, wręczymy mu pozew, a gdyby się wahał, przystawimy pistolet do skroni. W mojej rodzinie tak się załatwia trudne sprawy – powiedział, wsiadając do samochodu. Przyjechał po nią osobiście, bez szofera, podniósł z podłogi walizeczkę z ubraniami, w drzwiach przepuścił pierwszą, nie zwracał sobie głowy omawianiem czegokolwiek z rodziną. Pola nie miała pewności, gdzie kończy się żart, a gdzie zaczyna groźba. W ustach Petera Allena wszystko brzmiało poważnie, tylko w oczach można było dostrzec iskierkę ironii. Jego syn John z żoną Kateriną nie pofatygowali się na podjazd, aby pomachać chusteczką na pożegnanie, przeczuwali, że oto spełni się ich najgorszy ze snów – magnat lodowy Peter Allen ożeni się z Polką!

Wraz z dokumentem rozwodowym, Peter Allen wręczył Poli pierścionek ozdobiony trzykaratowym brylantem. Doszła do wniosku, że skoro trzech mężów poślubiła z miłości, to czwartego może poślubić dla wygodnego życia. Nie była jednak okrutną kobietą i Peterowi Allanowi o wszystkich mężach nie mówiła, zaledwie o kapitanie Tadeuszu, którego jej zabrała wojna. Andrzej został wymazany z jej życiorysu, jako zupełnie niepasujący do nowego życia.

Peter korzystał już tylko w bardzo małym stopniu z uciech cielesnych, nie musiała się zatem Pola obawiać, że jakieś przykrości będą ją czekać w sypialni. Kilka razy zaledwie, podczas pierwszego roku związku, doszło między nimi do sytuacji intymnej, nie były to jednak wielkie chwile uniesień. *Obydwoje daliśmy sobie z tym spokój*, napisała mi w liście.

Rodzina Petera Allena, pod przewodnictwem jego najstarszego syna Johna, zorganizowała prawdziwą krucjatę przeciwko Polce, posunęli się nawet do pisania obleśnych listów, mających na celu przepędzenie jej z domu seniora rodu. Katerina Allen zaproponowała jej nawet kilka tysięcy funtów w zamian za natychmiastowe zniknięcie, deklarowała również opłacenie szybkiego rozwodu z teściem. Pola nie wspomniała mężowi o tej haniebnej propozycji w obawie, że mógłby przeciwko synowej użyć broni palnej, a broni łowieckiej u niego nie brakowało. Znosiła dzielnie ordynarne zachowania, z czasem uodparniając się na docinki, niegrzeczności, obrazę. Peterowi obiecała towarzyszyć do końca dni jego lub jej, cokolwiek miałyby nastąpić wcześniej. Siedemdziesięcioletni małżonek deklarację skwitował stwierdzeniem, że jemu to w zupełności wystarczy. Nie oszukiwała go, zastrzegła, że nie darzy go płomiennym uczuciem, ale zrobi wszystko, żeby ich wspólne lata były szczęśliwe.

I byli. Podróżowali, bawili się, organizowali przyjęcia i polowania dla podupadłych arystokratów i wpływowych polityków. Pola błyszczała u boku męża, czarując wszystkich wokół swoją inteligencją, elegancją, wyczuciem stylu, który wyróżniał ją na tle brzydkich panien. Nareszcie była z mężczyzną, który ją w pełni docenił, wielbiąc w niej to, co miała

najcenniejszego. Kiedy mówiła o swoich poprzednich związkach, przyrównywała je do diamentu wsadzonego w miedzianą oprawę albo do róży wetkniętej w słoik po musztardzie. Nie musiała się liczyć z pieniędzmi, ale też nimi bezmyślnie nie szastała, Petera niejednokrotnie przestrzegała przed rozrzutnością, opowiadając o wojnie i głodzie, czego sama doświadczyła. Słuchał tych wspomnień swojej żony jak *Baśni z tysiąca i jednej nocy*, wydawała mu się jeszcze piękniejsza i dzielniejsza, niezwykła, inne kobiety nie wytrzymałyby porównań.

O całym rozmiarze nowego szczęścia, bogactwa, a w końcu perypetii z tym związanych, przez bardzo długi czas niewiele wiedziałam. Pola miewała tajemnicze okresy w życiu, jak choćby te lata powojenne, o których nigdy nie dowiedziałam się niczego więcej, nie musiała mi się tłumaczyć. Gdybym nie złożyła jej wizyty w Anglii, może bym o Peterze Allenie też całej prawdy nie poznała.

Wraz z nadejściem choroby męża beztraska i pewność siebie zaczęły opuszczać Polę, a kiedy Peter ostatecznie położył się do łóżka bez intencji opuszczenia go kiedykolwiek, wpadła w panikę. Dzień po moim przylocie do Anglii, Peter Allen ostatecznie zaniemógł, nie zdążyłam z nim nawet słowa zamienić. Wahałam się, czy w takiej sytuacji mam zostać, czy lecieć najbliższym samolotem do Warszawy. Pola pobladła z przerażenia, kiedy zasugerowałam, że może zrzęczniejsze by było, gdybym się ulotniła.

– Jezu Miłosierny! – powiedziała, sadzając mnie w fotelu naprzeciwko siebie. – Tosiu, nie możesz zostawić mnie z tym wszystkim samej! Dni Petera są policzone. Kiedy odejdzie, rozpęta się tutaj prawdziwe piekło, sama nie dam rady tym hienom.

– Ale co ja ci pomogę, Polu? Jaki ze mnie pożytek? – kłopotalam się.

– Twoja obecność mi wystarczy. Wynagrodzę ci, obiecuję...

Nie dla wynagrodzenia zostałam w Anglii, ale wiedziona poczuciem odpowiedzialności za Polę, chciałam jej służyć obecnością, pomocą, słowem, czymkolwiek. Nasze rachunki dalekie były od wyrównania, wciąż pozostawałam jej dłużniczką.

Po tygodniu nieustannego czuwania przy łóżku Petera Allena, brakowało nam już tematów do wspomnień. Nagadałyśmy się za wszystkie czasy. Pola z troską wpatrywała się w gasnącą twarz swojego czwartego męża, podawała mu namoczoną w wodzie gąbkę do ssania, poprawiała poduszki, trzymała za rękę, z pokoju wychodziłyśmy tylko wtedy, kiedy pielęgniarki przychodziły zadbać o higienę chorego. Umierał nie na starość, ale na marskość wątroby. Stawał się coraz bardziej żółty, nie już nie jadł ani nie pił, kurczył się w zastraszającym tempie, pogrążony w niezdrowym śnie. Wydawało się, że nie cierpiał. Pola była spokojna, godnie pełniła wartość honorową przy umierającym mężu. Niech się oburza, kto chce, moja ciotka Pola nie miała ani predyspozycji, ani chęci do bycia zwyczajną kobietą, matką i żoną, opiekunką czy męczennicą, nie pasowała do polskiej powojennej szarości, do domku w Norfolk, ale tutaj, na tle ścian wyłożonych drogą, jedwabną tapetą, w fotelu, który kosztował pewnie tyle, co jej mieszkanie w Warszawie, z brylantem na serdecznym palcu, odnalazła wreszcie swoje przeznaczenie. Przecież wszyscy jesteśmy do czegoś przeznaczeni. Od dnia urodzin rozpoczynamy wędrówkę, jednak nie wszyscy trafiają do celu zgodnie z zamiarem Stwórcy. Większość błąka się, jak Pola, od męża do męża, od kraju do kraju, z miasta do miasta, od pracy do pracy, desperacko poszukując nie tylko swojej drugiej połówki, ale samej siebie – tej pierwszej połówki.

W ostatnią noc, poprzedzającą śmierć Petera Allena, siedziałyśmy przy kominku, rozmawiając i wspominając ludzi, którzy odeszli. Opowiedziałam jej o śmierci siostry, Staśka, moich teściów, słuchała bez słowa, dopuszczając do głosu świadomość, że nas wszystkich czeka koniec, choćbyśmy nie wiem jak szybko biegli w przeciwnym kierunku. Służący dorzucał drewno do ognia, zorientowawszy się, że przy kominku spędzimy kolejną noc. Zimno było w tym wielkim, wystawnym domu, trzęsłyśmy się jak galareta, pewnie trochę ze strachu. Przyniósł nam kanapki na białym, niesmacznym chlebie, podlał whisky, bezszelestnie, jakby był duchem, zniknął co chwila w mroku. Co parę minut jedna z nas wstawała, szła do sypialni obok, sprawdzić, czy Peter nie przebudził się,

czy mu czego nie potrzeba. Pilnowała go pielęgniarka, ale nie dowierzałyśmy jej zbyt. Od kilku dni nie pojawił się nikt z rodziny seniora rodu, ani jego synowie, ani córka, która nie uważała za stosowne skrócić wakacji we Włoszech dla tak błędnego powodu jak agonía ojca. Byłyśmy zdane tylko na siebie. Pola nie mogła się nadziwić tej bezduszności córki.

– Telefonowałam do niej, do hotelu w Alpach, powiedziała, że przesadzam, jej ojciec na pewno tak szybko nie umrze. Kazała mi wieźć go do szpitala! Obiecałam Peterowi, że umrze w domu, w swoim łóżku, a ja będę przy nim. Mam zamiar dotrzymać obietnicy – mówiła, zniżając głos. – Ale powiedz Tosiu, co to za zniczulica? Tak się ojcem nie interesować, obojętnie, jakim ojcem był.

– A myśmy swoich ojców nawet dobrze nie znały... – mruknęłam.

Peter niejednokrotnie powtarzał swojej młodej małżonce z Polski, że wszystko mu się w życiu udało, ale nie dzieci. Nazywał je gamoniami, próżniakami i pazernymi hienami. Szczególnie nie lubił swojej córki Julie, twierdząc, że zbyt przypomina mu jego żonę, która nie przeczuwając, że dojdzie on do wielkiego majątku, zostawiła go z trójką małych dzieci i uciekła „z jakimś cwany Żydkiem do Izraela”. Kiedy zaczął zarabiać coraz większe pieniądze, produkować i sprzedawać smaczne lody robione z najlepszego mleka z dodatkiem prawdziwej wanilii, kakao, rodzynek, niewierna żona, zwabiona zapachem pieniędzy, przyjechała z Izraela, cała w białych zwiewnych szatach, uginając się od złota i problemów z kręgosłupem. Peter Allen kazał jej iść precz, po kilku dniach zlitował się, zgodził się pokryć koszty operacji kręgosłupa w renomowanej klinice amerykańskiej. Zrobił to dla swoich dzieci, żeby im dać dobry przykład, jednak żadnej lekcji z tego nie wyciągnęły, dalej myślały tylko o sobie. Dzieci matki nie znały, ani jej miłości, więc kiedy umarła, nawet tego nie odnotowali w swoich napiętych kalendarzach. Żadnemu nie przeszło przez myśl, żeby lecieć do Izraela na pogrzeb.

Peter Allen zmarł przed siódmą rano w naszej obecności. Tym razem nie słyszałam żadnych podejrzanych dźwięków świadczących o tym, że

ktos̄ ze zmarłych członków rodziny po niego przyszedł, jak było to w przypadku mojej teściowej.

Pola pochyliła się nad zmarłym, ucałowała jego czoło, pogłaskała zapadnięte policzki i naciągnęła na twarz prześcieradło. Zamiast gromnicy, zapaliłyśmy cienką świeczkę w srebrnym lichtarzu. Pomodliłyśmy się za spokój wieczny nieszczęsnej duszy, po czym ja skierowałam się na fotel przed kominkiem, Pola do gabinetu, aby dzwonić do synów z wiadomościami o zgonie ich ojca.

Wydarzenia, jakie miały miejsce kilka godzin później, wspominam jako znacznie bardziej traumatyczne niż czuwanie przy umierającym. Nie minęła godzina, jak do domu wpadli synowie Petera, Charles i John, w towarzystwie dwóch rosnących mężczyzn oraz swoich nieumakijażowanych żon. Nie zważając na poważny nastrój, który towarzyszy momentom bezpośrednio po czyjejś śmierci, podniesionym głosem wydawali rozkazy. Gdyby mieli baty, pewnie by nimi smagali, aby przyspieszyć nasze ruchy. Charles wykazywał bierność, lekko zawstydzony błędził wzrokiem po sprzętach i milczał. Jego starszy brat, John, miał za to energii za dwoje, a jego żona, Katerina, która kiedyś zatrudniła Polę jako nauczycielkę rosyjskiego dla swoich dzieci, szczełała niczym kundel, który przywiązany do budy łańcuchem, nic nie może zrobić, poza irytującym hałasem. Siedziałam w fotelu, w napięciu obserwowałam, co wyrabiają, nie bardzo rozumiejąc, co się właściwie dzieje. Dopiero kiedy John stanął przed Polą niczym kat nad ofiarą i katagorycznym barytonem zażądał kluczy do sejfów, dotarło do mnie, że oto rozpoczęła się krwawa walka o schedę po zmarłym.

Pola odparła ze stoickim spokojem, że nie ma kluczy do sejfów, nie zna szyfru, a nawet gdyby miała i znała, to oddałaby go adwokatowi Petera, który będzie się zajmował sprawami spadkowymi.

– Tak myślałem! – John wyraźnie się ucieszył, że nie zawiodło go przeczucie. – Ale my sobie poradzimy.

Po kilku minutach z gabinetu Petera Allena zaczęły dochodzić dziwne dźwięki, jakby kto ściany borował i młotem łupał. Pola potrząsnęła głową na znak, że wie, co się święci, ale nie jest tym zaniepokojona.

Mówiliśmy do siebie po polsku, nie musiałyśmy szeptać, martwić się, czy ktoś nie podsłuchuje.

– Niech prują te sejfy, nie ma tam nic szczególnie cennego – powiedziała. Służący, którego imienia dziś już nie pamiętam, zapytał, czy ma nam podać śniadanie w jadalni, w małym salonie czy w oranżerii. Pola zadysponowała grzanki, lekko ścięte jajka sadzone, ale na małym stoliku tutaj, w kominkowym, abyśmy były w centrum działań poszukiwaczy skarbów. Zamówienie przyjął, skłonił się, poszedł do swoich obowiązków niezrażony tym, co się działo.

– Zaraz podam. Pan tam w pokoju obok jeszcze dobrze nie ostygł, a tutaj taki harmider – powiedział, odwracając się na pięcie. – Bardzo niestosownie... Niezwykle niestosownie...

Nie mogłam powstrzymać chichotu.

– Uwielbiam go, to jest sól tej angielskiej ziemi. Służył Peterowi trzydzieści lat... Zatrudnienie go na stałe było pierwszym luksusem, na jaki mój mąż sobie pozwolił, kiedy zaczęło mu się lepiej powodzić. Najął go, zanim kupił sobie nowy samochód, jak dobrze trafił, sama widzisz... Czysta lojalność i wierność, w jednej osobie. Nawet nie wie, jak jest zabezpieczony na resztę życia, nie będzie musiał przyzwyczajać się do nowego pana – powiedziała, uśmiechając się do tej myśli.

Ja nie byłam spokojna, wręcz przeciwnie, nachodziły mnie obawy, czekając na śniadanie, że zaraz wydarzy się coś złego, ktoś nas poszczuje psem albo wezwie policję. Pola pasowała do tego miejsca, ja oraz wszystkie moje ostre kanty raziły oko. Gdyby spadkobiercy mnie wyrzucili, nawet bym nie zaprotestowała.

Służący podał nam śniadanie, usmażył jajka, pomidory, wysmażone plastry boczku, zrobił grzanki, uszykował dzban herbaty z cytryną, a nie z mlekiem. Dobrze znał upodobania żony swojego pana. Byłam okropnie głodna, więc rzuciłam się najedzenie, nie zważając na Polę, która ani drgnęła w fotelu, a przed nią wszystko stygło. Służący znów dorzucił do ognia, w salonie zrobiło się chłodno. Nie pytając o zgodę, wpuścił również do środka psy, które czekały w holu, bo tak były nauczone, że kiedy mają ochotę, mogą w kominkowym wylegiwać się przy ogniu.

Jego rozkład dnia nie został zakłócony, wykonywał te same czynności, co zawsze, nie uśmiechał się, twarz nie wyrażała żadnych emocji. Dopiero tydzień później, na pogrzebie Petera, popłakał się jak dziecko.

Pola wypila filiżankę herbaty, ale nie miała ochoty na smażone śniadanie. Służący przyniósł jej poranną gazetę, podsunął papierosy, gospodarskim okiem ogarnął salon, ale upewniwszy się, że wszystkiego dopilnował, zniknął.

John zmącił nasz pozorny spokój, wtargnął do salonu, ubrudzony, w rozpiętej marynarce przystąpił do ponownego przesłuchiwania macochy. Pola odpowiadała grzecznie, bez podnoszenia głosu, jej angielski brzmiał bardziej arystokratycznie niż angielski jej pasierba, choć ten ponoć skończył Eaton.

– Gdzie jest biżuteria? Akcje? Gotówka? Kochanie! Chodź tu porozmawiaj z Polly, bo ona najwyraźniej mnie nic nie powie – zawołał na żonę.

– John, twój ojciec nie trzymał nic cennego w domu, powinienes o tym wiedzieć. Testament podpowie ci, gdzie czego szukać, oraz co Peter komu подарował – objaśniła, zwracając ku niemu rozpaloną twarz.

– Dziękuję za przypomnienie, dobrze wiem, co jest w testamencie – burknął. Jego żona stanęła obok niego, zaplatając ramiona na piersi.

– Będziemy przetrząsać dom, w końcu znajdziemy, co trzeba – zwróciła się do Poli. – A wy, panie, proszę przenieście się do sypialni, tam poczekajcie, aż was wezwiemy. Możecie wyjść z domu, ale nie wolno wam nic wynosić ani brać żadnego z samochodów, nasz człowiek tego dopilnuje.

Nawet John poczuł się nieswojo po jej słowach. Pola nie ruszyła się z miejsca, skinęła na służącego, który w pełnej gotowości stał przy drzwiach. Podeszedł bliżej.

– Zapytaj państwa, czy nie głodni? Może im herbaty albo kawy podać? Takie poszukiwania mogą okazać się niezwykle wyczerpujące... Pomijając fakt, iż mogą długo potrwać. – Uśmiechnęła się do niego, a potem łaskawie do Kateriny.

Służący czekał sztywny i dostojski na dyspozycje od dzieci swojego pana, one, pod przewodnictwem Kateriny nie wyrażały ochoty, aby pić

czy jeść, chciały znaleźć ukryty przed nimi majątek.

Katerina przybierała groźne pozy. Nie wyglądała na członka arystokracji rosyjskiej, za którego się podawała, raczej na chłopkę spod Mińska. Nie miała szlachetności w rysach, elegancji w obyciu. Urodziła się w Anglii, pierwsze lata życia spędziła w biednej, emigranckiej dzielnicy Hackney, wychowywana przez nie mówiącą po angielsku matkę i ojca alkoholika. Pola była tego świadoma, Peter zlecił detektywowi zbadanie jej pochodzenia, kiedy szykowała się do ślubu z jego synem Johnem. Peter miał niezły ubaw, obserwując, jak Katerina się kryguje, wygina na wszelkie strony, udając arystokratkę. Po rosyjsku mówiła bardzo źle, po śmierci matki w ogóle przestała używać tego języka. Nie miała jeszcze dwudziestu lat, kiedy wpadła na pomysł wielkiej mistyfikacji, postanawiając podawać się za pannę o błękitnej krwi. Pola opowiedziała mi jej historię w szczegółach. Przyznam, że dziś już nie pamiętam, jak uknuła ten spisek i jakim cudem John dał się na to nabrać. Nurtowało mnie jedno, dlaczego jego ojciec pozwolił na małżeństwo z oszustką? Pola mnie oświeciła.

– Peter zacierał ręce, kiedy detektyw przyniósł mu ten raport o Katerinie Białowiewnej, powtarzając: „Dobrze mu tak! Niech ma głupi osioł rosyjską księżniczkę ze slumsów w Hackney! Zasłużył sobie”. Peter nie wypierał się swojego pochodzenia, nie udawał, że jest lordem czy baronem, nie pokusił się o kupienie tytułu szlacheckiego, choć mógł, gdyż wielu polityków mu to proponowało za odpowiednią opłatą. Wyśmiewał, wielokrotnie wyszydzał ten nieprawdziwy, zmurszały świat angielskiej arystokracji, ale jego synowie, szczególnie John, gonili za tytułami, przymilali się lepiej urodzonym, kupowali hurtowo ich przyjaźń, dostęp do pańskiego stołu, przywilejów, pławiąc się w uludzie. John jako pierwszy wkręcił się w wyższe sfery, żona skoligacona z rosyjską arystokracją bardzo pasowała do jego kreowanego wizerunku. Nikt sobie nie zawracał głowy dociekaniem, czy to prawda, czy nie. Katerina stanowiła atrakcję na ciemnych i dusznych salonach, była ładna, energiczna, umiała prawić komplementy próżniakom w smokingach, przymilać się starszym paniom, a nawet tresować psy. Dobrze trzymała

się w siodle, jej słodką tajemnicą było, gdzie się tego nauczyła, sprawiała wrażenie osoby solidnie przygotowanej do życia na wsi, pośród znudzonych przedstawicieli angielskiej arystokracji. Teraz, niczym cudownie odnaleziona księżniczka Anastazja, stała przed nami, wyciągając brodeń daleko przed siebie, dysponowała naszym czasem i miejscem pobytu.

Pola również w trakcie trwania swojego małżeństwa przyswoiła sobie znaczenie tytułów takich, jak *lords*, *earls*, *dukes*, *marquesses*, *viscounts*, *knights*, ale nie upadła przed menażerią na kolana, gdyż według jej relacji: „Nic poza stęchlizną z nich nie było”.

Podziwiałam ją w tej trudnej godzinie, nie okazała zdenerwowania, trzymała się godnie, raz po raz uśmiechając się do mnie.

Młodszy syn Petera poddał się jako pierwszy.

– Ja bym się kawy napił – powiedział nagle znudzonym głosem. Katerina i John spojrzeli na Charlesa oburzeni, taka chęć napicia się kawy w towarzystwie Polek była załączkiem zdrady. Pola zadzwoniła mosiężnym dzwoneczkiem na służącego. Pojawił się po kilku sekundach.

– Podaj Charlesowi kawę, może ciastko maślane? My z Antoniną pójdziemy do kościoła, pomodlić się za spokój duszy mojego męża. Nie będziemy przeszkadzać w przeżywaniu bólu, ciężkiej żaloby po śmierci ojca – powiedziała.

Kiedy wybrzmiały słowa Poli, podniosłam się z fotela wraz z nią i eleganckim, dostojnym krokiem opuściłyśmy salon. Chamstwo, siermiężnie kamuflowane, zderzyło się z trzaskiem z klasą Poli. Ten trzask słyhać było, gdy zamknęły się za nami drzwi wyjściowe.

Pola pociągnęła mnie za sobą.

– Do kościoła pojedziemy i owszem, ale nowiutkim Astonem Morrisem, dostałam na prezent urodzinowy od Petera.

– Chyba ich szlag trafi – podsumowałam krótko.

Kiedy wczesnym popołudniem wróciłyśmy do domu, na podjeździe nie było już samochodów gości. Pola wyraziła zaniepokojenie, że nikt jeszcze oficjalnie nie zgłosił zgonu Petera Allena. Sama nie dopełniła obowiązku, synowie nie zadali sobie trudu. Poszłam się położyć, całkowicie wykończona po nieprzespanej nocy, wyczerpały mnie przeżycia ostatnich dwunastu godzin. Zasnęłam w ciągu kilku minut.

Następnego dnia musiałam zatelefonować do Polski, uprzedzić Waldemara, że nie przylecę w uzgodnionym terminie. Pola uprosiła mnie, abym została do pogrzebu oraz dnia odczytania testamentu. Zgodziłam się, nie mogłam zostawić jej samej pośród tych otwarcie wrogich ludzi, czułam, że to jeszcze nie koniec przygód.

Pogrzeb odbył się tydzień po śmierci. Prasa odnotowała ten fakt, różni ludzie na łamach gazet składali rodzinie kondolencje, choć niepokojąco mało osób telefonowało osobiście do Poli. Zapytałam, czy to taki zwyczaj, czy może jeszcze wieść się nie rozniosła?

– Ci wszyscy ludzie, których poznałam, byli znajomymi Petera. Dopóki żył, tolerowali mnie, udawali nawet przyjaźń, składali mi hołdy, ale teraz... Teraz nie jestem im potrzebna, nie muszą się ze mną liczyć. Peter już im nie da pieniędzy na akcje charytatywne, nie napoi ich najdroższym szampanem, nie zaprosi do swojej włoskiej posiadłości. Teraz będą się przymilać do jego synów. Peter nie miał przyjaciół, ja też, oprócz ciebie, nikogo...

– Jakie to smutne – powiedziałam.

– Byłoby smutne, gdybym się tego nie spodziewała. Zachowują się dokładnie tak, jak przewidziałam – odparła.

– Co teraz będzie? Z tobą? Z tym domem? Z tym wszystkim? – pytałam. Nie wierzyłam, że prawie sześćdziesięcioletnia Pola poradzi sobie z uporządkowaniem takiego wielkiego majątku, ujarzmieniem sfory, tytułującej się rodziną.

– Poczekajmy na otwarcie testamentu. Peter w zeszłym roku zapisał mi cały majątek – odparła bez uśmiechu.

Wyglądało, że ją to pchające się do niej bogactwo, martwi. Zachowywała się tak, jakby miała odziedziczyć kawalerkę na przedmieściach Warszawy, nie posiadłości warte miliony. We mnie wszystko drgało z podniecenia, stopy banknotów układały się w mojej wyobraźni, zajmując wszystkie półki w mózgu. Zaaferowana byłam nieprzyzwoicie, nieudolnie panowałam nad tym uczuciem, w rozedrganiu oczekiwałam dnia odczytania testamentu.

Dzień po pogrzebie, w salonie posiadłości Petera Allena, zebrała się

cała rodzina, aby wysłuchać ostatniej woli zmarłego, spisanej, wedle oświadczenia Poli, na rok przed jego śmiercią. Punktualnie o dziesiątej rano, pod dom podjechał John ze swoją żoną Kateriną. Ich jaguar toczył się po kamyczkach drogi dojazdowej nie mniej dostojnie niż mercedes Charlesa, który pojawił się pięć minut później. Obserwowałam ich z okna swojej sypialni. Jemu również towarzyszyła małżonka, spowita w futro większe od niej. Julie spóźniła się dobre pół godziny, szykując efektowne wejście dziedziczki. Nie wiem, na kim chciała zrobić wrażenie, bo chyba nie na mnie, biednej Polce? Czterdziestoosmioletnia miłośniczka koni, psów oraz wszystkiego, co z tym związane, przyniosła ze sobą do salonu zapach stajni i sierści. Usiadła obok mnie, trąciła niby niechący skórzanym butem do jazdy konnej, nie przeprosiła, moja skromna osoba nie zajęła jej uwagi. Połą miałam po prawej stronie. Wyglądała tego dnia jak prawdziwa dama. Ubrana w kostium od Chanel, zapięta wysoko, uczesana gładko, podmalowana dyskretnie, wyróżniała się na tle niegrzeszących urodą dzieci Petera i ich małżonek. Katerina miała powody, aby jej nienawidzić. Przy niej wyglądała jak służąca nielegalnie sprowadzona z Europy Wschodniej. Ani futra, ani klejnoty nie były w stanie tego zmienić. Przewornie usadowiła się w kącie gabinetu, na krześle, gdzie zazwyczaj leżały książki przeznaczone do przeczytania w pierwszej kolejności. Przełożyła je na podłogę.

Adwokat, upewniwszy się, że ma przed sobą wszystkich zainteresowanych oraz mnie, a także dwa psy, zaczął teatralnym gestem rozcinać kopertę, która skrywała ostatnią wolę lodowego magnata. Ciszę można było pokroić na kawałki jak tort, tak była gęsta.

Wystarczyło odczytanie nagłówka i daty dokumentu, którego wykonawcą był Charles Allen. Pola wstała i wyszła, nie czekając na resztę. Oczywiście podążyłam za nią, potrzebowałam natychmiastowych wyjaśnień, nie wiedziałam, przeciwko czemu protestujemy, dlaczego nie chcemy wysłuchać treści tak ważnego dokumentu, który miał z niej zrobić naprawdę bogatą kobietę?

– Nie rozumiesz? – Prowadziła mnie do swojej sypialni na piętrze.
– Zniszczyli testament Petera sprzed roku, dziś odczytają ten sprzed

dziesięciu lat. Dziesięć lat temu nie byłam żoną Petera.

– Jezu! – jęknęłam. Chciałam z wrażenia przysiąść na schodach, ale Pola mnie powstrzymała.

– Musimy stąd natychmiast wyjechać. Samochód jest mój, nasze rzeczy kazałam spakować. Nic tu po mnie. Nie narażajmy się na żadne dodatkowe przykrości.

– Przewidziałaś to? I mówisz o tym tak spokojnie?! – Nie pojmowałam, jak mogła zachować takie opanowanie w głosie i ruchach, kiedy milionowa fortuna przechodziła jej koło nosa. Ja nie mogłam sobie takich pieniędzy wyobrazić nawet spoczywających w banku, a co dopiero w rękach mojej ciotki.

– Musisz coś zrobić! Pola! – krzyknęłam, złapawszy ją za ramiona.

– To tego szukali po jego śmierci. Aktualnego testamentu, to dla nich droższe niż brylanty.

– Dlaczego nie zabezpieczyłaś tego testamentu?! Przecież znasz tych ludzi, wiedziałaś, do czego mogą się posunąć! Pola, coś ty najlepszego zrobiła? – Chciało mi się płakać ze złości. Nie mogłam się pogodzić z tym, że tak nagle, wręcz beznadziejnie, skończy się ten piękny sen, który ja też zaczynałam śnić po miesięcznym pobycie w Anglii. Szybko przywykłam do obecności usługującego nam butlera, sprzątaczek, kierowcy, dobrych win, francuskich pleśniowych serów, pasztetów z wątróbek, wielkiego łóża z baldachimem i własnej łazienki wyściełonej marmurem. Jak Pola mogła tak zwyczajnie to wszystko porzucić, obojętnie odwrócić się plecami do niegodziwości tych ludzi, którzy ją najzwyczajniej w świecie okradli? Jej mąż zadysponował wielkim majątkiem na jej korzyść, gdyż miał do tego prawo, a oni prawa nie mieli, aby jego ostatnią wolę zniszczyć. Na dodatek adwokat rodziny, wierny Peterowi Allenowi, zdradził w tak haniebnym sposób! Byłam tak oburzona i wstrząśnięta zarazem, że nie udawało mi się zapiąć guzików przy płaszczu.

Kiedy wsiadałyśmy do jej czerwonego auta, wybiegł do nas służący. Pola podała mu dłoń na pożegnanie.

– Peter na pewno o tobie nie zapomniał w swoim testamencie – powiedziała. – Zostawiłam ci w kuchni na stole adres, pod którym

zatrzymam się w Londynie, na wypadek gdybyś czegoś potrzebował. Ale proszę, nie dawaj IM mojego nowego adresu. Jestem przekonana, że nie będę za nimi tęsknić.

– Wiem, co się stało, pani Allen. Niech ich Bóg ukaże jak najsurowiej. – Nie krył wzruszenia. – Do zobaczenia pani Allen. Do rychłego zobaczenia.

Odjechałyśmy polną drogą, która potem przeszła w drogę gminną, aby na koniec wjechać na trasę wiodącą do centrum Londynu. Pola prowadziła wóz pewnie, nie za szybko, nie za wolno, czułam się bezpiecznie. Odczekałam dobrą chwilę, zanim zapytałam, dokąd jedziemy. Do jakiego hotelu? Czy będzie nas stać?

– Zapytałaś, dlaczego nie zabezpieczyłam ostatniego testamentu, w którym mi wszystko zapisał? Zabezpieczyłam, kopię mam w walizce, oryginał powierzyliśmy adwokatowi rodziny, który dziś dopuścił się kolejnej nieuczciwości. Rozgrzeszam go, synowie i tak znaleźliby sposób, żeby aktualny testament obalić, prawdopodobnie zrobiliby ze swojego ojca niepoczytalnego, ze mnie oszustkę, może nawet udałoby im się nasze małżeństwo unieważnić? Przegrałabym tę walkę, nawet gdybym miała siłę ją podjąć, ale nie mam. Mają swoich adwokatów, niemoralnych sługusów, którzy zrobią wszystko na zlecenie. Bogaty zawsze wygra z biednym, w tym kraju w szczególności. Jednak Peter znał dobrze swoje dzieci, moja droga Tosiu. Poprzez skomplikowane operacje bankowe umieścił w szwajcarskim banku, do mojej wyłącznej dyspozycji, sporą sumę. Piękny dom w Croydon pod Londynem na akcie własności ma wypisane moje imię i nazwisko. Bronisława Allen. Z głodu nie umrę.

Opadłam na siedzenie wyczerpana.

– Jezu słodki! – jęknęłam. – Trzeba mi było od razu to powiedzieć.

– No wiesz... – Szeroki uśmiech rozjaśnił jej twarz. – Istniała minimalna szansa, że odczytają właściwy testament, wtedy wszystko wyglądałoby jeszcze inaczej. Tak czy owak Tosiu, dziękuję ci.

– Za co? – zapytałam zaskoczona.

– Za to, żeś miesiąc życia poświęciła na moje sprawy, wiem, jak ci do domu, do męża, do małej Zuzi pilno. Przeszłam przez to tak bohater-sko, bo ty byłaś przy mnie.

Zażenowana i zawstydzona takim potokiem szczerości, odwróciłam głowę. Mijaliśmy właśnie opactwo Westminster od południowej strony.

– Dokąd jedziemy?

– Do hotelu „Carlton”. Winston Churchill lubił tam jadać. Hotel zbombardowali Niemcy chyba w 1940 roku, potem go zburzono i wybudowano od nowa. Zawsze w „Carltonie” zatrzymywaliśmy się z Peterem po wieczorach w teatrze. Mam tam dobrego znajomego, odnajmie mi pokój za dobrą cenę, na jakiś miesiąc lub dwa, muszę ochłonąć. A potem, kiedy lokatorzy wyprowadzą się z mojego domu w Croydon, przeniosę się do siebie. Jak to brzmi... do siebie! To bardzo ładny dom z zagospodarowanym mądrze ogrodem, szerokim podjazdem, będzie mi się tam spokojnie żyło. Kochany Peter! Jego dzieci zarzucały mu, że był bezduszny i nikogo nie potrafił kochać, po tym jak żona od niego uciekła, ale to nieprawda. Mnie kochał, choć nie mogłam mu się zrewanżować tym samym. – Pola zatrzymała samochód przed białym, stylowym budynkiem.

– Coś się kończy, coś się zaczyna, strumienie czasu płyną – powiedziała z nostalgią w głosie. – Śmierć z życiem zawsze mija się w drzwiach.

– Trzeba by kiedyś twoją historię opisać – odparłam.

– Nie wiem, czy warto, ale mam przecucie, że ty to kiedyś zrobisz. W końcu znasz mnie jak nikt inny na świecie.

– Może i napiszę, ale ludzie i tak będą twierdzić, że wszystko zmyśliłam!

ROZDZIAŁ XVII

Wiadomość o narodzinach mojej pierwszej prawnuczki otrzymałam od Lilianny. Zadzwoiła do mnie ze szpitala i słabiutkim głosem poprosiła, żebym dała znać jej rodzicom, ponieważ wiozą ją na salę operacyjną. Wywiązały się komplikacje, nie ustaje krwawienie z macicy, jest coraz słabsza, ale z dzieciątkiem wszystko w porządku. Ręce mi się trzęsły, kiedy wybierałam numer do Zuzanny. Artur kupił mi telefon z wielkimi podświetlanymi klawiszami, żeby mi łatwiej było wystukiwać numery. Jak się zdenerwowałam, to i tak nie mogłam trafić w cyferkę. Dwa razy łączyłam się ze złym numerem. W końcu wybrałam właściwą sekwencję, a po kilku sygnałach odebrała moja córka. Rwanymi zdaniem opowiedziałam, że z Lilą źle, ktoś natychmiast powinien do Katowic jechać, zająć się wszystkim, otuchy dodać. Taki krwotok poporodowy jest bardzo niebezpieczny, sama miałam podobne przeżycia, więc rozumiałam powagę sytuacji. Zuzanna przerwała mi w połowie zdania.

– Ja mam rok szkolny, mam, nie mogę tak po prostu pojechać do Katowic, zajmować się nimi – miała poirytowany głos, zmęczonej stażem nauczycielki – a Karol pomaga przy remoncie plebanii, wiesz, co tam się działo po powodzi i burzach? Księdzu się na głowę leje, dach przecieka.

– Ksiądz nie jest z cukru, nie roztopi się, a twoja córka cię potrzebuje – ucięłam krótko.

Zuzanna zaczęła mi opowiadać ze szczegółami o zaangażowaniu Karola w sprawy parafii. Wielebno traktowali jak osobę blisko skoligacaną z Panem Bogiem, choć ten całkiem nie po bożemu objadał się u nich, rozsiadając w fotelu, pobłyskując złotym zegarkiem, ściągając uwagę na swoją cielesność poprzez wystawienie białej nogi na widok

publiczny, gdyż zawsze ubierał się w za krótkie spodnie na te „duszpasterskie” wizyty. Cokolwiek powiedział czy zrobił, wpadali w zachwyty, czekałam, kiedy utną sobie kawałeczek jego sutanny i przeznaczą na relikwie. Mnie jego obecność krępowała, zbyt był świecki w swoim zachowaniu, abym go mogła szanować, czy się przed nim wypowiadać. Zuzanna to się chyba w nim podkochiwała, nieziemski blask wstępował na jej twarz, kiedy o nim mówiła. U nich w domu mnóstwo było fotografii z różnych uroczystości kościelnych, niepoliczalnej liczby pielgrzymek w święte miejsca, wielebny występował prawie na wszystkich. Ustępował tylko Ojcu Świętemu. Teraz dach jego plebanii okazał się ważniejszy od córki w szpitalu. Wyraziłam swoje oburzenie, zaczęłam nawet naciskać, aż w końcu Zuzanna obiecała zadzwonić do katowickiego szpitala. Nie czekałam na wynik jej dochodzenia, sama zadzwoniłam, jednak nie udzielono mi żadnej informacji, Lila nie wskazała mnie, a swoją matkę jako członka rodziny upoważnionego do informacji o stanie zdrowia. Miotalam się po pokoju, przez godzinę nie napłynęły nowe wiadomości, wylękniona raz jeszcze zadzwoniłam do Zuzanny.

– Operacja trwa, nic więcej nie wiem. Niech mama idzie spać. Rano zadzwoni Karol, ja mam lekcje od ósmej rano, nie będę mogła. – Wydała dyspozycje szorstkim głosem, nie zmiękło jej kamienne serce, niechęć dominowała w odpowiedziach na moje pytania.

– Jak ja mam iść spać? Zuzanno, co ty mówisz? Przecież ona może tam umrzeć, sama, opuszczona, z noworodkiem przy boku – krzyknęłam w słuchawkę. – Co wy za rodzice jesteście?! Pamiętasz, jak ty rodziłaś? Wiozłam cię w śnieżycę przez miasto, czuwałam jak pies na korytarzu, zanim urodzisz, po czekoladki dla pielęgniarek latałam, nie odeszłam ani na chwilę spod drzwi porodówki, a ty mi mówisz, że masz lekcje, to nie zadzwonisz z rana? Radzisz mi iść spać? Dziecko, co się z tobą stało przez te ostatnie lata? Kim ty się stałaś?

Moje stare, wyniszczone serce zaczęło klekotać jak wóz drabiniasty, jadący po wyboistej drodze. Zdenerwowałam się, bo cóż ta biedna Lila winna, że ją takie odrzucenie spotkało ze strony najbliższych? Płakać mi się zachciało na samą myśl, że kiedy się obudzi po narkozie, to żadnej

przyjaznej twarzy nie zobaczy, a tylko bezduszne pielęgniarki będą ją gonić, aby jak najprędzej z łóżka schodziła. Będą jej podtykać pod usta zimny kompot, żałować ligniny, dopytywać, gdzie ojciec dziecka. Czarnego dziecka! Pielęgniarki potrafią być bardzo okrutne, niech mi wyba-
czy tych kilka dobrych, których nie spotkałam w życiu.

– Naprawdę zapomniałaś, jak to było w twoim przypadku? – napar-
łam rozgoryczona do granic możliwości.

– Moja sytuacja była inna. – Zuzanna wyrzuciła z siebie najgłupsze
zdanie, jakie mogła była sformułować. Słyszałam, jak odkręca kurek,
strumień wody lał się do zlewu.

– Była inna, zgadzam się – mówiłam, przycupnąwszy na taborecie.
– Przed maturą spłodziłaś dziecko z działaczem oazowym podczas piel-
grzymki. Nie pokazał się po porodzie Lilianny przez tydzień, małżeństwa
nie zaproponował, rodzicom cię nie przedstawił, w nadziei, że może nikt
się nie dowie! A ja i twój ojciec tkwiliśmy przy tobie, nie ocenialiśmy
cię, nie wyklęliśmy cię. Byliśmy ci potrzebni i tę pomoc uzyskałaś. Masz
taki sam obowiązek w stosunku do swojej córki.

– Działacz oazowy, jak powiedziałaś, to jednak nie to samo, co żo-
naty Nigeryjczyk... – syknęła. Zmywała pod bieżącą wodą szklanki po
wieczornej herbacie.

Chciałam powiedzieć, że nie wiadomo, co gorsze, ale powstrzyma-
łam się. Nagle odeszła mi ochota na ciągnięcie tej beznadziejnej rozmo-
wy. Odłożyłam słuchawkę, nie rzuciwszy słowa pożegnania, zachowy-
wałam się tak obcesowo niezwykle rzadko. Zaczęłam przemyśliwać,
jakby tu zorganizować pomoc dla mojej wnuczki? Agnieszka wyjechała
już z Polski, Artur prowadził wojnę z Oktawią, nawet do mnie nie za-
chodził, pochłonięty bez reszty awanturami z żoną, w przerwach wił
gniązdko dla nowej kobiety, więc nie mogłam w tym momencie zwrócić
się do niego o pomoc. Pozostawał tylko Jacek, ale sumienia nie miałam,
żeby go prosić o pomoc. Szczególnie po tym, kiedy wróciwszy z Gdań-
ska, zakomunikował mi, że Agnieszka „nie jest nim zainteresowana do

przesady”, smutny był przy tych słowach jak pierrot z mojej akwareli.

Burzyły się we mnie różne myśli, bębniłam zgrabiętymi palcami w blat stołu, zastanawiając się, co by tu począć, kiedy zadzwonił mój zięć Karol. Dobry wieczór nawet nie powiedział.

– Ja bardzo mamę przepraszam, ale po urodzeniu Lilianny to Zuzia nie chciała mnie widzieć! Nie migąłem się od obowiązków. A co do moich rodziców, to ja bardzo mamę proszę, nie szargać ich imienia przy swoich kłótniach z córką. Nie wie mama wszystkiego, proszę się nie wypowiadać – pouczał mnie tym swoim niskim, melodyjnym głosem, tak uwielbianym przez parafianki. Często czytał podczas mszy świętej Listy do Koryntian, w jego interpretacji brzmiały lepiej niż monolog z Hamleta w Teatrze Telewizji. Niczym Holoubek cedził i celebrował słowa. Robił efektowne pauzy, ogarniał wzrokiem trzódkę wiernych w pierwszych ławach, wznosił oczy do nieba, prosząc, aby go zauważono. Powinien był zostać księdzem i pewnie by został, gdyby nie zmajstrował dziecka mojej córce. Ilekroć widziałam go przy ołtarzu, myślałam o tym. W przeszłości na niedzielne msze Zuzanna woziła mnie do ich parafii, kiedy Karol czytał, wszystkim nam robiło się gorąco, tak umiał podkreślić emocje.

Przeganiając obraz czytającego przy ołtarzu Karola, ruszyłam do przodu.

– Ja ciebie też bardzo przepraszam Karolu, ale po urodzeniu Liliany, przez kilka lat Zuzanna pozostawała na naszym utrzymaniu, żeby tobie, studentowi, ulżyć. Twoi rodzice, w ciągu pierwszych ośmiu lat, raz tylko wykazali inicjatywę, kupując Liliannie wózek spacerowy. Nie odwiedzali jej, ty wnuczki do nich również nie woziłeś, zajęty studiowaniem na KUL-u, tak to wyglądało przez kilka lat – powiedziałam niezwykle opanowanym tonem.

Nie byłam dumna ze swojego zachowania, wystrzeżałam się przez tyle lat, aby nie przeprowadzać licytacji, która rodzina ile dała. Kiedy już, wydawałoby się, wszelkie zagrożenia minęły, sprowokowana, zachowałam się obrzydliwie. Karol z lubością podchwycił wątek.

– Wiedziałem, że nam kiedyś to wypomnisz! – powiedział. – Tak, może korzystaliśmy z waszej gościny jakiś czas, ale sami zaproponowaliśmy, nie pamięta mama?

– A jaka była alternatywa? Co ty, Karolu, miałeś do zaproponowania matce swojego dziecka? – zapytałam.

– Byłem dopiero na drugim roku studiów! – Jego głos zdradzał krańcową irytację. – Co miałem zrobić według mamy? Rzucić studia i iść do rozładunku wagonów? To były ciężkie czasy, wszystkim było ciężko.

– Tobie najciężej nie było. Mieszkałeś w Lublinie, w akademiku, my wychowywaliśmy ci dziecko. Kiedy wróciłeś po studiach, znalazłeś pracę, jeszcze pięć lat mieszkałeś pod naszym dachem, odkładając pieniądze na mieszkanie. Twój rodzice parę lat temu sprzedali wielkie pole pod budowę osiedla, ale pieniądze podarowali twojemu bratu, który sobie apartament na nowym osiedlu kupił. – Wytoczyłam najcięższą artylerię. Powinna być sobie odgryźć język!

O tej transakcji sprzedaży ziemi przez teściów Zuzanny wiedziałam od samego początku, choć przyznam, że weszłam w posiadanie informacji w sposób nie całkiem uczciwy. Syn brata Wandzi, Jakubek, był notariuszem w naszym mieście. Ciągnęli do niego szczególnie ludzie ze wsi, gdyż wyspecjalizował się w transakcjach sprzedaży gruntów rolnych. Założył kancelarię w samym centrum miasta, postawił ekspres do kawy w poczekalni, skórzane kanapy, zatrudnił miłą sekretarkę i od razu zaczął dobrze prosperować. To on przygotował stosowne dokumenty sprzedaży kilku hektarów w Słocinie. Wygadał się przy imieninowym stole u Wandzi w mieszkaniu, przekonany, że teraz byt Zuzanny i Karola ulegnie poprawie, nareszcie staną na nogi, skoro teściowie taką ładną sumę zgarnęli w gotówce. Dawał nawet do zrozumienia, będąc już czerwony od alkoholu, że spora kwota poszła bokiem, aby kupujący zapłacił mniejszy podatek. W jego obecności odbyła się ta szemrana transakcja, chełpił się przed nami, jakby placami w Dubaju handlował. Nie wiem, kiedy teściowie Zuzanny przekazali sumę mojemu młodszemu synowi, ale wiem, kiedy kupił mieszkanie w Rzeszowie, bo akt własności spisywał

ten sam notariusz, Jakubek. Przy okazji kolejnych imienin, po kilku wódkach, wygadał się. Osobiście, nie powierzyłabym mu nawet wietrze-
nia pomieszczeń w kancelarii!

Karol zakończył naszą rozmowę zawiedzioną nutą, nazwał mnie zło-
śliwą plotkarką, zaprzeczył, jakoby jakiegokolwiek sumy w jego rodzinie
były dysponowane bez jego wiedzy. Zrozumiawszy brzydotę swojego
postępowania, przeprosiłam, choć nie odwołałam swoich słów, jak nale-
żało.

Urodziny ich pierwszej wnuczki zostały przyćmione prywatnym
śledztwem Zuzanny, która z drugiego aparatu przysłuchiwała się mojej
rozmowie z Karolem. Jak mawiała moja matka: „Kto podsłuchuje,
drzwiami dostanie”.

Natychmiast zadzwoniła do mnie, tym razem z komórki, przechadza-
jąc się po ulicy zadawała pytania, na jakie z początku nie chciałam od-
powiadać w nadziei, że jeszcze da się powstrzymać prawdziwy wybuch
wulkanu. W tle słychać było wyraźnie gwar miasta, kiedy zaczęła agre-
sywnie wypytywać, skąd mam takie informacje, że teściowie obdarowali
brata Karola pieniędzmi za sprzedane ziemie? Kiedy to było? Jaka suma
wchodziła w grę? Czy jestem absolutnie pewna?

– Jestem pewna, że sprzedali ziemię w Słocinie – powiedziałam. –
Ale to chyba nie były duże pieniądze...

– Dlaczego mi w takim razie nie powiedziałaś? – Pretensja w głosie
mojej córki miała swoje uzasadnienie. Winna jej byłam wytłumaczenie.

– Zuzanno, myśmy z Wandzią na początku myślały, że oni wam
niespodziankę szykują! Mieli dwóch synów, sami już starsi ludzie,
sprzedali grunty, a uzyskane pieniądze podzielią na dzieci, tak by się
należało.

– Kiedy to było? Teść jeszcze żył? – Zuzanna szła szybkim kro-
kiem.

– Tak. Nie pamiętam, pewnie z osiem lat temu, może nawet nie –
odpowiedziałam, starając sobie przypomnieć dokładnie. Spojrzałam na
zegarek, dochodziła 22.00

- Zuziu, gdzie ty idziesz o tej porze? – zapytałam.
- Do teściowej, przecież mieszka od nas dwie ulice dalej!

Zrobiło mi się słabo! Jakże mogłam być aż tak samolubna! Wyjawienie informacji takiego kalibru musiało pchnąć lawinę z góry. Co mnie podkuśiło! Dawno już zapomniałam o tej ziemi, pieniądzech, których Zuzanna i Karol nie dostali, całe lata nie myślałam, aż nagle, w dniu urodzin mojej prawnuczki, dałam się ponieść niezdrowym emocjom! Po co? Po co ja to mówiłam? Teraz zziębnięta Zuzanna biegła na konfrontację ze starą teściową, podczas kiedy ich córka wybudzała się z narkozy w szpitalu w Katowicach.

– Zuziu, nie rozłączaj się – poprosiłam. – Nie powinnaś po tylu latach do tego wracać, to tylko pieniądze! Nie warto rozpoczynać wojny w rodzinie z powodu pieniędzy! Wierz mi!

– Nie przyznali się ani słowem! – wyliczała zdyszana. – Kupili apartament, samego tarasu mieli ze czterdzieści metrów kwadratowych, potem zbudowali sobie dom, mieszkanie dali synowi. Mamie łatwo mówić: „To tylko pieniądze”, mama na pieniądzech śpi od czasu śmierci ciotki Poli, ale ja nie daruję! Jak mogli być tak niesprawiedliwi? Mieli dwóch synów, należało im się po równo!

Każdy krok słyszałam, dźwięk zasuwanego zamka przy kremowym swetrze, jaki miała na sobie, nawet klucze dzwoniące w zaciśniętej dłoni.

– Zuzanna! Poczekaj! – krzyknęłam. Zatrzymała się, wszystko nagle ucichło.

– Co? – warknęła. – A już wiem! Oni uważali, że skoro mój brat to taki bogacz, mi się od nich nic nie należy. Ale Karol? Co ma z Arturą majątkiem wspólnego Karol?

– Nie mylisz się – przerwałam jej. – Odziedziczyłam pieniądze po ciotce Poli. Dam ci sporą sumę, wystarczy na budowę domu, ale błagam cię, nie rób afery, nie idź do teściowej wszczynać awantury.

– Nie chcę żadnych pieniędzy po Poli! – zaprotestowała, zanim do niej dotarło prawdziwe znaczenie propozycji.

– Obiecuję, że nie będziesz musiała czekać na moją śmierć, aby dziedziczyć – ciągnęłam niezrażona. – W poniedziałek na twoje konto

wpłynię dwieście tysięcy euro. Mam tylko jeden warunek. Zostawisz tamtą sprawę w spokoju. Czy Karol wie, że podsłuchałaś naszą rozmowę i pobiegłaś do teściowej z awanturą?

– Nie wie. Wysłałam z domu pod pretekstem oddania poprawionych klasówek koleżance. Przecież mam do Katowic jutro jechać, no nie? – Ruszyła z miejsca, znów stukały jej obcasy na chodniku. – Mamo... Mnie nawet nie chodzi o pieniądze, to znaczy nie, chodzi o pieniądze, ale nie tylko. Całe życie prześladowuje mnie przekonanie, że wyróżnialiście Artura, byliście dla niego lepsi, kochaliście go bardziej i zdążyłam się uczulić! Teraz okazuje się, że tak samo potraktowano mojego męża! Jak ludzie nie umieją kochać po równo swoich dzieci, to niechby przestali na jednym!

– Zuza. Co z naszą umową? Przyjmujesz warunki? – zignorowałam jej zaczepkę i wypomnienie faworyzowania Artura. Nie była to prawda, choć miłość, jaką go darzyliśmy, była łatwiejsza niż ta, jaką kochaliśmy jego siostrę. Nie lepsza, tylko łatwiejsza. Nie chciałam teraz o tym rozmawiać, chciałam zapobiec awanturze, która mogła przynieść wielkie zniszczenia w rodzinie mojej córki.

Ucieszyłam się, że zdecydowała się jechać do Katowic.

– Arturowi też dasz furę euro? – zapytała.

– Nie. Jemu nie potrzeba pieniędzy – odparłam. – Ale mu powiem o tej sumie, nie chcę tego robić w tajemnicy, nie mam powodów. Nie musisz się martwić, nie wspomnę mu o tej sprawie. Dajmy już spokój, to było dawno.

– Dawno było, a popatrz, gdzie dziś są oni, a gdzie ja z Karolem? Mogłam mieć już dawno własny dom, gdyby nam wtedy pomogli! Albo gdyby zostawili choć skrawek ziemi, dziś można by za niego wziąć fortunę. – Wyliczała, ale jej głos nie był już tak przepełniony pretensją jak przed chwilą. Uznałam, że zmierzamy w dobrym kierunku.

– Zuziu, ostatecznie, to była ich decyzja, któremu synowi co zapisać, ludzie mają prawo rozporządzać swoimi pieniędzmi.

– Ale nie mają prawa swoimi decyzjami skłócać rodzeństwa na całe życie! Jak to dobrze, że ja o tym wcześniej nie wiedziałam! Nie wiem,

jakby wyglądały te wszystkie Wigilie, imieniny, obiady, wczasy z rodziną szwagra, gdybym wiedziała, ile zgarnęli. Chyba bym się udławiła jedzeniem. Pewnie nie umiałabym z nimi usiąść do stołu. Byli tak samo biedni jak my, z tą tylko różnicą, że my mieszkaliśmy u was, a oni w wynajętej kawalerce. Wszystkim się wydawało, że my po was obejmemy dom, a przecież on był zapisany na całą trójkę rodzeństwa, czy nie? Tato nie dziedziczył go w całości po rodzicach?

Nie pojmowałam, jak to się stało, że od telefonu zwiastującego narodziny córki Lilianny, przeszliśmy marszowym krokiem do rozliczeń spadkowych w rodzinie Waldemara! Co to za absurd, na litość boską!

– Zuziu, wracaj do domu, Karol się pewnie niepokoi. Zadzwoń do mnie z Katowic, tak się martwię Lilą! Musimy jej jakoś pomóc, może nawet u mnie zamieszkać z dziadkiem przez pierwsze kilka tygodni. Córka mojej sąsiadki z dołu jest położną i mogę jej zapłacić, żeby przychodziła doglądać Lilę w położu. Zorganizujcie tylko przewiezienie Lilianny do mnie. Proszę cię, zaproponuj jej to.

– Jakby miała tu wrócić, to zamieszka u nas, mamo, to chyba oczywiste – burknęła. – A poza tym, mama już dość namieszała, niech się mama uspokoi.

– Dobrze dziecko – przytaknęłam posłusznie. – Dobrze, ale pieniądze będą w poniedziałek, tak jak obiecałam.

Położyłam się na kanapie i zamknęłam oczy. Serce tak mi się w piersi tłukło, że słychać było w całym pokoju. Moich kłopotów kardiologicznych nie sposób było dłużej ignorować, przestraszyłam się własnej niemocy. Usiłowałam wyrównać oddech, nasiliło się pieczenie w okolicy mostka, zupełnie nagle pociemniało mi przed oczami. Stres, nerwy, czy jedno i drugie? Staralam się oddychać równo, ale kiedy tylko przypomniałam sobie, jak nieroztropnie i samolubnie postąpiłam, wypominając pieniądze za ziemię, wracały duszności, przyspieszało serce. Nie spodziewałam się po sobie takiej głupoty. Co mi to dało?

Nie wiem, kiedy zasnęłam, w ubraniu, z rękami skrzyżowanymi na piersi, w pantoflach na stopach. Obudziłam się nad ranem, skostniała i

głodna. Dobry znak, pomyślałam, jak coś boli i chce się jeść, to znaczy, że jeszcze żyjesz. Napuściłam wody do wanny, a wannę miałam przystosowaną do potrzeb starej baby, taką z drzwiczkami, do której się wchodziło jak do zagrody, nie musiałam nogi przerzucać górą i narażać się na złamanie stawu biodrowego. Większość moich koleżanek w taki właśnie sposób zesła z tego świata, po złamaniu nogi, biodra czy obojczyka. Wywracały się na oblodzonych chodnikach lub przy wchodzeniu do wanny, przy wieszaniu firan spadały z taboretów. Artur mi tę wannę sprowadził z Anglii prawie dziesięć lat temu, zaraz po śmierci mojej koleżanki Wandy. To ona właśnie, chcąc zażyć kąpeli, przeliczyła się z siłami i niefortunnie upadła na kafelkową posadzkę, łamiąc sobie biodro i kość przedramienia. O osteoporozie, która toczyła jej układ kostny, dowiedziała się dopiero po przebudzeniu z narkozy. Odwiedziłam ją w szpitalu zaraz po operacji, musiałam do niej jechać pociągiem dwie godziny, z Rzeszowa wyprowadziła się po przejściu na emeryturę na odziedziczone po stryju mieszkanie w bloku. Rozstałyśmy się w wielkiej przyjaźni. Wandzia na każde święta wielkanocne przyjeżdżała do mnie, latem wysiadywałyśmy na balkonie, czasami odwiedzała mnie w listopadzie przy okazji odwiedzania grobów rodzinnych. Wiadomość o jej nieszczęśliwym wypadku przekazała mi bezimienna sąsiadka. Zaraz się zebrałam i ruszyłam w drogę sama, nie chciałam, aby mnie kierowca od Artura wiózł, krępowałyby mnie to.

Wandzia leżała w pościeli szpitalnej całkiem zmieniona. Udawałam, że jestem mile zaskoczona jej zdrowym wyglądem, zapewniałam, że wyjdzie z tego raz dwa, a jesienią pojedziemy we dwie do sanatorium do Iwonicza, jak za dawnych lat. Wyglądałam, napiłam rosołem, poczytałam gazety, nie rozmawiałyśmy wiele, prosiłam, aby oszczędzała siły. Wandzia zmarła na zakrzepicę żylną, kilka dni po operacji i co się z tym wiązało, całkowitym unieruchomieniu na łóżku szpitalnym. Odeszła po cichutku, nie mrugnawszy nawet powieką, pod nosem siły fachowej, zajmując pokój obok dyżurki pielęgniarek. Nie ruszyły się księżniczki, kiedy dzwoniła alarmowym dzwonkiem, przestraszona, że jej tak nagle

w oczach zaczęło ciemnieć i słabość na nią naszła, jakiej dotąd nie znała. Pani z łóżka obok opowiadała mi po fakcie, jak Wandzia dzwoniła i dzwoniła, lecz tylko śmiech pielęgniarek oraz huczący telewizor słychać było na cały korytarz. Przyszły po chwili, postukały drewniakami, poskrzypiały minispódniczkami, potrzepały włosami, zasunęły parawan, i było po wszystkim. Ja, kilka godzin później, kiedy przyszedłam w odwiedziny, zastałam już puste łóżko bez pościeli, otwarte okno, widok pochlipującej pacjentki z sąsiedniego posłania powiedział mi wszystko. Opowiedziała rwącym głosem gdaczącej kury wydarzenia z nocy. Zostałam jej banana, jogurt malinowy, biszkopty, sama poszłam poszukać dyrektora szpitala, aby się poskarżyć na opieszałość personelu. Wędrowałam korytarzami, od drzwi do drzwi, nikt na mnie nie zwracał uwagi, nikt nie chciał mi udzielić informacji, zawracałam głowę podczas obchodu lekarskiego. Wiele pań w fartuchach czy bez wchodziło i wychodziło z różnych pokoi, niosły kartkę, albo dwie kartki, spieszyło im się, robiły wszystko, aby nie nawiązać kontaktu wzrokowego z ludźmi błędzonymi po korytarzach, dla nich najważniejsza była karta, jaką niosły.

Zmęczona i zrezygnowana zabrnęłam w jakiś ślepy korytarz, gdzie urzędowała sprzątaczką z wielkim wiadrem. Zamaszyście zmieniając pozycję przy zmywaniu schodów, trąciła mnie kijem od mopa. Dlaczego robiła to w środku dnia, pozostawiając za sobą czystą, ale mokrą podłogę, która mogła skutecznie wystarać się o nowego pacjenta dla oddziału ortopedii? Dlaczego nie sprząta się w nocy, kiedy po korytarzach nie biegają odwiedzający i personel? Zatrzymałam się przy niej. Nie przerywała pracy, zrugła mnie tylko za niezłożenie ochronnych worków na buty. Przyjęła łaskawie do wiadomości powody mojej niesubordynacji, nie mogłam się schylać. Zapytałam, gdzie mogę znaleźć dyrektora szpitala w sprawie niecierpiącej zwłoki. Zależało mi, aby chora z łóżka obok była świadkiem, zanim ją wypiszą ze szpitala, złożyła choć ustne oświadczenie, że do Wandzi, mimo licznych dzwonek, żadna pielęgniarka się nie pofatygowała. Sprzątaczką wyzymała mopa w koszyczku czerwonego wiaderka.

– A to nie szpital w Leśnej Górze, żeby do dyrektora tak se mógł byle kto, byle kiedy wchodzić – poinformowała mnie rozbawiona własnym poczuciem humoru. Przeszło mi przez myśl, żeby to u niej zażalenie złożyć, poprosić o pozytywne rozpatrzenie, kto wie, może by się udało?

– Chciałam się na personel poskarżyć – zdradziłam rąbek tajemnicy.

Sprzątaczką odłożyła swoje narzędzie pracy, przesunęła chustkę ha czubek głowy. Powiedziała jej, o który oddział chodzi, pokrótce nakreśliłam okoliczności. Dopytała się o godzinę zgonu, a potem machnęła ręką zrezygnowana.

– To ja wiem, kto miał dyżur. Nic pani nie wskóra, szkoda czasu. – Wolnymi ruchami wycierała dłonie w fartuch. – To jedna mafia jest, dyrektor, lekarze, pielęgniarki, będą się nawzajem kryć. Nic im pani nie udowodnisz, tylko się nadenerwujesz. Co tu się dzieje na nocnych dyżurach... pani kochana... A na Izbie Przyjęć to nieraz pijane lekarze i pielęgniarki do chorych z łapami startują, ale wszyscy się boją, nikt na nich nie chce donieść. Dojdzie tu kiedyś do nieszczęścia, ja pani to mówię.

Stałam oparta o poręcz, słuchając opowieści sprzątaczkę szpitalnej.

– Tutaj pani to się różne rzeczy dzieją. Głupie ludzie przynoszą koniaki i eleganckie wódki, potem oni to na dyżurach piją, ale mnie nie częstują, bo ja szmatą pracuję, a nie skalpelem. Wiem, że na mnie mówią „Ściera” za plecami. Nie życzę im źle, ale ja bym w tym szpitalu leżeć nie chciała i pani też nie radzę.

– Tak nie można – upierałam się słabo – przecież o ludzkie życie tu chodzi...

– Pani kochana, pani najmłodsza nie jest, chce pani walkę z nimi zaczynać? Koleżanka już u aniołków, dobrze jej jest. A poza tym, jak miała tyle lat, co pani, to po takich złamaniach, co by miała za życie? I tak by z tego nie wyszła na prostą, lepiej, że się nie męczyła i umarła w cichości – zakończyła tonem znawczyni.

Pochwaliła się jeszcze, że sprząta w tym szpitalu od dwudziestu lat, mogłaby sama operować, tyle wie o medycynie, przynajmniej porad

udzielać, niejeden by jej koniak w podzięcie przyniósł, bo się na wielu chorobach zna.

Uciekłam z tego szpitala w popłochu, z modlitwą na ustach, abym mogła w domu umrzeć, we własnym łóżku, najlepiej we śnie.

Jakiś czas potem wybuchła afera nazwana „Łowcy Skór”, po której już nigdy na pogotowie nie dałabym się zabrać, ani do siebie karetki wezwać, choć to nie w moim rejonie uśmiercali wezwani do ratowania życia lekarze. Kategorycznie postanowiłam umrzeć „siłami natury”, nie po jakimś zwiotczającym zastrzyku. Dzieci mi tłumaczyły, że łódzki przypadek był odosobniony, Rzeszów od Łodzi daleko, ale nie przekonały mnie. Polacy są jednym z najbardziej przedsiębiorczych narodów świata, potrafią dostrzec i zrobić dobry interes na wszystkim. Pewnie, że w innych krajach również handluje się informacjami o pacjentach i ich zgonach, ale nie pomaga się umierającym w przeniesieniu się na drugi świat za kilka stówek prowizji. W każdym razie nie w krajach europejskich, bo za Indie, Afrykę, Chiny czy Białoruś to już ręczyć nie mogłam.

Kiedy wieczorem zadzwoniła do mnie Zuzanna, miałam jeszcze głowę pełną przykrych wspomnień zgonu Wandzi. Jakże mi jej brakowało! W głosie Zuzanny brzmiały niesłyszane od dawna nuty entuzjazmu i radości. Nabrałam podejrzeń, czy to aby na pewno ona tak szczebieocze do słuchawki?

– Mamo, jaka śliczna ta malutka i wcale nie taka czar... taką ma piękną cerę w kolorze mlecznej czekolady. Loki na główce, usteczka jak malinka, mówię ci, istne чудо! A Lila dochodzi powoli do siebie, straciła dużo krwi, musieli robić transfuzję, przy okazji okazało się, że ma anemię, a cukier za wysoki. Za kilka dni wypiszą je do domu. Lila ma piękne mieszkanie, wiedziałas o tym? Wielki taras, trzy pokoje, wysoki standard, ładniejsze sto razy od naszego. Pokoik dla dziecka wyszykowany jak z bajki, misie i gwiazdki na suficie, cały w koronkach i różowych przypinkach, prześlicznie to wygląda. Wynajmowanie tego mieszkania musi ją kosztować majątek, szacuję, że ze dwa tysiące miesięcznie minimum!

Nie zaryzykowałam pochwalenia się swoją wiedzą na ten temat. Tym

razem nie. Może Lila sama uzna za stosowne powiedzieć matce, że to jej brat, Artur, kupił to mieszkanie z zamiarem zapisania go Liliannie. Niech oni między sobą załatwiają te sprawy, ja powinnam się całkowicie zająć własną starością. Nie pytałam również, ile ma zamiar zostać w Katowicach ani jakie są plany na najbliższe tygodnie. Zadowoliliam się faktem, że pojechała do Lilianny i jest w tej chwili przy niej jak każda kochająca matka.

– Pogodziłyście się? – zapytałam, żeby mieć już całkowitą jasność w sprawie.

– Myśmy nie były pokłócone mamó, tylko byłyśmy innego zdania – odparła wymijająco. – A zresztą, ważne, że nie doszło do tego małżeństwa, Lila sama mi to powiedziała. Ten piłkarz tu był, ten Samuel. Kwiaty przyniósł, spotkałam go na korytarzu, ale do Lilki go nie wpuścili, kwiaty ja wzięłam od niego. Mówi trochę po polsku.

– No proszę, może coś z tego będzie... – mruknęłam zadowolona.

– Nie wiem, czy chciałabym, żeby Lila związała się z piłkarzem. Raczej nie. – Moja córka znów zaczynała wyrażać swoje pobożne życzenia. Musiałam zaciągnąć jej hamulec ręczny.

– Nie układaj Lilce życia, ja cię bardzo proszę! Jeśli będzie chciała być z Samuelem, to jej sprawa. Dziecko powinno wychowywać się w pełnej rodzinie. Jak rozmawiałam ostatnio z Lilą, to nic nie wskazywało na to, że planują wspólną przyszłość. To raczej koleżeństwo jest.

– Zobaczymy. Będę kończyć mamó, jadę do szpitala za chwilkę.

– A to skąd teraz dzwonicz? Nie ze szpitala?

– Nie, z mieszkania Lilianny. Przyjechałam się wykapać i przebrać. Bardzo gustownie tu sobie urządziła, ciemne brązowe meble, białe i kremowe ściany, futrzaki na podłodze, boso chodzę po mieszkaniu, łazienka w kolorach morskich, aż przyjemnie się tam myć. Hiszpańskie płytki w przedpokoju, wbudowane szafy, powiem ci, jestem pod wrażeniem, ktoś ma dobry gust i nie żałował na wyposażenie!

Gust był Lilianny, a pieniądze Artura, ot i cała prawda! Trzymałam język za zębami. Po ostatniej nocy zakazałam sobie wszelkiej wylewności

i mieszania się w nie swoje sprawy. Nie wspomnieliśmy o moim darze ani słowem, w ogóle nie wróciłyśmy do tematu pieniędzy, było nam niezręcznie w spokojne popołudnie, przy ostrym świetle, omawiać to raz jeszcze. Może powinnam była wcześniej dać Zuzannie te pieniądze i umożliwić budowę wymarzonego domu? Dlaczego tak ostrożnie dysponowałam pieniędzmi Poli?

Zwyczajnie bałam się, że roztrwonię majątek Petera Allena, potem jego spadkobiercy znajdą mnie i zażądam zwrotu pieniędzy, a ja już nie będę mieć ani funta na koncie. Jednak po wizycie syna Charlesa, wnuka Petera Allena, który mi przywiózł kopertę z listami Poli, o żadne pieniądze się nie upomniał, poczułam się znacznie pewniej, postanowiłam śmielej dysponować spadkiem. Zuzanna dostała piękną sumkę, tak jak obiecałam.

ROZDZIAŁ XVIII

Urządziliśmy sobie z Jackiem małą uroczystość. On obchodził urodziny, a ja świętowałam kolejny dzień swojego życia. Poprosiłam go, żeby nam kupił obiad w węgierskiej restauracji „Liszt” na Szopena, coś smacznego, niezbyt ostrego i butelkę najdroższego czerwonego wina, jakie tam mają, a mają, wedle opinii mojego syna, naprawdę dobre. Na deser babeczki nadziewane kremem orzechowym. Na taki zestaw miałam wielką ochotę. Agnieszka, zanim pod koniec września wyjechała do Anglii, pomogła mi przy zakupie prezentu dla Jacka. Pragnęłam podarować mu coś trwałego, żeby o mnie pamiętał, kiedy inni zapomną. Wybrałam zegarek z kolekcji Omega, elegancki, na czarnym pasku z czarnym blatem wyklejanym złotymi cyferkami. Agnieszka wyraziła wątpliwość, czy aby Jacek nie jest za młody na taki model, ale ja chciałam, żeby do niego powoli dorastał, a potem jako dojrzały mężczyzna opowiadał swoim kobietom, dzieciom, że wręczyła mu go przed laty ekscentryczna staruszka, którą się opiekował przez długie lata. Musiał swoje kosztować, żeby warto było o nim mówić, więc wysupłałam z funduszu Poli trzy tysiące funtów. Wnuczka pochwaliła moją rozrzutność, wiedziała lepiej niż inni, jak wiele Jackowi zawdzięczam i jak jest mi bliski.

Kiedy wrócili z Gdańska, Agnieszka wpadła tylko na chwilę, pomóc mi zamówić ten zegarek przez Internet, ale o ich relacji nie chciała mówić. Obiecała, że kiedyś mi opowie, ponieważ sprawy jeszcze bardziej się skomplikowały i potrzeba czasu, a przede wszystkim oddalenia, żeby ocenić właściwie sytuację, aby nie popełnić błędu.

Jacek opowiadał mi o wyjeździe z moją wnuczką, jakby litr wody chciał kropelkami małymi rozlać. Domyślałam się, „że nie wzięli jednego pokoju w hotelu, ale dałam sobie spokój z przepytywaniem. Nic nie

wskazywało na to, że wybuchła wielka namiętność. Jednak o spotkanie z ojcem musiałam zapytać. Jacek natychmiast się ożywił.

– Pojechaliśmy pod adres, na brzydkie osiedle w Gdańsku Wrzeszczu – opowiadał, zajadając się sałatką. – Puk, puk do drzwi, po chwili wyskoczyła z mieszkania pani Jola, kobieta, dla której nas zostawił przed laty. Przedstawiłem się, a ona z ryjem wielkim wystartowała, żeby się z jej klatki wynosić. Agnieszka zaczęła ją uspokajać, przekonywać, że my z misją pokojową, w ramach łączenia rodzin, nie mamy złych zamiarów i tak dalej, ale ona dalej się darła, w końcu musieliśmy się wycofać. Schodziliśmy w dół, a ta szalona kobieta prosto z horroru dopadła nas w pół schodka i zaczęła ryczeć, że mój ojciec, drań oraz skurwysyn zostawił ją miesiąc wcześniej z dorastającą córką na utrzymaniu.

– No co za... – wtrąciłam. Jacek dolał nam resztkę wina.

– Kiedyś chciałem zabić pannę Jolę, albo przynajmniej oblać ją kwasem za to, że mi ojca ukradła, dzieciństwo zmarnowała, matkę na skraj rozpacz doprowadziła, ale kiedy zobaczyłem jej rozczochaną głowę, szaleństwo w oczach, to mi się jej nawet żal zrobiło. Aż trudno uwierzyć, że dla takiego czupiradła mój ojciec rodzinę zostawił. – Mały uśmiech pojawił się na jego twarzy.

– No, pewnie te paręnaście lat temu wyglądała trochę lepiej. A gdzie twój ojciec teraz przebywa? – Dolewałam Jackowi kompotu. Wino musujące już nam się skończyło.

– Nie wiadomo. – Wzruszył ramionami. – Jola poinformowała nas tylko, że poznał jakąś kobietę, której mąż z Ameryki nie chce wracać, ale pieniądze śle i on do tych pieniędzy się podłączył. Wiele można zarzucić mojemu ojcu, ale nie to, że jest pracowity. Jemu się nie chce na rodzinę łożyć, oszczędności robić czy ciułać, najchętniej by przeszedł oficjalnie na utrzymanie jakiejś kobiety. Ta jego nowa podobno zapewnia mu wikt i opierunek w pięknej willi, z dzióbków sobie jedzą. Dzwoniłem na komórkę, numeru nie zmieniał od lat, numer pozostał aktywny, tato nie odbierał. Próbowałem nawet z angielskiej komórki Agnieszki, ale też nic.

Jacek opowiadał, nie przestając obracać zegarka Omega na nadgarstku. Nie wiedział jeszcze, ile kosztuje, więc nie skrzyczał mnie, dopiero kilka dni później, kiedy sprawdził w Internecie. Raczylismy się pod koniec biesiady kawą, nie miałam w szafce już ani buteleczki nalewki, zapasy wyczerpały się, a następnym jakoś mi się nie chciało szykować.

– Będiesz go dalej szukał? – podjęłam temat po krótkiej przerwie.

– A powinienem?

– Zależy od tego, po co go szukasz. Chcesz go o coś zapytać, coś mu powiedzieć, czy zwyczajnie w mordę mu dać? – Błysnęłam humorem. Jacka rozśmieszyły moje słowa.

– Chciałem się czegoś dowiedzieć o sobie, myślałem, że jak go bliżej poznam, to siebie poznam, ale to był głupi pomysł, teraz to widzę. Agnieszka mnie zachęcała, roztoczyła przede mną fajną wizję naszego spotkania po latach, nawiązywania więzi, miałem nawet zakolegować się z moją półsiostrą, tymczasem Jola zrzuciła nas prawie ze schodów, dziewczynki, którą spłodził mój ojciec, nie zobaczyłem nawet w przelocie, tatusia to już w ogóle, bo uciekł z kochanką. Pani wie, że mama nigdy nam o nim nie mówiła źle, dobrze zresztą też nie. Dorastałem w dziwnym przekonaniu, że on nie żyje. Czasami wyobrażałem sobie, jak byłem mały, że czekał na pociąg na peronie i ktoś go wepchnął pod nadjeżdżającą lokomotywę. Nie mam pojęcia, skąd brałem takie myśli, ale w końcu przyjąłem tę wersję jako prawdę, uwierzyłem w nią. Jak poszedłem do liceum, to ją sprzedałem kumplom, oni też uwierzyli. Uśmierciłem swojego ojca, przyznaję, polubiłem tę tragedię, polubiłem sierotę w sobie. W mojej licealnej klasie były może trzy osoby, które wychowywały się w niepełnej rodzinie, ale mnie do nich nie zaliczano, ja byłem półsierotą, ojciec zginął tragicznie! No niech pani sama powie, czy ja jestem normalny? Mam kompletnie zryty beret, jak moja siostra.

Spojrzałam na niego spod swoich siwych rzęs.

– Drogie dziecko, każdy się broni jak umie przed obłędem. Miałeś prawo uśmiercić w myślach ojca, on sam dał ci takie prawo, kiedy uciekł jak szczur i przez lata się nie pokazał. A co u Agaty? – Zainteresowałam się.

– Dobrze, lepiej. – Jacek rozweselił się – Teraz już sama pomaga innym, przynajmniej usiłuje. Została w tym ośrodku na etacie, bardzo są z niej zadowoleni, ale mnie się zdaje, że oni tam wiedzą, że ona się jeszcze nie nadaje do życia między ludźmi, więc ją trzymają pod pretekstem pracy w zespole. Pisze do mnie codziennie SMS-y, ale nie chce rozmawiać, jakby się mnie wstydziła. Nie zbliżyła się do komputera, odkąd tam zamieszkała, ale to też podobno niedobrze.

Zasępiłam się. Ileż to nieszczęść chodzi po tym świecie w różnych przebraniach. Nie ma chyba rodziny na tym świecie, której by nie dotknęła jakaś tragedia prędzej czy później. Kiedy pomyślę sobie o moim biednym ojcu, zastrzelonym przez Rosjan na początku wojny, losach mojej matki i Joachima, który też wiele szczęścia w życiu nie zaznał, myślą nawrócę do historii Jacka, po raz kolejny analizuję tę straszną tragedię Emila, jego rodziców, rodziców jego dziewczyny, cierpnę cała ze zgrozy. Jednocześnie jest mi wstyd, bo moje życie przeszło tak gładko, nie poznałam, co to prawdziwa trwoga, płakałam nad innymi, rzadziej nad sobą, choć gdybym miała rękę na piersi złożyć, to musiałabym przyznać, że wielkie momenty szczęścia też mnie ominęły.

Kiedy Jacek wiozł Agnieszkę samochodem do Gdańska, mijali Warszawę, to wtedy zaczęła mu opowiadać o swoim bracie Emilu, nie szczędząc bolesnych szczegółów.

Emil, tak jak jego siostra, od trzynastego roku życia uczęszczał do angielskiej szkoły z internatem. Dziwiłam się swojemu synowi, że tak młodego chłopca w świat puszcza, ale on zapewnił mnie, iż sam zainteresowany zapalił się do tego pomysłu. Był piekielnie uzdolniony, przy tym pozostawał całkiem normalnym młodzieńcem, co wśród geniuszów jest rzadkością. Jako czterolatek czytał płynnie gazety, rok później czytał już gazety w języku angielskim. Metodą Suzuki uczył się grać na skrzypcach, potem na fortepianie, w wieku dziesięciu lat, przygrywając nam sonaty, wyciskał pierwsze łzy wzruszenia. Siadywaliśmy w salonie, on czekał w holu, matka zapowiadała jego wejście, po czym zachęcony

oklaskami członków rodziny, wychodził do nas, odrzucał wyimaginowany ogon smokingu i zasiadał przy fortepianie. Oprócz talentów muzycznych posiadał również zdolności matematyczne, a kiedy nadszedł czas decyzji, wybrał właśnie przedmioty ścisłe. Jego matka czasami grywała z nim w duecie, uświetniali wiele rodzinnych obiadów i świąt. Przyznać muszę, że uwielbiałam te chwile, byłam dumna z mojego wnuka, do Sekutnicy z Krakowa czułam mniejszą antypatię, kiedy z nim grała. Agnieszka zapatrzyła się w brata, gotowa całkowicie usunąć się w cień, aby jego gwiazda świeciła jaśniejszym blaskiem. Jej rodzice wykazali jednak sporo mądrości, nigdy nie zauważyłam, aby syna faworyzowali kosztem córki. Szczególnie Artur zachowywał zdrowy rozsądek w tym względzie, trzeźwo patrzył na potomka, wystrzegając się manifestowania rodzicielskiej dumy. Kiedy nadszedł stosowny czas, obydwójce zgodnie uznali, że jeśli marzą mu się wielkie rzeczy w życiu, powinien uczyć się w Anglii. Od dłuższego czasu w naszej rodzinie panowało przekonanie, że wszystko, co angielskie, jest lepsze niż polskie. Z wyjątkiem pogody i kuchni. Język Anglicy mają lepszy, wspaniałe szkoły z tradycjami, drogi, sklepy, psy, maniery, trawniki, najsprawiedliwszy system sądowy, najłagodniejszą policję, BBC oraz obiekt zazdrości świata – monarchię. Wszyscyśmy się potajemnie w Anglii podkochiwali, jednocześnie pogardzając Ameryką. Z naszego regionu z co drugiej chałupy ktoś do Ameryki jechał na zarobek, czasami sterany robotą po latach wracał. Emigranci budowali domy na odległość, ślali paczki pełne prezentów, a pozostawione losowi oraz wszelkim pokusom cielesnym żony ubierały stęsknione dzieci w kolorowe T-shirty i dzinsy. Pola przetarła szlaki pod koniec lat sześćdziesiątych, zawsze zachwalając ten kraj jako najwspanialszy do życia, lepszej rekomendacji nikt nie potrzebował.

Autorem pomysłu posłania Emila do Anglii był Artur, Oktawia wahała się najdłużej, dręczona pytaniami, czy aby dobrze robią, wysyłając ich największy skarb do obcego kraju? Chciała dla niego jak najlepiej, przekonana o nieprzeciętnych zdolnościach syna, nie wierzyła, że w Polsce rozwinięte skrzydła, nawet w jej uwielbianym Krakowie. Emil czekał na

wyjazd do Anglii jak na przygodę życia, on już należał do pokolenia, które wyjazdu z kraju na dłużej nie traktowało jak wymuszonej ekonomią lub polityką emigracji. Rodzice znaleźli mu świetną koedukacyjną szkołę z internatem, Epsom College w hrabstwie Surrey, rekomendowaną przez znajomego Artura, zamożnego Anglika. Opłaty za szkołę z internatem wynosiły około trzydziestu tysięcy funtów rocznie, pamiętam, bo oferowałam się z pomocą. Artur wycalaował moją siwą głowę wzruszony.

– Mamo, wielkie dzięki, ale nie trzeba – powiedział mi wtedy. – Jak nie wytrzyma, to na Boże Narodzenie zabierzemy go do domu i nie będzie musiał tam wracać. Najważniejsze, że spróbuje. Pał sześć, że opłaciłem rok z góry.

Podobało mi się takie podejście do sprawy, bardzo nie lubiłam rozwiązań siłowych. Nie ma nic gorszego niż zbyt ambitni rodzice, realizujący swoje niedoszłe plany poprzez dzieci. Mój wnuk od dawna dusił się w naszym mieście, mało mu było przestrzeni i światła, gnało go w inne, ciekawsze miejsca. Jakże był podobny do Poli w tym względzie! Uważał się za kontynuatora idei wolności umysłowej zapoczątkowanej przez Polę, tak jak ona zupełnie nie czuł się Polakiem, ale obywatelem świata. Mógł mieszkać gdziekolwiek, pomiędzy obcymi zapuścić korzenie i być szczęśliwym. Sam o sobie mówił, że nie przywiązuje się do miejsc, tylko do ludzi.

Na pierwsze święta Bożego Narodzenia przyjechał z kolegą, którego ojciec był dyrektorem banku w Londynie. Zaprzyjaźnili się szybko, a przyjaźń ta trwała aż do końca szkoły. Razem podjęli studia w Oxfordzie na tym samym kierunku. Chłopak był zafascynowany Emilem, gdyby mógł, to by mu służył. Dziwna była z nich para, przypominająca nieco zależność młodego hrabiątka Morawskich od Poli. Emil wyjawiał mi w szczerzej rozmowie, że ten kolega tak był poniewierany przez innych w szkole, że nie widział innego sposobu, jak tylko wziąć go pod swoje skrzydła. Chłopak był nieśmiały i niepewny swego, byle obelga zwała go z nóg, a Emil za słabszym umiał się skutecznie ująć. Przywiózł kolegę do Polski kilka razy, podobno zaaranżował również jego inicjację

seksualną w hotelu „Forum” w Warszawie. Mieli po szesnaście lat, uznali, że już czas najwyższy przekonać się, jak smakuje kobieta. Zdarzyło mi się wtedy, nie całkiem przypadkiem, podsłuchać rozmowę Agnieszki i Emila, z której właśnie wyłaniał się taki przebieg wydarzeń. Agnieszka zakrywała sobie usta otwartą dłonią, żeby się nie śmiać. Nie wysłuchałam do końca, zawstydzona swoim zachowaniem.

Od początku stało się jasne, że Emil do Polski nie wróci, dopóki nie skończy szkół. Czuł się w Anglii jak ryba w wodzie, pomiędzy synami bogaczy, których sobie najzwyczajniej w świecie zjednał, co znając Anglików, było nie lada sztuką. W klasowym społeczeństwie, jakie w Anglii panuje od wieków, takie dopuszczenie chłopca z Polski do łask było absolutną rzadkością. Kto wie, może był to jedyny taki przypadek w historii?

Nawet zamożna rodzina Kate Middleton, która ostatecznie poślubiła księcia Williama, została boleśnie wyśmiana przez kolegów szkolnych następcy tronu, kiedy para na chwilę się rozstała. Za Williamem koledzy krzyczeli: „Drzwi przygotowane i sprawdzone!” nawiązując do zawodu niedoszłej teściowej, byłej stewardesy. Podłe gnojki bez grama kultury pod grzywką! Dzieci bogatych Anglików w snobistycznych szkołach wykazują w stosunku do biedniejszych, według ich standardów, gorzej urodzonych kolegów niezwykle okrucieństwo i pogardę. Nie jest łatwo wkręcić się w towarzystwo, zdobyć sobie zaufanie tych paniczów z wielkimi pretensjami, sprawić, aby zobaczyli w tobie człowieka. Emil rozpracował ich raz dwa, może nawet nieco zmanipulował, dość na tym, że przewodził sporej grupie bogatych snobów, ucząc ich, gdzie znajduje się Polska, objaśniając, że Maria Curie nie była Francuzką, Copernicus to również Polak, a kod do Enigmy złamali polscy matematycy. Nie udało mu się tylko ich przekonać, że u wojny światowej nie wygrali Anglicy i Amerykanie! Młodzi Anglicy niczym nie różnili się od matki Pilota, trzeciego męża Poli, która również uważała, że wojnę wygrali dzielni amerykańscy żołnierze oraz Brytyjczycy w służbie Jej Królewskiej Mości. Ja bym to skwitowała oświadczeniem, że jedną z większych zasług

Amerikanów w tamtych czasach było naciągnięcie nylonowych pończoch na mało zgrabne nóżki Angielek. Dyskutowaliśmy z Emilem na temat świadomości w poszczególnych narodach, krajowych mitach, przedmiotach kultu, zawsze wychodziło nam na to samo – obywatele każdego narodu czują się wyjątkowi, z wyższością, jawną jak Polacy lub skrywaną jak Anglicy, odnoszą się do obywateli innych nacji.

– Tego babciu już nie przeskoczmy – mówił mój wnuczek uczący się w Surrey. – To jakby starszym paniom w kościele na twojej wsi powiedzieć, że Pan Jezus był Żydem, a Matka Boska Częstochowska nie była Polką. Anglicy wierzą, że wygrali wojnę oraz w to, że członkowie rodziny królewskiej raczej nie robią kupki, są na to zbyt doskonali.

– Mają za swoje, księżna Diana romansowała z wyznawcą islamu przed śmiercią! – wypaliłam. – Już chyba nic gorszego Windsorom nie mogło się przydarzyć.

– Podobno była w ciąży z tym swoim kochasiem. Jakby urodziła syna, mogliby mu dać na imię Mohamed... imię po dziadku, następcą tronu Mohamed Windsor, *ladies and gentlemen!*

Emil był niezwykle dowcipny, nie obawiał się, że zachwieje poprawnością polityczną, miał to w nosie.

Kiedy zdał egzaminy końcowe w Epsom College, mając osiemnaście lat, rozesał podania do uniwersytetów jak inni. Nie musiał czekać długo w niepewności, gdzie go przyjmą. Zarówno Oxford, jak i Cambridge, zaferowały mu miejsca. Wybrał Oxford, wiedziony przecuciem, że tam znajduje się jego przystanek przeznaczenia. W pewnym sensie nie mylił się. To właśnie na Oxfordzkim Uniwersytecie poznał Amber Carhart.

Pokazałam Jackowi zdjęcie urodziwej Angielki. Pochylił głowę nad otwartą stroną albumu.

– Fajne imię. Amber. Dziewczyna też. A ten koleś obok, to Emil?

– Nie, tu niżej są fotografie Emila, ten młodzieniec obok Amber to przyjaciel mojego wnuka, Mark. Trzymam to zdjęcie, bo Amber wygląda na nim tak prawdziwie i naturalnie... na żadnej innej fotografii już tak nie wyszła.

Emil przywiózł Amber do Polski w wielkie upały i gwałtowne burze. Przylecieli liniami British Airways do Krakowa, przespali się kilka nocy w hotelu, odwiedzili rodzinę Oktawii, pojechali do Oświęcimia i Zakopanego, na koniec zawitali do nas. Oktawia urządziła wystawne przyjęcie w ogrodzie na cześć młodych. Ogród ozdobiony był pięknie chińskimi lampionami zawieszonymi od drzewa do drzewa, na tarasie poustawiano stoły, wygodne ratanowe fotele wyścielone poduchami, z wnętrza domu dochodziły dźwięki muzyki. Podawano lekkie zakąski i wysmienite wina, wieczorem wjechało pieczone, a przed nim czerstwy kucharz w białej czapie. Celebrował krajanie mięsa, jakby był dyrygentem wielkiej orkiestry symfonicznej.

Oktawia zaprosiła samych znakomych gości, chciała pochwalić się synem, a przede wszystkim przysłą synową, bo młodzi taką właśnie nowinę do Polski przywieźli. Mieli zamiar się pobrać, jak tylko Emil skończy studia. Spieszyło im się, obydwójce pochodzili z tradycyjnych domów, nie chcieli bez błogosławieństwa razem mieszkać.

– Jesteśmy zaręczeni, ale to nie znaczy, że zaraz będzie ślub – przekonywał mnie żarliwie. – Jak skończę studia, pojedziemy, jak nakazuje tradycja, w daleką podróż. Australia, Nowa Zelandia, Malezja. Plecak, karta kredytowa, ukochaną za rękę i w świat.

Taki *gap year*, jak mówią Anglicy. Mam odłożone cztery tysiąki, Amber też cztery, przepuścimy wszystko...

– Na mnie też możesz liczyć – szepnęłam mu do ucha. – W końcu Pola popierała podróż.

– Nie trzeba babciu, ale kochana jesteś, że oferujesz. No, chyba że nam zabraknie, to wtedy przyślę ci telegram z numerem konta... – Roześmiał się.

– Popieram, trzeba trochę świata użyć, zanim was polknie rekin codzienności. Piękni jesteście, wszystko przed wami...

Gawędziliśmy jeszcze przez chwilę. Podobały mi się ich plany, zupełnie niczym nieograniczone marzenia, łatwość podejmowania decyzji, żadnego strachu przed przyszłością, jakby tylko dobre przepowiednie miały się sprawdzić.

Siedziałam podczas przyjęcia w fotelu na tarasie, obserwowałam z przyjemnością ładną parę. Cały świat mieli u stóp, zdrowie, urodę, perspektywy, zamożnych rodziców, mogli osiedlić się w dowolnym miejscu w Europie lub poza jej granicami.

Artur miał nadzieję, że jego syn poprowadzi firmę kosmetyczną po powrocie do Polski, takie było jego pragnienie, naturalny porządek świata pieniędzy, syn miał przejąć stery. Emil nie złożył jasnej deklaracji, chciał najpierw pokazać Polskę swojej narzeczonej, do niej miała należeć ostateczna decyzja, gdzie zamieszkają po powrocie z podróży.

– Nie chcę mieć w domu nieszczęśliwej żony, babciu – tłumaczył mi. – Nie zniósłbym, gdyby w każdą niedzielę czy w święta wypominała mi, że ją siłą z ojczyzny wywiozłem. Ona wybierze, ja się dostosuję, bo ją kocham. Byle gdzie będę mieszkał, ale z nią, szczęśliwą i zadowoloną, tak mi dopomóż Bóg!

Amber Carhart nie pochodziła z biednej rodziny, choć majątek jej przysłego teścia był zdecydowanie większy niż jej ojca, a perspektywa zarządzania tak wielkim przedsiębiorstwem, bardzo kusząca. Oboje mogli pracować w firmie. Pojechali do jednej fabryki, wtedy już pracującej pełną parą, potem do drugiej, której otwarcie zaplanowane było na jesień. Artur woził ich wszędzie osobiście, poświęcał gościom sporo czasu, nadskakiwał dziewczynie, traktował ją jak ważną osobistość, mógł nawet wzbudzić zazdrość w synu, tak czarował Amber.

Pod koniec tygodniowego pobytu Amber nie miała wątpliwości, gdzie chce mieszkać i czym się zajmować w przyszłości. Pokazano jej Polskę od najładniejszej strony, z okien dobrych hoteli, tarasów stylowych i bogatych domów, z wysokości dobrze prosperującej firmy, z siedzenia pasażera luksusowego samochodu, wszędzie otaczali ją życzliwi ludzie, prawiący jej komplementy. Czuli się lepiej niż królowa angielska w dniu koronacji.

Podobała mi się Amber. Była szczupła, dość wysoka, miała piękne, równe zęby, lekko rudawe włosy i zielone oczy. Ruszała się niezwykle zgrabnie, bardzo lekko i szybko, biła od niej energia wręcz kosmiczna. Nosila długie, kwieciste sukienki, na stopach plecione sandały, pachniała

latem, młodością zmieszaną z dobrymi perfumami. Wieczorami narzucała na ramiona biały kaszmirowy sweter, zawiązywała włosy obleczoną w materiał gumką, gawędziłyśmy o sprawach ludzkich i boskich do późnych godzin. Nie mogła się nachwalić mojej znajomości języka angielskiego, klaskała w dłonie, kiedy udało mi się wtrącić jakiś dowcipny komentarz lub nietypowe słowo. Uważała, że jestem zjawiskowa. Odwzajemniałam komplementy, przysuwając się niebezpiecznie do granicy przesady. W trakcie swojego pobytu młodzi każdy wieczór spędzali z nami, zapewniając, że w Anglii często się bawią, więc tutaj mogą sobie odpocząć. Mieli w najbliższych planach krótki pobyt w Paryżu u znajomych rodziców, który by ostatecznie zakończył ich tegoroczne wakacje. Ja w Paryżu nigdy nie byłam. Przyznać musiałam, że wcale mnie tam nie ciągnęło. Nie wiem dlaczego, ale uważałam Francuzów za brudasów oraz leniów!

Podczas jednego z wieczorów, na prośbę Emila, opowiedziałam Amber o Poli i mojej wizycie w Anglii. Jako dziecko zajadała się lodami Petera Allena, od niej dowiedziałam się, że firma już nie istnieje, wessał ją większy producent, zmienił nazwę, smaki, kolory. Historia fałszywej rosyjskiej arystokratki, Kateriny, żony Johna, spodobała jej się najbardziej. Obiecała się czegoś dowiedzieć o ich losach, przy najbliższej okazji listownie mnie o wynikach poszukiwań poinformować. Miałyśmy staroświecko pisywać do siebie listy. Na dnie szuflady leżały dwie wзорzyste papeterie, które dzięki Amber miały się doczekać spożytkowania. Zobowiązała się również rozeznac temat możliwości sprowadzenia prochów ciotki Poli do Polski. Serce zabiło mi mocniej po tej jej deklaracji, ufałam, że tego dokona. Niestety nie zdążyła.

W przeddzień powrotu do Anglii, młodzi wybrali się do centrum miasta, kupić sobie parę pamiątek z Polski i wybrać prezent dla rodziców Amber. Chciała podarować im coś ze sztuki ludowej, gustowny ręczny wyrób. Nie umiałam powiedzieć, czy Cepelie jeszcze funkcjonują, czy dawno już zostały zlikwidowane. Naradzała się ze mną, najbardziej podobały jej się imitacje ikon oraz wyrzeźbione w drzewie świątki. Chciałam jej nawet dać na pamiątkę ręcznie haftowaną serwetę, ostatecznie

zdecydowałam się podarować jej wzorzysty szal, który zrobiłam poprzedniej zimy na drutach. Amber uwielbiała kolory, czułam, że moje lato z wełny spodoba jej się.

Młodzi pojechali samochodem do centrum, zapewnili, że wrócą na pożegnalną kolację przed czasem. Zaproponowałam Oktawii, że upiekę placek ze śliwkami, jednak synowa zbyła mnie czymś pod pretekstem chęci oszczędzenia mi wysiłku. Mój wypiek nie pasował zapewne do jej koncepcji pożegnalnej kolacji, wrzuciłam tylko ramionami.

Agnieszka miała towarzyszyć zakochanej parze, jednak w ostatniej chwili rozmyśliła się i została w domu, dotrzymując mi towarzystwa. Była świadkiem, jak moją propozycję upieczenia ciasta odrzuciła jej mama, chciała mi pewnie wynagrodzić przykrość.

– Nie mógł lepiej trafić, babciu! – ćwierkała, paląc papierosa. – Bałam się, że zakocha się w jakiejś zołzie, której nigdy nie polubię, tymczasem, proszę, superdziewczyna, taka... swojska! Będę ich teraz odwiedzać w Oxfordzie, na weekend mogę do nich jeździć albo oni do mnie.

– Pasują do siebie i do naszej rodziny – powiedziałam.

– No właśnie. – Agnieszka kontynuowała. – W dzisiejszym świecie, kiedy ludzie dobierają się byle jak, aż miło popatrzeć na taką zgraną parę. To nie jest związek przypadku, to jest najlepszy przykład, że dwoje pisanych sobie ludzi może się znaleźć na tym ogromnym świecie.

– Ty też znajdziesz swojego rycerza, modlę się o to. – Poklepałam jej opaloną, wypielęgowaną dłoń.

– Oby przed trzydziestką! Chciałabym zdrowe dziecko urodzić. Amber będzie dobrą żoną dla Emila, urodzi mu gromadkę dzieciaków, zobaczy babcia, będą mieć co najmniej trójkę, takie mam przeczucie.

W chwili, kiedy my omawialiśmy przyszłe losy młodej pary, deliberovaliśmy nad imionami ich dzieci, prześcigając się w pomysłach, co z nich wyrośnie, Amber z Emilem przechodzili na pasach przez ulicę. Emil niósł torbę z zakupami, Amber wiązanek przepięknych kwiatów, którą chciała podarować Oktawii na pożegnanie, dziękując za ciepłe przyjęcie.

W miejscu, gdzie przechodzili przez ulicę, kierując się w stronę parkingu pod pomnikiem, nie zainstalowano sygnalizacji świetlnej, choć było to chętnie używane przez pieszych przejście. Idąc blisko siebie, trzymali się za ręce, zaledwie na kilka sekund Emil puścił dłoń narzeczonej, aby sięgnąć do kieszeni po dzwoniący telefon komórkowy. Czarny samochód osobowy zatrzymał się przed przejściem, więc Amber weszła na jezdnię pewnym krokiem. Emil stał jeszcze na krawężniku i patrzył w ekran telefonu wyświetlający nieodebrane połączenie. Dzwonił jego ojciec, by zapytać, czy nie chcieliby jeszcze przed wyjazdem wpaść do firmy? Ojciec rozłączył się, zanim syn odebrał. Amber szła wolno w poprzek ulicy, nie czekając na Emila. Minęła po lewej ręce samochód, przepuszczający przechodniów na pasach, zrobiła jeszcze dwa kroki w przód. Zza czarnego samochodu wyjechała rozpędzona srebrna toyota i zanim Amber obróciła w stronę zbliżającego się pojazdu głowę, samochód uderzył w nią z wielką siłą. Wyleciała w powietrze jak z katapulty, jej bezwładnie powyginane ciało runęło na jezdnię niczym ustrzelony ptak.

Ile minut trwała chwila śmierci Amber? Mówili, że moment. Emil stał jak posąg, wciąż jeszcze na chodniku, zaledwie kilka metrów od dziewczyny i nie mógł się ruszyć. Ani dźwięku z siebie wydać. Krzyczało wiele osób, ludzie biegli w stronę wypadku ze wszystkich stron, kierowca toyoty zatrzymał się kilka metrów dalej, nie wysiadł z auta. Zamknął się od środka i czekał na przyjazd karetki czy policji. Ktoś z tłumu doskoczył do niego, zaczął szarpać za drzwi, mając zamiar wymierzyć mu sprawiedliwość na miejscu, ale kierowca siedział bezpieczny, z głową opartą o kierownicę. Do ciała Amber nikt przez chwilę nie podchodził. Nie było dużo krwi, bo śmierć na drodze nie zawsze musi być krwawa. Zginęła na miejscu, odniosła liczne wewnętrzne obrażenia ciała, jej mózg został kompletnie stłuczony, poprzebijany w wielu miejscach odłamkami czaszki, ale nie złamała się ani jedna kość w jej ciele.

Najwyraźniej z wydarzeń tego dnia pamiętam wyraz twarzy Agnieszki, która przyniosła nam tragiczną nowinę. Siedziałyśmy z Oktawią w kuchni, zajęte łuskaniem groszku. Przyszła do nas zgięta wpół, jakby rażona ciosem lub przeszyta bólem podbrzusza. Po chwili ziarenka

zielonego groszku toczyły się po stole razem z naszymi łzami. Zadzwoił do niej Emil, powiedział, co zaszło, szybko się rozłączył, jego telefon więcej nie odpowiadał. Zaalarmowałyśmy Artura, natychmiast pojechał na miejsce zdarzenia, cały czas usiłując skontaktować się z synem. Nie mógł go znaleźć ani na policji, ani w szpitalu, nie było go również w domu, jego komórka milczała. Policjant potwierdził, że Emil Pogorzelski złożył zeznanie jako naoczny świadek wypadku, oddalił się zaraz po złożeniu podpisu na formularzu. Policjant zdradził również tajemnicę służbową, że kierowca srebrnej toyoty pół godziny po spowodowaniu wypadku miał we krwi prawie półtora promila alkoholu, po godzinie jeszcze więcej, czyli, że stężenie rosło, nie rozpoczynał się proces trzeźwienia.

Takie ponure wieści przywiózł nam Artur, kiedy w końcu wrócił do domu około 23.00. Czekałyśmy na niego, roztrzęsione, wymęczone rozpaczaniem, bolesnym spekulowaniem, on tylko zajrzał do salonu i poszedł się położyć. Oktawia pobiegła za nim. Zostałam sama, nie bardzo wiedziałam, co ze sobą począć. Modliłam się długo, na koniec poszłam na górę, sprawdzić, jak się czuje Agnieszka. Zapukałam do drzwi sypialni, zaproszona cichym słowem weszłam do środka. Leżała na łóżku i patrzyła w sufit.

– On tego nie przeżyje, babciu. Emil tego nie przetrzyma – powiedziała. Usiadłam obok niej na łóżku.

– Ludzie są silni, znacznie silniejsi, niż nam się zdaje. Trzeba by go znaleźć. Gdzie on mógł pójść? – zastanawiałam się głośno.

Agnieszka powtarzała w kółko, że to dla jej brata za dużo, jest zbyt wrażliwy, nie da rady.

– Pan Bóg, moja droga, daje nam na plecy tylko taki ciężar, jaki nasze ramiona zdołają unieść – pocieszałam ją.

– Ja w tej chwili nie chcę słuchać o Panu Bogu, babciu, bo oszaleję. – Agnieszka, pogrążona w prawdziwej rozpacz, zerwała się z łóżka i podeszła do biurka. Wyciągnęła paczkę papierosów. Machnęłam tylko ręką, niech pali, niech się zajmie czymkolwiek, aby tylko nie zlorzczyła panu Bogu, lecz ona właśnie postanowiła uderzyć w bluźniercze tony.

– Co Panu Bogu przeszkadzała Amber Carhart? No powiedz mi, babciu? Dlaczego postanowił zakończyć ich szczęście jednym pstryknięciem palca? Nie mógł uśmiercić jakiegoś wygłodzonego dziecka w Afryce, po którym nikt by nie zapłakał, tylko narzeczoną mojego brata, piękną i mądrą? – Paliła papierosa, zaciągając się łapczywie niczym dorozkarz na mrozie. Nie wiedziała, co mówi, taki żal nią targał, traciła rozum, ja kiwałam się, siedząc na krawędzi łóżka, niezdolna do obrony.

– Trzeba by ciocię Zuzię i wujka Karola zapytać – ciągnęła, wystawiając głowę przez okno – czym się nasz dobry Bóg kierował, kiedy stawiał krzyżyk na Amber? Oni blisko z Bogiem są, to na pewno będą wiedzieli najlepiej. A może Amber zawiniła? Przecież Bóg za dobre wynagradza, a za złe karze...

– Agnieszko... – jęknęłam – nie mów tak. Sobie nie ulżysz, tylko Boga obrazisz.

– A niech się Bóg obraża! Ja w tej chwili jestem na Niego bardzo obrażona, niech On to wie, niech mnie usłyszy, proszę bardzo, niech mi karę wyznaczy za bluźnierstwo... – Rzuciła papierosa i spojrzała mi prosto w oczy.

– Dziecko kochane – zaczęłam, pochlipując. – Ja też nie pojmuję, ale nie złorzecz Najwyższemu, serce mnie boli, kiedy tego słucham.

– Przepraszam, babciu. – Podeszła do mnie, przytuliła się na moment, potem znów sięgnęła po papierosa. – Ciebie przepraszam, ale z Panem Bogiem będę musiała się rozmówić... na razie nie chce mi się z Nim gadać.

Agnieszka wydmuchiwała dym przez otwarte okno, popiół sypiąc do pustej butelki po soku. Gdybym tylko wiedziała, co powiedzieć? Ale nie wiedziałam, sama przejęta byłam nieludzkim smutkiem, we mnie również tłukła się pretensja do Stwórcy, że jej nie uchronił od tej nagłej i przedwczesnej śmierci. Chciałam wierzyć, że mógł. Jakoś tak od wtedy zaczęłam się do Boga modlić, żeby to mnie zabrał następnym razem, a młodą osobę potrzymał na ziemi w zdrowiu. Usiłowałam negocjować z Nim, oferować transakcję zamienną, na stare lata całkiem zgłupiałam. Jeśliby kto słuchał tych moich rozmów z Bogiem, toby mnie zaraz w kaftanie do Jarosławia kazał wieść.

Spojrzałam na wnuczkę. Jej twarz uległa dziwnym przekształceniom, wydłużyła się, pomięła, oczy to już do czarnej wody w sadzawce mogłam tylko przyrównać.

– Jak powiedziałam matce Amber, co się stało, to tak krzyczała, jakby ją ktoś ogniem przypalał. To było po prostu straszne, babciu. Emil mnie poprosił, on sam nie był w stanie.

– Przylecą do Polski? – dopytywałam się.

– Przylecą rannym samolotem, chcą jak najprędzej zabrać Amber do Anglii. Trzeba by po nich pojechać na lotnisko, ja nie wiem, kto się tym wszystkim zajmie? Jak my im w oczy spojrzymy? Co im powiemy?

– Pijani kierowcy powodują wypadki wszędzie, w Anglii też – westchnęłam.

– Ale chyba nie o czwartej po południu, w centrum miasta, będąc tak pijanym, że nie może się ustać na nogach, a co dopiero samochodem jeździć! Tylko Polak może się tak schlać! – Nie było w mojej Agnieszce ani jednej łagodnej nuty. – Dosłownie wczoraj czytałam, że w naszym pięknym kraju najwięcej w całej Unii ludzi na drodze ginie. Mamy pierwsze miejsce! Głupie społeczeństwo akceptujące picie w pracy, picie i siadanie za kółkiem, picie i chępienie się, że taki byłem nachlany, a dałem radę dojechać do domu! Nie jest tak?

Agnieszka usiadła na łóżku, ukrywając twarz w dłoniach.

– Twoi rodzice wszystkim się zajmą, nie martw się. – Głaskałam ją jak malutką dziewczynkę. – Poszli się położyć, muszą mieć siłę na jutrzejszy dzień, nie będziesz musiała nic robić. Ja poczekam na Emila na dole, wierzę, że przyjdzie do domu.

– Ja też będę czekać, ale tutaj, nie chcę schodzić do salonu, boję się. – Pokazała mi spuchnięte od łez oczy.

Nic już więcej nie mówiłam, zawinęłam się mocniej szlafrokiem, poszłam wolnym krokiem na dół. Kiedy przechodziłam obok sypialni syna i synowej, przystanąłam na chwilę pod drzwiami. Słyszałam głos Oktawii, rozmawiała z kimś przez telefon.

Emil zadzwonił do swojego ojca następnego dnia wczesnym rankiem, żeby powiedzieć, że przez dwa dni będzie się zajmował rodzicami Amber. Przylatywali do Polski, nie akceptując, że ich córka, piękna i młoda, mogła tak po prostu zginąć na przejściu dla pieszych w środku dnia, mając swojego narzeczonego na wyciągnięcie ręki. Krzyczeli w słuchawkę na przemian, powtarzali w kółko: „Przecież ty tam byłeś! Byłeś tam!”, co równało się oskarżeniu, nie uratowałeś jej, pozwoliłeś, żeby potrącił ją pijany kierowca, nie zasłoniłeś jej własną pierś! Emil nie miał nic na swoją obronę. Niedoszli teściowie nie chcieli się z nami spotkać, odrzucili propozycję pomocy, jedynym ich pragnieniem było zabranie Amber do domu, niechętnie zgodzili się na pomoc Emila w obawie, że sami nie podołają. Stąpienie po polskiej ziemi raniło im stopy, nie chcieli tu być dłużej niż to absolutnie konieczne, z obrzydzeniem i nienawiścią zaglądali ludziom w twarz, wznosili zaciśniętą pięść ku niebu na samo tylko wspomnienie córki. Zachowywali się skandalicznie, przeszyli bólem, nie zważali na to, komu robią po drodze krzywdę. Może w Polsce nie zastali Europy, jakiej się spodziewali, ale my też nie znaleźliśmy w nich powściągliwych, kulturalnych, racjonalnie myślących Anglików.

Artur nie pytał syna, gdzie nocował, czy mu czegoś nie potrzeba. W jego głosie zawierała się prośba, błaganie nawet, żeby o nic go nie pytać, nie powracać ani jednym zdaniem do wydarzenia z poprzedniego dnia. Ja kręciłam się po ich pięknym, przepelnionym żałobą domu, przystając to z Oktawią, to z Zuzanną, rozmawiając szeptem, ocierając łzy. Rozpaczaliśmy z powodu śmierci Amber, ale tak naprawdę płakaliśmy na myśl o bólu Emila. Amber już nie było, nie cierpiała, poznała tajemnicę życia pozagrobowego, jej energia unosiła się teraz ponad miastem. Emil, cały z krwi i kości, z wszystkimi nerwami na wierzchu, pamięcią doskonałą, umysłem geniusza, został sam ze swoimi myślami, wyrzutami, spekulacjami, smagany zakamuflowanymi oskarżeniami rodziców Amber: „Byłeś tam!” Dzielnie sobie poradził, załatwili wszystko w dwa dni, prawie z Carhartami nie rozmawiając, ocierając się o ściany korytarzy w urzędach, przepuszczając się w drzwiach, nie pijąc ani kawy, ani wody. Zwłoki Amber wyleciały z Polski tym samym samolotem, linii British Airways, co jej rodzice.

Emil wrócił do domu. Nikt z nas nie umiał z nim rozmawiać. Oktawia zanosła mu kolację do pokoju, Artur poszedł na górę z butelką wódki, słyszeliśmy, jak trzasnęły drzwi.

Długo nie wychodził od syna, czekaliśmy w salonie, stłoczeni przy ławie, wymieniając spojrzenia, wdychając coś o złamanym sercu, naraz temat przeszedł na pogodę, potem znów zahaczył o politykę. Oktawia dołączyła do nas pod wieczór. Przynosiła złe nowiny, choć informacje nie były sprawdzone. Chodziła po salonie od okna do okna. Nie umiała się uspokoić, a przez telefon przychodziły coraz to nowe wieści. Zadzwoił ktoś, kto miał do czynienia z Adamem Kopaczem, synem biznesmena, drobnego przedsiębiorcy. Wyłaniał się z relacji osób trzecich obraz playboya i pijaka, jednakże dobrze ustosunkowanego, obnoszącego swoją bezkarność jak proporczyk.

– Mam nadzieję, że teraz pójdzie siedzieć na długie lata! – Agnieszka nie kryła swoich emocji. – Nie w zawieszeniu, tylko od zaraz, niech go zamkną! Mamo, proszę cię, usiądź, bo ja się denerwuję jeszcze bardziej, jak tak chodzisz i chodzisz.

– Co to są za ludzie, którzy upijają się w środku dnia i wsiadają za kierownicę? – wtrąciła Zuzanna.

Przyjechała z nami posiedzieć. Była przejęta jak wszyscy, kilka dni wcześniej poznała Amber na uroczystej kolacji w ogrodzie przy lampionach. Angielka przypadła jej do gustu, spędziła z nami miły wieczór. Nie mogła uwierzyć, kiedy Agnieszka zadzwoniła do niej z tragiczną wiadomością. Oboje z Karolem poszli natychmiast do kościoła, pomodlić się za zmarłą. Pochwaliła mi się, że zapłacili za mszę w jej intencji. Do kościoła mieliśmy iść następnego dnia.

– Ja na żadną mszę nie pójde. – Oktawia zareagowała gwałtownie, kiedy szwagierka podała godzinę i miejsce. – To jest ostatnia rzecz, jaką chciałabym teraz zrobić.

– Pójdziemy, wszyscy pójdziemy – powiedziałam łagodnie. – Potrzeba nam wyciszenia i spokoju, gdzie go znajdziemy jak nie w kościele? Emila też ze sobą weźmiemy.

– No, nie sądzę... – Agnieszka urwała w pół zdania. Wiedziałam, co chce powiedzieć, ale powstrzymała się.

– Skoro nie będziemy uczestniczyć w jej pogrzebie, chociaż tutaj się pomódlmy. Karol będzie czytał, organista zagra *Ave Maria*, pożegnamy ją po naszymu. – Zuzanna mówiła sensownie, ale ani Oktawia, ani Agnieszka nie były przekonane. Musiałam ją wesprzeć.

– Pomodlimy się wspólnie, łatwiej będzie nam przeżyć te straszne dni, bo przecież żałoba dopiero się zaczyna, kiedy pierwszy szok minie. O siłę warto Pana Boga poprosić. Dobrze Zuziu, że o tym pomyślałaś. A Lila już wie?

Lila przebywała na Mazurach, wybrała się pod namiot z przyjaciółmi ze szkoły. Zuzanna potrząsnęła przecząco głową.

– Nie mam z nią kontaktu od dwóch dni, jutro zadzwoni, bo tak się umawialiśmy, wtedy jej powiem.

– Niech jej ciocia nie mówi – wtrąciła Agnieszka. – Po co jej psuć wakacje? Nic to nie da, będzie się tylko zamartwiać, wszystkich wokół zdąrczy. Nie mówcie jej. Jak wróci za tydzień, sama jej powiem.

Lila wyjechała na wakacje dzień po przyjęciu dla Amber. Obie z Agnieszką żyły od zawsze sukcesami Emila, chciały się przekonać, czy wybrał dla siebie godną partnerkę. Kuzynki przyjaźniły się serdecznie, nie było między nimi, ani rywalizacji, ani zawiści, spędziły lata dzieciństwa razem. Nawet kiedy Agnieszka wyjechała śladem brata do szkół angielskich, pozostawały ze sobą blisko, pisząc e-maile i telefonując. Lila jeździła do Londynu kilkakrotnie, Artur zawsze pokrywał koszty jej wycieczki. Cieszyliśmy się ich przyjaźnią, bo w końcu więzy krwi wcale przyjaźni nie gwarantują. Moje wnuczki trzymały się razem, miały takie samo poczucie humoru, podobne zainteresowania, choć marzenia zgoła inne. Lila marzyła o miłości i rodzinie, Agnieszka o niesieniu pomocy ludziom, których świat zaniedbał. Teraz Agnieszka chciała ją oszczędzić i miała rację, poparłam wnuczkę.

– Mnie jest wszystko jedno, kiedy Lilka się dowie – powiedziała Oktawia. – To nie jest najważniejsze, ale Emil... Boję się, czy będzie chciał studia kończyć? On jest kompletnie załamany!

– Musi trochę czasu minąć – odezwała się. – Dajmy mu czas.
– On ma jakiś obłąd w oczach, ja się boję, że on sobie coś zrobi. –
Matka miała złe przeczucia, których nie sposób było zignorować. Zamilkłyśmy na chwilę. Agnieszka odezwała się pierwsza.

– Będziemy go pilnować na zmianę.

– Obawiam się, że upilnować dorosłego człowieka się nie da, trzeba po prostu go wspierać, być przy nim – powiedziała Zuzanna, Oktawia natychmiast parsknęła jak kot.

– Nie znasz mojego syna, jak ci się zdaje, że można przy nim być wbrew jego woli. To jest indywidualista, samotnik z natury. – Potrząsała głową, mówiąc te słowa. – On wsparcie zawsze czerpał sam z siebie, nie leciał do nas ze zwierzeniami i troskami.

– Mówisz tak, jakby to była zaleta. – Zuzanna powoli wchodziła na wojenną ścieżkę. Obie kobiety nie umiały się porozumieć, nawet przy tak smutnej okazji.

– Nie uważam tego za wadę. Emil w trzynastym roku życia wybrał niezależne, dorosłe życie w obcym kraju, to chyba coś mówi o jego charakterze i usposobieniu. – Oktawia znów wstała z fotela, równym krokiem zaczęła się przechadzać pomiędzy nami. – To nie znaczy, że stroni od ludzi, po prostu radzi sobie ze wszystkim w pojedynkę, robi to doskonale. On jeszcze nigdy do nas nie przyszedł z żadnym problemem. Nie leży to w jego naturze, żeby osoby, które kocha, zdręzczać.

Oktawia nieświadomie opisała charakter Poli. Ona była właśnie taka, z miłości do osób jej bliskich nauczyła się ze wszystkim radzić sobie w pojedynkę. Nigdy się nie skarżyła, nie zwierzała, zupełnie jak Emil. Gotowa byłam stanąć w jego obronie, zanim Zuzanna wyrazi swoją krytyczną opinię, do czego się szykowałam.

– Mój wnuk jest indywidualistą, bardzo silnym człowiekiem. Po wypadku poszedł, niczym zranione zwierzę, gdzieś w samotności przeżywać ból, nie na forum rodzinnym cierpieć katusze. Nie ma w tym nic złego – powiedziałam, a Agnieszka dodała zaraz po mnie:

– Są ludzie, którzy na portalach internetowych opowiadają ze szczegółami o swoich porażkach zawodowych, wizytach w toalecie, śmierci dziadków, narodzinach szczeniaczek swojej suki, o dietach, lękach czy zawiedzionych miłościach. Kiedy czytam te wpisy, często się zastanawiam, czy ci ludzie nie mają żywych przyjaciół, żeby im o tym opowiedzieć i muszą trąbić w Internecie? Nie wyobrażam sobie, jak mogłabym teraz na portalu napisać coś o śmierci Amber i rozpaczy mojego brata! Nie życzyłabym sobie żadnych kondolencji, jakiś głupawych deklaracji obcych ludzi, że łączą się ze mną w bólu, to byłoby okropne! A jednak miliony ludzi tak właśnie się zachowują.

– Czasami w grupie łatwiej. – Zuzanna nie chciała się poddać. Jej było najłatwiej, ze wszystkim biegła na plebanię, przed ołtarz, szczerze mówiąc, uzyskiwała tam to, czego jej było potrzeba, sięgała po sprawdzone metody w chwilach kryzysu. Członkowie rodziny mojego syna nie mieli ze swoim żalem i bólem dokąd iść, błakali się po domu jak po gęstym lesie, wypatrując ścieżki tam, gdzie jej nie było.

– Boże... – Oktawia przystanęła obok mojego fotela, zatoczyła się. – Ja nie mogę w to uwierzyć! Tu, na tym fotelu siedziała Amber i podwijała rękawy bluzki! Pytała mnie, czy w Polsce zawsze są takie upały.

Ledwie wybrzmiały jej słowa, a Zuzanna zerwała się z miejsca ze słowami najgłupszymi na świecie.

– Co się stało, to się nie odstanie. Czasu nie cofniemy.

W Oktawii wszystko zawrzało, posłała szwagierce druzgocące spojrzenie.

– Ja jestem bardzo ciekawa – wysyczała – czy gdyby to twoje dziecko, twoją Lilę potracił śmiertelnie samochód, czy też byś takie mądrości głosiła: „Co się stało to się nie odstanie?”

– Mamo! – Wybuch Agnieszki podgrzał emocje. – Co mama wygaduje! Na litość boską!

– Nie mogę słuchać tego głupiego gadania, że trudno, stało się, było minęło, pomódlmy się za spokój jej duszy! Niech Zuza to powie w oczy rodzicom Amber!

Oktawia podnosiła głos i wyrzucała ramiona przed siebie. Bałam się jej bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Ciocia Zuza nie chciała cię zdenerwować, tak się mówi potocznie. Nikt nie wie, co właściwie powinno się powiedzieć w takiej chwili. Trudno znaleźć odpowiednie słowa pocieszenia. – Agnieszka patrzyła błagalnie na rozeźloną matkę.

– To lepiej milczeć – powiedziała moja synowa i wyszła z salonu.

Artur zszedł na dół w chwili, kiedy Zuzanna zbierała się do wyjścia, nie patrząc na nikogo. Karol zjechał przed dom, czekał w samochodzie na zapalonych światłach. Nie miał odwagi wejść do środka. Często mu się zdarzało czekać na żonę w samochodzie, jakby niemiłe mu było nasze towarzystwo, może zwyczajnie nami pogardzał?

– Jedziesz już? – Artur objął siostrę ramieniem.

– Pojadę, musicie odpocząć, Karol przyjechał po mnie. Jak Emil? Trzyma się?

Odzyskała równowagę po nieprzyjemnej wymianie zdań z bratową, z ulgą obserwowałam, jak okazywała siostrzaną miłość Arturowi.

Artur nie odpowiedział. Usiadł na kanapie obok mnie, wziął moją dłoń w swoją. Miał zimną skórę, wyczuwałam lekkie drżenie całej ręki. Bałam się nie tylko o Emila, także o mojego syna. Oczekiwano od niego, że zachowa się jak siłacz, wszystkich nas wyprowadzi z tej mrocznej alei, choć nie było pewności, czy mu sił starczy. Był najstarszy, najmądrzejszy, ufaliśmy, że nas obroni przed złym światem, to była prawdziwa głowa rodziny, nawet jego siostra musiała to uznać.

– Jesteś zmęczony. – Zuzanna nachyliła się nad nim, żeby go pocałować. – Musicie wszyscy odpocząć. Zamówiłam na jutro mszę żałobną za Amber w mojej parafii. Na dziesiętnastą – powiedziała, zapinając guziki marynarki. Artur nie zareagował, nie widział, jak Agnieszka ze zniecierpliwieniem potrząsa głową.

– Można było poczekać z tą mszą, jutro możemy nie być w stanie – powiedziała do ciotki.

Artur patrzył gdzieś przed siebie, nie dotyczyła go zupełnie ta wymiana zdań. Kiedy Oktawia przysła z kawą, Zuzanna zamykała za sobą drzwi od tarasu. Po chwili zgasły światła reflektorów na podjeździe. Miałam ochotę wrócić do swojego mieszkania, ale czułam, że jestem tu jeszcze potrzebna, choć nikt specjalnie o radę się do mnie nie zwracał, o nic nie pytał.

– Tato, może ja powinnam spać u Emila w pokoju? Położyłabym się na materacu na podłodze...

Oktawia podeszła do niej, pogłaskała po głowie, przytuliły się mocno. Agnieszka ociągała się z pójsciem spać, zapewniając, że nie czuje się zmęczona, ale po kilku minutach wymknęła się na górę. Nasłuchiwałam, korzystając z nieuwagi Artura i Oktawii, czy zapuka do pokoju brata. Nie zapukała, poszła do siebie. Ja również nie miałam siły na dalszą rozmowę. Zapadłam się tak głęboko w kanapę, że nie mogłam z niej wstać o własnych siłach, Artur pomógł mi się pozbierać. Zajmowałam gościnną sypialnię na parterze, z małą łazienką i wyjściem na ogród. Syn odprowadził mnie do łóżka.

– Mamo. Czuję się winny – powiedział, przystając na progu.

– Ty? – Uniosłam brew ze zdziwienia.

– Może wszystko by się inaczej ułożyło, gdybym wtedy nie zadzwonił na komórkę Emila i nie zatrzymał go na chodniku? Gdyby szedł równo z nią, trzymał ją za rękę, może by ją ocalił? Szarpnął w tył, nie wiem, cokolwiek...

– Artur, nie wolno ci oddawać się takim spekulacjom! Równie dobrze ja mogłabym powiedzieć, że powinnam była o kilka sekund dłużej z nimi rozmawiać przy samochodzie, zanim pojechali do miasta, a już by się wydarzenia w czasie inaczej ułożyły. Albo Agnieszka. Miała jechać z nimi, może w jej towarzystwie poszliby do innych sklepów, w innym miejscu przechodziliby przez jezdnię, o innej porze. Tak można bez końca synu, tylko gdzie nas to zaprowadzi? Powariujemy na koniec.

Przemawiałam do niego jak kiedyś, gdy był małym chłopcem i czasami ubzdurał sobie coś, po czym zaczynał w to wierzyć, na przykład, że wybuchnie wojna, my zginiemy, jego zabiorą do domu dziecka, zapomni

nasze twarze. Często mu się to zdarzało, takie galopowanie myślami w najsmutniejsze rejony, lecz kiedy urodziłam mu siostrę, wszystko przeszło jak ręką odjął.

– Taka śmierć była jej przeznaczona? – zapytał, zaglądając mi w oczy. Odpowiedź na to pytanie miałam gotową od lat.

– Wszystko już wiemy o narodzinach człowieka, ale o śmierci nadal nic.

ROZDZIAŁ XIX

Włączyłam sobie na dzień dobry melodie Franka Sinatry. Pozostał dla mnie największym artystą, mimo że przeżywałam okresy gorączkowej fascynacji Mieczysławem Foggiem, Jerzym Połomskim, Louisem Armstrongiem, Karelem Gottem, którego przebój *Lady Karneval* puszczałam na adapterze Bambino do zniszczenia płyty. *Goodbye my love, goodbye* Demisa Russosa grzmiało z charczącego głośnika czasami kilka razy dziennie. Nie lubiłam natomiast śpiewających kobiet, poza jednym wyjątkiem, Edith Piaf. Kiedy usłyszałam pierwszy raz piosenkę pod tytułem *Non, Je ne regrette rien* chciałam na gwałt jechać do Francji, żeby tę kobietę zobaczyć na scenie. Nie byłam ciekawa niczego, co Francja oferowała przyjezdnym, chciałam tylko posłuchać jej koncertu w paryskiej Olimpii. Mówiłam nawet o tym z Polą, która do Francji jeździła, ale nie było wówczas sposobu, a tym bardziej pieniędzy, żebym się z nią wybrała w taką podróż. Dziś na wszystko mnie stać, tylko już niczego nie pragnę, ani posłuchać, ani zobaczyć.

Do specjalnie muzykalnych osób się nigdy nie zaliczałam, mój gust był prosty i przaśny, nad czym zawsze ubolewał Waldemar, kochający muzykę poważną. Towarzyszyłam mu na koncertach na zamku w Łańcucie kilka lat z rzędu, na festiwalu, na który ściągaly elity Podkarpacia i innych regionów kraju. W najlepszych czasach fundowałam sobie wizytę u fryzjera przed wyjściem, Waldemar dodawał mi parę groszy do domowego budżetu, abym sobie kupiła coś nowego na tę okazję.

Kiedyś za połowę miesięcznej pensji nabyłam szykowne zimowe kozaki, czego pożałowałam, jak tylko pudło przyniosłam do domu. Z lekkim opóźnieniem dotarło do mnie, ile pieniędzy wydałam jednorazowo. Nie było to najwygodniejsze obuwie, ale z pewnością najdroższe, jakie posiadałam w szafie. W latach siedemdziesiątych w Polsce nie zwracało

się zakupionego towaru. W rzeczy samej, nadal są z tym wielkie problemy. Waldemarowi kozaki bardzo się podobały, powąchał miękką skórę, poprosił nieśmiało, żebym je założyła i przeszła się po pokoju. Z rumieńcem na twarzy wspominam ten dzień, gdyż był to rzadki przypadek, kiedy mój mąż zainicjował zbliżenie. Stał na wysokości zadania, także o moje skromne potrzeby zadbał. Nie byliśmy już pierwszej młodości, jednak cielesne potrzeby wciąż jeszcze się we mnie tliły, częściej niezaspokajane niż zaspokajane. Rozminęliśmy się z Waldemarem, jeśli chodzi o sferę intymną. Ja, dojrzała i pełna pragnień, gotowa byłam na wielką przygodę małżeńską również w sypialni, natomiast mój mąż, tak pociągający z wyglądu oraz niezwykle uwodzicielski w obyciu, nie garnał się do seksu. Na początku winiłam siebie, swoją nadwagę, nerwowość w ruchach, gwałtowność w domaganiu się zainteresowania, potem jednak zaczęłam podejrzewać Waldemara o niewierność. Tłumaczyłam sobie, że skoro do mnie tulić się nie chce, pewnikiem uczucia przelał na inną kobietę, co ma najcenniejszego, zostawia u niej. Kiedy miałam trzydzieści lat, wybuchały we mnie prawdziwe pożary, zaskakiwałam sama siebie, moje ciało skomlało coraz głośniejsze i głośniejsze, pragnąc pieczy. Waldemar był zmęczony 29 dni w miesiącu, czasami nawet dłużej. Ja zmęczenia nie czułam nigdy, kiedy przychodziło do amorów. Zazwyczaj od rana wiedziałam, że coś się szykuje. Mój mąż wysyłał mi delikatne sygnały, budził nadzieję, że kiedy nadciągnie wieczór, my nie naciągniemy na nosy kołdry, ale pozwolimy naszym ciałom trochę pooddychać przy zgaszonym świetle nocnej lampki, szukając się przy bladym blasku księżyca za oknem. Kiedy już dochodziło do zbliżenia, Waldemar potrafił mnie ucieszyć, choć sam nie zawsze skorzystał z okazji. Miał chęci, romantyczną miłość w oczach, jednak zawodziła go anatomia. Wstydził się wtedy bardzo, udawał przede mną, że nic kompromitującego nie miało miejsca, ale potem szedł do kuchni lub do ogrodu, wypalał ze trzy papierosy pod rząd, nie odzywając się ani słowem. Taka sytuacja trwała latami, nie pogarszała się, ale też nie znalazła szczęśliwego zakończenia.

Raz jeden zdradziłam Waldemara. Tylko Wandzia, moja przyjaciółka, o tym wiedziała i zabrała tę tajemnicę do grobu. Większość ludzi niesie przez życie jakąś tajemnicę. Niektórym ona z czasem bardzo ciąży i muszą ją w końcu rzucić komuś pod nogi, inni znów, przywyknąwszy do jej ciężaru, zapominają, że w ogóle ją niosą. Jeszcze inni, zagrzebują tajemnicę głęboko, głęboko, pozwalają jej zgnić, z czasem rozłożyć się w pamięci. Ja tak właśnie zrobiłam.

Mój brat Stasiek zwykł mawiać: „Jak suka nie da, to pies nie weźmie”. Prawda. We mnie wtedy istny diabeł wstąpił. Nawet gdyby mnie do kaloryfera łańcuchem kto przykuł, tak bym się zerwała i do Olgierda poleciała.

Artur zaczął chorować, najpierw na zapalenie gardła, potem uszu, kiedy poczuł się nieco lepiej, zapadł na ospę wietrzną. Znów musiałam z nim do przychodni zakładowej jechać, trzeci raz w miesiącu brać zwolnienie. Starego lekarza Trembaka, z dnia na dzień zastąpił młody, po studiach na Akademii Medycznej w Lublinie, doktor Olgierd Łęcki. Samo nazwisko mnie uwiodło, ponieważ byłam zakochana w prozie Bolesława Prusa, a *Lalka* należała do moich ulubionych powieści. Już na pierwszej wizycie wypaplałam lekarzowi Łęckiemu, jak uwielbiam czytać, pożeram wręcz książki, w osiedlowej bibliotece przeczytałam całą ofertę. Słuchał uprzejmie, wierząc mi wzrokiem małe dziurki w sukience, zbyt intensywnie jak na okoliczności.

– *A Dzieje grzechu* pani czytała? – zapytał, wypisując receptę.

Ubierałam Artura, starając się nie połamać mu rączek przy zakładaniu swetra przez głowę. Siedział osowiały, niechętny wszystkiemu, trawiony gorączką. Odgarnęłam mu włosy z czoła, założyłam wełnianą czapkę na uszy. Wyglądał w niej jak miś.

– Nie czytałam. Nie ma tego w mojej bibliotece. Mało osób wie, że napisał to Żeromski – odparłam rezolutnie. Wydał z siebie dźwięk podobny do gwizdnięcia.

– Tak się składa, że mam tutaj egzemplarz, mogę pani pożyczyć, ja nie mam czasu czytać. Jestem w trakcie przeprowadzki z Nowej Dęby, na razie codziennie dojeżdżam do przychodni. Podobno dostanę mieszkanie

w przyszłym tygodniu, to może wówczas zwolnię tempo, bo na razie gonitwa od rana do wieczora. Proszę dziecko wykąpać w letniej wodzie z dodatkiem sody oczyszczonej, to mu ulży. Proszę pilnować, żeby się nie drapał, bo ślady zostaną. Tutaj pani zapisałem maść. Niech go pani nie przegrzewa, bo będzie jeszcze bardziej swędzieć.

Podał mi receptę. Usiadłam na krawędzi krzesła, bokiem do doktora Olgierda. Nie spieszyło się nam, Artur przestał marudzić, zajął się lizaniem oranżady w proszku, więc opowiedziałam doktorowi o tym, jak kiedyś mieszkałam w Warszawie, żyłam wielkim miastem, a teraz w Rzeszowie odnajduję na nowo sens życia. Oboje wychwalaliśmy przez chwilę nasze miasto, choć prawdziwy rozkwit stolicy Podkarpacia miał nastąpić dopiero wiele lat później.

– Nie wahałem się tu przyjechać, trochę się za doktora Judyma uważam – powiedział zapatrzony w okno. – Okazuje się, że można wiele satysfakcji czerpać z tej pracy, nawet się nie spodziewałem na studiach, jak wiele.

– Jest coś szlachetnego w zawodzie lekarza – westchnęłam, rozklejając się nieco. – Po prostu obdarza się was, ludzi medycyny, wielkim zaufaniem... szacunkiem...

– Nawet lekarzy przychodni zakładowej? – zapytał, uśmiechając się już nie w kierunku okna, ale w moje oczy.

– Przede wszystkim – odparłam, powstrzymując się przed odwzajemnieniem uśmiechu. Ćwierkałam jeszcze o błahostkach, on wyraźnie rozmowę podtrzymywał, zachęcając mnie do dalszych wynurzeń.

Na korytarzu czekało jeszcze kilka pań w kolejce, najodważniejsza z nich dwukrotnie do gabinetu pukała i wsadzała wścibską, zniecierpliwioną głowę. Ignorowaliśmy ją solidarnie.

– Może i ja się tutaj zaaklimatyzuję, skoro pani się udało? Nie zakochałem się w Lublinie, ale w Rzeszowie czuję się znacznie lepiej, chodzę sobie na Olszynki, na rzekę popatrzę, w dwie godziny do Polańczyka można dojechać, w trzy do Krakowa, na rynku posiedzieć, odpowiada mi to – powiedział, sięgając do szuflady biurka po książkę. – Proszę przyjść do kontroli w przyszłym tygodniu. Daję pani zwolnienie na

siedem dni. Z oddaniem książki nie musi się pani śpieszyć, proszę spokojnie delektować się lekturą.

Kiedy spotkały się nasze palce nad biurkiem, ledwie się musnęły. Przechwyciłam książkę, szybko schowałam ją do torebki. Poczulałam się wyróżniona, rozpierała mnie duma, wszak miły doktor to właśnie mnie pożycza książkę, nie innej pacjentce z kolejki.

Po powrocie do domu, wykąpałam marudzącego Artura w sodzie oczyszczonej, nasmarowałam maścią, napiłam ciepłym mlekiem z miodem, położyłam do łóżka. Nie było wtedy całodobowych kanałów z bajkami i filmami dla dzieci, które skutecznie zabawiałyby je przez kilka godzin. Postawiłam Arturowi obok łóżka pudełko pełne zabawek oraz książek, obiecałam pączka z różanym nadzieniem, jak nie będzie mnie wołał co pięć minut. Wymęczony podróżą autobusem do przychodni, bezsennością, gorączką, zasnął niemal od razu, mimo że było dopiero południe. Wstawiłam na gaz garnek z zupą jarzynową, wybrałam kilka największych ziemniaków do starcia na placki ziemniaczane, wyłączyłam radio, cały czas rzucając tęskne spojrzenia w kierunku książki doktora Łęckiego. Musiałam podgonić prace domowe, nie mogłam rzucić wszystkiego i oddać się lekturze. Przewidywałam, że Waldemar będzie znowu narzekał, ponieważ zasmrodziłam całą kuchnię przy smażeniu, jednak ja miałam szaloną ochotę na takie placki, polane kwaśną śmietaną. Nie przypominam sobie, żeby w codziennym słowniku kobiet w tamtych czasach w ogóle pojawiała się słowo „dieta”. Mnie w każdym razie odchudzanie nie dotyczyło. Jadłam, na co miałam ochotę, nie ważyłam się co rano, nie posiadałam na szczęście wagi łazienkowej. Teraz mam, Zuzanna mi sprezentowała na imieniny jakieś dwadzieścia lat temu. Biały chleb i ziemniaki spożywałam codziennie, a dziś kobiety boją się tych produktów jak diabeł wody święconej. Miałam trzydzieści trzy lata i ważyłam 67 kilogramów, mimo to uchodziłam za szczupłą, nawet za bardzo zgrabną i tak też się czułam.

Olgierd Łęcki nie był nawet przystojny. Dość niski, czuprynę miał rzadką, modnie przyciętą, ładne, ale zbyt szare oczy, wydatny nos i usta jak pontony. Jego twarz nosiła ślady po ospie, pewnie dlatego tak mnie

napominał, żebym pilnowała, aby Artur strupów nie drapał. Jednak miał w sobie coś czarownego, pociągającego niczym zagubiony chłopiec w wielkim mieście. Chciało się nim zaopiekować raczej, niż szukać w nim opieki czy wsparcia. Byłam pewnie od niego nieco starsza, mógł mieć ze trzydzieści lat, kiedy najął się do naszej przychodni.

Zanim sięgnęłam po książkę, wytarłam starannie dłonie w fartuch, aby jej broń Bóg nie poplamić. Kilka stron pozostało nie rozciętych przez drukarnię, co stanowiło jasny dowód, że nikt przede mną książki nie czytał. Otworzyłam na pierwszej stronie i natknęłam się na dedykację, pisaną niewątpliwie kobiecą ręką. Literki stały w równym rzędzie, tworząc zdania dedykowane doktorowi Olgierdowi Łęckiemu.

*Twoja nieobecność jest jak tłumy ludzi –
Wszędzie jej pełno. W ogrodzie i mieście.
Wciąż mnie otacza. A gdy zasnę wreszcie,
Tysiącem oczu patrzących mnie budzi... **

* Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, *Nieobecność*.

Nie rozpoznałam w tej dedykacji pióra polskiej poetki, autorki skandali i żony trzech mężów, Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Nie zaliczałam się do grona jej wielbicielek jak choćby moja ciotka Pola, która nawet do niej listy pisała swego czasu, jako młodziutka panna. Nie znałam na pamięć ani jednego wiersza, treść tego przepisałam sobie do notesu.

Wtedy poczułam się dziwnie, wkraczając w przeszłe sprawki doktora, jakbym cudzy list czytała po kryjomu. W podpisie widniała literka A oraz data sprzed miesiąca. Zaciekawiło mnie tych kilka zdań znacznie bardziej niż sama książka, jednak przeczytałam ją w dwa dni, czuwając przy drapiącym ranki, narzekającym Arturze. Na noc musiałam zakładać mu rękawiczki, wstążeczkami wiązać do nadgarstków, żeby się nie drapał.

Tydzień minął dość szybko, wstawałam rano, myśląc o Olgierdzie, rozedrgana kładłam się do łóżka z myślami jeszcze śmielszymi, aż w

końcu, kiedy nadszedł poniedziałek, pobiegłam do przychodni jak na bal, ciągnąc za sobą na wpół wyleczonego syna. Starannie uczesana, z klip-sami w uszach, wystrojona w dopasowany kostium koloru beżowego z czarnymi lamówkami, najdroższe na świecie kozaki gniotły mi kostki u nóg. Uszminkowana na karmazyn ustawiłam się w kolejce do lekarza. Miałam siódmy numerek, więc spodziewałam się chwilę poczekać. Umyślnie nie przyniosłam książki do zwrotu, zostawiłam ją sobie jako pretekst do kolejnej wizyty. Wierciłam się na krześle gorzej niż Artur, przed nami kolejka pań topniała bardzo wolno. Nie chciało mi się z nimi rozmawiać, zagadnięta, mruzczałam coś niewyraźnie, zasłaniając usta, żeby się domyśliły, iż nie chcę ich zarazić. Musiałam sobie w głowie przygotować plan błyskotliwej wymiany zdań z doktorem, nie rozpraszać się w głupiotkiej rozmowie o sposobach przyrządzania sznyceli. Nie obchodziło mnie, co sobie te panie o mnie pomyślą.

Olgierd Łęcki nie musiał bardzo starać się o moje względy. Coś tam do mnie powiedział dowcipnego, ciśnienie mi zmierzył, Artura obejrzał fachowym okiem, łokciem niechcący zahaczył o moją pierś przy badaniu i już mi zaporą zaczęła przepuszczać miód na serce. Działo się ze mną to samo, co pamiętnej nocy, pijąc wódkę z Andrzejem, drugim mężem Poli, z tą różnicą jednak, że byłam starsza, odważniej sza, zdecydowana sięgnąć po zakazany owoc. Wiele lat nie czułam takiego dreszczu podniety, teraz ciskało mną pragnienie popełnienia szaleństwa, które szybko mogło stać się grzechem. Chciałam się przytulić do białego fartucha doktora Łęckiego, objąć go ramieniem za szyję, tylko o tym myślałam, kiedy zapisałam samą siebie na wizytę do niego, jakieś dwa tygodnie później. Zdrowa jak rydz, ponownie ustawiłam się w kolejce pomiędzy kaszlącymi i stękającymi kobietami z dziećmi na kolanach. Do doktora nie czekał ani jeden mężczyzna. Na tę wizytę ubrałam się w sukienkę ładnego, słonecznego koloru i krótki sweter, który był raczej bolerkiem. Pamiętam, że w tym dniu przygrzało mocno kwietniowe słońce, można było wyjść na pole bez płaszcza i czapki. Nie ułożyłam włosów przed lustrem, rozpuściłam je wolno, zburzyłam grzebieniem, lekko tylko spryskałam lakierem. Za uszami oraz na nadgarstkach skropiłam się perfumami, a całości dopełniły

wielkie słoneczne okulary, bardzo modne, które udało mi się kupić poprzedniego lata w NRD. Do torebki wrzuciłam *Dzieje grzechu*. Balzac pięknie opisywał takie dojrzałe kobiety w moim wieku.

– No co tam dobrego u pani? – powitał mnie jak dobrą znajomą od progu. Poprosił, żebym usiadła na krześle. Gdybym miała ogon, tobym nim zamerdała z uciechy. Wszystko wskazywało na to, że traktuje mnie wyjątkowo, coś się między nami niechybnie zaczynało.

Olgierd Łęcki pod fartuchem ubrany był w szarą koszulę we wzorki, spodnie sztruksowe, pewna byłam, że z Peweksu, pachniał mieszaniną wody kolońskiej i lekarstw, idealna kombinacja dla mojego wrażliwego nosa.

– Książki nie zdążyłam jeszcze przeczytać... pan doktor wie, jak brak czasu dokucza, a czytać mogę tylko po nocach... – opowiadałam rozkład dnia, płacząc się. – Bo właściwie ze spaniem mam pewien kłopot... zazwyczaj, czy pan doktor może...

– Pewnie mąż nie pozwala się pani wyspać... – Olgierd Łęcki zachował całkowitą powagę, mówiąc te słowa. Oceniał, czy chcę go wywieść na manowce, czy może mu się tylko zdaje, że ta męzatka z obfitym biustem go uwodzi? Wytrzymałam wnikliwe spojrzenie, nie odwróciłam wzroku, bezczelność rozpierała mnie od wewnątrz. Najśmieszniejsze było to, że taką kobietą, na jaką się kreowałam, wcale nie byłam. Nie interesowali mnie mężczyźni, nie flirtowałam w pracy, nie nosiłam obcisłych spódniczek przed kolano, wydekoltowanych bluzek, nie polowałam na męskie spojrzenia i nie wysyłałam żadnych sygnałów do płci przeciwniej. Może Waldemar nie zaspokajał moich potrzeb w sypialni, ale nauczyłam się z tym żyć, zupełnie z innych powodów przymilałam się do doktora Łęckiego. Miałam wrażenie, jakby on na mnie czar rzucił, nie umiałam się powstrzymać, choć trudno by mi było określić, czego tak naprawdę od niego oczekiwałam. Szukałam bliskości, najmniej chyba cielesnej. Dziwne rzeczy się wtedy ze mną działy, jakbym była bohaterką jakiegoś romansu napisanego przez Francuza.

Rozmawialiśmy chwilę o moim zdrowiu, omijając temat niewyspania, to znów o książkach, a gdy zapinałam bolerko na piersiach i podnosiłam się z krzesła, gotowa do wyjścia, Olgierd zapytał niespodziewanie:

– Może by pani z jakąś koleżanką do mnie na imieniny przysłała najbliższy czwartek? Serdecznie zapraszam. Zapiszę pani adres, dostałam w końcu mieszkanie służbowe.

Kwadratowym pismem na odwrocie bloczku recepty zanotował nazwę ulicy Szopena, numer bloku oraz mieszkania. Podał mi kartkę, wcale niezmięszany czy zawstydzony taką beczelną propozycją spotkania poza przychodnią. Wzięłam od niego ten adres, wsunęłam do kieszeni szybkim ruchem, ku własnemu zaskoczeniu zapewniłam, że przyjdę z koleżanką. Ledwie wyszłam z gabinetu, zaczęłam sobie wyrzucać, że nie powiedziałam mu przynajmniej, że się zastanowię, jeszcze się zobaczy, tylko tak od razu wypaliłam, przyjdę! Musiałam mu się wydać łatwą kobietą, jednak tym sobie głowy mnie zaprzętałam. Prosto z przychodni pognałam do Wandy do pracy. Była wtedy sprzedawczynią w sklepie odzieżowym na Grunwaldzkiej, jakiś czas potem awansowała na ekspedientkę Peweksu przy ulicy Lwowskiej, bodajże w 1981 roku pracowała przelotnie jako ekspedientka w nowo otwartej Modzie Polskiej na Asnyka. Na ubiorach zatem znała się jak żadna inna kobieta, zawsze posłusznie stosowała się do jej zaleceń odnośnie do mody i dobrze na tym wychodziłam. Wanda była stanu wolnego, miała dwadzieścia trzy lata, własne dwupokojowe mieszkanie na Obrońców Stalingradu, które po śmierci mamy zajmowała sama, oraz konkretne plany. Nieustająco poszukiwała stosownego kandydata na męża. Szukała bardzo intensywnie, powiedziałabym nawet, że prowadziła rozwiązłe życie jak na tamte czasy, choć nasza przyjaźń nigdy na tym nie ucierpiała. Przez jej buduar przetaczały się zastępy mężczyzn, w różnym wieku, różnym wyglądzie, nie wszyscy byli stanu wolnego, ale wszyscy jednakowo chętni, aby się do Wandy zbliżyć. Nie była klasyczną pięknoscią. Tyłek miała niekształtny, grube uda i maleńkie piersi, które sama nazywała wypryskami, twarz ciekawą, wydatne usta, szalowe blond loki naturalnego koloru.

Była wysoka, niczym gimnastyczka sprężysta, cerę miała jak alabaster. Nie wiem, dlaczego ostatecznie nie wyszła za męża. Kręciło się koło niej wielu panów, każdy z nich prędzej czy później ją porzucił. Tak, Wandzia należała do kobiet porzuczanych, sama nigdy z mężczyzny nie zrezygnowała. W nowo zawartą znajomość wkładała całe serce, wyjmowała natomiast rozum, finał zazwyczaj był ten sam: lzy do poduszki. Jako partnerka dochowywała wierności, nie spóźniała się na spotkania, szczerze dysponowała swoim ciałem, nie utyskiwała, jednym słowem kobieta idealna. A oni jak już dostali, co trzeba, uciekali. Jeden po drugim. Rok przed moim uwikłaniem się w romans z lekarzem, Wandzia wdała się w romans z żonatym mężczyzną. Nie pierwszy raz. Jednak żona jej kochała, jak się tylko dowiedziała o istnieniu rywalki, chwyciła za broń. Gdzieś Wandzię wysledziła, maszerującą po niedzielnej mszy w kościele wojskowym, wyskoczyła zza rogu i pasem z metalową sprzączką smagnęła ją po twarzy. Czerwone pręgi na policzku Wandzia miała jeszcze z tydzień czasu po zdarzeniu, naśmiewając się z samej siebie, że jest niczym Czarna Madonna! Musiałam ostatecznie udzielić jej schronienia na kilka dni, gdyż rozwścieczona, nadal nieusatysfakcjonowana żona szukała jej po mieście, obiecując zakatrupienie na śmierć.

– Wychowała się na Baldachówce, może cię i nożem dźgnąć! – przestrzegałam ją. Wandzia przejęła się, na dłuższy czas dała sobie spokój z amatorami, okrągły miesiąc trwała jej abstynencja. Kiedy zamieszkała u nas, przeczekując furię zdradzonej żony, Waldemarowi powiedziałyśmy, że ma malowanie w mieszkaniu i musi u nas pomieszkać do zakończenia remontu. Nie chciałyśmy podawać konkretnej daty wyprowadzki, gdyż nie wiedziałyśmy, kiedy oszukanej kobiecie złość przejdzie. Na szczęście nie doszło do konfrontacji, lecz Wanda wyciągnęła wnioski, uroczyście poprzysięgła nigdy więcej zajętymi mężczyznami się nie interesować. Słowa nie dotrzymała. Kogo zatem miałam zabrać na imieniny do doktora Olgierda Łęckiego, jak nie Wandzię?

Waldemar wyjechał na delegację do Przeworska w czwartek rano, miałam wolną rękę, tylko Artura musiałam gdzieś ulokować, żeby się

nie krępować godziną. Ostatecznie ciotka Wandzi przysłała nam z pomocą. Opowiedziałyśmy kobiecie przedziwną historię o potrzebie nagłego wyjazdu, celem dowiezienia mojemu mężowi ważnych dokumentów, których zapomniał zabrać na cykl zebrań służbowych. Małe istniało prawdopodobieństwo, że Waldemar kiedykolwiek spotka ciotkę Wandzi i sprawa się wyda. Nic przyjaciółce nie mówiłam o swoich zamiarach względem doktora Łęckiego, gdyż sama ich pewna nie byłam. Oględnie przedstawiłam sprawę, zapraszając ją na te imieniny jako osobę wolną, chętną do zabawy, a co najważniejsze, dyskretną. Zgodziła się bez namysłu, obiecała mnie umalować na to wyjście oraz dobrać ponętny strój. Taka właśnie była Wandzia, nie pytała za wiele, nie wierciła dziury w brzuchu, nie rozdawała przestróg, nie straszyla konsekwencjami, pozwałała się ponieść chwili. Lekko traktowała sprawy damsko-męskie, droczyła się z poważnym życiem, nie chciała iść równym krokiem w tym samym kierunku jak wszystkie inne kobiety.

Kiedy stanęłyśmy przed drzwiami bez wizytówki, szturchnęła mnie nagle w bok rączką od parasola, który zawsze ze sobą nosiła. Był to element jej stroju, parasolka piękna, lśniąca, z fikuśną rączką niby z kości słoniowej.

– Imieniny Olgierda są w lutym i listopadzie, na pewno nie w maju. Sprawdziłam – powiedziała. Szybko nacisnęłam dzwonek.

Nie zdążyłyśmy nic więcej do siebie powiedzieć. Drzwi się otworzyły i weszłyśmy do ciemnego przedpokoju. Olgierd bez ceregieli wprowadził nas do dużego pokoju, gdzie przy niskiej ławie siedział dość młody mężczyzna, pochłonięty konsumowaniem słonych paluszków. Nie było imienin, nie było gości, tylko my dwie naiwne, doktor oraz jego kolega, który przedstawił się jako marynarz.

– No, drogie panie... Proszę się rozgościć – zachęcił nas, po czym odsunął od siebie szklankę z paluszkami, palce wycierając w spodnie.

Rozsiadłyśmy się na wersalkach ustawionych po obu stronach ławy, Olgierd przyniósł nam czyste szklanki, filiżanki z kawą postawił na środku blatu. Zapytał, czy nie wolałybyśmy koniaku zamiast wódeczki

wyborowej? Nie wspomniał o poczęstunku, mnie się tymczasem żołądek do kręgosłupa kleił. Nic nie jadłam przed wyjściem, w końcu szłam na imieniny. Denerwowałam się, nie przełknęłabym ani kęsa, tak czy owak.

– Koniaczek? Bardzo chętnie, my z Tosią mamy delikatne podniebienia. – Wandzia przejęła inicjatywę, przez następne kilka minut bawiąc panów dowcipną rozmową, ochoczo przechylając lampkę z koniakiem. Marynarz szybko uzupełnił złocisty płyn, wypiliśmy zdrowie pięknych pań. Ja nie mogłam zebrać myśli, żeby powiedzieć coś równie błyskotliwego, jak moja koleżanka. Zostawałam w tyle, obydwaj panowie, „solenizant” i jego kolega, wyraźnie ulegali czarowi Wandzi. Ślizgali się po mnie wzrokiem, na nią gapili się jak sroka w gnat, moje nogi leżały niczym dwie kłody, jej nogi, mimo że grubsze, zdecydowanie mniej zgrabne, zmieniały pozycję, szurały po dywanie, przykuwały uwagę panów. Wandzia kręciła na palcu loki, pozwalała się nazywać Wandą, a nie panią Wandą, zanim mi taka śmiała propozycja zaświtała w głowie. We wszystkim była lepsza, młodsza, szybsza, choć przecież nie mieszkała jak ja w Warszawie, nie miała takich wielkomięjskich doświadczeń, od dziecka mieszkała w Rzeszowie i poza miasto nie jeździła. Ja uchodziłam za obytą w towarzystwie, znałam Warszawę, bywałam w Bielsku-Białej i Poznaniu, Waldemar zabrał mnie do NRD oraz raz do Czechosłowacji.

Naiwnością byłoby oczekiwać, że ktoś się mną zafascynuje, skoro sama sobie wydawałam się mało interesująca! Byłam przeciwieństwem łatwej oraz zabawnej przyjaciółki.

Obserwowałam ukradkiem Olgierda, podziwiałam jego profil, przy mierzałam się do zrobienia czegoś, co zwróciłoby jego uwagę. Ubrany był w białą koszulkę polo oraz spodnie z jakiegoś lekko świecącego materiału, bardzo wąskie, idealnie dopasowane. Był boso, co mnie doszczętnie oszołomiło, bo wówczas męskie stopy nie były wystawiane na światło dzienne. Nigdy nie widziałam Waldemara boso poza łazienką, nie rozpoznałabym jego palców u nóg, gdyby mi je pokazano razem z innymi. W ogóle słabo znałam jego anatomię, nie byliśmy szczególnie

ciekawi swoich ciał. Bose stopy Olgierda wywołały u mnie falę gorąca, nie mogłam od nich wzroku oderwać.

Na podłodze pokoju, gdzie biesiadowaliśmy, leżały dwa futrzaki, w miarę picia koniaku zaczynałam odczuwać przemożną ochotę położenia się na nich, choć wiedziałam, że tego nie zrobię, nie byłam Wandzią! Ubrałam się na ten wieczór w sukienkę z lamówką w twarżowym granatowym kolorze, dosyć kusą. Pantofle na wysokim obcasie zdjęłam zaraz przy wejściu, ustawiłam równo na wycieraczkę. Na pończosze poleciało mi oczko, zakleiłam je bezbarwnym lakierem do paznokci, a teraz ta dziura pchała się na pierwszy plan, jak tylko sukienka przesunęła mi się lekko w górę. Zaczęło mnie to krępować, więc poszłam do łazienki, ściągnęłam pończochy, upchałam je to małej torebki, wróciłam do gości nieco już rozluźniona. Olgierd zauważył moje gołe nogi.

– Brawo! Nie znoszę nylonu! Na ortalion mam również uczulenie. – Skierował swój wzrok w moje okolice, ale nie trwało to długo.

Wandzia czuła się tutaj jak ryba w wodzie, ja niczym widz w teatrze. Uważałam tylko, aby nikt się nie zorientował, jak mnie ta sytuacja przerosła. Szybko wypijałam dwie porcje koniaku, czekałam cierpliwie na nadejście fazy rozluźnienia. Olgierd nastawił płytę zespołu The Platters, żadne z nas jednak nie poderwało się do tańca. Byłam głodna, istniało realne prawdopodobieństwo, że się wywrócę w tańcu, osunę na partnera i ośmieszę. Ostatniego paluszka ze szklanki zabrał marynarz, nawet nie spytawszy, czy która z nas ma na niego ochotę? Wypaliłam jeszcze jednego papierosa, którym mnie poczęstowano, i popijałam zimną kawą. Zrobiło mi się niedobrze na żołądku. Obserwując, jak wszyscy dobrze się bawią, uznałam, że moje samopoczucie niewarte jest niczyjej uwagi. Rozmowa zeszała na swobodne tematy, frywolne nawet, zaczęłam się powoli wtrącać, rozochocona alkoholem.

– Pijmy, pijmy, bo się ściemnia. – Marynarz poganiał kolejkę.

– Chcecie nas upić, czy co? – Wandzia pogroziła mu palcem. – Nie mamy mocnych głów panowie, trzeba wam się z tym liczyć.

– Może nie mocne, ale za to jakie piękne...

W pewnym momencie Olgierd przyciągnął Wandzię, po chwili siedzieli obok siebie bardzo blisko, on oparty o wersalkę, ona o niego. Patrzałam na tę nowo narodzoną zażyłość i jasna cholera mnie brała. Nie mogłam mieć pretensji do koleżanki, nic jej przed przyjściem tutaj nie mówiłam, jak bardzo mi się doktor podoba, ale też głupia byłam, że nie przewidziałam takiego obrotu sprawy! Tymczasem marynarz przysuwał się do mnie pod pretekstem podlania mi koniaku. Może nie był najbrzydszy, mnie się jednak zupełnie nie podobał, jego przasne wygłupy nie przypadły mi do gustu. Zaczął się przechwalać, podniecony opowiadał o swoich rejsach do dalekich krajów, szafując takimi nazwami miejsc, jak Montevideo, fiordy norweskie, Montreal... Nie imponował mi, nie słuchałam go prawie, skoncentrowana na treści rozmowy tamtej dwójki. Kiedy Olgierd zaczął bawić się włosami Wandzi, zespół The Platters śpiewał rzewną piosenkę *Only you*, nie wytrzymałam. Zerwałam się z miejsca, poprosiłam, żeby wyszła ze mną na chwilę na balkon. Nie protestowała, choć była nieco zdziwiona, że wyciągam ją w środku przytulanki z doktorem na pogawędkę balkonową. Zostawiłyśmy naszych amantów samych. Świeże powietrze buchnęło mi w twarz, podejmując ostatnią próbę otrzeźwienia mnie, choć nawet skok do lodowatej wody nie przywołałby mnie do porządku. Psy szczekały, a karawana posuwała się dalej. Wandzia była przekonana, że zrobiło mi się niedobrze, bo zazwyczaj stroniłam od alkoholu, nie paliłam papierosów, a tego wieczoru zabrałam się ochoczo do jednego i drugiego.

– Lepiej ci? Oddychaj głęboko – powiedziała, przecierając mi czoło chusteczką. – Nie pij już więcej, bo ci zaszkodzi. Podoba mi się ten doktor, musisz ci podziękować, żeś nas tu umówiła. Bardzo sprytnie... – Stuknęła w moje czoło zgiętym palcem.

– Wanda – zaczęłam nieśmiało. – Ja chciałam ci coś powiedzieć...

– Mam nadzieję, że jest wolny? Zaraz rozejrzę się po mieszkaniu, czy jakieś pończochy nie suszą się w łazience albo, co gorsza, dziecięce zabaweczki nie leżą pod łóżkiem. Wiesz, jacy faceci mogą być? Może

żonę na wczasy wysłał? Mój Boże, jaka ty blada jesteś!

Może ci się zbiera na wymioty?

– Nie, nie czuję się źle – odparłam.

– To co ci jest? Mieszkanie przyjemne, co? Takie gustowne, widziałas te futra i lampkę z ławą? Porządziłabym się tutaj, że ho, ho.

Wanda dopalała papierosa, zerkając przez moje ramię, co porabiają kawalerowie do wzięcia. Chciała prędko wracać do towarzystwa, usadowić się wygodnie w tej samej pozycji, wtulając głowę w szyję Olgierda, snując plany ożenku. Może w myślach już stała przy kuchence, smażyła mu kotlety schabowe albo zawijała kanapki w papier na dyżur w szpitalu? Przepędziłam tę wizję.

– Poczekaj, muszę ci coś wyznać. – Zatrzymałam ją w pół kroku. Przez zamknięte drzwi słychać było muzykę. Ktoś zmienił płytę i swoim cudnym głosem śpiewał Frank Sinatra. Olgierd miał kolekcję płyt niczym prenter radiowy, wszystkie poustawiane równo w alfabetycznym porządku na całej ścianie nad wersalką. Te szafki ktoś mu musiał specjalnie zrobić na wymiar, było ich dziesiątki, jak nie setki.

– Tośka, co się dzieje? Martwisz mnie!

– Ja cię nigdy o nic Wandzia nie prosiłam i o nic cię już nigdy nie poproszę... – zaczęłam – ...ale teraz cię błagam. Nie zabieraj mi Olgierda. Ja... ja... się w nim zakochałam.

Zamigały nam w oczy światła karetki wyjeżdżającej ze szpitalnej bramy.

– Co takiego?! – Wandzia szybkim ruchem domknęła drzwi balkonowe, żeby ani słowo z naszej rozmowy nie wpadło do środka. – Ty się w Olgierdzie zakochałaś? Ty?! – pytała przez zęby – Przecież to niemożliwe. Ja myślałam, ja byłam pewna, że cała ta heca jest po to, żeby mnie z nim poznać. To ty mnie wzięłaś w charakterze przyzwoitki? Nie dowierzam własnym uszom.

– Nie, przyzwoitki nie. Nie mogłam tu przyjść sama, to byłoby zbyt jednoznaczne... ale bardzo chciałam się z nim spotkać. Od dwóch miesięcy tylko o tym marzę, musiałam... – Mój głos stawał się płacziwy.

– To dlaczego mi nie powiedziałaś? Nie robiłabym z siebie idiotki przez dwie godziny! Boże, Tośka! Trzeba mnie było uprzedzić!

– Ciszej! – Położyłam jej rękę na klatce piersiowej. – Proszę, ciszej.

– Ale, co ty Tośka zamierzasz? Na kochanka go chcesz? Męża dla niego rzucisz? – Wanda jak zwykle nie traciła czasu na owijanie w bawełnę. – Jestem twoją przyjaciółką i nic wbrew tobie nie zrobię. Zaskoczyłaś mnie. Czy to jest miłość prawdziwa?

– Nie pytaj, bo nie wiem. To jest silniejsze ode mnie. Pożarło mnie to uczucie, już za późno – powiedziałam.

– Mówisz to takim grobowym głosem, że nie wiem, czy chwalisz się, czy żalisz?

Nie zdążyłam odpowiedzieć na to pytanie, na balkon wtargnął marynarz, poprosił mnie do tańca. Wandzia zareagowała szybko.

– Ze mną proszę zatańczyć, ja świetnie prowadzę. I w tańcu, i w życiu. – Wepchnęła go delikatnie do środka, objęła ciasno ramionami, nie miał szans się wywinąć. Ja również weszłam do pokoju.

– A wy młodzi, zajmijcie się sobą – powiedziała w naszym kierunku, kiedy siadałam obok Olgierda na jej miejscu, które wydało mi się jeszcze ciepłe. Dała mi Wandzia dowód przyjaźni, przyjaźń nasza przetrwała kolejne czterdzieści lat. Wtedy, kiedy tańczyliśmy na „imieninach” doktora Olgierda, znałyśmy się zaledwie dwa lata, byliśmy na samym początku drogi, przedwcześnie musiałyśmy poddać się testowi na lojalność.

Taniec marynarza z Wandzią skończył się wraz z umilknięciem płyty. Mrugnęła do mnie, szybko pociągając partnera ze sobą do kuchni, zapowiadając prześwietlenie lodówki oraz szafek w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Olgierd nawet się nie zastanowił nad tą niespodziewaną zamianą ról, nie odprowadził Wandzi wzrokiem, całą uwagę przelał na mnie. Nastawił płytę, tym razem Patsy Cline, cudowna piosenka *Crazy* popłynęła z głośnika, otulając nas ciepłem jak szalem. Zaimponowałam mu przez chwilę, nucąc wraz piosenkarką: *Crazy, I'm crazy for feeling so lonely... I'm crazy for feeling so blue*. Szybko się miało okazać, że Pasty

Cline śpiewała również o mnie. Olgierd opowiedział zachęcany, jaką fortunę wydaje na płyty, potakiwałam z uznaniem, gniotąc mu ramię. Miał znajomych w USA, którzy go regularnie zaopatrywali w nowości fonograficzne, dzięki nim słuchał przebojów w tym samym czasie, co Amerykanie! Nie mógł jednak długo rozmawiać ze mną o muzyce, bo ja się kompletnie nie znałam na artystach, on z kolei nie był wielbicielem książek, utkwiliśmy w martwym punkcie. Inaczej rozmawiało nam się w przychodni, tutaj przytulność mieszkania, bliskość ciał, ciągnęła nas z dala od intelektualnej dysputy na jakikolwiek temat.

Nagle Olgierd położył sobie moją dłoń na swojej.

– Jakie piękne ma pani dłonie. Moje pacjentki mają bardzo zniszczone ręce, jakby pracowały fizycznie. Może pracują? A pani dłonie od razu zauważyłem, już przy pierwszym spotkaniu – powiedział.

Nabrałam powietrza w płucach, żeby poczynić jakieś wyznanie, czym bym się pewnie do końca skompromitowała, ale zadzwonił telefon. Olgierd przeprosiwszy mnie elegancko, poszedł odebrać. Kątem oka dostrzegłam, jak niesie czarny aparat z długim kablem z przedpokoju do pokoju obok. Odczekałam kilka sekund, na palcach podreptałam za nim, aby poniżyć się ostatecznie, podsłuchiowaniem cudzej rozmowy. Chciałam wiedzieć, czy dzwoniła dziewczyna od wiersza-dedykacji, czy może zatroskana mama z Nowej Dęby? Wanda widziała mnie przemykającą po przedpokoju, kiwnęła głową, szybko zagadała marynarza, który zajęty był smarowaniem chleba masłem. Tanecznym krokiem podeszła do drzwi i je przymknęła, gwarantując więcej swobody moim poczynaniom.

Olgierd nie zapalił światła w pokoju. Stałam oparta o ścianę, uważając, aby przez oszklone drzwi nie zobaczył mojej sylwetki. Nie zamknął dobrze drzwi, przeszkadzał mu kabel telefoniczny wijący się po podłodze. Słuchałam z bijącym sercem. Rozmawiał z kobietą, delikatnie perswadując jej, aby nie wsiadała o tej porze w taksówkę i nie fatygowała się do jego mieszkania. Kobieta nalegała, on nie tracił cierpliwości, zasłaniał się zmęczeniem, porannym dyżurem na pogotowiu, a ta bezczelnie upierała się nadal. Po jakiś pięciu minutach słodkiego gruchania,

udało mu się natrętną kobietę przekonać. Złożył jej wymuszoną obietnicę niedzielnego spotkania u niego. Gdybym miała choć resztkę dumy kobiecej i honoru, to bym stamtąd uciekła, Wandzię ze sobą zabrała, ale mnie diabeł opętał, rozkazał pognać prędko na wersalkę, tam czekać, kiedy Olgierd wróci i mnie do siebie przytuli. O kobiecie, która miała w niedzielę tu przyjść, aby pewnikiem na tej samej wersalce się rozsiaść, wołałam nie myśleć. Ani czy ładna, ani czy młoda, może mężatka, jak ja?

Wandzia z marynarzem rozkładała talerzyki na ławie, szcudrze podlewała wódeczką, gdyż butelka koniaku zaświeciła dnem, nie umiałam wywnioskować, czy jakaś zażyłość wyniknie między nią a kolegą moim Olgierda. Przez moment byliśmy same w pokoju, Wandzia skorzystała z okazji, pociągnęła mnie w kąt pokoju, złapała mocno za nadgarstek, przyciągnęła do siebie.

– Ten wieczór dla ciebie może się jeszcze dobrze zakończyć, jak teraz wyjdziemy. Może uda nam się taksówkę złapać pod dworcem. Idziemy? – Zajrzała w moją twarz. Nie spodobało jej się to, co zobaczyła. Byłam rozkojarzona, zdesperowana, gotowa na wszystko, mogłam nawet agresją odpowiedzieć na wszelkie próby powstrzymania mnie. Jak ćma do ognia leciałam, jak głupia ćma. – Na co ty liczysz, Tosiu? Co ty masz zamiar zrobić? – Niepokój był w jej głosie. – Nie warto, rano się przekonasz, wtedy będzie za późno...

– Wandzia, ja nie jestem podlotkiem, nie trzeba mnie chronić. Zajmij się marynarzem, wolny? – odparowałam groźnie.

Wandzia pojęła w lot. Role naraz się odwróciły, to mnie trzeba było przestrzegać przed zrobieniem głupstwa, Wandzia groziła palcem, jednak finał pozostał ten sam, nie różniłyśmy się wiele w tym względzie.

– Dobrze, uparta kozo, odgryź sobie kawałeczek zakazanego owocu. Fajny jest doktorek, ma to coś... w przeciwieństwie do marynarza. Nie jest to materiał na męża, dopiero się rozwiódł, żadnych planów matrymonialnych względem mojej osoby. Zresztą, mąż marynarz? To nie dla mnie, to mnie trzeba pilnować...

Przestałyśmy szeptać, kiedy do pokoju wszedł Olgierd. Jakież on był młodzieżowy i świeży! Zupełnie inny niż Waldemar, który mając zaledwie trzydzieści sześć lat, zachowywał się jak dystyngowany straszny pan, mnie też w taką przedwczesną starość i powagę za sobą ciągnął. Z Olgierda tryskała młodość, nowoczesność, zmysłowość, wszystko, czego nigdy wcześniej nie widziałam z bliska. Kiedy do mnie podszedł, zaprosił do tańca bez słowa, przetoczyła się przeze mnie fala ciepła. W restauracji „Jutrzenka”, w Bielsku-Białej, tańczyłam kiedyś do melodii *To ostatnia niedziela* z moim Waldemarem. Emocji przy zetknięciu się ciał po raz pierwszy nie sposób było porównać z żadnym innym uczuciem, ale to, co działo się ze mną, kiedy Olgierd przytulił mnie do siebie, nadało się tylko do nocnych marzeń.

Wandzia tymczasem wyłożyła stopy na kolana marynarza, łaskawie pozwoliła się karmić małutkimi kanapkami z białym serem i papryką konserwową. W jednej ręce trzymała zapalonego papierosa, w drugiej kieliszek z koniakiem. Marynarz podsuwał jej kanapkę na zmianę z kryształową popielniczką. Zanim skończył się taniec, Wandzia z marynarzem zniknęli. Słyszałam trzask zamykanych drzwi do pokoju obok. Muzyka ucichła na chwilę, potem znów zaśpiewał Frank Sinatra, ale już nie mieliśmy ochoty tańczyć.

– Co z nami będzie? – Olgierd ujął moje dłonie w swoje, podniósł je do ust teatralnym gestem. Zaczął całować wnętrze mojej dłoni, co dało mi taką rozkosz, jakiej mój mąż nigdy mi nie zafundował. Chciałam się wyrwać, czułam, że sytuacja rozwija się w niedobrym kierunku, zamiast uciekać, zaczęłam się w te jego miękkie usta wpychać swoimi. Pocałunki nasze trwały kilka minut, była w nich wielka namiętność, szaleńcza niecierpliwość, ale Olgierd nie posuwał się dalej, kontrolując wzbierającą w nas czułość. Nie nalegał na nic więcej, tylko mnie całował, ja mu te pocałunki oddawałam z siłą huraganu. Przenieśliśmy się na wersalkę, spleceni, bardzo już rozpaleni, zapatrzeni w swoje reakcje, wyczekując następnego ruchu. Kiedy dłoń Olgierda osunęła się na moje kolano, poczułam ulgę, a jednocześnie ustąpiło poczucie wstydu i zażenowania. Przestałam się bać, że stanie się coś, czego sobie nie życzę, bo pragnęłam

właśnie tego jednego! Olgierd poprowadził mnie do pokoju, który był jego sypialnią. Zapalił małą lampkę przy łóżku, nakrył klosz niebieską koszulą, która leżała na pościeli. Pokój spłynął bladym światłem, runęłam na rozścielone łóżko, pozwoliłam się zabrać w daleką podróż do wnętrza mojego własnego ciała. Nic nie mówiłam, Olgierd nie obłaska- wiał mnie żadnymi zakłęciami miłosnymi, nie musiał. Wręczyłam mu swoje ciało jak prezent, a nawet pomagałam przy rozpakowaniu, jednak do końca aktu pozostawałam bierna, nie śmiałam obdarować Olgierda pieszczotami, powstrzymywana poczuciem wstydu.

Blady świt zastał mnie i Wandzię na postoju taksówek. Nie było wi- dać żadnego auta na pustej ulicy, przemyślałyśmy, czy nie iść piecho- tą, Wandzię bolały nogi, uparła się, żeby czekać.

– Głodna jestem– powiedziała z drwiną – Nie nakarmili nas abszty- fikanci... Zawsze po alkoholu mam wilczy apetyt, konia z kopytami bym zjadła!

– Mnie się nawet jeść nie chce... – odparłam.

Nie umiałam mówić o tym, co czuję. Miałam mętlik w głowie. Sta- łam na miękkich nogach, opierając się o przyjaciółkę, wracały co kilka sekund różne gorące wspomnienia sprzed kilku godzin, czułam zapach Olgierda, ukradkiem pogłaskałam sobie okolice nadgarstków, które on tak zapamiętale całował. Nie docierały do mnie narzekania Wandzi ani brzydota budzącej się ulicy.

– Zakochałam się... – Zmieszały się moje słowa z łzami.

– Tylko ci się zdaje, że kochasz. Tylko ci się tak wydaje. – Podala mi chusteczkę. – Ciesz się chwilą, przecież nic z tego nie będzie, gdzież doktorkowi do Waldemara? Mógłby mu buty czyścić.

Nie zareagowałam, choć nie zgadzałam się z tym. O piątej rano, ma- jowego dnia, czekając na taksówkę, byłam zakochana w Olgierdzie na śmierć. Nie starałam się układać planu w głowie, wybiegać myślą w przyszłość, podejmować decyzję, chciałam tylko czuć taki dreszcz i skurcz w żołądku jak najdłużej. Nie dało się tego z niczym porównać. Samo wspomnienie naszych chwil smakowało lepiej niż szampan i ka- wior, lepiej niż wygrana w totka czy wakacje na Hawajach! Nosiałam w

sobie to uczucie cały dzień i noc, nie czekając na Waldemara, nie myśląc o nim, nie wymawiając sobie tej chwili szaleństwa.

W niedzielę poszłam pod blok Olgierda. Czekałam na tę kobietę, z którą się umówił na czwartą. Chciałam ją zobaczyć, przyrównać do siebie, może nawet przepędzić z mojego terytorium? Zaczaiłam się na klatce, piętro wyżej, usiadłam skulona na schodach, drżąc ze strachu, że mnie ktoś przyłapie na czatach. Dziewczyna przyszła przed czwartą. Malutka kobietka, wysoko uczesana dla dodania sobie wzrostu, z białą torebką pod pachą, w białych szpilkach, cielistych pończochach na nogach. Jakiś żabocik powiewał jej przy bluzce. Pukała, najpierw delikatnie, potem coraz mocniej, odpowiadała jej głucha cisza, więc zaczęła energicznie walić pięścią w drzwi. Poderwałam się ze schodów przerażona, że całą klatkę postawi na nogi, lokatorzy zaczną z mieszkań wychodzić, jeszcze mnie o jakiś udział w tym zakłóceniu porządku zaczną podejrzewać. Kobietka skrobnęła wylakierowanym pazurkiem w drzwi, przytuliła się do nich, powiedziała dosyć głośno, rozpaczyliwym tonem.

– Wiem, że tam jesteś. Obiecałeś!

Ja sobie usta dłonią zakryłam, bo chciało mi się jakieś łkanie z piersi wyrwać. Drzwi ani drgnęły, mimo że włożyła na koniec sporo agresji w dopominanie się otwarcia. Uradowała mnie ta sytuacja, szybko sobie wykalkulowałam, przestępując z nogi na nogę, że może Olgierd właśnie z nią zerwał, bo poznał mnie, chce pozostać mi wierny po tej szalonej nocy. Musiał wiedzieć, jak ważna ta noc dla mnie była, jakie nadzieję obudził, a przecież to dopiero początek. Tamtej nie było mi żal. Głupia gęś – pomyślałam i z powrotem usiadłam na schodku. Odtrącona kochanka pozostała jeszcze chwilę, nasłuchiwała jak zwierzątko, wyciągając nos do góry, głośkała drzewi, ale już nie robiła hałasu. W końcu poszła, wolnym, ciężkim krokiem dudniła po klatce, jakby szła o kulach. Odczekałam pięć minut i sama poszłam zapukać do drzwi. Najciszej jak umiałam, powiedziałam, przytykając usta do framugi.

– To ja. Tosia. Jesteś tam?

Ani szmer nie przedostawał się z mieszkania, musiało go naprawdę

nie być w domu. Postanowiłam poczekać, aby zrobić mu miłą niespodziankę. Nie spieszyłam się nigdzie. Waldemar z Arturem poszli do wesołego miasteczka, wieczorem mieli jechać do Walerii, zagrać w remika, pojeździć na kucyku. Ja zdobyłam wolny dzień, zmyślając jakąś nieprawdopodobną historię o chorej koleżance z pracy, która mieszka pod miastem w Trzebowniku. Uwierzył i jeszcze mnie w czoło ucałował, chwając za dobre serduszko, takie niedzisiejsze, współczujące. Nie zatrzymałam się myślą nad jego słowami, gnało mnie zauroczenie niczym wiatr halny, nie chciałam go mieć poczuciem winy.

Było już dobrze po szóstej, kiedy najpierw usłyszałam kroki, zaraz potem gwałtownie zgrzytnął klucz w zamku mieszkania. Wychyliłam się przez poręcz sprawdzić, czy to mój ukochany wraca z dyżuru, czy ktoś inny z tego piętra i zamurowało mnie. U ramienia Olgerda wisiała atrakcyjna rudowłosa kobieta! Wyginała się na wszystkie strony jak piskorz, błyskała bezwstydnie wielkim dekoltem na olbrzymich cyckach, obciągniętych obcisłą bluzeczką w biało-granatowe paski. Spódnicę miała wążiutką, odsłaniającą kolana, a kolana ładne, choć trochę grube. We włosach białą opaskę, w uszach perłowe klipsy, wielkie jak moneta. Wyzywająca, otwarcie kusząca, ustylizowana na aktorkę Kalinę Jędrusik. Gdybym mogła, tobym ją gołymi rękami poddusiła, za to, że taka seksowna i rozpuszczona. Tymczasem Olgierd przy niej też mi się wydał jakiś inny, maślany! Puścił ją przodem do mieszkania, wszystko trwało tyle, co zamknięcie i otwarcie oczu. Drzwi trzasnęły, jakby mi ktoś policzek wymierzył.

Z podkulonym ogonem szłam przez miasto, deszczowe i zamazane jak mój honor. Płakać mi się chciało z żalu nad sobą, za miłością zszarżaną przez mężczyznę, ze wstydu, postępującego szybko zmęczenia, może niespełnienia? Mijałam budynki, sklepy, ludziom w oczy nie patrzyłam, chciałam się zapaść w ten miejski bruk, żeby wszyscy o mnie zapomnieli choć na chwilę. Jak się nieco uspokoiłam, zaczęłam robić mocne i surowe postanowienia. Przysięgałam uroczyście nigdy więcej nie iść do przychodni, ani z synem, ani ze swoimi chorobami, nie wałęsać

się po ulicy Szopena czy wysiadywać na cmentarnej ławce obok, zaniechać grzesznych myśli ciągnących mnie na manowce. Z tymi postanowieniami na ustach weszłam do naszego pustego mieszkania, runęłam na łóżko jak szmaciana lalka, zalewając się łzami.

Wytrzymałam dwa dni. Trzeciego wieczorem znów wybrałam się na czaty w okolicę bloku na Szopena, modląc się o przypadkowe spotkanie. Nie wyglądałam podejrzanie, kręciło się tam wiele osób wokół bramy szpitala, mogłam być czekającą na wypis zatroskaną matką czy żoną. Uplanowałam sobie, jeśli przypadkowo na siebie wpadniemy, że Olgierd mnie do siebie zaprosi, ja będę udawać, że mi śpieszno, ale ostatecznie zgodzę się. Przypadek się nie ziścił ani pierwszego dnia, ani przez kilka następnych. Brakowało mi już pomysłów, aby tłumaczyć swoją nieobecność wieczorną w domu. Raz jeden wzięłam nawet Artura ze sobą, przez godzinę wałęsałam się po okolicy niczym bezpieczeństwa pies. Napchałam syna słodkościami, kupując jego cierpliwość, niestety po trzeciej porcji waty cukrowej dostał torsji. Otrzeźwiałam, wściekła na siebie ruszyłam w drogę powrotną do domu. Dotknęłam dna.

Olgierd nie zadzwonił, jak obiecał, w żaden inny sposób nie dążył do ponownego spotkania. Po dwóch tygodniach milczenia było oczywiste, że nie oszalał na moim punkcie. Niby to przyjełam do wiadomości, jednak kolejny tydzień poświęciłam na rozmyślania, co mogło złego się wydarzyć, że nie ma między nami ciągu dalszego? Może zmarła jego matka? Zachorował? Ma wycieńczające dyżury w pogotowiu?

Nie ma chyba bardziej przykrego widoku niż narzucająca się mężczyźnie kobieta. Nadszedł najwyższy czas sprawdzić, czy Olgierd Łęcki przyjmuje jeszcze pacjentów w przychodni. Przecież mógł wyjechać na urlop lub zostać oddelegowany na prowincję. Zamówiłam wizytę pod pretekstem silnych skurczów żołądka, nie aż tak silnych, aby nie doczekać poniedziałku, kiedy doktor Łęcki przyjmował po południu. Przyszłam spóźniona na tyle, żeby być ostatnią pacjentką tego dnia. Czekałam pod drzwiami ze spuszczoną głową, zapatrzona w zdarty czubek butów, zniewolona wspomnieniami jednej nocy. Czas płynął, myślałam

zaczęłam się od Waldemara wyprowadzać, pakowałam manatki, zostawiałam pożegnalny list, ciągnęłam Artura za rękę. Pielęgniarka wyrwała mnie z transu, zapraszając do gabinetu na kozetkę za parawanem.

Kazała mi się położyć i odsłonić brzuch. Olgierd nawet głowy nie podniósł znad papierów, jak weszłam. Coś tam pisał przy biurku, kiedy skończył, podszedł do mnie rozłożonej niczym ryba do filetowania, położył ciepłą dłoń na moim miękkim brzuchu, ale nie spojrzał mi w oczy. Pielęgniarka szurała pantoflami, szukała czegoś w oszklonej szafce, zadawała pytania doktorowi, których sens do mnie nie docierał. Łzy mi się zbierały pod powiekami, Olgierd dalej na mnie nie patrzył, tylko gdzieś w sufit, odwracał głowę w stronę pielęgniarki, przesuwając dłoń po moim brzuchu z góry na dół, a potem na boki, lekko uciskał. Ogarnął mnie całkowity paraliż, jeszcze długo nie mogłam się ruszyć, po tym jak mi kazał wstać i ubrać się. Pielęgniarka wyszła. Nie ruszyłam się z kozetki, wyprostowana leżałam niczym królowa Bona na katafalku.

– Co pani jest? – Olgierd zająrzył do mnie zaniepokojony. – Źle się pani czuje?

– Bardzo źle – odparłam, ale nie zmieniłam pozycji.

– Proszę wstać, tak nie można.

Uniosłam się lekko na łokciu, żeby mu spojrzeć w oczy. Patrzyłam z taką nachalnością, że powinien był się stopić, ale na nim to wrażenia nie zrobiło. Włożył ręce do kieszeni fartucha, dziarsko wyprostował sylwetkę, przybierając bardzo oficjalną pozę. Nieprawdopodobne! Niesłychane! Niemożliwe? Ten sam stojący nade mną, usztywniony mężczyzna zaledwie trzy tygodnie wcześniej rozkładał mnie na pościeli, szeptał cudowne sprośności, zapewniając każdym ruchem, każdym słowem, że jestem wyjątkowa, jedyna. Taki był czuły, cudownie dbający, rozzgarniający chmury na niebie. Teraz zniecierpliwiony marszczył czoło, chciał zażegnać atak hysterii, zanim pielęgniarka wróci.

– Bardzo proszę nie robić tutaj scen. Nie można się tak zachowywać, ja tutaj pracuję. Proszę cię... – Zmiękł nagle, podając mi płaszcz. – No już, raz dwa, wstajemy...

– Spotkamy się jeszcze? – zapytałam, ledwie wydając z siebie dźwięk. Olgierd pomógł mi wstać.

– Oczywiście. Zadzwoń – zapewnił mnie.

Zanim zdążyłam się ucieszyć, wkroczyła pielęgniarka, zepsuła mi chwilę radości swoim ćwierkaniem. Posłałam jej obrzydliwe spojrzenie, nie zabrałam recepty, jaką mi doktor wypisał, trzasnęłam drzwiami, aż huknęło mi w głowie.

Olgierd nigdy nie zadzwonił. Po roku wyjechał z miasta, przenosząc się do Kanady, gdzie dołączył do swojej żony i dziecka, o istnieniu których pojęcia nie miałam. Wiedziała o tym Wandzia, marynarz jej opowiedział o żonie Polce z kanadyjskim paszportem, pięknej jak letni poranek. Takich słów na opis Olgierdowej właśnie użył. Wandzia mi powtórzyła, ale dopiero wiele miesięcy po fakcie. Dlaczego nie wcześniej? Nie wiedziała, że oprócz tej nocy „imieninowej” jeszcze ciąg dalszy nastąpił? Rozluźniły się wtedy nasze stosunki, jak zawsze, kiedy Wandzia miała nowego adoratora, nie spotykałyśmy się zbyt często. Kiedy już przebolełam odtrącenie, poszłyśmy na kawę do kawiarni, wysmagałam się, omówiłam każdy szczegół tej nieszczęsnej przygody. Wandzia zrewanżowała mi się tym samym. Marynarz porzucił ją po sześciu miesiącach intensywnej miłości, zużył ją do podszewki, ale nie rozkochaną. Moja przyjaciółka potrafiła zaakceptować dzielnie koleje losu, nie szukała winnych, nawet specjalnie nie pomstowała na kochanka, który nagle postanowił rozpocząć życie ascety. Doktor Olgierd Łęcki dostał ostatecznie upragnioną wizę i wyjechał z Polski, porzucając przychodnię zakładową oraz wszystkie kobiety, które zdążył w sobie rozkochać. Ja byłam tylko jedną z nich. Nie odegrałam żadnej znaczącej roli, nie zapadłam mu w pamięć ani w serce, przeszedł przede mną jak przez szatnię, nawet płaszcza nie zdjął. Płakałam za nim jak dziecko, schudłam chyba z pięć kilo od rozmyślenia, gorszącej tęsknoty. Kiedy kładłam się spać obok Waldemara, fizyczny ból wciskał mnie w pościel. Waldemar nie garnął się do mnie, więc nie musiałam mu odmawiać ani wymyślać pretekstów, cierpiałam strasznie.

Nikt o tej mojej chwili głupoty, ale i szaleństwa nie wie do dziś, nawet Wandzia całej prawdy nie znała. Dzisiejsi rodzice ubolewają, że świat jest zepsuty, młodzież rozwiązała, niemoralna, źle wychowana, tymczasem w latach sześćdziesiątych nie chodziły po świecie same tylko aniołki. Ludzie wtedy też się zdradzali, oszukiwali, mordowali, może w większej ciszy, bo nie było kolorowych czasopism i Internetu. Nie jestem dumna ze swojego zachowania. Zdradziłam męża z mężczyzną, który na to nie zasługiwał, w odruchu tęsknoty za przeżyciem czegoś wzniosłego, pogoni za gasnącą młodością, w proteście przeciwko ustabilizowanemu, nudnemu życiu, jakie prowadziłam. Spotykałam różnych mężczyzn wcześniej i później, jednak krew mi nigdy w żyłach nie przyspieszyła na ich widok, nie porwał mnie moment szaleństwa, nie ożyła ochota, żeby dotknąć, zasmakować, zbliżyć się. Gdyby nie Olgierd, teraz w wieku osiemdziesięciu lat miałabym czyściutkie sumienie i życiorys bez skazy. Spotkanie go pozostaje do dzisiaj moją mroczną tajemnicą, choć po tylu latach to ani wstyd już nie tak wielki, ani sekret nie tak ciężący. Czy żałowałam kiedykolwiek, że go spotkałam? Gdybym miała wejrzeć w siebie, rzec najświętszą prawdę, musiałabym powiedzieć, że nie.

ROZDZIAŁ XX

Otworzyłam oczy. Artur nachylał się nade mną z przerażeniem na twarzy. Blady był i pomarszczony. W tym ostrym świetle poranka wyglądał na chorego. Nie mogłam skojarzyć, co on robi w mojej sypialni, która pachniała podejrzanie szpitalem. Trochę czasu trwało, zanim odważyłam się ruszyć głową, aby się przekonać, czy mi do szyi nie przyrosła. Na fotelu w kącie siedziała młoda osoba, uśmiechała się do mnie jak do dobrej znajomej, Trzymała na kolanach gazetę.

– Jak się mama czuje? – zapytał mój syn, odsuwając się nieco.

– A jak się mam czuć? Na pewno nie jak młody bóg, mam w końcu skończone osiemdziesiąt lat... A pani? Ile pani ma lat? – Wyciągnęłam szyję w jej kierunku.

Kobieta wstała z fotela i podeszła do mnie. Pomogła mi unieść się lekko na posłaniu. Przy tej operacji przekonałam się, jaka jestem słaba. Odplynęły ze mnie siły witalne, mogłam tylko leżeć wsparta na poduszkach i powoli wodzić oczami po twarzach moich gości. Przeszło mi przez myśl, że może dochodzę do siebie po wylewie? Zacisnęłam palce lewej dłoni, a potem je rozprostowałam, wydawały się sprawne jak zawsze, choć powykręcane i zniekształcone przez artretyzm. Jeśli się bałam znieodolnienia, to właśnie takiego, jakie następuje po wylewie.

– Powolutku, ostrożnie z tymi podrygami – powiedziała miłym, śpiwnym głosem nieznajoma pani.

Artur stał z boku, podziwiając jej krągłości. Nie mógł się powstrzymać, ten mój syn zbereźnik. Odkąd odszedł od żony, zmienił się w jakiegoś Don Juana, otwarcie zagląającego obcym kobietom w oczy i dekolt. Chyba ta jego nowa panna nie będzie taką odmianą zachwycona, tylko czekać, aż go przepędzi. Obiecał przyprowadzić ją do mnie w najbliższych dniach, nie palił się jednak do tej prezentacji.

– Pamięta pani, co się stało? – zapytała, gładząc mnie po dłoni ozdobionej plamami i wylewami podskórnymi. Moje dłonie były jeszcze starsze ode mnie. Dotyk pielęgniarskiej ręki ukoił mnie, płynęło od niego bezpieczeństwo, cudowna gwarancja, że jest się pod dobrą opieką, cokolwiek przykrego groziło mi wcześniej, od teraz już obawiać się nie muszę. Oddychałam lepiej, kiedy ten anioł w niebieskim sweterku poprawiał mi kołdrę pod szyją.

– Gorąco było w mieszkaniu. Zemdlalam? Kto mnie znalazł?

– Jacek. Na szczęście miał klucz – objaśnił mi Artur. – Zaraz przyjdzie, poszedł wykupić receptę. Lekarz już poszedł. Był tu po sąsiedzku zaalarmowany przez Jacka, syn sąsiadki, pan Gierek.

– No nie! Synowi Gierkowej mnie powierzyliście? – Dość jeszcze miałam siłę, żeby ich opieprzyć.

– Pogotowia mama by sobie nie życzyła, prawda? Kiedy przyjechałam, już było dobrze, zrobił mamie jakiś zastrzyk, miał przy sobie leki dla swojej matki, sprawnie zapanował nad tym zasłabnięciem. Ale trzeba będzie jechać badania zrobić, krew, mocznik i tak dalej. Mama ma bardzo niskie ciśnienie.

– Kawy się napiję, to mi ciśnienie skoczy. A pani jak ma na imię? – zwróciłam się do kobiety o miłym głosie i uzdrowicielskim dotyku.

– Monika, jestem pielęgniarką. Pani syn mnie tu przywiózł – przedstawiła się.

Spojrzałam na Artura wzrokiem domagającym się wyjaśnienia.

– Mamo, Jacek do mnie zadzwonił podenerwowany, nie wiedziałem, w jakim mama jest stanie, więc zabrałem po drodze Monikę, na wypadek gdyby potrzebna była opieka na noc. Nie znam się na medycynie, Zuzanna jest dalej w Katowicach u Lilki.

– Dziękuję. W którym szpitalu pani pracuje?

– Pracuję w hospicjum w Niechobrzu – odparła lekko.

Nie spodobał mi się wyraz „hospicjum”, po prawdzie przestraszyłam się brzmienia tego słowa, najwidoczniej było ze mną źle.

– Monika jest najlepszą pielęgniarką w tym kraju, może i w Europie. – Artur przerwał niezręczną ciszę. – Będzie od teraz do ciebie

przychodzić. Jak często, ustalicie między sobą. Ja myślę, że trzy razy w tygodniu na początek, potem zobaczymy, może codziennie? Natomiast pani Florek, mamy sąsiadka, będzie przychodzić raz w tygodniu posprzątać, wyprać, wyprasować, większe zakupy zrobić. Nie można tego Jacka tak wykorzystywać do wszystkiego. On jest fajny chłopak, ale ma swoje życie...

– Chyba ci się nie skarżył? – zapytałam podejrzliwie.

– Nie. Broń Boże, ale ja sobie nie zdawałem sprawy, ile on mamie czasu poświęca, co on robi, przecież to raczej nasz obowiązek. W każdym razie, panie przychodzą z odsieczą. Moniko, ja ciebie odwiozę do domu, potem tu wrócę, zostaną u mamy na noc. – Mój syn wydał dyspozycję, a piękna Monika poderwała się posłusznie z miejsca. Była szczupła i wysoka, idealnie w typie Artura, pół twarzy zajmowały piękne błękitne oczy. Nigdy nie chwalił się znajomością tak miłej oraz budzącej zaufanie pielęgniarki. Kiedy mój Waldemar umierał, szukaliśmy dla niego prywatnie fachowej pomocy do opieki, jednak zjawiały się wyłącznie okropne charaktery, żadnej nie zaakceptował. Monika, skądkolwiek przybyła, samym tylko wyglądem budziła moje zaufanie i sympatię. Nie miałam nic przeciwko temu, aby mnie umyła, opatrzyła, nakarmiła. Odłożyła gazetę na stolik, zgrabnymi, szczupłymi palcami zapięła guziki przy swetrze.

– Przyjmuję propozycję, taksówka kosztowałaby majątek, a mam nockę w hospicjum – powiedziała z uśmiechem. – Do pani przyjdę jutro wczesnym popołudniem. Dobrze? Porozmawiamy sobie, poznamy się lepiej, może się zastanowimy nad jakąś małą gimnastyką, żeby rozruszać kości, brak ruchu nie jest dobry. Coś wymyślimy na poprawienie krążenia, proszę się nie obawiać, nie będę namawiać na wyjście z domu. Tymczasem proszę odpoczywać, myśleć wyłącznie o przyjemnych rzeczach.

Pożegnała mnie zaleceniami, do jakich nie miałam się siły zastosować.

– Skłonów robić nie będę, ale może faktycznie za mało się ruszam? Ostatnio się tak zasiedziałam, kości mi skrzypią jak drzwi od zakrystii.

Tylko żebyście mnie nie ciągnęli po lekarzach i przychodniach. Starych ludzi się nie leczy. – Uprzedziłam ich ewentualne nagabywanie mnie. – Jestem stara i uparta. Czuję się, jak się czuję, nie ma co oczekiwać, że zacznę skakać przez płotki. Pogorszy mi się, jak będziecie wywierać na mnie presję, żebym na badania jechała. Artur, przy pani Monice to mówię. Nie chcę tu widzieć żadnych lekarzy, specjalistów ani profesorów. Słyszysz? Tego Gierka wam wybaczam, ale żadnej reanimacji sobie nie życzę. Teraz zawieź panią Monikę, gdzie sobie życzy.

– Mamo...

– Matki wolę uszanujesz, nie martwię się oto, co do Florkowej i prasowania... powiedz synu, co ona miałaby prasować? Dresy? Przecież ja nic innego nie zakładam.

Artur mruknął coś do siebie, szarmancko podał Monice płaszcz, ona uraczyła go słonecznym uśmiechem w podzięcie. Zateśniłam za młodością, sama dopiero wczoraj zakładałam płaszcz podawany przez Waldemara, przepuszczał mnie pierwszą w drzwiach, służył ramieniem...

Pożegnałyśmy się ciepło, prawie serdecznie. Kiedy wychodzili z mieszkania, zderzyli się w drzwiach z rozgorączkowanym Jackiem, który przyszedł na zmianę warty przy mnie. Coś tam sobie poszeptali na mój temat: Artur nazwał mnie „upartą kozą”, Monika deklarowała konspiracyjnym szeptem, że będzie na każde wezwanie. Wymienili się numerami telefonów. Potraktowali moje zasłabnięcie nadzwyczaj poważnie, ja natomiast nie martwiłam się zbytnio swoim stanem zdrowia. Nie można oczekiwać od starego mechanizmu funkcjonowania bez zarzutu, żeby nie wiem jak go dobrze naoliwić, trybiki będą obracać się wolniej, pompy tłoczyć płyny coraz leniwiej, rdza wedrze się dosłownie wszędzie, nawet w te zalane olejem miejsca.

Jacek przygotował jajecznicę na maśle, zrobił tosty dla nas obojga, zaparzył mocnej herbaty. Siedziałam oparta o poduchy niczym królowa, ze ściereczką pod brodą, kolorową plastikową tacką na pościeli, usiłowałam zjeść kolację. Ugryzłam tost, popiłam herbatą, smakowało mi.

– No, apetyt pani wraca, alleluja, będzie dobrze! W sumie to dobry pomysł z tą pielęgniarką. – Jacek rozłożył się w fotelu, podgryzając tost z dżemem. – Niechby wleciała tu do pani, ciśnienie zmierzyła, czy tam co, pokręci się, popilnuje spokojnego snu. Florkowa też się przyda, może u mnie trochę posprząta, bo mówię pani, ja mam teraz tyle zleceń, ledwie nadążam, w domu syf, kiła i mogiła.

Jacek odebrał ode mnie pusty kubek.

– Jeszcze herbatki? Muszę się pani pochwalić, nareszcie zacząłem przyzwoicie zarabiać. W zeszłym miesiącu, na czysto, zostało mi jedenaście tysięcy złotych. Florkowej dałbym pięćset złoty, żeby mi w domu ogarniała, myśli pani, że da się skusić?

Skinęłam głowę.

– Pewnie, dorobi sobie do tej nędznej emerytury. Ja ją nawet lubię, nie jest plotkarą, nie wściubia nosa w nie swoje sprawy, nie męczy mnie zbytnio rozmowa z nią. Pozostaje się przekonać, czy umie sprzątać. Monika, faktycznie, przyjemna dziewczyna – powiedziałam.

– Pan Artur też spoko gość. – Jacek wytarł mi kącik ust rąbkiem serwetki, nie zawstydziłam się. – Ja właściwie nigdy z nim nie rozmawiałem, dopiero dzisiaj. Nawet się go bałem. Wielki szacun dla tego, co osiągnął. Jak sobie pomyślę o tej historii z jego synem, Emilem, to przysięgam pani, aż mnie ciary przechodzą po plecach. Jak on to wszystko musiał przeżywać, że nie zwariował z tego bólu, to też cud. Jego żona, mówiła mi Agnieszka, osiwiła w jeden dzień. Całkowicie.

– Oj Jacusiu, to naprawdę była tragedia.

Zasepiłam się. Rzadko ostatnio wracałam wspomnieniami do tamtych wydarzeń sprzed trzech lat. Bałam się o tym myśleć, jakby to przywołanie wspomnień miało ściągnąć jakieś kolejne nieszczęście na nas.

Oktawia nie tylko posiwiła w kilka godzin, ale również zapadła się na dno jakiejś wielkiej rozpacz, nawet na pogrzeb syna nie była zdolna iść. Chowaliśmy Emila w pochmurny dzień, trzymając się za ręce, wspierając się jeden na drugim, szukając sensu w tym, co nas spotkało. Ksiądz nie raczył nas religijnymi mądrościami, których nie dałoby się

nijk przystawić do tej bolesnej tragedii, tylko modlił się o siłę dla nas. A siły nikt nie miał, po tym jak Emil się zabił. Czasami nachodzą mnie myśli, że mogłam temu zapobiec.

Emil wrócił do Anglii w październiku. Imał się niskopłatnych dorywczych prac, ledwie rachunki regulował, na jedzenie czasami brakowało, telefonował z rzadka, zapewniając o swojej dobrej formie. „Radzi sobie”, mówiliśmy między sobą, nikt nie sprawdził, czy wrócił na studia, wzięliśmy to za pewnik, a on szkołę rzucił.

Wynajął kawalerkę na obrzeżach miasta w obskurnym bloku, gdzie mieszkali emigranci wypłuci przez bogate społeczeństwo angielskie. Tam mu nikt nie przeszkadzał, anonimowość sprzyjała planowanej zemście. Nie wiemy wiele o tych kilku miesiącach, jakie spędził, żyjąc samotnie, dusząc się własną rozpaczą, ulegając potrzebie ukarania sprawcy w najboleśniejszy sposób. Czekał cierpliwie na wyrok polskiego sądu, kiedy w końcu przyjechał do Polski na sprawę, nie był już tym samym młodym człowiekiem, nawet rysy twarzy miał zmienione, schudł pewnie z dziesięć kilogramów. Emil po śmierci Amber przeżył całkowitą transformację, z której wyszedł mocny, zdecydowany doprowadzić swój chory plan do końca. Właściwie tylko ta część mózgu, która odpowiadała za chęć zemsty, była sprawna, reszta głowy funkcjonowała ze zgrzytem zapowiadającym klęskę.

Oktawia pierwsza ogłosiła powrót syna do normalnego życia, przedwcześnie, o czym rychło przekonaliśmy się. Artur z początku wykazywał więcej ostrożności, ostatecznie zwyciężyła w nim tęsknota za tym, co było przed śmiercią Amber, i on również odtrąbił uroczyste koniec żałoby. Poszliśmy na wspólną kolację rodzinną, podczas której przez dwie godziny było jak dawniej. Agnieszka siedziała obok brata, skubała frytki z jego talerza starym zwyczajem, Emil zaczął nam opowiadać, iż planuje podjąć studia medyczne, znudzony matematyką. Rodzice zamarli ze szczęścia, ich marzenia miałyby się spełnić, niebawem wszystko powinno być wrócić na swoje tory, wykolejona lokomotywa stała gotowa do drogi, wystarczyło ją tylko pchnąć do przodu. Cieszyli się, ich syn

przytył, rozmawiał rzeczowo, snuł plany, jednym słowem o Amber nie wspomniał. Mnie to martwiło, czułam każdym zmysłem, że ona jest w nim, przy nim, przez śmierć nie oddaliła się od niego nawet na mały krok. Złożył zeznania jako świadek wypadku, poszło mu dobrze, trzymał się twardo, opowiedział, co widział, nie, co czuł, pani prokurator była z niego niezwykle zadowolona. Kierowca Adam Kopacz dostał dwa lata więzienia. Wszyscy uznaliśmy, że to mało, ale w domu miał trójkę małych dzieci, młodziutką żonę w kolejnej ciąży, co jak podejrzewaliśmy było umyślnym działaniem, aby wzbudzić litość sądu. Chyba tylko ktoś bez serca chciałby ojca czwórki dzieci długo trzymać za kratkami.

Emil przyszedł do mnie się pożegnać przed powrotem do Anglii. Może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby dzień wcześniej nie spotkał skazanego Adama Kopacza na rynku, w centrum miasta, przy stoliku pod parasolem popijającego piwo w towarzystwie kolegów. Kiedy stanął pośrodku mojego pokoju, wystarczyło jedno wnikliwe spojrzenie na wnuka, by znaleźć zapowiedź czegoś niedobrego. Z jego twarzy zniknęło wszystko, co było mi znajome. Wzrok miał rozbiegany, zmarszczki na czole dziwnie się krzyżowały, żyły pulsowały na skroniach i szyi, nie mógł usiedzieć w miejscu. Zrobiłam kawę z mlekiem, podałam rogalika z dżemem, ale nalewki nie wyciągnęłam.

– Jak ty mi się czujesz, Emilku? Powiedz babci, ale tak szczerze... – Wyciągałam do niego rękę. Nie zauważył tego gestu, mignął mi rękawem, jakby się chciał zasłonić, wycofałam dłoń.

– Jak ja się czuję? Nie wiem. Straciłem czucie – odparł. – Nie mam kontaktu ze sobą. Ludzie mówią, że straciłem kontakt z rodziną czy znajomymi, a ja ze sobą zerwałem kontakty...

– Czas... – westchnęłam. – Tylko czasowi można zaufać.

– Ludzie myślą, że czas za nich załatwi robotę, jestem innego zdania. – Emil sięgnął do kieszeni płaszcza spoczywającego na kanapie. – Mam tu, w tym pudełeczku prochy Amber – powiedział i położył na stole pudełeczko wielkości jajka, obciążone fioletowym aksamitem. – Noszę je przy sobie. Jej mama mi to przysłała... gest przebaczenia czy

nóż, który się wiecznie będzie obracał w ranie, aby przeszkodzić w jej zagojeniu?

Nie miałam go odwagi dotknąć, dziwnie się poczułam, jakbym sama była czemuś winna.

– To był nonsens ciebie obwiniać o to, co się stało – powiedziałam po chwili. – W każdym razie, nie dziw się, to potworny ból stracić jedyne dziecko w takich okolicznościach. Gdyby choroba ją zabrała, wtedy inaczej by cierpieli, ale taki beznadziejny wypadek...

Denerwowałam się podczas rozmowy z Emilem, żeby nie powiedzieć słowa za dużo lub zdania za mało. Siedzieliśmy jak na bombie, strach się było ruszyć, żeby nie sprowokować wybuchu.

Emil rozmyślał nad czymś przez kilka minut.

– Nie uchroniłem jej. – W głosie miał smutek – Ile razy o tym myślałem, tyle razy wychodzi mi na to, że to po części moja wina.

– Nie, nawet nie zaczynaj takiej rozmowy ze mną! – huknęłam, choć nie miałam zamiaru wszczynać burzy nad bolejącym wnukiem. Musiałam go jednak powstrzymać, aby nasza rozmowa nie zamieniała się w samobiczowanie. – Winny jest Adam Kopacz, pijaczyna przebrzydły! Niech mu Bóg przebaczy, gdyż ja mam z tym kłopot...

– Dobrze babciu, przepraszam. – Niespodziewanie uśmiechnął się do mnie. – Spotkanie sprawcy wytrąciło mnie z równowagi. Widziałem gnoja przed chwilą.

Zachęcany opowiedział mi o spotkaniu Adama Kopacza, jak tamten sobie w wiosennym słońcu bużkę grzeje, piwo z pianką pije, rozśmiesza kolegów, kradnie spojrzenia kelnerce, wymachuje rękami, zapala papierosa, rzuca niedbale zapalniczkę na ziemię.

– Niedługo przestanie mieć taki dobry humor, zacznie odsiadywać karę więzienia – pocieszałam go. – Może tam do niego dotrze, co zrobił.

– Posiedzi i wyjdzie. Takie sanatorium, pod koniec odsiadki nie będzie nawet pamiętał, za co siedział. A co z moją pamięcią, babciu?

Oboje z Emilem zapatrzyliśmy się na aksamitne pudełeczko. Ależ byliśmy naiwni, łudząc się, że nasz młodzieniec zrobił porządek w głowie,

że wszystko wróciło na swoje miejsce! Emil był podarty niczym kartka papieru wychodząca z maszyny, która niszczy dokumenty. Wszystko u niego było osobno, głowa, serce, dusza, kończyny. Zasmuciła mnie ta myśl, zaraz potem powiedział coś, co mnie naprawdę zmroziło.

– Czasami mam wielką ochotę, żeby te prochy Amber... zjeść... Wiem, że to przerażające, ale tak właśnie czuję.

Zasłoniłam usta dłonią. Emil uśmiechnął się zupełnie normalnie, dostrzegłam w nim małego chłopca. Zmylił mnie.

– Niech się babcia nie obawia, nie zwariowałem, ale takie mam myśli, nic na to nie poradzę. Ile posiedzi? Czwarte dziecko w drodze, dobre zachowanie, praca w bibliotece więziennej, po roku wyjdzie, może nawet wcześniej. Mój wyrok będzie trwał całe życie, zostałem skazany na przyszłość bez najukochańszej kobiety, bez dzieci, jakie miała mi urodzić, dni i nocy przy niej. Taki sam wyrok dostali jej rodzice. Czasami trzeba trochę sprawiedliwości zaprowadzić na tym świecie – mówił spokojnie.

Nie głąskał już pudełeczka z prochami, odsunął je od siebie.

Emil zawsze nosił się elegancko, może nawet trochę za poważnie jak na swój wiek, zdążył nas przyzwyczaić do szykownego stylu. Dobrze mu było w marynarkach, odprasowanych na galowo koszulach, zakładał różne kamizelki, dobre buty, żadne tam białe adidasy czy sandały. Wypytywałam go o najbliższe plany, wakacje, o szkołę, uniwersyteckich kolegów, ale nie był zbyt wylewny, zbywał mnie, potem poszedł na balkon i siedział tam ponad godzinę. Nie przeszkadzałam, siedziałam obok, nawet telewizora nie włączałam, tylko sobie czytałam gazetki, potem książkę Marii Nurowskiej, mojej ulubionej pisarki polskiej. Zapaliłam papieroska, pogrążyłam się w lekturze, nie nasłuchując, czy Emil zasnął czy rozmyśla, może rozmawia przez telefon? Dobrze się czuł w moim mieszkanku, u rodziców było mu źle, bo chcąc mu za wszelką cenę pomóc, okazać bezmiar miłości, deptali po jego niezagojonych ranach. Oczywiście zupełnie nieświadomie. Oddalił się od nich w pierwszych dniach po śmierci Amber, nie próbował nawet przywrócić ciepłych stosunków, jakie panowały przed wypadkiem. Zuzanna miała inną teorię,

odesłanie go w młodym wieku do zagranicznej szkoły z internatem, spowodowało rozluźnienie więzi rodzinnych, a to pociągnęło za sobą odzwyczajenie się od miłości rodziców. W momencie tragedii, naturalną drogą ucieczki było zamknięcie się w sobie. Nie podzielałam jej opinii, ale martwiło mnie, że postanowił stoczyć samotną walkę z tym, co go spotkało. Przyszedł do mnie nie w poszukiwaniu ukojenia czy pocieszenia, przyszedł, bo nie miał gdzie się podziać przez te kilka godzin.

Chciał zabić Adamowi Kopaczowi żonę, ale kiedy przeprowadził wywiad środowiskowy z precyzją detektywistyczną, uznał, że nie zabił go strata żony tak bardzo, jak strata matki. Poza tym kobieta była w ciąży, musiał w swoim szaleństwie dopuścić do głosu nutę współczucia.

Poznał rozkład dnia pięćdziesięcioletniej zaledwie kobiety, która codziennie o godzinie szesnastej wracała z pracy w zakładzie Gerbera. Najpierw jechała autobusem przez miasto, ostatni kilometr wiejską drogą asfaltową przemierzała pieszo, aby około godziny siedemnastej pięć skrócić w prosty odcinek szosy, z którego widać murowany dom i obejście.

Emil zaparkował samochód wynajęty na lotnisku w zaplanowanym miejscu, czekał spokojnie, aż kobieta pojawi się na drodze. O czym wtedy myślał? Nie miał wątpliwości? Czy nie zawahał się w ostatniej chwili? Wybrał najokrutniejszy sposób na „wyrównanie rachunków” z zabójcą ukochanej, sam stając się zabójcą. Wszystkim nam się wydaje, że zamordować drugiego człowieka z zimną krwią może tylko jakiś zwyrodnialec, psychicznie chory, otumaniony alkoholem degenerat. Mój wnuk do tej kategorii nie należał! Mój wnuk Emil był wspaniałym młodym mężczyzną, uzdolnionym, doskonale przystosowanym, radosnym, pełnym planów na przyszłość. Jednak złamała go osobista tragedia, odebrała mu rozum i uczucia, aby na koniec zrobić z niego mordercę. Nie mogłam znieść ludzkiego gadania po fakcie, że „on zawsze był dziwny i inny”. Nie był! Ludzie nic nie wiedzą, a tak się spieszą z osądami i wyrokami, jakby im przyjemność sprawiało o kimś źle mówić, pochwalić przychodziło im z trudem, mieszać z błotem z naturalną łatwością.

Lokalna telewizja chciała o tym program zrobić, jednak Artur użył wszystkich swoich wpływów, a miał ich niemało, żeby sprawę zostawiono w spokoju. Mogło to być interpretowane jako zwykły wypadek. Rozpędzony samochód uderzył w idącą poboczem kobietę, kierowca pojazdu stracił panowanie, wjechawszy na przeciwległy pas ruchu zderzył się czołowo z ciężarówką, dowożącą towar do sklepu. Kobieta zmarła w szpitalu, kierowca samochodu osobowego zginął na miejscu. Mężczyzna, który prowadził ciężarówkę, odniósł lekkie obrażenia ciała w wyniku zderzenia, jeszcze tego samego dnia wyszedł do domu. Taka krótka notka pojawiła się w prasie, nic ponadto.

Ja ostatnia widziałam Emila. W moim mieszkaniu przeczekiwał do trzeciej po południu, potem pojechał objąć wartę na drodze. Kiedy wychodził ode mnie, nie żegnał się jakoś specjalnie, po prostu pocałował mnie w rękę, pogłaskał po siwej głowie, powiedział, że chciałby być już stary, młodość mu ciąży, zmęczyło go życie. Nie pamiętam, co mu na to odpowiedziałam, ale pamiętam, jak czekając na windę, odwrócił się jeszcze w moją stronę i powiedział:

– Jestem w tym samym miejscu, co w dniu jej śmierci. Nie zrobiłem ani kroku naprzód. Już pewnie nie zrobię.

Pomachałam mu na pożegnanie. Poszłam na balkon i czekałam, aż wyłoni się z klatki, chciałam go jeszcze poobserwować przez chwilę. Przeszedł trawnikiem prosto do samochodu, jakieś ciemne, dosyć masywne to auto było, nie rozglądając się, nie unosząc głowy, aby sprawdzić czy stoję na balkonie, odjechał.

Wróciłam do środka, usiadłam w fotelu i dopiero wtedy zauważyłam, że zostawił na stoliku pudełeczko z prochami Amber. Przeraziłam się, natychmiast rozpoczęłam gorączkowe telefonowanie, aby znaleźć wnuka, targana przecuciem, że on mi te prochy powierza, nie zostawił ich tu przez zwykłe zapomnienie. Telefon Artura nie odpowiadał, z Oktawią nie udało mi się połączyć, nie dodzwoniłam się do nikogo. Z bezsilności poszłam do kościoła, tam już nie było końca moim łzom.

Łącząc, wsparta o poduszki, poprosiłam Jacka, żeby mi przyniósł to pudełeczko z szuflady.

– Nie wiem, co powinnam zrobić z tymi prochami? Trzeba mi je było włożyć do trumny Emila, z jakiś niewytłumaczalnych powodów tego nie uczyniłam, choć wnuk mi je pewnie zostawił właśnie po to, żebym je pochowała wraz z nim. Tak by było najlepiej.

– Może udałoby się to jeszcze zrobić? Jak pani chce, to się zorientuję. – Jacek mówił coraz ciszej, obserwując moje zmęczenie. Zamknęłam oczy, kiedy długo ich nie otwierałam, pomyślałam, że przysnęłam, zgasił małą lampkę przy łóżku, wyszedł z pokoju. Nie zapadłam w sen, tylko w odrętwienie, w taki stan, kiedy wszystko się słyszy, bezwiednie rejestruje, choć nie ma się chęci w żaden sposób zareagować. Gałki oczne bolały mnie najdotkliwiej, uniosłam dłoń, żeby ich dotknąć, bo zdawało mi się, że płoną. Przez moment miałam wrażenie, że Emil jest przy mnie, kładzie małą główkę na moich kolanach, łąsi się niczym kociątko. W fotelu usiadła Pola, piękna, młoda, pokazała mi pierścionek zaręczynowy, przy łóżku zatrzymał się Waldemar. Trwało to zaledwie kilka sekund, a tak było realne, że chciałam zawołać Jacka na świadka, jednak zabrakło mi głosu.

Leżałam spokojnie, nasłuchując. Do mieszkania wszedł Artur, wsadził głowę do mojego pokoju, nie wszedł do środka, słyszałam oddalające się kroki. W przedpokoju paliło się światło, oni siedzieli w kuchni, oddaleni zaledwie trzy może cztery metry od mojego łóżka za cienką ścianą. Słyszałam wszystko, każde westchnienie, brzęk i stuk.

– Napijesz się? – Artur wkręcał korkociąg, słyszałam nawet, jak skrzypiało to zmyślne urządzenie do otwierania win. Musiał przywieźć butelczynę ze sobą, bo ja w mieszkaniu zapasów wina nie miałam. Stuknęły wyjmowane z kredensu kieliszki.

– Dobrze, z Nowej Zelandii. Pinot Noir. Lubisz wina?

– Wolę piwo, ale chętnie spróbuję, jak pan mówi, że dobre.

– Ja przepadam za winem, nie umiałbym zjeść kolacji, nie popijając winem. Nie smakowałyby mi.

– A ja w zasadzie nie piję, czasami tylko browara strzelę, poważnie na pragnienie, a tak to nie. Jedynie pani Tosi nalewki... owszem, owszem.

- Lubisz moją mamę, prawda?
- Zazdroszczę panu, panie Arturze, takiej mamy. Moja była zupełnie inna, szybko mnie zostawiła samego, nawet jej dobrze nie poznałem jako osoby. Pan, dorosły już człowiek, a mamę jeszcze ma i to w takiej dobrej formie. Bo dziś to chyba tylko zwykłe zaślabnięcie było?
- Obawiam się, że nie.
- Coś poważnego?
- ...
- No, ale co? Do szpitala trzeba? Ja ją namówię, jak pan chce.
- Nie, do szpitala nie. Chcę, żeby umarła w domu, w znajomym otoczeniu, wśród sprzętów, które kocha, a nie gdzieś w bezdusznej sali szpitalnej na oczach obcych ludzi.
- Panie Arturze...
- Jej serce już nie ma siły.
- Pójdę zobaczyć, czy śpi.

Sama nie wiem, czy spałam, czy ta rozmowa między Arturem a Jackiem naprawdę miała miejsce, czy to tylko było majaczenie chorego umysłu?

Kiedy się obudziłam rano, pierwszą myślą było podejrzenie, że zapowiedź mojej śmierci najzwyczajniej mi się przyśniła. Dotknęłam twarzy dłonią, sprawdziłam, czy mam oczy i nos, czy moje usta są w tym samym miejscu, co zawsze, bez ulgi stwierdziłam – jeszcze żyję. Ani mnie to odkrycie nie zmartwiło, ani nie ucieszyło. Tylko starzy ludzie rozumieją moje słowa. Kiedy ma się tyle lat, co ja, ciut więcej lub ciut mniej, człowiek naprawdę resztkami zdrowego rozsądku zaczyna się zastanawiać, jak długo jeszcze? I po co? Jeszcze jeden niedzielny obiad, jedna kąpiel, dwa odcinki serialu, jeszcze jedna niespokojna noc, czy dłużej? Jeszcze jedne święta Bożego Narodzenia, pierwszy dzień wiosny, kolejny sezon na truskawki? A może jeszcze śmieiej, jeszcze jedne wybory prezydenckie, prawnuczki pierwszy dzień w szkole, wybory nowego papieża? I wtedy trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie: Czy ma się jeszcze ochotę na życie? Przedziwne, ludzie chorzy pragną się wyleczyć i żyć, żyć przede wszystkim, a zdrowi już tacy zachłanni nie są, bokiem

ustawiają się do życia, jego mało rozważanej oczywistości istnienia. Zdrowy człowiek nie powie – jak ja bardzo chcę żyć! Tylko żyje, czasami naburmuszony, ostentacyjnie ziejący pretensją, że w ogóle musi. Inaczej człowiek chory, który niczym mantrę powtarza, jak bardzo chce żyć, jakby negocjował z losem, z Bogiem, przypominał o sobie, swojej woli życia, żeby go przez nieuwagę ktoś zbyt wcześnie do Raju nie posłał. Co innego człowiek stary, jak ja. Niby głośno mówiłam, że mam dość, oferowałam swe miejsce na ziemi komuś nowemu, ale kiedy wybrzmiały te słowa Artura o mojej zbliżającej się już teraz na poważnie śmierci, dopadł mnie niepokój i strach. Nie równało się to ze skowytom: „Nie chcę umierać!”. Raczej z pytaniem: „I to już naprawdę wszystko?”. Targnęło mną zdziwienie, że oto okręt dobił do brzegu, po krótkim, niespokojnym rejsie czas wysiadać. Już? Tak prędko? Patrząc wstecz, nie miałam wrażenia, że żyłam długo, zdążyłam wiele zrobić, wręcz przeciwnie, osiemdziesiąt lat wydało mi się marną chwilą, jednym błyskiem na niebie.

Nie chciało mi się do toalety, nie czułam pragnienia ani głodu, ale też nie umiałabym się ruszyć.

Pielęgniarka Monika weszła do pokoju, przycupnęła na fotelu. Ktoś ten fotel musiał przytargać z salonu do mojego pokoju, ale kto i kiedy, nie wiedziałam. Kiedy dziewczyna uśmiechnęła się do mnie promiennie, chciałam dotknąć jej dłoni, okupiłam wielkim wysiłkiem ten gest. Miałam wbity wenflon.

– A co to? Kroplówka? – zapytałam.

– Tak. Lekarz zapisał, żeby nam się pani Antonina nie odwodziła i nie zagłodziła – odparła delikatnie, odgarniając mi włosy z czoła. – Proszę się nie martwić, ma pani również założony cewnik.

Nie zareagowałam na cewnik, ale nie mogłam tej kroplówki przeboleć.

– Przecież wczoraj z Jackiem jajecznicę i tosty jadłam, herbatę piłam – przypominałam sobie. Monika spojrzała w okno, potem na mnie. Miała twarz anioła, okrągłą, rozświetloną buzią, oczy koloru niebios, mogłam się w nią wpatrywać bez końca.

– Te tosty z Jackiem jadła pani kilka dni temu...

Drzwi uchyliły się na całą szerokość. Zuzanna i Artur, niczym dwie zjawy, podeszli do mnie, stąpając na palcach.

– Jak się mamusia czuje? Lepiej? – Zuzanna była blada jak ściana, kiedy mi kołdrę poprawiała na piersiach, zauważyłam, jak bardzo trzęsą jej się ręce.

– Lilę samą w Katowicach zostawiłaś? – zapytałam.

– Nie całkiem samą. Koleżanka się do niej wprowadziła, Samuel zachodzi... Daje sobie świetnie radę. Artur takie piękne mieszkanie im kupił... Mam zdjęcia, za chwilę przyniosę... A jak się mama czuje? – Zaglądała mi w oczy z niepokojem. Bała się mojej śmierci, choć osoby tak głęboko wierzącej wizja odejścia z tego marnego świata nie powinna trwożyć.

– Nie wiem, jak ja się czuję – powiedziałam. – Podłączyliście mnie do rurek, nie wiem, co się działo przez kilka dni, słaba jestem, nie mogę się podnieść z łóżka. Co mi jest?

– Wszystko dobrze – uspokajała mnie córka.

– Dużo lepiej – dodał mój syn.

Artur gładził Zuzannę po plecach, kiedy się nade mną nachylała. Dużo było troski i miłości w tym geście, patrzyli na mnie z niepokojem, ale na siebie z serdecznością, co tam kiedy było między nimi, poszło precz.

– Mamo, dobrze ci się oddycha? – Artur obszedł łóżko z drugiej strony, miałam teraz swoje dzieci po prawicy i lewicy, zawsze tak chciałam się pożegnać.

– Dobrze... całkiem dobrze... – wyszeptałam.

Pielęgniarka Monika delikatnie odsunęła Zuzannę na bok, nachyliła się nade mną.

– Przeprosimy teraz gości, zajmujemy się toaletą, trzeba panią odświeżyć, uczesać, zaraz się pani lepiej poczuje. Proszę mi troszeczkę pomóc, ile pani da radę, spróbujemy zdjąć tę koszulę. Panią Zuzannę poprosimy o miednicę z ciepłą wodą, mydło, ręczniczek, miękką gąbkę... – Słowa Moniki płynęły niczym potok, pozwalałam jej na te czynności wokół mnie bez szemrania. Nic jej nie mogłam pomóc przy tym

ubieraniu, myciu, czesaniu, ale też nie protestowałam, ona cały czas mówiła.

– Człowiek jak się odświeży, zaraz mu lepiej. Mój mąż twierdzi, że jak tylko umyje samochód, auto od razu lepiej chodzi, szybciej jedzie, ciszej... Tak samo jest z człowiekiem. Doktor zapisał kroplóweczkę dwa razy dziennie, podepnę jedną teraz, a jak wrócę po południu, podepnę drugą. Pani Zuza gotuje rosółek, czuje pani zapach? No, teraz lepiej... Zrobiłam pani fryzurę wystrzałową, podać lusterko? A, to może później. Jeszcze bym pani dłonie natarła jakimś kremem, bo bardzo suche. Na polu dzisiaj ziąb, deszcz lał całą noc, wiatr się ruszył, trzeba już zimowe płaszcze zakładać, czapki, szaliki. Znowu się zacznie kichanie, smarkanie, moje dzieci wiecznie chore, mówię pani, żadnej odporności, a przecież na wsi chowane. Ja jestem z Rzeszowa, ale mój mąż pochodzi ze Zwiężycy, zaraz po ślubie przenieśliśmy się do niego na arealy... No, dobrze, proszę się teraz zrelaksować, kroplówka ładnie schodzi, godzinę będzie lecieć. Zostawiam panią na chwilę.

Zamknęłam oczy. Nie czułam bólu, tylko zmęczenie i senność. Obecność Moniki dobrze na mnie działała, cieszyłam się, że moje dzieci przy mnie czuwają, spodziewałam się wnuczki zobaczyć przed śmiercią, niestraszna mi była perspektywa rozstania.

Zuzanna weszła do pokoju.

– Mamo, posłałam po księdza – powiedziała, siadając na fotelu obok łóżka.

– Pamiętasz Zuziu, jak twój ojciec umierał i wezwaliśmy księdza z ostatnią posługą? – przypomniałam jej. Waldemar bardzo się zdenerwował, nie chciał się do wielebnego odezwać, udawał, że śpi, ale w końcu udało się sakramentu chorego udzielić. Teraz wiem, jak się czuł, tak ostatecznie, bo przecież po ostatnim namaszczeniu nie żyje się dalej, tylko umiera.

– Pamiętam. Zdążyliśmy, komunię przyjął ostatnim świadomym odruchem. Niech się mama nie denerwuje, ale mój proboszcz z odwiedzinami chciał przyjść, to zaproponowałam, aby... aby... no, po prostu...
– Zuzanna pogubiła się kompletnie.

– Dziecko kochane... wypowiadałam się, niepotrzebne twoje obawy, ja wiem, co się wokół mnie dzieje... – mówiłam z trudem. – Rosół gotujesz? Nie zapomnij cebuli na gazie uwędzić...

Jeszcze rano łatwiej mi było wypowiadać słowa, po południu towarzyszył temu wielki wysiłek.

– Mamo, mamusiu, Artur zaraz powinien przyjechać z księdzem, niech mama odpocznie sobie. Proszę, niech mama nic nie mówi...

Nie czekała na moją odpowiedź, wyszła, zamknęła za sobą drzwi. Nie zdążyłam jej poprosić, żeby mi odsłoniła firanki w oknie. Chciałam popatrzeć na niebo, na przetaczające się wolno ciężkie chmury, zmieniające się ich kolory i kształty. Zawsze mnie widok najgroźniejszego, nawet burzowego nieba uspokajał. Nie mogłam zawołać Zuzanny ani pielęgniarki Moniki, sił mi zabrakło, powietrza w płucach, ale spokój był w mojej głowie. Patrzyłam, czy mucha jaka nie przyleciała po mnie, po moją duszę. Czułam najwyraźniej, że dusza jest we mnie, nie tylko to stare, uszyte jak z kawałków ciało, ale dusza stanowi o mnie i tym kim jeszcze będę. Bo gdyby nie, to jakże żal byłoby umierać.

ROZDZIAŁ XXI

Sporo czasu poświęcałam, aby wszystkie wątki z opowieści babci Tosi Pogorzelskiej dokończyć. Oboje z Jackiem zdecydowaliśmy zawartość koperty ciotki Poli w tę opowieść włączyć, choć sama babcia nigdy tej koperty nie otworzyła. Być może czekała na odpowiednią chwilę, dając sobie czas na przygotowanie i wywołanie odpowiedniego nastroju u siebie, podejrzewając, że na coś przełomowego się pośród tych pożółkłych kartek natknie. Przeczucie jej nie myliło.

Serce babci zwalniało, niczym pociąg przed wjazdem na stację, tłoczyło krew bardzo leniwie, trzeba się było z nim targować o każdy kolejny skurcz. Po kilku dniach niedomagania, palce dłoni zaczęły sinieć, nie mówiła do nas nic, popadała w niezdrowy sen, coraz rzadziej otwierała oczy, z których biła już tylko nieobecność. Monika zapewniała, że nie cierpi, podobno jej mózg wydzieliał w ostatnich dniach odpowiednie substancje, aby nie miała świadomości umierania, takie naturalne znieczulenie.

Umarła nad ranem, 16 grudnia 2011 roku. Nie byłam przy jej śmierci, złe wieści z Polski zastały mnie siedzącą przy biurku w moim biurze kuratora. Zadzwonił tato, uprzedził, że mogę nie zdążyć się pożegnać, nawet jeśli wsiądę w samolot następnego dnia. Nikt w pracy nie mógł zrozumieć, dlaczego biorę wolne, marnuję cenne dni urlopu, lecę do Polski pożegnać się z babcią staruszką? Z dwudziestu dni urlopu, aż dziesięć „zmarnowałam” na śmierć babci! Pakowałam swoje drobiazgi z biurka drżącymi rękami, moje ruchy śledziły podejrzliwe spojrzenia, żegnały nieczułe uwagi, wychodziłam z budynku Probation Service w pośpiechu. W drodze na lotnisko przekonywałam siebie, że tak szybko się nie umiera, niedomaganie często mija, nie dowierzałam słowom taty,

musiałam sama ocenić, czy naprawdę ten piękny płomień życia, jaki w sobie miała, wygasa?

Nie byliśmy przygotowani na jej śmierć. Chorowała bardzo krótko. W jednym dniu była rześką staruszką, zadziwiającą dobrą formą wszystkich wokół, lepiła pierogi, pochylała się nad gazetą, aby wieczorem już położyć się do łóżka i nigdy nie wstać.

Kiedy odszedł od nas mój brat Emil, fizyczny ból prowadził mnie najpierw na cmentarz, a potem jeszcze długo towarzyszył mi dokądkolwiek poszłam. Ciągnęłam za sobą tęsknotę za nim, gniew, rozżalenie skierowane gdzieś w niebo, chęć zemsty, chęć dołączenia do niego, wszelkie złe emocje, jakie natura ludzka wymyśliła. Zginął młody człowiek, pozbawił niewinną kobietę życia. Mój brat, jakiego nie znałam, opuścił mnie. Teraz przyszło mi się zmierzyć z kolejną śmiercią bliskiej osoby i choć nie czułam już takiego bólu jak za pierwszym razem, czułam potężniejszy jeszcze smutek. Nie rozplakałam się nawet na pogrzebie, uwieszona rękawa kurtki Jacka. Zza ciemnych okularów obserwowałam wszystkich członków rodziny, ich przeżywanie, odczuwanie reakcje, porównywałam je ze swoimi własnymi. Zastanawiałam się, czy kochali ją taką samą miłością jak ja? Jacek szlochał jak dziecko, kiedy ksiądz w kazaniu opowiadał o zmarłej, jakby ją znał osobiście od lat. Taki sprytny chwyt, sama prawie dałam się nabrać. Nie znał jej prawie, ale czynił powinność niczym mistrz ceremonii, udawał wzruszenie, głosem czarował, omiatał nas wzrokiem, jego spojrzenia były jak kropelki wody święconej. Lepiej się poczułam, gdy na mnie spoczął zatroskany wzrok proboszcza. Był to ksiądz-aktor, wspaniały w swojej roli. Żałobnicy, których przyszło na pogrzeb całkiem sporo, kiwali głowami, uwiedzeni słowami księdza: „Przychodzimy na ten świat z niczym i odchodzimy z niczym... z pustymi rękami i jeśli żyjemy tak, jakbyśmy o tym zapomnieli, biada nam w ostatniej godzinie! Antonina Pogorzelska o tym nie zapomniała... Dziś bogata we wszystko, u boku Pana cieszy się jego bliskością. Nie rozpaczajmy zatem...”

Tato nie słuchał księdza ani jego przemowy, widziałam; jak zamyka i otwiera oczy, ucieka myślami w emocjonalną pustynię, niezainteresowany

ceremonią, która toczy się wokół. Nie byłam dla niego dobra przez ostatnie miesiące. Tupałam nogami w proteście, że zostawił mamę, wyszydzałam jego potrzebę miłości, gdybym mogła, wytargałabym za włosy jego kochankę. W pierwszym odruchu chciałam go ukarać, ale babcia przestrzegła mnie, żebym nie była surowa, bo jeszcze nie wiadomo, jakie mnie trudne decyzje w życiu czekają, czy nie będę musiała kiedyś sama wybierać? Zastanowiłam się nad tym. Miała rację. Wszyscy wokół uważali mnie za osobę prawą i moralną, taką, którą do pracy przyjmie każda pozarządowa instytucja charytatywna, każda fundacja czy filie Czerwonego Krzyża. Taką mnie widzieli i znali, łagodną, szlachetną Agnieszkę, co to nigdy męża innej kobiecie nie uwiedzie, kredyt poręczy, w szpitalu chorego odwiedzi, dzieci przypilnuje, nad bezdomnym psem się pochyli. We mnie było tyle sprzeczności, tyle brzydkich odruchów, niskich pobudek, zabiły mnie wstyd, gdyby moje uczynki i myśli poznał świat.

Na to babcia Tosia nieumyślnie zwróciła moją uwagę, kim ja niby jestem u początku swojej drogi życiowej, która w zaraniu prosta nie była, żeby nad moim ojcem sądy urządzać?! Jeszcze moje sumienie nie przeszło żadnego testu, niczego wielkiego o sobie jeszcze nie wiedziałam, a już się stawiałam w roli prokuratora rodzinnego. Po tej rozmowie z nią zaczęłam się cofać w swoich zapędach oskarżyciela, stopniowo łagodnieć od środka.

Planowałam rozmowę z tatą, chciał mi opowiedzieć o tej kobiecie, ale mu do tej pory nie pozwalałam, bo oznaczałoby to, że wybaczyłam. Patrząc na niego w kaplicy, obserwując, jak czołem dotyka krawędzi trumny swojej mamy, moja niechęć odpłynęła jak rzeka. Pewna byłam, zanim wyjadę, pójdę do niego, wyprostujemy nasze ścieżki. Głupi był mój bunt, dziecinny, egoistyczny, jakbym nie pamiętała, jak wszystko gwałtownie przemija, niezwykle szybko staje się nieważne. Babcia mówiła: „Drzewo przetrwa, mięso w konserwie przetrwa, obraz w ramach, a człowiek nie. Człowiek nie jest obliczony na przetrwanie”. Jej odejście uświadomiło mi, pośród wielu innych rzeczy, jak mało mamy czasu na załatwienie spraw.

Mama siedziała obok swojego męża. Procedury rozwodowe wkroczyły zaledwie w pierwszą fazę, oficjalnie wciąż byli to państwo Pogorzelscy. Oktawia Pogorzelska, porzucona kobieta pięćdziesięcioletnia, pięknie, drogo, gustownie ubrana, nieodgadniona w swoich gestach i pozach, zapatrzona w dal, nie dotykała ramieniem ramienia Artura Pogorzelskiego. Wszyscy inni siedzieli ciasno stłoczeni w kościelnych ławkach, przylegali do siebie, wspierali się na sobie, tylko moja mama siedziała tak jakoś o s o b n o. Mielśmy problem z bliskością w naszej rodzinie. Babcia Tosia nie była blisko ze swoją matką, Lila miała całkiem porwane stosunki ze swoją, ja udawałam przywiązanie do mojej. Kobiety w naszej rodzinie uwielbiały mężczyzn, córki były zaledwie przypomnieniem ich niespełnionych marzeń czy ambicji. Nigdy te córki nie były takie, jakie one sobie wymarzyły, jakimi chciały je widzieć. Synowie natomiast, zawsze byli bardzo udani, nawet ci, którzy w akcie rozpaczy i godzinie szaleństwa posuwali się do aktu zemsty na drugim człowieku.

Tato wyrządził mamie krzywdę swoim odejściem, naraził na litościwe spojrzenia, na wstyd. Mama nie miała bliskiej przyjaciółki, nie lubiła kobiet, nie miała do kogo pójść z butelką wina, wyzalić się, komisyjnie spalić fotografię ślubną. Milioner, Artur Pogorzelski, porzucił ją, bez niego była nikim, jej życie na pokaz kończyło się.

Przez wiele lat łaskawie przystawała na miłość męża, nawet nie udawała wzajemności, uważając samą siebie za najlepszą wzajemność. Układ mógł przetrwać wieki całe, do końca, do później starości obojga, ale wypalił się przedwcześnie. O moim ojcu znajomi życzliwie zdążyli powiedzieć „zerwał się z łańcucha”. Jako najlepiej zorientowana wiedziałam, że nie było łańcucha, najwyżej aksamitna wstążka, czasami złota klatka.

Ludzie patrzyli na moich rodziców z zaciekawieniem, ledwie na trumnie babci zatrzymując wzrok. Fortuna ojca była tematem rozmów na mieście, przedmiotem zazdrości, niekończących się spekulacji na temat wielkości majątku. Tato zawsze trzymał się z daleka od magazynów drukowanych na kredowym papierze, nie udzielał wywiadów, nigdy nie

występował publicznie. Kiedy wstukiwało się jego imię i nazwisko w wyszukiwarce internetowej, wyświetlały się zdjęcia Oktawii Pogorzelskiej. Mama uwielbiała błysk fleszy, zainteresowanie otoczenia, cokolwiek zrobiła, rozgłaszała to w lokalnych mediach. Trudno było kupić miesięcznik VIP, w którym by nie błyszczała, pozując na tle swojej galerii. Latała po bankietach, przymilała się wszystkim wpływowym osobom, czy to był polityk, prezes czy biskup. W chwili kryzysu, za popularność musiała zapłacić sporą cenę. Miasto znało jej twarz, pazernie wypatrywało oznak załamania nerwowego, śladów depresji... W ekspresowym tempie dowiedziano się, że Oktawię Pogorzelską, dla młodszej, Joanny Jakiejś tam, zostawił mąż, pierwszy biznesmen Podkarpacia, Artur Pogorzelski. Tak jak obnosiła sukcesy towarzyskie, tak teraz musiała nieść upokorzenie. Kochałam swoją mamę, choć nigdy nie chciałabym się do niej upodobnić, pod żadnym względem, nawet kolor lakieru do paznokci wybierałam inny niż ona. Dla zasady.

Żałobnicy bardziej interesowali się moją mamą niż moją babcią, leżącą w jasnej, błyszczącej trumnie. Widziałam ich ciekawskie spojrzenia, oceniali nasz ból, oceniali wartość kwiatów. Przy wejściu do kaplicy słyszałam dwie kobiety głośno zastanawiające się, ile taki wieniec z białych róż mógł kosztować w środku zimy? Przez nawę prowadził mnie komentarz jednej z pań, że jak na takiego bogacza jak Artur Pogorzelski, to bardzo skromnie przybrano trumnę seniorki rodu. Prawdziwa Agnieszka, jaka się we mnie przyczaiła, miała ochotę dzielić siwe głowy parasolką babci, którą sobie przywłaszczyłam dla ochrony przed padającym drobnym śniegiem.

Ciocia Zuzanna z wujkiem Karolem siedzieli z boku. Obydwoje płakali, trzymali się za ręce jak nastolatki, uczestniczyli czynnie w nabożeństwie, wyśpiewując pod niebiosa. Wysyłali babcię do nieba przesyłką poleconą, wierząc święcie, że skoro oni są tak gorliwie praktykujący, Pan Bóg przyjmie ją do siebie w szybszym trybie, po głowie pogłuszcze u nieba bram. Dobrze jest mieć taką niezachwianą wiarę w godzinie próby.

Lila, nasza młoda mama, rozkwitła w środku zimy! Wszystkie okna jej duszy i serca pozostawały otwarte na oścież. Owinięta białym szalem,

wpatrzona w blaszkę z napisem *Antonina Pogorzelska żyła lat 80*, raz po raz ścisłała moją dłoń.

Jej rodziców nie lubiłam głównie za to, że obrzydzili mi religię katolicką, odegnali mnie od ołtarza, w rezultacie to przez nich miałam tyle religijnego buntu w sobie. U nich w domu, gdzie zegar tykał, wytyczając rytm życia wyłącznie zgodnie ze wszelkimi świętami wymyślonymi przez Kościół, pierwszy raz usłyszałam wyrażenie: „Brudno jak u Żydów”, „Ciapatymi” określało się Hindusów i Arabów, na Rosjan mówiło się „Ruskie”, na dziecko domagające się lizaka: „Ty Rumunie”. Nie wiem, ile musiałaby ciotka Zuzanna świeczek z Caritasu kupić, wujek Karol pielgrzymek odbyć, żeby mnie zjednać i przekonać do swojego rodzaju pobożności. Nigdy nie rozmawiałam z Lilą o jej rodzicach, nie szła tą samą drogą, w zupełności mnie to zadowalało. Wiedziała o jej sekrecie, potajemnie chodziła regularnie do kościoła, nie zaniedbywała się duchowo, jednak nie życzyła sobie, aby rodzice grzebali w tych prywatnych relacjach z Bogiem, zbyt piękne były. To dla niej poszłam się wypowiadać przed pogrzebem babci, choć takiej potrzeby nie miałam. Jacek solidarnie przystąpił wraz z nami do sakramentów.

Na pogrzebie babci Lila siedziała pomiędzy mną a Jackiem, nie żeby nas rozdzielić, chciała nas mieć po obu swoich słabych stronach. Kiedy skończyły się chusteczki higieniczne, Jacek podtykał jej pod nos swoje, pachnące rumiankiem, mnie na odległość przytulał wzrokiem. Ubrany był jak mężczyzna, nie jak chłopak, w czarną kurtkę wełnianą, pod nią ciemnozielony golf, czarne spodnie o idealnym kancie, skórzane buty do kostki, swoje ciemne, zamszowe rękawiczki pożyczył mi przed wejściem do kościoła. Zapach D&G perfum „The One” czułam poprzez kwieciste perfumy „Lola”, jakimi pachniała Lila.

Wyjechałam po wakacjach do Anglii, nie zostawiając Jackowi nadziei. Wydawał się pogodzony, zupełnie jakby ktoś rzucał lotką do celu, a kiedy nie trafiał, tłumaczył sobie, że jeszcze ma kilka prób, zanim skończy się gra. Podjęłam pracę, rozgościłam się w domu, który dostałam prezencie od taty, ułożyłam książki na półkach, rozwiesiłam ubrania

w szafach, zasadziłam krzew bzu w ogródku i nie byłam zadowolona ze swojego dzieła. Tęskniłam za Jackiem. Lecąc na pogrzeb babci do Polski, zastanawiałam się, czy w ogóle do Anglii wrócę? W drodze z lotniska położyłam swoją dłoń na jego, a on tej dłoni nie cofnął.

Noc po pogrzebie babci spędziliśmy z Jackiem na wspomnieniach, skrupulatnym przeglądaniu jej osobistych rzeczy. Rodzina zgodnie uznała, że my nadajemy się do tego najlepiej. Ciotka Zuzanna machnęła tylko ręką, był to gest: „Róbcie, co chcecie”, tato dał nam oficjalne pozwolenie. Lila nie mogła być z nami, musiała szybko wracać do swojego dzieciątka, pozostawionego pod opieką koleżanki. Podrzuciliśmy ją na dworzec zaraz po ceremonii.

Jacek pod pretekstem zakupienia prowiantu na podróż, wycofał się dyskretnie, żebyśmy mogły się swobodnie pożegnać na peronie.

– Musimy sobie coś obiecać. – Lila trzymała mnie mocno za kłapy płaszcza.

– Co tylko chcesz – odparłam wzruszona.

– Lato spędzimy razem... chociaż miesiąc. Nauczyłam się gotować, mogę być twoją gosposią w Anglii... Z Niunią przylecę... albo ty do nas, Katowice to takie piękne miasto – powiedziała, krzywiąc się śmiesznie.

– Obiecuję – zapewniłam ją. – Boję się tego samego co ty, teraz, po śmierci babci, rozwodzie moich rodziców, twojej wyprowadzce na Śląsk, mojej do Anglii, nasze spotkania będą coraz rzadsze, w końcu przestaniemy się widywać, urwą się kontakty, popełnimy grzech zaniechania.

– Nigdy! – Lilka wpadła mi w słowo. – Mało tego, nasze dzieci będą się przyjaźnić tak jak my!

Rozśmieszyła mnie. Zacisnęłam szal wokół jej szyi, zimny wiatr wdzierał się nam pod ubrania, marzłyśmy na mrozie.

– Lila, ja na dziecko nie mam widoków, musiałyby to chyba być drugie w historii niepokalane poczęcie... – Ucisnęłam ją i pocałowałam w policzek. Odsunęła się ode mnie. Obie spojrzaliśmy w kierunku zbliżającego się Jacka. Szedł wolno, niepewny, czy nadchodzi w porę, czy

zdążyłyśmy sobie powiedzieć to, co nie było przeznaczone dla jego uszu? Machnęłam do niego na zachętę.

Lila zagładnęła mi w oczy.

– *Czy ten pan i ta pani, są w sobie zakochani...?* – zanućiła. – Dobra, bo czas ucieka, zaraz nam ponury konduktor skróci pożegnanie, już widzę, jak go świerzbi gwizdek w ręce... Ale to zabrzmiało... Powiem krótko, bo wcześniej nie było okazji. Koniec z moją miłością do czarnego łądu, żegnajcie smutki, ale oświadczam ci, że nie jestem kobietą samotną.

– Masz kogoś?! *Love story?* – wykrzyknęłam. Lila położyła palec na ustach.

– Zaraz story! chociaż *love...* może. – Rozmarzenie wykwitło na jej ładnej buzi. – Tak się składa, że nasze uczucia, siostró, potrzebują w tym momencie spokoju i ciszy. Spotkamy się latem, wtedy sobie wszystko opowiemy, a będzie co! Bo latem, to co innego, jak w tym wierszu z dzieciństwa, ulubionym twojego taty... kto to napisał? Ten wiersz, jak to było? – Lila marszczyła czoło pod czapką. Pomogłam jej.

– *Co innego latem, gdy kwitnie ogórek. Bo latem to co innego: każdy owad może tentego i w ogóle...*

– A początek?

Pamiętałam całość.

– *Po cholerę toto żyje? Trudno powiedzieć, czy ma szyję, a bez szyi komu się przyda? Pachnie toto jak dno beczki, jakieś nóżki, jakieś kropeczki – ohyda.**

* K.I. Gałczyński, *Satyra na bożą krówkę*.

Lila rechotała, Jacek przystanął obok.

– To poczciwy K. I. Gałczyński. Wasza babcia mi to kiedyś wyrecytowała, Jezu, milion lat temu... jedyny wierszyk, jaki mi w głowie hula, nic innego nie znam.

– No i wystarczy! – Lila objęła go mocno na pożegnanie. – Dawaj pyska Jacek, musimy się streszczać, żeby mi kulasów nie ucięło przy wskakiwaniu do ruszającego pociągu.

– Trzymaj się Lila i nie zapomnij o nas!

Gałczyńskim pożegnałyśmy się do lata. Kiedy mnie Jacek prowadził z peronu schodami w górę, zatrzymałam się i pokazałam mu spóźnioną łązkę na zmarzniętym policzku. Zaciągnął rękawiczkę, wnętrzem ciepłej dłoni mi ją wytarł. Postanowiłam się już nie mazgać tego dnia.

Mama zaraz po pogrzebie wsiadła w samochód, trzasnęła drzwiami od czarnego mercedesa, który tata kupił jej na rocznicę ślubu, coś tam do mnie powiedziała, w zamieszaniu i pośpiechu, nie zdążyłam nawet jej przytulić. Jasnym było, że chce jak najprędzej wrócić do domu, zejść z oczu wścibskim komentatorom jej życia. Tato pożegnał ją jak obcą osobę, pocałunkiem w dłoń. Patrzyłam na nich z niedowierzaniem, nie mogłam się zatrzymać nad tym rozstaniem, byłoby to w tym dniu nieco ponad moje możliwości.

Nie zorganizowaliśmy stypy, nie bardzo było wiadomo, kto miałby się tym zająć, kto w niej uczestniczyć? Tato nie wydał żadnej dyspozycji, skończyło się na zdawkowej wymianie uprzejmości pod bramą cmentarza. Miałam wrażenie, że wszyscy chcieli jak najszybciej udać się w swoje rejony, tam przeżywać żalobę lub po prostu o niej zapomnieć. Nie chciałam jechać z mamą do Krakowa ani z tatą do jego apartamentu w mieście, spojrzałam na Jacka. On na mnie czekał przy swoim samochodzie, cierpliwie czekał na moment, kiedy już wygasną pożegnania i będzie mógł się mną zaopiekować. Oboje chcieliśmy tego samego. Odstawiliśmy Lilę na dworzec, w ekspresowym tempie wróciliśmy do mieszkania babci Tosi.

Godzinę później siedzieliśmy nad zamkniętą kopertą skrywającą tajemnice ciotki Poli, pijąc nalewkę z zapasów babci. Smakowała cudownie, aromat przejrzałych wiśni kojarzył mi się zawsze z nią i długimi wieczorami spędzonymi na wspomnieniach. Nie było dla mnie nic cenniejszego od tych rodzinnych spotkań, szczególnie kiedy Emil żył, czasami zasiadał z nami przy stole w pokoju, gdzie teraz siedziałam ja i Jacek. To przestronne mieszkanie, w końcu nic specjalnego, stanowiło dla mnie, dla nas, bezpieczny azyl, najprzyjemniejsze lokum, gdzie mieszały się zapachy, cienie, ulotne myśli z przeszłości, opowieści. Nieobecność babci zabrała cały urok. Nic mi już się w tym mieszkaniu nie

podobało, niczego nie chciałam wziąć na pamiątkę, nie było w kuchni głównej lokatorki, nie słyszałam jej głosu, nie czułam jej ciepłej obecności. W jednej chwili mieszkanie stało się obce, mogło należeć do kogokolwiek. Babcia zapisała je w spadku cioci Zuzannie. Mój tato dostał obrazy, ja, Lila i Jacek po sto tysięcy euro. Jacek bliski był zawału serca, kiedy notariusz oficjalnie poinformował go o tym zapisie. Patrzył na mojego tatę, jakby popełnił jakieś wielkie przestępstwo, gotował się do uroczystych przeprosin. Długo trwały tłumaczenia, że wola zmarłej to dla nas świętość, gdyby ona nie zostawiła mu nic w spadku, sami byśmy dopilnowali, żeby dostał prezent. Był jej tak bliski jak członek rodziny, nie zaprotestowałabym, gdyby oddała mu wszystko. Musiałam włożyć wiele stanowczości w zapewnienia, że nas nie okrada, nakazałam mu wręcz zatrzymać te pieniądze. Tato zamknął dyskusję propozycją pracy w jego firmie. Jacek nie zgodził się od razu, obiecał dać odpowiedź w ciągu tygodnia. Mnie powiedział, że musi jedną podstawową życiową decyzję podjąć, zanim zacznie planować karierę zawodową.

Rozmawialiśmy o tym, przeglądając zawartość tajemniczej koperty. Wymienialiśmy się dokumentami, bo były tam akty ślubu, metryka urodzin Bronisławy Wawel, czyli Poli Allen, listy, kilka fotografii, odręczne zapiski. Im więcej wiadomości wylaniało się z tych papierków, tym mniej słów padało między nami, w końcu obydwójce zamilkliśmy jak dwa kamienie. Ja pierwsza złamałam ciszę, stukając ołówkiem w blat stołu, powiedziałam:

– Ulubione powiedzenie mojego dziadka brzmiało: „No niech mnie kule biją!”.

– Scenariusz na piękny film gotowy – powiedział Jacek.

Przetrawialiśmy powoli rewelacje zawarte w dokumentach, z których treści wynikało, że Pola nie była ciotką mojej babci Tosi. Była jej siostrą! List, jaki Jadwiga Wawel, surowa matka mojej babci, napisała przed śmiercią do Poli, swojej najstarszej córki, w wielu miejscach był poplamiony, litery zamazane, całe zdania porwane, mimo to, wszystko było jasne jak słońce.

Moja prababka, Jadwiga Wawel nie należała do kobiet wesołych, otwartych czy nowoczesnych, jej list był mroczny i ciężki, jakby ktoś w męczarniach go pisał. Pełno tam było ostrości, goryczy, nawoływań do nawrócenia, próśb o wejście na ścieżkę religii i cnoty. Jacek wszystko czytał dwa razy, rozpędział się, potem znów zwalniał z analizą, aby przy ostatnim łyku nalewki mieć gotowe podsumowanie.

– Szanowna pani Jadwiga życzyła sobie dziecko urodzić, mając piętnaście lat. Wcześniej, nawet biorąc pod uwagę tamte czasy – powiedział.

– A babcia tak Polę uwielbiała, nie wiedziała, że była jej siostrą... nie ciotką, ale siostrą! Myślisz, że to by coś zmieniło w ich stosunkach? Kochały się bez względu na stopień pokrewieństwa.

– Podobne były do siebie, choć Pola znacznie drobniejsza... pewnie po ojcu. – Jacek mrugnął do mnie. Głośno zastanawialiśmy się, kto mógł tak młodą Jadwigę zbałamucić, ale po tylu latach nie można było nawet marzyć o rozwiązaniu zagadki. Pola urodziła się w 1920 roku, więc jej ojciec musiał być jakimś jegomościem z tysiąc osiemset któregoś, dla nas to już prehistoria. Nie miało to żadnego znaczenia, Pola mogła być córką hrabiego Morawskiego albo jego parobka, młodego wikarego miejscowej parani, a nawet Joachima Weltza. Umierając bezdzietnie, zamknęła tajemnicę swojego pochodzenia. Nie mieliśmy zamiaru drążyć tego tematu, żadna prawda nie byłaby w stanie już niczego zmienić ani w życiu Poli, ani babci Tosi, a tym bardziej w naszym.

Położyliśmy się nad ranem w pokoju gościnnym na wąskim łóżku przykrytym barwną narzutą. Kompletnie ubrani, leżąc na wznak, stykaliśmy się ramionami, patrzyliśmy w okno, w niebo całkiem jeszcze ciemne i nijakie.

– Znałeś swoich dziadków? – Przerwałam ciszę.

– Rodzice mamy umarli wcześniej, ale w sumie pamiętam ich twarze. Dziadek nauczył mnie robić bańki mydlane. Może nie była to umiejętność szczególnie praktyczna, ale zawsze coś. Jako dziecko spędzałem u nich letnie wakacje, w zimowe ferie nie dało się na tę ich wieś dojechać. Dziadek brał słomkę w swoje zgrabiałe palce, równo ją ucinał,

końcówkę nacinał żyłką na krzyż, a potem cztery odnogi otwierał, żeby bańka lepiej wychodziła. Mieszał ciepłą wodę ze skrawkami mydła pędzlem do golenia i pozwalał mi dmuchać w słomkę. Bańki w kolorach fruwały po całej kuchni, odlot! Babcia nas goniła, burczała na dziadka, on zdaje się nie bardzo do roboty w polu się palił, wiejskim marzycielem był. Takim go zapamiętałem, wydmuchującym bańki mydlane. Miał dar opowiadania, większości jego opowieści nie pamiętam, poza jedną historią, jak Cyganie małą dziewczynkę porwali we wsi, a po tygodniu tylko jej kostki znaleziono w ognisku, potargany pukiel włosów. Dziadek miał fantazję, lubił mnie straszyć, sadysta jakiś, czy co? Nie, żartuję, dziadek mnie chyba kochał. A babcia? Dobra kobieta, religijna, gotująca dla nas przepyszne obiady, ale nigdy z nią się nie rozmawiało, szkoda jej było czasu na mielenie ozorem. Tak właśnie nazywała rozmowę – mielenie ozorem.

– A rodzice ojca? Żyją? – dopytywałam się. Jacek o naszej rodzinie wiedział absolutnie wszystko, my o nim nic szczególnego. Nawet samobójstwo jego mamy oraz chorobę siostry zawsze omijaliśmy w naszych rozmowach.

– Babcia Hela żyje, niestety nie mamy kontaktu. Krótko mówiąc, nie ma zbyt równo pod sufitem. Nie siedzi w psychiatryku, ale też nie na wolności. U sióstr jest, chyba już ze dwadzieścia lat. Agata pewnie po niej odziedziczyła, jak to twoja babcia nazwała, melancholię. Fajne słowo, lepsze niż depresja. Natomiast dziadek wziął i umarł jakieś pięć lat temu. Pił na umór, samochód go potracił na drodze, sprawca uciekł, po dziadku jeszcze ze dwa inne tiry przejechały, bo zwłoki leżały na szosie. Dość pokiereszowane. Na rowerze wracał do domu, w ciemną noc, kompletnie pijany, bez najmniejszego nawet odblasku na rowerze, to co się dziwić, że go samochód potracił.

– Jezu, Jacek, co za tragiczna opowieść... – Podniosłam się z posłania, zakręciło mi się w głowie, musiałam się znów szybko położyć. Nie spałam już drugą noc, zmęczenie zaczęło mnie pokonywać, wciąż jednak nie przychodziła ochota na sen. Szkoda mi było przespać te ostatnie chwile. Za dwa dni miałam wracać do Anglii.

– Dlatego też losów moich dziadków nie warto spisywać, w przeciwieństwie do twoich – powiedział po chwili.

– Każdy człowiek ma swoją historię, którą można by opisać. Byłyby to bardzo dobre książki. Żyjemy ciekawiej, niż nam się wydaje.

Jacek wstał z łóżka i podszedł do okna. Przez wszystkie wieczory, w ciągu ostatnich trzech miesięcy, wracałam do domu z pracy, nalewalam sobie kieliszek czerwonego wina, siedziałam w ciszy gęstego mroku przez pół godziny, zastanawiając się, co ja tutaj właściwie robię? W tym kraju, w tym mieście, w nowo wybudowanym domu przy Constitution Hill? Czy to jest przystanek, czy miejsce docelowe, obrana prosta droga czy ostry skręt w lewo? Mogłam o tym Jackowi powiedzieć, szykowałam się do tej spowiedzi, wystarczyło jednak dobrze mu się przyjrzeć, kiedy tak stał przy oknie, przyjrzeć się jego plecom, żeby odłożyć swoje troski i wątpliwości na później. Trzeba było wybrać inną godzinę, inną scenę. Jacek odezwał się niespodziewanie:

– Widok na beznadziejność. Najbrzydsze podwórko świata. Jakim cudem taka osoba jak pani Antonina chciała tu mieszkać? Miała sporo kasy, mogła przeprowadzić się w o wiele ładniejsze rejony. Czyś ty się kiedy przyjrzała temu śmietnikowi?

Obserwowałam, jak dłonie włożył do kieszeni spodni, skurczył się od chłodu, zgarbił plecy. Chciałam go zawołać do siebie tak, żeby zrozumiał.

– Mogę udzielić ci odpowiedzi na to pytanie.

Odwrócił się do mnie przodem.

– Jeszcze jedna tajemnica z przeszłości?

– Nie. Tajemnica nie. – Pokręciłam głową. Nie chciałam uczynić tego gestu, ale jednak uczyniłam. Jacek posłusznie podszedł do mnie, nie położył się, usiadł na łóżku.

– Babcia nie chciała się wyprowadzić z tego brzydkiego bloku na brzydkim osiedlu ze względu na ciebie – powiedziałam.

Uśmiechnął się i pogroził mi palcem.

– Nie wstydzę się, że za nią płakałam, ale teraz to już przesadziłaś.

– Piękna jest ta wasza historia. Babcia i młodzieniec, przyjaciele. Nawet ja nie umiałam się z nią tak przyjaźnić jak ty, mnie tak nie kochała jak ciebie. Nie rób takiej miny, takie są fakty, a z faktami się nie dyskutuje. – Wyciągnęłam rękę przed siebie, Jacek ją ujął, delikatnie zaplątał swoje palce z moimi.

– To była mądra kobieta, wiedziała, że mnie jej miłość jest bardzo potrzebna. Co ja teraz biedaczek zrobię? Co ze mną będzie? – Mówiąc to, wcale się nie uśmiechał. – Takiej pustki w sercu jeszcze nie miałem...

Patrzyliśmy na siebie, oddychając powoli. Pokój wypełniała słaba szarość poranka, wszystko jakby zastygło w absolutnej ciszy, jakiś cień zatańczył na ścianie, potem zaraz znikł. Widziałam w nim młodego chłopca, który na klatce schodowej grał w piłkę, karmił kota w piwnicy ukradzionym matce z lodówki mlekiem, prowadził ostrożnie rower, na którym uczyłam się jeździć, targał kolorowe siatki z zakupami, pukał w drzwi łokciem. Ten obraz szybko minął, ja już nie uczyłam się jazdy na rowerze ani nie brałam kotów do domu, szłam ulicą obcego miasta, w obcym kraju i tęskniłam za Jackiem. Ta wizja mną wstrząsnęła. Pociągnęłam nasze splecione dłonie do siebie.

Zmniejszył się dystans między nami, mniej było ciemności, mniej powietrza, mniej materii, tylko sam smak i jeszcze ciepło, które mnie objęło. Pocałunki zawsze wydawały mi się bardzo ważne, mówiły więcej, zdradzały prawdziwe intencje, skrywaną naturę człowieka, wystarczyło się tylko wczuć i rozczytać sygnały.

W pocałunkach Jacka nie było nachalności, przebiegłości, ani nawet niecierpliwości. Całował mnie tak, jakby to było najważniejsze i najpiękniejsze zajęcie, niczym nie poprzedzone, do niczego nie zmierzające. Zatrzymać chciałam chwilę i poczucie, że jeszcze nic się nie skończyło, że właściwie to dopiero początek, pierwsza litera na pierwszej stronie.